

Michał Komar

Władysław Bartoszewski

Wywiad rzeka

AUTORYTETY 

Świat Książki



Projekt okładki
Małgorzata Karkowska

Zdjęcie na okładce
Łukasz Banasik/East News

Wydawca
Małgorzata Maruszkin

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Elżbieta Lewczuk

Indeksy
Małgorzata Dehnel-Szyc

Fotoedytor
Monika Kiersnowska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Bożenna Burzyńska
Anna Sidorek

Copyright © by Władysław Bartoszewski & Michał Komar, 2006
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o. o., Warszawa 2006

Świat Książki
Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o. o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
DK

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1955-6
Nr 45021

Spis treści

WSTĘP

1. SKĄD PAN JEST?

2. WRZESIEŃ 1939

3. AUSCHWITZ

4. KONSPIRACJA

5. KTO RATUJE ŻYCIE LUDZKIE

6. POWSTANIE

7. NOWE CZASY

8. WIĘZIENIE

9. „PAŹDZIERNIK” – CZAS PRZEMIAN

10. KRUSZENIE MURU

11. BRUDNA PIANA, CZYSTY NURT

12. CO W PANU JEST?

PODZIĘKOWANIA

INDEKS OSÓB

WSTĘP

Przygotowując się do rozmowy z Władysławem Bartoszewskim, poprosiłem przyjaciół o pomoc w znalezieniu stosownego tytułu całości. Pierwszy z nich powiedział: – Ostatni, co tak poloneza wodzi... – i aż oczy mu zabłysły z zadowolenia. Drugi z uporem powtarzał, że z takiej rozmowy powinny wynikać wnioski praktyczne. – Niech to będzie „Osobisty poradnik na ciężkie czasy”. Trzeci wspomniał o napisie widniejącym na medalu Yad Vashem: „Kto ocala jedno życie, ocala cały świat”. Czwarty zaś zaproponował: – ...my z niego wszyscy... – by po chwili dodać: – Chciałoby się, żeby tak było... A jeśli my z niego wszyscy i chciałoby się, żeby tak było, to trzeba zapytać, skąd jest Władysław Bartoszewski.

1. SKĄD PAN JEST?

BYŁEM TAK WYCHOWYWANY. ŻEBY SIĘ NIE DAĆ. DZIECKO RUCHLIWE, WYNALAZCZE I DOSYĆ SAMODZIELNE.

Michał Komar: Skąd pan jest?

Władysław Bartoszewski: Z bardzo zwyczajnej sytuacji. Przeciętna katolicka rodzina mieszkająca w Warszawie. Kiedy się urodziłem, a był to rok 1922, mój ojciec miał dwadzieścia siedem lat, matka dwa lata mniej. Ojciec pracował w banku, matka była urzędniczką miejską. Później dzięki wytężonej pracy, samokształceniu, nazwijmy to ogólnie rozwojem osobistym, obydwójce awansowali. Ojciec osiągnął stanowisko naczelnika w Banku Polskim, potem był nawet jednym z wicedyrektorów w tej instytucji. Matka pracowała w dziale księgowości elektrowni miejskiej. Byłem, niestety, ich jedynym dzieckiem, co rzutowało w jakimś stopniu na moją samotność. Matka pochodziła z całkowicie zubożalego ziemiaństwa, które przeniosło się do miasta. A więc środowisko mieszczańskie. Ojciec matki był pracownikiem kolei, jej matka – nauczycielką. Rodzice mego ojca byli chłopami z Mazowsza. Czyli, mówiąc krótko, byłem takim sobie przeciętnym polskim dzieckiem w przeciętnej polskiej rodzinie, ani u szczytów, ani w nędzy. W przeciętnej rodzinie, która żyła z pracy i układała sobie życie w nowym, wolnym państwie.

To ostatnie jest bardzo ważne. Fakt, że urodziłem się w wolnej Polsce i że chodziłem do polskiej szkoły, był dla moich rodziców czymś niezwykłym i radosnym. Dorastali, kończyli szkoły, dojrzewali pod zaborami, w czasach gdy prawdopodobieństwo odzyskania niepodległości wydawało

się bliskie zera. Dla mnie ten sam fakt był tak oczywisty jak oddychanie. Bo gdzie miałbym się urodzić, jak nie w wolnej Polsce? Innej możliwości nie umiałbym sobie wyobrazić. Trójpodział Polski, rozbiory – były dla mnie tematem z podręcznika historii. Urodziłem się w trzecim roku istnienia naszego państwa, półtora roku po odparciu armii bolszewickiej spod Warszawy, a więc jestem z pierwszego pokolenia Polski odrodzonej.

Mieszkaliśmy w małym, jednopiętrowym domu stojącym między okazałym budynkiem Banku Polskiego i pałacem Radziwiłłów, przy ulicy Bielańskiej 12, w centrum miasta, kilkaset metrów od placu Teatralnego. Gmach banku, zniszczony w czasie wojny, został częściowo odbudowany. W pałacu Radziwiłłów, gdzie wtedy przez część roku mieszkał Janusz Radziwiłł z rodziną, no i oczywiście ich pracownicy, po wojnie zainstalowała się najpierw Centralna Rada Związków Zawodowych, później Muzeum Lenina, po 1989 znalazło tam siedzibę Muzeum Niepodległości. Natomiast domku, w którym znajdowało się nasze mieszkanie, mówię nasze, choć było mieszkaniem służbowym banku, dziś już nie ma. Dalej, koło Tłomackiego, koło Nalewek, żyli wyłącznie warszawiacy-Żydzi. I nie byli to inżynierowie, lekarze, prawnicy, ale przeważnie zwykli robotnicy, rzemieślnicy, sklepikarze, bardzo często noszący się w sposób tradycyjny, egzotyczny, gdy spojrzeć na to z dzisiejszego punktu widzenia. Teraz, gdy tysiące Polaków pielgrzymują do Ziemi Świętej, wystarczy przejść paręset metrów poza mury starej Jerozolimy, na północny wschód, ku Mea Szearim, by zobaczyć Nalewki, ulicę Długą, Bielańską, takie, jakie widziałem oczyma kilkuletniego dziecka. Kto zobaczy, jak bawią się dzieci w Mea Szearim na zieleńcu, ten może wyobrazić sobie żywą przestrzeń Ogrodu Krasieńskich, którego resztki zachowały się gdzieś między Świętojerską i tyłami Arsenалу. Dla większości to odległa, niemal zamierzchła przeszłość, a dla mnie to dzieciństwo.

Bawił się pan z dziećmi żydowskimi?

Prawie wyłącznie z dziećmi żydowskimi. Innych tam nie było. W tej części miasta chrześcijanie, goje, nie mieszkali. My zajmowaliśmy mieszkanie służbowe. To był dla moich rodziców ogromny bonus, wtedy, po pierwszej wojnie światowej, młodych urzędników nie było stać na zakup czy wynajęcie mieszkania w eleganckich dzielnicach, a przecież i teraz otrzymanie służbowego lokalu jest korzystnym zaszczytem. O tym, gdzie zamieszkaliśmy, zdecydowała administracja banku. Ojciec był wtedy

pracownikiem skarbcza emisyjnego. Z czasem został zastępcą naczelnika skarbcza, co w przekładzie na język praktyki oznacza, że był depozytariuszem części składanego klucza do ukrytego skarbcza, w którym znajdowały się państwowe rezerwy złota.

Widział pan ten klucz?

Nie tylko klucz. Widziałem też skarb. Kiedyś ojciec, oczywiście za zgodą swojego szefa, pana dyrektora Oczechowskiego, zaprowadził mnie do skarbcza Banku Polskiego w podziemiach budynku przy Bielańskiej. Za stalowymi kratami leżały równo ułożone ogromne ilości cegiełek ze złota. Ale wtedy, prawdę mówiąc, bardziej niż złotem zainteresowałem się biegającym wokół mnie psem dyrektora Oczechowskiego. Dla chłopca w moim wieku, a miałem chyba cztery lata, może pięć, pies był bardziej atrakcyjny niż złoto. Nie pamiętam, jak wyglądał, jakiej był rasy, ale wiem, że przyciągnął moją uwagę, tym bardziej że u nas w domu psa nie było.

Podobno w czasie zabaw z dziećmi sąsiadów nauczył się pan podstaw jidysz?

Zacząłem rozumieć, co mówią, i nabyłem nawet umiejętność wysławiania się w tym języku w sprawach podstawowych. Potem, kiedy zacząłem systematycznie uczyć się języka niemieckiego, dobra niemczyzna wyparła jidysz z mojej pamięci. Ale do dziś, gdy jestem na przykład w Jerozolimie w Mea Szearim i słyszę rozmowę prowadzoną w jidysz, to ją rozumiem. Oczywiście nie wszystko. Wiem, czego dotyczy rozmowa, choć nie znam poszczególnych słów. Więc wtedy znalazłem trochę jidysz, który był językiem powszechnym w tej dzielnicy. Oczywiście wszyscy rozumieli po polsku, ale między sobą większość nie używała polskiego. Z tym moim rozumieniem zrobił się problem, bo zdarzało się, że w parku jakaś żydowska matka mówiła do swego dziecka – wskazując na mnie: – ...nie baw się z tym głupim gojem, a mnie było przykro. Dzisiaj się z tego śmieję, ale wtedy, po powrocie do domu, rozżalony pytałem: – Mamo, dlaczego ja jestem głupi goj? Mama najpierw śmiała się, potem pytała, kto mi to powiedział. – A, w parku, jedna pani... Mama odpowiadała: – Nie przejmuj się. Nie jesteś ani głupi, ani mądry. Po prostu jesteś, jaki jesteś. I tyle. Moi rodzice mieli znajomych, koleżanki i kolegów pochodzenia żydowskiego. Ci ludzie bywali u nas w domu, a i my bywaliśmy u nich. Normalne sto-

sunki towarzyskie. Do niektórych mówiłem „ciociu”, „wujku”. Ponadto ojciec mój był zbieraczem, numizmatykiem i filatelistą. Pamiętam, że odwiedzali go także żydowscy koledzy i przy świetle lampy, z lupami w dłoniach, pochylali się nad albumami. Nie wolno mi było wtedy wchodzić i przeszkadzać. Bardzo tego nie lubilem...

A pan zbierał znaczki?

Zacząłem zbierać, ale jakoś bez entuzjazmu, co zrozumiałe, bo mój ojciec był wielkim kolekcjonerem, miał tysiące marek pocztowych, jak wtedy się mówiło, a ja odczuwałem dyskomfort, widząc, że go nie prześcignę. Trochę więc zbierałem, ale nigdy nie stałem się zbieraczem nałogowym. Kto mógł przewidzieć, że bezinteresowna pasja, jaką jest zbieractwo, przyniesie ojcu wymierną korzyść? W czasie okupacji z ciężkim sercem sprzedał swoje zbiory, bo ze swojej umownej pensji w banku kontrolowanym przez Niemców musiałby żyć biednie. A tak żył jako tako. Przynajmniej nie miał problemu z wyżywieniem czy ubraniem.

Warszawa z czasów pana wczesnego dzieciństwa miała około 1 300 000 mieszkańców na obszarze trzykrotnie mniejszym niż dzisiaj.

Tak, miasto było znacznie mniejsze. Bo na południu Warszawa praktycznie wygasła gdzieś pomiędzy placem Unii Lubelskiej i ulicą Madalińskiego, czyli w dzisiejszym centrum miasta. Rakowiecka to było już przedmieście, prawdziwe, jak należy. Tam były koszary i kryminal, tam Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego miała swoje ogródki doświadczalne, do dzisiaj ich resztką została, po osiemdziesięciu latach. Wtedy te ogródki były rozległe, rozciągały się wokół pierwszego budynku SGGW, niedaleko kościoła (wtedy tylko kaplicy) Jezuitów. Na rogu Puławskiej i Rakowieckiej stał pułk artylerii przeciwlotniczej, a wojsko jest zawsze atrakcją dla dziecka. Dalej, owszem, budowano, ale przedmieście przechodziło w wieś. Były pola. Za nimi, daleko, nowy tor wyścigów konnych na Służewcu. Stary tor znajdował się przy Polnej, za nim, w stronę ulicy Wawelskiej, było lotnisko. Doskonale pamiętam te samoloty, przeważnie dwupłatowe, i pamiętam wyścigi konne, na które można było popatrzeć przez dziury w płocie. Pamiętam dobrze te okolice, bo ojciec w związku z awansem otrzymał chyba w 1928 roku kolejne, lepsze mieszkanie służbowe, w budynku nr 7 przy ulicy Flory.

Czyli bardzo blisko Belwederu.

Bardzo blisko Belwederu, gdzie pracował i mieszkał marszałek Piłsudski. Blisko Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych, blisko Łazienek, blisko alei Szucha, na której stawiano okazałe budynki Najwyższej Izby Kontroli Państwa i Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nobliwa dzielnica, jedna z najlepszych w Warszawie pod względem standardu lokali, prawdopodobnie też jedna z najdroższych, ale mnie to nie obchodziło. Obok domu, w którym mieszkaliśmy, zaczęto z rozmachem budować nowe kamienice. Latem można było usłyszeć dźwięki muzyki dobiegające z ogródka kawiarni Dakowskiego, dziś znajduje się tam rezydencja ambasadora Wielkiej Brytanii. Budowano też na ulicy Chocimskiej, przy linii kolejki wąskotorowej, która łączyła Warszawę z odległym Piasecznem i odległym Konstancinem. Jeden z tych domów zachował się. Ma ścięty narożnik do wysokości pierwszego piętra, bo pod tym narożnikiem musiał zmieścić się komin lokomotywy. Po kolejce nie ma już dziś śladu, ale charakterystyczny narożnik pozostał. Na pobliskiej ulicy Klonowej była wtedy znana, prywatna szkoła męska Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej...

I tam pan rozpoczął nauki szkolne?

Nie chodziłem do szkoły podstawowej, którą wtedy nazywano szkołą powszechną. Naukę pobierałem w domu, od korepetytorki, i w ten sposób opanowałem materiał pierwszych czterech klas. Latem 1930 roku zdałem egzamin do prywatnego Gimnazjum Katolickiego im. św. Stanisława Kostki przy ulicy Traugutta 1. Przed pierwszą wojną światową gimnazjum nosiło imię margrabiego Wielopolskiego, a dzięki temu podlizaniu się uzyskało od Rosjan zgodę na prowadzenie zajęć w języku polskim. Jego absolwentem był, między innymi, Witold Gombrowicz, ale o tym dowiedziałem się po latach. Szkoła była katolicka, konserwatywna, pobożna. W mojej klasie większość uczniów wywodziła się z rodzin rzemieślniczych, kupieckich, drobnourzędniczych, ale byli też przedstawiciele znanych rodzin wielkomieszczańskich, bardzo katolickich: Witek Rotwand i Lopek Kronenberg. Co niedzielę maszerowaliśmy pod sztandarem do pokarmelickiego kościoła św. Józefa. Obecność na mszy była obowiązkowa. Mszę odprawiał na ogół nasz prefekt ksiądz Julian Chrościcki. On też przygotowywał mnie do pierwszej komunii. Z tego czasu zapamiętałem

makabryczną przygodę. Idąc do pierwszej spowiedzi, spisałem na kartce moje grzechy, ale kartkę zgubiłem i potem bałem się, że ją znajdą koledzy.

Są takie wspomnienia z dzieciństwa, które, choć nie do końca wyraźne, to na zawsze pozostają w pamięci...

Pamiętam, że bawię się na placu Saskim, czyli placu Piłsudskiego, przy murze wysokości półtora metra, ale dla mnie wysokim. Czyli że jestem mały. Ale kiedy to było? I gdzie? Przecież za mojej dorosłej pamięci na środku placu nie było żadnych murów. Przez długie lata nie umiałem tego miejsca zlokalizować, choć wspomnienie powracało raz po raz. W końcu upewniłem się, że mur był resztką fundamentów wielkiego soboru prawosławnego, czyli katedry św. Aleksandra Newskiego, która została rozebrana w latach 1924–1926, przy czym jej wielką sześćdziesięciometrową dzwonicę zburzono w roku moich narodzin.

Drugie takie wspomnienie, dziś bardzo dla mnie ważne, dotyczy pewnego konduktu pogrzebowego. Przez ulicę Bielańską często przeciągały ku Powązkom karawany. Konie spowite kirem, nierzadko ze srebrnymi czy złotymi zdobieniami na czarnych narzutach, karawaniarze z latarniami, kapłani idący przed karawanem, na którym stała trumna. Otóż pod koniec 1925 roku patrzyłem z okien naszego mieszkania na kondukt nadzwyczaj uroczysty, taki jakiego nigdy przedtem i długo potem nie widziałem. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. Jako dziecko rzadko stykałem się ze śmiercią. Nie było okazji. Rodzice młodzi. Ciotki i wujowie też. W wieku nie do umierania. Babka żyła w dobrym zdrowiu. Trudno się dziwić, że długi kondukt powoli kroczący przez Bielańską w stronę Powązek wbił mi się w pamięć. Później dowiedziałem się, że to był pogrzeb Stefana Żeromskiego.

Trzecie wspomnienie z dzieciństwa dotyczy 1926 roku. Wiosną, już po Wielkanocy, gdy robiło się ciepło, wyjeżdżałem z niańką na letniaki, do Józefowa czy Świdra, już nie pamiętam. Mama przyjeżdżała do mnie późniejszym popołudniem, zajmowała się mną, a raniutko, gdy jeszcze spałem, jechała kolejką do pracy w elektrowni, by wrócić po południu. W maju 1926 roku nastąpiły zaburzenia w tym cyklu. Mama przestała przyjeżdżać, a od strony Warszawy słychać było huk armat. To były tzw. wydarzenia majowe, o których, rzecz jasna, nie wiedziałem, ale pamiętam mój lęk. Moje pierwsze rozstanie z matką. Ważne wydarzenie w życiu każ-

dego dziecka. A oprócz tego nie mogłem zrozumieć, skąd biorą się te odgłosy, przypominające burzę z piorunami, grzmotami, skoro niebo jest czyste, bez chmur. Groźne huki, nie ma mamy i nie wiadomo, jak długo jej nie będzie. Tak to trwało przez kilka dni.

Pamiętam też czas, gdy zamieszkała u nas matka mojej matki, babcia Józefa. Babcia – zanim urodziła i wychowała pięcioro dzieci – była nauczycielką. Nie miała wyższych studiów, prawdopodobnie ukończyła jakieś kursy nauczycielskie po maturze, ale w zaborze rosyjskim w XIX wieku to był świetny zawód. To jej zawdzięczam pierwszy kontakt ze słowem drukowanym. U nas w domu nie było szczególnie dużo książek. Trochę klasyki, trochę albumów, trochę książek religijnych i poradników w rodzaju „Lekarz ratujący życie”, w którym były atlasy anatomiczne. Wśród albumów leżało wydanie *Pana Tadeusza* w bardzo dużym formacie, zielonej płóciennej oprawie ze złoceniami, ze sztychami Andriollego. Sztychy znane, reproduktowane do dziś w rozmaitych edycjach *Pana Tadeusza* otworzyły mi oczy na świat bajeczny, odległy od codziennego doświadczenia warszawskiego. Tekst był drukowany dużą czcionką, pewnie dla powiększenia objętości, ale dzięki temu bardziej czytelny. Zacząłem uczyć się czytać. Chciałem udowodnić babci, że już umiem i że sam, bez niczyjej pomocy... Podpisy pod ilustracjami wydrukowane pismem kaligraficznym były trudniejsze, słowa w wersach łatwiejsze. Tak więc przypadek sprawił, że choć miałem *Elementarz* Falskiego, to moją pierwszą książką był *Pan Tadeusz*.

Czego pan bał się w dzieciństwie? Czarownicy? Duchów? Komtura krzyżackiego?

Matka była rozumna i jak na swoje pokolenie dość oświecona, nie przychodziło jej do głowy straszenie mnie czarownicami. Nie, nie straszyla mnie. Ale niania, która była półanalfabatką ze wsi, doskonale wiedziała, co jest złe i co jest najgorsze. Była pobożna, prowadziła mnie więc do kościoła św. Antoniego na Senatorską, do Wizytek, niekiedy do Kapucynów na Miodową, bo tam były ciekawe szopki, czasami do skromnego wówczas kościoła garnizonowego na Długą. Byłem tak wychowywany, żeby się nie dać. Dziecko ruchliwe, wynalazcze i dosyć samodzielne. A to niekiedy niepokoiło nianię. Wtedy mówiła: – Jak będziesz niegrzeczny, to przyjdzie bolszewik i cię zabierze! Dla tej dziewczyny, która w 1920 roku miała kil-

kanaście lat, a wywodziła się z bardzo biednej wsi, bolszewik, strzelający, rabujący, gwałcący, był synonimem ostatecznego zagrożenia.

Trzydzieści kilka lat później, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, pracowałem przez krótki czas w tygodniku „Stolica”. Na przyjęciu świątecznym zorganizowanym w redakcji pojawił się dyrektor wydawnictwa, oczywiście członek jedynej słusznej partii, a gdy wszyscy nieco sobie podpiili, opowiedziałem o mojej niańce i straszeniu bolszewikiem. Obecni zamarli. Dyrektor Stanisław Błotnicki, zresztą Żyd uratowany w czasie okupacji przez chrześcijan, człowiek bardzo dla mnie życzliwy, obrócił wszystko w żart: – No, redaktorze, to musieliście być cholernie niegrzeczni, skoro...

Jak daleko sięgała pamięć pana rodziny?

Ojciec o tym mówił niechętnie, bo przecież wyrwał się ze swojej wsi. Zostawił ją za sobą, nie oglądał się, nie wspominał. Rodzina była biedna, ziemi mało, pięcioro dzieci, trzeba było dorabiać we dworze. Ojciec dzięki pomocy filantropów wyjechał do Warszawy. Pracował. Uczył się. To było życie pełne wyrzeczeń, wymagające uporów, stanowczości i odwagi. Jego cztery starsze siostry z czasem powychodziły za mąż. Byłem parę razy u dziadków we wsi Żary, pod Bożą Wolą, niedaleko od Warszawy, w trójce Warszawa – Sochaczew – Błonie. Prawie nic z tego nie pamiętam. Potem dziadkowie pomarli i kontakt się urwał. Ojciec, jak to się niekiedy zdarza, przylgął do rodziny żony.

Moja matka, z domu Zbiegniewska, była blisko spokrewniona z Izabellą Zbiegniewską, przełożoną pensji żeńskiej we Włocławku, emancypantką czy też sufrażystką. Historycy XIX wieku piszą o niej jako o osobie poglądów postępowych, antycarskich. Rosjanie odebrali jej prawo do kierowania szkołą w związku z patriotycznym zachowaniem jej uczennic w 1863 roku. Izabella Zbiegniewska serdecznie przyjaźniła się z Narcyzą Żmichowską. W trzymtomowym wydaniu listów Żmichowskiej pół tomu zajmują listy do pięknej Eli – Izabeli. To była przyjaźń kobiet dość samodzielnych, które jakoś tam obywateli się bez mężczyzn. Babka pisywała do „Bluszczu”, była autorką wydanego pod pseudonimem IZ *Słowniczka pseudonimów i kryptonimów polskich*, korespondowała z Teofilem Lenartowiczem. Gdyby żyła w innych czasach, to pewno byłaby polonistką, autorką rozpraw literackich. Tyle o inteligenckiej tradycji rodziny ojca mojej matki, czyli Mieczysława Eligiusza Zbiegniewskiego.

Dziadek Zbiegniewski pochodził z rodziny ziemiańskiej, ale to wcale nie znaczy, że był ziemianinem. Pracował na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Kolej w XIX wieku była instytucją postępową, niektórzy wszakże spoglądali na nią podejrzliwie, nawet z lękiem. Babcia opowiadała mi, że za czasów jej młodości, czyli w latach 1870–1880 uważano, że jazda pociągiem z prędkością 30 kilometrów na godzinę źle wpływa na płuca dziewcząt. Tak właśnie! Babcia śmiała się, bo przecież gdy mi to opowiadała w drugiej połowie lat dwudziestych XX wieku, trudno było sobie wyobrazić życie bez kolei.

Babcia wywodziła się z mieszczańskiej, kupieckiej rodziny Brodzkich, właścicieli sklepu kolonialnego najpierw na ulicy Elektoralnej, potem na Miodowej. Romuald Brodzki występuje w wykazie kupców chrześcijańskich w starych kalendarzach warszawskich. I ta rodzina po linii macierzystej była zasiedziała w Warszawie co najmniej od czasów Królestwa Kongresowego. Protoplaści mojej matki, poza tą dosyć znaną babcią emancypantką, nie byli sławni. Jakiś pradziadek pracujący w sądzie w Ostrołęce, jakiś dziadek notariusz. Żadne szczyty. Rodziny inteligentne, polskie, rozmaitych orientacji politycznych. Na przykład w linii dziadka notariusza była straszna ciocia endeczka, która paliła świeczki ku czci Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcy Narutowicza. Był też wujek Osterman, farmaceuta mieszkający w Odessie. Moja mama, jeszcze jako uczennica gimnazjum, spędziła u niego wakacje. To była wielka egzotyczna podróż, choć przecież nie wiązała się z przekraczaniem granicy. Kiedy wybuchła rewolucja, wujek Osterman natychmiast uciekł do Polski. Uciekł tak, jak stał. Wszystko zostawił w Odessie i w Warszawie przyszło mu klepać biedę.

Rodzina nie miała wspomnień heroicznych. Żadnych bohaterów powstań, żadnych uczestników walk. Dla mnie takim bohaterem stał się mąż ciotki Aliny, rodzonej siostry mojej mamy, Jan Dariusz Cygankiewicz. Pochodził z okolic Bochni. Jako młody chłopak poszedł do Legionów, był żołnierzem I Brygady, a po 1918 roku służył w Wojsku Polskim, gdzie doszedł do stopnia kapitana. Ciocia Alina poślubiła go w 1919 roku. Jak większość legionistów Cygankiewicz żył kultem Marszałka. Zamieszkał w Brześciu, w twierdzy. Moja kochana ciocia i jej mąż traktowali mnie niemal jak własne dziecko. Byli bezdzietni i w jakiejś mierze przenieśli na mnie uczucia rodzicielskie. Ponadto Jan Cygankiewicz był moim ojcem chrzestnym. Wujek, ojciec chrzestny i w dodatku w mundurze wojskowym...

...szabla, pistolet, oficerki, ostrogi...

Przyjeżdżał z Brześcia w pełnej gali na spotkania u Komendanta. Mieszkał u nas, był przecież w bardzo dobrych stosunkach z moimi rodzicami. Pamiętam, że pewnego wieczoru pochylał się nad moim łóżkiem, żeby mnie pogłaskać, a mama wtedy powiedziała, że jestem hałaśliwy, na co on: – Dobrze, niech sobie płuca wyrabia! Był moim obrońcą i sojusznikiem. No i mogłem bawić się jego orderami: prawdziwym *Virtuti Militari*, prawdziwym Krzyżem Walecznych. Kiedy już byłem w gimnazjum, pojechałem do wujka na wakacje, do Brześcia nad Bugiem. Życie w twierdzy było dla mnie dosyć egzotyczne, uporządkowane wedle regulaminów wojskowych. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie wujek pełni tam funkcje. Potem się okazało, że był zastępcą szefa samodzielnego referatu informacji DOK 9, czyli w Dowództwie Okręgu Korpusu na Polesie, był zastępcą szefa wywiadu i kontrwywiadu, głównie zajmującego się dywersją komunistyczną sowiecką, polską i białoruską. Miał pewnie sporo roboty, bo ruch komunistyczny był na tym terenie dosyć silny, silniejszy nawet niż na Nowogródczyźnie. Przełożonym i przyjacielem wujka był major Malek, który po wojnie służył w Ludowym Wojsku Polskim i został aresztowany w związku z tzw. sprawą Tatarską. Na początku lat trzydziestych w wojsku doszło do weryfikacji, to było chyba jeszcze przed śmiercią Marszałka. Wuj przeszedł w stan spoczynku. Mówiło się, bardzo ogólnikowo, że wykonuje jakieś odpowiedzialne zadania. Otrzymał służbowe mieszkanie w Warszawie, na ulicy Nowowiejskiej. Często tam bywałem, po kilka razy w tygodniu, bo u wujka mogłem sobie czytać „Polską Zbrojną” i „Gazetę Polską”, zdobyć dodatkową wiedzę. A i ciotka chętnie ze mną rozmawiała. O wszystkim, nawet o panienkach. Była osobą trochę samotną, bo wuj działał w Gdańsku, w komendzie Straży Granicznej, a więc w polskim wywiadzie na terenie Wolnego Miasta.

Zdaje się, że szkoła odegrała w pana życiu bardzo ważną rolę.

To prawda. Stało się tak z bardzo prostych powodów. Byłem jedynakiem. Byłem sam. Nie narzekam, ale to fakt. Ojciec zapracowany, dziś mówi się o takich ludziach, że są pracoholikami, zajmował się mną niewiele. Miał rzeczowe, chłopskie podejście do sprawy: skoro nic mi nie brak, mam co jeść, mam w co się ubrać, rozwijam się normalnie, to wszystko jest w porządku. Co nie znaczy, że nie dbał o moją postawę. Spo-

ro zawdzięczam jego radom, były mądre, wysnute z głębokiego doświadczenia życiowego. Kiedy miałem dziesięć lat, rodzice zaczęli mi dawać kieszonkowe, po parę złotych, a to wcale nie było mało. Ojciec powiedział: – Możesz wydać, na co chcesz, ale zapisuj, ile poszło na książki, ile na lody, ile na cukierki, ile na kino. Zapisuj, żeby wiedzieć, jakie są proporcje wydatków. Nie musisz mi przedstawiać sprawozdania. Ale będę pytał. Wystarczy, że mi powiesz, bo wierzę ci. To była, można powiedzieć, nauka rozsądnego gospodarowania.

Z kolei porada organizacyjna czy, jak się potem miało okazać, porada organizacyjno-polityczna brzmiała tak: – Synku, nie kłam, bo kto kłamie, to może ukraść, a kto ukradnie, to może i zabić. Nie kłam, choć nie musisz mówić wszystkiego wszystkim. A przede wszystkim nigdy i niczego lekkomyślnie nie podpisuj. Zanim coś podpiszesz, zastanów się, nie raz, ale wiele razy, poradź się mnie albo mamy, albo nauczyciela w szkole się poradź, ale nie podpisuj niczego lekkomyślnie. Zdarza się, że ktoś podpisuje, myśląc, że złożył podpis na czystej kartce, a tymczasem podpisał wksel, który musi spłacać do końca życia. I wiele, wiele lat potem przypominałem sobie: A co ci tata mówił? Nie podpisuj! Nie podpisuj bez rozważenia możliwych skutków!

Wreszcie były rady polityczno-moralne. W mojej rodzinie panowała atmosfera szacunku dla innych. Nie było uprzedzeń narodowych, wyznaniowych czy majątkowych. Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, na ulicach zaczęły się awantury antyżydowskie, sporo o tym mówiono i pisano, rozmaito mówiono i pisano. Ojciec na to: – To są głupoty! Niech będzie Żyd, niech będzie Turek, byle był wypłacalny, byle był rzetelny. Jediną miarą człowieka jest jego uczciwość. Inne spojrzenie na te sprawy uznawał za niepoważne. Za odchylenie od normy.

Na kogo rodzice głosowali w wyborach?

Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ojciec był państwowcem. Prawdziwym państwowcem. Pracownik Banku Polskiego – a więc centrum polskiego pieniądza. Wprowadzał złotego. Rósł z bankiem. Rósł z państwem. I był z tego dumny. W domu słyszałem o nowych inwestycjach, o rozwijających się kolejach państwowych, o potędze Poczty Polskiej. Mówiono o sukcesie Gdyni. Pojechaliśmy tam. Miałem wtedy dwanaście lat. To było niezwykle. Zupełnie nowe miasto. Nowoczesne domy, urzędy, port, no i oczywi-

ście budynek Banku Polskiego. Podejmowali nas bankowcy, koledzy ojca. Pamiętam, że mówili: To nasze dzieło! Byli dumni z sukcesu. I ja też byłem dumny, chodząc po Gdyni albo oglądając album *Dziesięciolecie Polski niepodległej 1918–1928* czy albumy z Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu.

O tym, że będę uczył się w prywatnym gimnazjum katolickim, zdecydowała moja mama. Szkoła uchodziła za jedną z lepszych w Warszawie. Jej dyrektorem był ksiądz, ale poza nim i, rzecz jasna, prefektem, uczyli nauczyciele świeccy, ludzie najwyższych kwalifikacji. Łaciny uczył Jerzy Manteuffel, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego (brat historyka – Tadeusza i Leona – kardiochirurga). Geografię i biologię wykladał dr Stanisław Sumiński, wybitny przyrodnik, przyjaciel Jana Żabińskiego, poważny działacz Funduszu Obrony Morskiej. Jego syn Michał Sumiński odziedziczył po nim zamiłowanie do zwierzątek, był doskonałym popularyzatorem, ale to już następna generacja. Stanisław Sumiński zginął w obozie na Majdanku w 1943 roku. I tam, na Majdanku, zginął również dyrektor naszej szkoły ksiądz Roman Archutowski, znany historyk Kościoła. W 1940 roku został rektorem Seminarium Duchownego w Warszawie. Aresztowany przez gestapo, poniżany, torturowany, w końcu wysłany do Majdanka, zmarł w Niedzielę Palmową 1943 roku. W 1999 roku został beatyfikowany przez Jana Pawła II na placu Piłsudskiego w Warszawie. No i na starość dowiedziałem się, że mój dyro, którego dobrze znałem i szanowałem, został zaliczony do grona osób błogosławionych.

Nauczycielem niemieckiego był doktor germanistyki, wiceprezes Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, Tadeusz Mikułowski. Narodowy demokrat, a więc programowo podejrzliwy wobec Niemców, był wybitnym znawcą kultury niemieckiej. Tam panował hitleryzm, on zaś – na przekór – uczył nas wierszy Heinricha Heinego, w Niemczech zakazanego. Dał mi mocne podstawy niemieczyny. Tak mocne, że potem Niemcy dziwili się, skąd tyle wiem o ich języku i kulturze. Tadeusz Mikułowski został rozstrzelany jako „polski podczłowiek” w 1944 roku, w masowej egzekucji w ruinach getta, obok Pawiaka.

Historii uczył nas dr Tadeusz Bornholtz, autor podręczników dla gimnazjów i liceów. Był piłsudczykiem. W czasie wojny służył w Drugim Korpusie, potem był dyrektorem polskiego gimnazjum w Szkocji, zmarł w 1966 roku. Matematykę wykladał adiunkt Politechniki, wybitny działacz

harcerski Witold Sosnowski. Spotkałem go później w obozie w Oświęcimiu.

Więc tak: byłem uczony przez narodowego demokratę i przez pilsudczyka, i jeśli dzieliły ich różnice światopoglądowe, polityczne, a dzieliły, to łączył wysoki etos wychowawczy, chęć właściwego ukształtowania młodych ludzi w duchu, przede wszystkim, obywatelskim. I katolickim, rzecz jasna, bo do szkoły przyjmowano wyłącznie katolików – z rozmaitych zresztą środowisk. Byli więc synowie rodzin ziemiańskich i mieszczańskich, w tym rodzin konwertytów bardzo dbałych o wychowanie katolickie. Byli chłopcy z ubogich rodzin rzemieślniczych, choćby Wacek Bojarski, syn właściciela warsztatu rymarskiego na ulicy Bednarskiej, późniejszy redaktor „Sztuki i Narodu”. W szkole panowała atmosfera społecznikowska. Ubożsi uczniowie otrzymywali stypendia.

W 1937 roku, po uzyskaniu tzw. małej matury, przenieśliem się do liceum Towarzystwa Wychowawczo-Oświatowego „Przyszłość” przy ulicy Śniadeckich 17. Było tam dwóch dyrektorów: dr Teodozy Radzikowski, historyk, katolik, bardzo konserwatywny, który później, w czasie wojny, wstąpił do zakonu paulinów, i dr Aleksander Szymankiewicz, polonista, pilsudczyk, a obok nich grupa nauczycieli najwyższych kwalifikacji. Elita nauczycielstwa warszawskiego. Powiedziałbym, że zostałem obdarowany dwiema łaskami. Pierwszą było to, że urodziłem się w niepodległej Polsce. Drugą – że byłem kształcony przez pedagogów z prawdziwego zdarzenia.

To byli ludzie naprawdę interesujący się życiem uczniów, ich rozwojem intelektualnym. Mądrzy i wrażliwi. Kiedy dyrektor ksiądz Archutowski dowiedział się, że jestem miłośnikiem twórczości Bolesława Prusa, kupił mi pełne wydanie dzieł pisarza, dwadzieścia sześć tomów. Spory wydatek, który spłacałem co miesiąc z kieszonkowego. Taką zawarliśmy umowę, dzięki której mogłem nauczyć się czegoś więcej... Z geografii i przedmiotów humanistycznych miałem bardzo dobre oceny, natomiast z fizyki, a już szczególnie z matematyki było słabo. Nawet bardzo słabo. W 1940 roku w Oświęcimiu, chyba w listopadzie, ciągnąłem w błocie, wraz z innymi więźniami, ciężki walec drogowy. Nieopodal widzę mojego nauczyciela matematyki Witolda Sosnowskiego. Wychudzony, wyniszczony. Nie przeżył zresztą Oświęcimia: zmarł w 1941 roku. Ogłoszono przerwę. Tuliłem się do siebie, bo straszny chłód, nacieramy sobie plecy, zabijamy ręce,

a on nagle pyta: – Powiedz, czy ty nie mogłeś się tej matematyki nauczyć, czy nie chciałeś? Pedagog, który stojąc na krawędzi życia, śmiertelnie zagrożony, myśli z troską o swoim uczniu! Tak, ja moim szkołom zawdzięczam bardzo dużo.

Dobrzy nauczyciele. Dobre szkoły. Było takich sporo w całej Polsce. I niczym nie ustępowały szkołom w innych państwach europejskich. Mogłem się o tym upewnić, rozmawiając po latach z rówieśnikami z Niemiec, Anglii czy Francji. W roku akademickim 1982/83 byłem stypendystą w Berlinie Zachodnim. Poznałem wówczas nadburmistrza Berlina Richarda von Weizsäckera, przyszłego prezydenta Republiki Federalnej. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, ważnych i mniej ważnych, w końcu o młodości, o szkołach, wykształceniu. On zdawał egzamin maturalny w 1938 roku, ja rok później. Z tym jednak, że von Weizsäcker wywodził się z uprzywilejowanego środowiska, z arystokracji, z domu, w którym z pokolenia na pokolenie dziedziczono piękne księgozbiory, ja zaś pochodzę ze skromnej rodziny. Opowiedziałem o programie literatury niemieckiej w mojej szkole. On na to: ...to wcale nie mniej niż u nas. A naprawdę zdziwił się, kiedy zacząłem recytować fragment średniowiecznego tekstu w staroniemieckim. – No tak, pamiętam! – mówi. A ja na to: – Ale mnie tego uczono w polskim gimnazjum!

O szkołach w dwudziestoleciu międzywojennym miałem też ciekawą rozmowę z Janem Pawłem II. To było w Watykanie, w listopadzie 1995 roku. Był jeszcze w dobrej formie fizycznej. Rozmowa w cztery oczy, bardzo sympatyczna, trochę o polityce, trochę też o sprawach prywatnych, bo znaliśmy się z Krakowa. Zeszło na szkoły. Na zalety przedwojennych gimnazjów. Powiedziałem: – Ojciec święty chodził do gimnazjum państwowe, ja chodziłem do katolickiego. Papież uśmiechnął się: – A widzi pan, to ja miałem więcej do nadrobienia.

Skończyłem liceum w maju 1939 roku. Należałem do pierwszego i zarazem ostatniego rocznika, który uczył się w zreformowanym systemie. Moi o rok młodszy koledzy z tej samej szkoły, Janusz Warmiński (Lewandowski), później dyrektor teatru „Ateneum”, Andrzej Grzegorzczak, filozof, czy Jerzy Krasnowolski, publicysta i tłumacz, zdawali egzaminy już na kompletach konspiracyjnych. Tego dnia co ja pracę maturalną we Lwowie pisał Stanisław Lem, w Łodzi – Andrzej Braun i Karl Dedecius. W całej Polsce były te same tematy. O przeciekach jakoś nie było słyhać. Wybra-

lem temat „Idea miłości ojczyzny w poezji Adama Mickiewicza”, Dede-
cius mówił mi po latach, że pisał o Żeromskim.

Jak pan, absolwent szkoły katolickiej, usytuowałby się na ówczesnej polskiej mapie politycznej?

W szkole nie było ani Legionu Młodych, ani Straży Przedniej. Działał Związek Harcerstwa Polskiego, do którego nie należałem. Niektórzy moi koledzy, ich nazwiska przemilczę, związali się z tajnymi grupami Obozu Narodowo-Radykalnego. Ja należę do gatunku ludzi notorycznie unikających zrzeszania się. Natomiast dzięki udziałowi w kółku zainteresowań w liceum, prowadzonym przez księdza prefekta Józefa Burakowskiego, dowiedziałem się o społecznej nauce Kościoła, o encyklikach Piusa XI – *Mit brennender Sorge*, która potępiała nazizm, i *Divini redemptoris*, która potępiała komunizm. Oczywiście uczestniczyłem w lekcjach wychowania obywatelskiego, które prowadził nauczyciel historii. Myślę, że poglądy polityczne wyносиło się z domu. A to często było związane z wyborem tradycji kulturalnej. Jeden sięgał po Struga, drugi po Żeromskiego, trzeci po Sienkiewicza, czwarty po Prusa.

Był pan żeromszczykiem?

Nie. Wstyd się przyznać, ale twórczością Żeromskiego zainteresowałem się poważniej dopiero po wojnie, kiedy poznałem Monikę Żeromską. Czytałem, rzecz jasna, *Wierną rzekę*, *Wiatr od morza*, *Echa leśne*, czyli Żeromski był dla mnie raczej niepodległościowo-romantyczny niż rewolucyjno-niepodległościowy, w jakiś dziwny sposób bliski Orzeszkowej czy nawet Sienkiewiczowi. Moim ulubionym pisarzem był Bolesław Prus, autor *Lalki* i *Faraona*, wielkiej powieści o mechanizmach władzy. *Lalkę* przeczytałem wcześniej, zanim zaczęliśmy ją przerabiać w szkole. Chodziłem z książką w rękę, by sprawdzić, gdzie mieszkał Rzecki, co widział z okna, gdzie był sklep Wokulskiego, jak biegną wąskie uliczki Powiśla. No i sam Wokulski! Pozytywista-romantyk z powstańczą skazą. Bo dla mnie powstanie styczniowe było jednym z najpiękniejszych rozdziałów historii Polski i nauczyciele o poglądach endeckich, więc programowo niechętni powstaniu, nic na to nie mogli poradzić. Widziałem jasno linię prowadzącą od powstania styczniowego przez Legiony – po 1920 rok, kiedy nuncjusz Achilles Ratti co dzień odprawiał mszę w kościele św. Aleksandra na placu Trzech Krzy-

ży, potem zaś spotykał się z Piłsudskim, którego rozumiał i cenil. Ratti jako jeden z dwóch dyplomatów (obok przedstawiciela Turcji) nie opuścił Warszawy zagrożonej przez bolszewików, a jako papież Pius XI zawiesił w Watykanie obraz „częstochowski”. To było dla mnie ważne.

W czasie wojny znalazłem się w kręgu Zofii Kossak, której niektórzy przypisują endeckość, co świadczy o słabej znajomości ówczesnych realiów. Była żoną oficera II Oddziału, piłsudczyka, członkinią zarządu Rodziny Wojskowej, publikowała w „Gazecie Polskiej”, a tam dla osób związanych z Narodową Demokracją nie było miejsca. Z domu – a była córką bliźniaczego brata Wojciecha Kossaka, syna Juliusza – wyniosła antybolszewizm, co można zrozumieć w związku z tym, co działo się na Wołyniu, gdzie Szczuccy (pierwszy mąż Zofii Kossak) mieli majątek. Ale z antybolszewizmu wcale nie musi wynikać nacjonalizm czy antysemityzm. Była ortodoksyjną katoliczką i posługiwała się językiem czy też specyficznym sposobem myślenia ówczesnej ortodoksji. Pisała, na przykład, że dręczenie kobiet Polek i Żydówek na placu apelowym w Oświęcimiu, nędza, głód, bicie, jest sprawiedliwą karą bożą za malowanie ust i noszenie jedwabnych pończoch. To wynikało z jej stosunku do Boga. Zresztą, niejeden rabin mówił tak samo. Szczególny sposób widzenia, który nie pokrywa się z moim. Ale przypomnę, że ta sama Zofia Kossak umiała w konspiracyjnej broszurze *Jesteś katolikiem... Jakim?* napisać o postawie nierzadko występującej wśród wiernych: „Dewotka. Trzy czwarte czasu spędza w kościele, odmawia coraz nowe nowenny, niezliczone dziesiątki różańca. Uważa się za doskonałość nieskończenie wyższą od wszystkich, którzy postępują inaczej”.

Zatrzymajmy się przy pańskich lekturach.

Byłem pożeraczem książek, entuzjastycznym i trochę chaotycznym. Lekturom poświęcałem cały wolny czas, rezygnując ze spotkań z kolegami, sportu, turystyki. No, może w czasie wakacji czytałem mniej, ale w ogóle to trudno było mi sobie wyobrazić dzień bez książki. Czytałem, co chciałem. Pisma wszystkie Moliere. Dzieła Fredry, z których część chyba nigdy nie była wystawiana. Lubilem dla zabawy czytać równolegle Makuszyńskiego i Struga, Żeromskiego i Jeske-Choińskiego, Kraszewskiego i Gąsiorowskiego – w dzikim pomieszaniu hierarchii artystycznej i literackiej. Chętnie czytałem Rodziewiczównę. Nigdy nie uważałem za nudną

prozy Orzeszkowej, chociaż takie było ogólne mniemanie moich rówieśników. W dodatku czytałem te książki, wyprzedzając program szkolny o dwa lub trzy lata, więc cenili mnie poloniści, uważali za przodującego ucznia. Ciekaw świata, ciekaw geografii, kultury sięgałem po Waltera Scotta, w latach zaś licealnych prawie równocześnie po Balzaca i Zolę. Był oczywiście Jack London. I Aleksander Dumas z *Trzema muszkieterami*. W wieku dwunastu lat nałogowo zaczytywałem się tomikami Karola Maya, w nie najlepszych przekładach. Było tego kilkadziesiąt tomów, bo i seria bliskowschodnia i indiańsko-westernowa, z Winnetou i Old Shatterhandem. Nie trafiała do mnie twórczość Norwida i Krasińskiego, może dlatego, że nauczyciele nie potrafili mnie zainteresować *Irydionem* czy *Nie-boską komedią*, z zainteresowaniem natomiast przeczytałem dramaty Wyspiańskiego w wydaniu Biblioteki Polskiej oraz utwory Dygasińskiego i Kaczkowskiego.

Ulubione dzienniki i tygodniki?

Miałem dość rozległy dostęp do prasy. „Kurier Warszawski”, „Wieczór Warszawy”, „Wieczór Warszawski”, prawicowy „Goniec Warszawski”, „Polska Zbrojna”, „Robotnik”. Szeroki wachlarz, bo od socjaldemokracji do endecji. Czytywałem „Przewodnik Katolicki” prenumerowany przez matkę. Znałem również bardzo tani, bo za pięć groszy, „Mały Dziennik” wydawany przez franciszkanów. Była to gazeta reprezentująca taki mniej więcej kierunek, jaki dziś reprezentują niektóre media toruńskie. Dosyć wcześnie zacząłem czytać „Wiadomości Literackie”. Mama pożyczała je od swej przyjaciółki Haliny Medresówny, córki inżyniera Medresa, dyrektora technicznego elektrowni. Bywaliśmy u nich, a oni u nas. Halina Medresówna zginęła wraz z częścią swej rodziny w Treblince. Stary inżynier umarł na czas, bo przed wojną, uniknął strasznego losu swych najbliższych. Wojnę przeżyła Elżunia Medresówna, dziś Szulkinowa, którą poznałem, gdy była studentką, ja zaś uczniem gimnazjum. Jest profesorem biologii. Mieszka w Szwecji. Nie znałem tylko sławnego członka rodziny, brata obu pań Medresówien, późniejszego Wiktora Grosza.

Generała, ambasadora, redaktora Grosza?

Działacza komunistycznego przed wojną i po wojnie, zaangażowanego – i to chyba z głębokiego przekonania. Bo rodzina nie miała z tym nic wspólnego. Zasymilowani polscy inteligenci o umiarkowanych poglądach.

Czytałem również, choć nieregularnie „Pion”, kupowany przez wuja, piłsudczyka. W latach 1938–1939 sięgałem po głośny w kołach młodzieżowych endecki, oeneryzujący tygodnik literacki „Prosto z mostu”, redagowany przez Stanisława Piaseckiego, w którym do czołowych autorów należeli Jerzy Pietrkiewicz, Jerzy Waldorff, Konstanty Ildefons Gałczyński, Wojciech Wasiutyński. Lektura tych gazet i książek nie miała jednak zasadniczego wpływu na kształtowanie się mego światopoglądu. Interesowała mnie nauka społeczna Kościoła. Sięgałem więc po kwartalnik „Verbum”. Od kolegów dostawałem pisma katolickie o orientacji mocno prawicowej, na przykład „Pro Christo” redagowane przez księdza Jerzego Pawskiego, który żądał „aryzacji” Kościoła, czyli chciał, żeby Kościół z powszechnego przeobraził się w Kościół „tylko dla Polaków”. Jako szesnastolatek zacząłem czytać poważne jezuickie pisma „Przegląd Powszechny” oraz „Wiarę i Życie”, których treść dzisiaj mogłaby może budzić pewne wątpliwości, ale wówczas to był głos katolickich elit. Myślałem o przyszłości, chciałem, jak każdy młody człowiek, poprawiać świat, ale moje poszukiwania zostały przerwane przez wybuch wojny.

Podobno chciał pan wstąpić do Towarzystwa Jezusowego?

Tak, tuż przed maturą. Jako absolwent liceum powinienem był spełnić obowiązek wojskowy, czyli rozpocząć roczną służbę w Szkole Podchorążych Rezerwy. Z drugiej jednak strony przepisy głosiły, że ten obowiązek spoczywa na mężczyznach, którzy mają ukończone 18 lat. Ja byłem o rok młodszy, więc w ogóle nie było pewne, czy mnie wezmą do wojska, czy też odroczyć odbywanie służby. I co robić? Czym się zająć? Od dłuższego czasu marzyłem o tym, żeby zostać pisarzem albo dziennikarzem. Takie trochę dziecinne marzenia. Kiedy miałem siedem czy osiem lat, przyjaciółka matki zapytała: – Kim ty chcesz być Władeczkuz? Ja zaś, miast odpowiedzieć, że strażakiem albo żołnierzem, oznajmiłem, że chcę być mężem córki Gebethnera i Wolffa.

Ambitny zamiar.

Gebethner i Wolff mieli wspaniałe wydawnictwo książkowe. Ich firma prowadziła księgarnie w całym kraju. Jak tam się dostać? Najprościej przez małżeństwo! No i w ten sposób stworzyłem wirtualną córkę Gebethnera i Wolffa, z którą planowałem się ożenić. Później, w okresie poprzedzają-

cym maturę, zacząłem interesować się życiem intelektualnym Kościoła, działalnością jego elit umysłowych. Tak się złożyło, że przez pewien czas mieszkałem przy Asfaltowej, nieopodal zbudowanego ledwie co domu ojców jezuitów i kaplicy św. Andrzeja Boboli u wylotu Rakowieckiej. W 1938 roku śmiertelne szczątki świętego, relikwie, zostały sprowadzone z Rzymu do Warszawy. Sfery zarówno kościelne, jak i państwowe nadały temu wydarzeniu spory rozgłos. Historycznie rzecz ujmując, szło o krwawe konflikty religijne i narodowościowe w drugiej połowie XVII wieku, o spór między katolicyzmem a prawosławiem, ale męczeńska śmierć Andrzeja Boboli została potraktowana jako symbol współczesnych zagrożeń ze wschodu. Prasa, także niekatolicka, zwracała uwagę na budowę kaplicy i jej otwarcie. Chodziłem tam często, by wysłuchać kazań czy też raczej referatów ojca Edwarda Kosibowicza i pod ich wpływem doszedłem do wniosku, że zakon jezuitów jest takim miejscem, w którym będę umiał pogodzić powołanie z pracą pisarza, mówcy, dziennikarza. Podzieliłem się tą myślą z księdzem Burakowskim. Prefekt napisał opinię, którą (w zaklejonej kopercie) zaniósłem do ojca Kosibowicza. Przyjął mnie herbatą, uważnie wysłuchał. To działo się po 28 kwietnia 1939 roku, po pamiętnej mowie Hitlera zrywającej jednostronnie pakt o nieagresji, i chyba też po mowie ministra Becka, a więc w atmosferze ogólnego napięcia politycznego, przynajmniej wśród ludzi myślących. Ojciec Kosibowicz potraktował mnie jak dorosłego człowieka, ja zaś poczułem się zaszczycony, gdy powiedział: – Masz siedemnaście lat. Idź do wojska, spełnij swój obowiązek. My tę wojnę wygramy. Pobijemy Hitlera. A jak wojna się skończy, za rok, przyjdź do mnie, a ja cię przyjmę z otwartymi rękami. Czyli, najpierw spełnij obowiązek, poznaj dorosłe życie – i wtedy poważnie zastanów się nad decyzją. Mądra rada.

Ponownie spotkałem ojca Kosibowicza w 1943 roku, gdy oprócz służby w Armii Krajowej byłem kimś w rodzaju osobistego sekretarza Zofii Kossak, współzałożycielki katolickiego Frontu Odrodzenia Polski i Komitetu Pomocy Żydom. Któregoś dnia poprosiła mnie, bym jej towarzyszył w ważnej rozmowie u ojców jezuitów. Dodała, że spotkamy się ze sławnym kaznodzieją. Jak się wkrótce okazało, ojciec Kosibowicz znał Zofię Kossak jeszcze sprzed wojny, cenil jako wybitną pisarkę katolicką. Był uradowany spotkaniem. Potem spojrzal na mnie: – My przecież się znamy... Przytaknąłem. A on na to: – Miałeś do mnie przyjść... Zmieniłeś zamiar?

...Ale skoro jesteś tu z panią Zofią, to widocznie idziesz słuszną drogą... Zacząłem tłumaczyć, że w 1940 roku byłem w Oświęcimiu. – Aha, to ty jesteś z tych, co wyszli! Dziękuj Bogu! Rozmowa, którą prowadził z Zofią Kossak, trwała przynajmniej godzinę, dotyczyła zaś działań generała Sikorskiego i oceny stosunków między podziemnymi organizacjami katolickimi różnych orientacji politycznych, prawicowych i nieprawicowych. Słuchałem tego z zaciekawieniem.

W pierwszym tygodniu Powstania Warszawskiego dotarły do mnie ogólne informacje o rzezi u ojców jezuitów. Z czasem dowiedziałem się o szczegółach. Otóż w podziemiach świątyni przy Rakowieckiej znaleźli schronienie mieszkańcy okolicznych domów. Drugiego sierpnia wkroczyli tam Niemcy. Ojciec Kosibowicz podszedł do dowodzącego akcją oficera SS i zaczął go przekonywać płynną niemiecką, że na terenie ojców jezuitów są tylko cywile, że nie ma broni... Wedle opowieści naocznych świadków oficer bardzo grzecznie zaprosił Kosibowicza na przechadzkę. Przeszli na drugą stronę ulicy, i wtedy oficer strzelił swemu rozmówcy w głowę. Tak się zakończył dialog niemieckiego oficera z doktorem teologii Edwardem Kosibowiczem, jezuitą, który zginął, próbując ratować innych ludzi, czyli w moim rozumieniu stał się męczennikiem, a na pewno jest postacią z kręgu Kościoła, o której warto pamiętać, gdy myśli się o losach wojennej Warszawy.

Naturalnym porządkiem rzeczy po maturze przychodzą pierwsze dorosłe wakacje...

W połowie lipca pojechałem na czterotygodniowy obóz Junackich Hufców Pracy. To była służba obowiązkowa, wieńcząca szkolny kurs przysposobienia wojskowego, a jednocześnie nauka współdziałania obywatelskiego. W Hufcach służyli junacy zawodowi, niemający wykształcenia średniego, kandydaci do szkół podoficerskich oraz junacy z poboru, tacy jak ja, którzy mieli być następnie skierowani do szkół podchorążych rezerwy. Przeszedłem już wtedy przez komisję poborową, wkładając sporo wysiłku, by otrzymać kategorię A, innej mieć nie wypadało, bo wstyd. Byłem krótkowzroczny. Bardziej niż dziś. W sklepie u optyka nauczyłem się więc na pamięć liter i cyfr z tablicy testowej. Badanie odbywało się w Szpitalu Ujazdowskim. Młody lekarz, podporucznik czy porucznik, szybko się zorientował, że go oszukuję. – Zależy wam, żeby pójść do wojska? – Tak! –

No, dobrze, nie będę wam robił trudności. I tak się stało. Poborowi z takim wzrokiem jak mój otrzymywali kategorię C, co znaczyło, że w przypadku wojny będą służyć w formacjach pomocniczych, ale ja chciałem pójść do szkoły podchorążych.

Otrzymałem przydział na turnus zaczynający się w połowie lipca. Miałem szczęście. Następny bowiem turnus zaczynał się w połowie sierpnia i miał trwać do połowy września. Wybuchła wojna. Junacy odbywający służbę na wschód od Bugu i Sanu byli traktowani przez Armię Czerwoną jak żołnierze. Byli umundurowani, choć bez broni. No, może niektórzy mieli ćwiczebne mannlichery. Wzięci do niewoli, trafili do obozów na terenie ZSRR. Wielu nie przeżyło.

Nasz obóz znajdował się we wsi Góry koło Dąbia nad Nerem. Muszę przyznać, że to było ciekawe doświadczenie: Polska w przekroju. Po raz pierwszy w życiu spotkałem chłopców ze wsi, z małych miast, którzy nie mieli wykształcenia i nie aspirowali do zawodów inteligenckich. Byli od nas sprawniejsi, lepiej przystosowani do pracy fizycznej, zdarzało się więc, że spoglądali na wielkemiejskie niedojdy z pewnym lekceważeniem. Spotkałem Białorusinów, których ambicją było ukończenie szkół podoficerskich, bo zawodowy plutonowy czy sierżant cieszył się wtedy szacunkiem. Spotkałem Niemców, obywateli polskich. Z nimi były pewne trudności. Emocje antyniemieckie były silne, dochodziło do konfliktów. Spotkałem też chłopców z wybitnych polskich rodzin. Na przykład Barciszewskiego, syna polskiego prezydenta Bydgoszczy, który parę tygodni po zakończeniu turnusu został wraz z ojcem rozstrzelany przez Niemców.

Wróciłem do Warszawy w połowie sierpnia, by wyjechać z mamą na krótki urlop do plebanii pod Płockiem. 27 sierpnia władze Warszawy odwołały pracowników miejskich z urlopów. Trzeba było wracać. A po miesiącu dowiedziałem się, że Niemcy zamordowali proboszcza, który tak niedawno nas gościł.

Przed wyjazdem na obóz smakowałem dorosłe życie. Chodziłem z kolegami do kawiarni, cukierni... Do Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim. Ten teatr spłonął we wrześniu 1939 roku. Do Teatru Polskiego i Narodowego. Obejrzałem *Genewę* Shawa. I do Operetki – w poczuciu dojrzałości, bo wtedy nie było w zwyczaju, żeby uczniowie w mundurkach szkolnych oglądali frywolne przedstawienia. A potem wszystko się zawałilo.

Dziś, mając osiemdziesiąt pięć lat, zadaję sobie pytanie: ile lat żyłem w wolnej i niepodległej Polsce? Policzmy! Niewiele ponad siedemnaście lat przed wojną i prawie siedemnaście lat po 1989 roku. Między jednym i drugim pięć lat wojny i okupacji, potem zaś dziesięciolecie jakiejś autonomii, jakiegoś Królestwa Kongresowego... Wynika z tego, że jednak większość życia spędziłem w państwie niesuwerennym, zależnym.

2. WRZESIEŃ 1939

CAŁY WYSIŁEK. TRUD I STRACH NA NIC. WAŻNE DOŚWIADCZENIE ŻYCIOWE. PRZECIEŻ BYŁEM NORMALNYM SIEDEMNASTOLETNIM CHŁOPCEM, NIGDY PRZEDTEM NIE WIDZIAŁEM ZABITYCH LUDZI, NIE WIDZIAŁEM TAK OKRUTNIE PORANIONYCH CIAŁ!

„Hasło *Silni, zwarci, gotowi* [...] odpowiadało rzeczywiście duchowi chwili. Nie zdarzyło się bowiem nigdy w dziejach Polski, a może i całego zachodniego świata, by wola narodu tak solidarnie i tak gorąco zdecydowana była na przyjęcie wojny [...]. Zapał narodu utwierdził kierowników państwa w mniemaniu, iż przyjmując wojnę postępują słusznie, nie tylko gdy chodzi o ocenę powszechnej woli, lecz także o przewidywania, co przyniesie Polsce przebieg wojny [...]. Można by więc powiedzieć, że wola narodu była główną przyczyną błędu w ocenie sił popełnionego przez kierownicze czynniki państwowe. Jednak i one uczyniły niejedno, aby wprowadzić w błąd masę”. To jest cytat z poprzedzonej Pana wstępem edycji *Czasów wojny* Ferdynanda Goetla, przed wojną prezesa polskiego Pen Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich. Czy pan podzielał pewność, że Polska w krótkim czasie wygra wojnę z hitlerowskimi Niemcami?

Podzielałem ją w pełni, tak jak wszyscy moi koledzy. Uważaliśmy, że ta wojna zostanie szybko wygrana. Oni nam grożą, krzyczą, prowokują, ale jeśli ośmielą się napaść, to na pewno przegrają. Nastrój był optymistyczny, tym bardziej że nikt nie przewidywał możliwości powstania aliansu między Niemcami i ZSRR. Jeśli dojdzie do wojny, to ją wygramy. Dlaczego? Między innymi dlatego, że mamy rację. Uważaliśmy, że racja jest bardzo ważnym argumentem. Tyle, jeśli mowa o moich poglądach i poglądach moich rówieśników.

Myślę, że podobnie było w środowisku moich rodziców. Ojciec był już wtedy na stanowisku naczelnika w Banku Polskim i niewątpliwie wiedział coś o wojennym planie ewakuacji skarbcza w razie zagrożenia stolicy. Ale pamiętajmy, że takie plany nie są tworzone z dnia na dzień, w obliczu wojny. Powstają w czasie pokoju w każdym państwie. Nie sądzę więc, aby w sierpniu 1939 roku ojciec dopuszczał do siebie myśl, że Warszawa będzie zagrożona. A pracował wśród ludzi wykształconych, świetnie poinformowanych, wiedzących, co w świecie się dzieje, zawodowo zajmujących się przewidywaniem rozwoju sytuacji. Nie miał też wątpliwości wujek legionista związany z wywiadem. W ogóle dominowało naiwne poczucie, że mając rację i entuzjazm, szybkim marszem dojdziemy do Berlina. Proszę popatrzeć na kolejne wydania „Robotnika”, organu Polskiej Partii Socjalistycznej, na wypowiedzi Mieczysława Niedziałkowskiego, Zygmunta Zaremby i innych działaczy tej partii. Przecież socjalistyczne demonstracje 1-majowe w 1939 roku zostały przekształcone w manifestacje solidarności z rządem i wojskiem – w obliczu niemieckiej agresji. Z kolei skrzydło narodowe, choć mocno skłócone z piłsudczykami, postrzegało wojnę z Niemcami jako słuszny i sprawiedliwy bój z odwiecznym wrogiem. Aktywnego poparcia udzielały rządowi środowiska żydowskie. Mówiąc krótko: ani razu nie spotkałem się wtedy z poglądem, że należy zrezygnować z walki i ulec żądaniom Hitlera. Po klęsce było trochę inaczej. Ludzie mieli żal, mieli pretensję, że nie byli świadomi dysproporcji sił. Ale czy gdyby byli świadomi, to dużo by zmieniło?

Owszem, istniała mała grupka krążąca wokół Władysława Studnickiego, który był germanofilem i uważał, że Polska powinna budować przyszłość w trwałym związku z Niemcami. Ale żądania Hitlera odbierały Polsce przyszłość; marzyło mu się powtórzenie manewru z Czechosłowacją, manewru z prezydentem Hachą, który 14 marca 1939 roku podpisał dokument przekazujący „los narodu czeskiego w ręce Führera”. Żaden polski polityk nie ośmieliłby się złożyć podpisu pod aktem kapitulacji. I nie złożył. W czasie wojny było to dla mnie źródłem wielkiej satysfakcji moralnej. Rzeczpospolita nie poddała się! Nie ma aktu kapitulacji naczelnego wodza, nie ma aktu kapitulacji pełnomocnika naczelnego wodza, nie ma aktu kapitulacji premiera ani prezydenta, ani żadnego ministra działającego w imieniu prezydenta. I to jest jedyny taki przypadek w wojennej historii Europy.

Ostatnio pojawiło się parę publikacji, w których autorzy, historycy urodzeni po wojnie, rozważali, czy nie byłoby lepiej, gdyby Wojsko Polskie wraz z Wehrmachtem i oddziałami SS ruszyło wspólnie na wschód.

Nie lubię wdawać się w rozważania typu: co by było, gdyby... bo to mało poważne. Wiem, co było. Wiem, zapamiętałem na własnej skórze. W przeciwieństwie do Francuzów, Belgów, Duńczyków czy Norwegów Polacy byli dla Niemców podludźmi. Doktrynalnie. To wyrażało się między innymi w znakowaniu na robotach w Niemczech. Francuzi i Belgowie nie musieli nosić oznaczeń narodowościowych. Robotnicy z republik ZSRR, ost-arbeiterzy, nosili napis „Ost”. Polacy musieli nosić literę „P”. W niemieckim mniemaniu napis piętnujący. Podludzie! Z tego powodu nie było protestów niemieckiej opozycji, nie było to sprawą niepokojącą najświatlejsze dusze niemieckie, świeckie i kościelne, może z wyjątkiem rodzeństwa Scholl. Nawet beatyfikowany niedawno kardynał Clemens von Galen, który twardo przeciwstawił się zarządzonej przez Hitlera akcji eutanazji i nawet zagroził mu procesem, interesował się tylko Niemcami. W jego pismach nie ma ani jednego słowa współczucia czy solidarności z narodami podbitymi, ani słowa o polskich księżach uwięzionych w Dachau. I dlatego jego proces beatyfikacyjny ciągnął się kilkadziesiąt lat, a orzeczenie jest trudne do przyjęcia dla wielu ludzi, także w Niemczech. Otóż mówienie dziś o jakiejś realnej alternatywie strategicznej dla Polski w 1939 roku jest oparte na fałszu. Nie było alternatywy. Niemcy z czasów pierwszej wojny światowej nie uważali Polaków za podludzi. Polski inteligent mógł być oficerem w armii austriackiej, w armii pruskiej. W 1939 roku niemieckie społeczeństwo było już inne. Przeorane przez hitleryzm.

Czołgi niemieckie dotarły do przedmieść Warszawy pod wieczór 6 września 1939 roku...

Tego nikt się nie spodziewał. Uczucie gorzkiego zaskoczenia! Nikt. Ani przeciętni warszawiacy, ani ludzie odpowiedzialni za miasto, urzędnicy administracji państwowej i komunalnej. Trudno było sobie wyobrazić, że tydzień po wybuchu wojny Warszawa zostanie zagrożona inaczej jak przez bombardowania lotnicze.

Pierwszego września bomby spadły wczesnym rankiem na Okęcie, na domy mieszkalne na Kole i Woli. Ludzie jeszcze spali. Pierwsze ofiary wojny zginęły, nie wiedząc, że wybuchła wojna. Gazety poranne 1 wrze-

śnia przyniosły wiadomości z poprzedniego dnia. O mobilizacji. O nastrojach. O przewidywanym rozwoju sytuacji politycznej. Wiadomości już całkiem nieaktualne. Informacje radiowe? Radio nie było tak powszechne jak dziś. Dwa programy Polskiego Radia, no i stacje zagraniczne. Pamiętam głos prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Słowa o napaści. Ale o wojnie dowiedziałem się wcześniej rano 1 września. Zbudziły mnie wybuchy. Sądziłem, że to ćwiczenia. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Grójeckiej 104, przy rogu Opaczewskiej.

To ważne miejsce w dziejach obrony Warszawy.

Ulica Opaczewska wyznaczała linię obrony, na której 8 września wojsko wspomaganie przez ludność cywilną odparło pierwsze ataki Niemców. Powstał o tym wiersz ze sławnym wersem: „...ja, pani Opaczewska, bronię dziś Warszawy”, najpierw mówiono, że napisany przez nieznanego autora, anonima, potem okazało się, że autorem był Jan Janiczek. Niemcy zostali zaskoczeni siłą oporu, determinacją... To wszystko działo się w bliskim sąsiedztwie naszego domu. Ale po kolei. Pierwsze dni września przeżyliśmy w pewnym chaosie. Ojciec spędzał dnie i noce w banku. Sprawował nadzór nad skarbcem, przygotowywał skarb państwa do ewakuacji. Do miasta zaczęli napływać uciekinierzy. Wkrótce wojsko zarządziło ewakuację ludności z południowo-zachodnich obrzeży Warszawy. Domy zostały przekształcone w stanowiska bojowe. 6 września albo dzień później musieliśmy więc opuścić nasze mieszkanie. Wzięliśmy walizki z najbardziej niezbędnymi rzeczami, reszta została pod opieką wojska. Marsz do Śródmieścia nie był łatwy. Na pobliskich ulicach stały już barykady. Tramwaje przestały jeździć. Rzesze żołnierzy z rozbitej Armii „Łódź” i z oddziałów, które wycofywały się z Wielkopolski i Pomorza. Przygnębiający widok. Szokujący. Przeciętnemu człowiekowi trudno było się w tym wszystkim zorientować. 8 września dowiedzieliśmy się z plakatów, że obroną Warszawy dowodzi generał Walerian Czuma. To on wprowadził porządek, zorganizował żołnierzy z rozbitych jednostek, wydawał odezwy. Tak więc w naszej świadomości generał Czuma był faktycznym organizatorem obrony stolicy i dopiero potem został usunięty w cień przez generała Rómmla, który – po klęsce swej armii – przejął dowodzenie w Warszawie, bo był wyższy stopniem. 6 września Niemcy zajęli Raszyn, umilkł więc I program Polskiego Radia. Rozgłośnia warszawska nadawała z radio-

stacji na Fortach Mokotowskich. Tam toczyły się ciężkie walki, w których brał udział jako dowódca plutonu, potem jako p.o. dowódcy kompanii Tadeusz Żenczykowski-„Zawadzki”, którego miałem poznać w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Po latach został zastępcą dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa... Do tego wrócimy.

Premier, generał dywizji, dr Felicjan Składkowski zanotował 6 września 1939 roku: „Czołgi niemieckie są pod Grójcem i dochodzą do stacji radiowej pod Raszynem. Są więc o kilkanaście kilometrów od Warszawy [...]. Wobec czego, w myśl zapowiedzi, sztab przechodzi do Brześcia [...]. Rząd tej nocy ma przenieść się do Łucka. Melduję Marszałkowi o konieczności wydania odezwy do ludności stolicy, przy opuszczeniu jej przez rząd. Zgadza się, że odezwa ta ma być krótka i bez szumnych zwrotów. Jeszcze, być może, nie wyjedziemy, ale nadzieja jest słaba [...]. Ludność nie wie jeszcze o bliskości Niemców i nastroje są dalej doskonałe [...]. Telefonuję do Prezydenta Warszawy Starzyńskiego. Zostaje on na swoim posterunku, jak się wyraził: »Ja tu zostaję na gospodarstwie«”. Felicjan Sławoj-Składkowski, *Nie ostatnie słowo oskarżonego*, Warszawa 2003, s. 273–274.

Gdy mowa o obronie Warszawy, trzeba pamiętać o kolejności wydarzeń. To nie było tak, że Niemcy zaatakowali Festung Warschau, twierdzę zawczasu przygotowaną do oblężenia. Na odwrót! Warszawa była miastem bombardowanym i ostrzeliwanym, zanim zaczęła się bronić. Była miastem otwartym.

Władze państwa ewakuowały się na wschód wieczorem 6 września. Bombardowania i ostrzał artyleryjski były skierowane przeciw ludności cywilnej. Miały charakter terrorystyczny. Niemcy zakładali, że wejdą do miasta niejako siłą rozpędu, bez walki. Opór ich zaskoczył. Wtedy zdecydowali się na zmasowane użycie artylerii ciężkiej i bombowców. Najsilniejsze bombardowania nastąpiły 10, 17 i 25 września. A dla nas było oczywiste, że nie możemy się poddać. Nie damy się bez walki! Wtedy nie wiedzieliśmy, że Mołotow zdążył już wysłać do Ribbentropa serdeczne gratulacje z okazji zdobycia Warszawy. I nie wiedzieliśmy, że oblężenie Warszawy

jest obserwowane przez Hitlera coraz bardziej rozwścieczonego oporem miasta. Wiedzieliśmy natomiast, że nic nas nie zwalnia z obowiązku walki. Brzmi to trochę górnolotnie, ale tak naprawdę było.

Powstał Komisariat Cywilny przy Dowództwie Obrony Warszawy, na którego czele stanął Stefan Starzyński, żołnierz Legionów, major rezerwy. Od 1934 roku był komisarycznym prezydentem Warszawy, niezbyt zresztą lubianym. Atakowano go i z prawej strony, i z lewej. Dbał o miasto, był rzetelnym gospodarzem, ale prawdziwą popularność zdobył we wrześniu 1939 roku, gdy włożył mundur. Nawiasem mówiąc, na czele Wydziału Ogólnego w sztabie obrony cywilnej stanął były legionista, pedagog, zastępca komendanta Straży Przedniej, kapitan Karol Makuch, ojciec mojej żony. W tej części mojej rodziny tradycja i legenda obrony Warszawy mają więc szczególne znaczenie.

Pan chciał walczyć?

Zgłosiłem się wraz z kolegami maturzystami do Rejonowej Komendy Uzupelnień. Byli tam jacyś podoficerowie administracyjni. Tylko oni, bo szefostwo zostało ewakuowane. No i mówią nam: – Nie jesteście szkoleni, nie macie kart powołania... Nie zawracajcie głowy! Do nas przychodzą ludzie z kartami, a my im możemy co najwyżej powiedzieć, żeby szli na wschód i dołączyli do najbliższej jednostki. Potem ogłoszono ochotniczy zaciąg do batalionów obrony Warszawy dla sześciuset mężczyzn. Poszedłem z ulicy Hożej (tam mieszkałem z mamą) przez liczne barykady na ulicy Przejazd, gdzie odbywał się werbunek. Po drodze napotkałem dużą grupę, może tysiąc ludzi, może więcej. Wracali rozczarowani, bo sześciuset ochotników zebrano w ciągu kilku minut, z tych, którzy stali na początku kolejki. Utworzone przez Polską Partię Socjalistyczną bataliony robotnicze odegrały ważną rolę w utrzymaniu elektrowni, gazowni, wodociągów. Zakłady użyteczności publicznej były w rękach ludzi, którzy czuli się żołnierzami walczącymi o wolność kraju i o własne zakłady pracy.

Jakie wiadomości ze świata docierały do oblężonej Warszawy?

Zrozumiałe, że w takiej sytuacji, pod bombami, ludzie łakną nadziei. Mówiono więc, że Brytyjczycy podobno wysadzili jakiś desant, ale jaki, to nie wiadomo, i że Francuzi rozpoczęli natarcie gdzieś na Zachodzie. Plotki wysrane z palca. Były gazety drukowane w małych nakładach na dwóch

kolumnach, jednostronnie – i plakatowane. Potem z uwagi na brak prądu elektrycznego powstała „Gazeta Wspólna”, tworzona przez kilka redakcji. Wiadomo było o krwawych próbach przebicia się oddziałów Wojska Polskiego do miasta. Warszawa przekształciła się w oblężony bastion. 18 września dotarła do nas informacja o uderzeniu Armii Czerwonej. Ludzie ludzili się, że Rosjanie idą nam z pomocą, ale to złudzenie rozwiało się dosłownie po paru godzinach. Deprymująca świadomość, że wielkie państwo stało się sojusznikiem Hitlera. Że w obliczu takiej dysproporcji sił jesteśmy bezradni. Ale trzeba było coś zrobić!

Zostałem noszowym. Włączyłem się do pracy służb sanitarnych. Po prostu brałem nosze i z nieznanymi mi mężczyznami nosiłem rannych, umierających. Brało się nosze i szło tam, gdzie spadły bomby. Potem odнеслиśmy rannego na trawnik przed Szpitalem Dzieciątka Jezus. Tam rannym zajmowali się sanitariusze, lekarze, a my ruszaliśmy po następnego. Nikt nas nie kontrolował, nie pytał, jak długo będziemy pracować, trzy godziny, pięć czy osiem, za dnia czy w nocy. Normalna obywatelska sprawa, ale dla siedemnastoletniego chłopaka bardzo trudna. Raz nieśliśmy kobietę z ulicy Tarczyńskiej. Była ranna w brzuch. Trafiona odłamkami bomby. Między piersiami i podbrzuszem miała wszystko rozbabrane, wszystko na wierzchu. Trzeba było jak najszybciej dostarczyć ją do szpitala. A tymczasem zaczęły nas ostrzeliwać samoloty. Wtedy odstawialiśmy nosze, kładliśmy się na ziemię. Samoloty odlatywały. My chwytałyśmy za nosze, by przejść parę metrów. I znów samoloty. W końcu, już blisko szpitala, przy murze Filtrów okazało się, że kobieta nie żyje. Martwą donieśliśmy do Dzieciątka Jezus. Cały wysiłek, trud i strach na nic. Ważne doświadczenie życiowe. Przecież byłem normalnym siedemnastoletnim chłopcem, nigdy przedtem nie widziałem zabitych ludzi, nie widziałem tak okrutnie poranionych ciał! Pierwsze zwłoki, jakie zobaczyłem, to te, które leżały na warszawskich ulicach.

A potem przyszedł najgorszy dzień. Dzień kapitulacji. Dzień plakatów z wezwaniami do zachowania spokoju i powrotu do pracy.

Czy pamięta pan swoje pierwsze spotkanie z Niemcami?

Dwa spotkania. Doszło do nich przed 5 października, a więc przed dniem, w którym Hitler przyjął defiladę zwycięstwa w Alejach Ujazdowskich. Otóż po kapitulacji zamieszkaliśmy w domu mego wuja, kapitana

Cygankiewicza, który wraz z żoną ewakuował się dokądś na wschód. Dokąd? – nie wiedziałem, ale miało to zapewne związek z jego pracą w Straży Granicznej. W mieszkaniu znajdującym się przy ulicy Belgijskiej była ich stara służąca.

W tym czasie do Warszawy wchodziły oddziały Wehrmachtu, a obok nich nieznane warszawiakom niemieckie formacje policyjne. Gestapo i kripo zainstalowały się w alei Szucha, w wielkich, pięknych budynkach Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Przed wojną w NIKP pracował starszy brat mojej matki, który mieszkał w Alejach Niepodległości 227, w blokach, gdzie parę lat później ukrywał się Władysław Szpilman.

W pierwszych dniach po kapitulacji nie wychodziłem z domu. Tak mi radzili rodzice, kierując się słusznym założeniem, że młody człowiek bez dokumentów nie będzie bezpieczny na ulicy pełnej czujnych patroli. Proszę pamiętać, że wedle prawa obowiązującego w Rzeczypospolitej pełnoletność osiągało się wraz z ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia. Nie miałem żadnego dokumentu tożsamości prócz nieważnej legitymacji szkolnej. A w reżimie policyjnym człowiek bez ważnej legitymacji jest nikim. Jest nikim i jest podejrzany. A podejrzanego zawsze warto wsadzić. Rodzice mogli poruszać się po mieście, bo ojciec wrócił do pracy w banku, który został przejęty pod zarząd niemiecki, matka była pracownicą elektrowni, ważnej instytucji miejskiej. Siedziałem więc w domu.

I oto na początku października w mieszkaniu zjawili się kilku panów. Jedni w czarnych, nieznanym mi mundurach, inni w cywilnych ubraniach. Grzeczni. Uprzejmi. Zapytali mnie, kim jestem. Odpowiedziałem po niemiecku – pierwszy i chyba ostatni raz, potem już nie przyznawałem się do znajomości języka – że jestem członkiem rodziny, gdyż frau Cygankiewicz jest siostrą mojej mamy. O wuju ani słowa. A ci uprzejmi panowie na to, że oni nie przyszli po panią Cygankiewicz, ale do pana Cygankiewicza i teraz chcą rozejrzeć się po mieszkaniu. – Gdzie jest pan Cygankiewicz? Odpowiedziałem, że nie wiem. Został ewakuowany, nie mam o nim ani o ciotce żadnych wiadomości. – Czy wróci? – Nie wiem. – Jeśli wuj wróci, to powinien się do nas zgłosić. – A dokąd? – Do komendantury! Potem zapytali, czy mogą zajrzeć do szafy. Otworzyłem szafę. Popatrzyli bez szczególnego zainteresowania. – A gdzie jest biurko pańskiego wuja? Wskazałem biurko. – Czy może pan otworzyć? – Nie mam klucza. Wska-

zali na służącą: – Może ta kobieta ma klucz? Nie miała. – Jest nam przykro – mówi jeden z nich – ale skoro nie ma klucza, to będziemy musieli uszkodzić zamek. Wylamali zamek, przejrzeni papiery, część z nich zabrali. Widać, że znali polski. Pokazali mi też przyniesioną z sobą fotografię wuja, dosyć wyraźną, wierną. Czy mógłbym wskazać pośród tych papierów w biurku fotografię najbardziej podobną. Wskazałem więc najmniej podobną. Przyjrzeni się portretowi wiszącemu na ścianie. Był to portret ślubny wuja i ciotki z roku 1919: on w mundurze legionowym, a ona z długimi warkoczami do pasa. Mówią: – Bardzo ładny portret. Odpowiadam: – Ładny. Oni: – Podobni są? A ja rozumiejąc, że chcą ten portret zabrać, odpowiadam: – Nie, zupełnie niepodobni. Portret był zrobiony, zanim ja się urodziłem. – *Ja, ja...* ciotka to ładna kobieta, a wuj ma rysy takie zdecydowane, oficerskie... Usiłowali nawiązać ze mną kontakt, ja zaś starałem się mówić jak najmniej. Pochodzili jeszcze trochę po mieszkaniu, zapytali, ile mam lat, aha, w sprawie pańskiego rocznika będą wydane zarządzenia... A przed wyjściem powtórzyli, że gdyby wuj zjawił się w Warszawie, to ma zgłosić się do nich w celu wyjaśnienia pewnych spraw... No i poszli.

I nadal nie wychodził pan z mieszkania?

Oczywiście, że wychodziłem. I pewnego dnia zostałem zmuszony przez Niemców do pracy przy rozbieraniu resztek barykad na ulicy Puławskiej przy placu Unii Lubelskiej. Oni łapali Żydów, ot tak, na oko, biednych ludzi w tradycyjnych strojach, w chałatach i jarmułkach, albo takich, którzy jakoś im się wydawali Żydami. Ja byłem wychudzony, miałem wydatny nos, okulary, no to mnie uznali za Żyda: – *Komm Jude, komm...* Trzeba było przenieść płyty chodnikowe, oczyścić jezdnię z gruzu. Dali nam łopaty, kilofy. Obok mnie pracował jakiś młody mężczyzna. Postawili jakiegoś podoficera Wehrmachtu, który dyrygował, pilnował, na lewo, na prawo. A potem pojawił się jakiś oficer i wtedy doszło do czegoś dziwnego. Nazwijmy to sytuacją testową. Sprawdzianem. Młody człowiek, o którym wspomniałem, podszedł do oficera, wyjął spod rozpiętej koszuli medalik z Matką Boską i powiedział: – *...kein Jude, kein Jude...* (nie jestem Żydem). A ja wtedy sobie pomyślałem, że choć ten człowiek nie robi właściwie nic złego, to jednak nie można pozwolić na to, żeby Niemiec nas segregował według tego, czy nosimy Matkę Boską, czy jej nie nosimy. Ja akurat miałem medalik, ale nie przyszłoby mi do głowy, żeby z jego po-

mocą prowadzić dialog z okupantem. Uznałem, że jest w tym coś fałszywego. Nie, to nie było żadne przemyślenie filozoficzne. Raczej odruch solidarności. Przyzwoitości. Dzisiaj powie, że nie jest Żydem, a za kilka dni go zapytają, to powie, że nie jest przeciw Niemcom, że nie walczył przeciw nim i że nie będzie walczył... Jeśli tak zaczyna, to jak skończy? To był dla mnie ważny test. Wkrótce dowiedziałem się od dozorczy, że od godziny takiej a takiej do godziny takiej a takiej dnia 5 października mężczyźni mają zakaz wychodzenia na ulice. Nie wiadomo dlaczego. Trudno, zostałem w domu. I 5 października usłyszałem miarowy krok oddziałów maszerujących Puławską do placu Unii. To trwało dosyć długo. Dźwięki orkiestr. Defilada. I wtedy się rozplakałem. Pierwszy raz od wybuchu wojny. Szlochałem, czując, że zawałił mi się świat.

Utrata nadziei?

Przekroczenie progu bezradności. Poczucie, że nic już nie da się zrobić. Taki stan ogarnął wielu ludzi. Następnego dnia okazało się, że wojsko defilowało przed Hitlerem. Przyjechał, by odebrać paradę zwycięstwa. Wtedy nie wiedziałem, że tworzą się pierwsze organizacje konspiracyjne, że zaczyna działać Służba Zwycięstwu Polski, a więc podziemie wojskowe. Dochodziły wiadomości o generale Kleebergu, o jego grupie stworzonej z jednostek cofających się ze wschodu, między innymi z marynarzy flotylli pińskiej, o bohaterskiej postawie i na koniec – o klęsce. Zanim Niemcy przeprowadzili rekwizycję odbiorników radiowych, dowiedzieliśmy się dzięki Radiu Paryż i BBC o objęciu stanowiska prezydenta przez Władysława Raczkiewicza i powołaniu rządu z nowym wodzem naczelnym, premierem, generałem Władysławem Sikorskim. Tymczasem w Warszawie ogłoszono przymusową rejestrację oficerów Wojska Polskiego. Spora grupa podporządkowała się temu zarządzeniu i została wzięta do niewoli. Nie wszyscy. Niektórzy wrócili do domów. Innych ujęto w biurze rejestracyjnym i wysłano do oflagów. W połowie października pojawił się „Nowy Kurier Warszawski”, dziennik wyjątkowo szmatławy i słusznie nazywany gadzinówką. Wiadomości wojskowo-polityczne i komentarze, a przynajmniej ich poważna część, były przekładane z niemieckiego przez tłumaczy o nikłych umiejętnościach, więc językowo nędzne. Gazeta cieszyła się popularnością z uwagi na wiadomości lokalne, rozbudowany dział ogłoszeń. I nekrologi, rzecz jasna, a tych było dużo. O najważniejszych spra-

wach warszawiacy dowiadywali się z plakatów. Na niektórych z nich widniał przez pewien czas podpis Stefana Starzyńskiego. Gestapowcy aresztowali go 27 października. W gazetach niemieckich, tych centralnych, berlińskich, pisano o sytuacji na Zachodzie. O Polsce już nie. Dla nich Polska przestała być tematem.

Co się stało z pana wujem?

Trzeba zupełnie niezwykłego trafu, że parę dni po wizycie tych panów w czerni wuj zjawił się w mieszkaniu. Odbył długą podróż, chyba z Łucka, był zmordowany, miał opuchnięte, poobcierane stopy. Pamiętam, że trzymał nogi w miednicy z gorącą wodą, a ja siedziałem naprzeciwko niego i opowiadałem o włamaniu do biurka. – E, tam nic ciekawego nie było... – Wujku, mówili, żeby zgłosić się w komendanturze... – Chyba nie sądzisz, że do nich pójde. – Nie sądzę – odpowiedziałem. – Nie sądzę, tylko powtarzam. Wujek ucałował mnie: – Trzymaj się, niech cię Bóg prowadzi. Do wiosny ich pobijemy, a na razie trzeba zająć się innymi rzeczami. Jak zjawi się ciotka, to jej powiedz, że byłem. Ona wie, gdzie mnie szukać. I znikł na dłuższy czas.

Moja matka opowiadała mi, że jesienią 1939 roku sporo ludzi, szczególnie starszych, tych, którzy przeżyli świadomie pierwszą wojnę światową, uważało, że choć okupacja to rzecz straszna, ale przecież Niemcy, naród kulturalny, dobrze wychowany...

O, moja matka też w to wierzyła, ale przestała, gdy Niemcy rozstrzelali w Wawrze stu niewinnych mężczyzn...

Przyszła zima, wczesna, mroźna i głodna...

Tak, to była bardzo ciężka zima. Substancja miasta została w 10 procentach zniszczona, drugie tyle uległo uszkodzeniu. Chłód i głód. Kłopoty z ogrzewaniem. Kłopoty z opalem. I nagle powszechne zubożenie. Polskie instytucje państwowe, miejskie, oświatowe wypłaciły swym pracownikom jednorazowe odszkodowania czy też ostatnie pensje, i to wszystko. Na bruku znaleźli się pracownicy ministerstw, instytucji naukowych i kulturalnych, redakcji. Nauczyciele głodowali. Dopiero potem, wraz z organizacją tajnego nauczania i subwencjami rządowymi z zagranicy, nastąpiła

zmiana. Dodajmy do tego rodziny, których ojcowie i synowie, jedyni żywiele, wymaszerowali na wschód, zostali ujęci przez Armię Czerwoną i wysłani jako „bieżeńcy” w głąb ZSRR. Bezrobotna była młodzież. Niemcy zamknęli uczelnie, więc przestał działać system stypendialny. Te zmiany stosunkowo najslabiej dotknęły robotników zatrudnionych w zakładach miejskich czy też w przedsiębiorstwach, które były potrzebne okupantowi, mam na myśli koleje, pocztę, przemysł związany z wojskiem. Z tego powodu część proletariatu warszawskiego dawała sobie jakoś radę, ale inteligencja znalazła się w dolku. Zrozumiałe, że w związku z tym zaczęły rozkwitać rozmaite inicjatywy handlowe. Ludzie wyprzedawali dywany, obrazy, biżuterię, meble, żeby kupić trochę żywności. Zubożenie okrutnie dotknęło ludzi starszych, bezradnych w nowej rzeczywistości. Pauperyzacja była widoczna. Sytuacja materialna mojej rodziny była przeciętna. Nie dobra, ale też i nie dramatyczna. Matka miała stałe uposażenie z elektrowni. Ale trzeba było znaleźć nowe mieszkanie. Dom na Opaczewskiej był częściowo zburzony. Bomba trafiła w klatkę schodową i żeby dostać się na drugie piętro, trzeba było przejść jakąś wąską kładką, bo brakowało schodów. W dodatku – a mówię to ze smutkiem – mieszkanie zostało ograbione przez ludzi z okolic, z przedmieścia, z pobliskich Szczęśliwic. Zostały meble, których nie udało się wynieść, no i książki, ale resztę skradziono. I tak zostaliśmy jak ostatnie dziady. Cały dorobek rodziny zmieścił się na jednym wózku.

Ojciec został zatrudniony w biurze likwidatora Banku Polskiego. Nie pracował dla Niemców, jak część bankowców, którzy przeszli do Banku Emisyjnego. Bank Polski był wielką spółką akcyjną, miał aktywa, majątek, w tym budynki mieszkalne. I ojciec został kimś w rodzaju kierownika gospodarczego, który miał dbać na przykład o remonty albo dostawy koksu do ciepłowni. Nadzorcą był Reichsdeutch, niezbyt kąśliwy, sudecki Niemiec czy Austriak, zachowywał się spokojnie, bez szczególnej agresji, dbał o swoją wygodę, a to znaczy, że nie wtrącał się do działalności wykwalifikowanych podwładnych. Tak więc ojciec miał względnie unormowane życie ze skromną pensją. Ja zaś zająłem się handlem damską bielizną jako komisant u pana Majzulsza. Byłem najmitą żydowskim.

Matka szukała możliwie najtańszego locum. Jej kolega z elektrowni, skromny urzędnik, mieszkał wraz z żoną w dwóch pokojach przy Chłodnej 42. Odstąpił nam jeden pokój, w którym przeważnie przeżyliśmy na mate-

racach zimę 1939/40. W domu żyli prawie wyłącznie Żydzi i może dwie czy trzy rodziny polskie. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w czynszowej kamienicy, której główną, a może jedyną zaletą był niski czynsz. Właściciele mieszkania utrzymywali dobre stosunki z sąsiadem, panem Majzulem. Starszy pan, wdowiec, w tradycyjnym żydowskim ubraniu, kupiec. Miał córkę trochę starszą ode mnie, inteligentkę. Pewnego dnia pan Majzuls zapytał, czy mógłbym coś dla niego załatwić. Przedstawił propozycję. Trzeba wiedzieć, że choć wtedy jeszcze nie było getta, to Niemcy wprowadzili już przymus noszenia opasek. Zaczęły się głupie szykany, jeszcze nie zbrodnie, ale upokarzano ludzi, zaczepiano, niekiedy bito, i niektórzy Żydzi, szczególnie starsi, bali się wychodzić na ulice. Pan Majzuls prowadził przed wojną zakład pasmanteryjno-konfekcyjny i miał sporo damskiej bielizny. Zapytał, czy nie zająłbym się sprzedażą zapasów w zamian za jakiś procent od obrotu. To było po mojej myśli, bo nie bardzo umiałem się pogodzić z faktem, że nigdzie nie pracuję i nie wnoszę niczego do domu. Udzielanie korepetycji nie wchodziło w rachubę, bo przecież w Warszawie było mnóstwo bezrobotnych nauczycieli o najwyższych kwalifikacjach. Gdybym miał zdolności manualne i obycie techniczne, mógłbym zająć się jakimiś naprawami. Ale co mogłem zrobić z moją znajomością literatury, historii i geografii? Nic. Tak więc propozycja pana Majzuls jakoś mnie ucieszyła. Pozostały jednak dwa problemy. Pierwszy: nie miałem pieniędzy na kaucję. Pan Majzuls powiedział jednak, że mi ufa, i od tej pory dostawałem co dzień walizeczkę z bielizną. Drugi: nie miałem pojęcia o damskiej bieliźnie. Okazało się, że z tym nie ma większego problemu. Stawiałem na Żelaznej czy Chłodnej przy rogu, w pobliżu którego zainstalowała się potem żandarmeria niemiecka, otwierałem walizkę z koszulkami, majtkami i biustonoszami. Przechodzące panie zatrzymywały się, pytały o szczegóły. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Panie oglądały bieliznę, a że nie była droga, to chętnie kupowały, bez mierzenia, bo przecież ulica i mróz... W ten sposób zarobiłem pierwsze pieniądze w życiu.

To działo się na granicy getta?

Kiedy getto zostało obudowane murem i zamknięte, ja byłem więźniem w Oświęcimiu. Zresztą z Chłodnej wyprowadziliśmy się wiosną 1940 roku. Matka znalazła przystępne mieszkanie dwupokojowe na Żoliborzu w spółdzielni na ulicy Słowackiego 35/43. Tego domu dziś już nie ma, została po

nim figura Matki Boskiej stojąca wtedy na podwórkowym trawniku. To był chyba marzec albo początek kwietnia. W tym czasie Arbeitsamt ogłosił zarządzenia o obowiązku pracy i rejestracji młodych ludzi. Wcześniej takie zarządzenia objęły Żydów. Mój ojciec, człowiek doświadczony, uważał, że rejestracja może być zapowiedzią pracy przymusowej dla Niemców. A tego należało unikać. Ale gdzie znaleźć pracę, dzięki której będę miał stosowne dokumenty? Takich chętnych jak ja były tłumy. Okazało się (o tym nie wiedziałem), że przed wojną ojciec był społecznym działaczem Polskiego Czerwonego Krzyża, członkiem zarządu dzielnicowego PCK Warszawa-Północ. Dzięki temu dowiedział się, że Czerwony Krzyż otwiera kilka przychodni dla biednych, a jedna z nich ma działać na Żoliborzu. Polski Czerwony Krzyż był, podobnie jak jego niemiecki odpowiednik, afiliowany w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu w Genewie. Dzięki temu PCK mógł prowadzić korespondencyjne poszukiwania osób zaginionych na wojnie, mógł wysłać paczki do obozów, ale tylko dla tzw. aryjczyków... Tak więc Niemcy tolerowali w pewnym stopniu wykonywanie przez PCK jego statutowych funkcji. Nie wiem, w jaki sposób, z czyją pomocą – już się nie dowiem, bo ojciec od dawna nie żyje – zostałem pracownikiem Przychodni nr 1, która mieściła się na parterze niewielkiego domu przy ulicy Hożjusza, obok kościoła św. Stanisława Kostki. W kilkupokojowym mieszkaniu lekarka dr Ochnicz-Czerniewska i pielęgniarka, siostra Maria, przyjmowały ubogich, chorych, rannych żołnierzy, wszystkich, komu potrzebna była pomoc medyczna. Porada kosztowała jednego złotego. Pełniłem funkcje intendenta, księgowego, gońca i woźnego. Obie panie, znacznie ode mnie starsze, traktowały mnie, osiemnastolatka, z wielką życzliwością i nie bez matczynego rozczulenia. Uposażenie było skromne. Mogłem za nie kupić nie więcej niż trzy kilogramy tłuszczu, ale czułem, że robię coś sensownego, a to bardzo dużo. No i od 1 maja 1940 roku miałem legitymację Polskiego Czerwonego Krzyża wystawioną w języku polskim i niemieckim, z fotografią, pieczętką i podpisami zarządu – honorowaną w czasie policyjnych kontroli ulicznych.

Co pan robił po pracy?

W sąsiedztwie była wypożyczalnia książek. Sporo czytałem. Mniej znane powieści Josepha Conrada, Rudyarda Kiplinga, trochę literatury amerykańskiej. W wypożyczalni była seria laureatów Nagrody Nobla. Dzięki

temu mogłem poznać twórczość Knuta Hamsuna, Karla Gjellerupa, Selmy Lagerlöf, pisarzy, których w innej sytuacji pewnie bym nie czytał. Nawiązałem znajomości z rówieśnikami z Żoliborza. Bardzo interesujący młodzi ludzie, odcytani, z gimnazjum Poniatowskiego albo od sióstr Zmartwychwstańek. Spośród osób, które żyją, bardzo już nielicznych, wspomnę profesora Krzysztofa Dunin-Wąsowicza, którego mama, pani Janina Dunin-Wąsowiczowa, prowadziła przed wojną przedszkole Rodziny Wojskowej, a po wielu latach dowiedziałem się, że do tego przedszkola uczęszczał mój przyjaciel, poeta Marek Skwarnicki, syn oficera. Wspomnę też Barbarę Filarską (z domu Wąsikównę), znanego później archeologa śródziemnomorskiego, profesora na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, matkę Danuty Kuroniewej. To było środowisko młodych inteligentów.

Czy dochodziły do pana jakieś wiadomości o powstających zrębach konspiracji?

Przed wszystkim docierały do nas wstrząsające informacje o niemieckich zbrodniach. Najpierw o wzięciu zakładników przed 11 listopada 1939 roku. Potem o masowym mordzie w Wawrze, gdzie wyciągnięto z domów i rozstrzelano ponad stu niewinnych mężczyzn. Wśród nich zginął kolega mamy, inkasent z elektrowni. Zginął też jego syn. Po prostu Niemcy wdarli się do ich mieszkania, bez słowa wyprowadzili na ulicę i zastrzelili. Wprowadzono zarządzenia antyżydowskie. Zaczęły się konfiskaty mienia, rabunek sklepów, prowokowane przez Niemców awantury na ulicach. Ale też panowała powszechna nadzieja, że wojna skończy się na wiosnę. Byle do wiosny. Docierały do mnie egzemplarze pisma konspiracyjnego „Polska żyje”, kolportowane w dużych nakładach i dosyć naiwnie, po prostu jeden z sąsiadów rozdawał pismo na podwórku. „Polska żyje” była organem Komendy Obrońców Polski.

Na Żoliborzu przeżyłem tragiczny dzień kapitulacji Francji. Wtedy uświadomiłem sobie, że wojna będzie trwała długo, może bardzo długo. Nawiasem mówiąc, upadek Paryża stał się bodźcem dla reorientacji polskiego podziemia. Wtedy rozpoczął się długofalowy proces tworzenia konspiracyjnych struktur informacyjnych, oświatowych, szkoleniowych.

Raz czy dwa razy odwiedziłem moją szkołę. Dowiedziałem się wtedy od pracowników administracyjnych, że jeden z nauczycieli trafił do nie-

woli sowieckiej, potem znaleziono go w Katyniu, inny znów do niewoli niemieckiej, a trzeci gdzieś zaginął, może trafił do wojska na Zachodzie? W życiu miasta rozpoczęła się mała stabilizacja. Mała stabilizacja zła. Ludzie starali się jakoś urządzić. Kwitł drobny handel. Kwitł przemysł. Brakowało podstawowych produktów, wkrótce więc na rynku pojawiła się sztuczna herbata, marmolada z buraków albo z brukwi, rozmaite namiastki cukru. Byłem wciąż głodny. Osiemnastolatek musi się porządnie najęść, a tymczasem brakowało żywności. Mięso jadłem bardzo rzadko. Codzienne menu składało się z chleba, smalcu, kartofli, niekiedy kaszy. Wokół widziało się coraz większą biedę. Było mizernie.

12 sierpnia 1940 roku Niemcy przeprowadzili w Warszawie oblavy, w których zatrzymano około dwóch tysięcy ludzi, może więcej. Zabierano ich z ulic, z kawiarni, z tramwajów, czyli akcja zastraszająca. Niektórzy pocieszali się, że Niemcy potrzebują taniej siły roboczej. Ale przecież zatrzymywano nauczycieli, księgowych, urzędników, w wieku co najmniej dojrzałym. Tam byli ludzie pod sześćdziesiątkę. Co to za tania siła robocza? Później dowiedziałem się, że uwięziono ich w koszarach SS przy ulicy Podchorążych. Część została zwolniona po sprawdzeniu dokumentów. Innych wywieziono. Dokąd? W sierpniu i na początku września nikt nie znał odpowiedzi na pytanie: dokąd ich wywieziono? Tę odpowiedź miałem wkrótce poznać na własnej skórze.

3. AUSCHWITZ

LUDZIE UMIERALI Z CHŁODU, GŁODU, OD ZASTRZYKÓW W SERCE I OD BICIA. POZORNY DROBIAZG: W STUDNIACH NIE BYŁO PITNEJ WODY, A PRZEGOTOWANEJ NAM NIE DAWANO... DROBIAZG, KTÓRY ZADECYDOWAŁ O ŻYCIU SETEK, A MOŻE TYSIĘCY LUDZI.

Czy latem 1940 roku słyszał pan o obozie w Oświęcimiu?

Nie. Myślę, że w Warszawie mało kto o nim wiedział. Może rodziny więźniów Pawiaka przewiezionych tam w sierpniu wraz z ludźmi z łapan-ki? Ja nie słyszałem. Moje otoczenie też nie. Wygarnięto mnie 19 września o świcie, przed godziną policyjną. Matka obudziła mnie zaniepokojona dużą ilością Niemców na ulicy. Uważałem, że mama niepotrzebnie panikuje. Po chwili do mieszkania wtargnęli panowie w żelaznych melonikach, tak wtedy mówiło się na hełmy, i nie zwracając uwagi na matkę, wrzasnęli w moim kierunku: – *Aufstehen! Mitkommen!* Wstałem. Matka kazała mi wziąć jesionkę, choć było ciepło. Na podwórzu stali sąsiedzi, z naszego domu wyprowadzono chyba ze trzydziestu. Pod eskortą doszliśmy do placu Wilsona, gdzie stały ciężarówki SS. Tam sprawdzili nam dokumenty. Pracownikom elektrowni, gazowni i wodociągów kazano iść precz, czyli do domów, reszta na budy. Jechaliśmy ulicami Warszawy. Przechodnie idący do pracy z lękiem patrzyli na konwój, niektórzy odwracali głowy.

Już po wojnie, w czasie procesu norymberskiego, dowiedziałem się, że ta oblawa była częścią czy też dopełnieniem akcji A–B zarządzanej przez Hansa Franka na zlecenie Himmlera. Celem akcji była „nadzwyczajna pacyfikacja” skierowana przeciw polskiej inteligencji. Z dwudziestu tysięcy uwięzionych część miała być od razu zlikwidowana, stąd egzekucje w Palmirach, część zaś wysłana do obozów koncentracyjnych.

Ciążarówki wjechały na teren koszar SS Reiterregiment Warschau. Zostaliśmy osadzeni w hali maneżu. Mówiąc dokładniej, kazano nam położyć się na zalegających podłogę maneżu suchych końskich odchodach.

Po co? Dlaczego?

W hali było ponad tysiąc Polaków pilnowanych przez dwóch podoficerów niemieckiej Służby Bezpieczeństwa (SD). Jeden z nich ustawił na stoliku ręczny karabin maszynowy i co jakiś czas puszczał serię nad naszymi głowami. Po jakimś czasie pozwolili nam usiąść, dali nawet kubły z wodą. Minęło kilkanaście godzin. Ustawiono nas w kolejkach do stolików, przy których siedzieli oficerowie i umundurowane maszynistki. Rozpoczęło się dokładne sprawdzanie dokumentów.

Pan miał legitymację Polskiego Czerwonego Krzyża...

Miałem. Okazało się jednak, że Polski Czerwony Krzyż albo z niewiedzy – bo na pewno nie ze złej woli – albo z powodu zmieniających się przepisów nie zadbał o to, żeby na legitymacjach były dodatkowe pieczęcie niemieckie, tak zwane „wrony” albo „gapy”. W oczach oficera dokument bez niemieckiego orla nie miał żadnej wartości. Zostałem uznany za bezrobotnego.

Co pan wtedy pomyślał?

Bezrobotny – czyli zbędny, niepotrzebny niemieckiej gospodarce w Warszawie. Pewnie mnie gdzieś wywiozą. I sprawdziło się. Po trzydziestu sześciu godzinach zawieziono nas na bocznice kolejową przy ulicy Towarowej. Ciężarówki podjechały w taki sposób, że otwarte klapy bud dotykały wejścia do wagonów, które potocznie nazywa się bydłęcymi. Wrzaski: *Los! Los! Schnell! Raus!* Popychani przeskoczyliśmy do wnętrza wagonu. Trzask zamykanych drzwi. Ciemno, bo przecież noc. Słychać szczekanie psów, huk wystrzałów, wrzaski Niemców, warkot silników następnych bud, szcęk zatrzaskiwanych drzwi wagonów, znów wrzaski. To trwało. W końcu nadszedł infernalny świt. Pociąg ruszył.

Strach?

Strach. Niepokój. Znaleźliśmy się w dzikich warunkach. Czterdzieści, może pięćdziesiąt osób w wagonie, część musi stać. Brak wody. Potrzeby fi-

zjologiczne? Pod siebie. Nie wiadomo, jak długo będziemy jechać. Nie wiadomo dokąd. Do ciężarówek wywoływano według listy alfabetycznej. Nasz wagon obejmował nazwiska od A do C. Jechałem z panem Adamskim, panem Bronikowskim, panem Bauerercem, panem Czapllickim. Ale pociąg był długi. Aż do litery Z, a nawet jeszcze dłuższy, bo jak się potem okazało, były tam wagony z więźniami politycznymi z Pawiaka, którzy mieli za sobą tygodnie albo miesiące przesłuchań na Szucha. Nie wiedziałem, że w tym samym transporcie znalazł się aresztowany przez gestapo ksiądz Józef Burakowski, prefekt z mojej szkoły. Nie dożył końca 1940 roku.

Jak długo jechaliście?

Caly dzień. Powoli. Pociąg stawał na bocznicach. W Poraju pod Częstochową dano nam kilka kubłów wody. Poraj był stacją na granicy Generalnego Gubernatorstwa i Rzeszy. Uznaliśmy, że wiozą nas na Śląsk, do pracy w przemyśle. I odczuliśmy ulgę. W końcu pociąg się zatrzymał. Był późny wieczór, przed północą. Szczekanie psów. Wrzaski. Ostre światło reflektorów ustawionych na samochodach. *Los! los! Raus! Schnell!* Esesman wskakuje do wagonu i zaczyna bić ludzi kolbą karabinu. Instynktownie pojmujemy ich oczekiwania. Wagon stoi na wysokiej rampie. Trzeba skakać. Niektórzy przewracają się, kaleczą. Ustawieni w trójkową kolumnę ruszamy w kierunku zabudowań, nad którymi góruje wysoki dymiący komin. I znów uczucie ulgi. To pewnie jakaś fabryka. Przechodzimy przez bramę, na której widnieje napis *Arbeit macht frei*. Praca czyni wolnym. To brzmiało jak zachęta. A więc skoszarowany obóz pracy. Zostaliśmy podzieleni na grupy liczące około trzystu osób. Przespałem parę godzin w bloku X, dokładniej zaś Xa, na pierwszym piętrze. Wczesnym rankiem obudził nas wrzask. Po chwili stanęliśmy na placu apelowym.

Co pan zobaczył?

Pięć tysięcy więźniów stojących na baczność. Grupę esesmanów. Baraki. Komin, który okazał się kominem krematorium nr 1. Szalejących kapo. Trzydziestu, może czterdziestu. To byli prawie wyłącznie Niemcy. Jeden z nich – o czym dowiedziałem się później – był więźniem politycznym, reszta wielokrotnymi mordercami, gwałcicielami, których skierowano do obozu z obietnicą ulaskawienia za dobre sprawowanie. To znaczy za gorliwe wykonywanie rozkazów SS. Przywieziono ich z Sachsenhausen i Da-

chau. Stado dzikich zwierząt. Byli gorsi od esesmanów, bo ci – w białych rękawiczkach – tylko obserwowali. W pierwszym momencie to nawet wyglądało na jakiś cyrk, ci wrzeszczący, miotający się faceci w prążkowanych ubraniach, w beretach z trójkątami. Ale po chwili zobaczyliśmy, jak wyciągają z szeregu jakiegoś mężczyznę, biją go pałkami, katują. Upadł. Zaczęli go deptać. A my staliśmy na baczność, bez słowa, z niewidzącymi oczyma. Straszne doświadczenie.

Tego dnia – 22 września – zapędzono nas do łaźni, ogolono na całym ciele, wydano lachy, ponumerowano.

Tatuaż?

Wtedy jeszcze nie stosowano tatuażu. Numer był zapisywany na szmatce, którą należało przyszyć do ubrania. Dostałem spodnie w paski i poplamioną krwią kurtkę mundurową Wehrmachtu. Skierowano mnie do bloku V, bloku młodocianych.

Kiedy pan sobie zdał sprawę, że to nie obóz pracy skoszarowanej, ale Konzentrationslager Auschwitz?

Pierwsze chwile w Oświęcimiu były nieprzejrzyste. Nie wiedzieliśmy, jakie są zamiary naszych prześladowców. Poranny apel trochę wyjaśnił. Trochę, ale nie wszystko. Po paru godzinach, z rozmów z więźniami przywiezionymi do obozu kilka tygodni wcześniej, dowiedziałem się, że Niemcy stosują metodę zmasowanego terroru. Mówiono o dręczeniu tzw. gimnastyką, o ciągłym upokarzaniu, o pracy, ciężkiej a bezproduktywnej... Tak jakby prześladowcy nie mieli żadnego planu, prócz chęci wymuszenia na nas całkowitej uległości.

To był pierwszy niemiecki obóz koncentracyjny na ziemiach Rzeczypospolitej w granicach z 1939 roku. Owszem, Polaków wywożono już wcześniej do Dachau, Gusen, Sachsenhausen, Ravensbrück, pewna grupa została uwięziona w Stutthofie, na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska, ale do lata 1940 roku na ziemiach Rzeczypospolitej żadnego obozu koncentracyjnego nie było. Można powiedzieć, że w tym czasie KL Auschwitz był dla Niemców swoistym polem doświadczalnym. Wybrali miejsce wilgotne, błotniste, o największej w Polsce ilości opadów. Na początku wykorzystali koszary austriackie z XIX wieku. Ciekawe, że Austriacy starszego pokolenia, ci którzy służyli w wojsku, używali nazwy Oświęcim. Auschwitz to wy-

myśl niemiecki, okupacyjny. Oświęcim był małym, spokojnym miasteczkiem zamieszkanym w połowie przez Żydów, w połowie przez Polaków. Przed 1939 rokiem w koszarach stacjonował pułk artylerii konnej, w którym – o czym dowiedziałem się później – odbywał staż podchorążacki Jan Kozielewski, czyli Karski. Ot, takie sobie miasteczko, jedno z wielu w Polsce. Dlatego trzeba odróżniać Auschwitz od Oświęcimia, koniecznie.

Kim byli współwięźniowie z transportu?

Z czasem dowiedziałem się, że obławy 19 września objęły Żoliborz, część Marymontu, kolonię Staszica, kolonię Lubeckiego, bliski Mokotów i Saską Kępe. W transporcie byli nauczyciele, urzędnicy, trochę osób z rodzin oficerskich i podoficerskich. Skład społeczny nieprzypadkowy. Odpowiadał niemieckim zamiarom złamania kręgosłupa inteligencji warszawskiej. Nas, najmłodszych, z roczników 1922–1925, zgrupowano w bloku młodocianych.

A czym się różnił ten blok od bloków dla dorosłych?

Tak jak inni byliśmy poddawani tzw. ćwiczeniom gimnastycznym, murze, wszystkim tym strasznym metodom łamania ludzi, ale w pierwszych dniach nie wysyłano nas do pracy. Starsi więźniowie po powrocie z robót mieli trochę czasu na odpoczynek, wtedy my musieliśmy uczyć się niemieckiego i ćwiczyć wykonywanie rozmaitych rozkazów.

Blokowym był więzień polityczny, Polak, o dosyć dwuznacznej postawie, Józef Baltaziński, zastępcą blokowego – więzień polityczny Jerzy Żarnowiecki. Żarnowiecki przeżył obóz, zginął po wojnie w jakiejś katastrofie. Schreiberem, a to ważna funkcja w bloku, był Janek Brumer, absolutnie przyzwoity młody człowiek, syn przedwojennego oficera, pilsudczyka, teatrologa Wiktora Brumera, który w tym czasie był w Anglii. Janek próbował ucieczki do Wojska Polskiego na Zachodzie. Został aresztowany, uwięziony gdzieś w południowej Polsce, chyba w Tarnowie. Potem przewieziono go do Auschwitz. Był przyzwoitym człowiekiem, ale – z drugiej strony – musiał postępować wedle rygorów narzuconych i sprawdzanych przez SS. Trudne zadanie, bo między pozorami stanowczości a szkodnictwem przebiegała bardzo cienka granica. Niektórzy blokowi i sztabowi przekraczali tę granicę, wyżywając się na współwięźniach.

Przez pierwsze dni niektórzy z nas żyli nadzieją rychłego zwolnienia.

Skoro zostaliśmy uwięzieni niejako przez przypadek, to – logicznie rzecz biorąc – jesteśmy kimś w rodzaju zakładników. To tylko rodzaj ostrzeżenia, po którym wyjdziemy na wolność. Nadzieja bezpodstawna, choć wzmocniona faktem uwolnienia po 13 października 1940 roku dziesiątków osób z transportów warszawskich w wyniku skutecznych interwencji różnych instytucji niemieckich, przedsiębiorstw i, być może, pośredników wręczających łapówki. Wśród zwolnionych byli między innymi Bohdan Korzeniewski i Eryk Lipiński, którzy jako pierwsi przekazali polskiemu podziemiu wiadomości o sytuacji w obozie. Eryk Lipiński był związany z socjalistyczną lewicą, Bohdan Korzeniewski z Klubem Demokratycznym i już działającym Związkiem Walki Zbrojnej. Korzeniewski pozostawił cenne, artystycznie znakomite świadectwo swych doświadczeń oświęcimskich, które zostało po dziesiątkach lat opublikowane w paryskich „Zeszytach Historycznych”, w wydawnictwie Instytutu Literackiego.

Ilu było więźniów w obozie pod koniec września 1940 roku?

Wraz z przybyciem i ponumerowaniem naszego transportu nieco ponad pięć tysięcy. Trzy miesiące później – ponad osiem tysięcy. Trzeba zwrócić uwagę, że wyjąwszy małą grupę kapo niemieckich, więźniowie byli Polakami chrześcijanami. Współwięźniów pochodzenia żydowskiego było niewiele. Niemcy jeszcze nie opracowali planów „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Tak więc koledzy pochodzenia żydowskiego byli wysyłani do Auschwitz z innych paragrafów, na przykład z powodu pełnienia przed wojną jakichś funkcji społecznych czy politycznych. W przypadku ujawnienia „niearyjskości” więźnia – do czerwonego winkła („Politisch Pole”) dodawano napis „Jude”, a później żółtą gwiazdę. Rozmawiałem z tymi ludźmi. Pamiętam ich pełne życzliwości głosy, które dziś mają w sobie coś z makabrycznego paradoksu: – My stąd wyjedziemy. Na pewno wydobędą nas Amerykanie. Ale co będzie z wami? Dobrzy koledzy, dodatkowo obciążeni „niearyjskim” pochodzeniem, byli przekonani, że los polskiej inteligencji będzie gorszy niż ich, ofiar doktryny rasistowskiej, bo nie ma siły, która ujęłaby się za polskim nauczycielem czy księdzem. To były złudzenia zrodzone przed wojną, które w stopniu skrajnym uwidoczniły się w czasie jawnej, planowej zagłady w latach 1942–1943. Ale ja opowiadam o 1940 roku, a w czasie wojny zmiany następowały szybko, ciągle coś się zmieniało. W 1940 roku Niemcy były sojusznikiem Związku Sowieckiego,

więc w KL Auschwitz nie osadzano jeszcze komunistów Polaków. Spotkałem natomiast komunistę Niemca, kapo, który polskich więźniów politycznych traktował przyzwoicie, nie bił, nie maltretował, nie krzyczał. Był więźniem od wielu lat. Niekiedy wdawał się w dyskusje z Polakami. Twierdził, że wojna skończy się klęską Niemiec i zwycięstwem światowego proletariatu. A ponieważ proletariat niemiecki – wyżej rozwinięty od proletariatu polskiego – jest czołowym oddziałem proletariatu światowego, to Polacy powinni liczyć się z faktem, że proletariat niemiecki będzie odgrywał rolę przewodnią. W obozie koncentracyjnym, w obliczu zagłady, ten dość przyzwoity człowiek nie umiał wyzbyć się wielkoniemieckiej pychy.

Polacy reprezentowali szeroki wachlarz poglądów i rodowodów politycznych. Endecy, socjaldemokraci, pilsudczycy. Był w tym czasie w obozie pod fałszywym nazwiskiem Stanisław Dubois. Potem wywieziono go do Warszawy, do gestapo. Po śledztwie wrócił do Auschwitz i został zabity. Pamiętam transport złożony z inteligencji i ziemian z regionu radomsko-kielecko-krakowskiego, w styczniu 1941 roku. W transporcie byli bracia Heydlowie. Profesor Adam Heydel, prawnik, historyk kultury, wybitny naukowiec z Uniwersytetu Jagiellońskiego, został aresztowany w listopadzie 1939 roku w sławnej akcji niemieckiej skierowanej przeciw profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zwolniony po paru miesiącach z obozu w Sachsenhausen, pojechał do brata, Wojciecha Heydla, który był właścicielem majątku w Kieleckiem. W styczniu 1941 roku obu aresztowało gestapo. Postać Adama Heydla wiąże się z jednym z moich najbardziej wstrząsających przeżyć obozowych. Mówię o wstrząsie, jaki przeżył osiemnastolatek, niedoświadczony, może naiwny, ale przecież już zahartowany zetknięciem z grozą. Miałem za sobą oblężenie Warszawy, upokorzenia, biedę, ale to wszystko była – jak się wtedy mówiło – kaszka z mlekiem w porównaniu z tym, co przyszło mi zobaczyć w obozie. W Auschwitz jeszcze nie było komór gazowych. Ludzie umierali z chłodu, głodu, od zastrzyków w serce i od bicia. Pozorny drobiazg: w studniach nie było pitnej wody, a przegotowanej nam nie dawano... Drobiazg, który zdecydował o życiu setek, a może tysięcy ludzi.

Czy Niemcy od początku zakładali metodyczne wyniszczenie więźniów?

KL Auschwitz był zaplanowany jako obóz najcięższej kategorii. Na początku podlegał dowództwu policji i SS we Wrocławiu. Stamtąd pocho-

dzili specjaliści założyciele. Potem doszło do rozmaitych reorganizacji, w wyniku których w maju 1940 roku komendantem obozu został Rudolf Höss, od 1934 roku nadzorca bloku w KL Dachau, później zaś oficer SS w KL Sachsenhausen. My o tym wszystkim nie wiedzieliśmy. Nieznane nam były zamiary prześladowców. Przeważał pogląd, że okres przewidzianego internowania (bo to obóz – mówili niektórzy – a nie więzienie) wynosić będzie trzy, może sześć miesięcy. Przecież przed wojną słyszało się o Dachau i innych obozach, w których hitlerowcy czasowo więzili Niemców, socjaldemokratów, komunistów, dziennikarzy, posłów do Reichstagu. Prasa angielska i francuska informowały o brutalnych praktykach SS, ale nikt nie pisał o obozach masowej zagłady. Pamiętałem z lektury „Robotnika” artykuły o „brunatnym niebezpieczeństwie”, najpierw w wydaniu frankistowskim, potem zaś hitlerowskim, ale ta wiedza miała charakter ułamkowy. Teraz przyszło mi skonfrontować ułamkową wiedzę z rzeczywistością.

Na ostateczną konfrontację długo nie czekałem. Tąpięcie nastąpiło 28 października. Tąpięcie fizyczne i psychiczne. Zaginął wtedy jeden z więźniów. W odwecie zapędzono nas na plac. Apel karny trwał kilkadziesiąt godzin. Staliśmy w chłodzie, na deszczu. Ludzie padali, nikt ich nie ratował, więc umierali. Trzeba było stać na baczność, nieruchomo, żeby przeżyć. Ten apel opisał Jerzy Andrzejewski w swoim słynnym opowiadaniu, na podstawie relacji, ale talent pisarza i jego rozumienie ludzkiej kondycji sprawiły, że gdy sięgam po jego tekst, to nie mogę uwierzyć, że został napisany przez kogoś, kto nie był w obozie i nie przeżył tamtych wydarzeń. Apel kosztował życie stu kilkadziesięciu osób. Ja wiem, że sto kilkadziesiąt osób w porównaniu z infernalnymi danymi statystycznymi drugiej wojny światowej brzmi dosyć niewinnie. Ale sto kilkadziesiąt osób na pięć tysięcy stojących na placu apelowym... Nie zostali zatłuczeni, nie zostali zastrzeleni. Po prostu umarli.

Byłem chudy, wątpy, niedożywiony, umęczony pracą...

Wspomniał pan, że w pierwszych dniach młodoci ani nie pracowali.

Potem było wszystko. I ciągnięcie walca drogowego. I noszenie koszów z ziemniakami, biegiem, zawsze biegiem. I kilkukilometrowe marsze z ceglami, po pięć cegieł w lewym ręku, to taka sadystyczna zabawa esesmanów. Wcześniej skierowano mnie do okładania darnią pagórka okrywają-

cego krematorium numer 1 w Oświęcimiu. Ten pagórek istnieje do dziś. Był wtedy utrzymywany w niezwyklej schłodności i czystości. Wycinało się łopata kwadraty darni, wiozło się taczka, potem pieczołowicie okładało pagórek. Praca byłaby prosta, byłaby zdrowa, bo na świeżym powietrzu, gdyby nie ciągle poszturchiwanie, bicie, chłód i głód. W odległości kilku metrów ode mnie przechodzili ludzie z Leichenkommando. Nosili zmarłych do krematorium. Wtedy, na początku października 1940 roku, trupów nie było dużo. Śmiercią naturalną umierało dziennie kilka do kilkunastu osób.

Jak pan definiuje śmierć naturalną?

Że nie został zastrzelony, nie roztrzaskano mu czaszki pałką, nie zadławiono trzonkiem łopaty. Umarł. Chory. Uderzony. Trupa odnoszono do krematorium, palono na rusztach. Te ruszty zachowały się do dziś. Potem, kiedy zaczęło się masowe mordowanie w komorach gazowych, zbudowano nowe krematoria w Auschwitz-Birkenau, w Brzezince. O tym opowiada wiele relacji, w tym powszechnie znane relacje Tadeusza Borowskiego. Ale w czasie, o którym mówię, było tylko krematorium nr 1. Początkowo rodziny mogły otrzymywać – odpłatnie – urny z prochami zmarłych. W tych urnach były zmieszane prochy kilku, niekiedy kilkunastu ludzi, ale po wyjściu z obozu namawiałem rodziny zmarłych więźniów, żeby składały zamówienia, bo przecież to mimo wszystko rodzaj grobu, rodzaj jakiegoś śladu. Nikt nie chce być zapomniany... Potem przyszedł ten apel październikowy. Krematorium nie nadążało z szybkim spalaniem stukudziesięciu zwłok. Dym unosił się nad pagórkiem obłożonym darnią, trochę w lewo od bramy *Arbeit macht frei*. Ile razy przyjeżdżam do Oświęcimia, tyle razy przypominam sobie osiemnastoletniego Bartoszewskiego, który tam trząsł się ze strachu i z zimna.

Użył pan słowa „tąpnięcie”. To słowo oznacza rozpad...

Niech pan sam oceni. 12 grudnia, w czasie pracy przy czyszczeniu ciegieł straciłem przytomność. No, cóż, w tych warunkach normalne. Byłem wycieńczony, pokaleczony, zbolący. To zgodne z normą oświęcimską. Tak jak normalne byłoby, gdybym zginął pod uderzeniem pałki albo od przydeptania gardła butem kapo. Dziwną rzeczą było, że więźniowie zanieśli mnie do *Krankenbau* i położyli przy schodach. Nie mogli zro-

bić nic więcej, bo musieli natychmiast wrócić do pracy. Uratowali mi życie.

To byli pana przyjaciele?

Nie. Obcy ludzie.

W znanych mi relacjach oświęcimskich *Krankenbau* nazywany jest szpitalem obozowym...

Prawda zawiera się w samej nazwie. Szpital po niemiecku to *Lazarett* albo *Krankenhaus*. *Krankenbau* to dom chorych. Izba chorych. Bez wyposażenia. Z ograniczoną ilością leków. Ale pracowali tam więźniowie polityczni, uczciwi polscy lekarze, którzy co dzień musieli zmagać się nie tylko z terrorem SS, nie tylko z brakiem środków medycznych, ale też z zasadniczymi problemami natury etycznej. Kogo ratować? Komu pozwolić umrzeć? A ja byłem bliski śmierci. Nie miałem siły, by unieść powieki. Usłyszałem dialog prowadzony po polsku, niepewny, czy śnię, czy jestem na jawie. „Głos I: – Bierzemy go? Głos II: – Nie, już nie ma po co! Wtedy chyba poruszyłem głowę, a może otworzyłem oczy. Głos I: – A ty kto jesteś? Ja: – Maturzysta, student. Głos I: Skąd? Ja: – Z Warszawy. Głos I: Ojciec kto? Ja: – Urzędnik bankowy. Wtedy słyszę: – Inteligent! Weźmy go! Potem słowa, których nie pamiętam, i znów głos I, ten dla mnie życzliwy, dobry: – Może przeżyje... może będzie wiedział...”. Straciłem przytomność.

Obudziłem się spocony, brudny. Obok mnie leżał bez ruchu jakiś więzień. Łóżko metalowe, trzypiętrowe, wąskie, z cienkim, niezmiennym od dawna siennikiem. Okazało się, że byłem nieprzytomny dziesięć dni. W tym czasie koledzy karmili mnie, przynosili na kibel, myli...

Koledzy z *Krankenbau*?

Przedtem ich nie znałem. Zaopiekowali się nieprzytomnym chłopcem. Obaj z Warszawy. Witold Kazimierczak z tego samego co ja transportu i Stanisław Tyliński, PPS-owiec z Żoliborza. Dzięki nim powróciłem do życia. Dzień później była Wigilia. Pierwsza w moim życiu Wigilia obchodzona w nienormalnych warunkach. Nie ostatnia. Ale też trzeba przyznać, że szpital miał szereg zalet. Nie pracowałem. Było dosyć ciepło. Nikt mnie nie bił. Opiekowali się nami polscy lekarze i polscy studenci medycyny, sa-

nitariusze zwani pielęgnierami. Byli wśród nich ludzie wrażliwi, medycy z powołania. Byli też inni, gorsi, jak to między ludźmi, ale o nich nie będę mówił. Chcę mówić o tych, którzy postanowili, że pozostaną w szpitalu z uwagi na to, co w języku medycyny nazywane jest furunkulozą (*furunculosis*). Miałem wrzody na piersiach, plecach, na brzuchu, udach, na karku, pod pachami. Organizm całkowicie zainfekowany. Gdybym w tym stanie został skierowany do pracy, prawdopodobnie umarłbym po paru dniach. Byłem beneficjentem ludzkiej dobroci.

Doktor Nowak. Tak nazywał się lekarz, który mnie uratował. Szukałem go po wojnie, chcąc podziękować. W szpitalu przy ulicy Litewskiej w Warszawie spotkałem innego lekarza o tym samym nazwisku, który też był w Auschwitz. Od niego dowiedziałem się, że „mój” doktor Edward Nowak został przewieziony do obozu w Majdanku i tam zmarł, zaraziwszy się tyfusem plamistym. To on przekonał swego rozmówcę, że jednak powinienem zostać przyjęty... A rozmówcą był, jak sądzę, naczelnny lekarz, dr Władysław Dering, o którego postawie, zachowaniu w obozie toczyły się dyskusje... Teraz nie będę w to wnikał.

Po wojnie był bohaterem głośnego procesu... Mówiono o jego współudziale w eksperymentach medycznych w Auschwitz.

Był Polakiem, więźniem politycznym. Dziś wiadomo, że działał w tajnej organizacji Witolda Pileckiego. Stawał co dzień przed strasznymi dylematami. Kogo ratować? Tego, co cierpi, czy tego, kto ma szansę przeżycia? Ulitować się nad starszym człowiekiem i pozwolić mu godnie umrzeć, czy skazać go na skonanie i ratować kogoś innego, młodszego? Wykonać rozkaz esesmana czy odmówić, z pobudek moralnych, i wydać na samego siebie wyrok śmierci? Tego nie rozstrzygnie w sposób jednoznaczny żaden ludzki sąd. My przeżyliśmy, po prostu przeżyliśmy, więc stosunkowo łatwo przyszło nam uporać się z dwuznacznością moralną decyzji, które nam uratowały życie. Refleksje przychodziły później.

W szpitalu były dwa oddziały, które Niemcy traktowali z pewnym lękiem. Starali się obchodzić z daleka. Jeden to był oddział chorób skórno-wenerycznych, w którym obok ludzi z *folliculitis*, *furunculosis* czy flegmoną leżeli też syfilitycy w ostatnim stadium, z ciekącymi ranami, obok zaś mały oddział chorych na jądlicę. Potem wybuchły epidemie róży i dyfterytu. Niemcy z właściwym sobie zmysłem porządkowym wszystko

połączyli, tak więc byliśmy razem: skórni, tacy jak ja, chorzy na jaglicę, różę, dyfteryt i chorzy na syfilis. W tym miejscu przeżyłem zimę. Jak tam było? Opisał te sprawy Wiesław Kielar (nr obozowy 290) w *Anus mundi*, najlepszej, moim zdaniem, książce ukazującej obóz męski w Auschwitz 1, tak jak proza Borowskiego wiernie ukazuje wydarzenia w Auschwitz-Birkenau w latach 1943–1944, a *Dymy nad Birkenau* Seweryny Szmaglewskiej przedstawiają życie kobiet w Birkenau w 1943 roku. Nie opiszę tego lepiej niż moi starsi, nieżyjący już koledzy...

Miał pan opowiedzieć o Adamie Heydlu...

W marcu 1941 roku dowiedziałem się, że w boksie na pierwszym piętrze, tuż obok mnie, leży profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Adam Heydel. Był chory na dyfteryt, miał wysoką temperaturę. Lekarze robili wszystko, by go uratować. Odzyskał przytomność. Wydawało się, że wyzdrowieje. Regulamin zakazywał kontaktów między chorymi, ale odwiedzałem go. Był człowiekiem o rozległych horyzontach. Profesor prawa, napisał cenioną monografię o Jacku Malczewskim, chyba jedną z najciekawszych po dziś dzień. Znałem jego broszurę *Myśli o kulturze*. Zrozumiałe więc, że chciałem się czegoś odeń dowiedzieć, jemu zaś było przyjemnie, że w tym piekle jest kandydat na studenta, który odnosi się z szacunkiem do profesora, coś tam przeczytał, chce wiedzieć więcej. Przychodziłem do niego w kalesonach i koszuli, bo odzież nam zabrano, siadałem na skraju jego łóżka, rozmawialiśmy. Uderzyło mnie jego zainteresowanie Norwidem.

A pana, jeśli dobrze pamiętam, twórczość Norwida nie za bardzo...

A wie pan, to ciekawe, że później spotykałem ludzi nauki, którzy nie będąc polonistami znali na pamięć jego wiersze. Był taki profesor matematyki, któremu pomagałem jako „niearyjczykowi”. Miał sporą wiedzę o Norwidzie. Cytował całymi strofami... Wróćmy do profesora Heydla. Czternasty dzień marca 1941 roku, dzień, którego nie zapomnę do końca życia. Padał śnieg z deszczem, był silny wiatr, paskudna pogoda. Byłem u profesora Heydla. Nagle usłyszeliśmy dochodzące z parteru ryki esesmanów. Odskokczyłem za przepierzenie, do mojego boks. Weszli do Heydla. Usłyszałem pytanie: – *Lager nummer?* Odpowiedział. *Name?* Odpowiedział. Zabrali go, tak jak leżał, w koszuli i kalesonach. Wkrótce dowiedzia-

lem się od sanitariuszy, którzy pracowali przy oknach... Obowiązywał zakaz wyglądania z okien... Więc oni widzieli profesora Heydla w kalesonach i koszuli, prowadzonego z rękoma związanymi drutem. Usłyszeliśmy salwę. Rozstrzelano grupę polskich inteligentów. Egzekucja została wykonana na żwirowni. To było miejsce zagłady Polaków. Innych więźniów 14 marca 1941 roku w KL Auschwitz nie było. Potem okazało się, że rodzina otrzymała depezę informującą, że w Auschwitz zmarli obaj bracia Heydlowie. Otóż Wojciech Heydel też leżał w *Krankenbau*. Obaj o sobie nie wiedzieli. Adam zginął na żwirowni. Tego samego dnia Wojciech umarł w szpitalu.

Czy dochodziły do pana jakieś wiadomości ze świata zewnętrznego?

Można było dostać kawalek gazety... Zdarzały się egzemplarze „Ostdeutscher Beobachter”, „Kattowitzer Zeitung”, bardzo rzadko „Völkischer Beobachter”. W ten sposób na początku kwietnia dowiedziałem się o inwazji Hitlera na Jugosławię. Bardzo to było przygnębiające. Nastal Wielki Tydzień. We wtorek 8 kwietnia stanąłem przed lekarzami. Powiedzieli mi półszepem, że za chwilę przyjdzie lekarz Niemiec, będzie pytał o mój stan zdrowia: – Masz odpowiadać, że nic ci nie dolega. – Ale przecież... – zaprotestowałem. Oni na to: – Jesteś zdrowy. Tak masz odpowiadać. Przypudrowali mi wrzody, czymś tam jeszcze posmarowali. Pojawił się lekarz w fartuchu, spod którego wystawał mundur. Lekarze Polacy zaczęli zadawać pytania po niemiecku: – Czy jesteś zdrów? Odpowiadam, że tak. Jestem trochę osłabiony, bo byłem długo w szpitalu, może trochę za długo. Pokiwali głowami. – Czy jesteś gotów do normalnej pracy? Odpowiedziałem, że tak, jestem gotów...

Czy domyślał się pan, jakie będą następstwa tej rozmowy?

Nie.

Nie odczuwał pan lęku? Pytam, bo ze znanych mi relacji więźniów Auschwitz wynika, że niektóre z takich spotkań z niemieckimi lekarzami kończyły się tragicznie. Na przykład w 1941 roku więźniowie chorzy na gruźlicę i więźniowie inwalidzi mający protezy rąk i nóg dowiedzieli się od lekarzy, że wyjadą do sanatorium pod Dreznem. Wszyscy zostali zagazowani w Sonnenstein.

Byłem zdezorientowany. Co mnie czeka? A czy miałem jakiś wybór? Żadnego. Zresztą wkrótce zaprowadzono mnie do głównej kancelarii obozu. Otrzymałem do podpisania drukowaną deklarację, że nie mam żadnych pretensji ani roszczeń do władz obozu, czuję się zdrowy i przyjmuję do wiadomości, że wszelkie działania przeciw Rzeszy będą surowo karane. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był to formularz stosowany w Niemczech przed wojną w stosunku do więźniów w Dachau czy Sachsenhausen, komunistów, socjaldemokratów, którzy często po paru miesiącach znów byli wysyłani do kacetów. Dostałem zaświadczenie zwolnienia z obozu, *Entlassungsschein*, z nakazem zgłoszenia się po przyjeździe do Warszawy w siedzibie gestapo w alei Szucha.

I w ten sposób 8 kwietnia 1941 roku wraz z trzema innymi zwolnionymi powędrowałem z obozu na dworzec kolejowy w Oświęcimiu. Padał śnieg z deszczem. Zimno. Na szczęście w magazynie zachowała się moja jesionka. Konwojował nas szeregowy esesman, który, ku memu zdziwieniu, uprzejmie zapytał, czy mam rodziców. – Mam. – O, to matka się ucieszy! – powiedział. I dopiero gdy usłyszałem jego słowa, dotarła do mnie świadomość, że zostałem zwolniony. Doszliśmy do dworca. Esesman podszedł do kasy, załatwił jakieś formalności, wsadził nas do pociągu, powiedział, że mamy przesiadkę w Katowicach i że nie wolno nam z nikim rozmawiać. Potem sobie poszedł. Pociąg ruszył.

Wycieńczony, z ogoloną głową... Czuł pan na sobie spojrzenia pasażerów?

Na peronie ludzie trzymali się od nas z daleka. Przestraszeni. W naszym przedziale były dwie nastolatki. Jedna z nich zapytała, czy jesteśmy z obozu. – Może... Wyjęła kanapkę z serem. Powiedziałem, że dziękuję, ale to przecież na pewno żywność z kartek... – Nie, nie, proszę nie odmawiać. Podzieliliśmy kanapkę na cztery części, zjedliśmy. W Katowicach weszliśmy do bufetu. Na nasz widok kelner mówi: – *Nür für Deutsche!* Ale skąd jesteście? – Z obozu! Zaprowadził nas do korytarza kuchennego, przyniósł herbatę. Wreszcie coś ciepłego do picia.

Z kim pan został zwolniony?

8 kwietnia zwolniono osiem osób. Do Warszawy jechałem z Frydrychem, synem pracownika Banku Polskiego, jakimś urzędnikiem i z kup-

cem z Ochoty. Przyjechaliśmy na Dworzec Główny. Był wieczór, tuż przed godziną policyjną. Dorożkarz nie chciał jechać na ulicę Słowackiego. Za daleko. Mówię: – Panie, jestem z obozu, z Oświęcimia, muszę jechać do matki. Ruszył w stronę Wisły. Zdziwiłem się. Wyjaśnił mi, że woli jechać lukiem, żeby ominąć getto. Tam już stał mur strzeżony przez Niemców i policję.

Wszedłem do domu. Matka, jak to matka, we łzach. Wyglądała nawet dobrze, w zasadzie nie zmieniła się, tylko że na środku głowy, przy przedziałku, zobaczyłem pasmo siwych włosów. Miała wtedy 43 lata...

Czy pamięta pan pierwszy poranek po powrocie z Auschwitz? Radość? Ulga? Uspokojenie?

Narastająca, coraz silniejsza, obsesyjna myśl, że zostawiłem ludzi dzielnych, przywoitych, skazanych na śmierć. Oni tam przecież umierają! I jak to się stało, że zostałem zwolniony? W jaki sposób? Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć. Okazało się, że matka czyniła starania przez kolegę z elektrowni, pana Bryła, który podpisał volkslistę, ale wobec starych znajomych zachowywał się koleżeńsko. Pan Bryl twierdził, że interweniuje, gdzie trzeba, i że jego wyjaśnienia zostały wysłuchane, więc nie należy tracić nadziei. Byli również oszuści powołujący się na znajomości, kanciarze, którzy chcieli wyludzić pieniądze, ale rodzice takich pieniędzy nie mieli. Ojciec – mimo sceptycyzmu matki – podjął starania, aby na listach interwencyjnych Polskiego Czerwonego Krzyża kierowanych drogą służbową do władz niemieckich podano moje nazwisko jako omyłkowo uwięzionego współpracownika PCK. Starał się też o interwencję w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu w Genewie. I wydaje mi się, że właśnie dzięki temu zostałem zwolniony. Nie figurowałem w kartotekach gestapo ani na żadnych „czarnych” listach przygotowanych przez Niemców przed wojną. Ponadto wiosną 1941 roku Niemcy zaczęły wykonywać jakieś gesty wobec Polaków. Szykowali się do agresji na ZSRR pod hasłem „obrony chrześcijańskiej Europy”. Wtedy nastąpiły zwolnienia. Potem, gdy Auschwitz stał się obozem zagłady, *Vernichtungslager*, zwolnień było bardzo mało. Proszę sobie wyobrazić, że na wolność wychodzi Tadeusz Borowski i zaczyna pisać o tym, co widział w Birkenau, o komorach gazowych, o ludobójstwie. Ta wiedza miała pozostać w ukryciu.

A co do poranka... Nie mogłem wstać. Byłem wyczerpany. Zbolały. Rodzina zawiozła mnie dorożką w pobliże alei Szucha, miałem przecież zameldować się w gestapo. Przyjęto mnie bardzo grzecznie. – Proszę siadać! Szokujące wrażenie w porównaniu z tym, jak byłem traktowany niespełna dwa dni temu. Podoficer przybił jakąś pieczętkę, coś zapisał, przekazał papiery tłumaczowi, który pyta: – Jak pan się czuje? A czułem się okropnie, półprzytomny. – Jestem trochę zmęczony – odpowiedziałem. – Czy pan zgłasza jakieś zażalenia? Mówię, że w obozie dano mi do podpisu stosowne oświadczenie. – No to w porządku. Gdyby były jakiegokolwiek problemy, proszę nas poinformować. Niech pan idzie drogą przepisaną przez prawo i zgłosi się do Arbeitsamtu.

Na schodach natknąłem się na dwóch kolegów-więźniów, Frydrycha i kupca z Ochoty. To było nasze ostatnie spotkanie. Wiem, że Frydrych uciekł z Warszawy i zginął w partyzantce.

Rodzina czekała na mnie przy placu Unii Lubelskiej. Z siedziby gestapo musiałem przejść kilkaset metrów. Do domu wróciliśmy dorożką. Położyłem się do łóżka. Na półtora miesiąca.

Nawrót choroby?

Raczej dalszy ciąg. Nowy rzut furunkulozy i ogólne zakażenie krwi. Jeden z lekarzy obozowych zdążył podać mi nazwisko dobrego dermatologa w Warszawie. Doktor Waclaw Bernhard, brat profesora Roberta Bernharda, ordynatora u św. Łazarza, mieszkał przy Miodowej. Matka zatelefonowała do niego. Powiedział, że nie składa wizyt domowych. A matka, jak to kobieta w rozterce, powiada, że jest w beznadziejnej sytuacji, musi pracować, nie może zająć się synem, który właśnie wrócił z Oświęcimia. Na to doktor Bernhard zapytał o adres. Zjawił się niebawem, obejrzał mnie i zapłakał. Widziałem łzy. Proces leczenia był długi. Trzeba było stosować autoszczepionkę. Byłem zainfekowany gronkowcem. Doktor Bernhard leczył mnie bezpłatnie. Zastrzyki i masaże robiła mi – też bezinteresownie – sąsiadka, pani Stanisława Popławska, zawodowa pielęgniarka. Wiadomość o moim powrocie wzbudziła spore zainteresowanie wśród sąsiadów. Z naszego domu liczącego siedemdziesiąt mieszkań wywieziono do Auschwitz czteremastu mężczyzn. Czterech wróciło. Byli to Bohdan Korzeniewski, artysta malarz Wielhorski, młody Andrzej Kamiński i ja. Inni zginęli.

Czy miał pan jakiś kontakt z rówieśnikami?

Z niezwykle dziewczyną. Hanką Czaki. Znałem ją tylko przelotnie, na podwórku mówiło się – Cześć! – Cześć!, no, tyle. Dowiedziawszy się, że jestem chory, przyszła do mojej matki, oferując pomoc. Mówię o niej z ogromnym wzruszeniem. Nie przeżyła wojny. Zginęła męczeńsko w 1944 roku, torturowana przez gestapo – nie wydała tajemnic organizacyjnych. Była harcerką, absolwentką żoliborskiego liceum Aleksandry Piłsudskiej, studentką socjologii na tajnym uniwersytecie. Jednocześnie zaś – o czym dowiedziałem się później – była osobistą sekretarką i łączniczką kierownika Wydziału Informacji w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej, inżyniera Jerzego Makowieckiego „Tomasza”, kapitana rezerwy Wojska Polskiego, działacza Klubu Demokratycznego.

Ojciec Hanki, pan Tytus Czaki, były bojowiec PPS, Sybirak, piłsudczyk, przed wojną prezydent Włocławka i Brześcia, pracował wtedy na bardzo skromnej posadce w wydziale aprowizacji zarządu miejskiego. Matka pochodziła z krakowskiej rodziny Dobrowolskich. Jej siostra działała w Klubie Demokratycznym i w „Żegocie”. Państwo Czaki mieszkali w tym samym domu co my, a to było ważne z uwagi na ściśle przestrzegany nakaz godziny policyjnej. W zasadzie po zmroku nie wolno było wychodzić. Życie towarzyskie, życie społeczne mogło się rozwijać w obrębie budynku. Po wyzdrowieniu często gościłem w mieszkaniu państwa Czaki. Gospodarz opowiadał o swej działalności w PPS przed pierwszą wojną światową, o ucieczce z Syberii. Niekiedy czytaliśmy komunikaty z nasłuchów radiowych.

A wracając do życia społecznego... W tamtych czasach Żoliborz był szczególną dzielnicą. Niemcy pojawiali się tu rzadziej niż w Śródmieściu. Było spokojniej, a co najważniejsze: Żoliborz był s w ó j. Można było pewniej rozmawiać z ludźmi. Łatwiej było wykryć donosicieli. Dlatego w blokach Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, w domach na Żoliborzu „oficerskim”, „dziennikarskim” i „podoficerskim” po zamknięciu getta znaleźli schronienie Mieczysław Jastrun, Kazimierz Brandys, Adolf Rudnicki, wyliczam znanych pisarzy, a przecież prócz nich także liczna grupa inżynierów, nauczycieli, lekarzy „niearyjskiego” pochodzenia.

W jaki sposób dowiedział się pan o konspiracyjnym zaangażowaniu Hanny Czaki?

Na początku wiedziałem, że jest harcerką. I że pracuje jako opiekunka emerytów. No, ale to normalne. Harcerka, więc udziela się społecznie. Była bardzo powściągliwa. Zachowywała ściśle reguły konspiracji, ja zaś nie zadawałem pytań. Przynosiła mi prasę podziemną, rozmawialiśmy, aż pewnego dnia zeszło na moje doświadczenia obozowe. Zaczęła przynosić małą maszynę do pisania. Trzymała ją na kolanach, ja dyktowałem. Hanka zadawała dodatkowe pytania. Relacja była gotowa latem 1941 roku. Minęło kilkanaście miesięcy. Wiosną 1942 roku, na Wielkanoc, dostałem od Hanki powielaną broszurę *Oświęcim. Pamiętnik więźnia*, wydaną przez Kopr. Pytam, kto to taki. Hanka odpowiada ogólnikowo, że jakaś grupa ludzi utworzyła komisję zajmującą się dokumentacją. Później dowiedziałem się, że Kopr był skrótem od Komitetu Propagandy, którym kierował Aleksander Kamiński. Wstęp do broszury wyjaśniał, że pamiętnik został znaleziony wśród notatek młodego człowieka, który przypadkowo znalazł się w Oświęcimiu, zachorował i zmarł. Hanka mówi: – Przeczytaj! Mówiliśmy sobie na „ty”, co wtedy jeszcze nie było powszechne w relacjach koleżeńskich. Czytam i widzę, że tekst jakoś znajomy. Mój tekst, z wstawionymi tu i ówdzie zdaniami, ze scenkami inaczej przeze mnie opowiedzianymi. Więc następnego dnia: – To jest to, co zapisałaś. A ona mówi: – No, powiedzmy, że w pewnym stopniu... Może ktoś przeczytał tamtą relację i na jej podstawie...

Czy pan wie, kto był autorem broszury?

Dowiedziałem się znacznie później. Tekst przerabiała i redagowała Halina Kraheńska, dziennikarka, działaczka społeczna związana z socjaldemokracją, później z Klubem Demokratycznym. Zginęła pod koniec wojny w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Po wojnie jej córka, Myszka Kraheńska, opowiadała mi, że matka otrzymała moją relację jesienią 1941 roku. Była bardzo przejęta. Pracowała nad tekstem tak, aby ukryć postać narratora, uniemożliwić jego identyfikację. Wiem, że streszczenie mojej opowieści trafiło do Londynu już latem 1941 roku. Ale w chwili wydania broszury, a więc w 1942 roku, w Oświęcimiu nastąpiły zmiany. Przyjechały transporty żydowskie, wymordowano gazem pruskim grupę Polaków i jeńców radzieckich...

Byłem jednym z pierwszych, którzy dali świadectwo funkcjonowania KL Auschwitz I do wiosny 1941 roku. Wiedziałem, że obóz będzie rozbudowany, bo na terenie Brzezinki pracowały już grupy więźniów. Tłumaczyliśmy to

sobie na przykład tak, że będą masowe aresztowania albo że będą przywozić jeńców wojennych. I rzeczywiście, potem do Oświęcimia trafiło 17 tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej. Ale trudno było wówczas sobie wyobrazić, że rozbudowa obozu wiąże się z realizacją planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, tego planu, który – jak dziś wiemy – miał być zatwierdzony w szczegółach w styczniu 1942 roku na konferencji w Wannsee. Wiosną 1941 roku to było niewyobrażalne zarówno dla nas, jak i dla Żydów zamkniętych w gettach. W latach sześćdziesiątych zapytałem zaprzyjaźnionego ze mną Władysława Szpilmana, bohatera *Pianisty*, co w 1941 roku albo w 1942 roku ludzie w getcie wiedzieli o Oświęcimiu. – Nic – odpowiedział. – Zupełnie nic. A jak ci ktoś mówi inaczej, to kłamie. Nic nie wiedzieliśmy, bo nic nas to nie obchodziło. – Jak to? Dlaczego? – pytam. – Bo nikt nie mówił, że Żydom zagraża wywózka do Auschwitz. Słyszeliśmy o obozach pracy w lasach albo przy melioracji, o robotach w fabrykach, dochodziły potem wiadomości o Treblince, ale o Oświęcimiu nie słyszeliśmy.

W czasie rozmów ze Szpilmanem uświadomiłem sobie, jak bardzo zróżnicowane było postrzeganie rzeczywistości okupacyjnej przez rozmaite środowiska. Można mieszkać w tym samym mieście, być zagrożonym przez ten sam system, ale w różnym natężeniu – i inaczej rozumieć świat. Prawdopodobnie człowiek nie umie, nie może żyć w ciągłym przewidywaniu, że spełni się najgorszy wariant losu. Myślę, że ktoś, kto w okupacyjnej Warszawie w nic się nie mieszał, miał dobrą pracę i mocne dokumenty, mógł przez pewien czas ufać, że jest bezpieczny. Przez pewien czas, aż do momentu, gdy rozpoczęły się oblawy i egzekucje uliczne. Weźmy przykład rodziny Schiele, tych od browaru Haberbusch i Schiele. Siedemnastoletni Schiele został w 1943 roku złapany na ulicy, postawiony pod murem i rozstrzelany. Żadnych związków z podziemiem. Dobre dokumenty. Komu by wpadło do głowy, że chłopiec idący spokojnie ulicą zostanie rozstrzelany? O tej sprawie opowiedział mi pan Schiele, z którym siedziałem w komunistycznym więzieniu, mam więc wierną relację. No tak, jeden z synów służył w Anglii, w lotnictwie, ale reszta rodziny zajmowała się browarem i niczym więcej...

Kiedy pan zaczął wychodzić z domu?

W czerwcu. Chodziłem na serię zastrzyków do doktora Bernharda, na Miodową. W południe 23 czerwca 1941 roku robił mi zastrzyk dożylny.

Stałem przy otwartym oknie. Nagle rozległ się dziki łomot, wstrząs, wibracje. Bomby? Lekarzowi drgnęła dłoń, poharatał mi żyłę, zaczął przeproszać, tłumaczył się. Rzeczywiście – bomby z samolotów sowieckich. Jedna spadła przed apteką Wendego, mniej więcej tam, gdzie dziś stoi Dom Literatury, druga na tramwaj. To była manifestacja woli oporu ZSRR, bez znaczenia wojskowego, ale propagandowo ważna, zauważona w Warszawie, komentowana.

Czy wtedy, bezpośrednio po wyjściu z obozu, zadawał pan sobie pytania dotyczące zróżnicowanych postaw wśród więźniów... Od heroizmu i solidarności po upadek... *Anus mundi!*

Dyktując relację, przytaczałem przykłady oporu... Na przykład, że ktoś odmówił wykonania rozkazu bicia współwięźnia. Ale mówienie o tych sprawach nie było łatwe. A co dopiero pogłębiona refleksja! Przecież ja nigdy nie powiedziałem rodzicom o szczegółach życia obozowego.

A rówieśnikom?

Uważałem, że są dziećmi. Że trzeba im tego oszczędzić. Kto mógł przewidzieć, że Hanka Czaki przejdzie przez piekło śledztwa w gestapo i zostanie stracona? Nie... W czasie, gdy dyktowałem relację, odwiedził mnie ksiądz Roman Archutowski, wtedy rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Warszawie, mądry, wrażliwy. Pytał o postawy... Zginął potem na Majdanku. Przyszedł też mój ukochany wychowawca dr Tadeusz Mikulowski, przyszły więzień Oświęcimia. Byłem pierwszym źródłem informacji o miejscu, w którym człowiek staje się bezwolnym przedmiotem. Krahelska to rozumiała. Rozmawiałem też z profesorem Marią Ossowską. Sporo opowiadałem o Auschwitz Zofii Kossak. Była wielką pisarką, doświadczonym człowiekiem. Potem sama znalazła się w obozie. Tak, dane mi zostało coś zupełnie wyjątkowego. Byłem jednym z nielicznych, którzy mogli dać świadectwo prawdzie. To są przypadki, które można policzyć na palcach jednej ręki. W Krakowie był Juliusz Kydryński, brat Lucjana. Trafił do Oświęcimia z łapanki kawiarnianej. Po wyjściu powiedział o wszystkim swemu przyjacielowi, Karolowi Wojtyśle. Nie wiem, kto był informatorem Jerzego Andrzejewskiego. Dziwne, że żaden historyk literatury nie zbadał źródeł, z których korzystał autor *Apelu*.

Opowiadanie bywa skutecznym instrumentem terapii... Wiem, że w Holandii stosowano tego rodzaju metodę wobec byłych więźniów dotkniętych KZ-syndromem. Mówili do kamery, potem oglądali samych siebie na ekranie. Podobno pomagało...

Mnie nie pomogło. Wciąż czułem na sobie ciężar nie do uniesienia. Chyba coraz większy... Z poczucia obowiązku odwiedziłem kilka rodzin więźniów, którzy zginęli w obozie. Moja szczerość spotykała się z niechęcią, z niewiarą, z podejrzliwością. – Co pan opowiada, przecież mój mąż był w chwili zatrzymania okazem zdrowia! A ja wiedziałem, że odbito mu nerki, żonie zaś wysłano depezę, że zmarł wskutek uremii. Takie spotkania były wyjątkowo bolesne. Przychodziłem w najlepszych intencjach, nie bez ryzyka, bo przed wyjściem z obozu podpisałem deklarację milczenia. To był dla mnie straszny okres. Złapałem się na tym, że słysząc stuk podkutych butów, wtulałem głowę w ramiona w oczekiwaniu na uderzenie. Odruch warunkowy. Zauważyli to moi koledzy ze studiów, bo jesienią 1941 roku zacząłem studiować na tajnym uniwersytecie, więc koleżanki i koledzy zauważyli ten odruch, o hańbo! on ma jakieś lęki! To byli naprawdę przyzwoici ludzie, pełnowartościowi polscy inteligenci, że przypomnę Tadeusza Gajcego czy Zdzisława Stroińskiego, ale nie mogli zrozumieć, co się ze mną dzieje. Nie byli w stanie. A byłem straszliwie samotny. Ciężar zbyt wielki na moje wątłe barki, a były rzeczywiście wątłe, bo przy stu osiemdziesięciu czterech centymetrach wzrostu ważyłem piętnaście kilogramów poniżej normy. Zaryzykowałem raz rozmowę z wykładowcą nauk pomocniczych, metodologii, bibliografii, doktorem Tadeuszem Wiwatowskim, który – jak okazało się potem – był jednym z organizatorów Kedywu Okręgu Warszawskiego. Starszy ode mnie o sześć czy siedem lat. Ulubiony uczeń profesora Juliana Krzyżanowskiego. Poległ na Stawkach w czasie Powstania Warszawskiego. Rozmowa, przy okazji egzaminu, trwała kilka godzin. Pytał mnie o Oświęcim, chciał mi jakoś pomóc, doradzić. Powiedział, że trzeba czynnie przeciwstawić się złu. No cóż, ze strony żołnierza Kedywu była to uwaga całkiem zasadna.

Wyzwolenie przyszło latem 1942 roku. Trafiłem wtedy na człowieka, który odegrał zasadniczą rolę w moim życiu. Niezwykłego człowieka. Ksiądz Jan Zieja liczył sobie wówczas czterdzieści kilka lat. Miał szczupłą, ascetyczną twarz, wysokie, lekko lysiejące czoło i spojrzenie kogoś, kto przebywając w naszym, doczesnym świecie jest jednocześnie obecny

w świecie wartości wiecznych. Odbyłem u niego spowiedź. Uprzytomnił mi to, co teoretycznie powinienem był rozumieć sam z siebie, że skoro przeżyłem i jestem na wolności, to mam nad innymi przewagę wiedzy o zlu tego świata, a jednocześnie – tym większy spada na mnie obowiązek. – Bóg chciał, żebyś przeżył, po co? – jak myślisz? – mówił. – Nie po to, żebyś się nad sobą litował, ale po to, żebyś był świadkiem prawdy. Żebyś wiedząc, że istnieje tak straszne zło, upewnił się, że musi istnieć dobro. Są wokół nas ludzie nieszczęśliwi, cierpiący. Trzeba im pomóc! Więc ja, pamiętam, dość naiwnie zapytałem przy konfesjonale: – Ojczy, ale kim ja jestem? Nie mam pieniędzy, znajomości i wpływów... Jak znajdę tych ludzi? Odpowiedział: – Sami do ciebie przyjdą, tylko nie schodź im z drogi. Otwórz oczy. Rozejrzyj się wokół. Czy wiesz, co dzieje się w getcie?

A w getcie dziesiątki tysięcy ludzi umierały wtedy od głodu i tyfusu.

Odpowiedziałem, że wiem, mam nawet jakieś kontakty. – Dobrze – powiedział. To było u urszulanek szarych, gdzie ksiądz Zieja mieszkał aż do śmierci. Zmarł w 1991 roku. Byłem wtedy w Wiedniu, nie mogłem być na jego pogrzebie.

Miał pan rzeczywiście jakieś kontakty?

Wspomniałem już, że mój ojciec pracował w biurze likwidacji Banku Polskiego jako administrator nieruchomości. Biuro znajdowało się przy ulicy Daniłowiczowskiej, nieopodal getta. Ojciec utrzymywał kontakty z dobrym swym znajomym sprzed wojny, antykwariuszem Wajnsztokiem, który wraz z żoną i kilkunastoletnim synem przebywał za murem. Chcąc mu pomóc, przekonał niemieckiego zwierzchnika, że do prac remontowych, przenoszenia mebli czy wyładowywania koksu należałoby zatrudnić tanią siłę roboczą, a więc Żydów. Wajnsztok znalazł się w takiej grupie liczącej około dwudziestu osób. Konwojent siadł w dyżurce, gdzie woźni traktowali go wódką albo bimbrem, więc w zasadzie tracił kontrolę nad tymi ludźmi. Nikt ich nie bił, pracowali w ogrzewanym budynku, dostawali od urzędników coś do jedzenia, tak po prostu, z solidarności, no i mogli względnie swobodnie przekazać wiadomości znajomym mieszkającym w Warszawie, mogli coś pozalać. Przekazywali ojcu listy, kartki, małe paczuszki, ja zaś roznosiłem je pod wskazane adresy. To trwało parę miesięcy. Pewnego dnia już się nie pojawili.

Ale pan wspominał o tzw. syndromie obozu koncentracyjnego...

Z dwóch ważnych powodów. Po pierwsze, jeśli pominiemy wąskie grono specjalistów, psychiatrów, lekarzy, to okaże się, że w Polsce społeczna wiedza o istnieniu choroby związanej z przebyciem obozów koncentracyjnych jest znikoma, zawstydzająco znikoma – z uwagi na fakt, jak ogromna rzesza obywateli Rzeczypospolitej, Polaków i Żydów, przeszła przez obozy niemieckie i sowieckie. Po wtóre, że KZ-syndrom, sklasyfikowany przez współczesną medycynę zespół nieodwracalnych zmian psychicznych i fizycznych, nie brał się z powietrza czy z wody. Ta choroba jest zatrważającym dziełem człowieka XX wieku.

Badania dotyczące skutków psychicznych i fizycznych długotrwałego przebywania w stanie stresu i lęku, w fatalnych warunkach higienicznych, często w głodzie i zimnie, w poczuciu stałego zagrożenia życia były podjęte przez naukowców, lekarzy, uwięzionych w getcie warszawskim. Niektóre z tych badań ocalały. W następnej fazie trzeba sobie było uświadomić, czym są obozy koncentracyjne. W Niemczech hitlerowskich nosiły nazwę „aresztu ochronnego”, ale w odniesieniu do Generalnego Gubernatorstwa ta nazwa nie ma zastosowania. Auschwitz-Birkenau, Majdanek, Chełmno, Treblinka, Bełżec były miejscami zagłady. Co w takim miejscu dzieje się z człowiekiem? Co czuje, co uświadamia sobie ktoś, kto został zmuszony do prac przy budowie komory gazowej albo krematorium i wie, że i jego czeka tam śmierć? W czasie okupacji dowiedzieliśmy się o tym z wydanego w podziemiu w 1944 roku świadectwa Jankiela Wiernika, jednego z nielicznych, którym udało się zbiec z Treblinka. Przekład *Roku w Treblince* ukazał się w Stanach Zjednoczonych jeszcze przed majem 1945 roku. Wiernik przeżył wojnę, wyemigrował, był świadkiem na procesie Eichmanna, żył jeszcze szereg lat i zmarł w sędziwym wieku, jako wolny człowiek w Izraelu. O tym wszystkim z Polski szły meldunki do Londynu... Po wojnie pojawiły się cenne świadectwa Seweryny Szmaglewskiej, Krystyny Żywulskiej, potem, po latach, *Anus mundi* Wiesława Kielara. Myślę też o pracach profesor Anny Pawelczyńskiej, profesor Kościuszkowej, dr Katarzyny Łaniewskiej. W Krakowie rozpoczęto badania byłych więźniów obozów koncentracyjnych, a także dzieci byłych więźniów, bo okazało się, że KZ-syndrom jest w jakiejś mierze dziedziczny. Powstało silne środowisko badawcze, któremu patronowali światli naukowcy, tacy między innymi jak profesor Antoni Kępiński. Od 1961 roku ukazywały się specjalne zeszyty „Przeglądu Lekarskiego. Oświęcim”, organu Towarzy-

stwa Lekarskiego Krakowskiego. Rzeczą dokonywała się dzięki politycznemu wsparciu tzw. grupy Motyki, grupy byłych więźniów członków PPS. Takie wsparcie było potrzebne, bo przecież badania dotyczyły także więźniów gulagu. Szersze zainteresowanie sprawami oświęcimskimi stało się możliwe dzięki „odwilży” i Październikowi '56. Wreszcie można było powiedzieć otwarcie, że ani Żydzi, ginący w komorach gazowych, ani Polacy nie byli w ogromnej większości komunistami, bojownikami antyfaszystowskimi, ale po prostu ofiarami ludobójstwa, bez żadnej kategoryzacji politycznej czy światopoglądowej. W perspektywie ideologicznej wytworzonej przez stalinizm w obrazie Auschwitz występował bohaterski więzień-komunista, ale nie było miejsca dla bohaterskiego więźnia-polskiego księdza czy bohaterskiego więźnia-syjonisty.

Również liczne ośrodki żydowskie w diasporze i w Izraelu zajęły się bardzo żywo tą problematyką, choć wyniki badań nie znajdowały właściwego oddźwięku. Taki stan trwał kilkanaście lat.

Może świat nie chciał wiedzieć? Może chciał zapomnieć? Może ta wiedza była niewygodna?

Dopiero proces Eichmanna, proces z udziałem setek dziennikarzy, kamer filmowych i telewizyjnych, uświadomił społeczeństwu Zachodu, czym była planowa zagłada milionów ludzi. A to niewątpliwie przyczyniło się do większego zainteresowania Holokaustem, a w tym zjawiskiem KZ-syndromu. Nawiasem mówiąc, dobrze znałem Gideona Hausnera, oskarżyciela w procesie Eichmanna. Byłem z nim zaprzyjaźniony. Lwowianin, mówiący po polsku tak jak my, wyjechał do Palestyny przed wojną. Tam ukończył studia, został wybitnym prawnikiem. Był synem polskiego dyplomaty, polskiego konsula. Znałem też jednego z sędziów, gdańszczanina Mosze Landaua. Obaj dysponowali pełną wiedzą o realiach obszarów, na których została dokonana Zagłada, choć czas wojny przeżyli w mandatowej Palestynie. Otóż w związku z procesem Eichmanna wypłynęły raz jeszcze dokumenty dotyczące konferencji w Wannsee. Wtedy powstał termin Holokaust, bo wcześniej, w okresie procesów norymberskich, używano terminu „*die Endlösung*”, terminu, którym bez cudzysłowu posługiwali się organizatorzy Zagłady.

Trzeba pamiętać, że w latach sześćdziesiątych żyły setki byłych więźniów, w tym i tacy, którym udało się przetrzymać obóz niemal od pierw-

W 1997 roku dziś nieżyjący prof. Adam Szymusik, kierownik Katedry Psychiatrii i Kliniki Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, przekazał Związkowi Sybiraków pismo, w którym przypominał, że jego Katedra od 1959 roku prowadziła badania nad stanem zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych, a od 1989 roku także osób wywiezionych w latach 1939–1956 do Związku Radzieckiego. „Wszystkie te badania wykazują, iż długotrwałe przebywanie w stanie stresu i lęku wywołuje nieodwracalne zmiany psychiczne i fizyczne [...]. Objawy te, nazwane początkowo *astenia progressiva gravis* lub KZ-Syndrom, znane są obecnie jako zespół przewlekłego stresu i znajdują się we wszystkich międzynarodowych klasyfikacjach”.

szych tygodni jego powstania. Mało kto wie, że pierwszym więźniem politycznym w Auschwitz był Stanisław Ryniak (nr 31), który – osiemnastolatek – został przywieziony w transporcie z Tarnowa 14 czerwca 1940 roku, przeżył obóz, ukończył studia inżynierskie, zmarł w 2004 roku we Wrocławiu. W Warszawie mieszka i działa społecznie inżynier Kazimierz Albin, więzień numer 138... Ale wróćmy do procesu Eichmanna. Dzięki sprawozdaniom z sądu, dzięki przedstawieniu światowej opinii publicznej faktów, dokumentów, świadectw możliwa stała się pogłębiona refleksja nad Holocaustem. W Republice Federalnej powstał serial telewizyjny, który ukazywał milionom Niemców istotę i rozmiary zbrodni. W Polsce to zainteresowanie odżyło w nieco inny sposób. Myślę tu o relacjach i dokumentach składanych w muzeum w Oświęcimiu. W ten sposób powstało najbardziej kompetentne w świecie archiwum Zagłady – na miejscu zbrodni. Nabraly też rozmachu badania lekarskie. Planowa akcja ośrodka krakowskiego trwała dwadzieścia kilka lat, a jeśli dziś ten rozmach jest mniejszy, to nie dlatego, że KZ-syndrom został zbadany, opisany w najdrobniejszych szczegółach, ale dlatego, że byli więźniowie już odeszli. Rozmawiałem wielokrotnie z lekarzami, którzy zaobserwowali wśród byłych więźniów zjawisko trudności ze „złapaniem drugiego oddechu”.

Ludzie dochodzący pięćdziesiątki stawali się nagle starcami. Następowало załamanie psychiczne, wraz z którym ujawniały się rozmaite choroby. Mnie to nie dotknęło.

Świadek tych wydarzeń Konrad Szweda (w Auschwitz numer 7669) pisze: „Chorych w ciężkim stanie układano żywcem w stopy na zimnym betonie bunkra, inni sami zapelniali cele, upychani jak śledzie w beczce. Żywcem pogrzebani drapali ściany, gryzli palce i niemiłosiernie krzyczeli. Dopiero koło godziny pierwszej w nocy, gdy wtłoczono do cel jeńców radzieckich, zastosowano pruski gaz. Po trzech dniach sanitariusze wynosili zwłoki, z których całymi płatkami odpadała skóra, i na rolwagach zawozili je do krematorium. Widok był straszny. Ciała otrutych były skłębione, o powykręcanych ramionach, o wykrzywionych twarzach, z rozdętymi nozdrzami i oczami wysadzonymi z orbit. Ściany w celach były pokrławione i podrapane. Widać, że odbywała się tutaj okropna walka o odrobinę powietrza, że więźniowie dusili się i dławili powoli. Konali oszaleli z przerażenia, rozbijali sobie głowy o beton”. (W: Konrad Szweda, „Pierwszy okres oddziały chorób zakaźnych w obozie oświęcimskim”, w: *Okupacja i medycyna*, piąty wybór artykułów z „Przeglądu Lekarskiego – Oświęcim” z lat 1965–1981, Książka i Wiedza, Warszawa 1984).

A jednak po wyjściu z obozu...

Znalazłem się w sytuacji luksusowej. Wyszedłem z tego młyna śmierci stosunkowo szybko.

W kwietniu 1941 roku jeszcze nie było komór gazowych. Nie było masowej zagłady. Pierwszą eksperymentalną egzekucję za pomocą gazu wykonano w Auschwitz I na początku września 1941 roku. Niemcy zamordowali wtedy sześćset osób, w dwóch trzecich ofiarami byli chorzy polscy więźniowie polityczni, w jednej trzeciej żołnierze Armii Czerwonej, jeńcy wojenni. To o ich męczeństwie mówił Jan Paweł II w czerwcu 1979 roku, w czasie swej wizyty na terenie byłego obozu. Planowa realizacja planu zagłady rozpoczęła się w Auschwitz w marcu 1942 roku. Przybyły transporty Żydów ze Słowacji, następnie z Francji, z Niemiec, z Holandii. Ja byłem już wtedy na wolności, to znaczy na prawach obywatela Generalnego Gubernatorstwa. Niewolnik – ale na wybiegu.

4. KONSPIRACJA

SKORO ZA WSZYSTKO JEST KARA ŚMIERCI. TO CHCĘ MIEĆ PEWNOŚĆ. ŻE PONIOSE ŚMIERĆ ZA DOBRĄ SPRAWĘ. A ZANIM UMRĘ. COŚ JESZCZE ZROBIĘ.

Kiedy pan został zaprzysiężony?

Przechodziłem dosyć długi okres kwarantanny przedkonspiracyjnej. Trudno się dziwić. Jako były więzień figurowałem w kartotece gestapo, trzeba było sprawdzić, czy Niemcy naprawdę dali mi spokój, co robię, jak się zachowuję, przecież różnie mogło się zdarzyć. W tym czasie czytywałem prasę tajną. Hanka Czaki przynosiła coraz więcej pism, „Biuletyn Informacyjny”, „Rzeczpospolitą Polską”, „Wiadomości Polskie”, różne broszury. Któregoś dnia położyła przede mną książeczkę *W piekle* wydaną przez Front Odrodzenia Polski. Zapytałem, co to za organizacja. – Tam jest pani Weronika... – powiedziała. – Są też inni, bardzo gorliwi katolicy, prawi ludzie, niepodległościowcy. Książeczka opowiadała o wydarzeniach w obozie w okresie przedwiośnia 1942 roku. Wyglądało na to, że została napisana przez naocznego świadka. Pomyślałem, że ciekawie byłoby spotkać się z autorem. Zapytałem Hankę, czy to możliwe. – Postaram się – odpowiedziała. – Ale to potrwa... Jakiś czas potem powiedziała, że przyjdzie do mnie Franek. Późnym latem 1942 roku w progu mego mieszkania stanął wysoki, szczupły, wysportowany mężczyzna o lekko wystających kościach policzkowych. Odbyliśmy dłuższą rozmowę. Wiedział, że byłem w obozie. Wiedział też o relacji, którą podyktowałem Hani. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że Franek to Jan Karski, emisariusz z Londynu, przydzielony do Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Kra-

jowej. Sprawdzał mnie, zadawał szczegółowe pytania... Widać ocena wypadła dobrze, bo powiedział, że osoba, która napisała *W piekle*, jest gotowa spotkać się ze mną, ale sprawa wiąże się ze sporym niebezpieczeństwem. Czy jestem gotów podjąć takie ryzyko? Powiedziałem, że tak. Jestem gotów. W ten sposób zostałem umówiony z osobą, która napisała *W piekle*, jednocześnie zaś przeszedłem rodzaj testu poprzedzającego zaprzysiężenie w Armii Krajowej.

Spotkanie z Karskim odegrało przełomową rolę w moim życiu. A skoro o nim mowa, to pewnie warto przypomnieć, kim był. Bo z relacji o tym niewątpliwym bohaterze długiej wojny światowej trudno niekiedy zorientować się, że to nie jakiś nieznany Karski z Łodzi, konspirator amator, ale Karski – człowiek zaufania, państwowiec, porucznik rezerwy artylerii WP, w latach 1936–1939 pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, młodszy brat Mariana Kozińskiego, inspektora przedwojennej Policji Państwowej, legionisty I Brygady. W czasie okupacji przebył niezwykle trudne szlaki kurierskie, wpadł w ręce gestapo, próbował popełnić samobójstwo, by nie zdradzić tajemnic, przeciął sobie żyły, odratowano go i wykradziono ze szpitala. Do końca życia miał blizny na obu rękach.

Jak pan zareagował na wiadomość o agresji niemieckiej na ZSRR?

Jak większość... Wydanie „Biuletynu Informacyjnego” z wiadomością o wybuchu tej wojny zaczynało się słowami: „Bogu wielkiemu niech będzie cześć i chwała!”. Takie było nastawienie ludzi redagujących organ Armii Krajowej, Aleksandra Kamińskiego, Antoniego Szymanowskiego, Witolda Kuli, Stanisława Herbsta, Marii Straszewskiej, a więc elity polskiej inteligencji laickiej. Było to środowisko zróżnicowane pod względem światopoglądowym, katolicy obok agnostyków, a jednak w obliczu niezwykle go zwrotu dziejowego wszyscy byli zgodni, że mamy do czynienia ze szczęśliwym zrzędzeniem Bożym. W innych kręgach panowało przekonanie, że Niemcy oszaleli, bo z sytuacji, w którą sami się wpakowali, nie będzie dobrego wyjścia. Jak wykazują dziś badana historyków, Polacy w stopniu większym niż jakikolwiek inny naród w Europie wierzyli w klęskę Niemiec, od samego początku. W Niemczech pierwsze wątpliwości pojawiły się po Stalingradzie i El Alamein...

Od 1983 roku prowadziłem przez dwanaście semestrów wykłady na uniwersytetach w Republice Federalnej. Miałem mądrych, odczytanych

studentów, dziś są to znani w RFN dziennikarze, politolodzy, historycy, powtarzam, czytani, ze sporą wiedzą o budowie Polskiego Państwa Podziemnego, działalności rządu w Londynie, rozwoju struktur cywilnych Delegatury, i ci młodzi ludzie nie mogli zrozumieć, jak to w ogóle było możliwe, że Polacy nie tylko wierzyli w to, że Hitler wojnę przegra, ale też w okresie największych sukcesów niemieckich, w 1942 roku, zbudowali potężne struktury konspiracyjne. Wielokrotnie pytało mnie: drogi panie Bartoszewski, jak to było możliwe, że Polacy w 1942 roku wierzyli w zwycięstwo aliantów i w odbudowę Polski?

I co pan na to odpowiadał?

No właśnie, jak to się stało, że do konspiracji szedł nie tylko inteligent z dziedzicznym etosem niepodległościowym, powstańczym, ale i wiejski chłopak? Jak to się stało, że do Batalionów Chłopskich przystąpiły dziesiątki tysięcy ludzi? To był złożony proces historyczny, na który – w znacznym uproszczeniu – złożyły się dwa wzajemnie oddziałujące na siebie składniki. Pierwszy to wielka praca wychowawcza, nauka godności obywatelskiej dokonana przed wojną przez szkolnictwo, przez rzesze nauczycieli pracujących na wsi, przez ruch ludowy, radykalny społecznie – a zarazem stanowiący zaporę przeciw tendencjom komunistycznym. Było przecież znakiem czasu, znakiem gwałtownych przemian społecznych, że w Delegaturze Rządu na Kraj tak istotną rolę odgrywali działacze ludowi, agraryści Kazimierz Bagiński i Stefan Korboński. Że w Armii Krajowej stanowiska dowódcze często obejmowali oficerowie chłopskiego pochodzenia, jak chociażby Chruściel-Monter. Że najbitniejsze oddziały partyzanckie szły do boju pod komendą chłopskich synów, a dobrym tego przykładem jest sławny Piwnik „Ponury”. Że po śmierci generała Sikorskiego premierem został Stanisław Mikołajczyk, działacz wielkopolskich kółek rolniczych i członek Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego. Drugi zaś czynnik to niewyobrażalnie głupia polityka hitlerowska oparta na drakońskich kontyngentach, przymusowych wywózkach na roboty, krwawych pacyfikacjach dokonywanych przez oddziały policji i SS. Naruszenie elementarnego poczucia godności, z którego w naturalny sposób wyrosła wola odwetu. Jeśli za zabicie świni jest kara śmierci, za sprzedaż białego pieczywa kara śmierci, za kolportaż ulotek kara śmierci, za pomoc uciekinierowi z getta kara śmierci, za słuchanie radia kara śmierci, to w końcu człowiek

mówi: skoro za wszystko jest kara śmierci, to chcę mieć pewność, że poniosę śmierć za dobrą sprawę. A zanim umrę, coś jeszcze zrobię. Trudno zaś robić cokolwiek bez pewności sukcesu. W ten sposób tworzyła się perspektywa zwycięstwa, bez której niemożliwe byłoby powstanie podziemnego państwa. Atak na Związek Sowiecki zwiększył przekonanie Polaków, że klęska Niemiec jest nieuchronna, choć przecież w 1941 roku mapa była bezlitosna. Podeszli pod Moskwę, pod Leningrad, doszli do Krymu... a to znaczy, że wojna potrwa dłużej, ale Niemcy i tak ją przegrają.

Jak doszło do pańskiego spotkania z autorką *W piekle*?

Hanka Czaki powiedziała, że o wyznaczonej godzinie mam czekać w antykwariacie Ponińskiego na panią Weronikę. Zjawiała się pani ubrana dosyć skromnie, ubogo. Mile, inteligentne spojrzenie. Pytam: – Czy pani Weronika? – Tak. Poszliśmy do kawiarenki przy Noakowskiego. Tam powiedziała mi, że jest autorką *W Piekło* i że materiały, na których oparła swój tekst, pochodzą z wojska, to znaczy z Armii Krajowej, bo wtedy mówiło się wojsko, a Armia Krajowa dopiero od lata 1944 roku. Zdziwiłem się tą szczerością. Pytała mnie, co robię. Mówiłem o moich studiach polonistycznych...

Czy pan wiedział, że to Zofia Kossak?

Dosyć szybko się domyśliłem, choć nazwisko mojej rozmówczyni nie padło. Padł natomiast tytuł jej książki *Bez oręża*. I wtedy osłupiałem, bo dla młodzieńca żyjącego lekturami spotkanie ze sławnym autorem jest poważnym przeżyciem. I poczułem się zaszczycony, gdy pani Kossak zaproponowała mi, bym zajął się kolportażem publikacji Frontu Odrodzenia Polski.

Zgodził się pan, jak rozumiem.

Natychmiast.

Dlaczego? Czy znał pan program ideowy FOP?

W ogólnych zarysach. Że to organizacja katolicka, niepodległościowa. I że muszą tam być ludzie mocnych zasad moralnych. Przed spotkaniem z panią Zofią Kossak dostałem od Hanki lipcowy numer miesięcznika „Prawda” i broszurę *Jesteś katolikiem... Jakim?*, o której już wcześniej wspomniałem. Tam znalazłem apel – dla mnie ważny. Apel, by być kato-

likiem konsekwentnym. By oprzeć się na Ewangelii, na pierwszym, podstawowym nakazie miłości. To było nawiązanie do języka mojego dzieciństwa. I poczułem się mocniej, upewniając się, że są ludzie, którzy mówią tym językiem. Nie jestem sam!

W tej broszurze znalazłem słowa, które dawały mi do myślenia i wtedy, i później. Czytałem: „Istnieje jeszcze rodzaj katolików gorących, praktykujących, jawnie głoszących swą wiarę, nienawidzących niektórych bliźnich równie mocno, jak miłujących Boga. Na przykład: jesteś katolikiem, więc bij Żyda! Głoszący to hasło wierzą święcie, iż Żydzi nie są objęci odkupieniem, nakazy miłości bliźniego nie dotyczą Żydów”. Czytałem te słowa Zofii Kossak w czasie trwającej zagłady getta warszawskiego, która rozpoczęła się 23 lipca 1942 roku. I dalej: „Dla innych przedstawicieli tegoż samego typu nienawiść ta koncentruje się na Niemcach lub volksdeutschach. Marzą o zemście, o rżnięciu znieprawdzonych wrogów. Zdaniem ich, ta zemsta będzie czynem godziwym, aktem słusznym, Bogu przyjemnym, po prostu wyręczą sprawiedliwość bożą. Przykazanie nie zabijaj nie może dotyczyć Niemców, szatanów, potworów, zbrodniarzy”. Trzeba było wielkiej moralnej odwagi, żeby tak pisać.

Z kolei w piśmie „Prawda” w rubryce „Pregierz” przeczytałem notatkę *Nie wolno przemilczeć*: „W jednej z miejscowości leżącej na obszarze GG Niemcy wymordowali po swojemu wszystkich Żydów. Garstka skazańców zdołała zbiec i ukryć się w sąsiednich lasach państwowych [...]. Kilku polskich wiejskich wyrostków znalazło kryjówkę zbiegów. Najpierw ograbili ich doszczętnie, potem wydali żandarmom. Policja niemiecka otoczyła las i wystrzelała wszystkich Żydów. Tak postąpili polscy chłopcy, synowie gospodarzy, komorników i wysiedleńców. Jest to fakt przerażający, niestety autentyczny. Znane są nam zarówno nazwa miejscowości, jak imiona i nazwiska chłopców-delatorów. Podobnym faktom trzeba przeciwstawić się jak najenergiczniej. Nie mamy wprawdzie żadnej możliwości, by słowa nasze dotarły do winowajców, względnie ich rodziców, kołaczemy jednak usilnie do duchowieństwa, nauczycieli, wszystkich czytelników w ogóle, by uświadomili jak najszerze warstwy o zbrodnicości podobnych postępów. Te sprawy nie są dostatecznie omawiane, naświetlane – tajna prasa musi się nimi zająć. Jakże się bowiem dziwić wyrostkom, skoro w innej miejscowości, w sandomierskiej diecezji, zdarzyło się, że ksiądz poradził chłopom zawiadomić posterunek policji, iż po wsi pęta się Żydówka zbie-

gła z getta. Policja zabiła Żydówkę jak psa. Ksiądz stał się winnym mordu. Ksiądz wydał wyrok śmierci na nieszczęsną. Postawa ogółu duchowieństwa jest tak zaszczytnie chrześcijańska, tyłu księży zginęło za to, iż wstawiali się za Żydami lub usiłowali ich ukrywać (Białystok, Wilno, Szumów i inne), że nie wspominalibyśmy o tym oderwanym fakcie, gdyby nie był dowodem straszliwego pomieszania pojęć, przenikaniem idei niemieckich w psychikę polską, a do tego dopuszczać nie wolno”.

Były tam też inne teksty dotyczące zbrodni popełnianych przez Polaków na Żydach w Łomżyńskim w miejscowościach, których nazwy wracają dziś w związku z rozważaniami o wydarzeniach w Jedwabnem. Zofia Kossak dobrze знаła ten teren. Łączyły ją więzy rodzinne z ziemianami, którzy powrócili do swych posiadłości po wycofaniu się Sowietów. Była doskonale poinformowana. Tak więc sprawa tych morderstw nie była odkryciem PRL ani tym bardziej odkryciem kilkadziesiąt lat po wojnie. To w konspiracyjnym piśmie katolickim zwracano uwagę na zarazę moralną, którą trzeba zwalczać, stawiać pod pręgierzem.

Wkrótce, jesienią 1942 roku, Zofia Kossak napisała przenikliwy reportaż *Dzisiejsze oblicze wsi*, w którym raz jeszcze wskazywała na niepokojące oznaki rozpadu etycznego. Pisała o „mnożących się, niestety, wypadkach czynnego współdziałania chłopów w eksterminacyjnych akcjach niemieckich” i donosicielstwie: „Ta sama baba, czy chłop, gotowi rozszarpać Niemca własnymi rękami, lecą do niego z ozorem o byle co, składając donos na sąsiada, sąsiadkę, nauczyciela, księdza, sołtysa... Donosy o zakopanej broni, o czytanej gazecie, zabitej potajemnie świni, o bezprawnie zmielonej mące, o skradzionym drzewie, o lekceważącym odezwaniu się o Niemcach, o prawdopodobnej przynależności do tajnej organizacji – piętrzą się, gromadzą w pliki, w stopy na biurkach gestapo...”. Jednocześnie zaś Zofia Kossak postulowała rozpoczęcie już teraz, w czasie okupacji, prac nad planem koniecznej przebudowy wsi w przyszłej wolnej Polsce. Nad reformą oświaty, upowszechnieniem kultury, rozwojem samorządności, spółdzielczości, uruchomieniem kredytów na rozwój. Muszę powiedzieć, że z tak przejrystym, mocnym językiem nie spotykałem się nawet w uczciwym, redagowanym przez ludzi najwyższego szacunku „Biuletynie Informacyjnym”. To był dramatyczny apel o ratowanie dusz ludzi, naszych ludzi, Polaków, którzy uważają się za katolików. Dla mnie był kontynuacją nauk wyniesionych ze szkoły św. Stanisława Kostki.

Nie wydaje się jednak, by taki stosunek do świata był szczególnie popularny w ówczesnym katolicyzmie czy też, dokładniej, w ruchach, które w latach przedwojennych dominowały na mapie politycznej katolicyzmu polskiego.

Tak, toteż głos Frontu Odrodzenia Polski, organizacji przecież niewielkiej, był uważnie słuchany w Londynie, odnotowywany i, jak na to wskazują dokumenty, wykorzystywany w działaniach rządu polskiego. W FOP rolę najważniejszą spełniała Zofia Kossak, ale warto pamiętać, że autorami artykułów w „Prawdzie” byli między innymi Ignacy Barski, Jan Koziński (Karski), Stanisław Cieślak z Iuventus Christiana, Ludowicz, i Witold Bienkowski, przed wojną dziennikarz, nauczyciel, działacz Akcji Katolickiej. Brat Bienkowskiego, Zbigniew, znany później poeta i eseista, w czasie okupacji działający w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, skontaktował mnie z Eugeniuszem Czarnowskim, przed którym na przełomie sierpnia i września 1942 roku złożyłem przysięgę. Ale o tym powiem później. Sądzę, że w podziemiu FOP był traktowany jako grupa ludzi nawiedzonych, nadmiernie uduchowionych, marzycieli, którzy myślą o Polsce idealnej, opierającej się na nauce *Kazania na górze*. Dookoła twarda, praktyczna rzeczywistość, a my o Ewangelii... Mieliliśmy opiekunów duchowych, takich jak ksiądz Edmund Krauze, misjonarz od św. Krzyża, zmarły w czasie wojny, ksiądz Zieja, ksiądz Pauliński, wybitny pallotyn. Byli inni księża, zakonnicy, diecezjalni. Okazało się też, że Zofia Kossak utrzymuje kontakty z biskupem Adamskim, biskupem Niemirą, a nawet z arcybiskupem Sapiehą. Towarzyszyłem jej w 1943 roku w rozmowach z prowincjałem jezuitów. Duchowni traktowali ją z wielkim szacunkiem, pamiętając, że po *Krzyżowcach* i *Królu trędowatym* napisała *Bez oręża*, książkę o św. Franciszku z Asyżu, o jego filozofii miłości i otwarcia, wyciągania rąk, a nie zaciskania ich w pięści. Mówiła otwarcie o wzlotach, ale też o małościach Kościoła, bo był dla niej niezwykle ważny. Katolicka ortodoksyjna – podporządkowywała się każdej decyzji biskupa diecezjalnego, nawet wtedy, gdy decyzja mogła być bolesna czy niesłuszna. Taka była do końca życia. Gdy powróciła z emigracji i zorientowała się, że kardynał Wyszyński nie w pełni akceptuje próby nadużywania jej nazwiska i autorytetu przez środowisko PAX, wydające jej książki, wycofała się na odległą prowincję, do Górek na Śląsku, rezygnując z publikacji, które mogłyby być wykorzystane do celów politycznych.

Czy pan nigdy nie odczuwał tej pokusy, której ulegli Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński, Zdzisław Stroiński, może częściowo Tadeusz Gajcy, pójścia drogą radykalizmu Młodzieży Wszechpolskiej czy przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego?

O Bojarskim i Trzebińskim wypowiadałem się parę razy, niestety, chyba nie zostałem uważnie wysłuchany przez historyków. A jestem świadkiem wiarygodnym, bo to dzięki mnie Bojarski poznał Gajcego i Stroińskiego. Wacek Bojarski był moim kolegą od ósmego roku życia. Chodziliśmy do tej samej klasy w gimnazjum Stanisława Kostki. Był gruzlikiem, chłopcem słabym fizycznie, śniącym o wielkości i sile. Te jego cechy zostały, moim zdaniem, wykorzystane przez ludzi, których bardzo cenil, to znaczy przez Onufrego Kopczyńskiego, przedwojennego działacza ONR, i Włodzimierza Pietrzaka. Bojarski dostarczał mi wydawnictwa Konfederacji Narodu, opowiadał o swoich planach, tak że w efekcie sporo wiedziałem o pierwszej fazie działalności grupy „Sztuka i Naród”. Niewątpliwie Gajcy i Stroiński byli pod wpływem Bojarskiego. Andrzeja Trzebińskiego, który został kadrowym działaczem Konfederacji Narodu, znałem słabiej. Bojarski poznał mnie ze swoim kolegą z kompletu uniwersyteckiego, Stanisławem Marczakiem-Oborskim, po wojnie znanym krytykiem teatralnym. Jego siostra, Halina Marczakówna „Natalia”, została później żoną Bojarskiego, w dramatycznych okolicznościach, bo ranny Wacek zmarł tuż po ślubie.

Czy tworzyli grupę o identycznych poglądach? Moim zdaniem – nie. Inaczej widział świat Marczak, inaczej Gajcy, inaczej Stroiński. Wydaje mi się, że łączyła ich ideologia, nie, to za duże słowo, może raczej kult, młodzieńczy kult czynu. Bić się! Tworzyć imperium, które sięgnie aż pod Smoleńsk! Ale jakimi siłami? Tam nie było głębszej refleksji. Zakładali kursy języków słowiańskich. Wydali mapę imperium, mam ją w swoich zbiorach, którego granice odpowiadają mniej więcej granicom bloku sowieckiego. Po wojnie żartowaliśmy złośliwie, że Bolesław Piasecki, przywódca Konfederacji, pozostał wierny idei imperium, tylko że ze stolicą we właściwym miejscu, czyli w Moskwie, a nie w Warszawie.

Dla mnie, służącego w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, spotykającego się z wybitnymi historykami, prawnikami, oficerami, marzenia moich kolegów były dziecinadą, wyglupem, ale, niestety, za tą dziecinadą poszły ofiary, oplacona krwią wyprawa Uderzeniowych

Batalionów Kadrowych, aresztowania, egzekucje, ginęli ludzie, przecież niewątpliwi patrioci.

Niektórzy publicyści twierdzą, że niekiedy także Front Odrodzenia Polski posługiwał się frazeologią właściwą ONR...

Czy idzie o ulotkę napisaną przez Zofię Kossak po rozpoczęciu likwidacji getta warszawskiego? Tak? Nieporozumienie, które czas wyjaśnić. To był chwyt, który miał umożliwić przeciętnemu odbiorcy zrozumienie tragedii Żydów. Chwyt może naiwny, ale przekonujący. No dobrze, założmy, że Żydzi są wrogami Polski, założmy, że nie rozumieją naszych racji, ale pamiętajmy, że padają na naszych oczach ofiarą ludobójstwa. Giną starcy, kobiety, dzieci. Zofia Kossak odwoływała się do mentalności przypominającej mentalność rodem z Jedwabnego. Owszem, niektórzy Żydzi popierali Sowieców. Ale są skazani na śmierć. Ich dobrym ludzkim prawem jest ratowanie życia, tak jak naszą sprawą jest walka o niepodległość.

Proszę pamiętać, że powstanie w getcie zbiegło się z ujawnieniem sprawy katyńskiej. Niemcy zaczęli publikować listy z nazwiskami zamordowanych oficerów, pisali o zbrodni „bolszewicko-żydowskiej”. Na listach celowo pominęli nazwiska kilkuset oficerów i podchorążych pochodzenia żydowskiego, którzy zginęli w Katyniu. Dla Stalina byli żołnierzami znieprawionego państwa polskiego, ich pochodzenie nie odgrywało żadnej roli, bo, jak wiemy, taka była natura systemu sowieckiego.

Kiedy pan został żołnierzem Armii Krajowej?

Zostałem zaprzysiężony w drugiej połowie sierpnia 1942 roku. Przy sięgę przyjął pan „Piotr”, który wcale nie wyglądał na wojskowego. Wąsiki, okulary, bardzo cywilny wygląd. Potem okazało się, że to postać niezwykle ważna w wojennej historii Polski. „Piotr”, „Lidzki”, czyli Eugeniusz Czarnowski, działacz Stronnictwa Demokratycznego, jeden z pierwszych organizatorów konspiracji w 1939 roku, był w 1942 roku doradcą szefa Wydziału Informacji BIP i jednocześnie kierownikiem Wydziału „P”, który zajmował się badaniem postawy politycznej społeczeństwa. W tym wydziale pracowali między innymi Adam Dobrowolski, Witold Kula, Jan Topiński, Kazimierz Moczarski, Aleksander Gieysztor, słowem elita polskiej inteligencji... W czasie składania przysięgi był też

obecny nieznan mi pan o rysach dosyć południowych, nawet zastanawiałem się, czy to nie za bardzo ryzykowny wygląd jak na warunki okupacyjne, a był to adwokat, dr Kazimierz Ostrowski, kuzyn rodziny Grabskich, syn wiceprezydenta Krakowa, pilsudczyka. Dowiedziałem się później, po latach, że mój bezpośredni zwierzchnik w Referacie P-5 Wydziału „P” Kazimierz Ostrowski, „Nowina”, „Łaski”, „Olesza”, bo zmieniał pseudonimy, przed wojną jako młody adwokat bronił komunistów. Sam był działaczem Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, miał na pieńku ze skrajną prawicą, a sporo znajomych w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. W Krakowie kierował Związkiem Odbudowy Rzeczypospolitej. Po wyspie musiał uciekać do Warszawy. Tu został zatrudniony pod fałszywym nazwiskiem w Zarządzie Miejskim. Wykształcony, inteligentny, a praca z nim była permanentnym seminarium. Dostarczam mu notatkę. Czyta. – No, dobrze, ale wytłumaczcie podstawy tej oceny? Dlaczego tak uważacie? Jakimi dowodami poprzecie? Ciągły egzamin, z którego zdaniem wiązały się awanse, tak że w okresie bezpośrednio poprzedzającym Powstanie Warszawskie byłem już kierownikiem referatu w wydziale Komendy Głównej AK. Po wojnie został obrońcą wojskowym, bronił między innymi w procesie ojca Gurgacza i w procesie kurii krakowskiej. Był człowiekiem zaufania arcybiskupów Eugeniusza Baziaka i Karola Wojtyły. Zmarł kilka lat temu, a osoby, które mogły o nim opowiedzieć bezpiecze, nie opowiedziały – ani Moczarski, ani ja.

Jaki pan przyjął pseudonim?

Teofil.

Literacka sprawa?

Literacka, tak. Tuż przed wojną przeczytałem *Niebo w płomieniach* Jana Parandowskiego. Byłem przejęty bohaterem powieści Teofilem Grodzickim. Uczeń gimnazjum, w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej, wątpliwości egzystencjalne, miłość, no i świat na chwilę przed wielkim pożarem...

Przydzielono mnie do pracy w dwóch referatach: P-1 i P-5. Pierwszy, którym kierował dr Adam Dobrowolski, adwokat z Krakowa, zajmował się analizą życia politycznego w Podziemiu i działaniami organizacji konspiracyjnych.

Także komunistycznych?

Nie. Tym zajmował się Referat P-2... Adamowi Dobrowolskiemu pomagał Kazimierz Moczarski. Zadaniem Referatu P-5 była analiza treści całej prasy konspiracyjnej i wydawnictw programowych ugrupowań konspiracyjnych. Czyli to były biura „białego wywiadu”, zajmujące się gromadzeniem wiadomości innymi metodami, niż to czynił II Oddział. Szefem Referatu P-5 był dr Kazimierz Ostrowski, współpracowali z nim dr Gustaw Nowotny i Kazimierz Moczarski. Jak pan widzi, znalazłem się w towarzystwie ludzi starszych ode mnie o pół pokolenia, świetnie wykształconych, z doświadczeniem politycznym. Dobrze mieć takich zwierzchników. Ich autorytet nie wynikał tylko i jedynie z miejsca zajmowanego w hierarchii służbowej. To była bardzo elitarna formacja... Wkrótce dowiedziałem się, że sekretarką szefa całego Wydziału Informacji Jerzego Makowieckiego „Tomasza” jest Hanka Czaki. Wtedy stało się coś niezwykłego, proroczego, wyprzedzającego przyszłość. Hanka – za zgodą czy też z rozkazu swego przełożonego – powiedziała mi, gdzie w jej mieszkaniu znajduje się skrytka podłogowa. Ale zanim do tego doszło, mój bezpośredni szef poprosił mnie na rozmowę: – Macie dziewczynę? Mówię, że mam koleżankę. – Czyli macie sympatię i rozmawiacie z nią o różnych sprawach. Odpowiadam, że może w jakimś stopniu to sympatia, ale przede wszystkim przyjaźń. – Ja nie o to pytam. Pytam, czy rozmawiacie z nią o sprawach organizacyjnych? A ja na to, że moją koleżanką jest sekretarka „Tomasza”, mieszkamy w tym samym domu. Był zdumiony, zszokowany, ale powtórzył z naciskiem, że na tematy organizacyjne nie powinienem się wypowiadać.

W listopadzie 1942 roku Witold Bieńkowski zaproponował mi współpracę w tworzeniu, a raczej w przebudowie komórki więziennej, a więc komórki, która zajmowała się aresztowanymi działaczami podziemnych stronnictw politycznych i pracowników agend Delegatury Rządu; jako grupa kontrwywiadowcza podlegała Wydziałowi Bezpieczeństwa, ten zaś z kolei Departamentowi Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu. Zostałem zastępcą Bieńkowskiego – referentem informacyjnym. Sekretarką i archiwistką komórki więziennej była pani Bogna Domańska z domu Gorska, siostrzenica Benedykta Hertza, matka dwóch synów. Łączniczkami: pani Pelagia Piotrkiewicz i harcerka Wanda Muszyńska, córka pułkownika Wojska Polskiego, który przebywał wtedy w Rumunii. Wanda Muszyńska, potem Witkowska, po wojnie pracowała w Ludowej Spółdzielni Wydaw-

niczej, teraz jest emerytką, mieszka w Warszawie. Komórka więzienna nawiązała cenne kontakty. Ludwika Uzar-Krysiakowa, „Myszka”, strażniczka więzienna na Serbii, w więzieniu kobiecym, dostarczała grypsy do uwięzionych kobiet, a dzięki kontaktom w szpitalu więziennym, gdzie byli zatrudnieni lekarze-więźniowie polityczni, tacy jak Anna Czuperska-Śliwicka, Irena Kononowicz, Felicjan Loth, Zygmunt Śliwicki, mogła też przekazywać informacje do więzienia męskiego. Współpracowały z nami Janina Szubielska, aresztowana wkrótce przez gestapo, zesłana do obozu, Anna Kraska, która na polecenie podziemia podpisała volkslistę i została tłumaczką w kancelarii Serbii, Jadwiga Sadzińska, aspirantka straży więziennej, której partner, potem mąż Jan Wacek był komisarzem straży więziennej na Pawiaku, i Wanda Wilczańska, więźniarka-intendentka w szpitalu więziennym.

Jaki pan otrzymał stopień wojskowy?

Plutonowy. U nas z awansami było skromnie i wszyscy to rozumieli. Przecież nie szło o belki i gwiazdki.

A teraz jaki ma pan stopień?

Jestem porucznikiem zweryfikowanym zaocznie w 1948 roku w Londynie przez komisję sztabu naczelnego wodza. Do stopnia podporucznika doszedłem w Powstaniu Warszawskim, w służbie byłem do chwili ujawnienia się, a wraz z końcem wojny, jak to się dzieje po zakończeniu służby frontowej, nastąpił awans o jeden stopień. Nie należałem do ZBoWiD, więc te ich awanse, siłą rzeczy, ominęły mnie. Po prostu jestem porucznikiem Armii Krajowej. Wstępując do AK, złożyłem przysięgę, zobowiązując się do walki o suwerenność i niepodległość Polski. Po 1945 roku część żołnierzy AK uznała, i było to ich dobre prawo interpretacji roty przysięgi, że obowiązek został spełniony. Inni uważali, że wojna nie została zakończona, bo Polska nie odzyskała pełnej suwerenności. Dla mnie okres służby w wojsku skończył się z chwilą ujawnienia. Uważałem, że walkę o suwerenność należy prowadzić innymi środkami.

Jest późna jesień 1942 roku. Pan działa w BIP Komendy Głównej AK, w komórce więziennej podległej strukturom cywilnym i jednocześnie w „Żegocie”...

W chwili, gdy składałem przysięgę, Rada Pomocy Żydom jeszcze nie istniała. Działał natomiast zespół nazywany Tymczasowym Komitetem albo Komitetem Pomocy Żydom im. Konrada Żegoty – utworzony przez Zofię Kossak i Wandę Krahelską-Filipowiczową. O jego istnieniu dowiedziałem się we wrześniu 1942 roku, gdy Zofia Kossak zapytała mnie, czy wziąłbym udział w akcji pomocy ludziom uratowanym z gett.

Panią Filipowiczową poznałem w konspiracyjnym mieszkaniu Zofii Kossak przy ulicy Radnej 14, w domu dla staruszek prowadzonym przez Zgromadzenie Księży Misjonarzy. Ten dom opieki utrzymywał się z dużej pralni mechanicznej, która obsługiwała rozmaite instytucje niemieckie. Było więc tak, że przed budynek zajeżdżały ciężarówki Wehrmachtu załadowane bielizną do prania, a tymczasem w środku kwitła, powiedziałbym nawet, że szalała, konspiracja. Bywałem tam niemal co dzień, poznając znajomych Zofii Kossak i jej męża, który wówczas przebywał w oflagu. Literaci, dziennikarze, wyżsi oficerowie AK. Zofia Kossak miała rozległe znajomości i doskonałą orientację, wie pan, któregoś dnia rozmawialiśmy o „Grocie”, który dla mnie był komendantem AK, a ona troszkę rozpędziła się i mówi: – A ten Stefan to... Znała go przed wojną, wiedziała, że „Grot” to Rowecki, ja natychmiast zacząłem udawać, że nie rozumiem, o kogo i o co chodzi...

Wracając do pani Filipowiczowej. Kiedy ją poznałem, miała ponad pięćdziesiąt lat, może około sześćdziesięciu. Żona dyplomaty, przez pewien czas wiceministra spraw zagranicznych, przed wojną była redaktorką naczelną miesięcznika artystycznego „Arkady”. Wywodziła się z kręgów lewicowego, socjalizującego ziemiaństwa. W młodości działała w Organizacji Bojowej PPS, w 1906 roku brała udział w zamachu na generała gubernatora Skałona. Tak jak Zofia Kossak miała świetne kontakty w środowiskach katolickich oraz w Armii Krajowej, tak Wanda Krahelska-Filipowiczowa mogła liczyć na wsparcie ze strony Stronnictwa Demokratycznego, PPS-WRN, lewicy piłsudczykowskiej. W chwili, w której zostałem wtajemniczony w sprawy związane z pomocą Żydom, obie panie zdążyły podjąć wiele ważnych inicjatyw organizacyjnych, no i uratowały już grupę dzieci z gett.

Jeszcze wcześniej podjęła działania, i to na wielką skalę, pani Irena Sandlerowa. Była urzędniczką w wydziale opieki Zarządu Miejskiego. Dzięki swej pozycji, papierom i kontaktom utworzyła własną organizację, własny zespół złożony, jeśli dobrze pamiętam, z kilkunastu, może dwudziestu

osób. Wraz z panią Schultz i panią Piotrowską przechodziła w przebraniu pielęgniarki na drugą stronę muru, dostarczając potrzebującym pieniądze, ubrania, żywność oraz leki. W 1942 roku, gdy Niemcy rozpoczęli akcję likwidacji getta, zaczęła wyprowadzać stamtąd dzieci. Ponad dwa i pół tysiąca dzieci skazanych na śmierć! Wraz ze swoim zespołem załatwiała adopcje, lokowała dzieci w domach zakonnych. Elżbieta Ficowska, dziś przewodnicząca Stowarzyszenia Dzieci Holokaustu, była – jako niemowlę – osobiście wyniesiona przez Sendlerową z getta, Michał Głowiński, obecnie znany profesor literatury i pisarz, znalazł dzięki niej ratunek u sióstr. Potem działalność pani Sendlerowej została objęta budżetem Rady Pomocy Żydom, ona sama stała się współpracownicą, a po paru miesiącach kierowniczką referatu dziecięcego Rady, zastępując na tym miejscu panią Aleksandrę Dargielową, znaną przed wojną działaczkę społeczną.

Trzeba pamiętać, że myśl o potrzebie utworzenia zespołu udzielającego pomocy ludziom z gett, ludziom skazanym na unicestwienie, pojawiła się w środowiskach inteligencji polskiej rozmaitych orientacji ideowych. Wśród grup związanych przed wojną z Klubami Demokratycznymi, wśród pilsudczyków, w Polskiej Partii Socjalistycznej, w Związku Syndykalistów Polskich, wśród katolików związanych z FOP, z poznańską „Kulturą”, „Odrodzeniem”, „Verbum” i Laskami.

Kiedy powstała Rada Pomocy Żydom?

Z formalnego punktu widzenia Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu na Kraj albo przy Pełnomocniku Rządu na Kraj, bo i tak niekiedy pisano, powstała 4 grudnia 1942 roku. W rzeczywistości jednak idzie tu o proces rozpoczęty we wrześniu 1942 roku, a przebiegający dwoma torami. Z jednej strony została podjęta inicjatywa usytuowania komitetu, czyli przyszłej Rady w strukturach państwa podziemnego. Zofia Kossak wykorzystwała swoje kontakty z ówczesnym dyrektorem Departamentu Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu Janem Stanisławem Jankowskim i dyrektorem Departamentu Spraw Wewnętrznych Leopoldem Rutkowskim. Rzecz została też wsparta przez wojsko, dzięki kierownikowi Wydziału Informacji w BIP Jerzemu Makowieckiemu. Z drugiej strony już trwała akcja pomocy, która we wrześniu i październiku objęła stałą opieką nieco ponad sto osiemdziesiąt osób. Połowę stanowili ludzie ukryci w Warszawie, w kilkunastu przypadkach pojawiły się możliwości w Kra-

kwie, Lublinie, Zamościu, Bilgoraju, a nawet w Brześciu nad Bugiem, który leżał poza granicami Generalnego Gubernatorstwa. Potrzebne były pieniądze, lokale, dokumenty legalne albo fałszywe. FOP miał kontakty z księżmi, od których otrzymywałem metryki niezbędne do wyrobienia autentycznych kenkart, akurat w 1942 roku trwało wydawanie kenkart mieszkańcom GG... właśnie takimi sprawami zajmowałem się, nie wiedząc zresztą, komu pomagam. To był hurt: przez moje ręce przeszły dziesiątki metryk, dziesiątki fałszywych dokumentów. Tak więc w zasadzie nie miałem przyjemności poznania ludzi, którym pomagałem. Mówię „w zasadzie”, bo po wojnie dwaj uratowani opowiadali o mnie... Był taki księgarz ze Lwowa, pan Gelber, któremu nadałem nazwisko Artymowicz, potem wyemigrował do USA, gdzie nosił nazwisko Artman. Drugim był adiunkt Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny matematyk, któremu nadałem nazwisko Marczewski. Ożenił się z córką pastora Burschego, miał z nią dwie córki. Jedna z nich jest żoną Stefana Starczewskiego. Profesor Edward Marczewski został kierownikiem katedry matematyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Był szukanowany w 1968 roku... Więc mówimy o procesie kształtowania się Rady, procesie złożonym, w którym trzeba było rozważyć szereg zagadnień politycznych, psychologicznych, taktycznych. Pojawiło się pytanie, czy należy rozpowszechniać fakt istnienia zorganizowanej pomocy Żydom...

Dlaczego?

Bo jeśli istnieje pomoc zorganizowana, konspiracyjna, to przy wpadce Niemcy będą maltretować ludzi, pytając o kontakty, łączność, lokale... Widzi pan, nie było rozporządzenia niemieckiego, które zabraniałoby Polakowi być polskim patriotą, to przecież wynikało z ogólnej sytuacji, ale każdy Polak wiedział o wydanym przez Niemców zakazie udzielania pomocy Żydom.

Pod karą śmierci.

Tak, pod karą śmierci. I czy w związku z tym powinniśmy ogłaszać, że garstka ludzi staje do walki przeciw gestapo, SS, całej niemieckiej administracji? Piękny gest, moralny, historyczny, ale czy będzie sprzyjał naszym działaniom, które ze swej istoty muszą być tajne? To jest pytanie, na które nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Z drugiej jednak strony należało

sprawę autoryzować, to znaczy uświadomić Polakom, że w tej sprawie nie wolno być bezczynnym i takie też jest stanowisko Delegatury Rządu. Tak więc w „Rzeczpospolitej Polskiej”, która była czytana na poziomie okręgów AK i Delegatury, przez działaczy politycznych i społecznych, przez bardziej wtajemniczonych nauczycieli, księży – ogłoszony został komunikat następującej treści: „Proszeni jesteśmy o podanie do wiadomości publicznej, iż na skutek inicjatywy szeregu organizacji społecznych z kół katolickich i demokratycznych organizuje się komisja pomocy społecznej dla ludności żydowskiej dotkniętej skutkami bestialskiego prześladowania Żydów przez Niemców. Komisja będzie się starała, w miarę możliwości i środków oraz możliwości, z jakimi liczyć się trzeba w okupacyjnych warunkach życia kraju, nieść pomoc ofiarom hitlerowskich gwałtów”. Komunikat został opublikowany 14 października, w czasie gdy pomagałem Komisji, wykonując rozmaite zlecenia, takie tam przenieś, przekaż i tak dalej. Natomiast jeśli idzie o Radę, to brałem udział w zebraniach ją konstituujących albo jako współpracownik Witolda Bieńkowskiego, który reprezentował FOP, a jednocześnie był łącznikiem z Delegaturą Rządu, albo też jako samodzielny przedstawiciel FOP.

To się działo w czasie likwidacji getta, to znaczy w okresie deportacji Żydów do obozów zagłady.

Tak. Ale jednocześnie to był czas wzrostu represji wymierzonych w Polaków. O tym trzeba pamiętać. Od lipca do końca września wywieziono – jak podają źródła niemieckie – ponad 310 tysięcy osób, tak więc w getcie pozostało kilkadziesiąt tysięcy ludzi z młodszych roczników, zdolnych do pracy. Wkrótce także oni mieli być wymordowani, ale o tych planach wiedzieli tylko Niemcy. Warszawa „aryjska” była poddawana nieustającym rewizjom, aresztowaniom. To nie było tak jak w Hamburgu czy Berlinie, gdzie niemiecki Żyd mógł być ukryty przez porządnych Niemców, a z tego co wiem dziś, to takich przypadków było parę tysięcy... Dlaczego? Bo prawdopodobieństwo, że w mieszkaniu spokojnego obywatela Berlina pojawi się nagle policja czy gestapo, było znikome. Warszawa natomiast, miasto okupowane, miasto z setkami konspiracyjnych lokali, magazynów broni, była nieustannie przeczesywana, pod baczną kontrolą służb niemieckich... W tej sytuacji znalezienie bezpiecznego schronienia dla uciekinierów z getta wiązało się ze znacznym wysiłkiem i wielkim ryzykiem.

Proces tworzenia Rady był skomplikowany z uwagi zarówno na te uwarunkowania, jak i na fakt, że powstawała instytucja oparta na partiach związanych z rządem w Londynie. Zależało na tym Delegaturze Rządu. Tu ważną rolę odgrywał Witold Bieńkowski, który prowadził rozmowy polityczne z działaczami stronnictw, nadawał sprawie kształt organizacyjny. W czasie narad związanych z powstaniem Rady poznałem Juliana Grobelnego z PPS-WRN, Ferdynanda Arczyńskiego ze Stronnictwa Demokratycznego, Leona Feinera z Bundu, Adolfa Bermiana, lewicowego syjonistę... Poznałem też inżynier architekt Emilię Hiżową, która wraz z dr. Ludwikiem Rostkowskim organizowała pomoc medyczną dla ukrywających się. Poznałem panią Aleksandrę Dargielową. Sytuacja doprawdy niezwykła. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który co dzień spotyka się z kolegami piszącymi wiersze do „Sztuki i Narodu”, działającymi w Konfederacji Narodu, przecież dziedzicze ONR, a jednocześnie współpracuje z bundowcem, syjonistą, PPS-owcem – reprezentując przy tym amorficzną organizację katolicką, bo przecież FOP nie był partią, ale raczej zrzeszeniem opartym na wspólnocie wartości moralno-społecznych.

Tu powinienem wprowadzić niezbędną korektę. Otóż Adolfa Bermiana poznałem wcześniej. Jako student tajnego uniwersytetu bywałem w domu u państwa Ossowskich, w ich mieszkaniu przy ulicy Krasieńskiego. Pewnego wrześniowego dnia zastałem tam bruneta o naznaczonych łękiem oczach. Domyślałem się przyczyn tego łęku. Podaliśmy sobie ręce, porozmawialiśmy chwilę. Zorientowałem się, że to dobry znajomy Ossowskich z Uniwersytetu Warszawskiego, mówili sobie po imieniu. Po chwili wyszedł. Jakiś czas później, w czasie zebrania „Żegoty”, które – jeśli dobrze pamiętam – odbywało się przy ulicy Radnej, spotykam tego samego mężczyznę, który zostaje przedstawiony jako reprezentant syjonistycznej lewicy, bo wtedy mówiło się, kto kogo reprezentuje, a nie jak się nazywa. Z czasem dowiedziałem się, że to Adolf Berman, doktor filozofii, który wraz z żoną Basią, bibliotekarką, wyszedł z getta w pierwszych dniach września 1942 roku.

Czy Rada miała, prócz oczywistych kontaktów z Delegaturą Rządu, jakieś związki z Armią Krajową?

Przede wszystkim utrzymywaliśmy łączność z referatem mniejszości, zwanym też referatem żydowskim, w Wydziale Informacji BIP. Na jego czele stał Jerzy Makowiecki, który z punktu widzenia ustaw norymber-

skich mógł w jakiejś tam części uchodzić za Żyda, więc chociażby przez ten fakt rozumiał złożoność sytuacji i wspierał nasze działania. Kierownikiem referatu żydowskiego w Komendzie Głównej AK był prawnik Henryk Woliński, przed wojną radca Prokuraturii Generalnej RP, działacz wolnomysłcielski, bardzo szlachetny, ideowy. Jego żona była kuzynką Sigalinów. Po wojnie Henryk Woliński mieszkał w Katowicach, gdzie go odwiedzałem. Zmarł w sędziwym wieku w latach osiemdziesiątych. Najbliższym współpracownikiem Wolińskiego był Stanisław Herbst, wtedy adiunkt tajnego uniwersytetu, potomek znakomitej rodziny mieszczańskiej, jego żona pochodziła z Korotyńskich, wielkiego rodu warszawskich wydawców prasowych i dziennikarzy. To byli ludzie serdecznego zaangażowania, tak bym to nazwał, robili co się da, aby nam pomóc.

Doskonale kontakty z Komendą Główną AK, Delegaturą, PPS-WRN, a także z lewicą socjalistyczną miał dr Leon Feiner, autor jednego z najwcześniejszych raportów żydowskiego podziemia do rządu w Londynie. Przed wojną był znanym, dobrze prosperującym adwokatem w Krakowie. Osadzono go w Berezie, na podstawie fałszywych oskarżeń o komunizm, być może dlatego jednym z jego okupacyjnych pseudonimów był „Berezowski”. Niewątpliwie lewicowiec. Na pewno nie komunista. Człowiek o dużym doświadczeniu społecznym, wielkiej inteligencji i poczuciu humoru. Wyglądał jak stary szlagon, siwa czupryna, siwe wąsy, prowincjonalny szlachcic, który przybył do miasta, jak ze sztuk Michała Bałuckiego czy Józefa Blizińskiego... Widzi pan, w „Żegocie” byli ludzie rozmaitych poglądów, bo i ludowcy, i socjaliści, i chadecy, ale wobec celu naszych działań te różnice nie odgrywały roli. Dla mnie, chłopaka z katolickich gimnazjów, było oczywiste, że spotykam ludzi zaufania, a czy to syjonista czy bundowiec, jakie to ma znaczenie? No, żadne. Ale w komunistycznych więzieniach zarzucano mi, że w czasie wojny współpracowałem z syjonistami, a jak dziś czytam w aktach IPN, byli i tacy, którzy uważali, że wciąż utrzymuję syjonistyczne kontakty, i bardzo się tym zajmowali, co dziś brzmi cokolwiek satyrycznie...

Spotkałem się parę razy ze stwierdzeniem, że Rada Pomocy Żydom powstała za późno, a więc gdy Żydzi zostali już wymordowani...

Słyszałem takie głosy, które są, w moim przekonaniu, niesłuszne, niekonstruktywne, wynikają zaś z nałożenia się dwóch składników. Pierwszy

to wiedza uzyskana post factum, po drugiej wojnie światowej, o Holokauście, o przygotowaniach niemieckich do tej zbrodni, o sposobach jej przeprowadzenia, o skutkach. Otóż w czasie rzeczywistym takiej wiedzy nie mieli ani ludzie w gettach, ani my. Przypominam więc, że Zagłada trwała i w 1942, i w 1943 roku, i rok później... Drugi składnik to ograniczone, niepełne rozumienie warunków, w jakich przyszło nam działać, warunków konspiracyjnych. No i jeszcze jedno... Kto dziś obserwuje życie polityczne w Polsce, ten wie, jak trudne jest ustalenie reguł działania, odpowiedzialności, funkcji i kompetencji między umawiającymi się partiami politycznymi. Dziś – a co dopiero wtedy! Kto będzie przewodniczył Radzie? W wyniku rozmów Stronictwo Ludowe zgodziło się, by przewodniczącym został przedstawiciel PPS-WRN. Zanim wyznaczono osobę przewodniczącą – a został nim w styczniu 1943 roku Julian Grobelny – powołani zostali dwaj wiceprzewodniczący: Tadeusz Rek, adwokat, były więzień Auschwitz, Neuengamme, reprezentant Stronictwa Ludowego, i Leon Feiner jako przedstawiciel Bundu. A skoro przedstawiciel Bundu został wiceprzewodniczącym, to trzeba było uhonorować także syjonistę. Trzeba przy tym pamiętać, że w getcie działało sześć partii syjonistycznych, od lewicy do prawicy, które porozumiewały się niechętnie i dopiero pod naciskiem polskiego podziemia utworzyły wspólną reprezentację w postaci Żydowskiego Komitetu Narodowego. W jego imieniu występował Adolf Berman, sekretarz Rady. Skarbnikiem został przedstawiciel Stronictwa Demokratycznego, krakowski działacz związkowy, pracownik PKP i sędzia piłkarski Ferdynand Arczyński. Witold Bienkowski był przedstawicielem Delegatury Rządu. Ignacy Barski ze Stronictwa Pracy, członek FOP i ja byliśmy członkami prezydium Rady. Barski wkrótce przeszedł do innych zadań konspiracyjnych, ja zaś działałem w Radzie aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. Przez kilka miesięcy 1944 roku członkiem Rady był też przedstawiciel RPPS – Piotr Gajewski.

Równoległe z tworzeniem Rady organizowaliśmy pomoc dla uciekinierów z gett i obozów, zaopatrując ich w dokumenty, dostarczając zasilki, znajdując miejsca schronienia. Pieniądze szły z Delegatury Rządu, potem także od zagranicznych organizacji żydowskich. Wkrótce okazało się, że niezbędne jest rozbudowanie łączności z tzw. terenem. Kierownictwo Referatu Terenowego objął Stefan Sendlak, działacz PPS z Zamościa. Współpracował z nim jako kurier Tadeusz Sarnecki, łodzianin, poe-

ta i dziennikarz. Główne biuro Rady mieściło się w mieszkaniu Eugenii Wąsowskiej przy Żurawiej 24, o czym dziś zaświadcza pamiątkowa tablica wmurowana parę lat temu. Kierowniczką biura była pani „Alicja”, z którą i wówczas, i po wojnie utrzymywałem serdeczne stosunki. „Alicja”, czyli Paulina (Lusia) Hausman, z zawodu prawniczka, przed wojną mieszkała w Małopolsce Wschodniej, gdzieś w rejonie Stryj–Drohobycz. Działała w Stronnictwie Demokratycznym. Po wojnie pozostała przy kenkartowym nazwisku Rudnicka, Zofia Rudnicka, i rozpoczęła pracę w gabinecie ministra sprawiedliwości Leona Chajna, co dla mnie okazało się dosyć ważne: miałem człowieka zaufania w nomenklaturze nowej władzy.

„Ewa”, Janina Wąsowiczowa z domu Raabe, znanej warszawskiej rodziny przemysłowców, oraz Celina Tyszkó były łączniczkami Rady, ale oprócz tego współpracowało z nami sporo osób... To mniej więcej tak, jak z Komitetem Obrony Robotników. Członkami KOR były osoby znane z nazwiska, podpisujące komunikaty Komitetu, ale o setkach czy zgola tysiącach ludzi zbierających pieniądze na robotników Radomia i Ursusa, drukujących i roznoszących ulotki, wperających w taki czy inny sposób, mówi się, że byli w KOR. Ja, dla przykładu, miałem bardzo bliskie związki z KOR, nigdy jednak nie byłem jego członkiem. No tak, kiedy zostałem internowany, w „Żołnierzu Wolności” i „Trybunie Ludu” pisano, że zostałem zamknięty jako współpracownik KOR, a był to akurat jeden z mniej zasadnych powodów pozbawienia mnie wolności. Więc ilu było członków Rady Pomocy Żydom? Członkami Rady byli ci, którzy zasiadali w Radzie, ale Rada miała liczną grupę współpracowników działających w strukturach konspiracyjnych PPS-WRN, w FOP, w Stronnictwie Ludowym, w Klubach Demokratycznych. Wkrótce powstały grupy zawodowe, nauczycielskie, adwokackie, lekarskie, dziennikarskie zajmujące się podopiecznymi, koleżankami i kolegami tych samych profesji.

W marcu 1943 roku analogiczna Rada Pomocy Żydom powstała w Krakowie. Jej przewodniczącym został socjaldemokrata, prawnik Stanisław Wincenty Dobrowolski, którego wujem był Józef Rettinger, polityk związany z generałem Sikorskim. Funkcję sekretarza sprawował działacz robotniczy z PPS Władysław Wójcik. Jego żona, przedwojenna działaczka socjalistyczna, była rodzoną siostrą żony Leona Kruczkowskiego, znanego lewicowego pisarza. Bardzo ważną postacią w krakowskiej radzie był

przedstawiciel Delegatury, etnograf Tadeusz Seweryn. W skład Rady weszli działacze Klubów Demokratycznych, reprezentant „Wici”, znany działacz ludowy Jerzy Matus i przedstawicielka ludności żydowskiej Maria Hochberg, z kenkartą na nazwisko Mariańska. Zachowała to nazwisko także po wyjeździe do Izraela. Poznałem ją po wojnie, zaprzyjaźniliśmy się. Odwiedzałem ją w Izraelu, spotykałem w Warszawie. W czasach PRL cieszyła się pewnymi ułatwieniami wjazdowymi, bo była koleżanką uniwersytecką Józefa Cyrankiewicza. Dzięki pomocy Rady udało się wyciągnąć z lwowskiego obozu na Piaskach Michała Borwicza, który potem jako porucznik „Zygmunt” był dowódcą oddziału partyzanckiego AK w powiecie miechowskim.

Z kolei we Lwowie założycielką Rady, jej główną organizatorką była Larisa z Fiedosiewiczów Chomcowa, córka oficera służby stałej, przed wojną działaczka Klubu Demokratycznego. W skład Rady weszli między innymi państwo Wnukowie, artyści plastycy, którzy po wojnie wykładali w akademiach sztuk pięknych w Warszawie i w Sopocie, Przemysław Ogrodziński z ZNMS i PPS, później dyplomata (jego syn jest obecnie ambasadorem Polski w Kanadzie). Rada lwowska opierała się głównie na członkach Klubów Demokratycznych i PPS. Nie była duża, czemu trudno się dziwić, skoro inteligencja lwowska była dwukrotnie zdziesiątkowana. Najpierw przez okupanta sowieckiego, potem zaś przez Niemców, że przypomnę zamordowanie latem 1941 roku grupy profesorów i intelektualistów, wśród których byli między innymi profesor Kazimierz Bartel, były premier, i Tadeusz Boy-Żeleński.

Od lutego 1943 roku łączyłem działalność w Radzie Pomocy Żydom z pracą w referacie żydowskim Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu. Jeśli dobrze pamiętam, to w styczniu 1943 roku Witold Bieńkowski, mój przełożony z komórki więziennej, zapytał mnie, czy mógłbym zostać jego zastępcą w nowo powołanym referacie żydowskim, którego zadaniem ma być utrzymywanie kontaktów między Radą Pomocy Żydom a Delegaturą, załatwianie wsparcia finansowego dla Rady oraz przygotowywanie materiałów informacyjnych o sytuacji Żydów dla premiera i rządu w Londynie. Dzięki stałej łączności z przedstawicielami żydowskiego podziemia, dzięki też własnej pracy analitycznej mogliśmy informować Delegaturę i rząd o zbrodniach niemieckich, o możliwościach udzielenia pomocy ludności żydowskiej. Referat przygotowywał też po-

część dla kurierów. Z tej okazji poznałem w 1944 roku emisariusza „Jura”, czyli Jerzego Lerskiego.

Biuro referatu mieściło się przy ulicy Mławskiej 5, w mieszkaniu Bogny Domańskiej, prowadzącej sekretariat. Wspomniałem już o niej, ale myślę, że warto dodać jeszcze parę słów. Od 1942 roku prowadziła sekretariat komórki więziennej. Przed wojną była bibliotekarką i działaczką społeczną, sympatyzowała z lewym skrzydłem obozu pilsudczykowskiego. Pochodziła – jak już wspomniałem – z rodziny Gorskich, jej matka była siostrą Benedykta Hertza, więc w rozumieniu ustaw rasistowskich Bogna, choć wyznania katolickiego, mogła podlegać represjom. Łączniczkami referatu żydowskiego były wymienione już Wanda Muszyńska i „Łucja”, czyli Pelagia Piotrkiewicz. W referacie żydowskim działałem do końca lipca 1944 roku.

5. KTO RATUJE ŻYCIE LUDZKIE

CZY NAPRAWDĘ UCZYNIŁEM WYSTARCZAJĄCO DUŻO? A JEŚLI MOGŁEM URATOWAĆ JESZCZE JEDNEGO ALBO DWÓCH LUDZI, I TEGO NIE ZROBIŁEM? NIKT NIE JEST SĘDZIĄ WE WŁASNEJ SPRAWIE. WIĘC NIKT NIE MOŻE POWIEDZIEĆ, ŻE NIE MÓGŁ UCZYNIĆ WIĘCEJ... IM JESTEM STARSZY, TYM WIĘKSZĄ MAM PEWNOŚĆ, ŻE TO JEST PRAWIDŁOWA, PRAWDZIWA ODPOWIEDŹ.

Dlaczego pan to robił?

Co?

To wszystko.

Bo inaczej nie mogłem.

Ktoś, kto wyczołgał się spod zwał u ciał po akcji Einsatzkommando, przedostał się do Warszawy, uzyskał pomoc, być może dzięki panu, potem walczył w partyzantce, a jeszcze potem, w 1968 roku, dowiedział się od swoich dawnych towarzyszy broni, że w Polsce nie ma dlań miejsca, powiedział mi: „Wiesz, za zabicie świni i za ratowanie Żyda Niemcy karali tak samo. Śmiercią. Schabowego każdy chce zjeść. A ratować Żyda nie każdy”. Jest wiedzą powszechną, że ruch oporu w Polsce miał charakter masowy, ale czy ta masowość przekładała się na działania „Żegoty”?

W jednym pytaniu – parę zagadnień, a każde wymaga objaśnienia. Zacznijmy od ruchu oporu. W szerokim znaczeniu idzie tu o nieprzestrzeżenie zarządzeń okupanta, oszukiwanie, fałszowanie, czyli o zachowania, które w normalnych warunkach uchodzą za naganne. Niemcy wprowadzili tak absurdalnie rozbudowany system zakazów i nakazów – pod groźbą zesłania do obozu koncentracyjnego czy kary śmierci – że w końcu część społeczeństwa popadła w bierność. Inna część dochodziła do wniosku, że

skoro można znaleźć się w kacie albo stanąć pod murem egzekucyjnym tylko dlatego, że trafiło się w nieodpowiednim czasie na nieodpowiednią ulicę, to może lepiej przystąpić do aktywnego sprzeciwu. Postawa zrozumiała, ale, statystycznie rzecz biorąc, mniej powszechna. Wszystko to dokonywało się stopniowo, nie z dnia na dzień, ale wraz z sumowaniem się pewnych doświadczeń. Niemcy potęgowali strategię przemocy. W pierwszej fazie okupacji terror dotknął wybrane ofiary głównie ze środowisk inteligencji warszawskiej. Rozstrzeliwano w Palmirach, w lasach koło Jabłonny, w lasach koło Piaseczna – nie nadając temu rozgłosu. Tak na przykład w 1940 roku zginęła część rodziny znanego pedagoga Drewnowskiego, z której ocalał trzynastoletni Tadeusz, dziś profesor Uniwersytetu Warszawskiego i pisarz. Rozstrzelano ojca i brata, matkę zesłano do Ravensbrück, Tadeusz ocalał ze względu na wiek... Otóż o tym wiedziała mała grupa w kręgach inteligentkich. Od 1942 roku rozpoczęły się egzekucje uliczne, których ofiarami często padali ludzie całkowicie przypadkowi, bo szło o zastraszenie całej społeczności. I z tego brały się odmienne dwie reakcje. Albo skrajny lęk i myśl, aby przetrwać za wszelką cenę, albo bunt i myśl, że dalej tak już nie można i trzeba coś zrobić.

A pan...?

Powiedziałbym, że u mnie to przebiegało odwrotnie. Najpierw konsekwencje, a więc Auschwitz, a potem działanie. Czyli inaczej niż u moich kolegów, rówieśników z konspiracji... Wiedziałem więcej. Zdawałem sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znajdujemy – ze wszystkimi konsekwencjami, których oni sobie nie mogli wyobrazić. Wie pan, ja się nawet niekiiedy wzruszam, myśląc o dwudziestoletnim Bartoszewskim, który dowiedziawszy się o łapanekach w mieście rezygnował z wysłania łączniczki i sam prznosił materiały, bo wyobrażał sobie, że ona wpadnie w łapy gestapo, będzie poniżana, torturowana, trafi do obozu albo zostanie od razu zabita, i trzeba będzie pójść do jej mamy i opowiedzieć. A po wszystkim, co przeżyłem, nie miałem już na to sił.... Do dziś żyją w Warszawie sędziwe osoby, które mówią, że byłem delikatny i opiekuńczy, a ja wcale nie byłem opiekuńczy, tylko po prostu bałem się, bałem się takiego spotkania. Zdarzyło się, że zarekomendowałem kogoś zwolnionego z obozu do konspiracji. Trafił do Kedywu. Latem 1943 roku w czasie nieudanej akcji przy Świętokrzyskiej został zastrzelony przez

patrol policji niemieckiej. Koledzy z oddziału nie mieli kontaktu z jego rodziną, więc mnie obarczono obowiązkiem pójścia do matki i zawiadomienia, że jej jedyny syn nie żyje. Pamiętam do dziś imię, nazwisko, adres, na Żurawiej w Warszawie. Takich sytuacji chciałem uniknąć. Za wszelką cenę.

I dlatego sam pan przenoślił...

Samym sobą mogłem dysponować. Wolna wola. Nie mieszkalem z rodziną, tym samym zmniejszyłem zagrożenie moich najbliższych. Niemcy represjonowali całe rodziny ludzi z konspiracji, na wsi – zawsze, w mieście rzadziej. Ale wróćmy do tematu... Pan pytał o granice ludzkiej solidarności. Teoretycznie można by tak odpowiedzieć: skłonność do podania ręki bliźniemu w potrzebie zmniejsza się wraz z ryzykiem, z niebezpieczeństwem. To naturalne. W tym sensie naturalne, że ludzkie. Niewątpliwie nienawiść do okupantów była powszechna, i ci, którzy nawet palca nie zgięli w sprzeciwie wobec Niemców, życzyli Hitlerowi, żeby zginął w mękach. Ludzie czytali ulotki, broszury, przecież w samej Warszawie wychodziły setki tajnych czasopism, od lewicy do prawicy. Czytanie też było formą oporu. Za posiadanie dwóch, trzech ulotek trafiało się do więzienia albo kacetu, w drugiej zaś fazie okupacji można było stanąć pod murem, w jednej z tych pokazowych egzekucji. Za posiadanie broni więzienie, brutalne śledztwo, bicie, tortury, obóz, niekiedy śmierć. Ale w przypadku przechowywania uciekiniera z getta, nie tylko przechowywania, po prostu udzielenia pomocy, podania szklanki wody czy kromki chleba – śmierć na pewno. Więc ktoś, kto miał udzielić pomocy, stawał przed wielkim problemem. Przechowam, ale znajdzie się jakiś donosiciel i wtedy i ja zginę, i cała moja rodzina. I dlatego tak wahałiśmy się z ogłoszeniem informacji o powstaniu Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom, bo to zwiększało zagrożenie dla każdego, kto przechowywał przyjaciela, sąsiada, wszystko jedno czy z litości, czy za pieniądze. Wiadomość, że akcja pomocy jest prowadzona przy wsparciu rządu polskiego w Londynie, czyniła tych ludzi – w oczach Niemców – członkami konspiracji. Nie każdy człowiek dobrej woli umiał sobie z tym poradzić.

A do tego dochodziła jeszcze świadomość, że przy wszystkich zagrożeniach – szanse uratowania Żyda, uciekiniera z obozu czy z getta, są niewielkie. Ratowaliśmy, zaopatrując ludzi w dokumenty, zapomogi finanso-

we, znajdując lokale, ułatwiając powrót do życia, pod warunkiem że ktoś miał tak zwany „dobry” wygląd, łatwiejsze to było w przypadku kobiet niż w przypadku obrzezanych mężczyzn, ale ilu uratowaliśmy? Ot, widzi pan, sprawa jednej litery stwarza ogromną różnicę. Ratować i uratować! Ratowaliśmy kilkadziesiąt razy więcej ludzi, niż uratowaliśmy. Przez moje ręce przeszło kilkaset dobrze zrobionych dowodów, kenkart, kart pracy, różnych dokumentów, które ułatwiały życie. Ułatwiały, ale nie gwarantowały przeżycia! Więc dla mnie jest ważne, żeby odróżniać słowo „ratować” od słowa „uratować”.

I prawdę mówiąc, w tej sprawie nie ma łatwego wyjaśnienia. W latach 1960–1970 brałem udział w dziesiątkach dyskusji w Polsce, w Izraelu, w Stanach Zjednoczonych, w czasie których rozważano problemy psychologiczne, społeczne, etyczne związane z Holocaustem i akcją pomocy jego ofiarom. Cóż można powiedzieć? Gdzie są granice międzyludzkiej solidarności? Mam odpowiedź. Sformułowałem ją w Jerozolimie w 1988 roku w czasie dyskusji, w której ze strony polskiej uczestniczyli Jerzy Turowicz i Jan Błoński, ze strony Yad Vashem między innymi Izrael Gutman. O kim możemy powiedzieć, że uczynił wystarczająco dużo dla ratowania ludzkich istnień? O tym, kto zapłacił za to własnym życiem! O tym, kto zapłacił za to własnym życiem, spełniając ewangeliczny nakaz miłości albo kierując się laickimi zasadami etyki, to wszystko jedno! Bo jeśli zginął, to nikt nie może o nim powiedzieć, że nie uczynił wystarczająco dużo. Ten zaś, kto przeżył, zawsze może i powinien zadać sobie pytanie: – Czy naprawdę uczyniłem wystarczająco dużo? A jeśli mogłem uratować jeszcze jednego albo dwóch ludzi, i tego nie zrobiłem? Nikt nie jest sędzią we własnej sprawie, więc nikt nie może powiedzieć, że nie mógł uczynić więcej... Im jestem starszy, tym większą mam pewność, że to jest prawidłowa, prawdziwa odpowiedź. Odpowiedź oparta na osobistym doświadczeniu. Chcieliśmy, moja mama i ja, uratować Halinę Medresównę, która była w getcie z rodziną. Od 1942 roku mama miała dokumenty po swojej zmarłej na serce siostrze, więc wszystko by pasowało, i wiek, i nazwisko. Ale mogliśmy wyprowadzić tylko ją... I nie udało się.

Sporo rozmawiałem na ten temat ze znajomymi, którzy – wywiezieni z łódzkiego getta do Auschwitz latem czy też wczesną jesienią 1944 roku – uniknęli komory gazowej. Wśród nich był mój przyjaciel, błogosławionej pamięci Lucjan Dobroszycki. Uwięziony w łódzkim getcie jako

mały chłopiec, całą rodzinę stracił w Auschwitz-Birkenau, ocalał sam jeden, rodzice i rodzeństwo zginęli. Po wojnie kształcił się, został doktorem historii. Pracował w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, w 1968 oddał legitymację PZPR, protestując przeciw inwazji na Czechosłowację, potem zaś załamany wydarzeniami „marcowymi” i ich skutkami wyemigrował z żoną i dzieckiem. Dotarł do Nowego Jorku, gdzie pracował jako historyk w Żydowskim Instytucie Naukowym (YIVO). Zmarł w 1995 roku. Otóż Dobroszycki mawiał do mnie nieraz: – Słuchaj, gdyby była sytuacja odwrotna, gdyby było getto dla Polaków, a Żyda by zabijali z dziećmi, z żoną, z matką za to, że pomagał gojowi, to ci powiem – choć tego nie napiszę i nie wydrukuję – że nie jestem pewien, czy znalazłoby się tylu ratujących, ilu znalazło się w Polsce, przy istniejących poprzednio antagonizmach i różnicach kulturowych.

Więc pytajmy dalej o granice solidarności. W jakiej mierze Polacy pomagali zimą 1939/40 swoim – Polakom, chrześcijanom, katolikom wysiedlonym z Wielkopolski i Pomorza do Generalnego Gubernatorstwa czy uciekinierom z Warszawy w 1944 roku? Większość z tych ludzi wyszła ze swoich domów z jedną walizką, żyła w ciężkich warunkach, nie zawsze spotykając się ze szczególnym zainteresowaniem i życzliwością rodaków. A przecież udzielanie pomocy uciekinierom-Polakom nie było przez Niemców karane.

Od ludzi można oczekiwać odwagi, bohaterstwa, nawet należy oczekiwać, ale też trzeba się liczyć z faktem, że są ludźmi. Kościół katolicki oczekuje od swych wiernych świętości, ale jaki procent spełnia to oczekiwanie? Nie wiem. Ale wiem, że tacy ludzie byli i są. Mało ich. Ale są. I tym się pocieszam.

To jedyna pociecha?

Ważna pociecha. Potwierdzona przez ludzi, którzy przeżyli to piekło. Rozmawiałem z wieloma z nich po wojnie. Rozumieli, z jakimi trudnościami wiązały się nasze działania. Władysław Szpilman nigdy nie miał wątpliwości, że jego polscy opiekunowie – przyjaciele, znajomi zrobili wszystko, co w ich mocy, by mu pomóc. Ale z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego mieszkanie, w którym przebywał, znalazło się na terenie niemieckim. Nie sposób było tam dotrzeć z żywnością, lekarstwami, co Szpilman opisał w swojej książce, a Roman Polański pokazał w filmie *Pianista...* Przecież takich przypadków, takich sytuacji było więcej.

Jesienią 1943 roku dowiedziałem się z lektury grypsów przychodzących z Pawiaka o sprawie pana Szatkowskiego. Był bratem Zygmunta Szatkowskiego, oficera Wojska Polskiego, męża Zofii Kossak, poszukiwanej przez Niemców. Nie miał związków z konspiracją, nie składał przysięgi. Pytany przez gestapo o Zofię Kossak powiedział o jej mieszkaniu przy Noakowskiego, bo wiedział, że ona przestała tam bywać. Czyli że zachował się rozsądnie. Ale pan Szatkowski nie wiedział, że w mieszkaniu, do którego klucze ma Front Odrodzenia Polski, ukrywany jest od wielu miesięcy Moryc Gelber, czyli Aleksander Artymowicz, i że opiekują się nim dwie czy trzy łączniczki przynoszące żywność. Co robić? Skoro gestapo zna ten adres, to Artymowiczowi grozi natychmiastowa śmierć. Organizujemy grupę, w której skład wchodzi dziś już nieżyjący Stefan Rodkiewicz i Krzysztof Dunin-Wąsowicz, obecnie emerytowany profesor, który znał Gelbera osobiście, jako że ten, zanim trafił pod opiekę „Żegoty”, był ukrywany przy pomocy rodziny Wąsowiczów. Idziemy do tego mieszkania. – Drogi panie Artymowicz, przewieziemy pana w inne miejsce. A Artymowicz, który – trzeba dodać – miał „zły” wygląd, protestuje. Nie, nigdzie nie pójde! Obandażowaliśmy mu twarz, siłą. I do dorożki. Jest niedziela, świeci słońce. Dorożkarz widzi, że coś tu podejrzanego. Doniesie? Nie wie, że sprawa żydowska, ale domyśla się, że ma to związek z konspiracją, bo trzech młodych ludzi prowadzi czwartego z obandażowaną twarzą. Budy nie podnosi, bo ładna pogoda. A ulicą chodzą rozmaici ludzie. Ulokowaliśmy naszego podopiecznego w mieszkaniu na Nowym Zjeździe. Tam przetrwał aż do powstania, a kiedy Niemcy zaczęli wysiedlać mieszkańców Nowego Zjazdu, wyszedł z miasta pomiędzy brudnymi, zarośniętymi, wymęczonymi cywilami i przeżył wojnę. Ale nie o nim teraz mówię, tylko o nas. Staaliśmy przed strasznym wyborem: albo zostawimy go w mieszkaniu na pewną śmierć, albo podejmiemy próbę uratowania go, narażając na śmierć samych siebie i jego. Nie pytałem kolegów, co czują. Myślę, że bali się śmiertelnie. W każdym razie ja się bałem. A zresztą może oni byli odważniejsi? Ale uratowaliśmy człowieka, naprawdę uratowaliśmy, bo przeżył wojnę, a było szereg przypadków, kiedy nie dało się uratować.

Przecież wszystkie zadania, które pan wypełniał w konspiracji, groziły śmiercią...

Dlatego poprosiłem o truciznę. Żeby ją mieć przy sobie. Sądziłem, że jeśli wpadnę w ręce gestapo, to będę miał trudności z wytrzymaniem tor-

tur. Były więzień Auschwitz złapany na działalności konspiracyjnej... Oni by mnie odarli ze skóry.

I dostał pan truciznę?

Nie, nie dostałem. Złożyłem więc, że gdyby coś się stało, to dostanę ją od lekarzy na Pawiaku, więźniów politycznych działających w siatce kontrwywiadu AK lub kontrwywiadu cywilnego. Trochę to było naiwne, bo przecież zdarzały się sytuacje, w których nie można było udzielić pomocy. Na przykład Jan Piekalkiewicz, delegat rządu na kraj, ludowiec, siedział na Pawiaku pilnowany przez strażników niemieckich i ukraińskich, żaden Polak nie miał do niego dostępu. Był torturowany na Szucha, skąd przewożono go do więziennej izolatki. Zmarł zamęczony, po czterech miesiącach. Więc jeśli takiemu człowiekowi nie można było pomóc... Tak, dzisiaj, patrząc wstecz, mogę przyznać się do naiwności. Mój Boże, miałem dobre intencje, dobre i uczciwe, a los tak chciał, że nikt przeze mnie nie ucierpiał. Mogłem trochę ludziom pomóc, a nikomu nie zaszkodziłem.

Z tego, co usłyszałem do tej pory, można wysnuć wniosek, że pan spotykał tylko i wyłącznie ludzi dobrej woli?

Nie tylko, ale o nich trzeba mówić, bo w naszym świecie zło łatwo wbija się w pamięć, dobro zaś zostaje zapomniane. To przecież konkretni ludzie działający w Delegaturze wydali zakaz zaciągania się Polaków do jakichkolwiek niemieckich służb pomocniczych w rodzaju na przykład straży pilnującej robotników przymusowych. Dlaczego? Bo w latach 1939–1942 robotnikami przymusowymi na terenie Generalnego Gubernatorstwa byli wyłącznie Żydzi. Polaków wywożono do Niemiec. Otóż był wydany zakaz i udział w czymś takim uchodził powszechnie za nieprzyzwoitość. Policja granatowa? Niemcy nadali jej oficjalną nazwę Policji Polskiej, ale nikt nie miał złudzeń co do fałszu tej nazwy, skoro policjant nie chronił wszystkich obywateli. Służyli tam Polacy, ale policja – otoczona powszechną nieufnością, pogardą, nienawiścią – nie była polska. Z drugiej strony wiadomo, że jej pierwszym komendantem został podpułkownik Marian Koziелеwski, brat Karskiego, który ściśle współdziałał z podziemiem, wkrótce zresztą przeszedł do konspiracji, by tworzyć Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, częściowo także z kadr policji granatowej. Kilku polskich policjantów ma tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata”, ale

cała ta formacja była narzędziem niemieckiej polityki... Do kogo mogę mieć żal, pretensję? Do tych wszystkich, którzy poddali się znieczulicy. Do tych, którzy uważali, że nie warto narażać polskiego życia dla ratowania Żydów. Ta postawa była podła, a w konsekwencji mogła prowadzić do zachowań zbrodniczych. Z czasów okupacji zostały setki tysięcy dokumentów, wśród nich są też dokumenty ludzkiej nikczemności, ale czy dziś, w prasie wolnego kraju, nie spotkamy podobnych świadectw? I czy to wystarczy do wydania generalnej oceny o obliczu... no właśnie, o czym obliczu? Narodu? Społeczeństwa? Może redakcji jakieś gazety? To złożone, trudne, wymagające szczegółowego badania każdego przypadku. Nie mogę więc powiedzieć, że spotykałem wyłącznie ludzi dobrej woli. Jako żołnierz Armii Krajowej i pracownik Delegatury byłem w konspiracji. Pomoc zaś Żydom była konspiracją w konspiracji. Dlaczego? To wynikało z istoty hitlerowskiej strategii. Niemcy doskonale wiedzieli, że Polacy ich nienawidzą. Ale gdyby chcieli aresztować wszystkich, którzy im życzą kłęski, musieliby wysłać do obozów cały naród. I brali takie rozwiązanie pod uwagę, zakładając, że po zakończeniu wojny zrobią z „podludźmi” porządek, wysyłając ich na wschód... Na razie jednak dążyli do realizacji celów priorytetowych, odsuwając na bok sprawy pomniejsze. Jednym z takich celów było biologiczne wyćpienie Żydów. Toteż czynne przeciwstawienie się ich zamiarom, takie jak akcja „Zegoty”, ścigali z bezwzględną zajadłością. Bo to był opór czynny! Załatwienie sprawy oporu biernego przesunęli na później. Przecież to nieprawda, że myśmy byli tacy wspaniali, sprytni, przebiegli, jak to pokazuje się w naiwnych filmach, że robiliśmy pod nosem Niemców różne rzeczy, a oni nic o tym nie wiedzieli. Ależ wiedzieli! Wiedzieli o tajnym szkolnictwie. A niech się douczają, i tak wpadną i zginą. Wiedzieli o szmuglu, o czarnym rynku. Mieli wykwalifikowane służby policyjne i wywiadowcze, które – jak wszystkie policje w świecie – korzystały z „szarej strefy”, z działających tam konfidentów, współpracowników, donosicieli. Czy byli Polacy-kolaboranci? Tak. Mówię to ze spokojem. Ale dodam od razu: nie było w okupowanej Europie społeczeństwa, które by kolaborowało w mniejszym stopniu niż polskie. I jeszcze dodam: nie było w okupowanej Europie społeczeństwa, które ścigało zdrajców z taką determinacją jak my. Działało sądownictwo podziemne, wojskowe i cywilne. Żeby zabić gestapowca, nie trzeba było wyroku. Ale żeby zabić zdrajcę, obywatela polskiego, który przeszedł na stronę wroga, potrzebne były do-

chodzenie, wyrok i uzasadnienie. Otóż nie ma innego narodu w okupowanej Europie, który by wykonał setki wyroków śmierci, prawomocnych, wydanych przez konspiracyjne sądownictwo zawodowe, zawodowych sędziów, adwokatów, prokuratorów – na własnych obywatelach winnych kolaboracji z Niemcami.

Jeśli Sodomia musiała ulec zagładzie, bo zabrakło w niej dziesięciu sprawiedliwych, to my zasłużyliśmy na istnienie jako społeczność, z której wyrosły tysiące sprawiedliwych.

*

Czy możemy wrócić do BIP? W Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej, czyli VI Oddziale, zgromadziła się elita polskiej inteligencji.

Los mi sprzyjał. Tam byli ludzie nieprzeciętni. Na czele BIP stał od połowy października 1940 roku pułkownik dyplomowany Jan Rzepecki, syn Izy Moszczeńskiej, wybitnej działaczki niepodległościowej i społecznej, między innymi inspiratorki utworzenia Ligi Kobiet. Od 1914 roku służył w Legionach. W maju 1926 roku walczył po stronie rządowej, potem pracował w Wojskowym Biurze Historycznym. Umysł krytyczny, raczej intelektualista niż typowy oficer. „Prezes”, bo najczęściej używał tego pseudonimu, kierował strukturą obejmującą kilkuset zaprzysiężonych ludzi. BIP, jeśli nie liczyć komórek organizacyjnych, technicznych, szyfrowych, dzielił się na trzy wydziały. Był Wydział Informacji kierowany przez Jerzego Makowieckiego. Po jego śmierci w czerwcu 1944 roku szefem Wydziału został Aleksander Gieysztor. Były kierowane przez Jerzego Rutkowskiego, prawnika, Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze, przedsięwzięcie na skalę niespotykaną. Stamtąd wychodziły tysiące druków informacyjnych, szkoleniowych, oświatowych, biuletynów, broszur i książek. Był Wydział Propagandy Bieżącej, na którego czele stał Tadeusz Żenczykowski, prawnik, w 1938 roku najmłodszy wiekiem poseł na Sejm, wybrany z listy Obozu Zjednoczenia Narodowego, szef propagandy tego ugrupowania. Utalentowany mówca, publicysta i organizator. W czasie wojny przeszedł daleko idącą ewolucję, zbliżył się do demokratycznego skrzydła młodych pilsudczyków. Żenczykowski kierował dywersyjną antyniemiecką akcją „N”, potem także antysowiecką akcją „R”. Wydział Propagandy Bieżącej,

któremu podlegały redakcje biuletynów i pism, zajmował się też przygotowaniem służb dla przyszłego powstania. Tworzono grupy filmowców, fotografów, korespondentów wojennych, aktorów. W obrębie BIP działało kierowane przez dr. Stanisława Płoskiego tajne Wojskowe Biuro Historyczne. BIP – że wyliczę nazwiska najbardziej znane – to: Aleksander Kamiński, Kazimierz Kumaniecki, Witold Giełżyński, Tadeusz Manteuffel, Michał Walicki, Stanisław Lorentz, Halina Krahelska, Marcelli Handelman, Bohdan Korzeniewski, Jan Zachwatowicz, Stanisław Herbst, Witold Kula... Ja zostałem przydzielony do podwydziału politycznego „P”, przemianowanego później na „C”. Wykonywałem prace analityczne dotyczące prorządowych stronnictw politycznych i niektórych wydawnictw prasowych, a oprócz tego zajmowałem się faszystującą organizacją „Miecz i Plug”, co miało po wojnie swój dalszy ciąg, cokolwiek zresztą ironiczny. Jedną z sąsiednich komórek podwydziału „P” zajmowała się analiza działalności organizacji komunistycznych. Kierował nią Zygmunt Kapitaniak, prawnik, związany z Klubami Demokratycznymi, po wojnie między innymi sędzia Sądu Najwyższego, i Jan Topiński, działacz Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i PPS z Krakowa, który w czasie okupacji przeniósł się do Warszawy. I tu rzecz ciekawa: po wielu, wielu latach, w czasie jednego z moich wykładów na KUL mówiłem o BIP. Okazało się, że słuchają mnie koledzy synów Topińskiego, którzy nie wiedzieli o roli, jaką w podziemiu odegrał ich ojciec. Siła konspiracji!

We wczesnej fazie mojej pracy w BIP utrzymywałem bliskie kontakty z Kazimierzem Ostrowskim, Adamem Dobrowolskim, Eugeniuszem Czarnowskim i Kazimierzem Moczarskim. To byli ludzie starsi ode mnie o około dziesięć lat, dojrzały, wykształceni, z doświadczeniem społecznym i politycznym, na ogół związani ideowo ze środowiskami na lewo od centrum, z piłsudczykami, ze Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, Legionem Młodych, „Strzelcem”. Kazimierz Moczarski, działając w BIP, pełnił jednocześnie jakieś funkcje w Kierownictwie Walki Cywilnej. Przed wojną, związany z Klubami Demokratycznymi, był urzędnikiem w Ministerstwie Opieki Społecznej. Miał też powiązania ze Światowym Związkiem Polaków. Czy to były powiązania o charakterze wywiadowczym? Nie wiem. Być może, jeśli uwzględnimy, że jednym z przyjaciół Moczarskiego był Włodzimierz Lechowicz, który przed wojną pracował w Samodzielnym Referacie Informacji w Warszawie, a który w czasie oku-

pacji odgrywał ważną rolę w sztabie Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, bardzo to skomplikowane i chyba po dziś dzień niewyjaśnione do końca.

Interesujący był skład służb szyfrujących teksty, „robiących pocztę”... Często były to kobiety w wieku, no, dla mnie, dwudziestolatka, dojrzałym. Hanna Malewska, wybitna pisarka, była szyfrantką Komendy Głównej, a działały tam także panie związane ze „Strzelcem” jeszcze przed pierwszą wojną światową, i z Polską Organizacją Wojskową... Bywałem „na lokalach”, tak się mówiło, „na lokalach” BIP dwa–trzy razy w tygodniu, otrzymywałem zadania. W 1943 roku specjalista z AK założył w moim mieszkaniu skrytkę podłogową, nader pojemną.

Czy miał pan bezpośredni kontakt z majorem Jerzym Makowieckim, szefem Wydziału Informacji, prezesem Stronnictwa Demokratycznego?

Spotkałem się z nim w styczniu 1944 roku. Wiedział o mnie sporo, Hanka Czaki była przecież kierowniczką jego sekretariatu. Bez zgody Makowieckiego, „Tomasza Malickiego”, bo taki nosił pseudonim, nie mógłbym rozpocząć służby w Armii Krajowej. Ja z kolei wiedziałem od Zofii Kossak, że pomógł jej uratować żydowską dziewczynkę z Bochni, która, nawiasem mówiąc, przeżyła okupację i wyjechała do Izraela. Otóż Zofia Kossak wyrażała się o „Tomaszu” ciepło, dobrotliwie, że to ateista i pewnie mason, ale bardzo przyzwoity człowiek. Z czasem, znacznie później, dowiedziałem się, że działał w POW, w 1918 roku zajmował jakieś stanowisko w adiutanturze Piłsudskiego, w okresie wojny z bolszewikami był związany z II Oddziałem, wyszedł z wojska w stopniu kapitana... Ale w czasie mego spotkania z Makowieckim Zofia Kossak była już od kilku miesięcy w Auschwitz.

5 stycznia 1944 roku gestapowcy aresztowali, nie wiadomo, czy przypadkiem, czy wskutek zdrady, Hankę Czaki i Alicję Pawlisiak, też z BIP, które miały przy sobie szyfrowane dokumenty i mikrofilmy przygotowane do wysyłki za granicę. Przewieziono je natychmiast do siedziby gestapo. Hanka posługiwała się legalnymi papierami, więc ustalenie miejsca jej zamieszkania nie stanowiło problemu. Niemcy wkroczyli do mieszkania państwa Czaki, gdzie akurat trwał wykład dr. Władysława Okińskiego dla grupy studentów tajnego uniwersytetu. Po jakimś czasie w mieszkaniu zjawiała się Ewa Pohoska, łączniczka Wydziału Informacji, związana z socjalistyczną grupą „Płomienie”, córka wiceprezydenta Warszawy Jana Po-

hoskiego, rozstrzelanego w 1940 roku na Palmirach. Wszyscy zostali areztowani. Następnego dnia Hankę, straszliwie pobitą, na noszach, przewieziono na Pawiak. Tam nawiązała z nią kontakt „Myszka” Uzar-Krysiakowa, strażniczka więzienna działająca w komórce więziennej. Hanka informowała, że w czasie rewizji Niemcy nie znaleźli skrytki podłogowej, którą powinienem czym prędzej opróżnić. Wie pan, biło ją czterech mężczyzn. Ona drobna, słaba fizycznie. Niczego z niej nie wydobyli, ani słowa, a przecież знаła tyle tajemnic, znała adresy...

O wyznaczonej godzinie miałem wejść do kawiarni Pomianowskiego przy ulicy Marszałkowskiej. Powiedziano mi, że będzie tam na mnie czekał mężczyzna z wąsikami, palący papierosa po papierosie. Jednym ze znaków rozpoznawczych była popielniczka pełna niedopalków. Wszedłem i stojąc przy gablotach z ciastkami, zacząłem rozglądać się po sali. Widzę mężczyznę z wąsikami. Pali papierosa. Przed nim popielniczka. – Przepraszam, czy mógłbym się przysiąść na chwilę... Tylko zjem ciastko... I podałem hasło. Przyjrzał mi się. – Aha, to wy jesteście... – Ja. – Co możecie zrobić dla ocalenia materiałów od Hanki? A ja już przeprowadziłem wstępne dochodzenie, wiedziałem, że mieszkanie jest opieczętowane, czyli że trzeba będzie się włamać, a to z kolei wiąże się z ryzykiem, bo piętro niżej mieszka niejaki Gmerek, jedyny volksdeutsch w tym bloku. Gmerek ma telefon i w każdej chwili może połączyć się z gestapo. Mnie tam znają, bo mama mieszka w sąsiedztwie, wiedzą, że byłem w Oświęcimiu. Wtedy Makowiecki zapytał: – A czy macie kogoś, kto mógłby wam pomóc w zorganizowaniu akcji bez obciążania II Oddziału? – Myślę, że tak... – odpowiedziałem. W skrytce Hanki znajdowały się klucze szyfrowe. Trzeba je było usunąć jak najprędzej, a przygotowanie działań przez wywiad czy Państwowy Korpus Bezpieczeństwa musiałoby zająć parę dni. Nie było wyboru, bo przecież tylko ja wiedziałem, gdzie znajduje się skrytka i jak ją otworzyć.

Poprosiłem o pomoc Stefana Rodkiewicza „Lecha”, dzielnicowego komendanta „małego sabotażu”. Przyjaźnił się z Hanką. Dzielny człowiek. To on nadał w 1943 roku audycję 3-majową przez megafony na placu Wilsona. Pracował w telefonach, miał dobre papiery. Mógł poruszać się po godzinie policyjnej, pod pretekstem sprawdzania skrzynek telefonicznych. Zorganizował grupę, w której skład weszli: pracownik komisariatu policji granatowej „Robak” – Koziulewski, ale nie miał nic wspólnego z Karskim,

przypadkowa zbieżność nazwisk, Zbyszek Gajowniczek z „małego sabotażu” i jeszcze kilku młodych ludzi mających obstawiać klatkę schodową. Był wieczór, już po godzinie policyjnej. Mieliśmy kłopot z bezszmerowym otwarciem drzwi, trzeba je było wywalić. Huk straszny. Ale udało się. Skrytka została opróżniona. Na podwórzu rozrzuciliśmy trochę rzeczy, żeby to wyglądało na włamanie rabunkowe. Ustaliliśmy, że „Robak” złoży w komisariacie policji doniesienie o włamaniu. Akurat w tym komisariacie pracowali ludzie związani z Państwowym Korpusem Bezpieczeństwa. Przyjechali następnego dnia, przesłuchali dozorczynię, a przy okazji powiedzieli jej, że to pewnie robota bandy działającej na Żoliborzu. Zawartość skrytki przekazałem Makowieckiemu. Zawiadomiłem też Hankę i jej rodziców, że sprawa została załatwiona...

19 stycznia 1944 roku Niemcy rozstrzelali w ruinach getta dr. Okińskiego i jego sześciu studentów. Kilka dni potem stracono pana Tytusa Czaki. 11 lutego stracono Hankę Czaki, Alicję Pawlisiak i Ewę Pohoską. 15 lutego stracono matkę Hanki i dwie studentki z grupy dr. Okińskiego...

Cztery miesiące później został zamordowany Jerzy Makowiecki.

13 czerwca 1944 roku. Makowiecki i jego żona Zofia zostali porwani i zabici pod Warszawą, w okolicach wsi Górcze. Tego samego dnia uzbrojeni mężczyźni, Polacy, wdarli się do mieszkania pracownika Wydziału Informacji BIP, historyka Ludwika Widerszala. Zastrzelili go na oczach ciężarnej żony. Potem dwoje pracowników BIP – profesor Marceli Handelman i Halina Kraheńska – zostało wydanych w ręce gestapo.

Kiedy i jak dowiedział się pan o tych wydarzeniach?

14 lub 15 czerwca. Byłem wówczas kierownikiem referatu prasowego w Wydziale Informacji BIP i jednocześnie pracowałem w komórce więziennej kierowanej przez Witolda Bieńkowskiego. I właśnie do komórki więziennej dotarła informacja, że Makowiecki i jego żona zostali porwani z mieszkania na Kolonii Staszica. Mieliśmy sprawdzić w trybie alarmowym, czy porwani nie znajdują się na Pawiaku oraz czy nie ma ich ciał w Zakładzie Medycyny Sądowej. Dopiero kilkadziesiąt godzin później dowiedziałem się, że porwaniu towarzyszył mord na osobie naszego kolegi z BIP Ludwika Widerszala. To już wyglądało na zaplanowaną akcję przeciw środowisku BIP. Potem doszły wiadomości o wydaniu w ręce gestapo

Krahelskiej i Handelsmana... Nietrudno było skojarzyć te wydarzenia z krążącymi od pewnego czasu listami proskrypcyjnymi. Ich poetyka wyraźnie wskazywała na autorów związanych z ugrupowaniami skrajnej prawicy...

Widziałem niedawno jedną z takich list, na której demokraci, przeciwnicy totalizmu z Klubów Demokratycznych, PPS-WRN czy „Wici” nazywani są agentami komunistycznymi, masonami, Żydami, w sumie zdrajcami zasługującymi na śmierć. Ta akurat lista została sprządzona przez komórkę wywiadowczą Narodowych Sił Zbrojnych...

Na takich listach figurował na przykład mój szef „Piotr”, „Lidzki” Eugeniusz Czarnowski, zasłużony organizator konspiracji niepodległościowej w 1939 roku, twórca Zjednoczenia Demokratycznego, potem jeden z Szesnastu, wywieziony do Moskwy i sądzony. Na liście przekreślono mu nazwisko na Czarnocki. W efekcie został zastrzelony młody intelektualista Czarnocki... Pojawiło się podejrzenie, że morderstwa są dziełem grupy ludzi z NSZ, którzy w wyniku scalenia części NSZ z Armią Krajową trafili do komórek kontrwywiadu Okręgu Warszawskiego i zaczęli realizować politykę swej macierzystej organizacji. To byłoby niemożliwe na szczeblu Komendy Głównej, gdzie kontrwywiadem kierował Bernard Zakrzewski, „Oskar”, przedwojenny prokurator, pilsudczyk, działacz Straży Przedniej... Los chciał, że spotkałem Zakrzewskiego w celi więziennej latem 1952 roku. Rozmawialiśmy między innymi o tej sprawie. Zakrzewski użył wtedy określenia: „wtyczki mafijne”. Miał na myśli ludzi ze skrajnej prawicy.

Latem 1944 roku śledztwo z ramienia Kierownictwa Walki Podziemnej i BIP prowadził Kazimierz Moczarski. Zostało ustalone, że porwania i zabójstw dokonała grupa „Andrzeja Sudeczki” – Popławskiego. „Sudeczko”, przedwojenny podoficer, stworzył grupę złożoną z odważnych, dobrze uzbrojonych młodych ludzi. Miał jakieś związki z AK. Wykonywał tzw. akcje ekspropriacyjne i zabójstwa na zlecenia rozmaitych organizacji, trudno powiedzieć, czy z myślą o korzyściach materialnych, czy może z fałszywych pobudek ideowych? No więc ustalono, kto był mieczem, mniej lub bardziej ślepym. „Sudeczko” został zastrzelony na Powązkach. Wiem o tym, bo w czasie Powstania Warszawskiego była rozważana sprawa ogłoszenia w prasie akowskiej komunikatu o tych wyda-

rzeniach. Przeważył jednak pogląd, że może warto poczekać z jego publikacją na bardziej sprzyjające okoliczności.

To wszystko wydawało mi się jakieś dziwne i w sumie straszne. Bo przecież bratobójcza zbrodnia w podziemiu, w sercu konspiracji! Któręś dnia powiedziałem Bieńkowskiemu, że konieczne jest jak najszybsze wykrycie sprawców. A proszę pamiętać, że byłem z nim zaprzyjaźniony, ufałem mu. I nagle Bieńkowski mówi do mnie tonem, jakiego wcześniej nie słyszałem: – Kategorycznie żądam, żebyś nie mieszał się do tych spraw! Nie zajmuj się nimi! To jest polecenie służbowe! No, był moim szefem w komórce więziennej, miał prawo to powiedzieć, ale nie spodobał mi się ton. Jakaś intuicja... Oczywiście przyjąłem zakaz do wiadomości, ale postanowiłem zrezygnować z pracy w Delegaturze. Drogą służbową, a więc przez Bieńkowskiego, złożyłem dymisję u dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury, tłumacząc, że w obliczu spodziewanych, czekających nas działań zbrojnych, moim pierwszym obowiązkiem jest służba w Armii Krajowej. Bo przecież najpierw byłem zaprzysiężony w Armii Krajowej, pracę w Delegaturze podjąłem za zgodą przełożonych z wojska. Ciekawe, że Bieńkowski nie przekazał mojej dymisji, a dowiedziałem się o tym po wojnie, w więzieniu, od siedzącego w tej samej celi szefa wydziału w Departamencie Spraw Wewnętrznych.

A do sprawy porwania i morderstw wrócił pan po kilkunastu latach...

Tuż po wojnie poznałem szczegóły aresztowania przez gestapo Krahelskiej i Handelsmana. Oboje zginęli w obozach. Nie uległo wątpliwości, że zostali zadenuncjowani. Rozmawiałem o tym z Kazimierzem Moczarskim, który w 1945 roku stał na czele BIP. 11 sierpnia 1945 roku ktoś go wskazał ludziom z UB. Potem, po 1956 roku, Moczarski twierdził, że wie, kto go zdradził, ale nigdy nie wyjawiał nazwiska tej osoby.

Ale żeby rzecz ująć dokładnie, to nie ja powróciłem do sprawy. Na odwrot. Sprawa przyszła do mnie. Stało się to po Październiku. Ludzie wyszli już z więzień, zaczęli wracać do życia. Moja koleżanka z „Gazety Ludowej”, mecenas Halina Piekarska i jej mąż, też prawnik, prowadzący jakieś małe przedsiębiorstwo, zaprosili mnie na kolację. Gospodyni lokuje mnie przy stole obok Władysława Jamontta. Mówi: – Sadzam was obok siebie, bo przecież siedzieliście w tym samym więzieniu, więc pewnie ma-

cie sobie sporo do opowiedzenia... Rzeczywiście, gdy byłem w więzieniu na Rakowieckiej, mówiono mi, że Jamontt znajduje się w jednej z sąsiednich cel. Nie znalazłem go. Znalłem natomiast jego siostrę Helenę, która przed wojną była związana z ONR, zaś w czasie okupacji działała w pionie kobiecym Konfederacji Narodu. Spotykałem się z nią dosyć często, w sprawach związanych z Pawiakiem, ona miała tam swoje kontakty, brała udział w wysyłce paczek dla więźniów. Wiedziałem, jaki jest jej rodowód polityczny, ale to dla mnie nie miało znaczenia, bo znałem jej lojalność wobec państwa podziemnego. Lubiliśmy się. Wiedziała, jak mam na imię, i pewnego dnia powiedziała mi, że ma ukochanego brata o tym samym imieniu, zaproponowała nawet, żebym go poznał. Do tego nie doszło. Doszło natomiast do spotkania Jamontta z Bieńkowskim, który mi o tym mówił jakoś tak: – Wiesz, poznałem brata Hali... albo: – Rozmawiałem z bratem Hali... I widać było, że jest pod coraz większym jego urokiem, pod coraz silniejszym wpływem... Siedzimy przy stole, jemy, pijemy, zwracam się do Jamontta, mówię, że znalazłem jego siostrę i że wielka szkoda, że tak młodo poległa. Bo ona zginęła w powstaniu, na Starówce. Jamontt opowiada, że po wojnie ukrył się w Urzędzie Bezpieczeństwa w Nowym Targu, chyba jako radca prawny, tam go nakryli i aresztowali. Ja z kolei przypominam sobie, że w 1944 roku był w bliskim kontakcie z Bieńkowskim. A on nagle oświadcza: – Z Bieńkowskim jest związana ważna sprawa w moim życiu. On mnie wrobił. Kazał mi zabijać ludzi! – Jakich ludzi? W tym momencie Jamontt zaczyna mówić o porwaniu Makowieckich i zabójstwie Ludwika Widerszala. Przy stole. Pijemy wino, coś jemy, no, szokujące! Mówi, że był wtedy oficerem kontrwywiadu AK... Czy w tej sprawie działał z ramienia kontrwywiadu? Nie, z polecenia Bieńkowskiego. Niemożliwe! Przecież to byli bliscy sobie ludzie! Makowiecki został ojcem chrzestnym dziecka żydowskiego, które Bieńkowscy przechowywali aż do końca wojny! Jamontt zapewnia, że mówi prawdę. Opowiada, że spotykał się z Bieńkowskim w mieszkaniu nr 14 przy ulicy Mickiewicza 37. A to było moje mieszkanie, do którego Bieńkowski miał klucze! Nie mogąc uwierzyć, zażądałem, żeby opisał ten lokal. Opisał je szczegółowo, nawet kolor i kształt stołu, przy którym się naradzali... A czy komuś o tym opowiadał? Jamontt zapewnia, że o wszystkim opowiedział w czasie śledztwa w UB. A więc bezpieka o tym wiedziała, a mimo to włos mu nie spadł z głowy!

I co pan zrobił?

Wie pan, to było tak zaskakujące, tak niewiarygodne, ale pozwalało na zsumowanie pewnych podejrzeń, które teraz trzeba było zweryfikować. Zaprosiłem Jamontta na herbatę do mojego mieszkania. W sąsiednim pokoju przy uchylonych drzwiach siedział Kazimierz Moczarski, o czym Jamontt nie wiedział. No i zaczęliśmy długą rozmowę, w czasie której mój rozmówca jeszcze raz potwierdził, że Bieńkowski odegrał główną rolę w podjęciu decyzji zabicia Widerszala i Makowieckich. Według wersji Jamontta – Bieńkowski powoływał się na jakieś mgliste, specjalne pełnomocnictwa i wydał rozkaz Jamonttowi, a ten z kolei przekazał sprawę „Sudeczce” do wykonania. Zabrzmiało to księżycowo, bo sytuacja, w której pan A powołuje się na jakieś nieokreślone pełnomocnictwa, wydaje wyroki śmierci, a pan B po prostu kiwa głową i bez wahania te wyroki wykonuje, była w AK mało prawdopodobna, tym bardziej że Jamontt był prawnikiem i doświadczonym konspiratorem, jeszcze sprzed wojny, gdy kierował Wydziałem Bojowym w organizacji Piaseckiego. A jednak uparł się przy tej wersji. Nie mówił, że jest niewinny. Potwierdzał swój udział. Ale odpowiedzialność za podjęcie decyzji przerzucał na Bieńkowskiego i swego kolegę z kontrwywiadu Władysława Niedenthala, który nie mógł ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, bo zginął w powstaniu. Oni zadecydowali, on tylko wykonał. Ale czy mu wierzyć, że był taki naiwny? Bo naiwny nie był, o nie!

I co pan zrobił z tą wiedzą?

Nie trzymałem jej przy sobie. Wkrótce z inicjatywy profesora Tadeusza Manteuffla utworzono nieformalną grupę dla zbadania sprawy. Aleksander Gięsztor, Stanisław Płoski, Zygmunt Kapitaniak, Kazimierz Moczarski i ja, czyli ludzie z BIP. Spotykaliśmy się w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk na Rynku Starego Miasta. Protokoły z sesji prowadziła dr Wanda Kiedrzyńska z przedwojennego Wojskowego Biura Historycznego, związana z lewicą piłsudczykowską, w czasie okupacji więźniarka Ravensbrück. Po latach na protokoły natrafił Robert Jarocki, wykorzystał je w swej książce o Aleksandrze Gięsztorze. Otóż, gdy mówimy o wnioskach, ustalono, że zabójcami byli ludzie „Sudeczki”, decyzję wydał Bieńkowski, prawdopodobnie pod wpływem Jamontta, ale w nieformalnym porozumieniu z osobami znajdującymi się na szczytach ugrupo-

wań skrajnej prawicy, być może gdzieś w pobliżu dawnego ONR. Potem sprawą zajmował się na łamach „Polityki” historyk Ryszard Nazarewicz, który w czasie okupacji działał w wywiadzie Armii Ludowej. Doktor Andrzej Krzysztof Kunert, pisząc swoją pracę o Moczarskim, odkrył materiały archiwalne, które w pełni potwierdzają trafność naszych ustaleń.

Czy spotkał się pan z Witoldem Bieńkowskim po wojnie?

Parokrotnie. Jesienią 1945 roku, może trochę później, kiedy był redaktorem naczelnym „Dziś i jutro”, pisma grupy Bolesława Piaseckiego, zaproponował mi objęcie stanowiska sekretarza redakcji. Byłem bez pracy, bez pieniędzy. Odmówiłem. – Słuchaj, to nie może być nic uczciwego. Myślisz, że oni za nic dali koncesję na czasopismo Piaseckiemu, któremu nie tak dawno groziła kara śmierci?... I drugi raz, on już był wtedy posłem, doszło do spotkania na ulicy. Był poirytowany. Zaczął wykrzykiwać, że ma znajomości i powiązania tego rodzaju, że nikt w Polsce nie może mu zaszkodzić... Współpracował z MBP, utrzymywał ponoć bezpośrednie kontakty z ludźmi generała Sierowa. Od kiedy? Nie wiem... Może od listopada 1944 roku, gdy został aresztowany przez NKWD? W każdym razie te fakty rzucają światło na uwikłania człowieka, który w czasie okupacji miał rzeczywiste zasługi. W końcu wpadł w alkoholizm i w stanie nietrzeźwym zmarł na peronie dworca w Otwocku... Wie pan, od tamtych wydarzeń minęło ponad sześćdziesiąt lat, jestem starym człowiekiem, a wciąż nie mogę zrozumieć motywów tej dewiacji moralnej...

6. POWSTANIE

...NIE, NIE WIEM, CO BY BYŁO, GDYBY POWSTANIE NIE WYBUCHŁO. NIKT NIE WIE. JAŁOWE ROZWAŻANIA! WIEM, CO BYŁO!

W chwili rozpoczęcia Powstania Warszawskiego znajdował się pan w lokalu konspiracyjnym przy ulicy Hożej, czy tak?

Byłem tam od 28 lipca, zgodnie z otrzymanym rozkazem.

Sześć dni po utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego...

Osiem dni po zamachu na Hitlera... Myślę, że wtedy to było dla mnie ważniejsze. Że wreszcie w Niemczech ktoś sobie zdał sprawę z nadciągającej klęski. Na ulicach Warszawy pojawili się uciekinierzy cywilni, zmęczeni brudni żołnierze... A o PKWN dowiedziałem się 25 lipca, czytając biuletyn, bez większego przejęcia. No, powstała mała grupa przy Armii Czerwonej, ale jakie ma to znaczenie, skoro mamy własne wojsko i stoją przy nas zachodni alianci? To interesujące z psychologicznego punktu widzenia. Pewność słuszności moralnej i politycznej naszych przekonań powoduje, że niekiedy tracimy zdolność pełnego rozumienia sytuacji i dynamiki jej rozwoju. Widzimy to, co chcielibyśmy zobaczyć, i to nam wystarczy, przynajmniej przez pewien czas. A co widzieliśmy? Tłumy uciekinierów ze wschodu, volksdeutschów, Ukraińców, Białorusinów, wycofujące się wojsko niemieckie. Wieczorami nad miastem zawiślały flary, „żyrandole” zrzucające z sowieckich samolotów, słychać było wybuchy bomb. Zza Wisły dochodziły dźwięki kanonady artyleryjskiej.

26 lipca ukazały się czerwone afisze grożące represjami za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości o sytuacji na froncie, co dla warszawiaków znaczyło tylko tyle, że Niemcy dostają bity i nie należy o tym głośno mówić. Na innych afiszach, tym razem niepodpisanych, anonimowych – choć czuć było ciężką łapę niemieckiej propagandy – widniały wezwania do obrony przed „czerwoną nawałą”, przyjęcia patriotycznej postawy i tak dalej... To były fragmenty odezwy Wincentego Witosa z 1920 roku, ale publikowane bez daty, czyli dające czytelnikowi do zrozumienia, że Witos je pisał w tej chwili. 27 lipca otrzymałem pocztą służbową wezwanie do stawienia się pod wyznaczonym adresem. W dużym, sześciopokojowym mieszkaniu koleżanki i kolegów z Wydziału Informacji, ale już nie BIP, lecz VI Oddziału Sztabu, bo struktury Armii Krajowej uległy przemianowaniu. W jednym z sąsiednich pokojów znajdowali się żołnierze z plutonu z rejonu Wilanowa. Mieli zdobyć Zakłady Mleczarsko-Jajczarskie na ulicy Hożej. Nie da się zapomnieć atmosfery oczekiwania, nerwowej, a pełnej uroku. 28 lipca pułkownik Chruściel „Monter” odwołał stan alarmowy. My mieliśmy pozostać na miejscu, ale mogłem po raz ostatni odwiedzić Żoliborz, pożegnać się z rodziną, porozmawiać z kolegami. Na placu Wilsona przypadkowo spotkałem państwa Janinę i Władysława Dunin-Wąsowiczów, rodziców Krzysztofa, dopiero co uwolnionych z Pawiaka. Spotkałem też Jana Topińskiego, który wciąż czekał na przydział. Przekazałem mu mały aparat radiowy, który służył mu aż do upadku powstania.

W tym czasie, nie pamiętam już, czy w dniach alarmu czy też w pierwszych dniach powstania, mój przełożony Kazimierz Ostrowski skontaktował mnie z „Lenartem”, od którego usłyszałem propozycję wstąpienia do kadrowej wojskowej organizacji „Nie”. „Nie” – od słowa „Niepodległość”. Jej celem była kontynuacja walki o niepodległość po przewidywanym zajęciu terytorium Polski przez Armię Czerwoną. Organizacja „Nie” podlegała naczelnemu dowództwu Polskich Sił Zbrojnych za granicą i rządowi Rzeczypospolitej w Londynie. Czulem się zaszczycony. Zasady tworzenia „Nie” wykluczały nabór ochotników. Brano tylko ludzi zaufania, wskazanych przez kierownictwo. „Lenart”, czyli Roman Goldman, pilsudczyk, był przed wojną redaktorem „Strzelca”, a w czasie okupacji szefem Agencji Prasowej działającej pod nadzorem Wydziału Prasowego BIP. Zostałem zobowiązany do zachowania ścisłej tajemnicy,

także wobec kolegów z Armii Krajowej, domyślałem się jednak, że taka sama propozycja została złożona Kazimierzowi Ostrowskiemu...

1 sierpnia była piękna pogoda, ogromny ruch na ulicach, młodzi ludzie z euforią w oczach... To znane sprawy, wielokroć opisywane. Pierwsze strzały usłyszeliśmy przed 17.00, ale my, zdyscyplinowani, czekaliśmy. O 17.00 nasi koledzy z plutonu liniowego pobiegli w stronę centrali mleczarskiej. Strzelanina. I wkrótce okazało się, że centrala została zdobyta. A były tam ogromne zasoby żywności – serów, jajek, miodu, co dla intendenty Armii Krajowej miało ogromne znaczenie. Wyszliśmy na dach, trochę lekkomyślnie, bo Niemcy pruli z karabinów maszynowych usytuowanych w pobliskim budynku pocztowo-komunikacyjnym. Na szczycie Prudentialu łopotał biało-czerwony sztandar. Niezwykły widok w niezwykłej chwili... Ludzie stojący na ulicach klaskali, śmiali się, płakali...

W nocy otrzymaliśmy rozkaz zmiany lokalu. Placówkę informacyjno-radiową o kryptonimie „Anna” założyliśmy w budynku przy ulicy Marszałkowskiej 62, w mieszkaniu, co za zbieg okoliczności, pani Kazimierzy Żuławskiej, matki Juliusza i Wawrzyńca, która przechowywała „klienta” „Żegoty”. Był zdenerwowany, nie wiedział, jak będziemy się wobec niego zachowywać. Ale kiedy zobaczył, że pani Żuławska rozmawia z nami przyjaźnie, z zaufaniem, uspokoił się. W tym domu pracowałem osiem tygodni, aż do kapitulacji powstania.

Na czym polegała ta praca?

Placówka „Anna” była częścią powstańczego systemu informacyjnego. Podlegała Wydziałowi Informacji VI Oddziału Sztabu. Na jej czele stanął Kazimierz Ostrowski, jego przełożonym był Aleksander Gieysztor, szef Wydziału Informacji, a z kolei jego przełożonym pułkownik Jan Rzepicki. Naszym zadaniem było zbieranie i analiza informacji... Mieliśmy radiostację o zasięgu kilku kilometrów, wyprodukowaną przez techników z AK, zespół łączniczek. Podobną placówką, o kryptonimie „Rafał”, usytuowaną najpierw na placu Dąbrowskiego, potem przy ulicy Świętokrzyskiej, kierował Kazimierz Moczarski. Wyjaśnię dokładniej... Dzisiaj, w XXI wieku, dowódca wielkiej jednostki otrzymuje obraz sytuacji, i to w czasie rzeczywistym, dzięki zdjęciom satelitarnym. Wtedy trzeba było zobaczyć, niekiedy dotknąć, zanotować, przekazać. A sytuacja nie wyglądała tak jak w filmach wojennych, że po tej stronie są Niemcy i tylko oni, po drugiej

zaś my. Znaczna część celów wyznaczonych przez dowództwo powstania nie została opanowana. Powstały enklawy, niemieckie i nasze. Tak było nawet w Śródmieściu, gdzie dominowały siły powstańcze. Otrzymywaliśmy więc pytania z dowództwa. Zbieraliśmy informacje. Składaliśmy meldunki, kilka, a nawet kilkanaście razy w ciągu dnia. Mieliśmy łączność radiową z Mokotowem i Żoliborzem. Do 20 sierpnia korzystaliśmy też z łączności telefonicznej, bo Niemcy, choć trzymali budynek PAST-y przy ulicy Zielnej, to nie wykorzystali tego faktu. I dzięki telefonom mieliśmy kontakt – na przykład – z żoliborskim 26 komisariatem policji granatowej, który przekształcił się w 26 komisariat Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. Wysyłaliśmy patrole informacyjne, które systematycznie obchodziły południową część Śródmieścia. W pierwszej dekadzie sierpnia do naszej placówki dołączyli pracownicy Wydziału Informacji Stanisław Michałowski „Małecki”, Waław Szyszkowski „Kawecki”, Eugeniusz Czarnowski „Lidzki”, ten sam, który zaprzysięgał mnie w AK, teraz zaś był przewodniczącym Zjednoczenia Demokratycznego, członkiem Rady Jedności Narodowej. Był z nami Juliusz Wiktor Gomulicki, wybitny krytyk literacki, var-savianista, bibliofil, oficer rezerwy...

W pierwszych godzinach powstania wpadłem na pomysł wydawania biuletynu przeznaczanego dla mieszkańców Śródmieścia. Ludzie chcieli wiedzieć, co się dzieje, przychodzili do nas z pytaniami. Po uzyskaniu zgody przełożonych ruszyliśmy do roboty. Pierwszy numer biuletynu „Wiadomości z miasta” z podtytułem „Informacje ze źródeł wojskowych” ukazał się z datą 3 sierpnia 1944 i godziną: 14.00. Następny, już ze zmienionym tytułem „Wiadomości z miasta i wiadomości radiowe” ukazał się tego samego dnia o godzinie 21.30. Od numeru 84 z 13 września pismo nosiło tytuł „Biuletyn”. Wychodziło do 3 października 1944 roku. Od września bywałem co dzień na odprawach Wydziału Propagandy VI Oddziału Sztabu. Prowadził je Tadeusz Żenczykowski. Spotykałem tam, między innymi, Władysława Bieńkowskiego z prasy PPR i Wiktora Trościankę ze Stronnictwa Narodowego... Żenczykowskiemu towarzyszył w grupie innych osób milczący kurier „Janek” – Jan Nowak-Jeziorański.

Kiedy dotarła do pana wiadomość o rzezi na Woli?

W czasie jej trwania. Część uciekinierów z Woli dotarła na Stare Miasto, część do Śródmieścia, tak że informacje ogólne były znane niemal od

początku tej morderczej akcji... W gruncie rzeczy Niemcy mordowali wszędzie. Na Mokotowie rozstrzelali ludność cywilną. W więzieniu przy ulicy Rakowieckiej zabito 600 więźniów. Kilkaset metrów dalej, w domu jezuitów – kilkunastu ojców i braci zakonnych... Ale to, co stało się na Woli? Grupa generała policji i SS Heinza Reinefartha, w której skład weszły między innymi brygada karna SS, złożona ze skazańców, dowodzona przez SS-Oberführera Oskara Dirlewangera, brygada Russkiej Oswobodzicielnej Narodnej Armii pod dowództwem renegata, generała SS Mieczysława Kamińskiego, i pomniejsze jednostki pułku Bergmann, złożone z kolaborantów kaukaskich, wymordowała w ciągu dwóch, trzech dni kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Szli od domu do domu, gwałcąc, rabując, rozstrzelując. W pierwszych godzinach mordowali wszystkich. Potem pozwalali uciekać dzieciom i starym kobietom. W Szpitalu Wolskim zginęło 300 chorych i 60 pracowników szpitala. O szczegółach dowiedziałem się po wojnie od mojej żony, która wkrótce znalazła się wtedy w Szpitalu Wolskim ze swoją starszą siostrą, studentką medycyny. W szpitalu św. Łazarza zamordowali tysiąc osób. Tylko w sobotę 5 sierpnia zginęło 20 tysięcy mieszkańców Woli... Rozpasanie żoldactwa było tak wielkie, że zaczęło w jakiś sposób niepokoić samych Niemców. Informacje o rzezi zostały przesłane drogą radiową do Londynu i powróciły na falach BBC, już w formie ostrzeżenia imiennie adresowanego do znanych z nazwiska dowódców SS, że po wojnie odpowiedzą przed sądem za swoje czyny. Pod wieczór 5 sierpnia dowodzenie operacją przeciwko powstaniu objął generał SS i policji Erich von dem Bach. Następnego dnia Niemcy wtargnęły do szpitala dziecięcego im. Karola i Marii. Wymordowali 100 rannych. Z czasem rzezie na wielką skalę ustaly, za sprawą von dem Bacha, który sięgnął po metody, powiedzmy, bardziej zróżnicowane, choć do zabijania rannych znajdujących się w szpitalach AK doszło ponownie we wrześniu na Starym Mieście i Czerniakowie. Żona opowiadała mi, że 6 sierpnia Niemcy prowadzili grupę lekarzy, pielęgniarek i chorych – najprawdopodobniej na miejsce egzekucji. Nagle do dowodzącego oficera podjechał łącznik na motocyklu. Wręczył rozkaz. W efekcie znaczna część tych ludzi została skierowana do innych obiektów, wcześniej jednak zastrzelono kilku lekarzy. Już po wojnie mój przyjaciel Stefan Kisielewski żartował, że dzięki von dem Bachowi ma rodzinę. Bo pani Lidia Kisielewska wraz z małym Wackiem była w sierpniu 1944 roku na Woli. Udało jej się znaleźć schro-

nienie na sąsiedniej ulicy, tam, gdzie esesmani jeszcze nie dotarli. Wtedy nadszedł rozkaz zaprzestania rzezi. Panią Lidię wraz z dzieckiem wywieziono na roboty... W sumie – jak na okoliczności – szczęśliwie.

Dyrektywa, jaką otrzymał von dem Bach od Himmlera, pośrednio zaś od Hitlera, była krótka: stłumić powstanie, zniszczyć miasto. Był znany z brutalności. Osobiście uczestniczył w rozstrzelaniu 35 tysięcy Żydów w Rydze jesienią 1941 roku. Od lipca 1943 roku był odpowiedzialny za walkę z partyzantką na froncie wschodnim, czyli za masowe pacyfikacje, egzekucje na Ukrainie, Białorusi, miał na sumieniu dziesiątki tysięcy ludzi... W Warszawie posłużył się kombinacją wojskowo-policyjno-polityczną...

Jest pan autorem książki *Prawda o von dem Bachu* wydanej w 1961 roku.

Uważałem, że napisanie książki o człowieku współodpowiedzialnym za tragedię Warszawy jest moim obowiązkiem. A ważne było jeszcze i to, że mogłem napisać pełną prawdę. Pełną. Nie półprawdę, ale prawdę, bo w sprawie zbrodni hitlerowskich popełnionych w czasie powstania cenzura PRL raczej unikała interwencji. Wertowałem dokumenty w Instytucie Zachodnim w Poznaniu, w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, i rzecz ujrzała światło dzienne nakładem Zachodniej Agencji Prasowej, kierowanej, tak jak Instytut Zachodni, przez środowisko endeckie, no, może post-endeckie... Potem przyszły tłumaczenia na niemiecki, w Niemczech były dwa wydania, na francuski i angielski. To była pierwsza w Polsce poważniejsza publikacja o von dem Bachu-Zelewskim. Był zdeklarowanym nazistą. Pochodził z pruskiej rodziny junkierskiej. Od 1934 roku jako Gruppenführer, czyli generał dywizji, dowodził SS i policją w Prusach Wschodnich, a jednocześnie był posłem do Reichstagu z okręgu wrocławskiego. Jego dziadek i ojciec, bardzo szowinistyczni i antypolscy, nosili nazwisko von Zelewski, on sam – o czym świadczy dokumentacja znajdująca się w polskich archiwach – najpierw starał się u Himmlera o prawo do używania podwójnego nazwiska, później o prawo do odłączenia drugiego członu. Uzyskał zgodę. Z Himmlerem utrzymywał bliskie stosunki także towarzyskie. Himmler był ojcem chrzestnym jego dziecka, on z kolei ojcem chrzestnym jednego z dzieci Himmlera. Ale wróćmy do jego taktyki w czasie powstania... Szukał metod skutecznych, z tego też powodu stał się rzecznikiem przyznania żołnierzom powstania statusu

komatanckiego. Dobre stosunki z Himmlerem dały mu w tej sprawie swobodę działania. Był niewątpliwie zbrodniarzem zasługującym na karę śmierci. Uniknął jej. Wzięty do niewoli na Zachodzie zeznawał w procesie norymberskim jako świadek oskarżenia. Można powiedzieć, że wymigał się od szubienicy. W jaki sposób? Otrzymał jakieś gwarancje od Anglo-sasów. Ale za co? Wiedział sporo o partyzantce na Wschodzie... Mógł być użyteczny. Grał o życie. W Warszawie w 1947 roku był świadkiem na procesie gubernatora Fischera. Siedział na Mokotowie, chętnie udzielał informacji, robił szkice sytuacyjne, a że miał list żelazny, więc włos z głowy mu nie spadł. Dopiero po latach władze Republiki Federalnej doszły do wniosku, że pozostawienie na wolności tego zbrodniarza jest faktem demoralizującym. Jednym z szeregu faktów. Bo przecież nie udało się postawić przed sądem Heinza Reinefartha, który w 1951 roku został wybrany na burmistrza miasta Westerland, dziesięć lat później został deputowanym do landtagu w Szlezwiku-Holsztynie, a zmarł jako generał-rencista, szanowany działacz komunalny, w 1979 roku w swej rezydencji na wyspie Sylt. Tak więc von dem Bach-Zelewski został w 1961 aresztowany i skazany na cztery i pół roku więzienia. Za co? Prokuratura przypomniała sobie, że wziął udział w „nocy długich noży”, czyli dostał wyrok za mordowanie Niemców, członków SA w 1934 roku. Później został ponownie oskarżony o zamordowanie sześciu komunistów niemieckich w 1934 roku. Ława przysięgłych skazała go na dożywocie. Ale w żadnym akcie oskarżenia nie było słowa o tym, co robił w Warszawie i na zapleczu frontu wschodniego, a lista tych zbrodni jest przerażająca. Umarł w więzieniu w 1972 roku.

Przypadek sprawił, że wczoraj, tuż po naszym spotkaniu, znalazłem w Internecie tekst *Powstanie Warszawskie bez niedomówień*. Jego autor, Jan Sidorowicz, miał w sierpniu 1944 roku dziesięć lat. Mieszkał w domu przy ulicy Flory 7, w tym samym, w którym pan spędził część dzieciństwa. Cytuję: „Pierwszego sierpnia o 5.00 z sąsiedniego domu Flory 9 (róg Bagateli) wybiegło 98 chłopaków z rewolwerami w ręce, aby zaatakować gmachy SS na Szucha. Tam były bunkry, zasieki i czołgi. Rozpętała się strzelanina i zaraz do naszej piwnicy zaczęli napływać ranni. Pamiętam ich do dziś, jakby to było wczoraj. Układano ich na węglu lub na stole w pralni, moja mama dawała poduszki. Jeden miał w trzech miejscach przestrelone lewe płuco, ale żył. Przyszedł dozorca i powiedział

z zachwytem, że «nasi jak koty skaczą po dachach». Ja miałem tylko 10 lat, ale zrozumiałem, że jest źle, bo znaczy, że nie opanowali nawet Bagateli. Ruch powstańców i sanitariuszek odbywał się piwnicami, przez przebite w murach otwory. Po godzinie strzelanina zaczęła cichnąć. Z nastaniem zmroku weszli Niemcy, zabrali i rozstrzelali tylko mężczyzn, w tym dwóch synów dozorczy (16 i 18 lat). Nas 5 sierpnia wyprowadzili na Szucha. Siedząc na placu Na Rozdrożu, byliśmy świadkami, jak uformowali kolumnę z kobiet i popędzili je przed czołgami w kierunku Piusa, gdzie próbowali zdobyć powstańczą barykadę. Potem trzymali nas dobę bez jedzenia i picia na podwórku gestapo, gdzie leżały zwęglone zwłoki powstańców. Dozorczyzna przebrała trzeciego 14-letniego syna za dziewczynkę. Rozpoznali, zabrali i rozstrzelali. Drugiego dnia przegnali nas płonąca Marszałkowską do barykad powstańczych na placu Zbawiciela [...]. Po powstaniu dowiedziałem się, że z atakującego Szucha batalionu Jeleń (przedwojenni ułani plus młody narybek) na 98 żołnierzy ocalało siedmiu”.

Znam historię tego oddziału AK. Próba opanowania gmachów w alei Szucha zakończyła się zupełnym niepowodzeniem. To była dzielnica niemiecka, zamieszкана przez esesmanów, przez Reichsdeutschów, pilnie strzeżona przez posterunki, w gruncie rzeczy forteca, której nie można było wziąć bez broni maszynowej, bez artylerii, miotaczy ognia... Przeżywałem te wydarzenia nieopodal, kilkaset metrów w linii prostej... Na Koszykowej, na ulicy 6 Sierpnia, na Jaworzyńskiej, tuż, tuż, były nasze placówki. Na Marszałkowskiej, między placem Unii i placem Zbawiciela po stronie nieparzystej Niemcy wymordowali wszystkich mieszkańców kamienic, a ich ciała spalili. Zwęglone szczątki zostały ekshumowane tuż po wojnie. Inni żołnierze z „Jelenia” atakowali budynek drukarni przy Marszałkowskiej 3/5/7, gdzie mieściła się redakcja gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego”. Wtedy została śmiertelnie ranna Krystyna Krahełska, instruktorka sanitarna AK, poetka, bratanica Wandy Krahełskiej, o której wspominałem...

Z dzieciństwa pamiętam Warszawę jako morze gruzów. Przyznam się panu, że gdy myślę o ponad stu pięćdziesięciu tysiącach warszawiaków, którzy zginęli w powstaniu, o zniszczeniu miasta, jego zabytków, o bezpowrotnej utracie dóbr kultury, to wiem, że stoję przed problemem,

którego nie da się ani łatwo rozstrzygnąć, ani przesłonić przemówieniem na rocznicowej akademii... I dlatego nie umiałbym lekceważyć słów kończących tekst Jana Sidorowicza: „Tragedia Powstania Warszawskiego stała się lekcją i przestrożą dla społeczeństwa, które na szczęście zrozumiało to w październiku 1956 i w latach osiemdziesiątych. I aby to przesłanie było stale żywe w pamięci Narodu – proponuję, aby obchodzić rocznicę nie wybuchu, lecz UPADKU Powstania... To dzień 2 października winien być ustanowiony Dniem Pamięci Narodowej”.

W lutym 1945 roku, a wtedy wróciłem do Warszawy, spod przykrytych śniegiem ruin unosił się odór rozkładu dziesiątków tysięcy ciał. Przyszła wiosna. Rozpoczęły się ekshumacje. Coraz napotykałem szczątki moich znajomych, kolegów, co dzień od nowa przeżywałem ich śmierć. Z tym żyłem. I zgadzam się, że z perspektywy późniejszych doświadczeń, z perspektywy Października '56, kiedy na Warszawę ciągnęły sowieckie czołgi, i z perspektywy lat osiemdziesiątych, doświadczenie powstania okazało się przestrożą, lekcją samoograniczenia. Ale żeby uzyskać taką perspektywę, trzeba było przeżyć, przetrwać do 1956 roku. To znaczy przeżyć wejście Armii Czerwonej i długie lata gnojenia tysięcy ludzi w więzieniach, katowanie, egzekucje. Pytanie o sens powstania? Stawiałem je sobie szereg razy. Zadawali mi je też oficerowie gestapo, urzędnicy hitlerowskiej administracji, z którymi siedziałem w więzieniu: – Panie Bartoszewski, jak to jest? Bo że my siedzimy, to zrozumiałe, ale pan przecież z nami walczył... – Walczyłem. – Więc nie powinien pan siedzieć! – Ale siedzę!

Widzi pan, gdy 7 października 1944 roku opuszczaliśmy Warszawę, wyposażeni w miotacze ognia żołnierze niemieccy podpalali opustoszałe domy w Śródmieściu. Wykonywali wydany przez Hitlera wyrok zagłady na miasto. Parę kilometrów na wschód, po drugiej stronie Wisły stali Rosjanie. Stali tak od sierpnia 1944 roku do stycznia 1945 roku. Po latach zapoznałem się z tekstem przemówienia wygłoszonego przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego w brytyjskim Ministerstwie Informacji 23 stycznia 1945 roku. Jeziorański dopiero co przedostał się do Anglii, był pierwszym uczestnikiem powstania, jaki pojawił się w Londynie. Mówił o daremnych próbach nawiązania łączności ze sztabem sowieckim, o tym, że Komorowski „Bór” powiadomił Rokossowskiego, że będzie musiał poddać się Niemcom, jeśli odsiecz nie nadejdzie w ciągu dwudziestu czterech godzin, odpowiedzią zaś było głuche milczenie, mówił o dowódcach i żołnierzach Armii Krajo-

wej we Lwowie i Wilnie, którzy wierni rozkazom z Londynu i z Warszawy wspierali Armię Czerwoną, a później przez tę samą Armię Czerwoną zostali rozbrojeni, uwięzieni i deportowani w głąb Rosji. Innymi słowy: Jan Nowak-Jeziorański wypowiedział prawdę naszego doświadczenia.

Potem, w PRL, nieraz słyszało się o antysowieckim charakterze powstania. Otóż byliśmy antysowieccy w tej dokładnie mierze, w jakiej Stalin zagrażał suwerenności i niepodległości Rzeczypospolitej. Niektórzy historycy mówią, że w rezultacie powstania zabrakło tysięcy ludzi, którzy mogliby budować nową Polskę. Czyli że gdyby powstanie nie wybuchło, to Stalin zmieniłby swe założenia strategiczne? A niby z jakiego powodu? Przypominam, że na kresach żołnierze AK byli więzieni, deportowani, zabijani jeszcze przed wybuchem powstania. Że między latem 1944 roku i latem 1945 roku wywieziono ze wschodniej Polski do Rosji kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a część z nich już nie wróciła do kraju. To była wypróbowana stalinowska metoda, której powtórzenie w Warszawie nie wymagałoby większego wysiłku. Jeśli można deportować 50 tysięcy, to równie dobrze można deportować 100 tysięcy albo i dwa razy więcej. A czy to nie wskutek powstania inna była polityka sowiecka wobec Litwy czy Łotwy, inna zaś wobec Polski? Nie, nie wiem, co by było, gdyby powstanie nie wybuchło. Nikt nie wie. Jałowe rozważania! Wiem, co było!

7. NOWE CZASY

MOJE MIESZKANIE SPŁONĘŁO W CZASIE POWSTANIA. CO MIAŁEM? DWADZIEŚCIA TRZY LATA I DOŚWIADCZENIE STULATKA... NIBY SPORE, ALE PRZYSZŁOŚĆ POKAZAŁA, ŻE MOŻNA WIĘCEJ...

Cytuję z pana książki *Dni walczącej Stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego*: „Środa, 4 października 1944 [...]. O godzinie 10.00 rano pierwsze oddziały AK przekraczać zaczęły w zwartym szyku linię dotychczasowego frontu obrony Śródmieścia, idąc do niewoli. Dnia 4 października opuściło Warszawę ponad 1500 żołnierzy i oficerów [...]. Większość sił AK, w tym członkowie Komendy Głównej, opuściła Warszawę 5 października [...] do niewoli trafiło razem 15 378 osób, w tej liczbie 922 oficerów, wśród nich 6 generałów, około 2000 kobiet”. Dlaczego pan nie poszedł do niewoli?

Bo znów znalazłem się w nietypowej sytuacji.

Podpisany przez generała von dem Bacha ze strony niemieckiej, a ze strony polskiej przez pułkownika Kazimierza Iranka-Osmeckiego i podpułkownika Zygmunta Dobrowolskiego układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie stanowił, że ewakuacja ludności cywilnej Warszawy „zostanie przeprowadzona w czasie i w sposób oszczędzający ludności zbędnych cierpień” oraz że prawa kombatanckie zostają przyznane żołnierzom wszystkich organizacji zbrojnych walczących w powstaniu. Niemcy chętnie mówili o normalnym traktowaniu cywilów, ale przecież dobrze wiedzieliśmy, czym bywa „niemiecka normalność” wobec Polaków: poniewierka, roboty przymusowe, obóz koncentracyjny... Mogłem pójść do niewoli, stopień podporucznika gwarantował mi – wedle konwencji gene-

skiej – osadzenie w warunkach pewnego uprzywilejowania, bo w obozie oficerskim. Ale proszę pamiętać, że miałem zobowiązania wobec „Nie”... Dalem słowo. Oprócz tego zwierzchnicy z VI Oddziału zaproponowali mi dalszy udział w konspiracji akowskiej poza Warszawą.

Miałem dwadzieścia dwa lata. Nie wiedziałem, co się stało z moimi rodzicami. Byłem przygnębiony, może nawet rozbity psychicznie. Uświadomiłem sobie, że po dwóch latach służby w AK jedynym dla mnie oparciem, jedynym przyjaznym środowiskiem są koledzy z konspiracji. Tak więc wybór był dla mnie oczywisty.

3 października – wraz z Kazimierzem Ostrowskim i Adamem Dobrowolskim – zostałem zatrudniony w szpitalu jako pracownik Czerwonego Krzyża. Nosiliśmy rannych i chorych do samochodów sanitarnych. Zdarzało się, że żołnierze Wehrmachtu upominali nas, że nosze trzeba nosić ostrożnie, uważnie, aby nie sprawić rannym bólu. Po prostu rozczulające... 5 października poszliśmy na Śniadeckich pożegnać naszych kolegów idących do niewoli. Na czele BIP-owców szedł pułkownik Jan Rzepecki, obok niego Aleksander Gieysztor, Witold Kula, Antoni Szymanowski, Stanisław Płoski i górujący nad nimi wzrostem Tadeusz Żenczykowski. Pożegnałem się też z Bogną Domańską, która szła do niewoli jako szef Wojskowej Służby Kobiet w jednej z kompanii batalionu „Kiliński”. Tego samego dnia okazało się, że pułkownik Rzepecki polecił Moczarskiemu objęcie kierownictwa BIP.

7 października wyjechaliśmy z Warszawy w ciężarówce prowadzonej przez zasilonego alkoholem i paroma dolarami szofera z Wehrmachtu. Wieźliśmy część archiwum oraz sporą sumę w markach i dolarach dla AK. Moczarski miał dokumenty zaświadczające, że jest dyrektorem ekipy sanitarnej Czerwonego Krzyża, która udaje się do Pruszkowa w celu „walki z chorobami zakaźnymi”. 12 października dotarłem – wraz z Kazimierzem Ostrowskim i Adamem Dobrowolskim – do Krakowa. Wkrótce Ostrowski – który w czerwcu 1942 roku uciekł z Krakowa ścigany przez gestapo w związku ze wyspą Związku Odbudowy Rzeczypospolitej – wrócił do Pruszkowa, gdzie objął kierownictwo ekspozytury BIP Komendy Głównej AK na obszar podwarszawski. Adam Dobrowolski został w Krakowie; mianowany zastępcą szefa BIP, nadzorował pracę trzech wydziałów: organizacyjnego, informacji – tym kierował Zygmunt Kapitaniak, i propagandy, na którego czele stanął Włodzimierz Lechowicz. Szef BIP, kapitan Kazimierz

Moczarski, używający teraz pseudonimu „Grawer”, działał w Częstochowie, gdzie znajdowała się nowa Komenda Główna AK.

A co pan robił?

Miałem sporo obowiązków, bo pracowałem i w wydziale informacji, i w wydziale propagandy. Co dzień redagowałem „Dziennik Radiowy – RAD”, biuletyn nasłuchu radiowego do użytku komórek sztabowych AK. Pomagała mi w tym, jako sekretarka, maszynistka i łączniczka, magister praw Ewa Drezepolska, którą poznałem w czasie powstania. Co dwa tygodnie przygotowywałem przegląd prasy wydawanej przez władze okupacyjne. Najważniejszy jednak był udział w redagowaniu „Biuletynu Informacyjnego”.

„Biuletyn Informacyjny” powstał w listopadzie 1939 roku w Warszawie z inicjatywy i pod kierunkiem Aleksandra Kamińskiego. Wychodził do ostatniego dnia powstania. Jest zrozumiałe, że ambicją nowego Komendanta Głównego AK, generała Okulickiego, a także ambicją nowego szefa BIP było możliwe szybkie wznowienie czasopisma. Znaczna część współpracowników „Biuletynu” znalazła się w niewoli, konieczne więc było stworzenie nowego zespołu. Przydzielono mi funkcję sekretarza redakcji. Otrzymałem adres, pod którym miałem się spotkać z redaktorem naczelnym, no i oczywiście hasło. Na drugim piętrze kamienicy przy Długiej, na rogu Filipa, drzwi otworzyła mi przystojna pani. Wyszepiałem hasło. A ona na to: – No dobrze, dobrze, niech pan wejdzie... Wprowadziła mnie do salonu. Krakowski salon, kanapy, fotele, obrazy, srebra, kandelabry. Dla chłopaka z powstania inny świat... Rozglądałem się. Na ścianie wisi wielki portret generała w austriackim mundurze. Gdzie ja wlażłem? Do salonu wchodzi szalenie sympatyczny pan, skądś mi znany, podaje rękę i mało konspiracyjnie przedstawia się: – Kumaniecki. A ja jak idiota odpowiadam: – Bartoszewski... To był profesor Kazimierz Kumaniecki, wielki polski uczyony, znakomity filolog klasyczny, który – jak się dowiedziałem później – w latach 1941–1944 brał udział w dywersyjnej Akcji „N” kierowanej przez Tadeusza Żenczykowskiego. I tak się zaczęło. Pierwszy numer wznowionego „Biuletynu Informacyjnego” ukazał się z datą 10 grudnia 1944 roku. Z redakcją współpracowali znany działacz podziemia, publicysta Bolesław Srocki i literat Marian Ruth-Buczowski. Z Kazimierzem Kumanieckim utrzymywałem przyjacielskie, serdeczne stosunki przez następne trzydzieści trzy lata. Zmarł w 1977 roku.

Pod koniec listopada lub w pierwszych dniach grudnia dowiedziałem się, że moi rodzice przeżyli powstanie. Mamę odnalazłem w Krakowie. Mieszkała u swych przyjaciół na ulicy Starowiślnej. Ojciec przebywał w Piotrkowie Trybunalskim. Wielka to była dla mnie ulga.

I tak minął 1944 rok.

A 6 stycznia 1945 roku obudził mnie patrol niemiecki złożony z trzech mundurowych i jednego cywila. – Dokumenty! Okazałem zaświadczenie z Rady Głównej Opiekuńczej. Jeden z nich podniósł klapę teczki-schowka, w której pod brudną bielizną leżały materiały do „Biuletynu Informacyjnego” – ale nie kwapił się z przeszukaniem. – *Anziehen und mitkommen!* Kazali mi wsiąść do ciężarówki. Łapanka. W marynarce miałem kartkę pocztową, napisałem na niej kilka słów do Adama Dobrowolskiego, coś w rodzaju, że wyjeżdżam samochodem w nieznanym kierunku. Wyrzuciłem ją na ulicę. I dostał ją! W obozie Arbeitsamtu na Prądniku było około tysiąca warszawiaków. Pilnowali nas strażnicy ukraińscy, nawet łagodni. Dwa dni potem skontaktowała się ze mną łączniczka BIP. Dostałem marki, dolary i okupacyjne złote na wypadek, gdybym miał być wywieziony do Niemiec. 12 stycznia zaprowadzono nas na dworzec towarowy i załadowano do wagonów.

Bydłęcych?

Nie. Do wagonów osobowych. Bez wrzasków, bez bicia. Pociąg ruszył. Po pewnym czasie zorientowałem się, że jedzie w kierunku Oświęcimia. Chwile grozy! Szczęśliwie jednak wieczorem pociąg zatrzymał się w Makowie Podhalańskim. Tam powiedziano nam, że następnego dnia trzeba stawić się w Arbeitsamcie. Ten kto samowolnie opuści Maków, podlega karze śmierci! Ponieważ następnego poranka Arbeitsamt był zamknięty, wsiadłem do pociągu i pojechałem do Krakowa. Podróż trwała cały dzień. 14 stycznia stanąłem w progu mieszkania Adama Dobrowolskiego. Na mój widok wrzasnął radośnie: – Teofil, skąd ty się tu wziąłeś? – Uciekłem z Makowa. – No to wracajmy do roboty! No i wróciłem do roboty.

19 stycznia do Krakowa wkroczyli Rosjanie. Z tą datą, 19 stycznia 1945 roku, wydaliśmy ostatni numer „Biuletynu Informacyjnego” z rozkazem generała Okulickiego o rozwiązaniu Armii Krajowej. Osiem dni później żołnierze czołówki armii marszałka Koniewa natrafili ku swemu zdumieniu na obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau, w którym do-

gorywało kilka tysięcy ludzi niezdolnych do marszu, niezdolnych do życia.

„Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości państwa polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą.

Starajcie się być przewodnikami narodu i realizatorami niepodległości państwa polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą.

W przekonaniu, że rozkaz ten spełnicie, że zostaniecie na zawsze wierni tylko Polsce oraz by Wam ułatwić dalszą pracę, z upoważnienia Pana Prezydenta RP zwalniam Was z przysięgi i rozwiązuję szeregi Armii Krajowej.

W imieniu służby dziękuję Wam za dotychczasową ofiarną pracę. Wierzę głęboko, że zwycięży nasza święta sprawa, że spotkamy się w prawdziwie wolnej i nieokupowanej Polsce.

Niech żyje wolna, niepodległa i szczęśliwa Polska!”.

W jakich okolicznościach dowiedział się pan o tym rozkazie?

Adam Dobrowolski zwołał zebranie, byli Kazimierz Moczarski, profesor Kumaniecki, Zygmunt Kapitaniak, Włodzimierz Lechowicz i ja. Sprawę referował Moczarski. Powiedział, że praca konspiracyjna dobiegła końca, jesteśmy zwolnieni z przysięgi. Ja oczywiście myślałem o „Nie”, ale nie mówiłem o tym głośno, bo przecież byłem zobowiązany do zachowania ścisłej tajemnicy. No tak, zostałem zwolniony z przysięgi w AK, stałem się dowódcą samego siebie, a rozkaz dowódcy jest jasny: prowadzić pracę w duchu odzyskania pełnej niepodległości państwa polskiego.

I pojechał pan do Warszawy?

Nie od razu. Czekając na kontakt z „Nie”, przyglądałem się powstawaniu nowego ładu. I wie pan, przeżyłem wtedy szokujące spotkanie z sowiecką czy też bizantyjską estetyką. Przy Sukiennicach ustawiono ogromne portrety Stalina i jego marszałków z dokładnie odmalowanymi rzędami orderów. Coś w rodzaju monstrialnych ikon. A przed Sukiennicami pieczono owce i woły na rożnach... Niemcy by nie wpadli na taki pomysł.

W Pałacu pod Baranami zainstalowała się radziecka komendantura, a na rogu Wiślniej komitet PPR. Tworzono Milicję Obywatelską z ochotników, którzy, prawdę mówiąc, nie wyglądali zachęcająco, zdecydowanie nie. W mieście pojawili się straszliwie wynędzniali więźniowie z Auschwitz.

Brakowało mi wiadomości o Warszawie. O wejściu Armii Czerwonej do miasta dowiedziałem się z frontowej gazety „Wolność”. Potem zaczął się ukazywać „Dziennik Krakowski” przekształcony po dziesięciu dniach w „Dziennik Polski”. Redagowali go przedwojenni krakowscy dziennikarze, głównie z IKC. Niebawem przybyła do Krakowa redakcja „Odrodzenia” z Karolem Kurylukiem. Na jej łamach publikowali autorzy związani przed wojną z obozem pilsudczykowskim. Byłem tam kilka razy. Sekretarzem redakcji został Zbigniew Bieńkowski, poeta, pracownik Delegatury Rządu, młodszy brat Witolda...

Tymczasem do Krakowa przyjechał na chwilę Kazimierz Ostrowski. Miał już kontakt z „Lenartem”, czyli Romanem Goldmanem. Do Warszawy wyjechałem 19 lutego.

Czy moglibyśmy zatrzymać się przy kalendarium 1945 roku? 4 lutego rozpoczęła się konferencja w Jaltcie, której uczestnicy zdecydowali o kształcie terytorialnym Polski oraz o rozszerzeniu Rządu Tymczasowego o „przywódców demokratycznych z samej Polski i o Polaków z zagranicy”...

Jeszcze przed wyjazdem do Warszawy zdążyłem obejrzeć radziecką kronikę filmową z tępo patrzącym Rooseveltem, gestykującym Churchilllem i bardzo zadowolonym Stalinem...

13 lutego rząd polski w Londynie odrzucił decyzje „wielkiej trójki”. 22 lutego obradująca w warunkach konspiracyjnych Rada Jedności Narodowej postanowiła – „zmuszona koniecznością” – przyjąć warunki jałtańskie... Cytuję fragment uchwały: „Rada Jedności Narodowej daje wyraz przeświadczeniu, że w ogólnikowej formule konferencji krymskiej o porozumieniu z przedstawicielami demokracji w kraju i za granicą zostanie nadana konkretna treść porozumienia się w sprawie utworzenia TRJN z Radą Jedności Narodowej w Kraju oraz z Rządem i Radą Narodową w Londynie. Rada Jedności Narodowej, jako Przedstawiciel-

ka Polski Podziemnej, deklaruje swą gotowość podjęcia rokowań w tej sprawie”.

To było poszukiwanie kompromisu, bardziej realistyczne – jak nam się wydawało – od negowania faktów dokonanych...

Dodajmy, że rok wcześniej RJN ogłosiła deklarację „O co walczy naród polski”, w której zapowiadała ustanowienie w wyzwolonej Polsce gospodarki planowej, reformę rolną, rozwój spółdzielczości, uspołecznienie kluczowych przemysłów – przy jednoczesnym upowszechnieniu własności. Deklarację, zbiór założeń socjalistycznych i chrześcijańsko-demokratycznych, ostro skrytykowali komuniści i obóz narodowy.

Jeśli dobrze pamiętam, to narodowcy nie protestowali przeciw nacjonalizacji wielkiego przemysłu, wychodząc z założenia, że przed wojną był własnością niemiecką i żydowską... Kładli natomiast mocny nacisk na sprawę granic na Odrze i Nysie...

W końcu lutego delegat rządu i komendant sił zbrojnych na kraj otrzymali zaproszenie na rokowania z generałem „Iwanowem”-Sierowem. 7 marca został przypadkowo uwięziony komendant „Nie”, generał Emil Fieldorf. 27 i 28 marca przedstawiciele Polski Podziemnej udali się do Pruszkowa na spotkanie z Sierowem. Tam ich aresztowano i przewieziono do Moskwy. Byli to: delegat rządu Jan Stanisław Jankowski, komendant sił zbrojnych na kraj generał Leopold Okulicki, ministrowie Krajowej Rady Ministrów – Adam Bień (Stronnictwo Ludowe), Antoni Pajdak (PPS), Stanisław Jasiukowicz (Stronnictwo Narodowe), przewodniczący Rady Jedności Narodowej – Kazimierz Pużak (PPS), przywódcy partii: Stronnictwa (Zjednoczenia) Demokratycznego – Eugeniusz Czarnowski i Stanisław Michałowski, Stronnictwa Ludowego – Kazimierz Bagiński i Stanisław Mierzwa, Stronnictwa Narodowego – Zbigniew Stypułkowski, Kazimierz Kobylański i (aresztowany wcześniej) Aleksander Zwierzyński, Stronnictwa Pracy – Józef Chaciński i Franciszek Urbański oraz występujący jako tłumacz Józef Stemler Dąbski.

Dwóch z nich dobrze znałem z czasów okupacji niemieckiej, a Józef Stemler, pedagog, przed wojną prezes Polskiej Macierzy Szkolnej, potem więzień Auschwitz, był kolegą Tadeusza Mikułowskiego i księdza Romana Archutowskiego, moich nauczycieli gimnazjalnych.

Po aresztowaniu Jana Stanisława Jankowskiego obowiązki delegata rządu objął ludowiec Stefan Korboński, były szef Kierownictwa Walki Cywilnej. Pod koniec kwietnia do Polski wrócił z niewoli pułkownik Jan Rzepecki. 6 maja agencja TASS opublikowała informację o aresztowaniu „grupy 16 Polaków”, na której czele stoi generał Okulicki. Kiedy pan dowiedział się o aresztowaniu Okulickiego?

W pierwszej dekadzie kwietnia. Nie znalazłem pełnej listy aresztowanych. Mówiło się, że to „ludzie z kierownictwa”...

7 maja pełniący obowiązki wodza naczelnego generał Władysław Anders wydał rozkaz o rozwiązaniu „Nie”. 13 maja pułkownik Jan Rzepecki został delegatem-komendantem sił zbrojnych na kraj. 20 maja „Rzeczpospolita” opublikowała list Stalina do korespondenta „The Times” Ralpha Parkera: „Aresztowanie w Polsce 16 Polaków ze znanym dywersantem gen. Okulickim nie pozostaje w żadnym związku ze sprawą rekonstrukcji Polskiego Rządu Tymczasowego. Panowie zostali aresztowani na mocy ustawy o ochronie zaplecza Armii Czerwonej przed dywersantami, analogicznej z ustawą angielską o ochronie państwa [...]. Nieprawdą jest, jakoby aresztowani Polacy zaproszeni zostali dla prowadzenia rokowań z władzami radzieckimi [...]”. 27 maja delegat rządu i delegat sił zbrojnych na kraj ogłosili apel do żołnierzy oddziałów leśnych: „Dowódca zalecił wam powrót do twórczej pracy obywatelskiej nad odbudową kraju. I tę szczerą żołnierską drogę zagroziła niejednemu z was przewrotna polityka Sowietów i ich służalców, stwarzająca wam warunki równie dotkliwe jak poprzednia okupacja [...]. W tym swoim tragicznym położeniu musicie jednak jasno zdawać sobie sprawę, że nie jest dziś czas na walkę zbrojną, że rząd wyraźnie nakazał rozwiązanie AK, że walki zbrojnej przeciw obecnej okupacji nie zalecił, oceniając ją jako szkodliwą [...]”. Dziesięć dni wcześniej podobny apel został podpisany przez Radę Jedności Narodowej i delegata rządu: „Pobył wasz w lesie stał się pretekstem do krwawych pacyfikacji. Czekaj was zguba, a waszym głównym przeznaczeniem jest żyć i pracować dla ojczyzny, a nie ginąć bez żadnej dla niej korzyści”. 21 czerwca w Moskwie Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR ogłosiło wyrok w pokazowym procesie piętnastu przywódców Polski Podziemnej (Antoni Pajdak był sądzony w innym procesie). Generał Okulicki został skazany na dziesięć lat

więzienia, Jankowski – na osiem lat, Bień i Jasiukowicz na pięć lat, pozostali oskarżeni (Pużak – półtora roku, Bagiński – jeden rok, Czarnowski – sześć miesięcy, Mierzwa, Stypułkowski, Chaciński i Urbański – cztery miesiące, Michałowski, Stemler i Kobyłański – uniewinnieni) powrócili do Polski w 1945 roku. 21 czerwca w Moskwie został ustalony skład Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej: premier Edward Osóbka-Morawski, wicepremierzy Władysław Gomułka i Stanisław Mikołajczyk, który jednocześnie objął tekę rolnictwa i reform rolnych. 28 czerwca powstał TRJN, który w ciągu następnego tygodnia został uznany przez Wielką Brytanię, Francję i Stany Zjednoczone. 22 lipca KRN uchwaliła amnestię. Przełom lipca i sierpnia: aresztowania w Delegaturze. 2 sierpnia na konferencji w Poczdamie „wielka trójka” zdecydowała o wytyczeniu zachodniej granicy Polski wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej oraz o włączeniu do Polski części Prus Wschodnich i byłego Wolnego Miasta Gdańska. 6 sierpnia – pułkownik Jan Rzepecki wydał rozkaz likwidacji Delegatury Sił Zbrojnych. 21 sierpnia – weszła w życie amnestia. 8 września uwięziony pułkownik Jan Mazurkiewicz „Radosław” ogłosił apel do żołnierzy AK o ujawnianie się. 2 września powstało Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” z prezesem Janem Rzepeckim na czele: „Celem zrzeszenia jest wywalczenie wprowadzenia w Polsce zasad demokracji w zachodnioeuropejskim znaczeniu [...]. Pierwszym krokiem [...] jest wywalczenie przeprowadzenia uczciwych i demokratycznych wyborów powszechnych do Sejmu Ustawodawczego”. 5 listopada został aresztowany Jan Rzepecki, a w następnych dniach inni członkowie kierownictwa WiN. 31 października prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego został Stanisław Mikołajczyk... Wiem, że kalendarium jest dosyć pobieżne, ale może okazać się pomocne... Wróćmy zatem do 20 lutego 1945 roku.

Do Warszawy wjechałem furmanką. Budynki na Grójeckiej były wypalone, straszny kanion martwych domów. W Alejach Jerozolimskich wysadzony w powietrze Dworzec Główny. Ruiny Starego Miasta... Zobaczyłem przysypaną śniegiem figurę króla Zygmunta leżącą przed kikutami Zamku Królewskiego. Tysiące mogił. Mogiły na ulicach, skwerach, podwórkach. Nie było gazu, prądu, nie działała kanalizacja. Wodę brało się z powstańczych studni polowych. Do miasta zaczęły napływać tysiące ludzi. Część wracała do swoich mieszkań, część siłą zajmowała cudze mieszka-

nia. Było sporo szabrowników. Rosjanie, a nie widziałem ich wielu, zainstalowali się w hotelu Bristol i kilku okolicznych budynkach. Nosili czapki z niebieskimi denkami, a więc NKWD.

Pojechałem do Pruszkowa, gdzie w lokalu konspiracyjnym czekał na mnie Kazimierz Ostrowski. Wkrótce doszło do spotkania z „Lenartem”. Dał mi do zrozumienia, że naszym szefem jest Fieldorf. Ustaliliśmy, że punktem kontaktowym będzie mieszkanie przy Nowogrodzkiej 19, w na wpół zniszczonej kamienicy. Na razie „Lenart” zlecił mi – „żebyś się nie nudził” – napisanie ulotki na temat „Czy to jest wolność?”. Czy wszechwładza sowiecka jest wolnością? Czy fakt, że nie mamy rządu wybranego przez obywateli, jest wolnością? Czy aresztowania, rabunki i gwałty są wolnością? Ulotka została wydrukowana. Odbylem wyprawę do Częstochowy, w związku z uruchomieniem tajnej drukarni dla „Nie”, nawiązałem też kontakty z radiowcami z AK. W drodze powrotnej wpadłem na sowiecki patrol. Uciekłem. W kwietniu „Lenart” poinformował mnie, że nasza działalność w „Nie” dobiegła końca i – jeśli będę chciał – mogę przejść do Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, pod rozkazy Moczarskiego. I tak się stało. Od tej pory moim bezpośrednim zwierzchnikiem był „Marcin”, Wojciech Lipiński, uczestnik walk o Narwik, „cichociemny”. Kazimierz Ostrowski postanowił wrócić do Krakowa. Został obrońcą wojskowym, bronił w wielu głośnych procesach, co nie byłoby możliwe, gdyby wciąż tkwił w ścisłej konspiracji. Po latach, w okresie stanu wojennego, był obrońcą w procesach „Solidarności”. Pozostaliśmy przyjaciółmi aż do jego śmierci w 1999 roku. W aktach IPN są dziesiątki stron ubeckich rozważań na temat jego złowrogiej roli w moim otoczeniu i mojej złowrogiej roli w jego otoczeniu, są fotografie operacyjne z naszych spacerów... Miałem wielką satysfakcję, gdy w 1995 roku wręczałem mu w imieniu Prezydenta RP Krzyż Komandorski z Gwiazdą Odrodzenia Polski w uznaniu jego działalności niepodległościowej.

Czy w tym czasie spotykał się pan ze znajomymi z BIP, z komórki więziennej, z „Żegoty”?

Wiosną zaczęli wracać do Warszawy ludzie z niewoli, z obozów. Wrócił pułkownik Rzepecki, którego spotkałem na ulicy. Minęliśmy się obojętnie, bo przecież obowiązywała konspiracja. Wrócili Stanisław Płoski i Aleksander Gieysztor. Odwiedziłem Zofię Rudnicką, która teraz pracowała w ga-

binecie ministra sprawiedliwości Leona Chajna. Spotkałem panią Zofię Kossak, która szykowała się do emigracji. Spotkałem moich „podopiecznych” z „Żegoty”, Artymowicza-Gelbera i – nieco później – Edwarda Marczewskiego, który po powstaniu został wysłany na roboty przymusowe do Wrocławia, przeżył oblężenie miasta, a teraz pracował na tamtejszym uniwersytecie. Adolf Berman, wiceprzewodniczący, a wkrótce przewodniczący Centralnego Komitetu Żydów Polskich, zaproponował mi pracę w komitecie. – Przecież ja nie jestem Żydem... A on na to: – Nic nie szkodzi... Do kogo możemy mieć większe zaufanie niż do pana? Odpowiedziałem: – Gdyby tu był pan i tylko pan, to mógłbym zaryzykować, ale w tej instytucji są różni ludzie... On: – A gdyby pan wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego, to z pewnością znalazłoby się jakieś stanowisko, na przykład podsekretarza stanu... A ja – udając wariata – mówię: – W Stronnictwie Demokratycznym w podziemiu miałem zaufanych ludzi, serdecznych kolegów... – Ale to było inne Stronnictwo – zauważył. Odpowiedziałem: – Pan przecież wie, że zawsze byłem ponadpartyjny, i dlatego mogliśmy porozumieć się bez trudności i niedomówień. To wynika z mojej postawy. Taki byłem, taki jestem i niech już tak zostanie...

Na przełomie maja i czerwca otrzymałem wiadomość, że chce zobaczyć się ze mną Witold Bieńkowski, właśnie odbity z obozu NKWD w Rembertowie. Był osłabiony, wycieńczony, obiecałem, że zdobędę dla niego lekarstwa i pieniądze. Szukał przeze mnie kontaktu z pełnomocnikiem rządu na kraj. Powiedziałem, że nie utrzymuję żadnych związków z podziemiem. Twierdził, że po powstaniu podjął współpracę z Bolesławem Piaseckim, Tadeuszem Rekiem i terenowymi dowódcami AK. Wszyscy zostali aresztowani przez Rosjan jesienią 1944 roku. Mówił też, że wysocy przedstawiciele władz sowieckich złożyli mu propozycję objęcia stanowiska ministra w rządzie polskim – i odmówił. O rozmowie z Bieńkowskim zameldowałem „Marcinowi”. W czasie jednego z kolejnych spotkań Bieńkowski wręczył mi raport o akcjach NKWD, śledztwach, torturach. Raport przekazałem osobie, która miała dojście do Stefana Korbońskiego.

17 czerwca zaczął się proces moskiewski, a jego inscenizacja wiązała się z prowadzonymi w Moskwie rozmowami na temat utworzenia Rządu Jedności Narodowej. Uderzający był cynizm oskarżenia. Takim ludziom jak dla przykładu Kazimierz Pużak postawiono zarzut organizowania zbrojnej

dywersji na korzyść Niemiec... I kto oskarżał! Najbliższy w latach 1939–1941 sojusznik Hitlera...

Akurat w tych dniach doszło do mojego pierwszego spotkania z funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa. Weszli do mieszkania przy ulicy Mickiewicza 27 m 88, w którym znajdowała się skrytka z przygotowywanymi przeze mnie materiałami dla „Marcina”. Rewizji nie było, założono natomiast tzw. kociołek. Przypadek sprawił, że w progu mieszkania stanęła Anna Sipowicz-Gościcka, lekarka dentystka, więziona przez kilka lat na Pawiaku. Ania wiedziała o mojej działalności w komórce więziennej... „Kociołek” trwał trzy albo cztery dni, gdy nagle z korytarza dobiegły nas wrzaski. Jakiś mężczyzna żądał od ubeków okazania dokumentów, groził, że użyje broni. A był to Bronisław Anlen, działacz PPR, więzień Pawiaka, przeniesiony latem 1944 roku do obozu na Gęsiej i odbity przez oddział AK. Anlen znał Anię z Pawiaka, uwielbiał ją... I znów przypadek. Anlen postanowił odwiedzić Anię. Dowiedział się od jej matki, że parę dni wcześniej pojechała na spotkanie w mieszkaniu przy Mickiewicza i nie wróciła... Ruszył więc do boju. W efekcie „kociołek” został zlikwidowany, ale wtedy znalazłem się w kartotece UB. Stwierdziłem to po niemal sześćdziesięciu latach w dotyczących mnie aktach IPN.

Latem 1945 roku często jeździłem do Łodzi, gdzie zamieszkał mój ojciec, i do Krakowa, do Ostrowskich. Z Joanną Ostrowską, żoną Kazimierza, chodziłem do teatrów na przedstawienia z Ludwikiem Solskim, Mieczysławą Ćwiklińską, Jerzym Leszczyńskim. Odwiedzałem księgarnie i antykwiariaty. Czytywałem „Odrodzenie” i „Tygodnik Powszechny”. Poszedłem do redakcji „Tygodnika”, gdzie pracował znany mi z konspiracji Kazimierz Zenon Skierski, współwydawca antologii *Pieśń niepodległa* przygotowanej przez Czesława Miłosza. Okazało się, że redaktor Jerzy Turowicz to ów „przedstawiciel krakowskich kół kulturalnych”, z którym – z polecenia Zofii Kossak – spotkałem się w kwietniu 1943 roku w antykwiariacie Arcta...

Kiedy pan podjął decyzję o ujawnieniu się?

11 sierpnia aresztowano Moczarskiego. Niemal równocześnie dowiedziałem się o zawieszeniu działalności Delegatury Sił Zbrojnych. Co robić? Pytałem „Marcina” i „Lenarta”, czy jestem do czegoś potrzebny, czy mają dla mnie zlecenia. A może jechać na Zachód? Czy mi w tym pomogą?

Usłyszałem: – Jesteście zdemobilizowany, róbcie, co chcecie. Nic, żadnej wskazówki. Goldman powiedział mi pewnego dnia: – Teraz żyjemy prywatnie i życzymy sobie wszystkiego najlepszego... Spotkałem go potem w więzieniu. Przedstawiliśmy się sobie jak nieznajomi, bo w celi było za dużo świadków, chyba osiemdziesiąt osób, i zaczęliśmy rozmawiać, używając aluzji, niedopowiedzeń. Okazało się, że po ujawnieniu działał w konspiracji pilsudczykowskiej, redagował pismo i na tej robocie wpadł w 1946 roku. Dostał wyrok, zdaje się, że dziesięć lat, po amnestii zostało mu pięć lat. Pamiętam, że pytał dosyć ironicznie o moją działalność w Polskim Stronnictwie Ludowym. Ale warunki w celi nie sprzyjały swobodnej dyskusji...

Wróćmy do lata 1945 roku. Przypadkowo spotkana „Wanda Leśniewska”, czyli Halina Dąbrowska, którą poznałem w 1943 roku jako działaczkę Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom, poinformowała mnie o uratowaniu kompletu raportów komórki więziennej. Doszedłem do wniosku, że te dokumenty powinny zostać jak najspieszniej zabezpieczone. A w tym czasie w Warszawie działał już Instytut Pamięci Narodowej, zajmujący się historią najnowszej Polski. Na czele IPN stanął Jerzy Kornacki, pisarz, członek PPR, a jego zastępcą został Stanisław Płoski, historyk wojskowości, erudyta, znakomity znawca dziejów Rosji, były szef Wojskowego Biura Historycznego w BIP. Spotkałem się z nim, przekazałem dokumenty. Rozmawialiśmy o sytuacji politycznej, o aresztowaniach, i wtedy powiedział: – Panie Władysławie, pan ich nie zna... To nie jest ani gestapo, ani Abwehra, ale dużo gorzej. Jeśli pan nie będzie tego świadom, to zniszczą pana. Niech pan się nie ludzi, nie będzie żadnej trzeciej wojny światowej. To wszystko potrwa tak długo, że ja pewnie nie dożyję... Niech pan zrezygnuje z rzeczy niekoniecznych...

Stanisław Płoski był w czasie okupacji członkiem RPPS, przed wojną działał w ZNMS, w ogóle miał mocne oparcie w ruchu socjalistycznym, także przez żonę. Ewa Płoska była z Praussów, rodziny związanej od dziesiątków lat z PPS. Jej matka, Zofia, została aresztowana w 1942 roku, zesłana najpierw do obozu na Majdanku, potem do Auschwitz i tam zmarła w styczniu 1945 roku. Żona Płoskiego była żołnierzem formacji dywersyjnych Komendy Głównej AK. W czasie powstania przeprawiała się przez Wisłę w mieszanej grupie AK i AL z apelem do Rokossowskiego o udzielenie pomocy... Dlaczego mówię o Płoskim? Bo mu ufałem. Bezgranicznie. I wiem, że on też mi ufał. Nasza znajomość przeobraziła się

w przyjaźń. Zmarł w 1966 roku. Ostatnią rzeczą, jaką napisał, był wstęp do mojej książki *Warszawski pierścień śmierci*, w której wykorzystałem zdeponowane w IPN materiały komórki więziennej.

Przyszedł październik. W tym czasie wykonałem jeszcze kilka opracowań dla „Marcina”. Doszły mnie informacje, że interesuje się mną bezpieka. Dalsze trwanie w nielegalności nie miało już dla mnie sensu. 10 października 1945 roku stawilem się w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego w Alejach Jerozolimskich, gdzie urzędowała komisja do spraw ujawniania. Podszedłem do stolika, przy którym siedział pułkownik Gorazdowski, „Wolański”, szef Oddziału Personalnego w Komendzie Głównej AK i powiedziałem półgłosem: – Panie pułkowniku, jestem „Teofil” z VI Oddziału. Szukają mnie... On przejrzał jakieś papiery: – Byliście w powstaniu? – Tak. – Podporucznik? – Tak. – Srebrny Krzyż Zasługi? – Tak. – Macie świadków? – Nikogo nie znam, o nikim nic nie wiem. – No to jak nie macie nic do powiedzenia, to ja wam poświadczę. Ja, Jan Gorazdowski, pułkownik, znam osobiście Władysława Bartoszewskiego, pseudonim Teofil, podporucznika czasu wojny, który ujawnia się u mnie.

Uściskaliśmy sobie dłonie. Podalem mój adres: Aleje Niepodległości 138 m. 23...

Trzysta metrów od głównej bramy więzienia przy Rakowieckiej...

Tak, niemal w sąsiedztwie... Otrzymałem zaświadczenie nr 1731 o ujawnieniu się przed Komisją Likwidacyjną b. AK Obszaru Centralnego. Byłem zdemobilizowany.

Czy miał pan jakieś konkretne plany na przyszłość?

Każda demobilizacja jest początkiem nowej mobilizacji. Chciałem skończyć studia... Trzeba było znaleźć pracę, bo skromna odprawa z AK starczyła na parę tygodni. Moje mieszkanie spłonęło w czasie powstania. Co miałem? Dwadzieścia trzy lata i doświadczenie stulatka... Niby spore, ale przyszłość pokazała, że można więcej... Najpierw, dzięki Płoskiemu, zostałem współpracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej, z prawem korzystania ze stołówki, nie byle jakiej, bo rządowej. Dodam, że Płoski był także przewodniczącym Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie. Wiedziałem o tych sprawach bardzo dużo, więc siłą rzeczy zacząłem myśleć o bliższej współpracy z Komisją. Ale parę dni

po ujawnieniu otrzymałem wezwanie – w charakterze świadka – do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Poszedłem więc do Zofii Rudnickiej, pokazałem wezwanie. Obejrzała je i mówi: – Skoro pana wzywają jako świadka, to niech pan idzie... – Pójdę, ale oni mnie zamkną... – Ależ skąd... Ona wtedy chciała wierzyć w istnienie ludowej praworządności, a jednocześnie nie chciała, żeby takim ludziom jak ja przydarzało się coś złego. W końcu ustaliliśmy, że udam się do MBP zgodnie z wezwaniem na godz. 9.00, a jeśli nie wyjdę do 18.00, to ona zaalarmuje Adolfa Bermana.

Następnego ranka stawilem się w MBP na Pradze. W gabinecie było trzech mężczyzn. Major Józef Czapliski, pułkownik Roman Romkowski i trzeci, którego nazwiska nie znam. Poczęstowali mnie herbatą. Na początku rozmowy oświadczyłem, że nie rozumiem powodu wezwania, bo przecież w świetle przepisów o ujawnieniu nie jestem zobowiązany do składania zeznań.. – Ale my chcemy tylko porozmawiać... Okazało się, że dużo o mnie wiedzą. O BIP, o „Żegocie”...

O „Nie” też?

O tym nie wiedzieli... Pada pierwsze pytanie. – Kiedy pan ostatnio widział Rzepeckiego? – To mogę powiedzieć. 5 października 1944 roku na ulicy Śniadeckich, gdy szedł do niewoli. – A później? – Nie byłem w niewoli. – Nie widywaliście się w Delegaturze? – Nie widywaliśmy się. – A kogo znacie z tego czasu? – Przecież panowie wiedzą... Znam Moczańskiego, z konspiracji, z powstania... Popatrzyli na mnie... – Będzie pan walczył z nami? – Nie. – A napisze pan oświadczenie? – Napiszę oświadczenie, że zakończyłem działalność konspiracyjną, nie mam zamiaru naruszać obowiązujących przepisów, ale zastrzegam sobie prawo – w miarę potrzeby – do prowadzenia legalnej działalności opozycyjnej. – Opozycyjnej? To do PSL chce pan pójść...?

Ciekawe, że kiedy padło słowo „opozycja”, oni od razu pomyśleli o PSL. To była wtedy ważna dla mnie wskazówka.

Jak długo pan tam siedział?

Wprowadzono mnie do innego pokoju. Cywil kazał mi zdjąć zegarek, pasek, skarpetki, przeszukał portfel. Zadał parę pytań. Odmówiłem odpowiedzi. Obudzili mnie w nocy. – Jesteście zwolnieni, idziecie do domu! –

Panowie, chwileczkę, jest noc... – Mamy was wypuścić, takie jest polecenie. – Na piechotę nie pójdę, a nie mam pieniędzy na taksówkę... – Depozyt jest zamknięty. Przyjdźcie jutro rano, to wam go oddamy. Chyba nam zawierzycie? – Ja panom wierzę bez granic, ale nie wyjdę. – To czego chcecie? – Proszę mnie odwieźć samochodem...

I odwieźli. Wyraźnie chcieli się mnie pozbyć. Dlaczego? Rano kupiłem kwiaty i poszedłem do Zofii Rudnickiej. Okazało się, że zgodnie z danym słowem zaalarmowała Adolfa Bermiana i Leona Chajna. Oni z kolei zadzwonili do Radkiewicza z pretensją, że bezpieka wsadza ludzi z „Żegoty”. Kazano mnie natychmiast zwolnić. Natychmiast! Czyli w nocy. Więc ubecy mieli problem, bo jak nie zwolnią natychmiast, to potem trzeba będzie tłumaczyć się z niewykonania rozkazu. Na pożegnanie Rudnicka mówi: – Niech pan uważa... niech pan nie walczy z wiatrakami. – To nie są wiatraki. To coś dużo gorszego – odpowiadam. – Pan jest nieuleczalny! – Pani Alicjo, pani jest dobrą, kochaną koleżanką. Umówmy się, że oboje jesteśmy nieuleczalni...

Wracając do rady Stanisława Płoskiego: co pan uznał za konieczne?

Dziś zastanawiam się, czy nie powinienem był zająć się edukacją, skończyć studia, znaleźć pracę na uczelni, skoncentrować się na karierze osobistej. Może wszystko poszłoby łatwiej? Może? Ale uważałem, że suma doświadczeń i wiedzy, która została mi dana – bo przecież ja sobie nie wybrałem ani obozu, ani konspiracji, ani powstania – zobowiązuje do działań użytecznych. To brzmi dosyć prosto, ale czy mogło być proste w rzeczywistości pomieszanych pojęć, dla wielu nieprzejrzystej? Ludzie wracali z obozów, z niewoli, z lasu, z emigracji... Młodzież, która straciła pięć, sześć lat i teraz nie miała wykształcenia, zawodu, umiejętności życia w warunkach pokoju. Do tego narastający terror. Po latach rozmawiałem o tym z Wiktorem Woroszylskim, Romanem Zimandem i Leszkiem Kołakowskim, z wszystkimi byłem w dobrych, nawet serdecznych stosunkach. Trochę młodszy ode mnie, o rok, o dwa lata, a w tamtych czasach rok doświadczeń był epoką... Bardzo skomplikowane wybory. Jedni mieli gorzką wiedzę na temat sowieckiego komunizmu, tak gorzką, że nie chcieli o niej mówić, inni szukali dróg najmniej niewłaściwych, pytając, jak można zachować się przyzwoicie w warunkach niesprzyjających przyzwoitości, jeszcze inni żyli wiarą i trzymali się jej jak koła ratunkowego... Ja wiedzia-

lem, że muszę znaleźć miejsce. No bo kim byłem? Zdemobilizowanym oficerem byłej Armii Krajowej. Bez zawodu. Bez pracy.

Dzięki Stanisławowi Płoskiemu poznałem Eugeniusza Szrojta, dziennikarza, byłego pracownika BIP, teraz zaś redaktora „Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich”. Nawiasem dodam, że Szrojt był spowinowacony z Julianem Tuwimem. Wciągnął mnie do pracy przy pierwszym numerze „Biuletynu”. Napisałem szkic dokumentacyjny *Egzekucje uliczne w Warszawie 1940–44*, który trybunał norymberski zaliczył do materiałów dowodowych. To była praca, w której wykorzystałem wiedzę i umiejętności nabyte w konspiracji, w Delegaturze Rządu i w AK. No, ale z tego trudno było się utrzymać. Współpracowałem z Instytutem Pamięci Narodowej. Płoski zatrudnił tam między innymi Wandę Kiedrzyńską, która wróciła z Ravensbrück, młodego historyka Krzysztofa Dunin-Wąsowicza, Tadeusza Jabłońskiego i Janusza Durkę, który – pamiętam – pytał mnie w rozmowie w cztery oczy, czy naciskany, by wstąpić do PPR, nie obrazi pamięci ojca, który zginął na Majdanku jako członek PPS-WRN.

Odrzuciłem kuszącą materialnie propozycję wejścia do grupy „Dziś i jutro”, która potem przekształciła się w PAX. Tej decyzji nie żałuję do dziś.

Przypadek sprawił, że spotkałem na ulicy Juliusza Wiktora Gomulickiego. Po powstaniu poszedł do niewoli, wiosną 1945 roku znalazł się w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Tam nawiązał kontakt z Dywizją Pancerną generała Maczka. Przez pewien czas był kierownikiem literackim utworzonego przez Leona Schillera teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Lingen. Teraz rozpoczynał pracę w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdzie go ulokował kolega z oflagu – Leon Kruczkowski. Mieszkanie Gomulickiego zostało zniszczone we wrześniu 1944 roku. Jego żona i synek Roger wciąż byli w Krakowie. Zaproponowałem, by przenieśli się do mojego mieszkania w Alejach Niepodległości. Przy rodzinie Gomulickich przestałem być samotny.

W tym czasie często odwiedzałem „Oficynę Księgarską”, księgarnię prowadzoną przez Piotra Hniedziwicza przy ulicy Marszałkowskiej 34. Księgarnia była połączona z małą kawiarnią. Bywali tam Jerzy Hryniewicz, Jan Knothe, Jan Strzelecki, Alicja Pomorska, Kazimierz Koźniewski, jego żona Lalka Winiarska-Koźniewska, córka pułkownika WP (która

wkrótce zaczęła pracować w „Oficyinie”). Poznałem Teofila Sygę, przed wojną dziennikarza prasy narodowej, który odszedł od polityki i został redaktorem popularnego tygodnika „Kino”. Syga był zbieraczem starych książek i wielbicielem Adama Mickiewicza, nawet więcej, wyznawcą Mickiewicza, na poziomie religijnego uwielbienia. W czasie okupacji działał w Departamencie Informacji i Dokumentacji Delegatury Rządu jako kierownik Agencji „Serwis”, w powstaniu redagował „Rzeczpospolitą Polską”. Teraz został członkiem zespołu redakcyjnego „Gazety Ludowej”, organu PSL. Rozmawialiśmy o moich planach związanych z dziennikarstwem; pytał, czy interesowałaby mnie praca w „Gazecie Ludowej”...

Czy był pan sympatykiem ruchu ludowego?

Na czele PSL stał Wincenty Witos. Jednym z jego zastępców został Mikołajczyk...

Który uznał decyzje konferencji jałtańskiej...

Niewątpliwie Mikołajczyk był wtedy postrzegany przez większość Polaków na emigracji jako zdrajca. W kraju został przyjęty życzliwie, może nawet z entuzjazmem. Wydawało się, że PSL pod jego kierownictwem stanie się siłą gwarantującą przeprowadzenie wolnych, demokratycznych wyborów do sejmu. W PSL zaczął działać Kazimierz Bagiński, były więzień Brześcia, dopiero co zwolniony z więzienia moskiewskiego, zaczął działać Stefan Korboński, do kwietnia 1945 roku delegat rządu na kraj i jeszcze ktoś, kogo poznałem w 1944 roku, mianowicie Łukasz Witkowski, emisariusz cywilny rządu w Londynie. A tak się złożyło, że ożenił się z Wandą Muszyńską, naszą łączniczką w Delegaturze i „Żegocie”. Późną jesienią 1945 roku zastępcą Bagińskiego, który był kierownikiem Wydziału Propagandy i Prasy w Naczelnym Komitecie Wykonawczym PSL, został Tadeusz Rek, mój kolega z „Żegoty”. Poszedłem do niego, by złożyć podanie o przyjęcie mnie do pracy w redakcji „Gazety Ludowej”.

...jako chrześcijański demokracja?

Ta formacja, mówię o chrześcijańskiej demokracji, jest mi bliska także teraz. Uważam Konrada Adenauera za jednego z najgenialniejszych polityków europejskich. Adenauer, konserwatywny chadek, Winston Churchill, konserwatysta, do tej krótkiej listy dodałbym Helmuta Kohla... To

osobny temat. Wtedy, pod koniec 1945 roku, moja wiedza o polityce wynikała z kontaktów konspiracyjnych. Przez kilka lat miałem wgląd w motywy katolików-narodowców, katolików-chadeczków, katolików niezrzeszonych, socjaldemokratów. Utrzymywałem kontakty z grupą „Płomienie”, w której skład wchodził Jan Strzelecki, Karol Lipiński i inni znaczący ludzie z najmłodszego pokolenia socjalistów. W AK miałem kolegów i zwierzchników związanych z demokratycznym skrzydłem piłsudczywskim, z PPS, z Klubami Demokratycznymi. Z kolei Kazimierz Kumaniecki był konserwatywnym chrześcijańskim demokratą, wstąpił do Stronnictwa Pracy...

A pan?

Nie wstąpiłem. Przyglądałem się, przysłuchiwałem... Teoretycznie rzecz biorąc, to w ugrupowaniu chrześcijańsko-demokratycznym czułbym się najlepiej, ale na Stronnictwo Pracy spoglądałem sceptycznie. Uważałem, że komuniści prowadzą grę, której ostatecznym celem będzie wyeliminowanie chadecji na rzecz grupy Piaseckiego... Kumaniecki starał się mnie przekonać... Został nawet posłem do KRN z ramienia Stronnictwa Pracy. Ale już w 1946 roku powiedział mi: – Miał pan rację, bo tam połowa to agenci. Ten Widy-Wirski, ten Felczak, my nawet w najściślejszym gronie nie możemy szczerze mówić... W końcu oddał manifestacyjnie legitymację poselską w czasie plenarnej sesji KRN w „Romie”.

Tak na razie z PSL było inaczej. O tym mogłem przekonać się w czasie kongresu PSL 19 stycznia 1946 roku. Dostałem od Teofila Sygi kartę wstępu, czerwony kartonik z napisem „Prasa”. Rzecz trudna do uzyskania, trudniejsza niż dziś zaproszenie na najbardziej sensacyjny koncert rockowy. Tysiąc delegatów. Przedwojenni działacze chłopscy, a każdy z sumiastym wąsem, młodzi ludzie w kurtkach, w bryczesach i oficerkach, do niedawna żołnierze Batalionów Chłopskich. Kiedy wszedł Mikołajczyk, cała sala powstała z miejsc, by zaśpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła*.... Gośćmi kongresu byli Bierut, Osóbka-Morawski, Cyrankiewicz, Rola-Żymierski, Stronnictwo Demokratyczne reprezentował minister Jan Rabanowski. Ich wystąpienia przyjęte zostały z godną uwagą, natomiast przemówienie Podedwornego, który reprezentował „lubelskie” Stronnictwo Ludowe, było przerywane krzykami. On nie ustępował, odkrzykiwał, klócił się z salą, aż w końcu powiedział: – Jeśli nie chcecie mnie słuchać jako działacza

Stronnictwa Ludowego, to wysłuchajcie mnie jako ochotnika z 1920 roku! Sala wybuchła oklaskami. Pozwolono mu dalej mówić. A ja pomyślałem, że to są prawdziwi Polacy, którzy mogą coś rozumieć albo czegoś nie rozumieć, ale miejsce polskiego inteligenta jest pośród nich.

Uważnie wysłuchałem przemówienia Mikołajczyka, który wziął na siebie pełną odpowiedzialność polityczną za poparcie Delegatury Rządu dla rozkazu do rozpoczęcia powstania. To była dla mnie sprawa decydująca: położenie akcentu na więź z Polską Podziemną, z Armią Krajową. No i trzeba pamiętać, że w czasie powstania dyrektorem Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury, czyli *in spe* ministrem spraw wewnętrznych na skrawki niepodległej Polski był Kazimierz Bagiński...

Ale jednocześnie Mikołajczyk odciął się od Andersa i rządu emigracyjnego.

To było bolesne. Ja to traktowałem jako taktyczną kontynuację sporów londyńskich...

Czy to była taktyka?

Czy to była taktyka? Może coś więcej. Wyraz uprzedzeń, nawet wrogości, która istniała w przedwojennym ruchu ludowym wobec sanacyjnego korpusu oficerskiego. Ten sposób myślenia reprezentował zresztą także rozgoryczony generał Sikorski. Mikołajczyk, kapral rezerwy, aktywny przed wojną w wielkopolskim ruchu Kółek Rolniczych, był działaczem nowego pokolenia, wybił się w czasie wojny, w Londynie. Został jednak uznany i niejako namaszczony przez Wincentego Witosa – przy jednoczesnym poparciu głównych stronnictw w Radzie Jedności Narodowej. Bo ludzie, którzy rozwiązywali RJN – zaakceptowali przyjazd Mikołajczyka... Były też na ten temat rozmowy w kierownictwie WiN, były starania... Wiem o tym od Jana Rzepeckiego, z którym zbliżyłem się w ostatnich latach jego życia. Pozostawił mi znaczną część archiwum osobistego, które przechowałem, ocaliłem i jako „zespół Rzepeckiego” przekazałem do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Tak więc Rzepecki mówił mi, że w WiN istniała koncepcja znalezienia dróg współpracy z Mikołajczykiem. Czy dla Mikołajczyka byłyby to pomoc, czy tylko balast? Można dyskutować. Ale WiN powstał w nadziei, że poprze legalnie działające niepodległościowe siły demokratyczne cieszące się poparciem Anglików.

Mikołajczyka niewątpliwie wspierał Churchill, który zdawał sobie sprawę ze skutków włączenia Polski do strefy sowieckiej i starał się na tyle, na ile mógł, dać temu odpór... Niestety, Churchill przegrał wybory. Ale jego późniejsza działalność – od przemówienia w Fulton na temat „żelaznej kurtyny” – wskazuje, że pozostał konsekwentny. W każdym razie wiedzieliśmy, że tam gdzie Wielka Brytania ma jakiś wpływ na sytuację, tam zachowane są podstawowe wolności w wymiarze, o którym my mogliśmy tylko śnić. Mówię o ówczesnej Czechosłowacji, na której terytorium nie było Armii Czerwonej, swobodnie działały partie polityczne...

W „Gazecie Ludowej” i w kierowanym przez Bagińskiego Wydziale Propagandy i Prasy dosyć często gościli dziennikarze związani z Partią Agrariuszy. Bagiński miał tam świetne kontakty, bo po procesie brzeskim wyemigrował do Czechosłowacji. Któregoś dnia otrzymałem polecenie zajęcia się czeskim dziennikarzem. W trakcie rozmowy mój podopieczny zapytał mnie, jak można odróżnić na podstawie cech zewnętrznych ludzi z PSL od ludzi z „lubelskiego” SL, bo że inaczej mówią, to oczywiście, ale może jest jeszcze jakiś inny sposób. Oba stronnictwa miały ten sam znaczek organizacyjny, czterolistną koniczynkę, ale trzeba trafić, że grawer, który obsługiwał PSL, skierował ogonek koniczynki w inną stronę niż ten, który pracował dla SL. Wyjaśniłem dziennikarzowi, że nasz ogonek skierowany jest na zachód, ich zaś na wschód. On to napisał, opublikował w Czechosłowacji, a przedruki pojawiły się w prasie angielskiej. Wola mnie Bagiński i śmieje się: – Panie kolego, co pan naopowiadał temu Czechowi? – Miałem się nim opiekować... – A ten ogonek od koniczynki? – Tak mi nagle przyszło do głowy... – Nie mógł mnie pan uprzedzić? – Nie chciałem panu zaprzętać głowy głupstwami. I Bagiński na to: – Ale zaprzętnął pan głowę komuś innemu...

Program społeczno-gospodarczy PSL zakładał gruntowną przebudowę Polski. Był radykalny... Nie mówię o hasłach propagandowych, ale o dających się przewidzieć skutkach wprowadzenia go w życie.

Spoleczna radykalizacja całego polskiego podziemia niepodległościowego była zjawiskiem rzucającym się w oczy. Jeśli nie liczyć niektórych środowisk związanych ze Stronnictwem Narodowym, powszechna była myśl o konieczności przeprowadzenia reformy rolnej i uspołecznieniu, w miarę potrzeb, najważniejszych gałęzi przemysłu. Ta przebudowa mia-

ła na celu rozwój gospodarczy Polski przy jednoczesnym usuwaniu głębokich nierówności społecznych. Program gospodarczy PSL stawiał na rozwój własności spółdzielczej i prywatnej, przeciwko monopolowi państwa i kapitalizmowi państwowemu. Stawiał raczej na samorządy terytorialne i gospodarcze niż na wszechwładną administrację rządową. Program dla nowoczesnego demokratycznego państwa europejskiego. Co do stosunków międzynarodowych, PSL głosiło potrzebę przyjaźni i przymierza Polski z Wielką Brytanią, z Francją i Stanami Zjednoczonymi, właśnie w tej kolejności, oraz wypowiedało się za utrzymaniem jak najlepszych stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Radzieckim.

Cytat z uchwały kongresu: „Ustrój życia społecznego musi być oczyszczony z dążności do odgórnego i na wzorach totalistycznych opartego organizowania społeczeństwa, mającego na celu tłumienie samodzielności, a wytwarzania w jej miejsce uległości i ślepego posłuszeństwa”.

Toteż na kongresie zgłoszono wniosek o likwidację Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego... W PSL istniały obok siebie nurty agrarystyczne, utopijno-komunistyczne, nawet feministyczne, bo za taki uchodził wówczas Ludowy Związek Kobiet, ale były też grupy, którym patronował ksiądz Jan Zieja, ta różnorodność stanowiła o sile stronnictwa. Pracę w „Gazecie Ludowej” rozpocząłem 1 lutego 1946 roku...

Ale zadebiutował pan, jako Ludwik Gorzeński, jesienią 1945 roku artykułem *O sprawiedliwą karę dla podpalaczy Warszawy*.

Znaczna część moich tekstów publikowanych w „Gazecie Ludowej” była związana bezpośrednio lub pośrednio z okupacyjnymi dziejami Warszawy...

Znaczące tytuły: *Groza czerwonych afiszów. W trzylecie publicznych egzekucji w Warszawie, Cmentarzysko popiołów ofiar z Pawiaka. Makabryczne odkrycie w ruinach Nowolipek, Nowa lista rozstrzelanych na Palmirach...*, *Pogrzeb, jakiego nie zna świat. Sto trumien prochów ludzkich z GISZ-u i Woli, 1714 ofiar wydarto ziemi. Zakończenie ekshumacji na Palmirach, W trzecią rocznicę walk w Getcie...*

Od 1 sierpnia do 4 października 1946 „Gazeta Ludowa” publikowała cykl moich szkiców kronikarskich o powstaniu – *Dzień walczącej stolicy*.

Pisałem sprawozdania z procesów politycznych. Wcześniej, w kwietniu, przeprowadziłem wywiad z byłym szefem Kierownictwa Walki Cywilnej Sefanem Korbońskim na temat działań podziemia zmierzających do poinformowania światowej opinii publicznej o zagładzie Żydów.

Czy wstąpił pan do PSL?

Zapytano mnie, czy jestem zainteresowany działalnością w PSL. Pomyślałem wtedy, że skoro propagandziści z PPR złośliwie nazywają Polskie Stronnictwo Ludowe „chłopami z Marszałkowskiej”, to ja, syn ojca, który wywodzi się ze wsi, jestem chłopem w takim samym stopniu, jak profesor Stanisław Pigoń czy profesor Jan Stanisław Bystron. A więc znalazłem się w dobrym towarzystwie. I po przemyśleniu złożyłem deklarację członkowską. We wrześniu wszedłem w skład Zarządu Powiatowego PSL Warszawa-Śródmieście, a miesiąc później zostałem mianowany redaktorem „Biuletynu Wewnętrzny” Naczelny Komitetu Wykonawczego. Byłem funkcjonariuszem partyjnym aż do aresztowania, a że nigdy z PSL nie wstąpiłem, więc...

Jest pan nadal członkiem PSL...

Nie. Z tamtej redakcji „Gazety Ludowej”, której redaktorem naczelnym był Zygmunt Augustyński, a jego zastępcą Witold Gielżyński, pozostało przy życiu dwóch: kierownik działu zagranicznego doktor praw Andrzej Leśniewski i ja. Leśniewski nie był członkiem PSL. Czyli jestem jedynym żyjącym członkiem PSL z „Gazety Ludowej”. A gdy w 1989 roku doszła mnie w Bawarii, gdzie wtedy żyłem, wiadomość o tworzeniu Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wilanów”, wysłałem deklarację gotowości do działania i pieniądze...

Jakoś nie umiem sobie wyobrazić Władysława Bartoszewskiego w roli funkcjonariusza partyjnego.

To była ciężka robota. Ciężka, ale satysfakcjonująca. Od wiosny 1946 roku jeździłem na wiece organizowane przez PSL w związku z obchodami pięćdziesięciolecia ruchu ludowego. Imprezy odbywały się co niedzielę. Tak więc, stojąc na motopompie Ochotniczej Straży Pożarnej, przemawiałem do kilku tysięcy chłopów w Żurominie, wygłaszałem mowy w Raszynie, Sochaczewie. Przed wyjazdem starzy, doświadczeni ludowcy dawa-

li mi dobre rady: – Kolego redaktorze, tylko żadnych grzecznościowych powitań! Chłop o czwartej rano zaprzęga konie, żeby przyjechać na wiec. Najpierw idzie na mszę, po mszy musi sobie pojeść i popić, potem staje pod gołym niebem, żeby was wysłuchać. Mowa ma być długa, żeby mu nogi w d... wrosły, wtedy poczuje się uszanowany. I mówiłem, z głowy mówiłem godzinę, półtorej godziny. Ludzie klaskali, a zdarzało się, że gdy wprowadzałem do przemówienia elementy religijne, to nawet klękali. A co mówiłem? Pytał mnie o to w 1947 roku oficer śledczy w więzieniu na Mokotowie. Zaglądał do notatek informatorów i tajnych współpracowników: – Wyście mówili, że wszystko zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu, a ludzie klaskali... co mieliście na myśli?...

A ja mówiłem tak: – Koleżanki, koledzy, Polki, Polacy, wszystko co mamy tu dokoła, wszystko co mamy na sercu, zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu. Tłum był. I dodawałem: – A sobie będziemy zawdzięczać, jeśli zrobimy to, to i tamto... Zrobiłem się mówcą wiecowym, chyba popularnym, bo słuchacze rozpoznawali mnie wiele lat potem. Po wiecu zapraszano mnie na poczęstunek u bogatszych gospodarzy. Pięknie nakryte stoły, chleb własnego wypieku, wędliny domowej roboty, alkohol też. Obrazą było nie wypić szklanki bimbrowy z kolejnym działaczem wznoszącym toast. Byłem młody. Miałem mocną głowę. Po jednym z takich wystąpień usłyszałem od proboszcza z Żuromina komplement, którego nie zapomnę do końca życia: – Panie redaktorze, święty Paweł, gdyby żył, nie mógłby powiedzieć więcej...

W tym samym czasie zaczął pan organizować Ogólnopolską Ligę do Walki z Rasizmem.

Na początku 1946 roku zaczęły docierać z różnych części Polski bardzo niepokojące informacje o mordowaniu Żydów przez, jak ich wówczas nazywano, „chłopców z lasu”, przez grupy partyzanckie, które prezentowały się jako oddziały Ruchu Oporu Armii Krajowej czy WiN. Wyglądało na to, że w tym niekontrolowanym, spontanicznym ruchu sprzeciwu na siłę zyskują postawy, które wiążą okupację sowiecką ze zgubną rolą mniejszości narodowych. Powiem brutalnie: nie widziałem powodu do rozczulania się, gdy padali ludzie służący aparatowi terroru, niezależnie od narodowości, Polacy, Żydzi, Białorusini... Nie rozróżniałem. Tak jak nie rozróżniłem wedle wiary czy pochodzenia oficerów Wojska Polskiego, katolików,

żydów, protestantów, którzy zostali zamordowani w Katyniu. Ale informacje, które dochodziły z Częstochowy, Krakowa, małych miejscowości w Białostockiem czy z Małopolski mówiły o mordowaniu ludzi niewinnych, także kobiet i dzieci, za to, że są Żydami. A więc po doświadczeniach Auschwitz, Sobiboru i Treblinki, po wymordowaniu milionów, ktoś z ciemnym, tępyim mózdzkiem ważył się na planowanie i przeprowadzenie tych zbrodniczych akcji! To zatruwało Polaków. A mnie zależało na prawdziwej Polsce, z niezatrutą duszą. I zależało mi na czystym wizerunku Polski w świecie.

Spotkałem się z kilkoma działaczami „Żegoty”. Niestety, nie żył już Julian Grobelny. Zmarł nasz przyjaciel Leon Feiner. Rozmawiałem z Arczyńskim, Rekiem, z ludźmi z rozmaitych środowisk. W efekcie powstała Ogólnopolska Liga do Walki z Rasizmem. Na jej czele stanął Juliusz Górecki z PPS, trochę utopista, trochę teozof. Był bratem generała Romana Góreckiego, legionisty. Do zarządu weszli między innymi Irena Sendlerowa, Adolf Berman, Kazimierz Kumaniecki, Jan Wesolowski, reżyser teatralny związany z PPR, i Józef Gójski z Wici. Stopniowo zaczęli dołączać do nas ludzie z kół uniwersyteckich Krakowa i Łodzi. Ogłosiliśmy powstanie Ligi 3 kwietnia 1946 roku. Odbyła się konferencja prasowa z udziałem dziennikarzy zagranicznych. Zostałem kierownikiem Wydziału Propagandowo-Prasowego Ligi. Rozpoczęliśmy przygotowania do edycji miesięcznika „Prawa Człowieka”, którego redaktorem naczelnym został Olgierd Górka, przed wojną profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza i sekretarz generalny Instytutu Wschodniego. W „Romie”, największej warszawskiej sali widowiskowej, odbył się wiec Ligi, na którym Stefan Korboński wezwał do podjęcia wszelkich wysiłków skierowanych przeciwko nienawiści i dyskryminacji narodowej i rasowej. A potem przyszła straszna wiadomość o pogromie kieleckim oraz o morderstwach w Piekuszkowie, Koniecpolu, Herbach i Chmielniku... Wydaliśmy w tej sprawie apel, który, tak myślę, powinien być co jakiś czas przypominany... 19 czerwca trzyosobowa delegacja Ligi, profesor Kumaniecki, Tadeusz Rek i Michał Pankiewicz, udała się do Poznania, aby złożyć kardynałowi Hlondowi list z prośbą o zajęcie stanowiska w sprawie pogromu. Zostali przyjęci przez arcybiskupa Walentego Dymka, odbyła się rozmowa, ale apel Ligi pozostał bez odpowiedzi.

Korzystając z pomocy „Gazety Ludowej”, podjęliśmy monitorowanie procesów związanych z pogromem kieleckim. Sprawozdania dziennikarzy

zmasakrowała cenzura. Przecież w tych zajściach aktywny, przestępczy, udział wzięli także milicjanci i żołnierze. Urząd Bezpieczeństwa pozostał całkowicie bierny. Brak stanowczej reakcji miał, praktycznie rzecz biorąc, wszelkie znamiona przyzwolenia. Propaganda PPR starała się obciążyć odpowiedzialnością za pogrom „siły reakcyjne”, w tym także PSL. Wiadomo jednak było, że w morderczym tłumie znalazły się elementy półkryminalne i konfidencko-policyjne, choć nie tylko... Ale cokolwiek by się na ten temat mówiło, to sprawcami byli Polacy...

Bezpośrednią przyczyną rozruchów w mieście była plotka o rzekomym uwięzieniu przez Żydów w piwnicy budynku przy ulicy Planty 7 ośmioletniego Henryka Błaszczyka w celu dokonania na nim zabójstwa rytualnego. Budynek przy ulicy Planty 7 nie miał piwnic.

Mit mordu rytualnego popełnianego przez Żydów krąży po Europie od XII wieku...

Ale w pierwszych wiekach chrześcijaństwa to sami chrześcijanie byli oskarżani o zabijanie i składanie w ofierze małych dzieci...

Jał pan wie, chodziłem do szkół katolickich. Uczyli mnie księża. Żaden z nich nie miał wątpliwości, że mordy rytualne to wymysł, który nie różni się niczym od wymysłów zawartych w *Protokołach mędrców Syjonu* i podobnych publikacjach. A proszę pamiętać, że w tamtych czasach księgarnie z literaturą antysemitką działały przy uniwersytetach... Minęło sześćdziesiąt lat. Zostałem ambasadorem RP w Austrii. Dowiaduję się, że biskup diecezjalny z Innsbrucku usunął z ołtarza w pewnym kościele obraz przedstawiający mord rytualny dokonany przez Żydów. Uważał, że pielęgnowanie tej mitologii służy ogłupianiu ludzi. Jego decyzja spotkała się z niechęcią i protestami. Część wiernych uznała, że ogolocił miejsce kultu... Syn chłopski, Tyrolczyk, dobry biskup, ale tego, że usunął obraz, mu nie zapomniano.

Tak jak ów biskup uważają liczni inni biskupi katoliccy, ale można też wskazać duchownych, którzy nawet dziś, po pontyfikacie Jana Pawła II, nie wyciągają wniosków z rozważań papieskich na temat win Kościoła instytucjonalnego, win polegających albo na zaniechaniu, albo zgola na głoszeniu fałszywych nauk. W 1946 roku sytuacja była zupełnie inna i byłoby anachronizmem, gdybym doświadczenia Kościoła z czasów Jana

Pałła II przenosił w czasy, w których Holokaust nie stał się jeszcze przedmiotem refleksji, przedmiotem rozumienia Ludu Bożego.

Ciekawe, że przedwojenne europejskie publikacje antysemitckie, przede wszystkim niemieckie, są dziś tłumaczone i wydawane w ogromnych nakładach w krajach arabskich, a więc w skali globalnej to zjawisko istnieje i będzie istnieć.

A w skali Polski 1946 roku? Mówimy o społeczeństwie w przeważającej części chłopskim, zaniedbanym edukacyjnie, ze sporym udziałem analfabetów, zranionym przez okupację, zranionym przez powojenny terror, wskutek którego ożył stereotyp „żydo-komuny”, głodnym i przerażonym. Do tego dochodził konflikt z Żydami, którzy przeżyli i chcieli odzyskać swoje domy od Polaków... To nie dotyczy akurat Kielc, ale ogólnej atmosfery. Bo w Kielcach, w tym domu przy Plantach mieszkali ludzie szykujący się do wyjazdu z Polski. Mieli emigrować, a więc spełnić postulat zawarty w myśleniu antysemitckim: „Polska bez Żydów!”. Ale czy ludzie biorący udział w pogromie w ogóle myśleli? Tam działały instynkty tłumu! A szczególnie bolesne było to, że rzecz dokonała się w „Klerykowie”, w mieście pobożnym, w cieniu kościołów zakonnych i diecezjalnych.

W styczniu 2006 roku brałem udział w obchodach Dnia Judaizmu w Kielcach. Byli tam obecni między innymi arcybiskup Stanisław Gądecki, przewodniczący Komisji Dialogu Chrześcijańsko-Żydowskiego, i biskup diecezjalny Kazimierz Ryczan, który od wielu lat prowadzi poważną pracę wychowawczą w diecezji kieleckiej. Rozmawiałem z biskupami, z miejscową inteligencją. Tam pamięć o pogromie jest bolesną raną, która przypomina, że w Kielcach stało się coś haniebnego. A jeśli istnieje takie poczucie, to znaczy, że wygraliśmy punkt w tym strasznym meczu z historią.

Obserwowałem wydarzenia związane z tzw. sprawą Jedwabnego, choć przecież idzie nie tylko o Jedwabne, ale też o Radziłów i kilka innych miejscowości, w których zostały popełnione morderstwa na ludności żydowskiej przez ich sąsiadów, przez ludność polską – przy życzliwej osłonie władz niemieckich. O tym, że doszło do tych zbrodni, wiedzieliśmy też w czasie okupacji, pisała o nich Zofia Kossak-Szczucka. Nie znałem szczegółów. W 1949 roku przestępcy stanęli przed sądem, ale z powodów do dziś dla mnie niepojętych prasa pominęła to milczeniem. W tym samym czasie sądy skazywały ludzi podziemia na podstawie fałszywych oskarżeń.

Po kilkudziesięciu latach sprawy uległy pomieszaniu, a wskutek tego rzeczywiści sprawcy zbrodni, znani z imion, nazwisk, adresów zamieszkania zostali uznani przez swoich bliskich za ofiary komunizmu. Dlaczego to było możliwe? Bo w 1949 roku ukryto prawdę. Bo ukrywano ją przez dziesięciolecia – nie wiążąc skutków z przyczynami. Wytworzono swoistą tradycję nieprawdy. Dopiero po wydaniu książki Jana Tomasza Grossa tymi sprawami zajęli się kompetentni ludzie z prokuratury i sądownictwa. Ważną rolę odegrał ówczesny minister sprawiedliwości Lech Kaczyński, dziś prezydent Rzeczypospolitej. Znalezione dokumenty sądowe. Instytut Pamięci Narodowej wydał dwa tomy dokumentacji, tyle że grube tomy dokumentów i rozpraw naukowych nie są skutecznymi narzędziami wychowania i kształtowania opinii publicznej. Mieszkańcy Jedwabnego przeżyli szok. Uznali się za ofiary niesprawiedliwych oskarżeń, bo przecież przez sześćdziesiąt lat, przez trzy pokolenia, nagradzana była niepamięć. Odezwały się zaniedbania pastoralne Kościoła katolickiego, który już w wolnej Polsce nie umiał przygotować wiernych do odrzucenia tradycji nieprawdy. A przecież jeśli nie będziemy umieli mówić prawdy o Jedwabnem i Radziłowie, to czy będziemy umieli mówić prawdę o naszych, polskich ofiarach?

W czasie mojej pracy w Delegaturze Rządu miałem do czynienia z sądownictwem podziemnym. Analizowałem materiały dotyczące kolaboracji, szantażów, donosów składanych w gestapo. I mimo że były karygodne działania poszczególnych osób, zdemoralizowanych, kryminalistów, którzy w innych warunkach postępowaliby podobnie, nie umiałem się pogodzić z myślą, że przeciętni, zwykli ludzie, Polacy, katolicy, zorganizują się do popełnienia zbrodni idących w dziesiątki czy setki ofiar. I gdy doszło do wydarzeń w Kielcach, uświadomiłem sobie ostatecznie, jak dużo jest do zrobienia.

Niekiedy słyszę, że polski antysemityzm istnieje, owszem, ale nie jest tak morderczy, jak antysemityzm niemiecki. Antysemityzm łagodny? Tak. Prawda. Mówią o tym dzieje. Prawda i nieprawda. Antysemityzm jest trucizną powoli, ale skutecznie zatruwającą organizm społeczny. To narkotyk. A jaka jest granica ludzkiej odporności? Jedni po zażyciu dawki siedzą oszołomieni. Inni chwytają za noże. Od czego to zależy? Od odporności organizmu? Od wielkości dawek? Otóż łagodny wpływ trucizny na działanie mózgu powinien być brany pod uwagę przy rozważaniu takich zjawisk

patologicznych, jak nienawiść rasowa, narodowa, wyznaniowa, klasowa. Z tej nienawiści prędzej czy później wyrasta terror, który co jakiś czas daje o sobie znać we współczesnym świecie. Antysemityzm odgrywa w tym szczególną rolę, bo jest wciąż żywy i wciąż podsycany... I naprawdę nie przekonają mnie głosy o tym, że istnieje światowy antypolonizm, bo nie istnieje, tak jak nie istnieje ideologia antyfrancuska albo antyangielska. Chyba, że opowieści o antypolonizmie mają na celu usprawiedliwienie antysemityzmu...

Pierwszy numer „Praw Człowieka” ukazał się po wydarzeniach w Kielcach...

Tak. Potem, już w czasie, gdy siedziałem w więzieniu, Ogólnopolska Liga do Walki z Rasizmem wydała też tekst Michała Borwicza *Organizowanie wściekłości* poprzedzony wstępem Zofii Nałkowskiej, Tadeusza Zareckiego *Legendę krwi. Analizę krytyczno-historyczną tzw. mordu rytualnego* i zbiór zatytułowany *Martwa fala*, który zawierał utwory Jerzego Andrzejewskiego, Stefana Flukowskiego, Jerzego Zawieyskiego i Marii Kann.

Była tam także wypowiedź Władysława Broniewskiego...

Tak, Broniewski zabierał głos wielokrotnie, jeszcze przed powrotem do Polski. Jego wypowiedzi były trochę idealistyczne, może trochę utopijne, bo on chciał wierzyć, że istnieje przyrodzone braterstwo ludzi cierpiących i walczących. Piękna wiara, ale nie zawsze się sprawdza. To, że cierpiał A. i że w tym samym czasie cierpiał B., nie oznacza, że obaj w swym cierpieniu rozumieli się wzajemnie i wspomagali. To jest problem! Na ile ofiary Szoa i ofiary niemieckich conceptów wyniszczenia polskich elit umiały się porozumieć? Gdzie przebiegała granica oddzielająca współrozumienie od obojętności? W jakiej mierze dziś pojmujemy istotę tamtego doświadczenia? Dla Polaków podwileńskie Ponary to miejsce śmierci 20 tysięcy Polaków, dla Żydów to miejsce śmierci około 60 tysięcy Żydów. Czy da się dziś oddzielić jedne ofiary od drugich?

Od 1941 roku do 1945 roku byliśmy w Europie Środkowej świadkami planowej zagłady 6 milionów ludzi, zagłady prowadzonej wedle paranoicznych kryteriów rasowych pomieszanych z kryteriami religijnymi. Paranoicznych! Bo wedle hitlerowskiego prawa, ten kto miał czworo dziadków,

którzy nie byli członkami żydowskiej gminy wyznaniowej, choć wszyscy pradiadkowie do niej należeli – ten nie był pochodzenia żydowskiego. Ale jeżeli ktoś miał dwoje czy troje dziadków należących do gminy, ten okazywał się rasowo obcy, a w konsekwencji skazany był na śmierć. Nie doszłoby do tego, gdyby nie długotrwałe przygotowanie ideologiczne, fascynacje wywodami Chamberlaina, Gobineau, Rosenberga... I miliony ludzi zaczęły na serio traktować pojęcie aryjskości, której miernikiem miało być świadectwo chrztu dziadka! Przecież to perwersja!

Historia drugiej wojny światowej pisana zgodnie z wiedzą o faktach, a nie z góry przyjętą tezą, pokazuje, że w pierwszej fazie demoniczne zamierzenia wobec Żydów nie znalazły jeszcze wyrazu w ostatecznych dyrektywach operacyjnych. Niemcy zakładali getta, rozważając i projekty emigracyjne, i projekty utworzenia specjalnych regionów zamkniętych dla Żydów. W październiku 1939 roku Eichmann zaczął organizować zaczątki takiego regionu w okolicach Niska. Osadzono tam tysiąc Żydów z Wiednia i Pragi. Potem, w 1941 roku, rozpoczęła się faza druga, prowadzona przez Einsatzgruppen, które szły za przesuwającym się frontem na wschodzie. Polegała ona na planowej likwidacji Żydów i przeciwników państwa narodowosocjalistycznego, a więc inteligencji polskiej, białoruskiej... Szacunki mówią o wymordowaniu 600 tysięcy ludzi. Obóz w Auschwitz był pomysłany, i są na to dowody, jako miejsce izolacji i – częściowo – eksterminacji inteligencji polskiej, Niemcy używali określenia „polskie warstwy kierownicze”... Początkowo jednak nie miał być obozem zagłady. Stał się nim od 1942 roku, po rozbudowie, jako Auschwitz-Birkenau. Zamordowano tam – jak mówią najbardziej krytyczne badania – około miliona stu tysięcy Żydów. Znamy daty pierwszych gazowań... To są fakty. A faktów nie da się zmienić, chyba że pojawia się ktoś taki jak prezydent Iranu, który twierdzi, że Szoa w ogóle nie było. Nie było, bo on tak by wołał z powodów politycznych! No to pewnego dnia dowiemy się, że Niemcy nie napadli na Polskę, że w pierwszych dniach września nie rozstrzeliwano inteligentów polskich w Bydgoszczy, Toruniu, Grudziądzu... Zawsze znajdzie się mądrała, który ogłosi, że nie znaleziono dokumentu, w którym Hitler wydał rozkaz zagłady Żydów. No, rzeczywiście, takiego dokumentu nie znaleziono, ale znów fakty: powołano przecież specjalne wydziały i referaty w policji i SS, specjalne służby, które tylko tym się zajmowały... Ubyło prawie 6 milionów ludzi czy nie? Ubyło! Zostali zamordowani. I nie zostali zamordowani przez

aniolów ani przez Marsjan, tylko przez ludzi, którzy podporządkowali się ideologii rasizmu. O Katyniu, Charkowie i Miednoje wiedzieliśmy kilkadziesiąt lat temu. Nie znaliśmy szczegółów, ale niech nikt nie udaje, że nie wiedział. A to, że dzięki szczęśliwemu obrotowi historii Jelcyń przekazał dokumenty Lechowi Wałęsie, to już inna sprawa. A ci, co negują Katyń? Albo ci, co negują Szoa? Giętki język umie wszystko sprowadzić do nonsensu. Może to zrobić Anglik, Francuz, Polak, Żyd. Ze zgrozą dowiedziałem się, że jednym z zaproszonych do Teheranu na konferencję, która ma negocjować Auschwitz, jest jakiś żydowski intelektualista, prawdopodobnie urodzony po wojnie i prawdopodobnie paranoik. Nie ma takiej grupy narodowej czy wyznaniowej, w której nie pojawiłby się taki szaleniec, opętany ideolog albo lajdak, gotów sprzedać się za pieniądze... To słabe pocieszenie, wiem, ale tak się pocieszam. Uważam, że dziś, w XXI wieku do spraw, o których mówię, trzeba podchodzić tak, jak to czynił Karol Wojtyła z Wadowic, z diecezji, w której leży Oświęcim. Rozdział *O mierze zła w Europie w Pamięci i tożsamości*, gdzie padają słowa o zbrodniczej ideologii, która głosi program wyniszczania ludzi z powodu ich odrębności narodowej, wyznaniowej, światopoglądowej... Do tego trzeba powracać!

Jak długo pan działał w Lidze?

W 1948 roku już było widać, że „Prawa Człowieka” zostaną przekształcone w organ walki z dyskryminacją Murzynów w USA...

Od lutego do listopada 1946 roku „Gazeta Ludowa” opublikowała ponad sto pańskich tekstów.

Pisałem o okupacji i powstaniu, o udziale Wojska Polskiego w bitwie o Narwik i pod Tobrukiem. Brałem udział, jako dziennikarz autoryzowany przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Niemieckich, w ekshumacjach i w identyfikacji zwłok w Palmirach, w Stefanowie, w Magdalence, w Bukowcu. Uczestniczyłem w strasznym „pogrzebie Woli”, pogrzebie popiołów 40 tysięcy ludzi. To wtedy powstało określenie „warszawski pierścień śmierci”, użyte przeze mnie po latach jako tytuł książki. Od późnej wiosny asystowałem Witoldowi Giełżyńskiemu, który był głównym sprawozdawcą „Gazety Ludowej” na posiedzeniach Krajowej Rady Narodowej, ówczesnego quasi-parlamentu. Byłem więc, na przykład, świadkiem ostrej dyskusji związanej z powołaniem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publi-

kacji i Widowisk, na miejsce – dziś o tym mało kto pamięta – wydziału w Ministerstwie Bezpieczeństwa. Od maja zacząłem pisać sprawozdania z procesów sądowych, politycznych. Z tej okazji poznałem dyrektorów z Ministerstwa Informacji i Propagandy, Jerzego Baumrittera i Bolesława Drukiera, którzy wystawiali mi przepustki. Z obydwoma prowadziłem rozmowy. Oni doskonale wiedzieli o moich powiązaniach z BIP, Delegaturą Rządu oraz z „Żegotą”. Życzliwy mi Drukier mawiał: – Redaktorze, po jaką cholereę wam ten PSL? Rozumiem, jesteście antykomunistą, więc idźcie do Stronnictwa Demokratycznego, tam macie przyjaciół... Ale od PSL z daleka! Takie miałem z nim rozmowy, które po latach, gdy wyemigrował, kontynuowaliśmy w jego domu w Kopenhadze.

Moje sprawozdania z procesów były w gruncie rzeczy stenogramami, które – choć masakrowane przez cenzurę – ujawniły i stronniczość sądu, i rozpaczliwe próby obrony podejmowane przez uczciwszych adwokatów, i postawy oskarżonych, niekiedy pełne godności, niekiedy nie, jak to bywa w życiu. Jeździłem na rozprawy do Białegostoku i Lublina. Tam oskarżenie starało się z zasady sprzęgać PSL z Narodowymi Siłami Zbrojnymi i WiN. Pisałem na ten temat stosowne relacje dla sekretarza generalnego PSL Stanisława Wójcika.

Był pan sprawozdawcą „Gazety Ludowej” na procesie zabójców Bolesława Ścibiorka. W PSL przeważał pogląd, że ten lewicowiec, od marca 1945 roku członek Rady Naczelnej „lubelskiego” Stronnictwa Ludowego, przywódca ZMW „Wici”, został zamordowany przez ludzi bezpieki. Z kolei propaganda oficjalna głosiła, że zabójstwo było dziełem antykomunistycznego podziemia.

Ta sprawa została wyjaśniona w 1992 roku, przez Główną Komisję Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu...

Ale co pan sądził o niej w czasie procesu, w listopadzie 1946 roku?

Uważałem, że oskarżenia kierowane pod adresem „podziemia londyńskiego” nie mają podstaw. Zbrodnia została popełniona rękoma byłych akowców, którym wydawało się, byli przeświadczeni – i o tym mówili – że rozkaz zabicia Ścibiorka został wydany przez struktury konspiracyjne. Bezpośredni rozkazodawca Waclaw Kucikowicz vel Kucikiewicz „Orsza” nie stanął przed sądem. Wiadomo, że był w Polsce. Jego żona siedziała

w areszcie na Koszykowej jako zakładniczka. Ciemna, tragiczna sprawa. Dwa wyroki śmierci... Bezpośredni sprawcy byli znani, ale sądziłem, że rozkaz wypłynął od tych ludzi podziemia, którzy podjęli współpracę z UB. Wedle śledztwa przeprowadzonego w 1992 roku zabójstwo Bolesława Ści-biora zostało popełnione z pobudek osobistych, na zlecenie Kucikowicza, który podobno bał się ujawnienia swoich ciemnych sprawek z czasów okupacji... no i jeszcze jakieś układy męsko-damskie...

Jesienią 1946 roku został pan redaktorem biuletynu PSL, który – jako druk wewnętrzny o ograniczonym nakładzie – nie podlegał cenzurze.

Kolejność wydarzeń z tym związanych była następująca: pod koniec września w Krakowie zostali aresztowani między innymi Stanisław Mierzwa, zastępca sekretarza generalnego PSL, i dr Karol Buczek, redaktor tygodnika „Piast”. Tydzień później funkcjonariusze bezpieki przeprowadzili rewizję w Wydziale Prasy PSL w Warszawie. Zatrzymano na przesłuchanie Kazimierza Bagińskiego, aresztowano Tadeusza Węgrzyńskiego, redaktora biuletynu. Ja go zastąpiłem. A 11 października 1946 roku Bagiński został aresztowany...

Pracował pan w „Gazecie Ludowej”, redagował biuletyn, jeździł po kraju... Wygląda na to, że Władysław Bartoszewski to był energiczny, acz beczelny, wystrzegający się wszelkiej konsumpcji...

PSL miało znakomitą stołówkę. Dostawy ze wsi, żywność najwyższej jakości, bo podwarszawscy chłopcy nie skąpili, stawiając sobie za punkt honoru dobrą obsługę swego stronnictwa. Stołówką kierowała uzdolniona gastronomicznie była ziemianka. Miałem mieszkanie, do którego odwożono mnie samochodem, bo strach było chodzić po Warszawie nocą, czyli luksusowe warunki. Kin było mało, bywałem więc w teatrach. Pamiętam spektakle z Ireną Górką, Dobiesławem Damięckim i Ludwikiem Sempolińskim, a raz nawet sam wystąpiłem, zapowiadając przedstawienie *Wesela*. Późną jesienią kończyliśmy obchody pięćdziesięciolecia PSL. Z tej okazji wykupiono bilety na przedstawienia w Teatrze Powszechnym na Pradze. Ktoś z otoczenia Korbońskiego powierzył mi rolę prelegenta. Miałem przemówić do delegatów, nawiązując do dziejów ruchu ludowego, do roli Witosa i obecnej sytuacji. No i przemówiłem, koncentrując się na sprawie „czerwońców”. Dostałem owacje. Rockowa atmosfera. Krzyki,

wrzaski. Przypomniano mi o tym w śledztwie. Zabawny incydent, zdaje się, że opisany przez historyków teatru.

Miałem nowych znajomych. Przez Marysię Koziejównę, sekretarkę redaktora Augustyńskiego, poznałem siostry Bańkowskie, Danutę i Annę. Koziejówna, trochę ode mnie starsza, ranna w powstaniu, pochodziła z Polesia. A dla mnie Polesie wiązało się z twórczością Rodziewiczówny. I co za zbieg okoliczności! Okazuje się, że Koziejówna знаła autorkę *De-wajtis*, bywała u niej w dworku. Temat do rozmów. Z kolei serdeczną przyjaciółką Koziejówny była Danuta Bańkowska, która wraz z siostrą Anną mieszkała skromniutko przy Bałuckiego 34. Przychodziłem tam na herbatę. Miła atmosfera. One też były z Polesia, z rodziny ziemiańskiej. Z czasem Bańkowska zaczęła mi pomagać w przygotowywaniu przeglądów prasy. Dostarczałem je Kumanieckiemu, on zaś przekazywał je – moim zdaniem – emigracyjnym czynnikom chadeckim. Mieszkanie wydawało się bezpieczne, przyjazne, sami swoi, z AK.

A co z pana biblioteką?

Nieszczęście. Spłonęła w czasie powstania. Uratowała się natomiast część wydawnictw konspiracyjnych, ulotek, broszur oraz duży zestaw niemieckich obwieszczeń o egzekucjach. Ten zbiór przekazałem w darze Instytutowi Pamięci Narodowej, na ręce Płoskiego. To zresztą ciekawa historia... Po likwidacji IPN zbiór trafił do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, stamtąd do Zakładu Historii Partii i Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich. Tam w latach sześćdziesiątych znajdowałem materiały z ołówkowymi oznaczeniami poczynionymi przeze mnie w czasie okupacji.

Na książki z rynku antykwarycznego nie było mnie stać. Kupowałem książki nowe, tanie, z „Czytelnika”, „Książki”, wydawnictwa Wojciecha Bąka... Uzbierało się w sumie kilkadziesiąt egzemplarzy, ale to dopiero w połowie 1946 roku. Przecież pierwszą pensję z „Gazety Ludowej” dostałem w marcu. Trzeba było kupić ubranie, marynarkę, drugą koszulę. Latem miałem już przyzwoite honoraria dziennikarskie, chyba około trzech tysięcy złotych, stolówkę prawie za darmo, chleb był tani, nie paliłem papierosów, nie gąłem w karty, w zasadzie nie piłem alkoholu, więc mogłem zacząć myśleć o książkach. Ale prawdziwym zbieractwem zająłem się dziesięć lat później, po Październiku, kiedy pracowałem w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy...

13 listopada 1946 roku ogłoszono termin wyborów do sejmu na 19 stycznia 1947 roku...

Następnego dnia Stefan Korboński zaproponował mi objęcie stanowiska szefa propagandy przedwyborczej PSL na terenie Warszawy. Wieczorem 15 listopada udałem się z wizytą do sióstr Bańkowskich. Drzwi otworzył cywil o znanej mi twarzy: bywał w redakcji „Gazety Ludowej”, zabierał ludzi na przesłuchania. – A, pan redaktor Bartoszewski, czekamy na pana redaktora, czekamy, bardzo nam pana brakowało... Odpowiedziałem uprzejmie: – ...i mnie pana też. W pokoju zastałem osiem, może dziesięć osób pilnowanych przez bezpieczeniaka. Wpadłem w „kociołek”, który trwał już od półtora dnia... Nie wiedziałem, że Danuta Bańkowska współpracuje z komórką wywiadu WiN kierowaną przez Halinę Sosnowską, przedwojenną kierowniczkę literacką Polskiego Radia, tę samą, która ratując Czesława Miłosza przed atakami prawicowych radykałów, zaferowała mu pracę w rozgłośni warszawskiej. Halina Sosnowska została potem skazana na dożywocie, przesiedziała dwanaście lat...

Usiadłem przy stole. W kieszeni miałem karteczkę, o której w tej sytuacji nikt nie powinien był wiedzieć. Był to mianowicie adres doktor Jadwigi Beaupré, kapitana AK, byłej sekretarki generała Pełczyńskiego, która wróciła z niewoli i rozpoczęła pracę w Krakowie. Jadwiga Beaupré z Klemensiewiczów, córka Zygmunta, który wprowadzał do PPS Józefa Cyraniewicza, bratanica Zenona... Jakoś udało mi się przedrzeć karteczkę. Jej strzępy wrzuciłem do popielniczki. Siedząca naprzeciwko mnie pani rozumiała, o co chodzi... Bez słowa. Spojrzenie wystarczyło. Spopieliliła kawałki papieru zarem papierosa.

I zamknęli pana?

Zamknęli. Ważne doświadczenie. Bogate poznawczo. Kształcące. Odmiennie od pozbawienia wolności przez Niemców. Inne niż zatrzymanie na dobę w czasie referendum w czerwcu 1946 roku. Nawiasem dodam, że wtedy zatrzymał mnie kapitan Ryszard Nazarewicz, syn lwowskiego adwokata, inteligent, który potem został profesorem historii. Utrzymuję z nim po latach pewien kontakt zawodowy jako z historykiem, czytywałem też jego publikacje pisane w duchu SLD.

Zostałem zawieziony do MBP na Koszykowej, gdzie powitał mnie zadowolony pułkownik Józef Czaplicki. Po latach muszę przyznać, że rze-

czywiście miał powody do zadowolenia. Oto do „kociolka” zastawionego na komórkę wywiadu WiN, która współpracuje z wywiadem brytyjskim, wpada redaktor biuletynu wewnętrznego PSL, systematycznie kontaktujący się z Korbońskim i Bagińskim, dziennikarz „Gazety Ludowej”, były pracownik Komendy Głównej AK, na dodatek dopiero co mianowany szef propagandy przedwyborczej! – a oni już o tym wiedzieli. Smakowity kąsek zarówno z kontrwywiadowczego, jak i propagandowego punktu widzenia. Istny dar losu! Taki oskarżony w procesie pokazowym siedzący obok ludzi, którzy naprawdę zajmowali się wywiadem, może być bardzo użyteczny. Ale tego typu użyteczność w moim przypadku nie wchodziła w rachubę. Powiedziałem sobie tak: nic im nie powiem, do niczego się nie poczuwam, nie mam zamiaru tłumaczyć się z działalności w legalnej partii, koniec, kropka. I to mi pomogło. A teraz też wiem, że Danuta Bańkowska zeznała w śledztwie, że nasze kontakty miały charakter czysto towarzyski, zgodnie z prawdą. Przekonała także śledczych, że jej siostra nie była wtajemniczona. Annie Bańkowskiej dano więc spokój, pozwolono studiować i pracować.

Czaplicki powitał mnie słowami: – No cóż, panie Bartoszewski, do trzech razy sztuka. Bo on myślał tak: pierwszy raz – moje ujawnienie, drugi raz – zatrzymanie w związku z referendum, trzeci raz – teraz. A ja z uśmiechem: – Panie pułkowniku, jak dobra sztuka, to może być trzydzieści trzy razy... Czaplicki: – Obawiam się, że tutaj zmyją panu ten uśmiech.

Zaczęło się wstępne przesłuchanie, dosyć ogólnikowe, w czasie którego pojawiła się też na krótko pułkownik Brystygierowa. To była próba uporządkowania ich wiedzy o mnie, z widocznym założeniem, że moja wizyta w mieszkaniu Bańkowskich nie była przypadkowa.

Po kilku godzinach zwieziono mnie do piwnicy. Fatalny stan sanitarny. Nie znęcali się nade mną, ale warunki były podłe. Siedziałem tam do 24 grudnia 1946 roku, poznając sporo interesujących ludzi. W celi zastałem Władysława Dybowskiego, byłego oficera armii Hallera, inteligenta z rodziny ziemiańskiej. Przedstawiając się, powiedział, że jest wiceprezydentem Legnicy. Nie mówił, jaka partia desygnowała go na to stanowisko, doszedłem więc do wniosku – słusznie – że PPR. Twierdził, że jest niewinny, padł ofiarą intryg, zawiści, bo utrzymywał przyjazne stosunki z oficerami radzieckimi, na pewno jakieś osobiste porachunki. Przyjmowałem to

do wiadomości. Wkrótce zabrano go z celi. Kilka dni później wprowadzono młodego człowieka w mundurze oficerskim z odprutymi insygniami. Był to Konrad Dybowski. Pytam: – Pan jest oficerem? – Jestem kapitanem, oficerem politycznym... – Był tu Władysław Dybowski... – To mój ojciec... Rozmawialiśmy ostrożnie, a w końcu Dybowski powiedział, że jest oskarżony o szpiegostwo. – Ale bezpodstawnie? – zapytałem. – Wie pan, to ma związek z Narodowymi Siłami Zbrojnymi i Organizacją Polską... – odpowiedział. Uderzał mnie wielki szacunek Konrada Dybowskiego do ojca, który zresztą był jego podwładnym w siatce.

W sentencji wyroku na Dybowskich jest mowa między innymi o sporządzaniu raportów zawierających dane dotyczące rozstawienia w okolicy Legnicy artylerii przeciwlotniczej i katusz, transportów wojskowych, dyslokacji sztabu marszałka Rokossowskiego oraz o „celowym wstąpieniu przez Władysława Dybowskiego do PPR w charakterze agenta Organizacji Polskiej”.

Obaj zostali skazani na śmierć i rozstrzelani w 1947 roku... W celi znajdował się pan Dziuban, kurier Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w moim przekonaniu aresztowany za jakieś przekręty, on zaś twierdził, że padł ofiarą donosów zazdrosnych kolegów. Był pan Ryszard Wygodzki, o dość wyraźnych rysach semickich, pracownik MSZ, on z kolei mówił o intrydze politycznej. Po latach dowiedziałem się od Stanisława Wygodzkiego, że to jego – niestety – daleki kuzyn. Był też łysy, zamknięty w sobie pan, który przedstawił się: – Sosnowski, ichtiolog... Milczący jak ryba. Pracownik naukowy Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Okazało się, że jest mężem wspaniałej Haliny Sosnowskiej, która – jako podwładna Wincentego Kwiecińskiego – była szefem jednej z komórek wywiadu WiN. W jej sprawę była z kolei wmieszana Danuta Bańkowska, ale pan Sosnowski nic o tym nie wiedział, a i ja nie byłem skłonny do rozmów w obecności świadków.

Siedział z nami również człowiek, który zadziwiał mnie kulturą, wykwintnym sposobem bycia i dziecięcą naiwnością. Był to pan Ksawery Grocholski, ziemianin, w wieku około czterdziestu lat, rodzony brat Remigiusza Adama Grocholskiego, w 1926 roku adiutanta marszałka Piłsudskiego, w 1943 roku komendanta „Wachlarza”, w czasie powstania komendanta Rejonu Mokotów Dolny. Z rozmów z panem Ksawerym wynikało,

że ma żonę, Niemkę czy Austriaczkę z pochodzenia, i dwoje małych dzieci. Pewnego popołudnia wezwano go na przesłuchanie. Wrócił po kilku godzinach niesłychanie wzburzony. Tak się składało, że spaliśmy na jednym sienniku rzuconym na wąskie metalowe łóżko. Przyłgnął mi do ucha i wyszeptał: – Źle ze mną. Pan jest z „Gazety Ludowej” i zna mojego brata... Ktoś o tym musi wiedzieć... Miałem przed chwilą konfrontację... – Z kim? – Z Cavendish-Bentinckiem, ambasadorem Wielkiej Brytanii. Wpadł u mnie w domu. Nie wiedział, że jestem aresztowany... Oni rozebrali piec i znaleźli materiały... – Jakie materiały? – No, te, które mu przekazywałem... – I co mam zrobić? – Kiedy pana wypuszczą, niech pan porozmawia z moją rodziną, ale nie z żoną, bo ona nic z tego nie rozumie... – Sam pan porozmawia – starałem się go pocieszyć. – Boję się, że nie przeżyję... Oni robią ze mnie kolaboranta, bo jako rządcą u Maurycego Potockiego w Jabłonnie podejmowałem gestapowców... Odpowiedziałem, że w istocie Potocki gościł gestapowców, przekupywał, załatwiał zwolnienia z Pawiaka. – Ale co ja do tego? – powiedział Grocholski – Byłem rządcą, wykonywałem polecenia, a teraz chcą ze mnie zrobić zdrajcę, świnię... Zabrali go po kilku dniach. Wyrok śmierci. Został stracony na Mokotowie w 1947 roku. Po wyjściu z aresztu starałem się przekazać różnym ludziom informacje o ich uwięzionych bliskich. Ostrzeżono mnie, bym nie szukał kontaktu z żoną Grocholskiego, która nie umiając pogodzić się ze śmiercią męża, nie chcąc w to uwierzyć, uwikłała się w jakieś rozmowy z bezpiecznikami. Tragiczna sprawa.

Ksawery Grocholski został aresztowany razem z Waldemarem Baczkiem... Pan – wpadając w „kociołek” na Bałuckiego – stał się podejrzanym w tym samym śledztwie.

Jeszcze o tym nie wiedziałem... 24 grudnia osadzono mnie w celi w X oddziale więzienia na Rakowieckiej. Przez dwa dni byłem sam. Bez rozmów, bez przesłuchań. Zupa i chleb, które przynosili więźniowie Niemcy. Pomyślałem, że to najpewniej zbrodniarze, których wyluskano z obozów jenieckich. A trzeba powiedzieć, że ci Niemcy odgrywali na Mokotowie dużą rolę. Jeden z nich, doktor Otto – znałem to nazwisko z plakatów okupacyjnych – zajmował się w latach 1946–1948 więźniami politycznymi. Bardzo bym chciał, żeby lekarze-Polacy, którzy tam pracowali, zachowywali się tak przyzwoicie jak on.

Drugiego dnia świąt wepchnięto do celi człowieka... Oslupiałem! To był Jan Zarański, kolega z redakcji „Gazety Ludowej”. Uważałem, że to nie jest przypadek. Chcą podsłuchać naszą rozmowę. Ale Janek mówi: – Słuchaj, to przez pomyłkę, bo jest remont, malują cele... No i następnego dnia zabrano go z krzykiem. Wyglądało więc na to, że nie jakaś tam perfidna akcja, tylko bałagan. W czasie świąt Bożego Narodzenia słabnie czujność strażników więziennych na całym świecie... Tak wyglądało, ale wcale nie byłem tego pewien...

Niemniej w ciągu tych dwudziestu czterech godzin zdążyliśmy porozmawiać. Ostrożnie, rzecz jasna, niewinnie. Moja opowieść była prosta, wpadłem w „kociołek” u znajomych, nie wiem, o co chodzi, nie mam nic do powiedzenia. Zarański uważał, że do wyborów mnie nie wypuszczą, a potem z opresji wyciągnie mnie Mikołajczyk, bo przecież PSL ma poparcie społeczne, po wyborach będzie odgrywać ważną rolę w polityce. Tak uważał. Ja z kolei dowiedziałem się, że przesłuchiwał go Różański w związku z pewną aferą z czasów okupacji. Mianowicie MBP prowadziło dochodzenie w sprawie agentki niemieckiej, agentki chyba raczej Abwehry niż gestapo, Wandy Kronenberg, zepsiałej córki przyzwoitej, patriotycznej rodziny Kronenbergów. Janek Zarański spotykał ją na jakichś zabawach tanecznych, relacje męsko-damskie... I zdaje się, że chciano go tym szantażować. Upatrzyli go sobie, bo jego starszy brat Józef był sekretarzem Mikołajczyka w czasie rozmów w Moskwie, teraz zaś objął kierownictwo polskiej sekcji BBC. Ale wtedy o kulisach sprawy nie było mowy. Natomiast po latach – a przyjaźniłem się z nim aż do jego śmierci – nieraz do tego wracaliśmy. Bo to krótkie spotkanie w celi każało mi się zastanowić, jak daleko pójdzie próba szantażu i jakie będą jej skutki. Późniejsze zachowanie Zarańskiego wskazywało, że człowiek uczciwy, prawy, nie dał się wykorzystać. Pracował potem na podrzędnych stanowiskach w Zachodniej Agencji Prasowej, w jakichś małych pismach katolickich, tłumaczył z niemieckiego i włoskiego, wreszcie w latach siedemdziesiątych został redaktorem niemieckiego wydania „Życia Warszawy”. Był chory na astmę, umarł przedwcześnie.

Jak długo siedział pan w pojedynczej celi?

Najwyżej dwa dni. Posadzono mnie z inżynierem leśnikiem Witoldem Borowskim, oficerem rezerwy, nadleśniczym z Gołdapi, przywiezionym do

Warszawy w związku ze sprawą zabójstwa Ścibiorka. W czasie okupacji Borowski działał w AK gdzieś w okolicach Skierniewic. W 1945 roku miał rozum na tyle, że odbił się piętami i zaczął pracować w leśnictwie kilkaset kilometrów od Warszawy, nie mieszając się do niczego. Tak się złożyło, że zabójcy Ścibiorka byli jego podwładnymi w AK. I właśnie u niego, w Goldapi, szukali schronienia. Tak więc ja, sprawozdawca sądowy „Gazety Ludowej”, mogłem skonfrontować swoją wiedzę z wiedzą człowieka znającego zabójców. Uważał, że ci ludzie zabili Ścibiorka w przeświadczeniu, że działają na rozkaz podziemia.

W celi znalazł się też sześćdziesięcioletni mężczyzna, dosyć prymitywny, który twierdził, że jest pracownikiem fizycznym, bo wstydził się powiedzieć, że przed wojną pracował jako kucharz w ambasadzie polskiej w Bukareszcie. Rumuni wydali go po wojnie. Był oskarżony o współpracę z polityczną policją rumuńską w czasach Antonescu – przeciwko Polakom. Potem dowiedziałem się z gazet, że dostał dwa albo trzy lata za kolaborację.

Przenoszono nas z celi do celi. W marcu 1947 roku wylądowałem na parterze, gdzie jeszcze nie założono blend na oknach, więc mogłem podejrzeć, co dzieje się na podwórku. Borowski zasłaniał otwór judasza... W ten sposób obserwowałem, jak prowadzą na śmierć Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego, Josepha Meisingera, komendanta SD i policji do wiosny 1941 roku, i Maxa Daume, który wydał rozkaz i osobiście nadzorował masakrę polskich cywilów w Wawrze 27 grudnia 1939 roku. Byli w mundurach. Szli z kapłanem, prokuratorem, oficerami więziennictwa. Wyroki wykonywano w szopie, po drugiej stronie podwórza.

O parę cel dalej siedział Rudolf Höss, komendant Auschwitz. Co rano słyszałem, jak głośno i służbiście składa meldunek.

Nie było żadnych przesłuchań?

Zaczęły się w styczniu 1947 roku. Śledztwo prowadził porucznik Zygmunt Jankun. Zachowywał się przyzwoicie. Nie mogę o nim powiedzieć nic złego nawet w świetle dzisiejszej wiedzy o prawach człowieka. Przesłuchania odbywały się przeważnie wieczorem, do późnej nocy, co mi odpowiadało, bo ja bardzo lubię tę porę, i czułem się doskonale, żywiutko, podczas gdy oficer ziewał.

O co pytał?

Proszę napisać życiorys. Dostawałem pióro, kalamarz, odliczoną ilość arkuszy papieru. I pisałem. A kopie zachowały się w IPN. Pisałem i poznałem samego siebie. Pisałem o sprawach powszechnie znanych, o BIP, o powstaniu, o Radzie Pomocy Żydom, o moich kontaktach z Adolfem Bermanem, o Lidze Walki z Rasizmem, o publicystyce w „Gazecie Ludowej”. Oni to uważnie czytali, potem zaś wracali do niektórych tematów. Główne przesłuchanie trwało tydzień, po dziesięć, może dwanaście godzin dziennie, od 6 maja do 13 maja, to nie był „konwejer”, ale i tak dali mi w kość. Z protokołów końcowych podpisanych przez Jankuna wynikało jasno, że moje stosunki z Danutą Bańkowską miały charakter czysto towarzyski. Wypytywano mnie intensywnie o znajomość z Waldemarem Baczakiem, z którym współpracowała Bańkowska. Baczak, były żołnierz AK, członek WiN, pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przekazywał materiały wywiadowi brytyjskiemu. Nie miałem o tym pojęcia, co zresztą Baczak potwierdził w śledztwie. Odwiedzał mnie w redakcji „Gazety Ludowej”, przynosił materiały o „Baszcie” do wykorzystania, jeden z nich został opublikowany pod jego nazwiskiem. Tak więc usilnie sprawdzali, co mnie łączy z Baczakiem, bo były różne interwencje, między innymi z Ligi do Walki z Rasizmem.

A czy nie sądzi pan, że oni zdawali sobie sprawę, że pan jest niewinny, a przetrzymywali pana jako działacza PSL?

Czytałem moje akta z IPN po wielu, wielu latach, starając się poznać przyczyny zakończenia aresztu. Bardzo intensywnie interweniowali ludzie ze środowiska „Żegoty”: Zofia Rudnicka, Adolf Berman, Tadeusz Rek, który był wtedy wiceministrem sprawiedliwości. Moja matka trafiła do pani Medresowej, matki Wiktora Grosza. Powiedziała mniej więcej tak: – Władek siedzi, pani go zna od dziecka, nie zrobił na pewno niczego złego, ujawnił się, zaczął pracować, a że ma poglądy polityczne, to ma, ale ja na polityce się nie znam. Pani Medresowa powiedziała, że ma trudności z załatwieniem czegoś u syna, niemniej dała znać o jego reakcji. Grosz powiedział, że jeśli zostałem zatrzymany, to zapewne nie bez powodu, ale jeśli jestem niewinny, to na pewno nie będę karany. Śledztwo wykazało, że jestem niewinny – a siedziałem dalej. Im zależało na tym, żebym złożył jakieś oświadczenie, odciął się od pewnych nurtów w PSL. A ja tego nie zrobiłem.

Co pan wtedy wiedział o świecie zewnętrznym?

Malo. W śledztwie poinformowano mnie o kłęsce wyborczej PSL, nawet pokazano gazetę. Chcieli mnie zmiękczyć. O innych sprawach zacząłem dowiadywać się po 23 czerwca 1947 roku, gdy przeniesiono mnie do głównego gmachu więzienia, do celi 46, w której było ze sto osób stłoczonych jak śledzie w beczce, bez łóżek, na łóżka brakowało miejsca, na podłodze sienniki, jeden stolik i jeden celowy, kryminalista albo ubek, który popełnił jakiś występki. Tam siedziałem do 10 kwietnia 1948 roku.

W tym tłoku obieg wiadomości był nader żywy. Większość stanowili więźniowie polityczni, choć nie brakowało kryminalnych, a też takich, którzy podszywali się pod politycznych. W tej różnorodności sporo naprawdę interesujących ludzi. Zyskałem sympatię Edzia Kakita, wielokrotnie karanego kieszonkowca. Kierował się etosem przedwojennego złodzieja, więc po pierwsze cenił tych, którzy nie pękają w śledztwie, a o tym w więzieniu zawsze wiadomo, po wtóre cenil ludzi, którzy mają gadkę, umieją opowiadać, a ja jestem dosyć rozmowny, po trzecie cenil ludzi, którzy nie wynoszą się, nie obrażają, są koleżeńscy. Sprostalem tym wymaganiom, więc łączyły nas dobre stosunki. Któregoś dnia wziął mnie za rękę, przyjrzał się moim długim, chudym palcom. – Ty frajerze, z takimi palcami zajmowałeś się polityką? – A co, Edziu? – A wiesz, jak przydatne są takie palce w moim fachu? W ten sposób zacząłem poznawać niektóre tajniki złodziejskiego kunsztu. Dowiedziałem się na przykład, że do wyciągnięcia portfela czy portmonetki z kieszeni naiwnej ofiary fachowiec używa dwóch najdłuższych palców... Zapytałem go, w jaki sposób znalazł się w więzieniu. – To wszystko przez Hitlera! – odpowiada. – Jak to przez Hitlera? Co ty z nim miałeś? – Słuchaj uważnie... Hitler sfajczył Warszawę, prawie całe miasto, ale rejestr skazanych ocalał. – Cały rejestr? – Nie cały, teraz już wiem, które litery, ale jak stanąłem przed sądem, to nie wiedziałem. Więc padam na kolana, mówię, że sierota bez ojca i matki, sanacja mnie zdeprawowała, miałem trudne dzieciństwo, popełniłem błąd i proszę wysoki sąd ludowy o zrozumienie dla proletariusza, który żaluje i cierpi, a sędzia grzebie w papierach, patrzy na mnie zimnym wzrokiem i wyczytuje moje trzydzieści cztery przedwojenne karalności... Wszystko przez Hitlera!

A ze spraw poważnych... Byli tam ludzie z AK i NSZ, z PPS-WRN, z WiN. Siedziałem między innymi z pułkownikiem Janem Zientarskim,

dowódcą Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK, z profesorem Władysławem Tarnawskim – tłumaczem Szekspira, aresztowanym w związku ze sprawą Komitetu Ziemi Wschodnich, z dramaturgiem Kazimierzem Brończykiem i aktorem Zbigniewem Nowosadem, z tej samej sprawy. Profesor Tarnawski wygłosił w celi cykl wykładów o Szekspirze... Byli w celi adwokaci: Witold Bayer, Jan Sendek. Był tragiczny dziewiętnastolatek skazany na piętnaście lat więzienia za szpiegostwo – Janusz Krasiński, przyszły pisarz... Był inżynier Ryszard Jamontt-Krzywicki, adiutant kolejnych komendantów głównych AK. Przyszedł ksiądz dr Jan Stępień, prezes Stronnictwa Narodowego w podziemiu, po zwolnieniu rektor ATK, potem działacz PAX, ale wtedy nawet się u niego spowiadałem, odbyłem spowiedź generalną z całego życia. Był też Kazimierz Bagiński.

Kazimierz Bagiński został aresztowany 11 października 1946 roku, skazany 17 kwietnia 1947 roku, karę ośmiu lat więzienia zmniejszono na mocy amnestii...

Proponowano mu, żeby pisał o łaskę do Bieruta. Odmówił. Zakazał adwokatowi. Spędziliśmy razem miesiąc, rozmawialiśmy... Był krytyczny wobec działań Mikołajczyka. Uważał, że w związku ze sfałszowaniem wyborów PSL powinno ogłosić protest i odmówić wejścia do sejmu, co – wedle jego mniemań – spowodowałoby ostrą reakcję Anglii i USA, może nawet w formie cofnięcia uznania dla rządu w Warszawie. Nie zgadzałem się z tym... W każdym razie po wyjściu z więzienia, a stało się to w lipcu, Bagiński odwiedził moją matkę, załatwił jej wypłatę mojej zaległej pensji z „Gazety Ludowej”, udzielił kilku pomocnych rad... Potem, w październiku, uciekł na Zachód.

8. WIĘZIENIE

PROCES TRWAŁ NIE DŁUŻEJ NIŻ GODZINĘ. PROKURATOR ZAŻĄDAŁ DZIESIĘCIU LAT WIĘZIENIA. NA CO JA W OSTATNIM SŁOWIE POWIEDZIAŁEM: – WYSOKI SĄDZIE, JESTEM CAŁKOWICIE NIEWINNY.

Powiedział pan, że pobyt w areszcie śledczym był bogaty poznawczo i kształcący...

Bo był. Obserwowałem niesłychanie zróżnicowaną grupę ludzi. I razem byłem w tej grupie. Obok zwiezionych z całego kraju więźniów politycznych siedzieli polscy kolaboranci, Niemcy z okupacyjnego aparatu administracyjnego, sądowiczego, z SS i policji, wreszcie zwykli przestępcy kryminalni. Zetknąłem się z ludźmi różnych generacji, różnych zawodów i doświadczeń życiowych, z profesorami uniwersyteckimi, adwokatami, inżynierami, duchownymi, dowódcami oddziałów partyzanckich. Do celi trafiali ludzie z głośnych procesów pokazowych, i w ten sposób poznałem osoby ze sprawy Witolda Pileckiego i ze sprawy Wacława Lipińskiego. Byli dla mnie pierwszymi informatorami i komentatorami tych spraw. Interesujący rozmówcy. Wie pan, myślę, że mi ufali. Dlaczego? Nie miałem żadnych przywilejów, nie wzywano mnie na śledztwo, nie odciąłem się...

Od czego?

Uciekł Mikołajczyk, uciekł Korboński z żoną, uciekł Bagiński, a wtedy zaczęły pojawiać się deklaracje lojalności podpisywane pod przymusem, albo i nie, przez rozmaitych działaczy. Więc nie odciąłem się, mimo zachęt, i siedzę, siedzę, siedzę. To w końcu nie był długi okres, ale tak się

złożyło, że zawarte wtedy znajomości i przyjaźnie odegrały po latach pewną rolę w moim życiu.

W pierwszych dniach kwietnia 1948 roku zaczęło się formowanie transportów do więzień we Wronkach i w Rawiczu. Żegnamy się z kolegami. A tu nagle wzywają mnie z rzeczami. Niepokój. Co to znaczy? Z powrotem na Koszykową? A może do innego więzienia, a jeśli tak, to dlaczego? Przecież moja sprawa była związana ze środowiskiem warszawskim! W kancelarii więziennej, która mieściła się na drugim piętrze, dano mi jasnoniebieski druczek, mam go do dzisiaj, „kartę zwolnienia więźnia śledczego”, rzecz ciekawa, bez formalnego zakończenia śledztwa. Na druczku było podane moje imię, nazwisko, imię ojca, zwolniony w dniu 10 kwietnia 1948, pieczętka, podpis. Ani słowa o przyczynach aresztowania. Niczego ode mnie nie chcieli, żadnej deklaracji milczenia. Z depozytu odebrałem zegarek, jeszcze jakieś drobiazgi i jesionkę. Założyłem jesionkę, wyszedłem na wewnętrzne podwórko wiodące do bramy. Upał. I kiedy doszedłem do mojego mieszkania, kilkaset metrów, w Alejach Niepodległości, byłem spocony, z upału i z emocji. Tyle lat minęło, a pamiętam dokładnie, że najpierw zdjąłem jesionkę, potem rozpiąłem marynarkę, czułem spływające krople potu... W mieszkaniu zastałem Marysię Gomulicką. Powitała mnie serdecznie i ze zdumieniem. Bo wtedy jeśli ktoś nie odzyskiwał wolności po paru dniach czy tygodniach od momentu aresztowania, to pojawiał się na ławie oskarżonych, w jakimś procesie mniej czy bardziej nagłościonym. A mnie po prostu zwolniono... To była wiosna 1948 roku, jeszcze przed okresem, który później nazwano „stalinizmem”, kiedy ludzie po prostu znikali. Ale przyznam, że ta nazwa nie oddaje istoty rzeczy, bo metody stalinowskie stosowano i wcześniej, i później. Mnie rewidowano i rozbierano do naga pod portretem towarzysza „Wiesława”, i pod tym samym portretem przywrócono mi względną wolność. Po pół roku Gomulka został odsunięty od władzy... Dziś dla większości ludzi to już prehistoria, ale wtedy widać było wyraźnie zmianę atmosfery politycznej i w stosunkach międzyludzkich, niemal z dnia na dzień...

Poszedł pan do „Gazety Ludowej”?

Byli mi winni jakieś zaległe honoraria, chciałem też wyjaśnić sprawę wypowiedzenia. W końcu października 1947 roku władzę w PSL przejęła grupa Józefa Niecki i Czesława Wycecha. Kierownikiem Wydziału Prasy

został pan Waclaw Schayer, działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego, człowiek, z którym można było rozmawiać, redaktorem „Gazety” został Andrzej Kłyszynski, ale oni bali się mnie, uważali za relikw po Mikołajczyku... W redakcji nie było już żadnych znajomych. Zaczęłam szukać pracy. Znalazłam ją dzięki znajomym w pionie informacyjnym Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego. Odbyłem rozmowę z „personalniczką”, czyli kadrową, kobietą dosyć prostą, ale uprzejmą, no i zadebiutowałem. Zadebiutowałem opisami walorów desek sedesowych trudno wsiąkliwych na eksport do Pakistanu oraz kijów do szczotek bez zasinień, kategorii I. Dyrektorem CZPD był pan Lissy, przed wojną jeden z dyrektorów Robura na Śląsku, przedsiębiorca dużej klasy, rzecz jasna członek PPR, choć z komunizmem miał tyle tylko wspólnego, że jego żona była siostrą Wandy Górskiej, sekretarki i osoby bliskiej Bolesławowi Bierutowi. Pan Lissy odnosił się do mnie z sympatią i pełnym zrozumieniem, wiedział, że jestem ujawnionym akowcem, i wiedział również, że więziono mnie bez podstaw.

W tym czasie trafili do mnie wysłannicy „Dziś i jutro” oraz „Słowa Powszechnego”, z propozycją współpracy. Odmówiłem. Spotkałem się z Bieńkowskim, który z wyżyn poselskich poinformował mnie o swej wyjątkowej pozycji politycznej. Uważał się – w jakimś amoku manii wielkości – za człowieka prowadzącego wielką grę ponad głowami władz Polski Ludowej, bo rozmawiał z generałem Sierowem. On naprawdę w to uwierzył, co mnie niesłychanie dziwiło.

No, ale zaczęły się kłopoty w pracy. W kadrach dowiedziałem się, że chyba nie ma dla mnie miejsca w przemyśle desek sedesowych: – Kolego Bartoszewski, my tu wszyscy was lubimy, ale niestety, nie możecie u nas pracować. – Dlaczego? – To wy chyba sami wiecie! Powiedziałem, że nie wiem, i poszedłem do dyrektora, który rozkładając ręce odesłał mnie do kadr, gdzie usłyszałem, że jest rozwiązanie: – No, musicie pójść tam-gdzie-wiecie i jeżeli oni zatelefonują, że nie mają uwag, to nawet możemy was awansować... Ale nie poszedłem tam-gdzie-wiecie, bo rozumiałem, jakie byłyby tego konsekwencje. Mnie układanie się z Urzędem Bezpieczeństwa nie interesowało.

A studia?

Wróciłem na uniwersytet. Zaczęłam uczęszczać na wykłady w roku akademickim 1948/49. Do dziś mam indeks z podpisaniami.

Z czego się pan utrzymywał?

Natan Silber, jeden z redaktorów w Państwowym Instytucie Wydawniczym, zaczął zamawiać u mnie recenzje wewnętrzne z literatury niemieckiej. Podobne zlecenia otrzymywałem od Jana Stefczyka, czyli Władysława Kopalińskiego z „Czytelnika”. Zawsze uzbierało się kilkaset złotych. W 1949 roku pojawiły się „Nowe Książki”, gdzie pracowali Waław Zawadzki i Juliusz Gomulicki. Dostarczałem im notki informacyjne o książkach...

Nie utrzymywał pan kontaktów z kolegami z PSL?

Z więzienia wyszli Wiktor Bazylewski, Tadeusz Węgrzyniak i Tadeusz Wyrzykowski. Widywaliśmy się... Herbata, kawa, niekiedy coś mocniejszego. Oni mieli mocne zaplecze w „Wiciach”, więc dostali pracę w jakichś instytucjach spółdzielczych i wydawniczych PSL. Bazylewski ożenił się z poznaną przez więzienną ścianę Haliną Waszczukówną. Wygłosiłem mowę na ich weselu... Pani Halina Bazylewska jest dziś działaczką organizacji kombatanckich, organizowała między innymi budowę pomnika więźniów politycznych zamordowanych w latach 1944–1956 i pochowanych potajemnie na Cmentarzu Bródnowskim (i tam postawiono pomnik).

A rzeczywistość zmieniała się bardzo szybko. Władysław Gomulka został odsunięty od władzy, skazano działaczy PPS-WRN, Kazimierza Pużaka, Ludwika Cohna i Tadeusza Szturm de Sztrema, nastąpiło połączenie PPR z PPS, obserwowałem, jak to ciężko przeżywają Jan Strzelecki i Stanisław Płoski, któremu przy okazji zlikwidowano IPN. Marszałek Rokossowski został ministrem obrony narodowej, szykowano połączenie stronnictw ludowych. Wszystko to w praktyce, na dole, oznaczało rugowanie urzędników, dyrektorów szkół, dyrektorów szpitali, przedsiębiorstw, pracujących inteligentów, bezpartyjnych, niekiedy związanych z PPS, Stronnictwem Demokratycznym, którzy chcieli budować kraj, ale w świetle tych nowych kryteriów nie było dla nich miejsca... To widziałem wyraźnie. Nie miałem złudzeń...

Nie miałem złudzeń i miałem rację. Pod wieczór 14 grudnia 1949 roku wyszedłem z mieszkania. Byłem umówiony w teatrze. Przy krawężniku zatrzymał się samochód. Ktoś z tyłu wziął mnie pod rękę: – Pan Bartoszewski? – Tak. – To muszę pana zaprosić... – A pan kto? – Mam się legitymować? – Nie, zbyteczne. I tak się nie znamy. O co chodzi? – Chciał-

bym, żeby pan podjechał z nami do urzędu na rozmowę... Poprosiłem, żeby pozwolił mi pójść do domu po zmianę bielizny, szczerotkę do zębów... – Nie, nie wolno, a zresztą pan niebawem wróci...

Po kilku minutach znalazłem się na Koszykowej. Znów te same procedury, które dla mnie – po doświadczeniach z 1946 roku – były w sumie trochę zabawne i trochę nudne, wreszcie zaś zaskakujące. Pierwsze przesłuchanie prowadził kapitan Piotr Tymiński. Zadawał pytania zmierzające do wyjaśnienia mojej działalności szpiegowskiej. Ja patrzyłem na niego jak na wariata, bo pomysł był jak z kalendarza. Co to za szpieg, który nie pracuje w instytucjach wojskowych, gospodarczych, politycznych, nie ma dostępu do żadnych dokumentów, nie ma radia, nie ma aparatu fotograficznego, nie ma znajomych w kręgach władzy? Na czym miałyby polegać ta moja szpiegowska robota? No, pełne szaleństwo... Myślałem logicznie – starając się zrozumieć, o co mu naprawdę chodzi. Co to za człowiek? Skąd się wziął? Bo na przykład w gestapo, że nie wspomnę o Abwehrze, nie zatrudniano idiotów. Drani, bandytów, sadystów, owszem, ale nie idiotów pozbawionych umiejętności logicznego myślenia... A tu siedzi przede mną człowiek, który wie o mnie prawie wszystko, nawet to, że dzisiejszego wieczoru miałem pójść do teatru, i wzywa mnie, abym przyznał się do działalności szpiegowskiej. Odpowiedziałem: – Proszę pana, przecież niedawno wypuściliście mnie z aresztu po półtorarocznym śledztwie... – Tak, wypuściliśmy, popełniając wobec was wielki błąd, ale to już się nie powtórzy. Mogę wam obiecać, że teraz tu zostanieie... No, jesteście młodzi, od was zależy, kiedy wyjdziecie, ale dziesięć lat połączycie...

Połączycie?

Połączycie! W XVI wieku wtrącano do polszczyzny słowa łacińskie, w XVIII wieku francuskie, a w 1949 roku w środowisku młodych oficerów MBP, często wywodzących się ze wsi, panowała moda na słowa rosyjskie... A więc połączę dziesięć lat!

Nie pytano mnie, z kim się widuję, czym się zajmuję, z czego żyję. Oni to wszystko wiedzieli. Z kolei ja nie miałem niczego do ukrycia, ale też nie miałem niczego do opowiadania. Widywałem się z Kazimierzem Ostrowskim, z Jadwigą Beaupré, z niektórymi kolegami z BIP. Widywałem sporadycznie Aleksandra Gieysztorę, który pracował na Uniwersytecie Warszawskim, do pierwszego spotkania doszło na dziedzińcu uniwersyteckim,

przywitał mnie: – Panie Teofilu, to pan nie siedzi? Odpowiedziałem: – Panie doktorze, to pan nie siedzi? Bo w środowisku akowskim wiadomo było, że MBP obiecało aresztowanemu Rzepeckiemu pozostawienie Gieysztor w spokoju pod warunkiem wydania przezeń części archiwum AK. Gieysztor przekazał archiwum, MBP dotrzymało słowa.

Więc co mam robić w obliczu tak szalonych zarzutów? Nie mówić! Powołać się na przepisy dotyczące ujawnienia z 1945 roku. Powołać się na prawo! Przepisy były wyraźne: ten, kto się ujawnia, jest zobowiązany do podania imienia, nazwiska, funkcji w podziemiu, stopnia oraz deklaracji zakończenia działalności konspiracyjnej, i nie ponadto. No i trzeba było zdać broń, ale ja broni nie miałem. Jeśli zważy się, że zgodnie z deklaracją z 1945 roku nie prowadziłem żadnej działalności konspiracyjnej, to oba aresztowania brały się z pogwałcenia prawa, przy czym gwałcicielami prawa byli, owszem, ludzie po kilkumiesięcznych kursach przysposabiających do pracy w aparacie sprawiedliwości ludowej, ale też i przedwojenni absolwenci uniwersytetów. Trzymałem się tej zasady mocno. Czy naiwnie? Z perspektywy 1949 roku – zapewne tak. Bo nastąpił wtedy nieznaný dotąd wzrost aresztowań, wsadzano ludzi z Kedywu, z „Zośki”, z „Parasola”, a zaraz potem ludzi z ludowego wojska, także tych zaufanych, pod zarzutami szpiegostwa – bez żadnej podstawy. Czyli że myślenie logiczne okazywało się zawodne, a powoływanie się na przepisy prawa prowadziło na manowce naiwności. Chociaż nie do końca...

Zwieźli pana do piwnicy?

Do celi nr 11, na półtora roku. I zdaje się, że należę do stosunkowo niewielkiej grupy więźniów MBP, którzy siedzieli tam tak długo, a z tej okazji często powtarzałem sobie w myślach piękną frazę Papkina, bardzo lubię tę rolę: *...za ten honor ściskam nogi, nazbyt czynisz swemu słudze...* A rzecz ciekawa, że traktowano mnie tak, jakbym był niesłychanym asem wywiadu. Z zaciekawieniem. Z respektem. Wydaje mi się, że oni patrzyli na świat i ludzi tak jak więźniowie kryminalni, wedle kryterium pęka–nie pęka. Jak pęka, zaczyna zeznawać, to napisze się protokół i z głowy. Ale jak nie pęka? Jak nie pęka, to jest ważny przypadek, ma coś do ukrycia! A ja nie pękałem. Teraz wybiegnę w przyszłość. Minęły pięćdziesiąt dwa lata. Właśnie zostałem ministrem spraw zagranicznych Rzeczypospolitej. Przychodzi do mnie służbowo jeden z ówczesnych kierowników służb taj-

nych, przedstawia się, rozmowa oczywiście w cztery oczy, pijemy kawę, on mówi: – Panie ministrze, proszę uwierzyć, że my pana bardzo szanujemy... Nic na pana nie mamy!... Ujmujące pokwitowanie spraw sprzed pół wieku. Odpowiedziałem z uśmiechem: – My się chyba nie rozumiemy. To my do pana nic nie mamy!

Tak więc w nocy z 14 na 15 grudnia 1949 roku znalazłem się w areszcie wewnętrznym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Komendantem aresztu był kapitan Zając, wywodzący się ze środowiska żydowskiego, w którym nie obowiązywała znajomość literackiej polszczyzny. Uciążliwy prostak. Znalazł się jednak ktoś, kto go poskromił, o czym za chwilę. W celi poznałem paru interesujących ludzi. Na kilka tygodni trafił tu inżynier Staniszkis. Przez dłuższy czas siedziałem z Józefem Brzezińskim. Kulturalny, sympatyczny pan, absolwent SGH, dyrektor znanej żydowskiej organizacji charytatywnej Joint, czyli American Jewish Joint Distribution Committee. W tym czasie w całym bloku sowieckim trwało – w związku z systemową szpiegomanią, ale też z walką z tzw. kosmopolityzmem – polowanie na zagraniczne instytucje pomocowe. Wsadzano więc ludzi z Jointu, z kościołów i zrzeseń religijnych mających oparcie w Ameryce, metodystów, świadków Jehowy, Adwentystów Dnia Siódmego. Pojawił się w celi pan Pokuciński, kaznodzieja okręgowy świadków Jehowy na okręg lubelski, bardzo dobry, życzliwy, chętny do współdziałania kolega, tylko bezustannie usiłował nas nawracać. Któregoś dnia doszło do ostrego spięcia między Brzezińskim i komendantem Zającem. Mnie przy tym nie było, ale wiem to z opowieści. Otóż Zając szykanował Brzezińskiego, odmawiał jakimś jego prośbom sanitarnym. W końcu wezwał go do siebie, chciał chyba ukarać. Z tej rozmowy Brzeziński wrócił z tarczą, choć trochę nieswój. Powiedział mi: – Zrobiłem coś, co zupełnie nie odpowiada mojemu sposobowi myślenia. Nie jestem praktykujący, ale na widok Zająca przypomniałem sobie religijne klątwy żydowskie i mu je wykrzychałem prosto w twarz, zapewniając, że się spełnią. Przestraszył się, zbladł jak chusta. – I co? – Mogłem sobie na to pozwolić!... Kilkanaście lat potem spotkałem się z Brzezińskim w Izraelu, siedzieliśmy w telawiwskiej kawiarni, wspominając wspólny pobyt w piwnicy MBP.

Był w celi przeor z Jasnej Góry ojciec Kajetan, Karol Raczyński, ale nie z tych Raczyńskich, tylko z rodziny chłopskiej. Zarzucano mu szpiegostwo na rzecz Radia Watykan i generała Franco. Był Jerzy Sienkiewicz z Kedy-

wu. Temu z kolei zarzucano szpiegostwo na rzez USA, bo po wojnie pracował w ambasadzie amerykańskiej jako kierowca attaché wojskowego, który został uznany za *persona non grata*. Sienkiewicz, chłopak z inteligenckiej rodziny warszawskiej, trochę udający cwaniaka, nosił w konspiracji pseudonim „Rudy”, co było o tyle dziwne, że miał rude włosy.

Był wreszcie SS-Hauptsturmführer Erich Engels z Sicherheitsdienst (SD), czyli służby bezpieczeństwa SS, która zajmowała się między innymi nadzorem nad funkcjonariuszami gestapo. W czasie gdy ja byłem w Auschwitz, SS-Hauptsturmführer Engels kierował kartoteką w warszawskim gestapo, a więc należało przypuszczać, że wiedzę miał ogromną. Opowiadał mi na przykład o rozstrzeliwaniu za zdradę gestapowców na Szucha... Ale o przyczynach skazania go na śmierć nie mówił. Myślałem wtedy, że z pewnością wyrok jest zasadny. Po kilkunastu latach sprawdziłem jego dane w kartotece w Ludwigsburgu, w Centralnym Ośrodku Badania Zbrodni Hitlerowskich. Był odpowiedzialny za obóz w Izbicy – to był przejściowy obóz dla Żydów przed deportacją do ośrodków zagłady w Belżcu i Sobiborze – gdzie rozstrzelano ponad cztery tysiące Żydów... Ale w celi o tym nie wiedziałem.

A gdyby pan wiedział?

Nie wiedziałem, to znaczy, że nie znałem szczegółów... Mógł mordować w Warszawie, w Izbicy, gdziekolwiek... Wysoko kwalifikowany współsprawca zbrodni. Mnie ciekawiły przyczyny, dla których zwykły, grzeczny, wrażliwy człowiek...

Kiedyś z górnych pięter dobiegły nas dźwięki muzyki. Radio nadawało Bacha. Engels stał przy uchylonym lufciku i płakał. A więc w jaki sposób ten wrażliwy syn mieszczańskiej rodziny został mordercą? Opowiadał o swoich rodzicach, właścicielach hoteliku i restauracji w mieście Arolsen w okolicach Kassel... W chwili dojścia Hitlera do władzy był młodym urzędnikiem w policji, wstąpił do NSDAP i tak krok po kroku, aż wreszcie został Hauptsturmführerem w SD, zrobił, można by powiedzieć, karierę, bo przed takim człowiekiem z SD stawał na baczność pułkownik z Wehrmachtu. Raz Jerzy Sienkiewicz powiedział: – Panie Engels, pan nosi historyczne nazwisko... Engels wyprostował się dumnie: – *Meine Herren*, Engels w przeciwieństwie do Marksa nie był Żydem... Charakterystyczna reakcja!

Prowadziłem więc z nim rozmowy. Byłem tłumaczem w sytuacjach kolizyjnych, gdy grał w szachy – zrobione z chleba, nielegalnie – z ojcem Kajetanem, który mówił po włosku i po rosyjsku, a Engels tylko po niemiecku. Stracono go w lipcu 1951 roku w więzieniu na Rakowieckiej. Na Koszykowej składał zapewne zeznania na temat swoich kolegów z SS, ludzono go zmianą wyroku...

Ojciec Kajetan dostał wyrok kilkuletni, oczywiście nie za jakieś szpiegostwo, ale za naruszenie drakońskich wówczas przepisów dewizowych. Jako przeor powinien był informować władze o darach, pieniądzach, które przysyłali w listach wierni z Ameryki. On wyjaśniał tak: – Pieniądze nie musiały być zgłaszane ani przeze mnie, ani przez brata ekonomy, bo nie były dla nas... – A dla kogo? – Dla Matki Najświętszej! ...Ta wykładnia nie za bardzo trafiała do jego rozmówców, ale byli speszeni, bo ojciec Kajetan mówił powoli, spokojnie. Był łagodny, dobrotliwy, uparty i nieskończenie naiwny politycznie. Wojnę spędził w Rzymie, toteż miał ograniczoną wiedzę o naszych doświadczeniach. Jaki był? Mieszanina prawdziwej, pobożnej prostoty, głębokiej wiary i tradycyjnego patriotyzmu, tak bym go określił.

Często wzywano go na przesłuchania. Jerzy Sienkiewicz powiada: – A może ojciec przyniósłby fajki? Na to ojciec Kajetan: – Ale jakie to by rzuciło światło na paulinów? My nie palimy! – Dają ojcu? – Owszem, proponują... – To niech ojciec bierze i mówi, że na potem. W ten sposób ojciec nie skłamię... – Rzeczywiście, nie skłamię... I zaczął przynosić. Namawiali go do zeznań na temat papieży, bo on był w Watykanie przy Piusie XI i przy Piusie XII aż do końca wojny, czyli w krytycznym okresie, kierował domem paulinów. – Rozmawiał ojciec z papieżem? – Rozmawiałem. – O czym? – A to już jest sprawa Ojca Świętego i moja... Bardzo grzecznie odnosił się do śledczych, per panie sędzio. Któregoś dnia mówi mi: – Panie Władysławie, jak mi pan sędzia zarzucił szpiegostwo na rzecz Franco, to ja najpierw w ogóle nie rozumiałem, o co chodzi, i powiedziałem, że my, paulini, nie mamy żadnych domów zakonnych w Hiszpanii, więc może to dotyczy ojców jezuitów...

Kiedy panu przedstawiono zarzuty?

Na początku stycznia 1950 roku śledczy zażądał, abym przyznał się do szpiegostwa w zamian za jakąś nieokreśloną rozmowę o mojej przyszłości. Wzruszyłem ramionami. Padło pytanie o kontakty z Korbońskim. Odpo-

wiedziałem zgodnie z prawdą, że takich kontaktów nie miałem od listopada 1946 roku. – A gdyby przyjechał do was człowiek od Korbońskiego, to co byście zrobili? – A w jakiej sprawie? – Żeby podjąć jakieś działania. – To ja bym działań nie podjął, bo jestem realistą... – A przyszlibyście do nas i złożyli odpowiednie zeznania? Taka to była rozmowa, która zakończyła się zapewnieniem, że jeśli nie będę mówił, to zginię w więzieniu. Znowu mnie zwieźli do piwnicy, na prawie pięć miesięcy.

Aż 12 maja, w rocznicę zgonu marszałka Piłsudskiego, dlatego zapamiętałem dokładnie, wywołano mnie z celi. Zdążyłem się pożegnać z ojcem Kajetanem, Jerzym Sienkiewiczem i Ericchem Engelsem, który objął mnie i chciał pocałować, ale się uchylilem. Do samochodu. Wjeżdżamy na Rakowiecką, do kochanej starej budy! Znowu oddział X, znowu pojedyńka, z czego nawet się ucieszyłem, mogłem odpocząć, bo podróż samochodem zmęczyła mnie, choć to ledwie trzy–cztery kilometry, ale inne powietrze... Kalifaktorzy Niemcy przynosili chleb, kawę i zupę. Dobrą mieli pracę, żadnych większych wysiłków, pod dachem. Czy współpracowali ze służbą więzienną? Pewnie tak. Ale w stosunku do więźniów politycznych nie byli złośliwi. Przyglądałem się im, oni zaś mnie. Zwrócili uwagę, że siedzę sam. Jak sam, to znaczy, że nie kapuś. Po paru dniach było jakieś duże sprzątanie, któryś z Niemców pucował judasza. Postanowiłem zaryzykować. Podeszedłem do judasza. Powiedziałem, że Engels żyje, ma karę śmierci... Milczenie. Ale kilka godzin później znowu ktoś majstruje przy judaszu. I słyszę głos: – *Wo ist Engels?* – Koszykowa... – odpowiedziałem. Milczenie. Krótka rozmowa z dalekosięznymi, rzekłbym, konsekwencjami.

Kilka dni później wezwano mnie na przesłuchanie. I tam się dowiedziałem, dlaczego mnie aresztowano. Wspominałem już o Halinie Dąbrowskiej, prawda?

Tak, Halina Dąbrowska, pseudonim „Wanda Leśniewska”, działaczka Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom, dostarczyła panu w 1945 roku kopie raportów komórki więziennej, które pan przekazał do Instytutu Pamięci Narodowej...

Pani Halina Dąbrowska była w Konfederacji Narodu zastępczynią Jamonttówny, w ostatniej zaś fazie okupacji działała w wywiadzie albo w kontrwywiadzie AK. W 1945 roku spotkał się kilkakrotnie w sto-

łówce. Towarzyszył jej student medycyny, pan Adam Gutowski. Pan Adam Leszczyć-Gutowski, rozmaicie się przedstawiał, mój rówieśnik, ona starsza, chyba wdowa, miała córkę w wieku licealnym, więc nie wiem, kim dla niej był pan Gutowski, bliski znajomy czy kolega córki, no, nie wiem. Ona dawała mi do zrozumienia, że ma jakieś związki z podziemiem, ja do zrozumienia niczego nie dawałem i tyle. Ogólnikowe rozmowy przy obiedzie, o sytuacji politycznej, o PSL... W końcu oboje postanowili wyjechać na Ziemię Odzyskane, była mowa o Wrocławiu, gdzie pan Gutowski miał kontynuować studia medyczne. A teraz oficer śledczy informuje mnie o zeznaniach tej pary. Twierdzą mianowicie, że w 1945 roku byłem członkiem ich siatki wywiadowczej w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Doszło w końcu do konfrontacji, w czasie której Dąbrowska podtrzymała swoje zeznania, ja zaś powiedziałem jej w oczy, że kłamię. Była zmiążdżona moim zachowaniem. Absurdalna sytuacja, bo ona post factum, po pięciu latach od naszego ostatniego spotkania wciągnęła mnie do tajnej organizacji...

...ale przecież pod koniec 1945 roku pan się ujawnił, więc zerowa podstawa do aresztowania...

I tego się trzymałem. Przesłuchania, teraz prowadzone głównie przez oficera śledczego Jana Dyducha (pamiętam jeszcze jednego, Jana Pugacewicza), wcale nie zmierzały do wyjaśnienia spraw z 1945 roku. Tam nie było żadnej tajemnicy. Im chodziło o to, żeby znaleźć jakieś zaczepienie, jakiś powód do szantażu. Więc znów pisanie życiorysów, znów szczegółowe pytania o „Żegotę”, o komórkę więzienną, która podlegała strukturom kontrwywiadu, ale zajmowała się Pawiakiem... Straszny schemat, nużący, dokuczliwy przez nudę i głupotę, trzeba było się rozweselić. Dyduch zaczyna kolejne przesłuchanie. Imię, nazwisko, ojciec, matka... Mówi: – Wasz ojciec urzędnik, matka urzędniczka, a dziadkowie kto? – Po ojcu czy po matce? – Po ojcu. – Chłopi małorolni. – A po matce? – Dziadek kolejarz, babka – nauczycielka ludowa. – Czyli inteligencja! – mówi Dyduch i zapisuje. – Czy mogę o coś zapytać, panie poruczniku? – Pytajcie! – Pan jest młodym mężczyzną, oficerem, pochodzi pan zapewne z rodziny robotniczej albo chłopskiej, bo taka jest kadra tego ministerstwa... Ma pan obrączkę. Żonaty. Będzie pan miał dzieci, ładne, rozsądne, starannie wychowane... – No i co? – I czy nie sądzi pan, że one będą dziećmi intelligen-

ta w pierwszym pokoleniu, tak jak ja?... Dyduch zastanowił się i oświadczył: – Pierdolony z was filozof...

Szukali, uparczywie szukali jakiegoś punktu zaczepienia. Co wiem o „Mieczu i Pługu”? Wiedzieli, że w ramach obowiązków w BIP zajmowałem się niektórymi organizacjami pravicowymi, które się nie podporządkowały Komendzie Głównej AK. Jakich znalazłem ludzi z „Miecza i Pługa”? Wyjaśniam, że moim zadaniem było analizowanie ich prasy, programów, nie zaś obserwacja ludzi. Tym zajmował się II Oddział. Ale znam jedno nazwisko. – Jakie? – Roman Bratny, czyli Mularczyk, redaktor „Dźwigarów”... Pada pytanie: – Jak Komenda Główna AK oceniała „Miecz i Pług”? – Jako organizację faszystowską! – odpowiadam. – Jako faszystów, ale to może być jednostronny, subiektywny punkt widzenia. – Jak to rozumiecie? – No, bo słyszę, że panowie oceniają AK jako organizację faszystowską... Więc my mogliśmy popełnić omyłkę i panowie też mogą się mylić... Śledczy coś tam notował. Po zakończeniu przesłuchania dostaję protokół, dosyć wierny, ale bez wzmianki o Bratnym. – Panie poruczniku, przecież tutaj brakuje... – A dajcie wreszcie spokój temu Bratnemu – powiedział stanowczym tonem śledczy. Mówię: – Panowie mnie pytali, kogo znam, nie narzucałem się z informacjami, ale powiedziałem, co wiedziałem... I dlatego w aktach IPN nie ma moich zeznań obciążających Bratnego aktywisty PPR i PZPR, znanego w środowisku literackim, bo śledczy nie umieścił ich w protokole, na rozkaz przełożonego. A sprawa „Miecza i Pługa” miała dalszy ciąg...

Z kim pan siedział w celi?

Ze Sławkiem Cergowskim, prawnikiem, synem pułkownika Jana Szczurka-Cergowskiego. Siedział, bo ojciec siedział. A w jednej z sąsiednich cel siedział też brat Sławka. Potem wprowadzono trzeciego... A w celi to ważne, kim jest ten trzeci. Ja wiedziałem i Sławek wiedział. Trzeci może szkodzić... A tym trzecim okazał się czarujący, inteligentny, dowcipny pan Feliks Świątek, przed wojną naczelnik wydziału w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, specjalista od Organizacji Ukraińskich Nationalistów. Fanfan Tulipan pierwszej kategorii. W czasie urlopu brał plecak i wędrował po wsiach ukraińskich. Bardzo ciekawie o tym opowiadał. Dzięki niemu poznałem szczegóły zabójstwa ministra Pierackiego... Przed wojną zwalczał OUN i teraz w śledztwie twierdził, że powinien być na-

grodzony, bo działał przeciw szowinizmowi ukraińskiemu, antyradzieckiemu i antypolskiemu. Chcieli go wrobić w akcje przeciwko Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy...

...której kierownictwo zostało rozstrzelane w ZSRR z oskarżenia – najczęściej – o szpiegostwo na rzecz Polski.

No tak... Ale KPZU zajmował się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych inny referat, jego pracownicy już nie żyli, więc pan Feliks mógł podać ich nazwiska i powiedzieć prawdę, że on tropił ukraińskich nacjonalistów, którzy strzelali do komunistów... Skazano go na piętnaście lat z artykułu za faszyzację kraju... Sławek Cergowski pracował potem w spółdzielczości mieszkaniowej. Był w pewnym sensie współpracownikiem mego przyjaciela Wiesława Chrzanowskiego.

A co z pana sprawą?

Ja sobie siedziałem. Czyli nic z moją sprawą. Ożywiła się w kwietniu 1952 roku. Mieli bałagan w dokumentacji, nie mogli rzekomo znaleźć świadectwa mego ujawnienia z 1945 roku, na które wciąż się powoływałem. Po konfrontacji z Dąbrowską, która uparcie podtrzymywała swoje zeznania, zażądałem konfrontacji z Gutowskim. Powiedziano mi, że to niemożliwe, bo Gutowski jest w innym areszcie, nie mają możliwości doprowadzenia go. To było kłamstwo, siedział na Rakowieckiej. Uważali widać, że Dąbrowska wystarczająco dobrze wykonała zadanie. Dostałem akt oskarżenia podpisany przez nieznanego mi prokuratora Boguckiego. To było 20 kwietnia. Na dokumencie znajdowała się notatka napisana czerwonym ołówkiem przez przelożoną Boguckiego, coś w rodzaju: ...zawierdam, ale proponuję zmianę artykułu x na artykuł y, przy czym oba artykuły dotyczyły działalności szpiegowskiej. Podpisała pani pułkownik Helena Wolińska, ówczesna towarzyszką życia generała Witolda Józwiaka, wiceministra bezpieczeństwa. Zapoznała się i zatwierdziła.

Proces odbył się w świetlicy więziennej. Na ścianie orzeł z papier-mâché, stół, fotele ogrodowe. Wszedł sąd, w mundurach wojskowych. Przewodniczący rozkłada teczkę. Obrońcą był znany mi z widzenia Zygmunt Gross, przyzwoity człowiek, mąż Hanki Szumańskiej z BIP, córki mecenas Szumańskiego, socjalisty, wybitnego obrońcy politycznego, który zginął w Auschwitz. Hankę poznałem przez Antoniego Szymanow-

skiego w 1943 roku, zdaje się, że trochę pomogłem w wyciągnięciu jej matki z Pawiaka. Gross podszedł do mnie: – Jestem pańskim obrońcą z urzędu... – Panie mecenasie, czy zna pan akta? – Bardzo powierzchownie... Mogłem je tylko przejrzeć... Obok stał oddziałowy. Pytam, czy możemy odejść parę kroków. Na prośbę Grossa sędzia godzi się na jego rozmowę z klientem. Szepczę więc: – Panie mecenasie, niech pan serdecznie pozdrowi panią Hanię... Ona panu o mnie powie... Ja się do niczego nie przyznaję, jestem niewinny, nie byłem żadnym szpiegiem. Zeznania świadków są całkowicie zelgane. Oni ratują własną skórę... Pokiwał głową.

Pamięta pan sędziów?

Przewodniczącym był kapitan Piotr Adamowski, przedwojenny prawnik, w sądownictwie wojskowym od 1944 roku, jeden z bardziej produktywnych... Po prawej i lewej stronie zasiedli podoficerowie. Na sali siedziało kilku ziewających ubeków w cywilnych ubraniach, kilku strażników więziennych. Wprowadzono Dąbrowską. Zeznała, nie patrząc na mnie, że w czasie naszych rozmów w 1945 roku byłem świadom, w jaki sposób – wywiadowczy – ona zużytkuje informacje, które jej przekazywałem.

Gross robił, co mógł, wykazując, że w rozmowach z Dąbrowską nie przekazywałem tajemnic państwowych, bo takich nie znałem, wyrażałem tylko swoje osobiste poglądy. Wie pan, to dla mnie było i wciąż jest pouczające, że trzech sędziowie Wojskowego Sądu Rejonowego, prawdziwi Polacy, rdzenni, pszenno-buraczani, dali mi długoletni wyrok za urojone szpiegostwo, a bronił mnie odważnie mecenas Zygmunt Gross, Polak średnio prawdziwy, bo przedstawiciel polskich elit inteligenckich pochodzenia żydowskiego.

Proces trwał nie dłużej niż godzinę. Prokurator zażądał dziesięciu lat więzienia, na co ja w ostatnim słowie powiedziałem: – Wysoki sędzie, jestem całkowicie niewinny. Od chwili ujawnienia się nie popełniłem żadnych czynów karalnych, czego najlepszym dowodem jest to, że półtoraroczny areszt śledczy w MBP zakończył się wypuszczeniem mnie na wolność. Obecne oskarżenie opiera się na kłamliwych zeznaniach świadka. Proszę więc o stosowne orzeczenie, nie odnoszę się wszakże do wymiaru kary, po pierwsze dlatego, że czuję się niewinny, a po drugie dlatego, że wysoki urząd prokuratorski (tu ukloniłem się prokuratorowi Boguckiemu) uznał za stosowne zażądać dla mnie dziesięciu lat więzienia, podczas gdy

pierwszej nocy po aresztowaniu kapitan Piotr Tymiński z MBP zapowiedział, że właśnie tyle dostanę. Ta zbieżność poglądów doświadczonego oficera śledczego i wysokiego urzędu prokuratorskiego zwalnia mnie od wszelkich dyskusji czy polemik... Gross pogratulował mi wystąpienia. Widywałem go potem, spotykaliśmy się i w Warszawie, i w Stanach Zjednoczonych, dokąd wyemigrował, wspominaliśmy te sprawy.

Tuż po rozprawie odprowadzono mnie do celi, zjadłem supkę, wołają mnie. Oficer śledczy pyta: – Skąd znacie nazwisko Tymiński? – A czy to nieprawda, że tak się nazywa? – Pytam, skąd znacie nazwisko Tymiński? – Z podpisu na protokole. – On wam pokazał swój podpis? – Nie, dostrzegłem przez przypadek – odpowiedziałem niezgodnie z prawdą. Miałem sposób: po podpisaniu przeze mnie protokołu i po podpisaniu go przez oficera nagle sobie przypominałem, że gdzieś tam nie złożyłem podpisu, z roztargnienia, ze zmęczenia, i w ten sposób mogłem poznać nazwiska oficerów.

A co z wyrokiem?

Po dwóch dniach, 29 maja 1952 roku, dano mi względnie odświeżone lachy cywilne, włożyłem je, pojechałem na Koszykową i przy drzwiach zamkniętych, bez udziału rodziny i bez udziału widzów, w siedzibie Wojskowego Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy przeczytano mi wyrok. Osiem lat więzienia i cztery lata utraty praw.

Wsadzono mnie do więźniarki. Tam spotkałem Józefa Gumowskiego i Edmunda Rosochackiego. Rozmowa szeptem, zanim ją przerwano... – Obaj dostaliśmy czapę... Jesteśmy od Korbońskiego... – Ja go znałem... – To przekaż, że my giniemy... Obaj zostali straceni w październiku 1952 roku.

W więzieniu na Mokotowie wezwał mnie oficer śledczy. – No, Bartoszewski, ile dostaliście? – Osiem lat. – No, widzicie, że nie dziesięć!

Zamknęli mnie w pojedynczej celi. Dzień był piękny, majowy, ptaki śpiewają, chodzę po celi zadowolony, że wreszcie skończyło się śledztwo, i podśpiewuję sobie. Nagle trzask, otwierają się drzwi, wchodzi oddziałowy: – A wy co? – Słucham, obywatelu oddziałowy? – Co wy, stary więzień, a śpiewacie, głupoty się was trzymają. – Przepraszam, panie oddziałowy, zapomniałem się, wiem, że nie powinienem. – Co znaczy – nie powinienem? Regulamin zabrania! – Dlatego przepraszam. – Wyrok żeście połączyli? – Tak. – Ile? – Osiem lat. – Za co? – Za rzekome szpiego-

stwo. – Ja bym się na waszym miejscu powiesił... – Panie oddziałowy, ja na pańskim miejscu także... I tak grzecznie się rozstaliśmy. On rozumiał, że akceptuję jego zachowanie, ja z kolei zrozumiałem, że on przyjął moje przeprosiny.

Napisał pan odwołanie?

Mecenas Gross napisał je w moim imieniu. Radził, bym je podpisał. Ja nie chciałem. Złożył je w sądzie ze swoim podpisem. Po kilku tygodniach Najwyższy Sąd Wojskowy zatwierdził wyrok.

Czy zeznawał pan jako świadek w innych sprawach?

Nie tyle zeznawałem, co złożyłem oświadczenie... Pewnego dnia, już po wyroku, zostałem zaprowadzony do zaimprovizowanej sali sądowej w gmachu więzienia mokotowskiego. Przewodniczący powiadomił mnie, że jestem wezwany w charakterze świadka i – jako skazany – nie będę składał przysięgi. Na sali pośród obrońców był mecenas Władysław Winawer, z którym później łączyła mnie przyjaźń.

Co to za sprawa?

Związana z „Mieczem i Pługiem”. Na ławie oskarżonych siedział Kazimierz Skorupiński, jeszcze parę osób, drugorzędni działacze... Spojrzałem na nich i zapytałem wysoki sąd, czy mogę złożyć oświadczenie. Sąd uprzejmie zezwolił. Powiedziałem tak: – Wysoki sądzie, czuję się w obowiązku, zgodnie z moim sumieniem i z prawdą, złożyć oświadczenie, że nie znam żadnego z obecnych tutaj oskarżonych. Nigdy w życiu nie spotkałem żadnego z nich, nie wiem, kim są, nie wiem, czym się zajmowali, i w ich sprawie nie mam nic do powiedzenia... Nieco skonfundowany sędzia przekazał mnie prokuratorowi, ale ja już widziałem błysk w oczach adwokatów. Zmiażdżyli oskarżenie... Z tej sprawy zyskałem przyjaźń Kazimierza Skorupińskiego i pochwalne opinie na mój temat wyniesione do miasta przez mecenas Winawera...

Jak wtedy, po wyroku, widział pan swoją przyszłość?

Z moich obliczeń wynikało, że opuszczę więzienie w 1957 roku. Oczekiwałem, że wkrótce wyślą mnie do Rawicza albo do Wronek. Stało się inaczej. W więzieniu przeprowadzano reorganizację związaną z rozbudową

i naczelnik Alojzy Grabicki, skądinąd postać nie za bardzo świetlana... Po 1990 roku Małgorzata Szejnert próbowała dowiedzieć się od niego, gdzie pochowano osoby rozstrzelane na Mokotowie. On nie miał, że wie. I nie powiedział. Odmówił. Ale wróćmy do 1952 roku... Więc naczelnik szukał więźniów, których mógłby zatrudnić w służbach technicznych. Wezwał mnie. – Za co jesteście skazany? – Z artykułu ósmego... – Za co? – Za rzekome szpiegostwo. – Rzekome? Nie ma rzekome, sąd was skazał! – Obywatelu naczelniku, czy obywatel naczelnik uważa, że gdybym był prawdziwym szpiegiem, tobym dostał osiem lat? – Może byliście takim mniejszym szpiegiem... Jesteście dziennikarzem. Znacie się na drukarstwie?... To stara, dobra zasada więzienna: jak cię pytają, czy znasz się na czymś, odpowiadaj, że tak... Na ogrodnictwie? Oczywiście! Na hydraulice? Oczywiście! Na drukarstwie? Akurat o drukarstwie miałem jakieś pojęcie.

I został pan drukarzem?

Najpierw przeniesiono mnie do innej celi, gdzie poznałem dwóch doświadczonych drukarzy: Leona Ślaninę, działacza Stronnictwa Narodowego, przed wojną był właścicielem zakładu poligraficznego na Śląsku, i Michała Paślawskiego – bardzo sympatyczny, skazany na dożywocie za fałszowanie dolarów. Dolarzy! To jest arystokracja wśród fałszerzy... Wcześniej był instruktorem szkolącym więźniów w Rawiczu. Mnie jakoś nie chciało się wierzyć jego opowieściom o tym, że wytwarzał fałszywe dolary dla podziemia, ale później sprawdziłem i rzeczywiście, okazało się, że współpracował w tej dziedzinie ze znanym krakowskim księgarzem Stefanem Kamińskim...

...który zorganizował drukarnię konspiracyjną w piwnicach pałacu Pokutyńskich w Krakowie, czy tak?

Zgadza się...

I co pan drukował?

Najpierw zostałem zecerem. Skład ręczny. Potem awansowałem na stanowisko szefa korekty. Kariera nieco ryzykowna, bo za pущenie błędu można było zapłacić przeniesieniem do Wronek albo do Rawicza... Drukarnia nr 3 Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Rakowieckiej 37 wykonywała zamówienia specjalne: druki ścisłego zarachowania, kar-

ty i listy wyborcze, bilety dla WKS „Gwardia”, cenniki, gdy przyszła zmiana cen, a także numerowane instrukcje dla aparatu bezpieczeństwa, tajne. Miałem zatem dostęp do interesujących informacji. Nie za darmo! Spozstrzegłem bowiem – i to jest druga strona medalu – że zdecydowana większość zatrudnionych w drukarni ma wyroki od piętnastu lat do dożywocia. Niebezpiecznie to wyglądało. Bo jeśli jako korektor zaznajamiałem się z tekstem ściśle tajnego dokumentu, to w interesie władz musiało leżeć jak najdłuższe przetrzymanie mnie – w obawie przed ujawnieniem tajemnicy. Proste! No, ale miałem pracę w nie najgorszych warunkach, wśród interesujących ludzi z Delegatury Rządu, ze sprawy „Startu”, z Brygady Świętokrzyskiej. Byli Niemcy, którzy odnosili się do mnie życzliwie, pamiętając, że udzieliłem im informacji o losie Engelsa, w więzieniu pamięta się o takich sprawach, i kryminaliści, też życzliwi, bo byłem koleżeński, nie nadymałem się. U Niemców miałem ksywę Maschinengewehr, karabin maszynowy, bo szybko mówiłem, kryminaliści nazywali mnie Zatopkiem – od mistrza biegów Emila Zatopka – bo wciąż biegałem... Szefem więźniów był znany wydawca i księgarz poznański Franciszek Rzynda, jego prawą ręką Franciszek Stemler z Delegatury Rządu, mój przyjaciel. Postanowiliśmy po cichu opanować drukarnię, przejąć rząd dusz, mniej więcej tak, jak to zrobili na przykład więźniowie polityczni w Buchenwaldzie, którzy zaczęli kontrolować kryminalnych... Wyraźne ślady naszych działań zachowały się w IPN, w dokumentacji Oddziału Specjalnego, który na podstawie zeznań konfidentów zorientował się, ku czemu zmierzamy. Jeśli idzie o mnie, to donosiciel zwracał uwagę na moje szczególne zainteresowanie oddziałem śledczym i egzekucjami. Co było zresztą zgodne z prawdą. Staralem się nawiązać kontakt z ludźmi siedzącymi w oddziale śledczym, wiadomości zaś o egzekucjach otrzymywałem od Niemców pracujących w drukarni, którzy w łaźni spotykali się z Niemcami wynoszącymi zwłoki po wykonaniu wyroków. Donosiciel, z zawodu dziennikarz, dziś już nie żyje, próbował odegrać pewną rolę w „Solidarności”, w 1981 roku. Znalazł się w kręgu Andrzeja Micewskiego, który miał za zgodą prymasa organizować wydawanie jakiegoś pisma o Solidarności Wiejskiej. Ostrzegłem.

Kiedy pan się dowiedział o śmierci Stalina?

Jak wszyscy! Mieliśmy dostęp do „Trybuny Ludu”, niekiedy też do „Przeglądu Sportowego”. Wiedziałem więc o coraz to nowych procesach

szpiegów imperialistycznych, o budowie Pałacu Kultury, o stoncie ziemniaczanej, o tym, jak bardzo naród polski kocha towarzysza Stalina, wstrząsające, przerażające były te akty holdownicze pisane przez niektórych dziennikarzy i literatów, wreszcie o tym, jak bardzo naród polski zmartwił się jego śmiercią, pogrążył w rozpacz. Wkrótce zacząłem robić korekty nowych instrukcji MBP, w których zalecano łagodniejsze traktowanie więźniów, na przykład zlikwidowano stanie z rękami do góry i twarzą do ściany...

Pewnego letniego dnia wyprowadzono mnie z celi. Na podstawie donosu do Oddziału Specjalnego zostałem ukarany skierowaniem do Rawicza. Dzięki pomocy lekarzy, jednym z nich był doktor Wiloch z procesu Tatara, znalazłem się na dziesięć dni w szpitalu. Obok leżał pułkownik Kostek-Biernacki. Potem wróciłem do celi – że tak powiem – macierzystej. Przed transportem ogolono mi głowę. Nagle inspekcja! Wchodzi naczelnik Grabicki: – A wy co? – Chcą mnie wysłać... – A ja kazałem inaczej! – oświadczył Grabicki... W ten sposób wróciłem do drukarni, gdzie spotkały mnie dwie przygody. Po pierwsze – jesienią 1953 roku zezwolono na organizację samorządu więźniarskiego. Zostałem wybrany na starszego celi, otrzymując sto procent głosów. Po wtóre – spotkałem inżyniera Skalskiego. Był to Żyd, członek PZPR, aresztowany za sabotaż czy jakieś malwersacje, już nie pamiętam. Przedwojenny inżynier mechanik, u nas obsługiwał maszyny drukarskie, kulturalny człowiek, nikomu nie wadził. Ale w drukarni jak to w drukarni, nie sama elita pracuje. Zaczęli mu dokucać, że Żyd i w dodatku partyjny. A ja tego nie lubię. Porozmawiałem z kilkoma więźniami, poradziłem, żeby przestali się wyglupiać. I przestali. Po jakimś czasie podchodzi do mnie Skalski. Mówi: – Wiem, co pan dla mnie zrobił. – Nic nie zrobiłem... – Czy mogę panu pomóc? Zdziwiłem się: – Pan? Mnie? – Mam znajomości... – Co, zwolni mnie pan z więzienia? – Ja pana nie zwolnię, ale może znajdzie się taki adwokat... – Nie wierzę w cuda... Mnie bronił Gross... – Gross nie ma siły. Nie jest pewny politycznie. – No to jak mi pan pomoże? – Zgłosi się do pana adwokat Jerzy Mering... – Ale ja nie mam pieniędzy! – On to robi bez pieniędzy...

I rzeczywiście. Pewnego dnia zaprowadzono mnie na widzenie z mecenasem Meringiem, który widząc, że strażnik ma zamiar przysłuchiwać się naszej rozmowie, po prostu wyrzucił go za drzwi: – Co, nie wiecie, że adwokat ma prawo rozmawiać z więźniem na osobności? Wynoście się!...

Mering, jeden z radców prawnych Komitetu Centralnego PZPR, napisał do Naczelnego Prokuratora Wojska Polskiego podanie o rewizję w trybie nadzoru sądowego...

„Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia 29 maja 1952 [...] został oskarżony Władysław Bartoszewski skazany na karę 8 lat więzienia z mocy art. 8 dekretu z dnia 16 listopada 1945 roku o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa. Wyrok powyższy uważam za niesłuszny z powodu obrazy istotnych przepisów prawa materialnego i procesowego...”.

To był dopiero pierwszy krok... Tymczasem jednak wiosną 1954 roku przewieziono mnie do Rawicza. Tam okazało się, że jestem chory na gruźlicę, a mój kolega pracujący w izbie chorych Andrzej Ciechanowiecki odpowiednio spreparował wyniki badań, dodając mi kilka ciężkich chorób. Po dziesięciu tygodniach zostałem przewieziony do więzienia w dolnośląskim Raciborzu. A tam panował sojusz strażników więziennych z więźniami z SS i UPA. Katastrofalna sytuacja dla polskiego inteligenta z AK. Przez parę dni pracowałem przy szyciu mundurów, potem byłem w celi chorych na gruźlicę.

I oto niespodziewanie 16 sierpnia 1954 roku opuszczam więzienie na roczną przerwę z powodu stanu zdrowia. Mecenas Mering biegał w tym czasie jak mrówka. Moja sprawa nabrała przyśpieszenia. 2 marca 1955 roku Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego uznało, że byłem bezpodstawnie aresztowany i bezpodstawnie skazany.

Mówiąc krótko: przywrócone dziewictwo!

9. „PAŹDZIERNIK” – CZAS PRZEMIAN

NA PROCES WIODĄCY KU PAŹDZIERNIKOWI PATRZYŁEM JAK NA SERIĘ ZJAWISK POŻĄDANYCH. ZASTANAWIAŁEM SIĘ JEDNAK, W KTÓRYM MOMENCIE NASTĄPI KRES PRZEMIAN.

Pierwsze kroki na wolności...

Przez Kraków do Zakopanego. W Krakowie spotkałem Kazimierza Ostrowskiego, Jadwigę Beaupré, Adama Dobrowolskiego. Bardzo mi wtedy pomagali. Materialnie, choć to słowo nie wyczerpuje istoty sprawy. Ostrowski był moim przyjacielem. Lubił mnie. W życiu jest tak, że albo się kogoś lubi, albo nie lubi, niekiedy bez uświadomionych przyczyn. Był moim przyjacielem, ale oprócz tego był mi wdzięczny za milczenie. O jego działalności w „Nie” wiedziały tylko dwie osoby... Goldman i ja. I nikt inny o tym się nie dowiedział... Jadwiga Beaupré, mówiłem już o niej, kapitan AK, doktor medycyny, córka wybitnego działacza PPS, mąż zginął w obozie. Wciąż była żołnierzem AK, kiedyś mi powiedziała, że gdyby jej ojciec żył i widział to wszystko, toby sobie życie odebrał. A jednocześnie jako polska inteligentka, jako lekarz-społecznik, tworzyła pierwsze placówki ginekologiczno-położnicze w Nowej Hucie, wzorcowym mieście PRL. Moje kontakty z Jadwigą Beaupré były bacznie obserwowane przez Służbę Bezpieczeństwa, o czym mówią akta w IPN. Adam Dobrowolski znalazł sobie miejsce w Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług, był radcą prawnym. Zrzeszenie miało dom wypoczynkowy w Zakopanem. I właśnie tam pod koniec września 1954 roku usłyszałem pierwszy raz w życiu audycję Radia Wolna Europa.

Wyznania pułkownika Józefa Światły?

Tak. I zrozumiałem, że coś się zaczyna dziać. Coś nowego... Podleczyłem gruźlicę, na szczęście w stadium początkowym, i ruszyłem do Warszawy.

Poznał pan swoje miasto?

To był wstrząs. Znalazłem się w obcej przestrzeni.

To samo powiedział mi Gustaw Herling-Grudziński, kiedy po raz pierwszy – bodaj w 1992 roku – przyjechał do Warszawy. Pospacerował sobie Świętokrzyską, której obraz przechowywał w pamięci od 1939 roku, przyszedł do mnie zdenerwowany, poszarzały i krzyczał: – Słuchaj, to nie jest moje miasto!

Ja się nawet ucieszyłem, że jest MDM, że wreszcie Marszałkowska jest szeroką arterią, że odbudowują Stare Miasto i że są nowe domy na Mirowie i Muranowie, ale kompletnym szokiem, z którego nie mogłem się wydobyć przez długi czas, a na dobrą sprawę po dziś dzień, był widok podarku, widok Pałacu Kultury. Czulem się przygnieciony.

A ja się cieszyłem, że mamy w Warszawie drapacz chmur, jak w Ameryce...

Dla mnie to był symbol obcego władztwa nad Warszawą, coś gorszego niż sobór wzniesiony na placu Saskim, potężna, imperialna świątynia prawosławna. Bo świątynia, to świątynia, jeśli ktoś jest innego wyznania, to nie musi jej zauważać. Ale Pałac Kultury został zaplanowany jako centrum życia kulturalnego, naukowego, duchowego. Miał być dominującym elementem tej nowej, obcej przestrzeni, w której ludzie zachowują się inaczej, według dyktatu... Więc szedłem przez miasto w poczuciu obcości, czując, że ten wielki gmach postawiony w środku miasta, na wielkim pustym placu, pozbawiony środowiska, pozbawiony zaplecza społecznego w postaci siatki starych warszawskich ulic, będzie zmieniał zachowania ludzi... I niestety miałem rację, choć też nie do końca, jak to w życiu bywa. Wyszedłem na Nowy Świat.

Kiedy to było?

Tuż przed Wigilią 1954 roku.

Czyli już po likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i utworzeniu Komitetu do spraw Bezpieczeństwa... Ciekawe, że „odwilż” w Polsce zaczęła się wraz z nadejściem mrozów...

To były dopiero początki, skromne początki zmian...

A przeczytał pan wtedy *Odwilż* Ilji Erenburga?

Przeczytałem. Zapamiętałem. I to, co teraz opowiem, właśnie Erenburg opisał, choć w scenerii rosyjskiej, a nie polskiej... Szedłem Nowym Światem, a znajomi, przelotni znajomi, znajomi z widzenia, tacy, którym mówi się dzień dobry, może nawet bliżsi, starali się mnie nie zauważyć...

Przechodzili na drugą stronę ulicy?

Niektórzy... Ale tylko jeden człowiek – słownie jeden, przeszedł na moją stronę. Lucjan Wolanowski, który wtedy był chyba w PZPR, pracował w tygodniku „Świat”, podszedł do mnie, uklonił się. – Nie wiem, czy pan mnie jeszcze pamięta? – Tak, poznaję... A on rzeczowo zapytał: – Bili pana? Wiedziałem, że Wolanowski jest przyzwoitym człowiekiem, wiedziałem to od Jacka Woźniakowskiego, chodzili do tej samej szkoły... I zaczęliśmy rozmawiać o rewelacjach Światły, śledztwach, pierwszych zwolnieniach... To był jedyny przypadek, więc wrył mi się w pamięć. Pomyślałem wtedy, jak głęboko przeorana została Polska przez te pięć lat, od 1949 roku. Tak głęboko, że część ludzi przystosowała się, część udaje, że się przystosowała, trudno zaś odróżnić jedno od drugiego, to co prawdziwe, od tego co udawane... To zaczęło się później zmieniać, po XX zjeździe KPZR, po śmierci Bieruta, ale wtedy wszystko trwało w jakimś lękowym niedopowiedzeniu...

I znów zaczął pan szukać dla siebie miejsca?

Najpierw chciałem się dowiedzieć, czy takie miejsce w ogóle istnieje... Zacząłem od księgarni, gdzie kupiłem kilkadziesiąt broszur, reportaży, sprawozdań z procesów, komentarzy pisanych przez Romana Werfla, Kazimierza Koźniewskiego, Stefana Arskiego, z którym zresztą utrzymywałem potem miłe, koleżeńskie relacje, i innych, skądinąd autorów poważnych książek historycznych czy reportażowych. To były takie mieszaniny: z jednej strony, gdy mowa o ZSRR, PZPR i tak dalej, ton hagiograficzny, z drugiej zaś, gdy mowa o Zachodzie, a przede wszystkim USA, ton zaja-

dłej nienawiści. Strona jasna, anielska, i strona czarna, demoniczna, AK pośród sług diabelskich. Czyli w tej przestrzeni, przestrzeni działań publicznych, dla mnie miejsca nie było... Byłem obcy.

Naturalne środowisko koleżeńskie złożone z rówieśników? Takiego nie miałem. Z mojej klasy maturalnej zostały niedobitki. Większość moich kolegów, znajomych, przyjaciół to byli ludzie starsi ode mnie, których poznałem w konspiracji, jak dla przykładu Stanisław Płoski czy Kazimierz Kumaniecki, albo w więzieniu, jak mecenas Witold Lis-Olszewski... Oczywiście dzięki nim mój krąg znajomości stale się poszerzał. W domu Kumanieckiego, który wtedy był już prezesem Międzynarodowej Unii Cyce-roniańskiej, bywali Parandowscy, bywał Andrzej Szczepkowski, ich zięć, bywał znany archeolog profesor Kazimierz Michałowski. Przez Danutę Bańkowską, która wyszła po odsiedzeniu dziewięciu lat, poznałem Halinę Sosnowską, o której już wspominałem, a z kolei przez nią Henryka Józewskiego, komendanta POW na Ukrainę, w latach 1930–1938 wojewodę wołyńskiego, artystę-malarza, bardzo interesującego człowieka, promotora porozumienia polsko-ukraińskiego.

Bańkowska była niepospolicie dzielną kobietą. Kiedy w czasie procesu w 1947 roku prokurator powiedział, że działała w WiN jako ziemiańska córka z obszarniczej rodziny, z pobudek nienawiści klasowej, sprostowała w ostatnim słowie, że działała wyłącznie z nienawiści do Związku Sowieckiego. Powiedziała to na sali sądowej przy publiczności i dziennikarzach...

W styczniu 1955 roku miał pan status więźnia zwolnionego na roczny urlop zdrowotny...

Mecenas Mering bardzo się starał, aby to zmienić. Spotykałem się z nim, a nawet przekazałem mu honorarium, choć wcale się tego nie domagał. Nie chciałem być dłużnikiem... Przy okazji poleciłem mu paru moich kolegów z więzienia. Pomógł więc w wyciągnięciu z więzienia Andrzeja Ciechanowieckiego i Franciszka Stemlera. Bywałem u niego w domu, poznałem jego bardzo przystojną żonę, pianistkę, i dwoje dzieci. Wyemigrował do Izraela w 1957 roku. Po latach spotkałem go w zadziwiających okolicznościach, ale o tym opowiem później... Tak więc 2 marca 1955 roku Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego uznało, że zostałem skazany bezprawnie... Musiało minąć pół wieku, abym dowiedział się – dzięki Instytutowi Pamięci Narodowej – że bezpośrednim pretek-

stem aresztowania mnie w 1949 roku był donos! „Bartoszewski Władysław, b. zaufany człowiek Mikołajczyka [...] w rozmowach namawiał mnie do wyjazdu za granicę, twierdząc, że sytuacja w kraju będzie coraz ostrzejsza, że dla nas nie ma tu wyjścia. Mówił mi, że nawiązał jakoby kontakt z Mikołajczykiem za granicą, ma tam zapewniony przez niego byt i warunki materialne, chodzi tylko o to, żeby się tam przedostać. W tej chwili jest w trakcie likwidacji swoich spraw osobistych w kraju i przygotowuje się do ucieczki. Jestem zdania, że przerzut, który sobie zapewnił, jest pewny na 100%. Zamierza wyjechać najdalej w ciągu dwóch, trzech tygodni. Jedzie z żoną, prócz nich chce jechać jakaś trzecia osoba, ale nie wyjawil nazwiska. Akcja prowadzona jest raczej z tamtej strony, z zagranicy”. Brednie! Zupełne zmyślenie. No, ale jesteśmy w 1955 roku...

Z czego pan żył?

Pomagali mi przyjaciele z Krakowa, o tym już mówiłem. Dostawałem „kopertówki” od Kazimierza Kumanieckiego, potem wyplacono mi odszkodowanie, sumę może nie powalającą, ale znaczną... W sierpniu 1955 roku zostałem kierownikiem redakcji wydawnictw fachowych Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich... Wciągnąłem do tej pracy Danutę Bańkowską, która nie miała żadnych środków utrzymania.

12 sierpnia 1955 roku Służba Bezpieczeństwa założyła panu „sprawę ewidencyjno-obszaryjną”. Uzasadnienie: „Po wyzwoleniu z polecenia centrali WiN zorganizował własną siatkę wywiadowczą. Przy jej pomocy rozpracowywał Radę Ministrów, KC PPR, »Czytelnika«, przemysł, stosunki handlowe z ZSRR. Brał udział w zamachach na czołowych działaczy Partii i rządu. W okresie pobytu Mikołajczyka pracował w NKW PSL jako red. tech. »Komunikatów« oraz w »Gazecie Ludowej«. Był kilkakrotnie aresztowany, a następnie skazany na 8 lat więzienia. Obecnie zwolniony [...]”. Ciekawe...

Że wzięli mnie pod obserwację? No, wzięli... Chcę, żeby pan dobrze zrozumiał. Cieszyłem się z „odwilży”. Z tego, że ludzie wychodzą z więzień. Że poszerza się zakres wolności. Że będzie można robić coś pożytecznego. Że XX Zjazd jednak coś przełamał. Że w Poznaniu klasa robotnicza wypowiedziała posłuszeństwo reżimowi pod hasłem „Chleba i wolności”, świadomie, wiedząc, że jedno idzie z drugim. Życzliwie przy-

glądałem się działalności „Po prostu”, rozumiałem nadzieje młodych socjalistów, takich jak Jan Olszewski i Jan Józef Lipski, ale po lekcji więziennej, po dogłębnym zaznajomieniu się z systemową dialektyką niewiele było we mnie entuzjazmu. Na proces wiodący ku Październikowi patrzyłem jak na serię zjawisk pożądaných, zastanawiałem się jednak, w którym momencie nastąpi kres przemian. Moje koleżanki przybiegły do mnie po wiecu pod Pałacem Kultury. – Władku, dlaczego tam nie byłeś? Ty!? – Nie byłem, bo już po obiedzie! – To było niezwykle! – Ale już się skończyło!... A po roku, może po dwóch latach, kiedy Gomułka wyrzekł się wszystkiego, co obiecywał w Październiku, koleżanki zapytały: – Skąd wiedziałeś?

Co nie znaczy, że poddałem się rezygnacji. Zacząłem się zastanawiać, czy nie pora zacząć pisać prawdę o Armii Krajowej? Ale jak się do tego zabrać? Jak działać? Nie szabelką, jak Wołodyjowski, nie męczeństwem, jak Jan Skrzetuski, ale fortem, fortem... Dostrzegli to oficerowie SB, bo z ich zapisów zachowanych w IPN wynika, że uważali mnie za człowieka wielkiej przebiegłości...

Podobno dokumentacja Bartoszewskiego w IPN liczy kilkanaście metrów...

Uzbierało się.

Czytał pan donosy kolegów z celi, donosy współpracowników, znajomych, ludzi, którym pan ufał?

Czytałem.

I co?

Ludzie zachowują się albo przyzwoicie, albo nieprzyzwoicie. I to jest podział elementarny. Nauczyło mnie życie, że ludzi nie wolno oceniać wedle ich sympatii czy poglądów politycznych, ale według kryterium prawości. Idzie o siłę oporu przed pokusami. Że ktoś był więźniem politycznym, to wcale nie znaczy, że uzyskał od losu patent na szlachetność. Siedziałem z członkami Narodowych Sił Zbrojnych, z socjalistami, z piłsudczykami, z ludowcami, z ludźmi, którzy przed wojną zajmowali poważne stanowiska, i z chłopcami, którym zdarzyło się opowiedzieć dowcip o Stalinie... Czytając moje teczki, zastanawiałem się nad motywacjami tych, którzy

donosili. Był tam pewnie jakiś procent ludzi z odchyleniami psychicznymi. Byli też ludzie słabi, złamani. Byli też nikczemni... Trzeba rozróżniać. Dla przyzwoitości.

1 lipca 1956 roku opublikował pan na łamach tygodnika „Stolica” pierwszy odcinek cyklu „Z notatek kronikarza 1939–1944”. Z kolei tygodnik „Świat” redagowany przez Stefana Arskiego zaczął drukować pańską *Kronikę Powstania Warszawskiego*. Rok później kronika *Dni walczącej stolicy* ukazywała się na łamach „Expressu Wieczornego”...

W tygodniku „Stolica” pracował Teofil Syga, mój kolega z „Gazety Ludowej”. Zwrócił mi uwagę, że w redakcji prócz młodzieutkiego redaktora naczelnego Dobrosława Kobielskiego nie ma członków PZPR, są natomiast tacy ludzie, jak Marek Sadzewicz, przedwojenny dziennikarz, w kampanii wrześniowej oficer Samodzielnej Grupy Operacyjnej Polesie, Zbyszek Grzybowski, też oficer Września, fotografik Eustachy Kossakowski, żołnierz AK, fotografik Tadeusz Rolke, żołnierz powstania... „Stolica” wychodziła od 1946 roku, całkowicie apolityczna, w czasach stalinowskich zajmowała się odbudową Starówki, fasadami domów na Mariensztacie, rekordami „trójek” murarskich, z jakimś drobnym pensum ideologicznym w postaci dwóch–trzech uroczystych fotografii... Syga mówi: – Spróbuj coś napisać, ja zaniosę... Napisałem tekst o 3 maja 1943 roku, o podłączeniu się ludzi z „małego sabotażu” do megafonów niemieckich z przemówieniem patriotycznym... Wkrótce poznałem redaktora naczelnego. Sympatyczny młody człowiek z inteligenckiej rodziny. Potem zrobił karierę w RSW Prasa, ale to już inna opowieść. W każdym razie w styczniu 1957 roku zostałem członkiem redakcji „Stolicy”. Dyrektorem wydawnictwa był Stanisław Błotnicki, warszawiak uratowany przez „Żegotę”, który zadbał o przyzwoite dla mnie uposażenie, wysokie wierszówki. Dzięki temu mogłem kupić porządne buty, bieliznę, a nawet kilka garniturów. Miałem satysfakcję, dowiadując się, że moje teksty o AK, o Powstaniu Warszawskim, o powstaniu w getcie, o likwidacji „szmalcowników” mają odzew. – Który to Bartoszewski? – A ten z BIP, co siedział, co nie pękał... Dochodziły do mnie echa z kraju i z zagranicy, z Ameryki, przez czwarte czy piąte usta, że pamiętają o mnie Korboński i Bagiński, i z Izraela, że to ten z „Żegoty”... W 1957 roku wydaliśmy nakładem „Stolicy” zeszyt pt. *Powstanie Warszawskie w ilustracji* w nakła-

dzie stu tysięcy egzemplarzy. Były z tym pewne kłopoty, bo cenzor zażądał zmiany podpisów pod niektórymi zdjęciami i wprowadzenia fotografii oddziałów ludowego WP, które weszły do Warszawy w styczniu 1945 roku. Ponieważ byłem podpisany jako autor, zaproponowałem cenzurze współautorstwo. Na kolejnej odbitce wpisałem obok swojego nazwiska nazwisko cenzora. Zrobiła się z tego piekielna awantura, którą załagodził Kobielski. W efekcie zeszyt wyszedł bez nazwiska autora, jako opracowanie zbiorowe.

W sierpniu 1957 roku opublikował pan obszerny artykuł o Powstaniu Warszawskim na łamach „Tygodnika Powszechnego”...

Dwie bite kolumny... „Tygodnik Powszechny” przekazany w 1953 roku Piaseckiemu powrócił w prawowite ręce Jerzego Turowicza jesienią 1956 roku. Pierwszy numer wyszedł na Boże Narodzenie. Byłem wtedy w Krakowie, rozmawiałem z Turowiczem i Woźniakowskim o ewentualnym zatrudnieniu. Jakoś nic z tego nie wyszło, ale zachęcali mnie do pisania. Duchem i sercem byłem z nimi. W artykule, o którym mowa, udało mi się przepchnąć informację o sowieckich odezwach wzywających lud Warszawy do natychmiastowego rozpoczęcia powstania. Cenzorka w Krakowie puściła to, bo reagowała właściwie: jak radzieckie – to dobre. Wyrzucano ją z pracy, a jeśli o mnie idzie, to wzbudziłem po raz kolejny zainteresowanie SB, czego są ślady w archiwach... Do „Tygodnika Powszechnego” pisałem sporo, niekiedy pod własnym nazwiskiem, niekiedy jako Teofil Cichocki, w końcu zostałem nieoficjalnym przedstawicielem redakcji w Warszawie. W tym czasie zaprzyjaźniłem się ze Stefanem Kisielewskim, poznałem jego żonę i dzieci. O naszych relacjach sporo Kisiel napisał w swoich *Dziennikach*, więc nie ma chyba sensu powtarzać.

W 1958 roku został pan sekretarzem redakcji „Stolicy”.

Nastąpiła zmiana redaktora naczelnego. Dobrosław Kobielski zaczął wspinać się po szczeblach kariery w RSW Prasa, a na jego miejsce przyszedł Leszek Wyszacki, dziennikarz partyjny, działacz PZPR, nie zajadły, ale nakręcany przez żonę, która w późniejszych latach, jako ważna osoba w „Walce Młodych”, zyskała sobie opinię „moczarówów”. Wyszacki nie lubił się przepracowywać, robił to, co konieczne, ale redakcji sobą nie obciążał. Dzięki temu mogłem powoli, acz konsekwentnie zacząć zmieniać

profil tygodnika. Pojawili się nowi autorzy. Pojawily się znaczące nazwiska: Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Zawieyski, Leopold Buczkowski, Kazimierz Truchanowski.

A w tym czasie doszło do trzech wydarzeń, które miały zaważyć na moich dalszych losach. W 1958 roku z okazji piętnastej rocznicy powstania w getcie przyjechała do Warszawy delegacja izraelska. Na jej czele stała Cywia Lubetkin z Żydowskiej Organizacji Bojowej, która wyszła z getta 8 maja 1943 roku kanałami, żona Antka Cukiermana. Nie znałem jej, ale siłą rzeczy przez „Żegotę” mieliśmy wspólnych znajomych. W ogóle w czasie okupacji starałem się spotykać z ludźmi o tyle tylko, o ile było to konieczne. Nauczono mnie, że rozmowy trzeba przełożyć na po wojnie, w kawiarni. Traktowałem to bardzo serio. Efekt był taki, że dużo wiedziałem o ludziach, z którymi się osobiście nie spotykałem. Wiedziałem i starałem się zapamiętać, dla ich i własnego bezpieczeństwa.

Cywia poprosiła posła izraelskiego Katriela Katza o listę gości zaproszonych na przyjęcie i spostrzegła, że nie ma na niej mojego nazwiska. – Dlaczego nie ma Bartoszewskiego? Czy coś się z nim stało? Nie żyje?... Posel zwrócił się do Żydowskiego Instytutu Historycznego, gdzie mnie znali, bo przychodziłem, rozmawiałem... Tak więc zostałem zaproszony na przyjęcie. A kiedy tam wszedłem, Cywia i jej koleżanki rzuciły się ku mnie, wzruszone, zaczęły całować... Od tej pory w moim mieszkaniu zaczęli pojawiać się przyjeżdżający z Izraela historycy, poznałem Israela Gutmana, Abę Kownera, Chaję Lazar, działaczkę syjonistycznej prawicy, odnowiłem kontakty z Adolfem Bermanem, który w Izraelu wstąpił do partii komunistycznej. Wkrótce zacząłem wygłaszać wykłady i prelekcje na temat działalności „Żegoty” i stosunków polsko-żydowskich. Występowałem w Krakowie, w Warszawie, między innymi dwukrotnie w Klubie Krzywego Koła na zaproszenie Jana Józefa Lipskiego.

Wydarzenie drugie to raczej ciąg wydarzeń związanych z tygodnikiem „Stolica”. Na piętnastą rocznicę Powstania Warszawskiego zacząłem umieszczać setki fotografii powstańców, wedle rzeczywistych proporcji, czyli że większość z AK, z Armii Ludowej zaś odpowiednio mniej, zgodnie z prawdą, co wywołało zgorznienie w Biurze Prasy KC. Przeprowadzili rozpoznanie i doszli do wniosku, że redakcją rządzi Bartoszewski. W związku z tym pretensje do Wysznackiego. Ten zaś, zapewniając, że mnie lubi, szanuje, zaczął prosić, żebym się nie wychylał.

Obiecał pan poprawę?

Obiecałem poprawę. Poprawę względną. Fortele, fortele...

A tymczasem ZBoWiD wydał panu książkę...

Bez mojej wiedzy, bez zgody. W „Stolicy” w 1957 roku opublikowałem teksty poświęcone Palmirom. Oni to wydali w formie książkowej, wiedząc zresztą, że nie garnę się do ich organizacji z przyczyn zasadniczych. Fortele fortelami, ale trzeba pamiętać o granicy, której nie należy przekraczać. I właśnie na temat tej granicy wygłosiłem parę słów w „Tygodniku Powszechnym”.

Otóż w Krakowie odbywało się doroczne spotkanie pracowników i współpracowników „Tygodnika”. A trzeba pamiętać, że z „Tygodnikiem Powszechnym” byli związani posłowie „Znaku”. Ściśle współpracowałem z redakcją, prowadziłem cotygodniowe zebrania w mieszkaniu Anieli Urbanowiczowej z Klubu Inteligencji Katolickiej, przychodzili tam Zofia Lewinówna, Hanna Szczypińska, Jerzy Narbutt, Władysław Terlecki, natomiast w zasadzie unikałem świadczeń na rzecz koła poselskiego. Dlaczego? Bo nie zawsze podobały mi się ich działania. I na dodatek Kisiel trochę mnie podhecował... Akurat wtedy na łamach „Tygodnika Powszechnego” pojawił się artykuł Kazimierza Studentowicza, chadeka, który później zaczął flirtować z Zenonem Kliszką, a jeszcze później wyładował w „Grunwaldzie”, artykuł o dialogu i koegzystencji... Powiedziałem, że na podstawie własnych doświadczeń wiem, co oznacza dialog i koegzystencja więźnia ze strażnikiem, mianowicie do pewnego momentu toczy się wymiana zdań, potem zaś zaczyna się mordobicie. Więc jeśli taka rozmowa ma być nazywana dialogiem, to ja bardzo dziękuję... Sprawa odbiła się echem w Biurze Prasy KC. Otrzymałem wymówienie ze „Stolicy” z zakazem przychodzenia do redakcji. Odwołałem się do Artura Starewicza, który z ramienia KC nadzorował prasę. Przyjął mnie. Miał na kartce tekst mojej wypowiedzi. Mówi: – No owszem, dowcipne, ale szkodliwe... – Ale uznaje pan, że dowcipne... Pan przed wojną studiował w Warszawie, koledzy pana dobrze wspominają jako pływaka... Czy nie z klubu „Makabi”? Zmienił się na twarzy i oświadczył, że podtrzymuje decyzję.

Parę dni później przyjechał do mnie Krzysztof Kozłowski, zapytał, czy to prawda, że zostałem wylany za wystąpienie na zebraniu w „Tygodniku

Powszechnym”. – Prawda! – No to Turowicz proponuje, żebyś przyszedł do nas... To był koniec grudnia 1960 roku.

Na wieść o wyrzuceniu mnie ze „Stolicy” dyrektor Stanisław Błotnicki, któremu w wydawnictwie podlegały sprawy personalne, postanowił zachorować. Zachorował, aby nie podpisać zwolnienia. I dzięki temu moje platne wymówienie przedłużyło się do czterech miesięcy. Nie pojawiłem się już więcej w „Stolicy”. Do redakcji przyjęto wiernych ludzi PZPR, moczarowców, Leszka Moczulskiego, Krzysztofa Naumienkę, Waldemara Łysia-ka. Przekształcili tygodnik w tubę Komitetu Warszawskiego PZPR, okropne rzeczy tam wypisywali...

W 1961 roku w Wydawnictwie Zachodnim ukazała się pana książka *Prawda o von dem Bachu...* W „Kurierze Polskim” recenzował ją Kazimierz Moczarski, w „Za i przeciw” – Jan Zarański... Przyjaciele nie zawiedli.

Przyjaciele nie zawodzą... Książka miała dwa wydania w języku polskim, jedno po angielsku, jedno po francusku, zyskała rozgłos. W „Tygodniku Powszechnym” opublikowałem szereg artykułów o działalności „Żegoty”. Wskazywałem, że tragiczne dzieje okupacji i dzieje polskiego podziemia nie mogą być przedstawiane z pominięciem zagłady polskich Żydów. Rozdzielne traktowanie tych spraw tworzy bowiem obraz kaleki, zafalszowany.

W jednej z notatek SB na pana temat znalazłem stwierdzenie, że **wyolbrzymia pan problem zagłady Żydów...**

To cenne świadectwo poziomu intelektualnego i moralnego tej służby... Moje artykuły były na szczęście czytane także w innych środowiskach, w kraju i za granicą, w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku i Jerozolimie. W 1963 roku pan Adam Wein z Żydowskiego Instytutu Historycznego powiadomił mnie, że otrzymam odznaczenie państwowe w związku z dwudziestą rocznicą walk w getcie warszawskim. Jednocześnie ŻIH poprosił mnie o dostarczenie listy osób, które brały udział w akcjach „Żegoty” i powinny być odznaczone. Podąłem kilkanaście nazwisk, w tym Zofii Kossak, Ireny Sendler, ludzi z PPS, z Armii Krajowej. Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski przypinał mi członek Rady Państwa Kazimierz Banach, niegdyś działacz PSL. – O, to wy, kolego Bartoszewski? – zdziwił się. – Ja... tak się złożyło... – Bardzo się cieszę...

W wolnej Polsce, po 1989 roku, środowisko benderowskie zarzucało mi

– w nagłym porywie odwagi – że przyjąłem to odznaczenie... Otrzymałem je z inicjatywy historyków żydowskich za działania, które powinny być szanowane, tym bardziej że „Żegota” była częścią struktury Polskiego Państwa Podziemnego, nie zaś PRL...

Prowadził pan też w „Tygodniku Powszechnym” rubrykę „Zmarli”... Pamięta pan?

Byłem wtedy uczniem liceum... To był najciekawszy podręcznik dwudziestowiecznej historii Polski, jaki można było wtedy kupić, w dodatku za grosze. Dzięki panu mogłem na maturze popisać się wiedzą, która zadziwiła egzaminatorów... – Komar, skąd ty to wiesz? – Czytam nekrologi!... Nie uwierzyli... No, a trzecie wydarzenie?

Musimy się cofnąć do 1961 roku. Poranek, gołę się, dzwoni telefon. Podnoszę słuchawkę, mówi Stomma. Zdziwiłem się, bo do tej pory posel Stomma nie utrzymywał ze mną kontaktów. Teraz miał prośbę. Otóż do Warszawy przyjechał dziennikarz austriacki Kurt Skalnik, redaktor „Die Furche”, wpływowego pisma katolickiego o kierunku podobnym do „Tygodnika Powszechnego”. Skalnik i jego żona mieli się spotkać ze Stommą u Jerzego Zawieyskiego, ale pojawiły się jakieś kłopoty, zdaje się, że Kliszko nagle zaprosił Stommę na rozmowę... Więc czy mógłbym pójść do Zawieyskiego i pełnić rolę współgospodarza i tłumacza? Nie wypadało odmówić. Skalnik, młodszy ode mnie o trzy lata, był znanym publicystą, człowiekiem otwartym, niezłe zorientowanym, a przy okazji miał sporo sympatii do Polski, wywodził się z rodziny polsko-austriackiej, jego matka urodziła się w Bielsku. Z inicjatywy pani Anieli Urbanowiczowej z KIK pojechaliśmy do Ożarowa, aby zjeść obiad w dworku Reicherów, w tym samym salonie, w którym von dem Bach prowadził rozmowy z pułkownikiem Irankiem-Osmeckim i innymi przedstawicielami AK na temat kapitulacji powstania. W czasie obiadu Skalnik zapytał mnie, czy wybrałbym się do Wiednia? „Tygodnik Powszechny” nie był szczególnie majątny, ja też nie... Skalnik mówi, że redakcja „Die Furche” zapewni mi w Austrii hotel, posiłki... Kiedy? – Kiedy będzie panu wygodnie...

Miał pan paszport?

Nie miałem. Staralem się o paszport, chcąc pojechać na proces Eichmanna, ale nic z tego nie wyszło. Było dla mnie jednak oczywiste, że wo-

bec narastającego zainteresowania problemem Holokaustu, zresztą wtedy tego terminu jeszcze nie używano, zainteresowania wywołanego między innymi przez proces Eichmanna, należy jak najszybciej zabrać się do dokumentowania pomocy, jakiej Polacy udzielali Żydom w czasie okupacji. Wiosną 1962 roku otrzymałem zaproszenie z Instytutu Yad Vashem. Złożyłem podanie o paszport...

I otrzymał pan odmowę!

Tak. I nie byłem szczególnie tym zdziwiony. Chodzili za mną, fotografowali, domyślałem się, że moje rozmowy są podsłuchiwane... No, trudno. Na wszelki wypadek złożyłem ponownie podanie. Znów odmowa.

Do ilu razy sztuka?

Chyba do pięciu, może sześciu...

24 marca 1963 roku opublikował pan na łamach „Tygodnika Powszechnego” apel o nadsyłanie wspomnień, relacji i dokumentów związanych z pomocą, jakiej Polacy udzielali Żydom w okresie okupacji...

Odzew był niezwykle. Akcja „Ten jest z ojczyzny mojej” została wsparta przez Jerzego Gierdoycia, przez polski Londyn, przez Polaków w Ameryce. Przyjaźnie odniósł się do niej ambasador Izraela w Warszawie, Awigdor Dagan, czyli Victor Fischl, czeski poeta, w czasie wojny sekretarz Jana Masaryka, przyjaciel Antoniego Słonimskiego. Cel akcji dla mnie był oczywisty. Zebrać dokumenty prawdy. O tych Polakach, którzy pomagali z narażeniem własnego życia i życia swoich rodzin. I o tych, którzy wydawali Żydów w niemieckie ręce. O wyrokach sądów Państwa Podziemnego na szmalcowników. O dzieciach ukrywanych w klasztorach... Do pomocy zgłosiła się Zofia Lewinówna. Bardzo chciała w tym uczestniczyć. Jej ojciec, major Wojska Polskiego, oficer II Oddziału, został aresztowany w 1939 i rozstrzelany w Palmirach jako polski patriota. Lewinównie i jej matce, córce rabina, pomocy udzielili Krahelscy i rodzina Jana Józefa Lipskiego. Zamieszkały w Hrubieszowie jako dwie szczególnie pobożne parafianki, pod opieką proboszcza. A po wojnie Zośka została aresztowana, siedziała za udział w nielegalnej Sodalicii Mariańskiej, cóż, świat jest mały, siedziała w celi z Haliną Dąbrowską, tą samą, która mnie obciążyla zeznaniami...

Zaczął się zbieranie materiałów, z których powstała książka wydana w 1967 w „Znaku”.

Tymczasem Stefan Kisielewski nękał oficjeli w sprawie mojego paszportu. Trafiał do pułkownika Mariana Janica, AL-owca, szefa gabinetu Moczara. Potem do samego Moczara, „...mówicie, że ci Żydzi niewdzięczni, że nas szkalują, panie ministrze, mój kolega Bartoszewski im pomagał, oni chcą, żeby on o tym mówił, oni chcą to zaakcentować, a wy mu nie dajecie paszportu, przecież to nonsens”. I nagle otrzymałem zawiadomienie, że mam zgłosić się po odbiór dokumentu.

Dopiero po pół wieku dowiedziałem się z IPN, że w tym samym czasie MSW założyło przeciwko mnie sprawę rozpracowania operacyjnego pod kryptonimem „Bonza” z przyczyn następujących: po pierwsze – utrzymuję kontakty z byłymi oficerami II Oddziału Komendy Głównej AK, którzy są na emigracji, po wtóre – pracując w „Tygodniku Powszechnym”, reprezentuję postawę „otwartej walki z władzą ludową”, po trzecie – pozostaję w związkach z ambasadą izraelską.

I oto któreś nocy dzwoni do mnie Kisiel w stanie upojenia, chyba ze SPATiF-u, i mówi tak: – Słuchaj Bartosz, rozmawiałem znowu z Moczarem i mu podziękowałem, że możesz odebrać paszport. – No i co? – Powiedziałem, że dziękuję i że jednak można w Polsce coś załatwić. A on się okropnie skrzywił i powiedział, że jak sprawa jest słuszna, to można ją załatwić... – Czyli jestem słuszną sprawą ministra Moczara... – odpowiedziałem. Kisiel zaczął się śmiać: – Ty słuszna sprawo Moczara...

Jest pan jedną z nielicznych osób, być może jedyną, o której Stefan Kisielewski pisał w swych dziennikach bez złości...

On mnie bardzo lubił, ja go bardzo lubilem, napisał o mnie, że jest jego wielki przyjaciel. Kiedy był w tarapatkach, starałem się być przy nim, jak wtedy, gdy został pobity przez ubecką bojówkę za „dyktaturę ciemniaków”. A znów kiedy jesienią 1970 roku SB zabrała po długiej, szczegółowej rewizji moją bibliotekę, Lidia Kisielewska przekazała Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu wiadomość, że w ręce rewidujących nie wpadło nic, co mogłoby zaszkodzić moim przyjaciółom w Radiu Wolna Europa. Z kolei ja wyszmuglowałem za granicę maszynopis jego *Cieni w pieczarze* i inne teksty. Po prostu dał mi paczkę i powiedział: „Bartoszu, książkę na to czeka”. No i po jakimś czasie Giedroyc wydał *Cienie w pieczarze*. Nawiasem

dodam, że przerzuciłem też na Zachód *Motory i hamulce socjalizmu* wybitnego PPR-owca Władysława Bieńkowskiego, sąsiada Kisiela.

A czy mieliśmy takie same poglądy? Nie zawsze. Kisiel wciąż powtarzał, że Powstanie Warszawskie było szaleństwem. Mówił do mnie: „Tyś zburzył Warszawę”. I nie tylko do mnie: powiedział to samo w Londynie generałowi Pelczyńskiemu. Nie ufał komunistom, w czym miał rację, ale zarazem ludził się, że Sowieci zgodzą się na „finlandyzację” Polski i w dodatku dotrzymają słowa... Lubił prowokować. Byłem świadkiem, jak na jakimś przyjęciu podszedł do znanego wtedy telewizyjnego komentatora telewizyjnego: – Pan jest komunistą? Facet zakrzuszył się z przerażenia, po namyśle zabelkotał, że tak... – A ja nie! – wykrzyknął Kisiel i odmaszerował po szklankę whisky. Był przekorny, umiał dokuczyć, był błyskotliwie inteligentny, był złośliwy, nie zawsze sprawiedliwy, na przykład wobec Jerzego Turowicza, ale jednocześnie pisał o nim „mój pracodawca, władca, menadżer, spowiednik, sufler, szef i przyjaciel”, był dobry i życzliwy. Nie zawsze rozumiałem jego wybory, dziwiły mnie znajomości, które zawarł po 1990 roku, ale przydałby się dzisiaj. No, przyjaciel...

A więc ma pan paszport...

Lecę do Aten. W kieszeni parę dolarów, bo wtedy wolno było wywozić jakieś grosze... Przed wyjazdem spotkałem się ze Stanisławem Brodzkim ze „Świata”. On i jego żona, wdowa po Henryku Hollandzie, która w czasie wojny brała udział w ratowaniu ludzi, dali mi listy do przyjaciół mieszkających w Izraelu. Brodzki, z którym byłem w serdecznej komitywie, pyta, ile mam pieniędzy. Mało! Masz tu adres hoteliku w Atenach, dwa–trzy dolary za noc. A drugą rekomendację uzyskałem od Tili Osterwiny, której rodzony brat, pułkownik Paweł Sapięha, był rezydentem amerykańskiego wywiadu w Atenach, nosił zaś dumny tytuł doradcy króla Grecji. Przyleciałem do Aten. Pierwszy raz w życiu za granicą. Sapięha zaprasza mnie na kolację do jakiejś nieprawdopodobnie wykwintnej restauracji – luksus, przepych, bezszelestni kelnerzy, po prostu szok dla przybysza z tamtej strony „żelaznej kurtyny”, a noc spędzam w najbiedniejszym hoteliku, jaki sobie można wyobrazić. W pokoju nie było drzwi, jakiś uwierający siennik, prześcieradło, zlew z zimną wodą na korytarzu, Gomulce by się podobało. Paszport trzeba było zostawić u właściciela,

i dobrze, bo nie musiałem się bać, że mnie okradną, resztę moich rzeczy miałem pod głową. W Atenach byłem dwa dni, zwiedziłem miasto, a przed odlotem do Tel Awiwu poszedłem na pocztę, kupiłem najtańszy druczek lotniczy, taki zalepiany, i napisałem list do Tadeusza Żencykowskiego.

Co pan napisał?

Jestem Teofil, jadę do Izraela, proszę o kontakt. Podalem adres doktora Józefa Kermisza w Yad Vashem w Jerozolimie...

Jak długo był pan w Izraelu?

W Tel Awiwie wylądowałem 10 września 1963 roku, wyjechałem zaś w pierwszych dniach listopada. Plan mego pobytu był przygotowany przez Instytut Yad Vashem, prócz oficjalnych spotkań obejmował także wykłady, prelekcje i zwiedzanie kraju. Tym samym programem była objęta Maria Kann, pisarka dla dzieci, która współpracowała z „Żegotą”.

Autorka pierwszej publikacji konspiracyjnej o zagładzie getta warszawskiego, broszury pt. *Na oczach świata*. Wróciłem niedawno do tego tekstu i nie mam wątpliwości, że jego przesłanie wychowawcze jest wciąż aktualne. Maria Kann pisała: „Na oczach świata, w naszych oczach, w oczach naszej młodzieży mordowano naród. Patrzyliśmy na to bezczynnie. Pomimo całego oburzenia osuwamy się z myślą, że można mordować, można budować krematoria dla żywych ludzi. W umysłach dziecięcych zaczyna kiełkować pojęcie, iż różne są rodzaje narodów: panów, pacholków i wreszcie psów, które wolno zabijać bezkarnie. I to jest najstraszniejszy posiew krwawego Führera i jego zwycięstwo. [...] Tego lęka się serce polskich matek”.

Ważne słowa... Była bardzo uczciwym, przyzwoitym człowiekiem, szanowaną działaczką harcerską, *Na oczach świata* jest ważnym dokumentem zarówno historycznym, jak wychowawczym, co do tego nie ma wątpliwości... Ale na początku lat sześćdziesiątych Maria Kann, powszechnie szanowana harcerka, wydawała mi się cokolwiek naiwna... Była dobrym człowiekiem, więc sądziła, że ci, którzy się do niej uśmiechają, też muszą być dobrzy... A ja musiałem uważać...

Żenczykowski?

Zareagował natychmiast. Co wieczór telefonował do mnie z Monachium, prowadziliśmy długie rozmowy. Na jego zamówienie napisałem kilka tekstów... Okazało się, że moja wizyta w Izraelu niejako wykracza poza ramy przygotowanego programu. Najpierw spotkania z ludźmi z Polski. Pojechałem do założonego przez Cywię Lubetkin i Antka Cukiermana kibucu im. Bohaterów Ghetta. Adolf Berman zaprosił mnie na zebranie Komitetu Centralnego jednej z dwóch działających w Izraelu partii komunistycznych. Mówiłem tam o „Żegocie” i bohaterstwie Bermana... Z kolei mecenas Drażnin... To ciekawa historia. Dawid Drażnin, prawicowy syjonista, „żabotyńszczyk”, zaprzyjaźnił się w celi na Mokotowie z Wiesławem Chrzanowskim. Mój przyjaciel Chrzanowski dał mi jego adres, prosił o przekazanie pozdrowień. Skończyło się to wielkim bankietem wydanym na moją cześć przez izraelską prawicę. Bundowcom mówiłem o Leonie Feinerze. Spotkałem się też z Józefem Brzezińskim... Oczywiście zwiedzałem Izrael, pojechałem do Nazaretu, nie mogłem niestety wejść do starej części Jerozolimy, która znajdowała się wówczas pod władzą Jordanii. 10 października zostałem przyjęty przez prezydenta Izraela Zalmana Szazara, co zostało skwitowane przez telawiwską gazetę „Nowiny i Kurier” artykułem zatytułowanym *Prezydent dziękuje szlachetnym Polakom za pomaganie Żydom podczas okupacji hitlerowskiej*. Doszło wtedy zresztą do szczególnej wymiany zdań, co zauważył pracownik polskiego MSZ i nawet uwiecznił w swym raporcie. Gdy prezydent Szazar poprosił mnie o przekazanie pozdrowień dla tych nielicznych Polaków, którzy ratowali ludzi, odpowiedziałem, że chętnie przekażę pozdrowienia tym moim licznym znajomym, którzy pomagali... Odbylem kilka ważnych spotkań w izraelskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, między innymi z Dovem Sattahem, dyrektorem jednego z departamentów, absolwentem Uniwersytetu Stefana Batorego... O tych rozmowach informowałem Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Tadeusza Żenczykowskiego. A przy okazji zbierałem materiały do cyklu reportaży, które zamierzałem opublikować na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Moje zamierzenia ziściły się tylko częściowo, bo po wydrukowaniu kilku tekstów cenzura zażądała od redakcji, by skończyć wreszcie z tym tematem. Bardzo ich bolały moje obserwacje. Gdy pisałem, że Tel Awiw łączy z Jerozolimą bardzo dobra szosa, wykreślali „bardzo dobra”...

Spotkałem się z mecenasem Jerzym Meringiem. W więzieniu. Mering został skazany na dożywocie za zabicie, jak by to powiedzieć, no, podobno zastał swoją żonę z jakimś mężczyzną, poszedł do sklepu, kupił łom, no i go zatłukł... Czyli nie w afekcie, bo poszedł do sklepu. A obowiązujące w Izraelu prawo brytyjskie było w takich przypadkach bezwzględne. Poprosiłem w MSZ o umożliwienie mi wizyty w więzieniu w Ramli. – U nas nie ma Żydów-więźniów politycznych – powiedział urzędnik. – Mering jest dla mnie polityczny o tyle, że jest wzorem Żyda, który ratował Polaków. Czy mam mówić tylko o Polakach, którzy ratują Żydów? Za to dziękował mi parę dni temu wasz prezydent. Teraz chcę mówić o Żydach, którzy ratowali Polaków... Pojechałem do więzienia. Strażnik pyta, skąd jestem. – Z Warszawy! – Ja też z Warszawy! A z jakiej ulicy? – Z Bielańskiej – powiedziałem. – Ja też z Bielańskiej! – ucieszył się. A potem, po dłuższym wypytywaniu o Warszawę, dodał: – Panie, ja, Żyd, pilnuję więźniów Żydów, w żydowskim państwie... Przed wojną nie do pomyslenia! Dali nam dzbanek kawy, zamknęli w celi, strażnik powiedział, że jak skończymy rozmowę, to mam uderzyć w kratę. Zapytałem Meringa, czy zgadza się, bym wystąpił do prezydenta Izraela o zmniejszenie wyroku. Kiwnął głową. Napisałem podanie, po polsku, przetłumaczono je na hebrajski. Prezydent zmniejszył mu wyrok do dziesięciu lat, a w 1967 roku Mering wyszedł na wolność. Widywałem się z nim wielokrotnie w Izraelu, potem w USA w 1984 roku, mam w bibliotece tomik jego wierszy, które napisał w więzieniu, i książkę *Wielkie mocarstwo macedońskie, czyli nadużywanie wymiaru sprawiedliwości w PRL* na temat procesów sądowych, w których doprowadził do uniewinnienia ludzi uwięzionych przez MBP.

Oczywiście spotykałem się z ludźmi z Yad Vashem: dr. Józefem Kermiszem, z Rachelą Auerbach, którą ukrywał w warszawskim Ogrodzie Zoologicznym dr Jan Żabiński, z dr. Herszem Wasserem, którego znalazłem z lat czterdziestych. Wasser był historykiem pracującym razem z Ringelblumem w getcie... Pod koniec października okazało się, że Izrael postanowił mnie odznaczyć za działalność w czasie wojny. Rachel Auerbach, Berman i Kermisz przygotowali dokument, który stwierdzał, że byłem „jednym z najbardziej oddanych działaczy polskich kół katolickich w akcji ratowania Żydów”. Pięknie, pięknie, ale mnie chodziło o coś więcej. Więcej nie dla mnie, ale dla ludzi „Żegoty”. W 1963 roku w Yad Vashem było kilkadziesiąt drzewek upamiętniających „Sprawiedliwych”, było imienne

drzewko Władysławy Chomsowej, przewodniczącej Rady Pomocy Żydom we Lwowie, były drzewka upamiętniające Duńczyków, ale drzewka upamiętniającego „Żegotę” nie było... Jako wyróżniony dyplomem Yad Vashem miałem – wedle zwyczaju – opowiedzieć o swej działalności. Tak więc 20 października zacząłem składanie relacji – ale mówiłem nie o sobie, lecz o ludziach „Żegoty”. Sesja trwała kilka godzin. Jej druga część odbyła się 28 października, w dniu, w którym wraz z Marią Kann zasadzi- liśmy drzewko pamięci Rady Pomocy Żydom. Stało się!

I pojechał pan do Wiednia...

Redakcja „Die Furche” załatwiła mi pokój w pensjonacie prowadzo- nym przez siostry ewangelickie. Któregoś dnia przed wejściem do pensjo- natu zobaczyłem wysokiego mężczyznę. Rozpoznaliśmy się w sekundę. Tadeusz Żenczykowski. Padliśmy sobie w ramiona.

Zatrzymał się w pobliskim hotelu. I tam w ciągu paru dni omówiliśmy kontakty komunikacyjne, logistykę, zasady konspiracji, a więc to wszystko, co było potrzebne do bezpiecznego zbierania i przekazywania wiadomo- ści. Obiecał mi, że o mojej współpracy z Wolną Europą będzie wiedziało ściśle ograniczone grono. On, Nowak-Jeziorański, ksiądz Tadeusz Kirsche, który widywał się w Rzymie z Jerzym Turowiczem... I tak się stało. Na przykład Trościanko wykorzystywał materiały z kraju w swoich audycjach, nie mając pojęcia, że to ja jestem ich autorem... I Panu Bogu niech będą dzięki!

Przeglądałem materiały z IPN... Ileż to pieniędzy wydała SB, ilu ludzi – dziesiątki – zatrudniła, żeby usidlić nieznanego informatora! Tyle wysiłku na nic! A ja miałem kontakty we wszystkich środowiskach, od endecji po socjaldemokratów, od „Żegoty” po Katolicki Uniwersytet Lubelski, miałem inteligentnych, światłych, doskonale zorientowanych rozmówców: Kazimierza Ostrowskiego, Władysława Siłę-Nowickiego, Witolda Lisa- -Olszewskiego, Wiesława Chrzanowskiego, Jana Józefa Lipskiego, Leopolda Kummanta. Zupełnie niedawno pytałem Chrzanowskiego, czy zdawał sobie z tego sprawę... On na to mówi: – Wiesz, wolalem niczego nie wiedzieć... – Ale przecież potem słuchałeś radia i mogłeś się zoriento- wać, że podają twoje myśli... – Słuchałem, orientowałem się... ale współ- pracownikiem Wolnej Europy nie byłem... – Wolnej Europy – nie, byleś moim!

I nikomu nigdy pan nie powiedział o swej współpracy z Wolną Europą?

Powiedziałem oczywiście żonie. Powiedziałem też Krzysztofowi Kozłowskiemu, z myślą, że przekaże to Jerzemu Turowiczowi...

Tak po prostu: słuchaj Krzysztof, powiedz Turowiczowi, że pracuję dla Wolnej Europy.

Dosłownie nie powtórzę, ale sens był mniej więcej taki: jeśli zdarzy się, że mnie oskarżą o kontakty z Wolną Europą, a to może się zdarzyć, i jeśli w związku z tym będą chcieli zrobić jakąś prowokację przeciwko „Tygodnikowi Powszechnemu” – mówcie, że to was nie obchodzi. A jeśli powiedzą, że są jakieś zeznania – mówcie, że to kłamstwo, że nie wierzycie. A jeśli przedstawią dowody, że Bartoszewski ma z tym coś wspólnego, to powinniście mnie potępić.

10. KRUSZENIE MURU

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, ŻE BYŁEM W NIEMCZECH W 1965 ROKU. W CZASIE, W KTÓRYM POWAŻNI LUDZIE Z CDU I SPD ZACZĘLI MYŚLEĆ O POROZUMIENIU NIEMIECKO-POLSKIM. JESIENIĄ 1965 ROKU Z MEMORANDUM W TEJ SPRAWIE WYSTĄPIŁ NIEMIECKI KOŚCIÓŁ EWANGELICKI. WKRÓTCE ZE STRONY BISKUPÓW POLSKICH PADŁY HISTORYCZNE SŁOWA: „PRZEBACZAMY I PROSIMY O PRZEBACZENIE”...

Wiedeń 1963 roku był miastem sennym, cichym...

Nie w moich oczach. Patrzyłem na miasto, które do 1918 roku było stolicą wielkiego imperium, stolicą wzorową, nowoczesną, świetnie zarządzaną, na miasto, które do końca października 1955 roku znajdowało się pod okupacją czterech mocarstw... Podróżowanie jest porównywaniem. Porównywaniem własnej wiedzy z czymś, co naoczne, niemieszczące się w stereotypie. Prosty przykład, pierwszy z brzegu, bo z ulicy. Tuż po przyjeździe do Wiednia zobaczyłem sklep Meinla. W czasie wojny sklepy Meinla były w Polsce *nur für Deutsche*, może trochę szerzej, bo prócz Niemców mogli tam kupować ich sojusznicy, Włosi, Chorwaci, Węgrzy. Czyli symbol okupacji... Ale dla Austriaków Julius Meinl był wzorem sprytnego rodaka, który po Anschlussie musiał czynić rozmaite koncesje wobec nazistów, ale bez żadnych świństw, czyli w zasadzie można powiedzieć, że brał udział w biernym, bo biernym, ale jednak ruchu oporu. Prawdziwy Austriak, nasz człowiek sukcesu! Dwa kompletnie odmienne spojrzenia. I jak je pogodzić?

Jechałem tam, pamiętając, że – cokolwiek by mówić – od 1870 roku Austria była zaborcą najmniej dokuczliwym. W Wiedniu działali polscy politycy, ministrowie, posłowie tacy jak Kazimierz Badeni, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, ksiądz Stanisław Stojałowski, Wojciech Dzierżuszycki...

Znalazłem się w dobrym towarzystwie. „Die Furche” był poważnym i poczytnym tygodnikiem katolickim – popieranym przez kardynała Franza

Koeniga, który dziś nazywany jest wielkim architektem Soboru Watykańskiego II. W redakcji pracowali ludzie, którzy w dorosłe życie weszli tuż po wojnie, zahaczyli może rok czy półtora w Wehrmachcie. Młodzi inteligenci kierujący się entuzjastycznym stosunkiem do demokratycznego państwa austriackiego i przekonani, że o sile tego państwa zadecyduje odwołanie się do szeroko rozumianej tradycji ideowej (Partii Chrześcijańsko-Społecznej – Christlichsoziale Partei), uwolnionej jednak od ciągłot autorytarnych...

Odrzucali katolicko-faszystowskie zapędy Engelberta Dollfussa, prawdę mówiąc Austriacy wydobywali się z głębokiego bagna.

Zdecydowanie tak, ale z rozumieniem sytuacji, w jakiej Dollfussowi przyszło działać. Z jednej strony nazistowskie Niemcy, z drugiej faszystowskie Włochy, w środku Dollfuss, który, starając się ratować suwerenność Austrii, tworzy państwo katolickie i faszystowskie zarazem... Sądził, że w cieniu Hitlera i Mussoliniego znajdzie się jeszcze miejsce dla małego wodza. A takiego miejsca na ówczesnej mapie politycznej nie było. Dla satelity tak, dla ugodowca tak, ale on ugodowcem nie był. I w końcu zamordowali go austriaccy naziści. To były sprawy, które ludzie z „Die Furche” starali się gruntownie, krytycznie przemyśleć. Kurt Skalknik napisał książkę *Dr. Karl Lüger. Der Mann zwischen den Zeiten*, a trzeba pamiętać, że Lüger był i chyba wciąż jest postacią ważną dla Wiednia... Ambitny burmistrz, budowniczy nowoczesnej infrastruktury miasta, twórca Partii Chrześcijańsko-Społecznej, polityk, którego obsesyjny antysemityzm stał się pokarmem duchowym dla młodego Adolfa Hitlera... Zresztą Lüger łączył antysemityzm z głęboką niechęcią do wszystkich narodów słowiańskich wchodzących w skład imperium Habsburgów. Związana z „Die Furche” Erica Weinzierl przeorała archiwa Yad Vashem, by napisać książkę *Zu wenig Gerechte* (Za mało Sprawiedliwych) o prześladowaniu Żydów w latach 1938–1945, ale też o pomocy im udzielonej przez nieliczną grupę Austriaków. Rzecz wywołała wielką dyskusję, była wielokrotnie wznawiana...

To znaczy, że Austriacy nie uciekali przed trudnymi sprawami z czasu wojny.

W „Die Furche” działała elita intelektualna chrześcijańskiej demokracji, ludzie, którzy potem osiągnęli wysokie pozycje na uniwersytetach, w mediach, w strukturach państwowych. Bardzo mi się to zresztą przydało

po latach... Wtedy, w 1963 roku, odbyłem turę po Austrii, poznając różne osobistości w Wiedniu, Linzu, Salzburgu, Innsbrucku i Grazu. Ciekawe to było doświadczenie. Dowiadywałem się, jak naprawdę żyło się w podzielonym na strefy okupacyjne Wiedniu. Tam przecież nie było muru granicznego, ale jak ktoś nieopatrznie zawędrował na ulicę nie tę, co trzeba, mógł się niebawem obudzić w Kazachstanie. Dowiadywałem się o wielkiej migracji ze strefy sowieckiej na Zachód, dzięki której nastąpił rozwój gospodarczy regionu Salzburga i Styrii. No, a gdy rozmowa schodziła na czasy nazizmu, widać było, że moi rozmówcy tęsknią za legendą austriackiego oporu. Jeśli idzie o udział Austriaków w strukturach III Rzeszy, to mówilo się, że do SS i gestapo poszły szumowiny, a jak szumowiny, to zdrajcy, a jak zdrajcy, to już nie Austriacy. Prosty i znany mechanizm. Ale ta tęsknota za mitem oporu... Widoczna była chęć wyolbrzymiania i gloryfikacji każdego przypadku. Były takie, trudno zaprzeczyć. Były aresztowania, były obozy koncentracyjne... Poznałem przedwojennego Landeshauptmanna Styrii dr. Karla Marię Stepana, działacza Vaterländische Front, organizacji stworzonej przez Engelberta Dollfussa, który w 1938 roku został osadzony w kaciecie, siedział w Mauthausen, w Gusen, w innych jeszcze obozach jako chrześcijańsko-konserwatywny patriota austriacki. Opowiadał mi o Polakach, których spotkał w obozach, wymieniał nazwiska księży, inżynierów, nauczycieli... Nasłuchałem się też od moich rówieśników opowieści o tym, jak starali się uniknąć zaciągu, z pozoru ochotniczego, do Waffen SS. Na przykład naciskany przez werbowników siedemnastoletni Richard Sickinger powiedział, że nie może służyć w SS, bo po śmierci starszego kolegi ślubował, że zastąpi go w artylerii przeciwlotniczej. Uznano, że jest ideowcem, i w nagrodę dostał przydział tam, gdzie chciał. Spotkałem go po paru latach w Warszawie, został dyrektorem Austriackiego Instytutu Kultury, świetnym dyrektorem, pomagał nam. Z kolei Skalnik, chcąc uniknąć służby, zgłosił się do Czerwonego Krzyża, ale w końcu został wcielony do Wehrmachtu i skierowany na front południowy. Tam dogadał się z jakimś Ślązakiem. Zaplanowali ucieczkę, ale przerzucono ich w Ardeny. Poszedł na spotkanie Amerykanów, znalazł schronienie w jakiejś piwnicy, a tymczasem Niemcy zajęli ten teren i z dezercji nic nie wyszło... Dla mnie to było dosyć egzotyczne, no może trochę jak z Haška...

W czasie tej podróży zostałem przedstawiony kardynałowi Franzowi Koenigowi i poznałem Szymona Wiesenthala, który od 1947 roku, naj-

pierw w Linzu, potem w Wiedniu, kierował Żydowskim Centrum Informacji...

Dobrze pan się poczuł w Austrii...

Czy dobrze? Przebywałem w przyjaznym środowisku. To byli ludzie otwarci, a przy tym nosili w sobie tradycję państwa wielonarodowego, wielokulturowego. Co zresztą niekiedy wiązało się z umiejętnością wybiórczego traktowania historii. Na przykład dla wielu moich rozmówców Beethoven był Austriakiem, bo przez krótki czas mieszkał w Wiedniu. A Hitler kim był? U nas nie odgrywał żadnej roli, nieudany student, niedorajda! Mówili, że Hitler był oczywiście Niemcem. To ciekawe, bo przecież w Austrii tendencje pangermańskie były tak silne, że w 1918 roku nawet socjaldemokraci mówili o utworzeniu państwa pod nazwą Deutsche-Österreich, o prawicy nie wspomnę. Te marzenia zakończyły się po Anschlussie, gdy Austriacy, na swoje nieszczęście, a może raczej na swoje szczęście, bo to ich gruntownie otrzeźwiło, zetknęli się z niemieckością w wydaniu NSDAP, zostali uwikłani w wojnę, ponieśli znaczne straty. Więc Hitler był Niemcem! A Zygmunt Freud, któremu udało się wyjechać z Wiednia w 1938 roku, ale część jego rodziny zginęła w obozach koncentracyjnych? Freud był rzecz jasna wielkim Austriakiem! A Gustav Mahler, przeciw któremu organizowano w Wiedniu rozmaite antysemickie świątwa? Był wielkim Austriakiem! Podczas pobytu w Linzu, który po 1938 roku był nazywany „Miastem Führera”, pojechałem do Mauthausen...

W encyklopediach austriackich czytam: KZ Mauthausen był obozem niemieckim i nazistowskim.

No tak, obóz niemiecki, nazistowski... Moi rozmówcy mówili, że obóz w Mauthausen został założony przez Hitlera, żeby terroryzować Austrię. Prawda była trochę inna, bo po Anschlussie komunistów, socjaldemokratów i niektórych chrześcijańskich demokratów wysyłano do Dachau. Uczciwszy ich cierpienia, trzeba jednak dodać, że byli traktowani łagodniej od nas. Do Mauthausen wysyłano transporty z Auschwitz, trafiła tam też część ludności cywilnej z Warszawy, po powstaniu. A dla mnie, warszawiaka, to było ważne. Rozmawiałem na ten temat z redaktorem naczelnym chadeckiego, konserwatywnego dziennika „Linzer Volksblatt”, który nosił staroniemieckie nazwisko Ślapińska. Pan Ślapińska był zdziwiony

moją znaczną wiedzą o Mauthausen i Gusen, tak jak ja byłem zdziwiony niewiedzą jego czytelników. Bo przecież kompleks obozów znajdował się około 20 kilometrów od Linzu... Tam starannie zacierano ślady. Grunty przyobozowe przydzielono pod zabudowę mieszkalną rodzinom strażników esesmanów. Tak się jednak złożyło, że w Gusen więziono i zamordowano sporą grupę Włochów. Włoska prasa podniosła krzyk i w efekcie udało się ocalić niewielką część obozu, w tym krematorium. A proszę pamiętać, że w tych obozach największą grupą narodowościową byli Polacy. Tam trafiały transporty z województw przyłączonych do Rzeszy, z Pomorza, Wielkopolski, Śląska.

Po latach Pańskie kontakty z „Die Furche” okazały się bardzo przydatne...

Zawarłem znajomości w środowisku austriackiej inteligencji katolickiej, na linii łączącej „Tygodnik Powszechny”, wspierany przez kardynała Wojtyłę, z „Die Furche” wspieranym przez kardynała Koeniga. Te znajomości umacniałem w następnych latach, spotykając się także z działaczami studenckimi, z młodzieżą. Dzięki temu poznałem między innymi młodego aktywistę chadeckiego Wolfganga Schüssela, który dziś jest kanclerzem Austrii. Istotne znaczenie miały moje mocne kontakty z Szymonem Wiesenthalem, które, nawiasem mówiąc, ogromnie złościły panów z SB... Tak się złożyło, że gdy w 1990 roku jako ambasador Rzeczypospolitej w Austrii składałem listy uwierzytelniające, w przemarszu przed kompanią honorową towarzyszył mi Kurt Skalnik, wysoki urzędnik w biurze prezydenta... A byłem wtedy w dosyć niezręcznej sytuacji, bo składałem listy politykowi, do którego nie miałem sympatii...

Idzie o Kurta Waldheima?

Tak, o Waldheima, wybitnego dyplomacie, w latach 1971–1982 sekretarza generalnego ONZ, który ukrył przed światową opinią publiczną swą przynależność do SA i udział w ludobójczych akcjach Wehrmachtu na Bałkanach. Twierdził, że od 1942 roku zajmował się studiowaniem prawa w Wiedniu... Na dodatek tego samego dnia składał listy uwierzytelniające ambasador ZSRR Walery Popow. Wykorzystałem moje stare przyjaźnie wiedeńskie. W głównych wydaniach dzienników telewizyjnych pojawił się prawdziwy news: nowy ambasador Polski złożył dziś listy uwierzytelniają-

ce prezydentowi Waldheimowi, po czym odbył wizyty prywatne u nuncjusza biskupa Donato Squicciariniego i u swego przyjaciela Szymona Wiesenthala. Sygnał dosyć wyrazisty. A przy okazji dziennikarze wspomnieli, że jestem przyjacielem Austrii, no, takie miłe przypomnienie, nieczęsto spotykane w świecie dyplomacji. O ambasadorze ZSRR pojawiła się tylko mała wzmianka.

Dzięki moim dawnym znajomościom ambasada polska w Wiedniu stała się ważnym ośrodkiem politycznym, kulturalnym i towarzyskim. Konkurowała z nami placówka czechosłowacka, gdzie ambasadorem była śliczna i utalentowana aktorka Magda Vasaryova, ale udawało się nam odnosić sukcesy. Na przykład gdy zaprosiliśmy z żoną do naszego domu kardynała Koeniga i Szymona Wiesenthala i spędziliśmy w czwórkę wieczór na rozmowie o sprawach polsko-niemiecko-żydowskich.

Okres mego ambasadorowania w Wiedniu był niezwykle interesujący. Austria przechodziła okres przygotowań do przystąpienia do Unii Europejskiej. To był proces starannie zaplanowany i realizowany przez koalicję rządową socjaldemokratyczno-chadecką. Partie skrajnie prawicowe, a używając mocnego słowa, partie posthitlerowskie, odwołujące się do dawnych nostalgii, lamentowały, że biedna Austria na pewno zgubi swą duszę w Europie, zostanie wchłonięta, pozbawiona tożsamości. Po latach te same argumenty słyszałem w Polsce. Proszę pamiętać, że w październiku 1955 roku Austria ogłosiła deklarację o swej wieczystej neutralności, toteż dla wielu jej obywateli przystąpienie do UE wiązało się z pytaniem: w jakiej mierze obecność w Europie naruszy nasz spokój? A problem neutralności Austrii nie miał wyłącznie charakteru teoretyczno-prawnego. Wiedeń był miejscem, w którym dokonywał się zyskowny transfer technologii zachodnich do ZSRR. Na Dunaju, od Passau do Morza Czarnego, pływała flota pod czerwoną banderą. Głos ambasady ZSRR był pilnie słuchany...

W 1965 roku pojechał pan do Niemieckiej Republiki Federalnej, czyli do Republiki Federalnej Niemiec...

Powinniśmy cofnąć się do sierpnia 1961, gdy Walter Ulbricht wydał rozkaz o budowie muru berlińskiego. W tym czasie dosyć często korzystałem z archiwum Zachodniej Agencji Prasowej, instytucji niemcoznawczej, w której pracowało sporo osób o endeckim rodowodzie i zarazem PZPR-owskiej przynależności. I właśnie w dniu, w którym nadeszła wia-

domość o budowie muru berlińskiego, rozmawiałem z jednym z tych ludzi, starszym ode mnie, AK-owcem z partyjną legitymacją. Mówię, że to okropna sprawa, ten mur, jak getto... A on na to podniesionym głosem: – Jaka okropna? Jaka okropna? Bardzo dobrze! Niech ich docisną!... Wybuch złych emocji... No cóż, emocje emocjami, ale ja to sobie przetłumaczyłem na język praktyki politycznej. Bo komu służy budowanie murów więziennych? Polsce? Im bardziej odcięci od świata, tym bardziej poddani Sowietaom! To była pułapka, w którą wpadło sporo ludzi poddających się indoktrynacji prowadzonej przez komunistów za pomocą frazeologii narodowej. A ja wiedziałem już co nieco o inicjatywie Lothara Kreyssiga...

O Aktion Sühnezeichen-Friedensdienste, czyli Akcji Znak Pokuty-Służba Pokoju?

Kreysig był duchownym Kościoła ewangelickiego, członkiem Kościoła Wyznającego, który głosił, że chrześcijaństwo nie daje pogodzić się z nazizmem i rasizmem, co w Niemczech czasów Hitlera wcale nie uchodziło za oczywiste. Był jednocześnie konserwatywnym, porządnym pruskim urzędnikiem sądowym. Sprawował opiekę nad grupą upośledzonych. Gdy w 1940 roku zorientował się, że jego podopieczni zostali uśmierceni z rozkazu Hitlera jako „istnienia niegodne życia”, zaczął protestować. Wydarzenia lat następnych kazały mu uznać, że Holokaust jest przejawem najgłębszego w dziejach kryzysu chrześcijaństwa. W 1958 roku postanowił zorganizować akcję wychowawczą wśród młodzieży niemieckiej, akcję pokuty i pojednania. Nie było to łatwe, bo władze NRD odcinały się od odpowiedzialności za zbrodnie nazistowskie i niechętnie patrzyły na inicjatywy wymykające się kontroli państwa. Ale mimo tych przeszkód przez Warszawę przewinęła się grupa młodych Niemców, którzy jechali do Auschwitz czy Majdanka. Redakcja „Tygodnika Powszechnego” wpadła na pomysł, żebym – były więzień kacetu, dobrze mówiący po niemiecku – spotykał się z tymi ludźmi, rozmawiał, tłumaczył. W tym czasie dowiedziałem się o działaniach Anny Morawskiej i Güntera Särchena, które zaowocowały utworzeniem Seminariów Polskich. Problematyką stosunków polsko-niemieckich interesowali się posłowie koła „Znak”, Stanisław Stomma i Tadeusz Mazowiecki. Stomma spotykał się z ministrem spraw zagranicznych Heinrichem von Brentano, z Herbertem Czają, działaczem ziomkostwa górnośląskiego i przyszłym członkiem Centralnego Komitetu

Katolików Niemieckich, ale ja do tak wysokiego szczebla parlamentarno-rządowego nie miałem dostępu. Bywałem natomiast ze Stefanem Kisielewskim na rozmaitych spotkaniach i koktajlach w utworzonej w 1962 roku misji handlowej NRF, niewielu tam przychodziło Polaków, bo przecież kanclerz Konrad Adenauer był przez PRL-owską propagandę wciąż przedstawiany jako spadkobierca agresywnej antypolskiej tradycji pruskiej, co było brednią, ale brednie mają to do siebie, że łatwo zapadają w pamięć... Chodziliśmy tam z Kisielem, spotykaliśmy interesujących ludzi, wybitnych działaczy gospodarczych, politycznych. I tak się stało, że wiosną 1965 roku otrzymałem stypendium miesięcznika „Dokumente-Documents”, pisma zajmującego się sprawami pojednania niemiecko-francuskiego. Zacząłem przygotowywać się do wyjazdu. W Zachodniej Agencji Prasowej uzyskałem dostęp do gazet zachodniemieckich. Zasięgnąłem rady u kolegów z „Tygodnika Powszechnego”. Rozmawiałem z Krzysztofem Kozłowskim, księdzem Andrzejem Bardeckim i Mieczysławem Pszoznem. Ten ostatni sporo wiedział o Niemczech. Za młodu był wszechpolakiem, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Podporucznik Narodowej Organizacji Wojskowej, ostatni delegat rządu na województwo krakowskie, w 1947 roku skazany na śmierć, potem karę złagodzono do dożywocia, podobno dlatego, że jego ojciec był ulubionym nauczycielem Edwarda Ochaba, zwolniony w 1955 roku. Przeszedł gruntowną ewolucję światopoglądową. Zaprzyjaźniłem się z nim na początku lat sześćdziesiątych, gdy zaczął pracować w „Tygodniku”.

Znalazłem dwie opinie dotyczące Pszona. Pierwsza – Jerzego Turowicza: „Za swoje uznał powiedzenie Jaspersa, że przed Oświęcimiem antysemityzm był idiotyczną ideologią, ale po Oświęcimiem jest już zbrodnią”. Druga – Reinholda Lehmana, w latach siedemdziesiątych sekretarza generalnego zachodniemieckiego Pax Christi: „Pokazał nam, dlaczego powinniśmy pokochać Polaków i ich kraj. Żadne seminarium z udziałem tzw. grupy Znak oraz Pax Christi nie doszłoby do skutku, gdyby nie było eksperta od Niemców, Mietka Pszona. [...] Bardzo wcześniej nawiązał kontakty z prowadzoną przez Pax Christi tzw. akcją solidarnościową, którą powołano po wizycie w 1964 roku grupy działaczy katolickich z Niemiec w Auschwitz. Celem akcji było zebranie funduszy na pomoc dla żyjących w biedzie byłych więźniów obozów koncentracyj-

nych. Z akcji tej narodził się w 1973 roku Maximilian-Kolbe-Werk, któremu powinien przyjrzeć się każdy, kto odważa się zabierać głos w kwestii pojednania między Polakami a Niemcami”.

Obie opinie są prawdziwe... Można by jeszcze dodać, że Pszon odegrał ważną rolę w redagowaniu tekstu układu polsko-niemieckiego w 1989 roku... A ja lubilem z nim chodzić po górach, rozmawiać, wspominać. Łączyły nas te same więzienia, ci sami oficerowie śledczy, rozumieliśmy się bez dogadywania, inaczej niż z takimi tygodnikowymi duchami pięknymi a wzniosłymi, jak Gołubiew czy Woźniakowski... O mojej podróży do Niemiec wspomniałem też ambasadorowi izraelskiemu Dovowi Sattathowi, a to wiąże się z anegdotą, która z pewnością pogrąży mnie w oczach ludzi lubujących się w głędzeniu o żydowskiej wszechmocy, światowych rządach i tak dalej... Do Kolonii przyjeżdżam pociągiem via Wiedeń. Następnego dnia idę do redakcji „Dokumente”. Sekretarka wita się ze mną i mówi: – Dobrze, że pan już jest, bo tu się do pana telefony urywają... Ja zdziwiony: – Nie znam nikogo w Kolonii... – Dzwoni pan Tavor... – A kto to jest pan Tavor? – Pan Tavor jest szefem izraelskiej placówki handlowej w Kolonii... Po chwili zadzwonił pan Tavor, aby zaprosić mnie na niesłychanie wykwintny lunch. Okazało się, że pochodzi z Brna, nawet mówi trochę po polsku. I rozmawialiśmy przyjaźnie: człowiek z Warszawy z człowiekiem z Brna... Pytam go, skąd wiedział, że będę w redakcji „Dokumente”. Odpowiedział, że z centrali, to znaczy z Jerozolimy, i dodał, że gdybym cokolwiek potrzebował, to mam bez chwili wahania do niego zatelefonować. Ale pan Tavor nie musiał mi w niczym pomagać, bo redakcja „Dokumenten” przygotowała mi świetny program.

W 1965 roku toczył się we Frankfurcie tzw. drugi proces oświęcimski. Przed sądem stanęło szesnastu funkcjonariuszy SS i jeden kapo. Sąd skazał sześciu oskarżonych na dożywocie, ale resztę potraktował nader łagodnie. Przewodniczący sądu mówił, że idzie o „zwykły osąd czynów kryminalnych, bez względu na ich tło”, w sytuacji, w której dla byłych więźniów i ich rodzin przedmiotem sprawy były czyny ludobójcze. Hannah Arendt komentowała: „Byłoby nie fair obwinianie większości Niemców o brak entuzjazmu dla zgodnego z prawem karania nazistowskich przestępców, bez przypomnienia faktu znaczącego dla epoki Adenauera. Nie jest bowiem tajemnicą, że na wszystkich szczeblach admini-

stracji Niemiec Zachodnich pełno byłych nazi”. Tu padał przykład Hansa Globkego, autora komentarzy do rasistowskich ustaw norymberskich, który, uniknąwszy denazifikacji, został bliskim doradcą Konrada Adenauera.

Śledziłem uważnie przebieg procesu, który toczył się od 1963 roku. Uważałem, że uznanie tych zbrodni za czyny kryminalne zmierza do zatarcia istoty zjawiska w pamięci przyszłych pokoleń. Takim zabiegom trzeba było się przeciwstawić i ja to zrobiłem, pisząc *Warszawski pierścień śmierci*, publikując materiały, w których wyrazisty był związek między przyczyną, to znaczy zbrodniczą ideologią nazizmu, i skutkiem, to znaczy ludobójstwem...

Ale jest też druga strona tego medalu. Od października 1963 roku, a więc od momentu, w którym kanclerzem RFN został Ludwig Erhard, było oczywiste, że stary Adenauer zbudował mocną konstrukcję demokratycznego państwa prawa, w którym biurokracja rządowa służy republice, nie zaś swym ideologicznym namiętnościami.

Od razu powiem, że uważam Konrada Adenauera za najwybitniejszego polityka niemieckiego w XX wieku...

A kto po nim?

Helmut Kohl. A po nim chyba Willy Brandt, który niewątpliwie wyrażał ponad przeciętność i jako człowiek i polityk socjaldemokratyczny, romantyczny...

Adenauer? On myślał katolicko, narodowo i konserwatywnie. Właśnie w tej kolejności. To ważne. Był żarliwym synem Kościoła. Był człowiekiem z Nadrenii, co stale podkreślał, ukazując przy tym najgłębszą niechęć do Prus, do ich ambicji marszu na wschód, do kultu wojny, do nacjonalizmu... Jego koncepcje wypracowane już pod koniec lat dwudziestych, myślę o idei niemiecko-francuskiej wspólnoty węgla i stali, miały u swoich podstaw troskę o pokój – po doświadczeniach wojny francusko-pruskiej i pierwszej wojny światowej. Trzeba było drugiej wojny światowej, by chrześcijańska idea zjednoczonej Europy, idea współtworzona przez Adenauera, zyskała szanse realizacji... Pojednanie francusko-niemieckie, które zapoczątkowali Konrad Adenauer z Nadrenii i Robert Schuman z Lotaryngii, stało się początkiem naprawy Europy.

W 1965 roku Niemcy przeżywały czas świetności gospodarczej. Był to wynik reform, wprowadzonych przez Ludwiga Erharda piętnaście lat wcześniej. Były to reformy bolesne, traktowane przez społeczeństwo z niechęcią, wymuszające ciężką pracę i odstąpienie od dawnych przyzwyczajeń, ale spowodowały, że między 1950 i 1960 rokiem średni roczny wzrost wynosił ponad 4 procent. Potem tempo nieco spadło, wtedy Erhard, następca Adenaura na stanowisku kanclerza, oświadczył: „Albo ograniczymy nasze oczekiwania, albo zaczniemy ciężiej pracować. Podstawą dobrobytu była, jest i będzie praca!”. To jest także myślenie Leszka Balcerowicza... I Erhard, tak jak dziś Balcerowicz, był krytykowany przez tych, którym wydaje się, że państwo jest dojną krową...

Mój gospodarz, redaktor naczelny „Dokumente” Heinz Linnerz, umożliwił mi poznanie Niemiec, których istnienia trudno było się domyślić na podstawie prasy PRL... To było zaskakujące, można powiedzieć, że wspaniale. Rozmawiałem z Klausem von Bismarckiem, prawnikiem „żelaznego kanclerza”. Bismarck, za młodu członek Stahlhelmu, pravicowej, nacjonalistycznej organizacji paramilitarnej, w czasie drugiej wojny światowej dowódca batalionu, odznaczony Krzyżem Rycerskim z liśćmi dębowymi, był od 1960 roku intendentem Westdeutsche Rundfunk, świetnej organizacji radiowo-telewizyjnej. Jednocześnie działał w Deutschen Evangelischen Kirchentages, czyli Ewangelickich Dniach Kościoła.

Był przewodniczącym Dni w latach 1977–1979...

Tak. A od 1977 prezydentem Instytutu Goethego. Odwiedzał Polskę. Poznałem go w Krakowie, po 1956 roku, poszliśmy na przedstawienie Piwnicy pod Baranami. Wtedy też spotkałem się po raz pierwszy z „czerwoną” hrabiną Marion von Dönhoff. Klaus von Bismarck – też nazywany „czerwonym” – był zwolennikiem pojednania z Polską i uznania granicy na Odrze i Nysie, za co atakowała go niemiecka prawica, także w kręgu rodzinnym, bo jego rodzony brat Philip, działacz Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU), był jednym z przywódców ziomkostwa pomorskiego, obejmującego Szczecin, Koszalin i Słupsk. Po 1989 roku książę Philip zmodyfikował jednakże poglądy, założył fundacje finansujące rozwój polskiego Pomorza... W latach osiemdziesiątych bywałem z żoną u państwa von Bismarck. Znajomość, która przetrwała prawie czterdzieści lat. Klaus zmarł w 1997 roku, Philip w 2006 roku.

W redakcji „Dokumente” poznałem Paula Schallücka, socjaldemokratę, autora powieści, z której przynajmniej jedna – *Engelbert Reineke* – została wydana w Polsce, krytyka, eseistę, członka Grupy 47. Schallück, mój rówieśnik, służył w 1944 roku w Wehrmachcie. Studiował historię i filozofię w Münsterze, a w 1958 roku współtworzył Kolońskie Towarzystwo Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej. Dzięki Schallückowi poznałem Fritza Erlera, przewodniczącego frakcji parlamentarnej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) w Bundestagu, który za udział w antyhitlerowskim ruchu oporu został skazany w 1938 roku na dziesięć lat i siedział w obozach koncentracyjnych do końca wojny. Mówiliśmy o żywym niebezpieczeństwie faszyzmu, o antysemityzmie, o doświadczeniach obozowych. I to było dla mnie odkrywanie Niemiec, których nie znałem.

Septyczny liberalny intelektualista Paul Botta z Westdeutscher Rundfunk i Schallück umożliwili mi spotkanie z Heinrichem Böllem. Rozmowa trwała parę godzin. Od razu się polubiliśmy. To był typowy Nadreńczyk, pogodny, łagodny i dowcipny. Nie znosił niemieckiego szowinizmu, nie znosił Prus, nie znosił wojska. W 1938 roku powołano go do służby jednorocznej, ale w Wehrmachcie musiał zostać przez następnych sześć lat, aż w końcu sam się zwolnił, po prostu uciekł. Znałem jego książki, w których opisywał przede wszystkim rozpacz chrześcijanina-pacyfisty uwikłanego w wojnę. On z kolei lubił słuchać o moich doświadczeniach. Nasze kolejne spotkania były sprawiedliwą wymianą dowcipów, anegdot, historyjek, jak to między przyjaciółmi. Bardzo się cieszyłem, gdy w 1972 roku otrzymał literacką Nagrodę Nobla...

W 1983 roku Heinrich Böll mówił w audycji radiowej o pana książce *Herbst der Hoffnungen*: „Podtytuł książki – »Warto być przyzwoitym« – wymaga w języku niemieckim pewnego komentarza. Przez przyzwoitość rozumie się w tym przypadku godność, honor, wytrwałość, opór; wytrwać, nie sprzeniewierzyć się sobie, iść uczciwą drogą człowieka, który nie ulega bez oporu i który jest niezdolny do oportunistów. Pod tym pojęciem – wydaje mi się – nie rozumie się potocznej mieszczańskiej przyzwoitości, która wszystko zniesie i wszystko pozwala z sobą zrobić, która się nagnie i ugnie. Warto by poświęcić osobny tekst tym dwóm rodzajom przyzwoitości i pomedytować nad nimi. Co niektórzy rozumieją pod

pojęciem »przyzwoity«, to nie to samo, co Bartoszewski rozumie pod pojęciem »przyzwoity Polak«.

To jest pytanie?

Nie. Szukam ścieżki, która nas poprowadzi do konkluzji.

Idźmy więc dalej. W 1965 roku poznałem profesora Otto Rögele, w latach 1949–1963 redaktora naczelnego „Rheinischer Merkur”, wydawcę „Wochenzeitung”. Kilka lat później Rögele współtworzył – między innymi z młodym teologiem katolickim Josephem Ratzingerem – periodyk katolicki „Communio”. Działał w Centralnym Komitecie Katolików Niemieckich. Od 1974 roku był dziekanem wydziału nauk społecznych na monachijskim uniwersytecie Ludwiga-Maksymiliana. Jego młodszym kolegą był Hans Maier, chrześcijański politolog, który w latach późniejszych sprawował ważne funkcje w rządzie bawarskim i został prezydentem Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich. W 1966 roku obaj odegrali istotną rolę w tworzeniu Bensberger Kreis, grupy, która wyłoniła się ze Stowarzyszenia Katolickiego Laikatu Pax Christi (można ją porównać do środowiska polskich Klubów Inteligencji Katolickiej). Pod memorandum Bensberger Kreis w sprawie pojednania niemiecko-polskiego widnieje także podpis przyszłego papieża Benedykta XVI, wtedy profesora teologii dogmatycznej na uniwersytecie w Tybindze. Wydaje mi się, że także w czasie mojej pierwszej podróży do Niemiec poznałem Reinholda Lehmana, działacza, potem sekretarza generalnego Pax Christi, przewodniczącego Maximilian-Kolbe-Werk (Dzielo Maksymiliana-Kolbe), stowarzyszenia niosącego pomoc między innymi finansową i medyczną w krajach, które w czasie drugiej wojny światowej znajdowały się pod okupacją hitlerowską. Zmarły w 1998 roku Reinhold był młodszym bratem Karla, to znaczy kardynała Karla Lehmana.

Ludzie mówią, że jest pan dzieckiem szczęścia.

No, może jestem... A na czym miałyby to polegać?

Na tym, że spotykał pan odpowiednich ludzi w odpowiednim czasie.

Przecież tego nie wie się z góry. Los daje szansę, a potem trzeba nad nią pracować. Tak się złożyło, że byłem w Niemczech w 1965 roku, w czasie, w którym poważni ludzie z CDU i SPD zaczęli myśleć o porozumie-

niu niemiecko-polskim. Jesienią 1965 roku z memorandum w tej sprawie wystąpił niemiecki Kościół ewangelicki. Wkrótce ze strony biskupów polskich padły historyczne słowa „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”...

Mam w pamięci masowe protesty, oburzenie polskich mas katolickich...

Wielu katolików nie zrozumiało głębokiego, dziejowego znaczenia tych słów. Jest natomiast pewne, że list polskich biskupów bardzo pobudził niektóre środowiska katolików niemieckich, jak Pax Christi czy Centralny Komitet Katolików Niemieckich. Pod koniec lat sześćdziesiątych można już było mówić o mocnych ramach współdziałania z Pax Christi. Powstały tak zwane „Znakseminaren” lub „seminaria oświęcimskie”, które zaczęły się w Oświęcimiu i odbywały na przemian w Polsce i w RFN. Uczestniczyłem w nich w Polsce, ale do RFN, z braku paszportu, nie zawsze udawało mi się wyjechać. Seminariami interesował się kardynał Wojtyła, który przyjechał do Tyńca na poważną rozmowę z uczestnikami jednego z nich. Zachęcał mnie do kontynuowania wysiłków w czasie rozmów, jakie miałem szczęście z nim odbyć. W 1977 roku byłem w Niemczech i rozmawiałem wtedy z księdzem prałatem Homayerem, sekretarzem Episkopatu, który mnie prosił o przekazanie kardynałowi Wojtyle pewnych informacji i ocen. Mogłem to zrobić osobiście i jeszcze raz się przekonać, jak ta współpraca leżała mu na sercu.

Dwadzieścia jeden lat później Hans Maier mówił w laudacji z okazji wręczenia panu we Frankfurcie Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich: „Nowe zbliżenie Polaków i Niemców zawdzięczamy w dużej mierze udziałowi człowieka, któremu mamy okazję złożyć dzisiaj hołd. On jako jeden z pierwszych zaczął szukać porozumienia z Niemcami, szczególnie uwagę poświęcając młodemu pokoleniu, które przyszło na świat podczas wojny lub po niej. Kiedy w 1965 roku po raz pierwszy przyjechał do RFN – poznałem go wówczas w Monachium – nie dosyć mu było rozmów z młodymi ludźmi. Z powściągliwą sympatią pisał w »Tygodniku Powszechnym« o nowym pokoleniu niemieckiej młodzieży, o ich wyglądzie, zmianie sposobu życia, niewymuszonej pewności siebie, o uprzejmości i przyjaźni okazywanej cudzoziemcom, o cechach, którym ustąpiła miejsca wcześniejsza arogancja”.

Rzeczywiście pisałem z powściągliwą sympatią, która wkrótce została całkowicie powściągnięta przez cenzora oświadczeniem, że nie puści kolejnych artykułów o RFN w „Tygodniku Powszechnym”.

A co z Wolną Europą?

To już było po „Liście 34”, w okresie ofensywy Moczara i jego czerwono-brunatnych współników, toteż sporo było do opisanego i omówienia. Więc na przykład zatrzymałem się na parę dni w małym hoteliku w Garmisch Partenkirchen. W sąsiedztwie zatrzymali się państwo Żenczykowski. Od czasu do czasu Żenczykowski wyjeżdżał do Monachium, a zjawiał się Jan Nowak-Jeziorański, wieziony przez zaufanego kierowcę, księdza Tadeusza Kirschke... I w ten sposób w latach 1965–1968 Wolna Europa otrzymała dokumentację sprawy Niny Karsov i Szymona Szechtera, sprawy Kazimierza Moczarskiego, no, dużo tego było.

A ciekawe, że SB na to nie trafiła. Jedyne bezpieczniackie opisy moich zagranicznych spotkań jest nieprawdziwy. Otóż agent SB raportował z Rzymu w 1968 roku, że państwo Bartoszewscy spotykali się z Nowakiem-Jeziorańskim i Aleksandrą Stypułkowską. Widać nieszczęśnik był mało kompetentny, bo ja nigdy nie widziałem się z Jeziorańskim w Rzymie, panią Stypułkowską zaś poznałem znacznie później, w Londynie. Po prawdzie to państwo Bartoszewscy spędzili kilka dni na długich rozmowach i spacerach ze Stefanem i Zofią Korbońskimi.

11. BRUDNA PIANA, CZYSTY NURT

BYŁA TO CAŁKOWITA I OSTATECZNA KOMPROMITACJA KOMUNIZMU. Z KTÓREGO SPŁYŃĘŁY HUMANISTYCZNE FRAZESY, UJAWNIŁA SIĘ ZAŚ NAGA PRAWDA. PRAWDZIWE. POTWORNE OBLICZE. BO TERAZ STAŁO SIĘ OCZYWISTE, JAWNE, ŻE KOMUNIZM ZMIERZA DO PRZEKSZTAŁCENIA NARODU W CIEMNĄ PLEMIENNĄ MASĘ... A ANTYSEMITYZM JEST TU SKUTECZNYM NARZĘDZIEM.

Książka *Ten jest z ojczyzny mojej* ukazała się na przełomie lat 1966 i 1967 nakładem wydawnictwa Znak, zyskując wielki rozgłos i w kraju, i za granicą. Rzecz ciekawa, że z takim samym zachwytem pisał o niej na łamach paryskiej „Kultury” Michał Borwicz, uratowany przez „Żegotę” uciekinier z getta, potem oficer AK, w londyńskiej „Kronice” Klaudiusz Hrabyc, niezłomny endek usługujący Moczarowi, a także rozczarowany komunizmem Stanisław Wygodzki w „Polish Perspectives”, Jerzy Turowicz w „Tygodniku Powszechnym” i, proszę wybaczyć, Tadeusz Kurw w „Prawie i Życiu”...

Dodajmy opinię, którą znalazłem w materiałach archiwalnych MSW: „Śledząc życiorys Bartoszewskiego w ostatnim 25-leciu, stwierdzić należy, że rzeczywiście konsekwentnie wykorzystuje on każdą możliwość do działalności antykomunistycznej, dostosowując jej formy i metody do aktualnej sytuacji politycznej w kraju. Wymienić tu można chronologicznie Delegaturę Sił Zbrojnych, WiN, PSL, po 1956 roku akcję w prasie zmierzającą do rehabilitacji kierownictwa i ideologii prawicowego podziemia w czasie okupacji, Klub Krzywego Koła, akcję odczytową pochwalającą stosunki kapitalistyczne, działalność proizraelską, współpracę z wywiadem izraelskim i radiem WE, eksponowanie podziemia londyńskiego w pisanych książkach. W działalności antykomunistycznej kieruje się zasadą: fortelu, a nie szabelką. Np. chcąc sobie zapewnić dobre stosunki z władza-

mi PRL, a przez to możliwość wyjazdów zagranicznych [...] podczas pobytu w Izraelu utrzymywał ścisły kontakt z ambasadą PRL [...]. Budowanie dobrych stosunków z władzami wzmógł w ostatnich latach na bazie napisanej przez siebie książki *Ten jest z ojczyzny mojej*, która w sposób niezamierzony stała się użyteczna w odpięciu syjonistycznych oszczerstw kierowanych przeciwko Polsce”... A serio mówiąc, wydanie książki nie było łatwe. Ministerstwo Kultury czyniło wydawnictwu Znak trudności z przydziałem papieru. Rzecz rozeszła się błyskawicznie, ale wydawca nie otrzymał zgody na drugie wydanie. Miało to związek z antysemicką hecą rozpętaną w Polsce w 1967 roku przez moczarowców.

Tytuł książki zaczerpnął pan z wiersza Antoniego Słonimskiego...

Bo ten wiersz oddaje istotę rzeczy...

Wie pan, ja nie jestem człowiekiem szczególnie skłonny do rozrzewnień, ale o Antonim Słonimskim zawsze myślę ze wzruszeniem. Od wczesnej młodości, od czasu kiedy przeczytałem *Lalkę*, bo przecież Antoni był synem doktora Stanisława Słonimskiego – pierwowzoru doktora Michała Szumana, przyjaciela Wokulskiego... To samo by już wystarczyło! Przyszła okupacja. W prasie podziemnej pojawił się wiersz Słonimskiego *Alarm*. Po wyjściu z Auschwitz z przejściem czytałem fragmenty poematu *Popiół i wiatr* przyniesione przez Hankę Czaki. W 1942 roku wpadł mi w ręce tomik *Werble wolności* z wierszem *Wszystko*, w którym był zarysowany sens moralny naszych wysiłków wojennych. Przeczytałem i zapamiętałem:

Nie, by rządzić innymi
Lecz by w domu z swoimi
Sprawiedliwie przelamać się chlebem.
Wyjść na drogę i czyste
Witać niebo gwiaździste,
I spokojnie spać pod tym niebem.

Wiersz rozzłościł moich imperialnych kolegów ze „Sztuki i Narodu”. Napisali o Antonim sporo słów niemądrych i niemilych.

W początkach lat sześćdziesiątych uczestniczyłem na zaproszenie Jana Józefa Lipskiego w wieczorach Klubu Krzywego Koła, instytucji ważnej dla warszawskiego życia kulturalnego, nękaniej przez SB, aż w końcu zli-

kwidowanej. W styczniu 1962 roku zostałem – wraz z Leszkiem Kołakowskim i Henrykiem Stażewskim – laureatem nagrody Klubu. Dyplom „Za zasługi dla kultury narodowej” wręczał mi Paweł Jasienica, prezes KKK. Na dyplomie widniały też podpisy Stanisława Ossowskiego, Tadeusza Szturm de Sztrema, Zygmunta Mycielskiego, Jana Józefa Lipskiego i Antoniego Słonimskiego. Aż przyszedł rok 1968. Zaprzyjaźniony już wtedy z poetą, otrzymałem od niego tom *Jawa i mrzonka* z dedykacją: „Towarzyszowi walk na pograniczu jawy i mrzonki”...

Z jaką datą?

11 lutego 1968...

Po ostatnim przedstawieniu Dejmkowych *Dziadów*, a przed słynnym zebraniem Związku Literatów Polskich, na którym przyjęto rezolucję potępiającą cenzurę...

Dostałem dwa bilety na to przedstawienie od kierowniczkii literackiej Teatru Narodowego, pani Haliny Zakrzewskiej, która za działalność w wywiadzie AK odsiedziała siedem lat. Była żoną Bernarda Zakrzewskiego, szefa kontrwywiadu Komendy Głównej AK.

Akurat do Warszawy przyjechał Kazimierz Ostrowski, moja żona wielkodusznie odstąpiła mu bilet.

Wolna Europa nadawała szczegółowe opisy tego spektaklu, demonstracji pod pomnikiem Adama Mickiewicza, potem zaś zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, które tak bardzo rozsierdziło Gomułkę i Kliszkę.

A owszem. W zebraniu ZLP nie mogłem uczestniczyć, bo nie byłem członkiem Związku. Dokładne sprawozdania otrzymałem od Kisiela, Jasienicy i Antoniego Słonimskiego.

Przewidywał pan, że to wszystko tak się potoczy?

Mówimy o szczegółach czy o szerszym procesie?

Zacznijmy od szczegółów.

8 marca 1968 roku prowadziłem cotygodniowe zebranie warszawskich współpracowników „Tygodnika Powszechnego” w mieszkaniu Anieli Urba-

nowiczojowej na Nowym Świecie. Obecny był – między innymi – Jerzy Zawieyski. Wiedzieliśmy, że na uniwersytecie szykuje się demonstracja studentów. Nagle wbiega Ewa Morawska, córka Stefana, marksistowskiego filozofa i Anny, działającej w „Znak-u” i w Klubie Inteligencji Katolickiej. Pobita przez milicjantów, boleśnie pobita. Opowiada o „aktywie partyjnym” uzbrojonym w pałki...

Część aktywu miała metrowe odcinki grubego kabła ołowianego...
Tak?

Odczułem na własnych plecach...

Pałkarska ideologia idzie z pałkarskimi metodami, jak zwykle. Następnego dnia w gazetach pojawiły się antysemickie komentarze. Posłowie „Znak-u” zaprotestowali. Potem ten upiorny spektakl z Gomułką w roli głównej w Sali Kongresowej w Pałacu Kultury... Oskarżenia pod adresem Antoniego Słonimskiego i Pawła Jasienicy. I ryk motłochu... Ale dla mnie to była tylko konsekwencja wcześniejszych wydarzeń. To zaczęło się od likwidacji „Po prostu” i rozpadzenia demonstracji studenckich. Potem zamknięcie Klubu Krzywego Koła w 1962 roku. Tam zbierali się ludzie szerokich horyzontów: Jan Józef Lipski, harcerz, AK-owiec, utopijny socjalista, Aleksander Małachowski, Paweł Jasienica, bracia Jedliccy, Jan Olszewski, a że pojawili się tam też agenci SB, to trudno się dziwić. Potem „List 34” w 1964 roku. No i Moczar zaczyna ofensywę pod hasłami narodojowo-komunistycznymi, antysemickimi. I wybuchaj wojna sześciodniowa, w której Izrael odnosi wielkie zwycięstwo, a Związek Sowiecki zostaje upokorzony...

Ja zaś znów w nietypowej sytuacji – po części z przyczyn obiektywnych, po części z powodu własnej nieostrożności. Otóż Zenczykowski i Nowak-Jeziorański prosili mnie wielokrotnie, żebym uważał na siebie, nie wypowiadał się zbyt drapieżnie, unikał ryzykownych kontaktów, bo jestem dla nich niezastąpiony. Ale w czasie wojny sześciodniowej poszedłem z kwiatami do pierwszego sekretarza ambasady izraelskiej. Na schodach zatrzymał mnie oficer SB, pan Łabęcki... Zrobiło się niebezpiecznie.

A trzeba jeszcze pamiętać, że w marcu 1968 roku tygodnik „Polityka”, który stawiał opór moczarowcom, przyznał mi nagrodę za *Warszawski pierścień śmierci*. W związku z tą książką, w której opisałem między in-

nymi czyny Niemców poszukiwanych także za zbrodnie popełnione na zachodzie Europy, zaproponowano mi wyjazd do Holandii z delegacją Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Skorzystałem z okazji i pojechałem. Tam obskoczyli mnie dziennikarze z pytaniami o moczarowców, o antysemityzm w Polsce... Unikałem wyrazistych wypowiedzi. Wracam do Polski i dowiaduję się, że pan Józef Rybicki, szef warszawskiego Kedywu, człowiek szlachetny i mądry, opowiada, że się ześwi- niłem, bo zamiast powiedzieć jasno i otwarcie, zdałem się na uniki. Ale pan Rybicki nie wiedział, że w czasie tego wyjazdu co dzień odbywałem dwugodzinne rozmowy telefoniczne z Wolną Europą, po nocach zaś pisa-łem sprawozdania dla Żenczykowskiego o SB, o ZBoWiD-zie, o ludziach z AK, którzy odstąpili od ideałów demokracji i niepodległości za miskę so- czewicy od Moczara...

Z żalem i smutkiem zęgnąłem przyjaciół, którzy zdecydowali się na emigrację – Aleksandra Drożdżyńskiego, Stanisława Wygodzkiego, Lucja- na Dobroszyckiego, Zygmunta Grossa i jego żonę... Z drugiej jednak stro-ny – i to jest chyba nietypowe – uważałem, że w sumie stało się coś do- brego... Dobrego? Nie, to nie jest właściwe słowo. Stało się coś, co się powinno stać. Była to całkowita i ostateczna kompromitacja komunizmu, z którego spłynęły humanistyczne frazesy, ujawniła się zaś naga prawda. Prawdziwe, potworne oblicze. Bo teraz stało się oczywiste, jawne, że ko- munizm zmierza do przekształcenia narodu w ciemną plemienną masę... A antysemityzm jest tu skutecznym narzędziem.

I jeszcze na dodatek moczarowcy podjęli próbę wykorzystania moich książek przeciwko posłom „Znak-u”, którzy zaprotestowali w Sejmie prze- ciw marcowym działaniom MSW... Bardzo to charakterystyczny incydent.

Czy mówimy o notatce *Szczypta prawdy posła Łubieńskiego w „Życiu Warszawy”*?

Tak.

Oto ona! „Ma rację poseł Łubieński, powołując się z dumą na wyda- nie przez »Znak« książki Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny *Ten jest z ojczyzny mojej*, książki – co tu dużo mówić – będącej jednym z nielicznych na razie autorytatywnych dokumentów o pomocy udzielanej Żydom przez naród polski. Książka ta stała się bestsellerem i w krót-

kim czasie znikła z półek księgarskich. Ale poseł Łubieński, reklamując wydawnicze osiągnięcie „Znak-u”, powiedział tylko część tego, co mógł powiedzieć. Nie dodał np., że „Znakowi” zabrakło chęci albo ambicji, by wydać inną książkę tego autora, również z lat okupacji, tyle że dotyczącą losów Polaków, mieszkańców Warszawy, *Warszawski pierścień śmierci*. Toteż ta druga pozycja ukazała się już nie nakładem „Znak-u”, lecz Polskiej Agencji Interpress”. Panie Władysławie, myślę, że ten tekst nie jest w pełni zrozumiały dla współczesnego czytelnika. Czy mogę przetłumaczyć z polskiego 1968 roku na polski 2006 roku?

Proszę...

Więc to by brzmiało tak... Katolickie wydawnictwo „Znak” znalazło czas i pieniądze na wydanie książki o Żydach, ale na wydanie książki o Polakach to już nie, co jest kolejnym przykładem antypolskiej postawy określonych kręgów... Wylazło syjonistyczne sztyldło z reakcyjnego wora, albo na odwrót, z syjonistycznego wora wylazło reakcyjne sztyldło. Władysław Bartoszewski przekazał książkę *Warszawski pierścień śmierci* słusznemu wydawnictwu PA Interpress, słusność zaś tego wydawnictwa polega na tym, że jest patriotyczne, antysyjonistyczne, bo powołane przez SB i obsadzone przez ludzi bezpieki oraz Wojskowej Służby Wewnętrznej...

Przekład jest trafny... „Znak” zgłosił chęć wydania mojej książki w 1961 roku i dostał dwukrotnie kategoryczną odmowę z Ministerstwa Kultury. W związku z tym w 1962 roku podpisałem umowę z Zachodnią Agencją Prasową, która w 1967 roku została przekształcona w Interpress... Ale jesteśmy w 1968 roku... Znak zwraca się o przydział papieru na drugie wydanie *Ten jest z ojczyzny mojej*. Przychodzi warunkowa zgoda. Można wydać, ale pod innym tytułem i bez żadnej wzmianki o Antonim Słonimskim, który został obłożony wszystkimi możliwymi zakazami cenzury. Antoni śmieje się i mówi: – Zmień tytuł i wydaj! Ja na to: – Nie, chcę być szlachetniejszy... No i w końcu książka ujrzała światło dzienne, z wierszem-mottem, tak jak trzeba. I jakiś czas potem dostałem jego *Jedną stronę medalu* z dedykacją: „Temu, który jest z ojczyzny mojej”. Był człowiekiem wielkiej delikatności i mocnych, prawych zasad...

Słonimski i Jasienica namawiali mnie, bym wstąpił do Pen Clubu. Złożyłem podanie. Prezesem był wtedy Jan Parandowski, Jasienica jednym z wiceprezesów, Słonimski członkiem zarządu, więc mnie przyjęto,

a w grudniu 1969 roku zostałem wybrany do zarządu w wolnych, demokratycznych wyborach. Zacząłem tam działać, chyba dosyć energicznie, bo w 1972 roku wybrano mnie na sekretarza generalnego polskiego Pen Clubu, akurat wtedy, gdy Heinrich Böll został laureatem Nagrody Nobla...

Z Antonim podpisywaliśmy apele i protesty. Pierwszy – jeśli pamięć mnie nie myli – dotyczył ułaskawienia skazanych w 1971 roku działaczy „Ruchu”, braci Czumów, Stefana Niesiołowskiego.

Dziesięć lat potem został pan osadzony w ośrodku internowania w Jaworzu wraz ze Stefanem Niesiołowskim.

Wtedy dopiero poznałem go osobiście.

Dla kronikarskiego porządku pozwolę sobie na skok w czasie – aż do jesieni 1996 roku, gdy biskup Essen, ks. Hubert Luthe, przyznał panu Nagrodę im. Heinricha Braunsa. Odezwało się wówczas kilku wykładowców Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – pisząc list do biskupa Essen: „Z Telewizji Polskiej i z gazet doszła nas wiadomość, że p. Władysławowi Bartoszewskiemu została przyznana [...] nagroda im. Heinricha Braunsa. Wydarzenie to samo w sobie nie zasługuje na większą uwagę, wątpliwości wzbudza jednak uzasadnienie tego wyróżnienia. Podstawą jego mają być zasługi p. Bartoszewskiego dla katolickiej nauki społecznej. Wyłącznie ta okoliczność, nawet nie przywłaszczenie sobie tytułu profesorskiego przez człowieka, który może co najwyżej legitymować się maturą, skłania nas do wyrażenia Ekscelencji naszego ubolewania z powodu tego, co się stało. Bowiern powszechnie wiadomo, że p. Bartoszewski jest w dziedzinie katolickiej nauki społecznej kimś całkowicie nieznanym [...]. Podobnie jest z niemiecko-polskim zbliżeniem, dla którego wielu trzodzi się słowem i czynem, ale tylko ludzie ze środowisk liberalnych potrafią przebić się na arenę publiczną. Powstaje jeszcze tylko pytanie, co chce osiągnąć katolicyzm zarówno tu, jak i w Niemczech, skoro takim osobistościom nadaje rangę przykładu”.

I co pana zastanawia?

Po pierwsze – niechęć do prawdy. Był pan profesorem Uniwersytetu w Augsburgu i Uniwersytetu Ludwiga-Maksymiliana w Monachium... Po wtóre – kontrast między treścią i tonem tego wystąpienia a laudacją, którą

z okazji przyznania panu tej nagrody wygłosiła przewodnicząca Bundestagu, profesor Rita Süßmuth: „Wyróżnienie to honoruje bezprzykładne życie człowieka, który w najcięższych czasach pozostał wierny swoim chrześcijańskim przekonaniom, niestrudzenie wstawiał się za upokorzonymi bliźnimi oraz angażował się gorliwie w pojednanie między narodami”.

Rzeczywiście, jest kontrast...

Wtedy odezwał się profesor Niesiołowski: „List dziesięciu profesorów KUL-u jest moim zdaniem tyleż przejawem złej woli, co zwykłej zawiści, najpewniej głupoty. Władysława Bartoszewskiego poznałem w miejscu, w którym weryfikacja ludzkich postaw i charakterów dokonuje się szybko i bezbłędnie – w obozie internowanych w Jaworzu w grudniu 1981 roku. Internowani z całej Polski działacze NSZZ „Solidarność” i antykomunistycznej, demokratycznej opozycji wybrali W. Bartoszewskiego, o ile pamiętam jednogłośnie, na swojego przedstawiciela do rozmów z wojskowym komendantem i reprezentowania naszych spraw. Pamiętam fascynujące wykłady z najnowszej historii Polski wygłaszane przez profesora Bartoszewskiego w ramach naszego Uniwersytetu internowanych, nazywanego także Uniwersytetem in exile, którego rektorem był nieżyjący już ś.p. Roman Zimand [...] Władysław Bartoszewski był więziony przez nazistów w Oświęcimiu i przez komunistów w czasach stalinowskich w najcięższych więzieniach, między innymi w Rawiczu. Zapisał piękną kartę walki o Polskę z bronią w rękę, każdego dnia okupacji niemieckiej ryzykował życie dla wolnej i niepodległej Polski. Jest jednym z tych nielicznych już bohaterów, który we wszystkich okresach powojennej historii pozostał nie tylko człowiekiem przyzwoitym, ale i wzorem dla innych. Aktywnie uczestniczył w działaniach demokratycznej opozycji. Był sygnatariuszem wszystkich chyba petycji i listów otwartych w obronie wolności i praw obywatelskich, przeciw represjom i przemocy. Nigdy nie zapomnę, panie Władysławie, że to Pan w 1974 roku podjął inicjatywę na rzecz uwolnienia z więzienia mnie, braci Andrzeja i Benedykta Czumów i pozostałych więźniów politycznych z organizacji „Ruch”. [...] Drogi Panie Władysławie, to dla mnie zaszczyt znać Pana. Pamiętam nasze spacerowanie nad zamrażającym, zasypanym śniegiem jeziorem w Jaworzu, pamiętam nasze dyskusje i nadzieje, które znowu razem z Polską zostały wepchnięte w błoto. Ale przecież,

jak Pan wie najlepiej, wychodziliśmy nie z takich zagrożeń. Niech Pan się nie przejmuje i nie martwi. Myślę, że potrafi Pan spojrzeć na tę próbę zniesławienia Pana z właściwym Panu poczuciem humoru i dystansem”. I co pan na to?

Warto być przyzwoitym...

Pan przyjaźnił się z Pawłem Jasienicą...

Blżej poznałem go dzięki mojej żonie, która jako zastępca redaktora naczelnego w PIW-ie wydawała jego książki. Cenilem jego prace, a moja żona dzielnie o nie walczyła, gdy pojawiały się kłopoty z cenzurą.

Byłem razem z nim w marcu 1965 roku w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, gdy nagle zmarła jego żona.

Po paru latach ponownie się ożenił. To było już po marcu 1968...

Do końca życia nie zapomnę Władysława Gomułki, który krzyczał do kamer telewizyjnych... Mam tutaj fragment przemówienia: „Zarówno w przygotowaniu zebrania warszawskich pisarzy i jego przebiegu, jak i w inspirowaniu i organizowaniu młodzieży akademickiej do wystąpień rzekomo w obronie *Dziadów* i twórczości Mickiewicza jedną z czołowych ról odegrał Paweł Jasienica. Jego prawdziwe nazwisko brzmi inaczej. Nazywa się on Leon Lech Beynar. Co to za osobnik? W lipcu 1948 roku Paweł Jasienica został aresztowany w Krakowie. W toku śledztwa udowodniono mu przynależność do bandy »Łupaszki«, do której wstąpił po zdezerterowaniu z Wojska Polskiego i w której pozostawał do sierpnia 1945 roku, pełniąc początkowo funkcje adiutanta, a następnie zastępcy dowódcy bandy”... i potem słowa, że śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone „z powodów, które są mu znane”. A ja, siedząc przed telewizorem, poczułem się tak, jakby Gomułka wychylił się z ekranu i pluł mi w twarz... Jasienica nie mógł się bronić.

Bardzo to przeżywał...

Wiosną 1970 roku dowiedzieliśmy się, że jest chory. Odwiedziłem go w szpitalu. Stałem na korytarzu z pułkownikiem Rzepeckim, gdy z sali wyszła pani Zofia, zwana Neną, żona Jasienicy. Podeszła, by się przywitać, i wkrótce się oddaliła. A wtedy Rzepecki spojrzal na mnie i pyta: – Co ty o niej sądzisz? – No, zgrabna – odpowiadam. – A tak w ogóle? – Pytasz, czy go kocha? – zapytałem. Rzepecki na to: – Pytam, czy kapo, czy nie ka-

po? – A jak ty myślisz? – Ja nie myślę – odpowiedział mój były szef z BIP. – Ja dopuszczam taką możliwość...

Miał rację.

Potem, kiedy już było wiadomo, że choroba jest nieuleczalna – a sprawę konsultował między innymi mój przyjaciel Julian Aleksandrowicz, profesor medycyny, były oficer AK – Jasienica poprosił, żebym do niego jak najszybciej przyszedł. Był roztrzęsiony, prawie płakał... – Był u mnie Melo... – mówi.

Wańkowicz?

Wańkowicz. – Był Melo i mówi tak... Słuchaj, ty jesteś chory, nie wiadomo, czy będziesz mógł to napisać, więc mi powiedz, czy byłeś kapusiem czy nie, prawdę mówił Gomulka czy kłamał? I Jasienica pyta mnie: – Co mam robić? Jeśli stary znajomy tak się zachował, to co inni ludzie o mnie myślą?... Rozpacz. Usiłowałem go pocieszyć, ale jakie może być pocieszenie w takiej sytuacji?

W sierpniu 1970 roku pojechałem z żoną na urlop do Zakopanego. Nasze spacery z Janem Józefem i Marutą Lipskimi były pilnie obserwowane, fotografowane. Jacyś panowie biegali za nami, pocili się. Wczesnym rankiem dzwoni siostra Jasienicy: – Paweł umarł w nocy. Miał do pana szczególne zaufanie, więc proszę, żeby pan zajął się pogrzebem... – A co na to jego żona? – Ale to ja pana proszę!... Natychmiast wróciłem do Warszawy. Wraz z pułkownikiem Rzepeckim i mecenasem Siłą-Nowickim byłem przy zamykaniu trumny. Nena włożyła do niej ryngraf z Matką Boską Ostrobramską, egzemplarz *Polski Jagiellonów*. Wyszliśmy. A ona – jak się okazało po latach – zasiadła do pisania raportu...

Zająłem się organizacją pogrzebu. Przemawiał Rzepecki. I Stomma. I Jerzy Andrzejewski. I Siła-Nowicki. A bardzo też chciał Wańkowicz, rwał się, ale do tego nie dopuściłem...

Wkrótce spotkało mnie pasmo kłopotów osobistych. 11 września 1970 roku zmarł mój ojciec. Pięć lat wcześniej dotknął go wylew, więc niby to sprawa nieuchronna, ale ciężko mi było. A trzy tygodnie później, 1 października o świcie wkroczyło do naszego mieszkania dwudziestu siedmiu funkcjonariuszy SB w celu przeprowadzenia rewizji.

Wcześniej doszła mnie wiadomość o zatrzymaniu dwóch moich znajomych, ale że w mieszkaniu nie było niczego, co mogłoby wzbudzać zaniepokojenie prokuratora, więc nie byłem szczególnie przejęty. Rewizja trwała

ponad dobę. Zabrali mi ciężarówkę książek angielskich, niemieckich, bardzo podniecili się na przykład faktem, że miałem *Mein Kampf* i *Der Mythos des zwanzigsten Jahrhunderts*, pokrzykiwali z satysfakcji, wzięli komplet „Kultury”, dziesiątki książek z dziejów AK oraz materiały archiwalne do *Warszawskiego pierścienia śmierci* i *Ten jest z ojczyzny mojej*. Otrzymałem nakaz codziennego stawiennictwa na przesłuchania, po kilku zaś tygodniach pani prokurator Maria Pancer postawiła mi zarzut kierowania siatką wywiadowczą Wolnej Europy na Polskę. A jak już usłyszałem, że kieruję siatką, to rozumiałem, że oni nic nie wiedzą. Toteż nasze rozmowy były monotonne. Powtarzałem zdanie, które brzmiało: „Odmawiam odpowiedzi na prowokacyjnie sformułowane pytanie”, i nic więcej. Trwało to w sumie dosyć długo, próbowano mnie nawet zwerbować, ale ja tę próbę skwitowałem żartem. Przez półtora roku trwała dyskusja między naczelnym prokuratorem Wojska Polskiego, Prokuraturą Generalną, Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i KC, co ze mną zrobić. Niewygodna sytuacja. Dla mnie, bo ciągaliby po przesłuchaniach, wydali zapis cenzuralny... Ale dla nich też. Czulem, że ich wiedza jest ograniczona, opiera się bowiem na zeznaniach trzech osób, które wiedziały o mnie bardzo mało. Jedna z nich, stara konspiratorka, po dziewięciu latach więzienia, przyznała się do wysłania jakichś moich materiałów do osoby prywatnej na Zachodzie, i tyle, a dwie osoby kompletnie pękły i naopowiadały – na swoje nieszczęście – sporo głupstw. O docencie S. mówił mi jego wuj, pułkownik Ludwik Muzyczka, że ma dobre intencje, bo wychowany niepodległościowo, w żadnym przypadku komunistycznie. I intencje miał z pewnością dobre. Prosił o kontakty z emigracją. Dałem mu je, nastając, żeby zniszczył wszystkie notatki z rozmowy ze mną. Nie zrobił tego. Posadzono go w celi z agentem, rozgadał się, a esbecy w czasie przesłuchań powtarzali mu jego własne słowa z celi, tak że w końcu uwierzył, że to ja zeznaję. Bardziej gadatliwa była pani E.D. Obydwoje inteligentni, a dali się tak łatwo podejść. Ale jak sobie myślę, że skoro w takich okolicznościach nie dość inteligentni bywali i biskupi, i profesorowie, i politycy, to dlaczego miałby być inteligentny docent, nawet jeśli jest wychowany niepodległościowo...

Na domiar wszystkiego pan S. po wyjściu z więzienia nieopatrznie przysłużył się SB, która rozpoczęła akcję dezinformacyjną na mój temat. MSW puszczało plotki, preparowało listy. Pewien zasłużony działacz niepodległościowy odwiedził docenta S. w Toruniu. Docent S. jął głądzić o mojej

współpracy z SB – trafiając na wdzięcznego odbiorcę. Obaj nie wiedzieli, że ich rozmowa jest nagrywana. Jej pełny zapis znajduje się w IPN.

Ale SB musiała mieć przecież jakiś trop...

Miała. W bliskim kręgu ś.p. Witolda Lisa-Olszewskiego, mego przyjaciela i informatora, działał tajny współpracownik. Z tego powodu w 1966 roku bezpieka zaczęła podejrzewać, że jestem jednym z krajowych informatorów Radia Wolna Europa. Jednym z... – ale żeby od razu mianować mnie przywódcą siatki ogólnopolskiej?!

Zakładali, że korzystam z pomocy ambasady USA i placówki handlowej RFN. A ja od początku wykluczyłem te kanały. Nie pracuję dla USA. Pracuję dla polskiej sekcji Radia Wolna Europa, którą kierują moi przyjaciele z AK. Główna droga prowadziła przez austriacki ośrodek kultury w Warszawie. Przychodziłem do dyrektora, prosząc, aby przekazał przesyłkę ode mnie dyrektorowi biura prasowego w urzędzie prezydenta Austrii. A Kurt Skalnik, bo to o niego chodzi, przesyłał rzecz dalej. Stara przyjaźń! Kiedy przyjeżdżałem do Wiednia, na lotnisku czekał samochód prezydencki z numerem rejestracyjnym W-1, wiozł mnie do Hofburgu. I tak się śmiesznie złożyło, że gdy premier PRL rozmawiał z socjalistą, kanclerzem Bruno Kreiskym, ja prowadziłem rozmowy z chadeckim prezydentem Rudolfem Kirchschränkerem i byłem uważnie słuchany, o czym SB nigdy się nie dowiedziała, a próbowała, próbowała...

Jesienią 1973 roku rozpoczął pan wykłady i konwersatoria na temat drugiej wojny światowej w katedrze Historii Nowożytnej Polski na Wydziale Nauk Humanistycznych KUL.

To był pomysł profesora Jerzego Kłoczowskiego... Na KUL pracowałem w sumie ponad dwanaście lat jako starszy wykładowca i opiekun ponad trzydziestu prac magisterskich... Kilku moich studentów osiągnęło prawdziwe sukcesy na polu publicznym, jak na przykład Bogdan Borusewicz, działacz KOR i Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, główny organizator sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej, obecnie zaś marszałek Senatu RP..

A tymczasem w 1974 roku znów wywołał pan skandal, zmuszając Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk do wydania decyzji,

która brzmiała: „Nie należy zwalniać bez konsultacji z kierownictwem żadnych recenzji lub omówień książek: a) *Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej* K. Kersten, b) *1859 dni Warszawy* – Wł. Bartoszewski, wyd. Znak...

Nie było żadnego skandalu. Wreszcie udało się wydać porządną kronikę okupacyjnych dziejów Warszawy, o której profesor Aleksander Gieysztor napisał w przedmowie, że jest książką „zupełnie podstawową” dla historyka. Ale recenzenci związani z Głównym Zarządem Politycznym Wojska Polskiego zarzucali mi „jednostronność”, to znaczy widzenie dziejów miasta przez pryzmat działalności AK. Ja bym powiedział, że widziałem sprawę zgodnie z rzeczywistymi proporcjami... Wkrótce sytuacja polityczna w kraju uległa pewnej zmianie, Polska podpisała w Helsinkach Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a tekst dotyczący „trzeciego koszyka” – z którego publikacją były na początku pewne kłopoty cenzuralne – mówił wyraźnie o poszanowaniu praw człowieka i podstawowych wolności łącznie z wolnością myśli, sumienia, religii i przekonań. Proszą tego konsekwencją było złożenie przeze mnie podpisu pod protestem przeciwko holdowniczym w stosunku do Związku Sowieckiego zmianom w Konstytucji PRL. Potem wszystko toczyło się dosyć szybko: demonstracje w czerwcu 1976 roku, powstanie Komitetu Obrony Robotników, organizacja podziemnego ruchu wydawniczego. W 1977 roku dostałem paszport. Pojechałem do Niemiec, gdzie wziąłem udział – z Heinrichem Böllem, Leszkiem Kołakowskim, Friedrichem Dürrenmattem i Zdenkiem Mlynařem – w dyskusji publicznej „Intelektualiści i polityka. Prawa człowieka”. Z Niemiec do Warszawy i zaraz skok przez Atlantyk – na zaproszenie Departamentu Stanu. Spotkałem Czesława Miłosza, Jana Karskiego i Jerzego Lerskiego. W drodze powrotnej – w grudniu 1977 roku – zatrzymałem się na tydzień w Londynie na oficjalne zaproszenie Foreign Office. 22 stycznia 1978 roku podpisałem deklarację założycielską Towarzystwa Kursów Naukowych. Moje wykłady na Uniwersytecie Latającym cieszyły się w latach 1978–1979 sporym powodzeniem – do tego stopnia, że za ogłoszony 2 października 1979 referat „Polskie Państwo Podziemne 1939–1945” zostałem ukarany grzywną przez kolegium do spraw wykroczeń. Tekst referatu niemal natychmiast wydała Niezależna Oficyna Wydawnicza.

12. CO W PANU JEST?

STANAŁEM PRZED ZUPEŁNIE NOWYM WYZWANIEM. SAMOTNIK, Z ZASADY ZDANY NA SAMEGO SIEBIE, DZIENNIKARZ, KOMENTATOR, MIAŁEM TERAZ UCZESTNICZYĆ W TWORZENIU POLITYCZNYCH FAKTÓW.

Komitet Obrony Robotników i Towarzystwo Kursów Naukowych działały zgodnie z „zasadą helsińską” – otwarcie, jawnie, podając nazwiska sygnatariuszy. Wiadomość o miejscu i godzinie pańskiego wykładu na Uniwersytecie Łatającym nie była tajna... Ale w tym samym okresie brał pan udział w przedsięwzięciu, które kierowało się regulami konspiracyjnymi... Mówi pan o Polskim Porozumieniu Niepodległościowym?

Tak. Może trochę przesadziłem z tą konspiracją... Mówmy raczej o daleko posuniętej dyskrecji. Skutecznej zresztą. W 1982 roku, już po mianowaniu Zdzisława Najdera dyrektorem Rozgłośni Polskiej Wolna Europa byłem przesłuchiwany „na okoliczność” PPN. – Czy słyszał pan o PPN? – Słyszałem. – Od kogo? – Czytałem. – Gdzie? – W rozmaitych wydawnictwach. – Zna pan Najdera? (A dodam, że Zdzisław Najder był w 1981 roku recenzentem mojej pracy doktorskiej). – Znam. – A skąd? – A przez Conrada. – Jakiego Conrada? – Josepha Conrada. – Najder był w PPN? – Nie wiem... Mało wiedzieli, bo na przykład nie zapytali o mego kolegę, działającego w PPN, a przed ogłoszeniem stanu wojennego widywałem się z nim dosyć często, wiedziałem, co robi, i domyślałem się, że jest obserwowany...

Rzeczywiście, nie ogarnęli sprawy... O PPN dowiedziałem się wczesnym latem 1976 roku, w okresie gdy funkcjonowały już rozmaite ugrupowania

opozycji demokratycznej. Dotarła do mnie ich deklaracja programowa, która różniła się od innych wystąpień opozycyjnych tym, że stawiając sobie za realny cel niepodległość Polski, podejmowała próbę myślenia programowego, wybiegającego poza doraźne spory, interwencje, protesty, skądinąd ważne... Jaka ma być Polska? Co z gospodarką? Jakie mają być stosunki z sąsiadami? Przeczytałem. Rzecz wyglądała poważnie. Zapytałem o PPN zaufanego przyjaciela, który od lat działał w opozycji, a mianowicie Jana Józefa Lipskiego, czy to aby nie prowokacja. Lipski odpowiedział, że domyśla się, kto to pisał – ludzie przyzwoici, więc nie ma mowy o prowokacji. I tyle. To pobudziło moją ciekawość dziennikarską. Kto to robi? Warto przecież wiedzieć. Ale też należało zachować ostrożność... I wtedy daje o sobie znać przypadek. Pewnego dnia do Pen Clubu przychodzi Zdzisław Najder, którego znalazłem dosyć powierzchownie jako krytyka literackiego, conradystę, pracownika „Twórczości”. Tym razem Najder bardzo konspiracyjnie wywołuje mnie z biura, wsadza do samochodu – co od razu upewniło mnie, że działa rozsądnie – i pyta, czy planuję jakąś podróż na Zachód. – A o co chodzi? Najder pyta, czy znam Karskiego. – Znam. – A Lerskiego? – Znam. – Czy mógłby pan ich poprosić, żeby potwierdzili, że PPN jest autentyczną grupą opozycyjną? Najder nie powiedział mi wtedy, że jest twórcą PPN. Przedstawił się jako rzecznik i zapytał, czy interesuje mnie współpraca z tą grupą. Owszem, interesuje. No i po przyjeździe do Austrii napisałem do Lerskiego o PPN w taki sposób, w jaki prosił mnie Najder. Wkrótce otrzymałem odpowiedź, w której Lerski – potwierdzając przyjęcie informacji – wyrażał radość z ponownego nawiązania kontaktu, bo przecież po raz ostatni widzieliśmy się w 1944 roku. Po powrocie do kraju powiadomiłem Najdera o korespondencji z Lerskim. W pierwszym kwartale 1978 roku Najder zapytał mnie, czy byłbym skłonny wziąć udział w spotkaniu grona, które dyskutuje o poważnych sprawach w mieszkaniu prywatnym, ale to nie jest żadna organizacja, nie składa się przyrzeczenia, choć dyskrecja jest pożądana... Zebranie odbywało się w mieszkaniu na Powiślu. Tam zastałem – ku memu zaskoczeniu – Jana Olszewskiego, którego znalazłem jako przyjaciela Jana Józefa Lipskiego z „Po prostu” i Klubu Krzywego Koła, niewątpliwie lewicowca, socjalistę, człowieka prawnego, demokratę. No, na pewno w sensie światopoglądowym był ode mnie daleko na lewo. Drugim uczestnikiem spotkania był Andrzej Kijowski, który wprowadzał mnie do Związku Literatów Polskich, trzecim zaś mój przyjaciel Jan Zrański.

Skład, chciałoby się powiedzieć, wielopartyjny...

...Jak się wie, że ktoś jest prawy i że warto z nim rozmawiać, to już w zasadzie wystarczy. W dzieciństwie słyszałem od ojca, że podstawowym kryterium oceny człowieka jest jego uczciwość, nie zaś narodowość, pochodzenie czy wiara. Uczciwość! W czasie okupacji, w zagrożeniu, stykałem się z ludźmi z rozmaitych obozów politycznych, ze znajomymi z Konfederacji Narodu i Jankiem Strzeleckim z socjalistycznych „Płomieni”... I nauczyłem się, że gdy idzie o realizację słuszných celów – należy odsunąć na bok różnice, bo może się zdarzyć, że nieustanna dyskusja o tych różnicach przesłoni w końcu sam cel. A jeszcze więcej dowiedziałem się w więzieniach, gdzie podział na my–oni był bardzo ostry. Otóż „my” byliśmy różni, wielopartyjni, i dlatego każdy mógł być sobą, „oni” byli monopartyjni, sterowani z zewnątrz. Więc po tych wszystkich doświadczeniach mogę zaręczyć, że jak się wie, że ktoś jest prawy i że warto z nim rozmawiać, to w zasadzie już wystarczy. W tej zaś konkretnej sprawie przedyskutowaliśmy tematy kolejnych publikacji PPN. Wniosłem spory wkład w broszurę o problematyce żydowskiej. Sprawa gorąca, bo w okresie pierwszego zjazdu „Solidarności” pojawił się nurt tzw. prawdziwych Polaków, którym patriotyzm mylił się niekiedy z antysemityzmem. Mocno zabrzmiał głos PPN w kwestii niemieckiej: pierwszy materiał napisał Andrzej Kijowski, drugi – postulujący zjednoczenie Niemiec i ułożenie od nowa stosunków między dwoma demokratycznymi państwami – był pisany przeze mnie, Jana Zarańskiego i – taka była metoda obowiązująca w PPN – osobę lub osoby mi nieznane. Gdy jesienią 1981 roku Najder nieoczekiwanie wyjechał na stypendium do Oksfordu, zacząłem koordynować pracę zespołu wydawniczego, o czym bezpieka się nie dowiedziała. PPN wydało trzydzieści dziewięć broszur, ja uczestniczyłem w edycji kilkunastu... Czy udało się utrzymać całkowitą tajność naszych działań? Służba Bezpieczeństwa wiedziała o Zdzisławie Najderze. Wiedziała też, że autorem niektórych tekstów jest profesor Jerzy Holzer. Wiem od niego, opowiedział mi to w ośrodku internowania, że 13 grudnia najpierw został zawieziony do MSW, gdzie obiecano mu, że jeśli złoży zeznania o PPN, to wróci do domu. Nie wrócił. Inną taktykę wybrał Zarański. Wiedząc, że Najder jest w Oksfordzie i z pewnością nie wybiera się do kraju, powiedział parę słów, oczywiście nie szkodząc nikomu... Nie przesłuchiowano w sprawie PPN Andrzeja Kijowskiego...

W czerwcu 1979 roku został pan ponownie reporterem...

W tej sprawie powinniśmy cofnąć się do lat sześćdziesiątych, gdy rozpocząłem pracę w „Tygodniku Powszechnym”, na którego łamach ukazywały się od 1946 roku teksty księdza Karola Wojtyły. O więzi biskupa Krakowa z „Tygodnikiem” i jego redaktorami należałoby napisać wielką pracę naukową, w której znalazłoby się miejsce dla rozważań o obopólnej inspiracji, o – często – tożsamości poglądów, o podobnym rozumieniu świata i zadań, jakie stoją przed chrześcijaninem... Moje osobiste spotkanie z Karolem Wojtyłą, zanim został papieżem? Były rozmowy redakcyjne, były spotkania z niemieckimi katolikami z grupy Pax Christi, w których uczestniczyłem, były też krótkie rozmowy aranżowane przez księdza Andrzeja Bardeckiego, asystenta kościelnego „Tygodnika Powszechnego” i zarazem człowieka zaufania biskupa.

Wybór Karola Wojtyły na stolicę Piotrową przeżyłem jako wspaniały dar, jako znak, nie, coś więcej niż znak, raczej jako ukazanie właściwego kierunku i potwierdzenie słuszności działań ludzi tworzących ruchy opozycyjne w Polsce, w Czechosłowacji, w całym bloku sowieckim. Ferment duchowy, intelektualny, polityczny, na który składały się – z jednej strony – zmiany atmosfery wywołane przez Helsinki, z drugiej zaś – dla przykładu – promieniowanie Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, działalność Towarzystwa Kursów Naukowych, aktywność stowarzyszeń literackich, pojawienie się niezależnych wydawnictw, znalazł twórcze ukierunkowanie. Trudno zapomnieć chwile euforii, dumy, radości w październiku 1978 roku, kiedy nadeszła informacja o wyniku konklawe, to oczywiste. Trudno zapomnieć nagły przypływ nadziei... I potem te niekończące się dyskusje o przewidywalnym wpływie wyboru papieża na kondycję psychiczną Polaków. O przewidywalnym! A przecież to, co się dokonało później, było zaskakujące, nieprzewidywalne – bo przyszłość zaczęła zbliżać się w nieznanym dotąd tempie. Dla mnie pierwszym sygnałem, że zaczyna się epoka cudów, była encyklika *Redemptor hominis*, w której myśli o kontynuacji starań ekumenicznych towarzyszyło wezwanie do pogłębienia wiary, a język doktryny posłużył stwierdzeniu, że „wszystkie drogi Kościoła prowadzą do człowieka”, człowieka „bytującego w lęku”. Ta encyklika pytała o prawa człowieka, jego wolność, ucisk mu zadawany – nie o człowieka abstrakcyjnego, lecz historycznego, tu i teraz, a więc o konkretne przejawy niesprawiedliwości. I trzeba dodać, że tekst *Redemptor hominis* współ-

brzmiał z nadziejami nie tylko katolików, bo przemawiał też do laickich kręgów intelektualnych po obu stronach „żelaznej kurtyny”.

Nigdy nie przywiązywałem nadmiernej wagi do tego, że Jan Paweł II jest Polakiem, przywiązywałem natomiast wielką wagę do tego, że jest takim Polakiem, jakim jest. To znaczy Polakiem, który uosabia najlepsze tradycje intelektu i tolerancji – Karolem Wojtyłą z Wadowic, z pamięcią takich, a nie innych doświadczeń, z wyrazistym poczuciem tożsamości. I uważałem, że właśnie dzięki temu *Redemptor hominis* mógł zabrzmieć w tak istotny sposób wtedy, w 1979 roku... Dziś odnajduję echo tego głosu w *Pamięci i tożsamości*.

W każdym razie pierwsza wizyta Jana Pawła II w ojczyźnie wiązała się dla mnie z przesłaniem encykliki. Była, oczywiście, i ciekawość, i sentymenty, i uczucia narodowe, i duma, no i fakt, że stają przed nim na baczność ludzie, którym obce i wrogie są nasze nadzieje, ale przede wszystkim była pewność, że ten człowiek jest jednym z nas i mówi to, co nas naprawdę nurtuje.

Czy znajdzie pan w świecie dziennikarza, który zrezygnowałby z towarzyszenia takiej postaci? Dzięki interwencjom moich przyjaciół z „Tygodnika Powszechnego” i pomocy kardynała Macharskiego otrzymałem akredytację, która uprawniała mnie do swobodnego poruszania się wszędzie tam, gdzie przebywa Ojciec Święty. Byłem więc na lotnisku na Okęciu, na placu Piłsudskiego, wtedy placu Zwycięstwa, na Błoniach i w Oświęcimiu, starałem się to opisać, ale cenzura znów była mi niechętna, tak więc w „Tygodniku Powszechnym” ukazał się tylko jeden tekst.

W pałacu arcybiskupim w Krakowie odbyło się zamknięte spotkanie Jana Pawła II „z przyjaciółmi”, to znaczy z ludźmi z „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”, „Znaku” i Klubów Inteligencji Katolickiej. Staliśmy w półkołu. Jerzy Turowicz, bardzo przejęty, jak zwykle dbały o formy, wygłosił słowo powitalne, używając zwrotu „16 października 1978 roku stało się...”, na co papież przerwał ze śmiechem „...ale się nie odstanie” i zaczął witać się z nami. Podszedł do Kisiela, a ten wydobył z kieszeni jakiś swój tekst wydany w „drugim obiegu” i mówi: – Ojciec Święty, to moja ostatnia produkcja! Na to Ojciec Święty do Stefana: – Dokładnie tego się po panu spodziewałem. Podszedł do mnie: – Pan Bartoszewski! No i jak tam u pana? – Dziękuję Ojciec Święty, w normie... – O, to niedobrze... – zmartwił

się. Bo wiedział, między innymi z relacji księdza Bardeckiego, że moja norma nie oznacza spokoju i wygody...

Były i inne jeszcze spotkania, na przykład w 1995 roku, kiedy zostałem ministrem spraw zagranicznych, i w przededniu pierwszej tury wyborów prezydenckich zostałem zaproszony w trybie nagłym do Watykanu. Może jeszcze nie czas, by o tym mówić?

A jednak...

Ministrem zostałem w marcu 1995 roku. Pojawił się wtedy problem ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej. Zaproponowana przeze mnie kandydatura Stefana Frankiewicza, byłego zastępcy redaktora naczelnego „Więzi”, spotkała się z zadowoleniem nie tylko Ojca Świętego, ale również jego otoczenia, co nie zawsze jest takie proste. Z nuncjuszem, arcybiskupem Kowalczykiem, miałem doskonale relacje, uzgodniliśmy więc, że z uwagi na zapełniony kalendarz moja wizyta w Rzymie przypadnie na okres późniejszy. A tu nagle na dwa dni przed wyborami otrzymuję wiadomość z Watykanu. Trzeba jechać! Pojawiły się trudności, bo konieczne było zorganizowanie wizyty politycznej we Włoszech, a więc spotkania z panią minister spraw zagranicznych. Włosi okazali się pomocni, dzięki czemu w czwartek, 2 listopada, byłem u pani minister Agnelli, następnie złożyłem wizytę u przewodniczącej gminy żydowskiej. Nazajutrz zaś, 3 listopada, wszedłem do gabinetu Jana Pawła II – to była długa rozmowa w cztery oczy. O Polsce, o kondycji społeczeństwa, o trudnościach związanych z transformacją, i o spodziewanych wynikach wyborów. O personaliach też. Komentarze Ojca Świętego zachowam dla siebie... Po raz drugi zostałem ministrem spraw zagranicznych Polski 30 czerwca 2000 roku. Poinformowano mnie, że Ojciec Święty uważa moją wizytę w Watykanie za pożądaną. 26 lutego 2001 roku wyjechałem do Watykanu. Trzeba było czekać, bo u Ojca Świętego była właśnie delegacja Federacji Rosyjskiej z premierem Kasjanowem, podejrzewam, że to spotkanie było dosyć trudne, przeciągnęło się, w każdym razie na mój widok Ojciec Święty wyraźnie się odprężył, choć potem jego słowa nacechowane były wyraźną troską o to, co dzieje się w Polsce, troską i smutkiem. Ja mówiłem o stosunkach z Izraelem i diasporą żydowską, o stosunkach z Niemcami, zyskując zrozumienie i aprobatę dla moich zamiarów. W końcu przyszedł czas na wspomnienia, w żartobliwym tonie... A na moje osiemdziesiąte urodziny dostałem od

niego list. Pisał, że zna moje książki, wie, co robiłem. I wtedy pomyślałem, że może nie wszystko na marne... Zawsze widziałem w nim znakomitego polskiego intelektualistę, Europejczyka, wielkiego człowieka naszej epoki, który rozumie ludzki ból. Nie wiem, czy ta znajomość uczyniła mnie lepszym, nie wiem, ale jestem pewien, że uczyniła mnie mądrzejszym, pogłębiła sceptycyzm wobec metod hałaśliwych a powierzchownych, zachęciła do pokory i głębszego poczucia odpowiedzialności...

Wybucho „Solidarność”... W grudniu 1980 roku zakłada pan Komitet Obrony Więzionych za Przekonania przy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”...

Nie, to było trochę inaczej. Jesienią 1980 roku Służba Bezpieczeństwa zaczęła zatrzymywać niektórych działaczy związku, takie pierwsze próby prowokowania, wywoływania napięć... Byłem szeregowym członkiem „Solidarności” w regionie środkowowschodnim, w Lublinie, bo pracowałem jako wykładowca na KUL. Nie pamiętam, który to był dzień miesiąca, na pewno sobota. Pojawia się listonoszka na rowerze, wielce podekscytowana, z listem poleconym od Lecha Wałęsy. Otworzyłem kopertę. Pamiętam zaciekawione spojrzenie listonoszki. W kopercie znajdowało się zaproszenie do udziału w zebraniu. Nie jestem pewien, kto był twórcą koncepcji Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, być może Jacek Taylor, głośny na Wybrzeżu obrońca polityczny, wieloletni przyjaciel Jana Nowaka-Jeziorańskiego... Zgodnie z wyznaczonym przez Wałęsę terminem udałem się do lokalu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie i tam wraz z Jackiem Taylorem i Władysławem Siłą-Nowickim opracowaliśmy deklarację Komitetu. Z punktu widzenia strony rządowej była to próba samowolnego rozszerzenia uprawnień związkowych. Powstało ponadregionalne ciało, którego celem miała być społeczna kontrola aparatu przemocy. Broniliśmy ludzi aresztowanych, z którymi niekoniecznie było nam po drodze, jak na przykład głośnego wówczas pana Leszka Moczulskiego. Szło o zasadę obowiązującą cywilizowanych ludzi w cywilizowanym świecie: nie wolno prześladować ludzi z powodu głoszonych przez nich poglądów politycznych, a skoro doszło do aresztowań, to każdemu więźniowi sumienia należy się opieka i ochrona.

Latem 1981 roku wróciłem – po czterdziestu dwóch latach – do pisania ulotek. Zbyszek Bujak, szef regionu Mazowsze, zaproponował mi na-

pisanie odezwy z okazji rocznicy powstania. Przydało się doświadczenie z czasów konspiracji. Rzec została wydana w ogromnym nakładzie jako oficjalna odezwa regionu – w formie powstańczej ulotki. Z tego, co wiem, przedrukowano ją w Krakowie, potem w innych miastach uniwersyteckich, pojawiała się raz po raz w wydawnictwach podziemnych w okresie stanu wojennego... Rozpocząłem współpracę z „Tygodnikiem Solidarność” redagowanym przez Tadeusza Mazowieckiego, a tuż przed rozpoczęciem Kongresu Kultury zostałem powołany do Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, którą komuniści uważali za załączek alternatywnego rządu, podczas gdy miał to być organ doradczy, grono ludzi myślących – z rozmaitych środowisk, bo byli tam i narodowi demokraci, i socjaliści, i apolityczni fachowcy...

Sekretarz generalny Polskiego Pen Clubu, wykładowca KUL, wykładowca Uniwersytetu Łatającego, członek zespołu „Tygodnika Powszechnego”, członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, współpracownik Radia Wolna Europa, autor nadawanego w 1981 roku przez III program Polskiego Radia cyklu 67 audycji „Dni walczącej stolicy”, członek zespołu PPN... – sporo miał pan zajęć.

Jak zwykle...

Nie za dużo?

W takim razie opowiem panu, jak z czegoś zrezygnowałem... Zimą 1981 roku pojechałem do Londynu...

Aby odebrać doktorat *honoris causa* Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie i członkostwo honorowe Catholic Writer's Guild...

Było inaczej. Jechałem przez Austrię, przez Niemcy – by ożywić kontakty z Radiem Wolna Europa – do Danii, gdzie odbywał się kongres Pen Clubu. Tam spotkałem Juliusza Żuławskiego, prezesa Polskiego Pen Clubu, i Artura Międzyrzeckiego. Po zakończeniu kongresu ruszyłem do Londynu, gdzie czekało na mnie zaproszenie od prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Po przywitaniu pani Aniela Raczyńska zostawiła nas samych. Zrozumiałem, że rozmowa będzie miała charakter oficjalny, służbowy, no, nie wiem, jak to nazwać. I słyszę: – Panie Władysławie, zdecydowałem się ustąpić, a wedle konstytucji jestem zobowiązany do wyznaczenia następ-

cy... Chciałbym wiedzieć, co pan sądzi o urzędzie Prezydenta RP, o rządzie w Londynie. Odpowiedziałem, że prezydent jest dla mnie symbolem ciągłości państwa polskiego, jeśli zaś idzie o rząd, to wydaje się nadmiernie rozbudowany, trudno bowiem zrozumieć, czym się zajmują w Londynie ministrowie komunikacji czy opieki społecznej. Prezydent Raczyński uśmiechnął się: – Ale pan wie, jacy są ludzie... Tytuł jest tytułem... Jednak w razie wojny konstytucyjna władza prezydenta jest ogromna... Panie Władysławie, chciałbym, aby moim następcą został ktoś z kraju... Odpowiedziałem, że w obliczu sukcesów „Solidarności” – a to był luty 1981 roku – budowa mocnych mostów politycznych między polskim Londynem i Polską jest nieodzowna. Na to prezydent Raczyński: – Jestem starym człowiekiem. Mógłbym być pana ojcem. Chcę pana wyznaczyć na mojego następcę... Całkowite zaskoczenie. A Raczyński mówi dalej, że na razie wyznaczył pana Kazimierza Sabbata, który wie o mojej kandydaturze i poprze ją w stosownym czasie. Odpowiadam na to, że po pierwsze – powinienem wrócić do kraju, przecież tam „Solidarność”... Prezydent Raczyński: – Poradzą sobie bez pana, a nam przyda się człowiek, któremu ufa Lech Wałęsa. Po wtóre – musiałbym mieć wsparcie politycznych ugrupowań emigracyjnych. Prezydent Raczyński: – To już zostało sprawdzone. Aprobują pana wszystkie ugrupowania, no, może z wyjątkiem prawego skrzydła endecji, ale i ten opór będzie przewyżniony, gdy się dowiedzą, że ma pan poparcie episkopatu. Po trzecie – musiałbym mieć wsparcie władz brytyjskich. Prezydent Raczyński: – Zaręczam, że z tym nie będzie kłopotu. Po czwarte – powinienem poprawić swój angielski... – Niech pan to zrobi... Za tydzień przyślę pana Łubieńskiego z prośbą o odpowiedź. I po tygodniu odmówilem.

Dlaczego?

Nie wypadało o tym mówić z prezydentem, po prostu nie wypadało... Pan Raczyński był człowiekiem majątnym, pan Kazimierz Sabbat był właścicielem prosperującej fabryki, mógł sobie pozwolić na pokrycie kosztów działalności politycznej, a ja?! Z moimi oszczędnościami? Z moimi honorariami? Ktoś musiałby płacić za mieszkanie w Londynie, utrzymanie, ubezpieczenie, lekarza. Kto? Skarb Narodowy! Miałbym być utrzymanym przez Polskę? Nie. Nie wypada.

I w ten sposób po raz pierwszy w życiu nie zostałem prezydentem.

Był drugi raz?

Był.

A trzeci?

Też.

Do ilu razy sztuka?

Do pięciu.

Nie chce pan o tym mówić?

Może innym razem...

W takim razie wróć do pytania: sekretarz generalny Polskiego Pen Clubu, wykładowca KUL, wykładowca Uniwersytetu Łatającego, członek zespołu „Tygodnika Powszechnego”, członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, współpracownik Radia Wolna Europa, autor nadawanego w 1981 roku przez III program Polskiego Radia cyklu 67 audycji pt. „Dni walczącej stolicy”, członek zespołu PPN... – nie za dużo miał pan zajęć?

Nie narzekalem.

To wygląda tak, jakby pan grał nie z jednym losem, lecz z kilkoma losami na raz.

Jakbym grał? Nie gram. Ani w szachy. Ani w karty. Nigdy nie pociągało mnie ryzyko. Raz w życiu zagrałem w totka. Z sukcesem, bo wyplacono mi sumę, za którą kupilem garnitur. A serio – gra wymaga kalkulacji, przeliczania prawdopodobieństwa, mnie zaś zawsze brakowało na to czasu. Co mnie trochę peszy i trochę złości, to myśl, że za mało zastanawiałem się nad samym sobą. Nie żebym działał nieświadomie, kierując się instynktem, nie. A jednak powinienem był – tak czuję – zatrzymać się co jakiś czas, pozwolić sobie na przywilej refleksji. Szukam więc usprawiedliwienia. Czy je znajduję? No, na przykład jeśli powiem, że niemal przez całe życie byłem zaskakiwany, przytłaczany, poganiany, zmuszany do podejmowania decyzji w sytuacjach, na które nie miałem wpływu albo miałem wpływ niewielki. Czy w związku z tym poddawałem się biegowi wydarzeń? A czy samo pojęcie „biegu wydarzeń” nie jest wykrętem? Mój bieg wydarzeń zaczy-

na się – przyjmijmy – 1 września 1939 roku. Poddaję się mu? Tak. Czy bezwolnie? Biorę nosze, idę pomagać. Wybieram jakiś los. I on jest mój. Dlatego nie lubię słów o wspólnym losie, czy też o wspólnocie w biegu wydarzeń dziejowych. Tyle losów, ilu ludzi. Od lat studiuję relacje, wspomnienia, pamiętniki, dzienniki, listy z lat 1939–1945. Jaka różnorodność losów osób z tej samej rodziny. Jeden znalazł się w sowieckim łagrze, drugi w kacie. Jaki miałbym wybór, gdybym był Polakiem urodzonym i mieszkającym na Śląsku? Pewnie by mnie zapakowali w mundur Wehrmachtu i wysłali na front wschodni. I co dalej? A jak na front zachodni? Znow inaczaj. A więc o moim losie zdecydował przypadek – urodziłem się w Warszawie, w takiej a nie innej rodzinie, wyznania katolickiego i tak dalej. Nie moja to zasługa. A moje postanowienia? W jakiej mierze zależne od wyroków Opatrzności? Bóg daje nam wolną wolę – jedyny nasz oręż w walce z przypadkiem. I teraz pytanie: co zrobić z tą wolnością? I co ja z nią robiłem? Przed wojną marzyłem o tym, by zostać dziennikarzem, pisarzem. W końcu nim zostałem. Ale po drodze stanąłem wobec wyzwania, które dziś – gdy patrzę wstecz – wydają mi się niesamowite. Wtedy – nie, bo dotyczyły wielu ludzi. Wsadzają mnie do obozu, potem do więzienia... Żeby przeżyć, trzeba się dostosować. Ale jaka jest granica tego dostosowania? Jaką decyzję podjąć? Myślę, że najprostszą: nie krzywdzić! Nie robić świństw – to przecież nie jest trudne, nie wymaga heroizmu. Wychodzę z więzienia w 1955 roku. Mam w ręku dokument, który stwierdza, że byłem niesłusznie skazany. Pozwalają mi mieszkać, pozwalają pracować. Ale gdybym wtedy wystąpił o rehabilitację, to otrzymując ją – zostalibyśmy pewnie zatrudniony w gazecie... A ja tego nie chciałem. Nie chciałem uczestniczyć w pisaniu kłamstw czy też półprawd. Nie dość, że mnie skrzywdzili, to jeszcze teraz miałbym ich wspierać? Przed Październikiem i po tych wydarzeniach pisałem wyłącznie o okupacyjnej Warszawie. To mnie obchodziło, to bolało. I tego się trzymałem. Zająłem się zbieraniem dokumentów. Mój przyjaciel Stanisław Płoski mówił: – Panie Władysławie, za naszego życia pisać o tym zapewne nie będzie można, ale ma pan rację, że najpierw trzeba zachować dokumenty, utrwalić, udostępnić. Niech ludzie myślą, niech się uczą... Później pewna grupa moich rówieśników z AK zrobiła kariery tzw. marcowe, wiążąc się z Moczarem. Mnie to obrażało, bo zostałem nauczony, że moje miejsce jest zawsze przy prześladowanych, a nie przy prześladowających. Kto mnie tego nauczył? Jeśli powiem, że życie...

Skąd we mnie tyle energii? Zawsze byłem człowiekiem ruchliwym, szybko mówiącym, szybko chodzącym i szybko myślącym. Może niekiedy za szybko, bo w warunkach, w których przez dziesiątki lat język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie, trzeba ograniczać artykulację na rzecz szybkich wniosków. Więc wniosek najważniejszy: być przy prześladowanych, mieć do nich szacunek, udzielać pomocy. Starać się patrzeć na ludzi, nie żeby oskarżać, ale żeby ich zrozumieć. Miałem przed oczyma los Tadeusza Borowskiego, mojego rówieśnika, uwikłanego – aż po tragedię śmierci. Nie był przecież jedyny. Patrzyłem na los Miłosza, który podjął decyzję zerwania z PRL. Mogłem być krytyczny wobec młodego marksisty Leszka Kołakowskiego, ale widziałem, jak dokonuje wyboru, który w konsekwencji przyniósł jego pomnikowe dzieło o genezie i upadku tej ideologii, pomnikowe... I dochodziłem do wniosku, że racja jest po mojej stronie.

Pan ufa ludziom?

Ufam. Co nie znaczy, że jestem wylewny, skłonny do wynurzeń. Rygory konspiracji przyzwyczały mnie, by nie obciążać bliźnich swoją wiedzą... Niech każdy jak ów Greczyn nosi dzielność swoją, mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję... Moja matka nie wiedziała o mojej działalności w Radzie Pomocy Żydom, choć nie byłaby jej przeciwna. Moi rodzice nie wiedzieli, że jestem zaprzysiężony w AK. Po co mówić o tym, o czym mówić nie trzeba? Kto wiedział o mojej osiemnastoletniej współpracy z Wolną Europą? Byłem pewien, że oni robią dobrą robotę. Bez wątpliwości! Ale miałem wątpliwości co do jej skutków, bo nie wierzyłem, że ten system upadnie za mojego życia. Myliłem się.

Co nas wszystkich cechowało w obrębie totalizmu niemieckiego, potem rosyjskiego? Nieufność! Podejrzliwość! A ja wołałem zaufać i cieszyć się, że ktoś tego zaufania nie zawiódł. A że nie zawsze miałem powody do radości? Nie skarzę się. Moje ryzyko. Mój wybór.

13 grudnia...

Właściwie to jeszcze 12 grudnia, parę minut przed północą. Wróciłem wraz z żoną z zebrania w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, w czasie którego występowali między innymi pan Hieronim Kubiak, reprezentujący to bardziej otwarte skrzydło PZPR, pan Ryszard Reiff z nawracającego się na demokrację PAX-u, a z ludzi o poglądach bliskich mi

Andrzej Biernacki. Atmosfera napięta, bo był to pierwszy dzień Kongresu Kultury. Mówiłem – pamiętam – że naszym zamiarem jest realizacja ustaleń określonych w Jalcie i Poczdamie. Czyli wolne wybory! Żadnych rewolucji! Chcemy wykonania pogwałconych postanowień, nic więcej! Do domu odwiózł nas profesor Jan Kielanowski. Nagle słyszę hałas, głos grożący wylaniem drzwi. Wychyliłem się z okienka mansardy: – Panowie, o tej porze milicja nie przychodzi! W odpowiedzi usłyszałem: – Jest stan wojenny, panie Władku, niech pan nie robi trudności! Otworzyłem drzwi, podali mi nakaz internowania. Moja żona pyta: – Co to jest? Ja jej na to uspokajająco: – O Dachau nie słyszałaś? Milicjanci byli niespokojni, niepewni, nie wiedzieli, jak reagować. Powiedziałem pani Bartoszewskiej, żeby nikogo o nic nie prosiła, i poszedłem z nimi. W samochodzie przywitałem się z Jerzym Jedlickim i innymi internowanymi z sąsiedztwa. Zawieziono nas do komendy MO na Malczewskiego, a przed świtem byliśmy już w więzieniu w Białogórze. Zamknięto mnie w celi, w której między innymi przebywał Adam Michnik. Powitał mnie głośnym okrzykiem, którego nie powtórzę przez wzgląd na damy czytające tę opowieść, choć z treścią całkowicie się zgadzałem...

Chciałbym zacytować fragment pana wspomnień z tego okresu: „15 XII (wtorek). Po pierwszej nocy spędzonej w celi między innymi z Barańskim, Bocheńskim i Michnikiem, około godziny 11 wołają do gabinetu naczelnika więzienia. Tam urzęduje pułkownik Romanowski, który uroczyście przedstawia się jako przedstawiciel ministra spraw wewnętrznych. Pyta o skargi, ale nie dotyczące samego faktu internowania. Na wstępie, aby uprzedzić ewentualne niestosowności, proszę go o przyjęcie do wiadomości, że człowiek pozbawiony wolności nie składa żadnych oświadczeń. Mówi, że to interesująca myśl, że zanotuje to i przekaże ministrowi. Mówi mi o interwencji w mojej sprawie profesora Gieysztora (»który mnie bardzo ceni«) i profesora Szczepańskiego. Ki lichu, myślę sobie, co to za profesor Szczepański. Przecież to chyba nie ten przyjaciel Gierka wstawił się za mną. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że idzie o Jana Józefa Szczepańskiego, ozdobnie nazywanego przez dobrodusznego pułkownika R. profesorem. Dyskretnie podpytuje o moją zażyłość z Gieysztorem. Posługuję się retoryką z wokabularza dziennikarskiego: o, znamy się prawie 40 lat, był moim szefem w walce z hitle-

rowskim okupantem. W konspiracji i w powstaniu. – Ja też byłem powstańcem – mówi pułkownik R. Nie podtrzymuję tego wątku, ale napomykam o traktowaniu AK-owców po wojnie. – Ja nie jestem z tego resortu, ja jestem z wojska – mówi pułkownik R. – Nie znam się na tych sprawach. Poruszam sprawy ogólne. Otwarcie cel, paczek, widzeń, możliwości zawiadamiania listownie rodzin. W odpowiedzi słyszę: »Panowie będą stąd zabrani w lepsze warunki, pod opiekę wojska«. Sformułowanie zrozumiałem jednoznacznie jako dotyczące wszystkich internowanych z Białoleki [...]. Przychodzę do celi, opowiadam. Wkrótce wołają Jacka Bocheńskiego [...]. Jacek ma niemal identyczną rozmowę z Romanowskim, z tym, że ten mu powiedział: »Nie spodziewam się od pana żadnych oświadczeń. Człowiek pozbawiony wolności itd.«. Jacek jest pod pewnym wrażeniem tego powściągliwego i godnego stanowiska. Opowiadam mu, że pułkownik R. posłużył się cytatem z klasyka, czyli ze mnie. Po południu zabierają nas [...]. Na ośnieżonej płycie lotniska wyładują nas w oślepiającym blasku reflektorów. Pozwalają nam odejść parę kroków na ubocze i oddać mocz. Stajemy w jednym rzędzie pod eskortą. Odzywa się czyjś głos (przez następnych parę miesięcy nie mogliśmy dojść w Jaworzu do tego, kto to) w tonie agitacyjnym: – Panowie, odleamy się jak Polak z Polakiem. Powoduje to ogólne odprężenie psychiczne...”. Tu kończę cytat, by oświadczyć, że był to głos Jerzego Markuszewskiego. Stałem obok niego.

Cenne uzupełnienie.

Cała przyjemność po mojej stronie... I dalej cytat: „Prowadzą nas do helikoptera. Wchodzimy pojedynczo. Tam siedzą już trzy damy z minami bardzo zasadniczymi: Halina Mikołajska, Anna Kowalska i nieznaną mi dotychczas osobie Teresa Bogucka – przywiezione dopiero co z więzienia w Olszynie. Witamy się, zajmujemy miejsca – Stefan Kurowski, Ryszard Herczyński, profesor Władysław Goldfinger-Kunicki, Roman Żimand, Jacek Bocheński i ja. Obok pań zasiada też z dobrotliwą miną pułkownik R. [...]. Pytam pułkownika R., dokąd lecimy. Robi mi nę niedoświadczonego dziecka. – Nie wiem [...]. W każdym razie lądujemy w obrębie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (ja donośnym szepcetem: A gdzie mielibyśmy lecieć?). Milczenie. Po mniej więcej dwóch godzinach lotu lądujemy. Po chwili drugi helikopter. Noc, mróz, konwo-

jenci w mundurach polowych. Nie wiadomo, milicja, czy wojsko. Niektórzy mają na lewym rękawie naszyte „milicja”. Z drugiego helikoptera wyladują do autobusu Jurka Jedlickiego, Andrzeja Szczypiorskiego, Andrzeja Wenera, Andrzeja Tyszkę, Aleksandra Małachowskiego, Andrzeja Kijowskiego i chyba Michała Komara. Jest nas razem piętnastu mężczyzn i trzy panie [...]. Około 22 przyjeżdżamy przed niewielki budynek [...]. Pułkownik R. zawiadamia, że pozostajemy w tym ośrodku i dla celów porządkowych wybrać możemy starostę czy starszego naszej grupy. Na wniosek Jerzego Markuszewskiego poparty przez Andrzeja Kijowskiego zostają tym starszym [...]. Ledwie położyliśmy się [...], a przywieziono nam dwie osoby po wielogodzinnym transporcie w nieogrzewanym samochodzie, z Łodzi via Łęczycza przybyli Jacek Bierezin i Stefan Niesiołowski. Obaj nieludzko zmordowani, głodni i przemarznięci. Ale najbardziej przemarznięci. Stoją teraz pod gorącym prysznicem, a ja niosę golasom kielbasę z paczki, którą jedzą, nie wychodząc spod prysznica”. Czy chce pan coś uzupełnić?

Wtedy notowałem w pośpiechu... Czy jest coś do uzupełnienia?

Dla oddania dziwnej atmosfery tych wydarzeń proszę o słowo na temat wyborów.

Moją kandydaturę zgłosił Jerzy Markuszewski z objaśnieniem, że mam najbogatsze z obecnych doświadczenie więzienne. Do jego wypowiedzi przyłączył się Andrzej Kijowski. Wtedy pułkownik Romanowski zapytał panie, jak zapatrują się na moją kandydaturę, na co Halina Mikołajska oświadczyła tonem władczym, że owszem, akceptują. W ten sposób, zdecydowanie demokratyczny, bo wszystkimi głosami, zostałem wybrany na starszego w ośrodku internowania w Jaworzu koło Drawska.

19 lutego 1982 roku ukończył pan sześćdziesiąt lat. Z tej okazji w Jaworzu odbył się uroczysty wieczór Pen Clubu Polskiego, zawieszono zresztą przez władze PRL 13 grudnia. W imieniu internowanych publicystów, pisarzy, naukowców przemawiał Andrzej Szczypiorski: „Już na jesieni 1940 roku jako jeden z pierwszych znalazł się w Oświęcimiu, gdy inni, przez długie lata wojny, zbliżali się ku temu doświadczeniu – on został doświadczony na samym progu. Gdy inni przez konspirację trafiali w ręce gestapo, on przez gestapo i Oświęcim trafił do konspiracji.

Jest to sprawa wielkiej doniosłości. Oto bardzo młody człowiek, liczący zaledwie dziewiętnaście lat, wraca z Oświęcimia do Warszawy po przeszło półrocznym wegetowaniu w nieopisanym piekle terroru i zbrodni. I okazuje się, że nie tylko nie został złamany, powalony – lecz przeciwnie – pełen jest energii i determinacji. A przecież – podkreślam to z naciskiem – on już wiedział! Inni zapewne często nie zdawali sobie sprawy, co może ich czekać, on był tego świadom. Inni szli wąską kładką konspiracji nad przepaścią, on wydobyl się z tej przepaści, aby znów chodzić po chybottliwej kładce i spoglądać ku czeluści, świadom, co się tam w głębi kryje.

[...] Jest w tym życiu wielka prawda. Jest w nim wiele cierpień, wyrzeczeń i cichych triumfów. Powiedziałem – Walczący Chrześcijanin. I tutaj słowo uzupełnienia. Chciałoby się znaleźć skazę na tym diamentcie. Coś, co diament uczłowieczy. Pozwoli nam miary Jego żywota uznać za nasze własne, jakże niedoskonałe! Więc niechby Bartoszewski był przynajmniej w drobiazgach okropny, nieznośny, niechby miał słabości, potknięcia! Otóż ma, bo jest pełny i prawdziwy. Bywa nieznośnie gadatliwy, ma obsesję szczegółu, niekiedy czuje się dotknięty bez uzasadnienia. I cóż z tego, skoro Go dobry Bóg obdarzył wdziękiem wiecznie młodego nosorożca. Jak wiadomo – Bartoszewski zawsze jest w szarży [...]. W tej piekielnej szalonej szarży życia, trwającej do dziś lat sześćdziesiąt. Oby trwała następne lat sześćdziesiąt. On przecież, na szczęście dla nas i dla Polski – nigdy nie stanie! Ale żywię nadzieję, że kiedyś, za wiele lat, gdy nas już nie będzie – stanie na pomniku. Będzie to pomnik prawego człowieka, walczącego chrześcijanina, dobrego Polaka, który kochał świat. Daj Ci Boże, Władku, długie życie pośród dobrych ludzi w wolnej Polsce!”

No tak... A wie pan, że Janek Nowak-Jeziorański przekonywał mnie potem, że prawdziwe życie zaczyna się po osiemdziesiątce?... Ośrodek internowania w Jaworzu opuściłem 19 kwietnia 1982 roku.

W Warszawie krążyła plotka, że pan się zaparł i nie chce opuścić internatu...

Część skrupulatnie montowanej akcji dezinformacyjnej, której ofiarą padł między innymi tygodnik „Die Zeit”...

A jak było naprawdę?

Jak w scenariuszu filmowym. Ciąg równoległych, przeplatających się wątków. Gdy zostałem internowany, mój syn, który od 1980 roku studiował w Cambridge pod opieką doktora Andrzeja Ciechanowskiego, nawiązał kontakty ze znajomymi w USA. Do ambasady PRL w Waszyngtonie zaczęły napływać listy protestacyjne organizacji żydowskich. Jednocześnie w sprawie mego uwolnienia interweniował Episkopat Niemiec. Z okazji rocznicy powstania w getcie warszawskim do Polski przyjechał Stefan Grajek, warszawiak, przewodniczący stowarzyszenia kombatantów żydowskich, który oświadczył wprost generałowi Czesławowi Kiszczakowi, że nie weźmie udziału w uroczystościach, jeśli nie zostaną zwolniony. A pamiętajmy, że ekipie generała Jaruzelskiego bardzo zależało na dobrej prasie. I zaczęły się podchody. Pytano więc moją żonę, czy nie nakłoniłaby mnie do złożenia jakiegoś oświadczenia...

Jakiego oświadczenia?

Ze rezygnuję z działalności... Nawet nie na piśmie, wiedzieli przecież, że niczego nie podpiszę. Wystarczy, że powiem. Żona oburzyła się. Nie będzie żadnych rozmów! No i 19 kwietnia znalazłem się w helikopterze. Pułkownik R. oświadczył, że wychodzę na urlop. A ja żadnego podania o urlop nie składałem. Leciła z nami Marzena Kęcikowa. Była w zaawansowanej ciąży. Po wylądowaniu zapakowano nas do samochodu, który najpierw zatrzymał się przed domem, w którym mieszkała Kęcikowa. Podjechaliśmy pod nasz dom. Drzwi otworzyła żona. Pułkownik R. zameldował: – Pani Bartoszevska, przywieźliśmy męża – po czym trzasnął w dach i odjechał. A żona w pierwszych słowach: – Słuchaj, dzwonił już Stefan Grajek i pytał, czy wróciłeś, bo oni mu dali słowo honoru, że cię wypuszczą. – To on im jeszcze wierzy? – Nie wiem, czy wierzy, ale zadzwonił... Dziewięć dni potem zostałem zawieziony do generała Kiszczaka, który mnie zapytał, czy wypiłbym z nim kawę. – Panie ministrze, osoba pozbawiona wolności nie pije kawy z przedstawicielem władzy, która tej wolności ją pozbawiła! – A jeżeli powiem panu, że uchylam wobec pana postanowienie o internowaniu? Podeszedł do telefonu: – Mówi Kiszczak, proszę przygotować uchylene internowania dla Władysława Bartoszevskiego, syna Władysława.... No, a teraz? – Teraz mogę się napić – powiedziałem. Więc pijemy kawę. General Kiszczak mówi, że było sporo interwencji

w mojej sprawie. Pytam: – Z paragrafu biskupi i rabini? A on ze zwięzłością szefa tajnych służb odpowiedział: – Też! Wysłuchał moich próśb o uwolnienie ludzi starych i chorych. W końcu zapytał o moje plany. Powiedziałem, że chcę wrócić do „Tygodnika Powszechnego” i na KUL. – „Tygodnik Powszechny” jest jeszcze zawieszony – zauważył. – To poczekam, aż zostanie odwieszony...

Pierwszy numer „Tygodnika” ukazał się w maju, a tam – ku mojemu zaskoczeniu i wzruszeniu – materiał związany z moim sześćdziesięcioletnim, fotografia, artykuł redakcyjny, nieproporcjonalnie duży jak na zwyczajnie dziennikarskie, bo z takiej okazji drukuje się co najwyżej dwa zdania...

Latem przybył do Warszawy sekretarz Pen Clubu Republiki Federalnej Niemiec pan Heinz Schwarze, który przywiózł mi roczne zaproszenie stypendialne do Wissenschaftskolleg zu Berlin – Institute for Advanced Study. Żona i ja złożyliśmy podania o paszport. Tym razem nie było odmowy. Rzekłbym, że na odwrót, dokumenty dostaliśmy bodaj w ciągu trzech dni.

Do Berlina przyjechaliśmy w pierwszym tygodniu października, po wyborze Helmuta Kohla na kanclerza Republiki Federalnej. Tygodnik „Der Spiegel” umieścił na okładce jego karykaturę: wielki, brzuchaty balon. Zapamiętałem, bo wewnątrz numeru znajdowała się moja wypowiedź o sytuacji w Polsce.

Wissenschaftskolleg zu Berlin – Institute for Advanced Study to dobre miejsce dla spokojnych badań, głębokich dyskusji...

Znów znalazłem się w świetnym towarzystwie. Z Polski Stanisław Lem i profesor Andrzej Tomaszewski, historyk architektury. Z Węgier György Konrád, pisarz, eseista, który później, w 1990 roku, został prezesem Międzynarodowego Pen Clubu. Z Francji Philippe Ariès, historyk, z Niemiec politolog Christian von Krockow, ze Szwajcarii – Axel von dem Bussche, prawnik, działacz Światowej Rady Kościołów, w czasie wojny kapitan sławnego 9. Poczdamskiego Pułku Piechoty. Przyjaciół von Stauffenberga, członek jego grupy, to on miał wykonać zamach na Hitlera w grudniu 1943 roku, w czasie pokazu nowych mundurów dla Wehrmachtu. Jak wiadomo, rzecz się nie udała wskutek nalotu lotnictwa alianckiego. 9. Pułk w październiku 1941 roku stanął osiem kilometrów od Moskwy, potem walczył

pod Wiazmą. Axel von dem Bussche był w 1942 roku świadkiem masowych egzekucji Żydów w Dubnem... Powiedział mi kiedyś: – Pan był oficerem Armii Krajowej. Zazdroszczę panu. Panu było łatwiej niż mnie... Bo ja widziałem, co robili moi rodacy na Wschodzie... Widziałem, jak utracili honor... W styczniu 1944 roku został ranny, stracił nogę i część ręki i zdaje się, że tylko dzięki temu, że leżał w szpitalu, nie dopadło go gestapo... Przez von dem Busschego poznałem Weizsäckerów, którzy też służyli w 9. Pułku, a przez nich rodzinę von Stauffenberga.

W 1983 roku ukazały się trzy pańskie książki: *Los Żydów Warszawy 1939–1943* w londyńskim wydawnictwie „Puls”, *Das Warschauer Ghetto wie es wirklich war: Zeugenbericht eines Christen* z przedmową Stanisława Lema...

Staszek miał spory udział w wydaniu tej książki. To było tak: w maju 1983 roku otrzymałem w obecności prezydenta Republiki Austriackiej Rudolfa Kirchschägera nagrodę im. Gottfrieda von Herdera, nagrodę cenną, głośną, i w ten sposób stałem się człowiekiem znanym w kręgu języka niemieckiego. Postanowiłem wykorzystać sprzyjające okoliczności i napisałem książkę *Getto warszawskie jakie było naprawdę. Świadectwo przeżyć świadka chrześcijanina*. W tym czasie do Lema zwróciło się wielkie wydawnictwo Fischer z Frankfurtu nad Menem z prośbą o jakąś nową pozycję. Lem mówi: – Napiszę, ale pod warunkiem, że wydrukujecie Bartoszewskiego... – A napisze pan przedmowę? – Napiszę... Książka miała kilka wydań. W tym samym roku usiadłem nad *Warto być przyzwoitym*. Rzec wyszła z posłowiem Reinholda Lehmana i miała w sumie dziewięć wydań. To był dobry rok. Jesienią zostałem powołany przez Ministerstwo Nauki i Oświaty Bawarii na profesurę na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Ludwiga-Maximiliana w Monachium. Sporo podróżowałem. Do Paryża – na zaproszenie ks. Zenona Modzelewskiego, który kierował Centrum Dialogu Księży Pallotynów. Z Paryża pojechaliśmy, rzecz jasna, do Maisons-Lafitte, by spotkać się z Jerzym Giedroyciem, Zofią Hertz i Gustawem Herlingiem Grudzińskim... W Stanach Zjednoczonych zostałem uhonorowany członkostwem rzeczywistym Instytutu Józefa Piłsudskiego, dyplomem uznania American Jewish Committee w Nowym Jorku i doktoratem *honoris causa* Baltimore Hebrew College. W Rzymie latem 1984 roku opracowałem specjalny dodatek do włoskiej

edycji „L'Osservatore Romano” z okazji czterdziestej rocznicy Powstania Warszawskiego... A jesienią nadeszły informacje o zniknięciu księdza Jerzego Popiełuszki. W Warszawie wylądowaliśmy w dniu, w którym generał Kiszczak poinformował o zamordowaniu księdza. Wznovilem wykładu na KUL. Pod moją nieobecność w kraju stanowisko dziekana objął pan Ryszard Bender. Po zakończeniu roku akademickiego 1984/1985 złożyłem rezygnację, rozstając się z Lublinem. Ale że – jak pan zechciał zauważyć – jestem dzieckiem szczęścia...

Fakty same mówią...

No, niech tak będzie... Nagle otrzymuję zaproszenie od rektora Katolickiego Uniwersytetu Eichstätt Nicolausa von Lobkowitza – mam objąć profesurę gościnną na Wydziale Historii i Nauk Społecznych. Jedyne uniwersytet katolicki w Niemczech. Eichstätt – sławne relikwiami św. Walpurgii i św. Willibalda – jest małym miastem, liczy około dwunastu tysięcy mieszkańców, z których dwa tysiące pracuje w diecezji, dwa tysiące na uniwersytecie, reszta w usługach. Bawarczyki mówią z dumą, że to bawarska Florencja i chyba coś w tym jest... Piękna architektura w pięknym krajobrazie, mnóstwo młodzieży. W tym komfortowym oddaleniu od świata prowadziłem zajęcia ze studentami, przygotowując jednocześnie książkę *Aus der Geschichte lernen?...*, która ukazała się we wrześniu 1986 roku z przedmową Stanisława Lema nakładem Deutscher Taschenbuch Verlag. Kilka miesięcy wcześniej telefon z Londynu. Dzwoni Lidia Ciołkoszowa: – Panie Władysławie, mam delikatną sprawę... Otóż pan prezydent Raczyński rozważa odznaczenie pana orderem Polonia Restituta, ale że pan jest obywatelem PRL, to, jeśli dobrze rozumiem, powinniśmy tę sprawę utrzymać w dyskrekcji... – Pani Lidio, to pewnie pod pani wpływem... – Ja tylko wyraziłam moje poparcie... Mówię: – W takim razie bardzo proszę o nadanie tej sprawie stosownego rozgłosu. Pani Lidia zdziwiła się. A ja mówię: – Jak już, to już! I 9 stycznia 1986 roku otrzymałem od prezydenta RP Edwarda Raczyńskiego Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

„Za całokształt działalności w służbie Polsce w czasie wojny i po wojnie, a w szczególności za opracowania historyczne i za działalność w sprawach polsko-żydowskich”...

Tak. Na uroczystości, która odbyła się „na Zamku”, byli dziennikarze brytyjscy, był Eugeniusz Smolar z Polskiej Sekcji BBC i wysłannicy Radia Wolna Europa, tak jak prosiłem. Bez dyskrecji. Z rozgłosem.

A co z prezydenturą?

No dobrze, opowiem. Po raz wtóry doszło do rozmowy na ten temat na Boże Narodzenie 1982 roku. Pojechaliśmy do Londynu z wizytą do syna. Państwo Raczyńscy zaprosili nas na drugi dzień świąt. I sytuacja powtarza się. Pan prezydent przeprasza moją żonę i Anielę, prowadzi mnie do sąsiedniego pokoju. – Panie Władysławie, sytuacja się zmieniła. W Polsce pan już nie ma nic do roboty, co najwyżej wsadzą pana do więzienia, a to nie byłoby dobre rozwiązanie. Moja kadencja kończy się w 1986 roku... Niech pan wyrazi zgodę. Pan Sabbat wie o wszystkim, popiera. Znów odmówiłem. Minęło pięć lat. 1987 rok, Wielkanoc, Londyn. Prezydentem jest od niedawna Kazimierz Sabbat. Jesteśmy u niego na świątecznym przyjęciu. I znów ta sama sytuacja co z Edwardem Raczyńskim. Pan Sabbat zaprasza mnie do sąsiedniego pokoju. – Panie Władysławie, chciałbym powrócić do tematu... Kadencja prezydencka trwa siedem lat. Niech pan pozwoli, że postąpię zgodnie z intencjami prezydenta Raczyńskiego i wpiszę pana jako mojego następcę... Ja mówię: – Panie prezydencie, drogi panie Kazimierzu, przecież za siedem lat ja będę miał przekroczoną siedemdziesiątkę... – To nie szkodzi – odpowiada Sabbat. – I mam być na utrzymaniu Rzeczypospolitej? – To chyba normalne... – odrzekł. Po jakimś czasie powiedziałem mu, że cenię sobie jego życzliwość, zaufanie, dziękuję, uściskałem go i na tym koniec.

Ale pan mówił, że do pięciu razy sztuka...

A, to już tylko anegdota... Pod koniec 1994 roku, a może na początku 1995 roku, jestem w Wiedniu, nagle telefon z Warszawy, ktoś ze środowiska Unii Demokratycznej zadaje mi głupie pytanie, czy nie wyraziłbym chęci kandydowania w najbliższych wyborach prezydenckich.

Pytanie wcale nie takie głupie...

Może i nie, ale głupio zadane, bo ja wtedy byłem ambasadorem w służbie Rzeczypospolitej i nie mogłem wystąpić jako konkurent mego zwierzchnika, prezydenta Lecha Wałęsy... Tymczasem w marcu 1995 roku

zostaję ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Józefa Oleksego. A kalendarz polityczny tego roku był bardzo bogaty. 22 kwietnia lecę do USA, by odbyć rozmowy z wiceprezydentem Alem Gore'em, sekretarzem stanu Warrenem Christopherem i przywódcą opozycji senatorem Robertem Dole'em. 28 kwietnia wygłaszam przemówienie na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu z okazji pięćdziesiątej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej. 6 maja przylatuję do Londynu, by reprezentować Prezydenta RP, 9 maja jestem jedynym gościem honorowym na uroczystej sesji Knesetu w Jerozolimie, pod koniec maja wizyta u prezydenta Vaclawa Havla, w czerwcu wizyta Klaus Kinkel, ministra spraw zagranicznych RFN, w lipcu towarzyszę kanclerzowi Kohlowi w czasie jego wizyt w obozie Auschwitz-Birkenau i w Krakowie... Moje nazwisko zaczyna pojawiać się na wysokich pozycjach w rankingach popularności. I wtedy dochodzi do dziwnej rozmowy z premierem Oleksym, który gryząc surową marchewkę zaczyna mnie podpytywać, czy nie zamierzam zgłosić swej kandydatury, bo jego zdaniem mam duże szanse, nie powinienem tego lekceważyć. Na co ja zwracam mu uwagę, że z pewnością pojawi się jakiś poważny kandydat lewicy. Premier Oleksy dalej gryzie marchewkę: – Lewica nie ma żadnego dojrzałego polityka. Ja: – A ja słyszałem plotkę, że pan Aleksander Kwaśniewski... – On się nie nadaje – oświadczył Oleksy. – Może za jakiś czas, ale jeszcze nie teraz... Potem znów zacząłem otrzymywać propozycje kandydowania i znów odmawiałem.

Dlaczego?

Gdyby Lech Wałęsa zrezygnował z ponownego kandydowania i wyraźnie opowiedział się za mną, to co innego... Ja byłem zobowiązany do lojalności wobec Prezydenta Rzeczypospolitej, który powołał mnie na ministra spraw zagranicznych. Przecież to proste.

Cofnijmy się do 1986 roku. Został pan laureatem Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich. W mediach krajowych sprawa została przemilczana wedle zasady, która i dziś jest nierzadko stosowana, że jak o jakimś wydarzeniu nie powiedzieli w telewizji albo nie napisali w prasie, to wydarzenia nie było...

Informacja o nagrodzie w „Tygodniku Powszechnym” została rutynowo zdjęta przez cenzurę...

Sprawię sobie teraz przyjemność i wyliczę niektórych laureatów Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich, pana poprzedników. A więc: w 1958 – Karl Jaspers, w 1962 – Paul Tillich, w 1964 – Gabriel Marcel, w 1972 – pośmiertnie – Janusz Korczak, w 1974 – brat Roger z Taizè, w 1976 – Max Frisch, w 1977 – Leszek Kołakowski, w 1982 – George F. Kennan, w 1984 – Octavio Paz, w 1985 – Teddy Kollek... Był pan zaskoczony?

Byłem bardzo przejęty. Bardzo.

Nagrodę wręczono panu 5 października 1986 roku podczas Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie nad Menem, w obecności prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera. Laudację wygłosił profesor Hans Maier, minister kultury Bawarii: „Bartoszewski nie jest konformistą. Zawzięcie walczy o swoje poglądy. Kocha spory i doprowadzanie do ich rozwiązania. Utarte hasła prowokują go do sprzeciwu. Zbyt beztrojskich zwolenników pokoju sprowadza na ziemię twardym realizmem. Dla niego nie liczy się dobra wola, lecz czynienie dobra. Nie wierzy również, że okrucieństwo zaczyna się i kończy na płaszczyźnie partyjnej, państwowej czy narodowej: walka przeciw niemu jest prowadzona w sercach. Twierdzi: »Nie ma życia za wszelką cenę«. Pokój powinien powstać z odwagi cywilnej. Z Hitlerem i Stalinem nie można i nie wolno było zawierać pokoju. Istnieją sytuacje, w których należy przeciwstawiać się powszechnemu prądowi. I trzeba pamiętać: zawsze niewielu jest takich, którzy mają na to siłę [...]. Tak często poszukujemy wzorów. On jest jednym z nich”. Co pan czuł, słysząc te słowa?

Że płyną z uczucia przyjaźni.

Ale co pan czuł?

Pewnie dumę... Chce pan wiedzieć, czy bywam próżny? Odczuwam radość z odwzajemnionego zrozumienia – i wtedy wiem, że zostałem jakoś wyróżniony, wywyższony... Nagrodę otrzymałem w momencie szczególnym. W Niemczech, w całej Europie Zachodniej trwała dobra koniunktura dla Polski. Jan Paweł II w Watykanie. We wszystkich księgarniach tomy Czesława Miłosza. Lech Wałęsa laureatem Nagrody Nobla. A jeśli o mnie idzie? Przed wyjazdem z Polski w 1989 roku odbyłem kilkugodzinne spotkanie w Laskach z Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem

Geremkiem. Ustaliliśmy sposoby informowania przeze mnie zachodniej opinii publicznej o sprawach polskich, Dzięki nagrodzie, która nazywana jest pół-Noblem, uzyskałem łatwiejszy dostęp do środowisk politycznych i medialnych. Coraz częściej zapraszano mnie jako komentatora do niemieckich stacji radiowych i telewizyjnych. Jak pan wie, od wielu lat utrzymywałem bliskie kontakty z Episkopatem Niemiec i świeckimi działaczami katolickimi. Teraz okazało się, że Bartoszewski cieszy się sympatią i zaufaniem Partii Wolnych Demokratów, Zielonych, SPD. I tak się ułożyło, że zacząłem się spotykać nieoficjalnie z prezydentem von Weizsäckerem, z czołowymi deputowanymi do Bundestagu, z redaktorami wpływowych gazet, od „Die Zeit” po „Süddeutsche Zeitung”, z moderatorami telewizyjnymi... Tymczasem z Polski przychodzą pierwsze informacje o okrągłym stole. Rzecz niezwykła. Bez precedensu. Dziennik „Die Welt” zaprasza mnie do współpracy. Moje teksty dotyczące obrad okrągłego stołu, wyborów czerwcowych, sprawy Katynia, stosunków polsko-niemieckich i polsko-rosyjskich są często cytowane w mediach niemieckiego obszaru językowego. Niesłychane przyspieszenie! Latem 1989 roku przyjeżdża do Niemiec Lech Wałęsa. Jest gościem centrali związków zawodowych, ale strona niemiecka zadbała, aby nadać wizycie przywódcy Solidarności, laureata Nagrody Nobla stosowną wagę i oprawę, co wymagało znacznej delikatności protokołarnej. Tak więc Wałęsa spotyka się z kierownictwem związków zawodowych, to oczywiste, ale przewidziane są też – jak słyszę – spotkania polityczne. I nagle prezydent Weizsäcker zaprasza mnie do swej willi w Bonn, abym wziął udział w jego spotkaniu z Wałęsą.

Czy strona polska wiedziała o tym zaproszeniu?

Nie wiem. Chyba nie, bo w czasie powitania... To wyglądało tak: w progu willi prezydent von Weizsäcker witał Wałęsę, za którym stał Ernst Breit, socjaldemokrata, przewodniczący centrali związków zawodowych, ja stałem za prezydentem, i była jeszcze tłumaczka. Von Weizsäcker zagarnia mnie ręką, abym postąpił krok do przodu, Wałęsa widzi mnie i woła zdziwiony: – Panie Bartoszewski, a co pan tu robisz? Odpowiedziałem: – Panie przewodniczący, prezydent von Weizsäcker poprosił mnie, abym był w czasie rozmowy z panem, jeśli nie ma pan nic przeciw temu... – Ależ skąd – odpowiedział. No i zaczęła się rozmowa, w czasie której zauważy-

lem narastające zainteresowanie von Weizsäckera słowami Wałęsy. Spotkanie było zaplanowane na pół godziny. Wałęsa dosyć optymistycznie widział przyszłość Europy, a wiedziony trafnym instynktem akcentował potrzebę przewyciężenia przeszłości w stosunkach polsko-niemieckich jako warunku rozwoju demokracji w Polsce i w NRD. Globalne spojrzenie na przemiany w Europie, które niewątpliwie odpowiadało niemieckim oczekiwaniom. Dobra rozmowa, w czasie której żywiołowość Wałęsy, jego znana niechęć do dyplomatycznych sformułowań wywoływała dyskretny półuśmiech na twarzy von Weizsäckera. Po godzinie Wałęsa odjechał. Zapytałem von Weizsäckera, co sądzi o spotkaniu? Odpowiedział: – Był pan świadkiem. Obie strony powinny być zadowolone. A potem dodał: – A wie pan, Wałęsa to jest zjawisko natury!... Zapamiętałem te słowa, bo zawierały w sobie i dystans, i szacunek, i podziw, i zdumienie wytrawnego polityka i intelektualisty działaczem robotniczym, który z wielką pewnością siebie zapowiadał czas wielkiego przewrotu. Spotkanie ludzi tak odmiennych, a przy tym dobrze się rozumiejących było dla mnie – obserwatora – niezwykle interesujące. A jednocześnie uprzytomniłem sobie, że na moich oczach zarysowany zostaje horyzont, za którym mogą nastąpić konkretne decyzje, takie jak ułatwienia w sprawie polskich długów, ulgi handlowe, czyli to wszystko, co zmieni na lepsze pozycję naszego kraju. A przypominam, że stało się to przed historyczną wizytą Helmuta Kohla w Polsce, przed upadkiem muru berlińskiego. Wieczorem tego samego dnia siedziałem przy stole z Wałęsą i Willym Brandtem...

W sierpniu 1989 roku Centralny Komitet Katolików Niemieckich opublikował wspólny list intelektualistów chrześcijańskich z Polski i Niemiec – w tym pana i Tadeusza Mazowieckiego – z okazji pięćdziesiątej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej.

Ten list odwoływał się do wydarzeń historycznych, ale w gruncie rzeczy był gruntowną, merytoryczną zapowiedzią późniejszych układów polsko-niemieckich. Proszę pamiętać, że wczesną jesienią doszło do intensywnych rozmów przygotowujących wizytę Kohla w Polsce. Z upoważnienia Tadeusza Mazowieckiego prowadził je Mieczysław Pszon, z którym co wieczór spędzałem po parę godzin. Jednocześnie zostałem poproszony przez stronę niemiecką o przejrzenie tekstów przemówień przygotowanych dla kanclerza z okazji jego podróży do Polski. Poczynilem swoje

uwagi, za co już po jego powrocie do Niemiec otrzymałem odeń publikację z odręczną serdeczną dedykacją i podziękowaniem za pomoc. To jedna z perełek w moich zbiorach dotyczących stosunków polsko-niemieckich.

Głośne było pana wystąpienie w telewizji WDR wieczorem 31 sierpnia 1989 roku.

To był program prowadzony przez Fritza Pleitgena, socjaldemokratę, znakomitego komentatora, który obecnie jest intendentem WDR. Otóż Pleitgen przygotował godzinny program związany z rocznicą wybuchu drugiej wojny światowej, do którego zaprosił Willego Brandta, ten zaś z kolei zażyczył sobie, abym to ja był jego rozmówcą. Rzecz była nadawana „na żywo”, z udziałem korespondentów zagranicznych, były telefony od widzów, ja wdalem się w polemikę z włączającymi się Rosjanami, którzy twierdzili, że winę za Katyń ponoszą Niemcy. Brandt milczał, ja zaś robiłem swoje.

Nie dał pan sobie przerwać?

Nie dałem. Miałem rację, więc nie dałem... A że Brandt w tej akurat sprawie milczał, to trzeba uszanować... Wie pan, to paradoks historyczny, że nie ten szlachetny emigrant polityczny, żołnierz norweskiego ruchu oporu, trochę marzyciel zjednoczył Niemcy, ale brutalnie odważny Helmut Kohl. Brandt chciał dobrze, ale Kohl umiał przekuć wizję w czyn, siłą i podstępem. I to dzięki niemu doszło do zjednoczenia Niemiec, do formalno-prawnego uznania granicy na Odrze i Nysie. To Kohl poprzez swoje umiejętności i wpływy w Bundestagu doprowadził do zgody Bundestagu, zgody na poziomie ponad osiemdziesięciu procent głosów, na wejście Polski do NATO...

Dzień później, a więc 1 września 1989 roku, byłem gościem osobistym kanclerza Helmuta Kohla na uroczystej sesji Bundestagu poświęconej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. Powitany imiennie, siedziałem tuż za prezydentem von Weizsäckerem, co zostało uznane przez ludzi ze środowisk politycznych i medialnych za fakt znaczący...

Był znaczący.

Zacząłem to sobie uświadamiać... Na naukę nigdy nie jest za późno.

Do świata polityki wkroczył pan dopiero rok później.

To bardziej złożone. Na Wielkanoc 1990 roku przyjechałem do Polski.

Aby objąć ambasadę w Wiedniu.

Ależ nie! Nie miałem żadnych propozycji. Przyjechałem prywatnie, aby spotkać się z przyjaciółmi, porozmawiać z Janem Józefem Lipskim, odwiedzić redakcję „Tygodnika Powszechnego”, podziękować Andrzejowi Kunertowi i Jerzemu Wocialowi za opiekę nad naszym mieszkaniem. Za namową żony postanowiłem odwiedzić Tadeusza Mazowieckiego. Trudno było się do niego przedrzeć, ale w końcu się umówiliśmy. Kiedy do niego przyszedłem, powiedział, że mamy trzydzieści pięć minut, bo później musi być w sejmie. Pijemy herbatę, zagryzamy herbatnikami, rozmawiamy o sprawach prywatnych. I tak minęło dwadzieścia minut. Ja zdjąłem z ręki zegarek, położyłem przed sobą i mówię: – Słuchaj Tadeusz, masz mało czasu, więc pozwól, że złożę ci propozycję. Wracam do Niemiec, Uniwersytet Ludwiga-Maksymiliana przedłuża ze mną kontrakt, ale gdybym mógł ci jakoś pomóc, na przykład w nieformalnych kontaktach z chadecją? A na to Mazowiecki patrzy na mnie zdziwiony: – Ale właściwie to ty masz pójść do Wiednia... – Co to znaczy? – No bo tam są wściekli, że ambasadorem był człowiek, który w Gdańsku zwalczał Solidarność... Musieliśmy go odwołać. Masz objąć ambasadę. Mówię: – Ale czy ja się na tym znam? A on spojrzal na mnie ze smutkiem: – A czy ja się na tym znam? I w ten sposób mnie przekonał. Bo choć młodszy ode mnie o pięć lat, z wieloletnim doświadczeniem poselskim, z wiedzą o zasadach działania w strukturach państwowych, z polityczną ogładą, musiał – jako premier – podjąć wysiłek uczenia się w marszu. Pyta: – Kiedy mógłbyś tam pojechać? Odpowiedziałem, że po zakończeniu roku akademickiego. – Zadzwoni do ciebie minister Skubiszewski. I rzeczywiście następnego dnia, wczesnym świtem zatelefonował minister Skubiszewski. Przychodzę. Okazuje się, że minister został wezwany do premiera i ma na rozmowę ze mną kilkanaście minut. Zaproponowałem mu, żeby się spóźnił i wyjaśnił premierowi, że padł ofiarą mojego gadulstwa. Minister Skubiszewski, profesor prawa z Poznania, bardzo pracowity, dokładny, solidny, zdziwił się. Widział mnie pierwszy raz w życiu. Moja mało dyplomatyczna propozycja sprawiła, że spojrzal na mnie jak na obiekt badawczy. To mnie speszyło. W ogóle byłem jakoś speszony całą tą sytuacją. Miałem zadebiutować w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat...

Speszony?

Byłem przerażony! Stałem przed zupełnie nowym wyzwaniem. Samotnik, z zasady zdany na samego siebie, miałem teraz kierować dużą placówką. Dziennikarz, komentator, miałem teraz uczestniczyć w tworzeniu politycznych faktów. Inny świat, inne reguły postępowania, inne miary. Wtedy nie wiedziałem, że profesor Skubiszewski – od którego w latach następnych sporo się nauczyłem – jest obdarzony znacznym, choć skrywanym poczuciem humoru. Spóźnił się do premiera. A czy wyjaśnił, że go zagadałem? Nie wiem.

Nie bał się pan swego przerażenia?

Z jednej strony lęk, przyznając, z drugiej świadomość, że jestem potrzebny. Komu? Państwu. Bo ja uważam się za patriotę. Co to znaczy? Że biorę odpowiedzialność za przeszłość mojego narodu w dobrym i w złym, i za jego przyszłość, tak jak biorę odpowiedzialność za samego siebie. Patriotyzm jest dla mnie źródłem godności. A ponieważ tak się składa, że jestem wierzącym chrześcijaninem, to mam pewność, że moje dobro nie może stać w sprzeczności z dobrem mojego narodu i z dobrem powszechnym. Więc jeśli jestem potrzebny, to nie powinienem się wahać.

Dla mnie patriotyzm jest wartością. To znaczy czymś pozytywnym. Postawą wolną od demagogicznych podnieć, od paranoicznego węszenia za wrogiem. Postawa na rzecz czegoś, a nie przeciw komuś. Na rzecz godności, która wiąże się nieodmiennie z szacunkiem dla ludzi innego pochodzenia, innej wiary. Bo uznanie różnorodności kulturowej, różnorodności pamięci pokoleń, różnorodność tradycji wzbogaca wspólnotę państwową. Na rzecz czegoś! Na rzecz szklanych domów! Ja wiem, że dziś Żeromski nie w modzie, ale te szklane domy trafnie symbolizowały coś czystego, przejrzystego – przeciwstawiającego się zaduchowi, ciasnocie poglądów, ciemności.

Pomówmy o debiucie...

Wróciłem do Monachium, gdzie prowadziłem zajęcia ze studentami do 31 lipca 1990 roku. A 1 sierpnia wyruszyłem do Wiednia. Nie wiedziałem, co zastanę w ambasadzie, tak więc moje przerażenie zaczęło nabierać konkretnych wymiarów. Na szczęście pomógł mi minister spraw wewnętrznych Krzysztof Kozłowski, mój stary przyjaciel z „Tygodnika

Powszechnego”. Jego zaufani pracownicy wprowadzili mnie w ambasadzkie tajniki. Sporo by można opowiedzieć anegdot na ten temat.

Moje pojawienie się w Wiedniu było przyjęte przez stronę austriacką z zadowoleniem, które niekiedy graniczyło z entuzjazmem. Oto przyjeżdża człowiek, który jest dobrym znajomym kardynała Königa i Szymona Wiesenthala, zna od ćwierci wieku działaczy chadeckich i socjaldemokratycznych, ma dobre kontakty wśród dziennikarzy prasowych i telewizyjnych. To nie jest typowe zaplecze zawodowego dyplomaty. No i dobrze, bo i sytuacja była nietypowa. Miałem odbudować placówkę, stworzyć wokół niej życzliwą atmosferę w czasach wielkich zawirowań. Bo to przecież nadchodzi rozpad ZSRR, wybicie się na suwerenność Ukrainy i Białorusi, w Jugosławii konflikty, krwawe, ludobójcze. Na mnie spadał obowiązek informowania centrali o wydarzeniach w targanej wojną Jugosławii. Uwijałem się, jak mogłem, korzystając, nie taję, głównie z pomocy dyplomatów niemieckich i izraelskich. Ambasadorem RFN był dobrze mi znany Philipp Jenninger, odważny działacz CDU, w latach 1984–1988 przewodniczący Bundestagu, później przedstawiciel Niemiec przy Stolicy Apostolskiej, ambasadorem Izraela Uriel Aran, doświadczony dyplomata, który poprzednio pracował na placówkach w Paryżu, Kanadzie i w ONZ. Świetnie układała się współpraca z ambasadą czechosłowacką, na której czele stała znana aktorka filmowa Magda Vasayrova, i z ambasadą węgierską kierowaną przez profesora Dénesa Hunkára, który przesiedział w komunistycznych więzieniach dokładnie tyle samo lat co ja, więc dobrze się rozumieliśmy.

W Wiedniu spotkały mnie dwie satysfakcje. W maju 1991 roku zostałem uhonorowany Wielkim Krzyżem Zasługi RFN za moje wysiłki w budowie stosunków polsko-niemieckich. W lutym 1992 roku odebrałem z rąk ambasadora Izraela przy ONZ dyplom honorowego obywatela Izraela. Ten tytuł został mi przyznany w lipcu 1991 roku, nie bez udziału mecenasa Jerzego Meringa, tego samego, który pomógł mi w 1955 roku wyjść z więzienia i któremu ja pomogłem.

Misję w Wiedniu zakończył pan 28 lutego 1995 roku.

Kilka dni przedtem pojechałem do Warszawy, aby spotkać się z Lechem Wałęsą. W porozumieniu z ministrem Andrzejem Zakrzewskim chciałem przedstawić prezydentowi propozycję wykorzystania mnie

w pewnych międzynarodowych projektach pozarządowych. W wyznaczonym dniu przyleciałem do Warszawy. Na lotnisku czekał minister Andrzej Ananicz, który zawiózł mnie do swego domu i jął przekonywać – proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie – bym przyjął propozycję objęcia stanowiska ministra spraw zagranicznych. Rząd Waldemara Pawlaka podał się do dymisji, na czele nowego rządu miał stanąć Józef Oleksy, a prezydent Wałęsa chciał w MSZ swego człowieka zaufania. I tu pojawił się pewien problem, bo zasady, którymi kierowała się Solidarność, były mi bliskie, ale nie uśmiechała mi się rola bycia „czymś człowiekiem”. I po różnych wewnętrznych targalach odbyłem następnego dnia rozmowę z prezydentem Wałęsą. – Panie prezydencie, pan Józef Oleksy nigdy mnie nie zaaprobuję... Na to usłyszałem odpowiedź: – Panie Bartoszewski, jak on pana nie zaaprobuję, to ja mu rządu nie zaprzysięgnę.

W marcu 1995 roku minister Bartoszewski przejął MSZ od ministra Andrzeja Olechowskiego i natychmiast przedstawił prezydentowi Wałęsie propozycję odwołania ambasadora Bartoszewskiego, a po uzyskaniu zgody odwołał ambasadora Bartoszewskiego z placówki w Wiedniu. Austriacy bardzo byli tym rozbawieni. „Die Presse” zęgnęła mnie tytułem na pierwszej stronie: „Polski minister spraw zagranicznych przychodzi z Wiednia”.

W moim życiu zaczęła się nowa wielka przygoda.

Tym razem bez przerażenia?

Przy takim nawale zajęć? Proszę sobie przypomnieć 1995 rok. Na jesień wyznaczone są wybory prezydenckie. Rozpoczynają się procedury związane z wejściem do Unii Europejskiej, bo przecież w 1994 roku złożony został wniosek aplikacyjny, żeby było zabawniej, wniosek złożył – o czym mało kto pamięta – rząd Waldemara Pawlaka, a PSL było wtedy partią bardzo eurosceptyczną. Trwają zabiegi o przyjęcie Polski do NATO. W tej sprawie Polska zyskuje wielką pomoc od Zbigniewa Brzezińskiego i Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Ten drugi potrafił dla naszych zamiarów pozyskać wsparcie najświetlejszych działaczy Polonii amerykańskiej oraz wpływowych polityków i publicystów żydowskich, którzy po wizycie Lecha Wałęsy w Jerozolimie i jego wystąpieniu w Knesecie zaczęli dostrzegać sens obecności Polski w NATO. To trzeba było kontynuować ze zdwojonym wysiłkiem, neutralizując jednocześnie opór Federacji Rosyjskiej, zresztą opór raczej o charakterze prestiżowo-psychologicznym niż politycznym.

Do tego proszę dodać sprawy niejako wewnątrzministerialne. Pięć lat po sformowaniu pierwszego niekomunistycznego rządu w Polsce nadchodzi czas wymiany ambasadorów powołanych na przełomie 1989/1990. Na mnie spada obowiązek przygotowania koncepcji personalnych. Rzecz niełatwa, choć tu pocieszający był fakt, że w rządach Mazowieckiego, Bieleckiego, Olszewskiego i Suchockiej ministrem spraw zagranicznych był profesor Krzysztof Skubiszewski, wybitny znawca problematyki międzynarodowej, prawnik o dużym autorytecie, cieszący się zaufaniem prezydenta Wałęsy, dzięki czemu MSZ mogło działać bez zawirowań, w warunkach produktywnej stabilności.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych objąłem 7 marca 1995 roku. Moim partnerem – gdy idzie o politykę zagraniczną – w Kancelarii Prezydenta RP był doktor Andrzej Ananicz, do niedawna wiceminister w MSZ, zaś w Radzie ds. Stosunków Polsko-Żydowskich dr Andrzej Zakrzewski. Do ministerstwa wszedłem z rozpędem. Niewątpliwie reprezentowałem styl mniej spokojny od stylu mego poprzednika, dr. Andrzeja Olechowskiego, ale łączył nas taki sam koncept racji stanu. Co to znaczyło w praktyce? Kontynuację działań na rzecz wejścia Polski do NATO i Unii Europejskiej, a więc uzyskanie poparcia rządów, parlamentów, wszystkich znaczących sił politycznych i mediów w krajach członkowskich tych organizacji. Czyli trzeba było przekonać rządy i parlamenty, że przystąpienie Polski do NATO i Unii Europejskiej leży w interesie danego kraju lub – w ostateczności – nie jest z tym interesem sprzeczne. Miałem pełną świadomość, jak trudny będzie to proces – z własnych doświadczeń wiedeńskich, a także z informacji od pani ambasador Barbary Tuge-Erecińskiej, znakomicie znającej sytuację w Skandynawii.

Na 1995 rok przypadała pięćdziesiąta rocznica zakończenia drugiej wojny światowej, niby sprawa odległa, ale przysparzająca sporo trudności we współczesnym kontekście politycznym. Nie istniał już Związek Radziecki. Była Federacja Rosyjska. Powstały dwa nowe podmioty państwowe – Ukraina i Białoruś – które w momencie wybuchu drugiej wojny światowej były republikami ZSRR, ale część ich obecnych terytoriów należała do Rzeczypospolitej. Zarówno Białoruś, jak i Ukraina poniosły w czasie okupacji niemieckiej ogromne straty ludnościowe, przy czym znaczną część tych ofiar stanowili obywatele polscy... To tylko część problemu. W każdym razie było oczywiste, że obchody rocznicy powinny dać Polsce

sposobność do przypomnienia o przyczynach i skutkach wybuchu drugiej wojny światowej – ze świadomością zmian historycznych, a więc na przykład ze świadomością, że Niemcy – członek NATO i Unii Europejskiej – jest naszym ważnym partnerem politycznym i gospodarczym.

Tu trzeba przypomnieć o błędzie popełnionym przez kanclerza Helmuta Kohla, który na centralne uroczystości w zjednoczonym Berlinie postanowił zaprosić przedstawicieli Wielkiej Brytanii, USA, Francji i Federacji Rosyjskiej jako spadkobierczynie ZSRR, o Polsce zaś zapomniał. Zapomniał też przy okazji, że we wrześniu 1939 roku ZSRR był sojusznikiem III Rzeszy. To bardzo komplikowało sytuację polityczną. W związku z tym poczyniłem starania, aby w moim kalendarzu wyjazdowym na pierwszym miejscu znalazła się wizyta w USA, na drugim zaś w Niemczech. W języku dyplomacji sygnał nader czytelny. W Waszyngtonie odbyłem długą rozmowę z wiceprezydentem Alem Gore'em, spotkałem się z sekretarzem stanu Warrenem Christopherem. Doszło też do bardzo ważnego spotkania z przywódcą opozycji senatorem Robertem Dole'em, a pamiętajmy, że republikanie mieli wówczas dosyć sceptyczny stosunek do członkostwa Polski w NATO. Myślę, że rozmowa z senatorem Dole'em, kombatantem drugiej wojny światowej, uczestnikiem kampanii włoskiej, przyniosła dobre rezultaty. Podobnie rzecz się miała w przyjaznych mi wielkich organizacjach żydowskich i w odpowiednich środowiskach Polonii. W tym czasie prezydent Wałęsa oświadczył publicznie, że rezygnuje z jakichkolwiek wyjazdów zagranicznych związanych z uroczystościami rocznicowymi, na które wydeleguje swych osobistych wysłanników. Takim wysłannikiem do Francji został Bronisław Geremek, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych. Do Londynu miałem jechać ja. Nierozstrzygnięta pozostawała sprawa delegata do Niemiec, zupełnie zaś zapomniano o Izraelu.

Wkrótce jednak oba problemy znalazły nie najgorsze rozstrzygnięcia. Otóż przewodnicząca Bundestagu profesor Rita Süßmuth i przewodniczący Bundesratu, premier Nadrenii-Westfalii Johannes Rau zaprosili ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej do wygłoszenia w imieniu prezydenta Lecha Wałęsy przemówienia na uroczystej sesji obu izb niemieckiego parlamentu. Po raz pierwszy w historii narodu niemieckiego i narodu polskiego! Tego jeszcze nie było! Nie idzie o to, że Władysław Bartoszewski, którego nazwiska Niemcy nie będą pamiętać po paru latach,

ale o fakt, że członek polskiego rządu, reprezentant głowy państwa polskiego przemówi na sesji obu izb niemieckiego parlamentu jako jedyny obcokrajowiec.

Trzydzieści lat po swej pierwszej podróży do Niemiec...

Tak. Okazało się, że to była słuszna droga... Napisałem przemówienie, zastrzegając sobie, że jeden akapit na początku i jeden akapit na końcu wygłoszę także w języku polskim. Sądziłem, że takie wydarzenie będzie jakoś skwitowane przez polskie stacje radiowe i telewizyjne. Mówiłem przez pięćdziesiąt dziewięć minut... Że siedziałem w Auschwitz i nie zmieniłem się, i widzę, że to oni, Niemcy, umieli się zmienić, umieli znaleźć drogę do korzeni Europy. I że jako dwa suwerenne narody powinniśmy budować przyszłość, opierając się na wartościach, które są nam wspólne, a które zostały pogwałcone przez Niemców w dobie hitleryzmu.

Z tego, co wiem, pańskie przemówienie zostało przyjęte kilkuminutową owacją na stojąco. Pełne sprawozdanie telewizyjne obejrzało dwadzieścia milionów Niemców. W prasie europejskiej komentatorzy pisali o przełomowym charakterze tego wystąpienia dla stosunków polsko-niemieckich. Polskie stacje raczej milczały... Szkoda. Głupio... Dziesięć dni później pojechał pan do Londynu.

Reprezentowałem Prezydenta Rzeczypospolitej przed królową Elżbietą II. Jak się okazało, wśród przedstawicieli pięćdziesięciu kilku państw było dwóch kombatantów: prezydent Cypru, który w czasie wojny służył w RAF, i Władysław Bartoszewski, więzień Auschwitz i oficer Armii Krajowej. Rzecz została zauważona przez brytyjską prasę, co wzbudziło we mnie uczucie satysfakcji obywatelskiej. A satysfakcje prywatne? Odwiedziłem sędziwą panią Lidię Ciołkoszową, która na mój widok rozłożyła ręce, pocałowała mnie i powiedziała: – Że Adam tego nie dożył! I wielkie wzruszenie, gdy znalazłem się w skromnym mieszkanku Tadeusza i Daromiry Żenczykowskich. Moje wzruszenie i ich wzruszenie. Łzy. I myśl, że tym spotkaniem los wynagrodził nam przykrości i upokorzenia... Następnego dnia poleciałem do Jerozolimy. Wspomniałem już przedtem, że o obchodach rocznicy w Izraelu nie pamiętał ani rząd, ani prezydent. Dla mnie była to sprawa wielkiej wagi i o długofalowym charakterze. Byłem jedynym w świecie ministrem spraw zagranicznych, który posiadał honoro-

we obywatelstwo Izraela, a ministrem spraw zagranicznych Izraela był Szymon Peres, czyli Szymon Perski z województwa nowogródzkiego. Niewykorzystanie tej sytuacji dla budowy mostów byłoby ciężkim błędem – ludzkim, politycznym i dyplomatycznym. Państwo Izrael z przyjemnością przyjęło zapowiedź mojej wizyty, ale poinformowano mnie, że obchody pięćdziesięciolecia zakończenia drugiej wojny światowej zostaną zredukowane do sesji Knesetu – bez korpusu dyplomatycznego... Komentatorzy dodawali, że po to, by uniknąć zaproszenia ambasadorów Niemiec i Austrii... Jedynymi więc gośćmi nie-żydowskimi byli państwo Bartoszewscy powitani uroczystie przez przewodniczącego Knesetu... Sesję poświęcono wspomnieniu dnia, który kończył potworny okres w historii Żydów, dnia początku liczenia strat, dnia żałoby po milionach zamordowanych, dnia, którego nie mogli świętować radosnym tańcem jak paryżanie czy londyńczycy... Wizyta w Izraelu trwała cztery dni. Doszło do poważnych rozmów służących sprawie fundamentalnej: demontażowi uprzedzeń, uświadomieniu, że nowa Polska odrzuca wszelkie formy szowinizmu i antysemityzmu.

Tydzień później był pan gospodarzem IV Sesji Ministerialnej Rady Państw Morza Bałtyckiego.

Skoro chce pan być dokładny, to po wizycie w Jerozolimie uczestniczyłem w lizbońskim spotkaniu Unii Europejskiej, stamtąd zaś poleciałem do Gdańska. Sesja Rady Państw Morza Bałtyckiego miała dla mnie wymiar dodatkowy, a niezwykle ważny. Czy pan pamięta sprawę pobicia rosyjskich turystów na dworcu kolejowym w Warszawie? Ten incydent wpłynął na znaczne ochłodzenie stosunków z Federacją Rosyjską. Trzeba było szukać jakiegoś rozwiązania. Okazało się, że do Gdańska przyjeżdża minister Andriej Kozyriew. Zorganizowałem dla niego program specjalny. Doszło do rozmowy, której świadkiem był ambasador rosyjski. Właściwie to wygłosiłem przemowę, która brzmiała mniej więcej tak: – Panie Kozyriew, jestem starym człowiekiem, mógłbym być pana ojcem... Chciałbym, aby pan wiedział, że nie noszę w sobie nienawiści do Rosjan. Jestem natomiast wychowany w nienawiści do caratu, ale zdaje się, że to uczucie podzielał także Lenin. Rosjanie są dumnym narodem, Polacy też. My nie lubimy obcej władzy. Wy też. Spróbujmy więc porozumieć się z myślą o przyszłości. I Kozyriew zaprosił mnie do złożenia wizyty w Moskwie.

Pojechałem tam w listopadzie 1995 roku, po pierwszej rundzie wyborów prezydenckich, świadom, że w przypadku przegranej Lecha Wałęsy odejdę z MSZ. Po zakończeniu rozmów oficjalnych wziąłem wraz z ministrem Kozyriewem udział w konferencji prasowej. A dokładniej: ustaliliśmy, że ja będę mówił, on zaś nie będzie zaprzeczał. Dziennikarze zarzucili mnie pytaniami na temat zamiaru przystąpienia Polski do NATO. Odpowiedziałem, że przecież o członkostwie w NATO nie decyduje się w Moskwie. Federacja Rosyjska jest suwerennym państwem, którego wolę, opinię i zamiary staramy się rozumieć i szanować, Rzeczpospolita jest suwerennym państwem, któremu zależy na dobrych stosunkach z Federacją Rosyjską, a fakt, że rozważane są możliwości rozszerzenia NATO, nie powinien wpływać na nasze stosunki dwustronne. Kozyriew dotrzymał słowa: nie zaprzeczył.

Ciekawe, że w podobnie złożonych okolicznościach rozpoczynałem rozmowy z Rosjanami po ponownym objęciu MSZ 30 czerwca 2000 roku. Kilka tygodni przedtem doszło do wydalenia z Polski grupy pracowników ambasady Federacji Rosyjskiej pod zarzutem – mówiąc językiem brutalnym – działalności wywiadowczej. Skutki oczywiste: zamrożenie stosunków. Znow trzeba było zabrać się do roboty. Minister Igor Iwanow, doświadczony, świetnie zorientowany dyplomata, który spędził szereg lat w Europie Zachodniej, wyraził gotowość spotkania się ze mną na sesji ONZ w Nowym Jorku. Przekonałem go do złożenia wizyty w Warszawie. Przyjechał w listopadzie. Zgodził się złożyć wieniec na symbolicznej mogile katyńskiej, ja zaś chętnie złożyłem wieniec na cmentarzu żołnierzy Armii Czerwonej poległych w walkach wokół Warszawy i o Warszawę. Przekazałem mu dokumentację dotyczącą okoliczności zgonów jeńców sowieckich w 1920 roku i wyraziłem gotowość otwarcia naszych archiwów wojskowych dla badaczy rosyjskich, a proszę pamiętać, że w niektórych wpływowych mediach rosyjskich sprawę jeńców zmarłych w polskiej niewoli traktowano jako symetryczną wobec sprawy Katynia.

Na wyraźne życzenie pana prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego uczestniczyłem w jego spotkaniu z ministrem Iwanowem. Prezydent powiedział: – Uważajcie ministrze, bo Bartoszewski pojednał nas z Niemcami i z Żydami, a co będzie, jak nas pojedna z wami? To był żart, a jednak jest prawdą, że przywiązywałem i przywiązuję znaczną wagę do idei pojednania. Nie uważam się za szczególnego znawcę problematyki ro-

syjskiej, ale mam powody sądzić, że moje działania szły w dobrym kierunku.

Co w panu jest?

Nieraz o tym myślę, czyniąc rachunek sumienia.

I jakie wnioski?

Wciąż uważam, że mam rację. I że muszę się jej trzymać. Nie chcę poczuć innych. Ja po prostu wiem, że nie pójdę w określonym kierunku, z określonymi ludźmi. Nie i już! Znam podstawową miarę. Więc mam rację.

A reszta przychodzi sama?

Nie lubię o nic prosić. Nigdy nie prosiłem. Uważam się za dziecko przeznaczenia. Szczególne warunki, w których przyszło mi spędzić całą młodość, od matury do trzydziestego trzeciego roku życia, pozbawiły mnie możliwości wahań. Jedyne wybory, przed którym stałem, był taki: albo zaakceptuję coś, co uważam za zło, albo odmówię akceptacji. Nic więcej.

Nie mogłem wybrać środowiska, znajomych, kolegów, bo nie decydowałem, w której celi więziennej zostaną osadzeni. Otrzymałem dar od losu, dar od Boga. Bo w Auschwitz, w konspiracji i w więzieniach widziałem wyraźną granicę między „nami” i „nimi”. To mi dało przewagę.

A gdybym był skazany na konieczność ciągłych wyborów? Jak bym się zachował, gdyby nie kraty X pawilonu? Czy poszedłbym na ugodę? Na kolejne kompromisy? Dziś wydaje mi się, że znalazłbym wystarczająco dużo siły, aby niczego nie podpisać, nie napisać, nie powiedzieć – tak mi się wydaje, ale w żadnej mierze nie potrafię tego udowodnić.

Więc co w panu jest?

Uważam, że mam rację. Nie, że mam ją z góry! Nie! W gruncie rzeczy jestem człowiekiem niepewnym, nieśmiałym – aż do chwili, gdy podejmę decyzję. Potem zaś zachowuję się jak skoczek stojący na trampolinie. Wykonuję ruch, od którego już nie ma odwrotu.

A źródła decyzji?

Wie pan, uważam, jestem pewien, że każdy z nas nosi w sobie rodzaj busoli, no, nazwijmy to sumieniem albo zdolnością do pytania: czy postą-

piłem właściwie? czy stać mnie na skruchę? czy stać mnie na odnowę? Chodzi o to, by nie zapomnieć, że takie pytania są ważne. Wciąż je sobie przypominać.

Czy ma pan dużo zajęć?

Jutro jadę do Oświęcimia. Pojutrze do Torunia i Gdańska, potem do Szczecina, z wykładami. W piątek odczyt w Berlinie. A dlaczego pan pyta?

Bo chciałbym zadać panu jeszcze parę pytań.

Proszę do mnie zadzwonić. Sprawdzę w kalendarzu. Spotkamy się. Porozmawiamy.

Dziękuję.

Władysław Bartoszewski, urodzony w Warszawie 19 lutego 1922 r., historyk, pisarz, działacz społeczny, polityk. Od września 1940 r. do kwietnia 1941 r. więziony w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Od lata 1942 r. w konspiracji. Uczestnik akcji pomocy Żydom zorganizowanej przez katolicki Front Odrodzenia Polski. Od sierpnia 1942 roku w Armii Krajowej, jest m.in. referentem w Wydziale Informacji Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Współzałożyciel Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Redaktor miesięcznika katolickiego „Prawda Młodych”. Od listopada 1942 zastępca kierownika Komórki Więziennej w Wydziale Bezpieczeństwa Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu RP na Kraj. Od lutego 1943 roku referent i zastępca kierownika Referatu Żydowskiego w Departamencie Spraw Wewnętrznych. Powstaniec warszawski. Na przełomie 1944 i 1945 r. sekretarz redakcji wydawanego w Krakowie „Biuletynu Informacyjnego”. Od lutego do kwietnia 1945 roku członek organizacji „NIE”, następnie służy w VI Oddziale Sztabu Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Od jesieni 1945 roku współpracownik Instytutu Pamięci Narodowej i Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Współtwórca Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem. Od lutego 1946 r. członek redakcji „Gazety Ludowej”. Więziony w latach 1946–1948 i 1949–1954. W 1952 r. skazany na osiem lat więzienia, uznany za niesłusznie skazanego w 1955 roku. W latach 1957–1960 członek redakcji, następnie zaś sekretarz tygodnika

„Stolica”. Od 1957 roku współpracownik, później członek zespołu „Tygodnika Powszechnego”. Od 1969 roku członek zarządu Polskiego Pen Clubu, w latach 1972–1988 jego sekretarz generalny, ostatnio prezes. Wykładowca w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wykładowca Uniwersytetu Łatającego, współzałożyciel Towarzystwa Kursów Naukowych. Członek zespołu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Od 1980 r. w „Solidarności”. Współtwórca Komitetu Obrony Prześladowanych za Przekonania przy Komisji Krajowej „S”. Internowany w stanie wojennym. Przez internowanych w Jaworzu wybrany jednogłośnie na męża zaufania. W latach 1983–1990 wykładowca uniwersytetów w Monachium, Eichstätt i Augsburgu. Od 1990 do 1995 ambasador Rzeczypospolitej w Austrii. Minister spraw zagranicznych w 1995 roku i w latach 2000–2001. W latach 1991–1995 członek Rady do spraw Stosunków Polsko-Żydowskich przy Prezydencie RP Lechu Wałęsie. Od października 1997 r. do 2001 r. senator. Od 1990 r. przewodniczący Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej przy Ministrze Kultury (od 2000 r. przy Premierze Rządu RP). Od 2001 przewodniczący Rady Powierniczej Zamku Królewskiego w Warszawie. Członek honorowy Światowego Związku Żołnierzy AK. Członek honorowy Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Przewodniczący Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Od 1963 r. nosi tytuł „Sprawiedliwego wśród narodów świata” – jest to tytuł nadawany przez Yad Vashem, jerozolimski Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu osobom, które w czasie II wojny światowej w krajach okupowanych przez Niemcy ratowały Żydów, narażając własne życie. Obywatel honorowy państwa Izrael. Obywatel honorowy m.st. Warszawy, Gdyni, Wrocławia, Szczecina. Od 1984 roku członek rzeczywisty Instytutu Józefa Piłsudskiego. Laureat nagrody honorowej Klubu Krzywego Koła (1962), nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego (1968), Nagrody im. Gottfrieda von Herdera (1983), Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich (1986), Nagrody Romano Guardiniego (1995), Nagrody im. Heinricha Braunsa (1996), Nagrody im. Heinricha Heinego (1996). Nagrody im. Eugena Kogana (2002). Doktor honoris causa Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie (1981), Baltimore Hebrew College (1984), Uniwersytetu Wrocławskiego (1996), Uniwersytetu w Marburgu (2001), Uniwersytetu w Augsburgu (2001), Uniwersytetu Warszawskiego (2002), Uniwersytetu Gdańskiego (2005). Odznaczony Orderem Orła Białego, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta (Londyn), Krzyżem Walecznych, Sre-

brnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec, Wielką Odznaką Honorową na Wstędze za zasługi dla Republiki Austrii, austriackim Krzyżem Honorowym za Naukę i Sztukę I klasy, litewskim Orderem Wielkiego Księcia Giedymina I klasy, estońskim Terra Mariana I klasy, Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Cywilnej królestwa Hiszpanii, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Republiki Węgier. Autor (m.in.) książek: *Prawda o von dem Bachu, Ten jest z Ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945* (współautorstwo Zofii Lewinówny), *Warszawski pierścień śmierci 1939–1944, 1859 dni Warszawy, Los Żydów Warszawy 1939–1943, Herbst der Hoffnungen. Es lohnt sich anständig zu sein* (wyd. pol. *Warto być przyzwoitym*) oraz niezliczonych szkiców, artykułów i reportaży.

Dni walczącej stolicy ukazały się nakładem Świata Książki w sierpniu 2004, natomiast publikacja zapisków z internowania Władysława Bartoszewskiego jest przewidziana na grudzień 2006.

PODZIĘKOWANIA

Wydawnictwo Świat Książki serdecznie dziękuje
Pani Zofii Romaszewskiej,
Panu profesorowi Władysławowi Bartoszewskiemu
oraz Panu doktorowi Andrzejowi K. Kunertowi
za udostępnienie zdjęć.

INDEKS OSÓB

W notach biograficznych skoncentrowano się na działalności w opisywanym okresie. Zastosowano skróty: AK – Armia Krajowa, AL – Armia Ludowa, amer. – amerykański, austr. – austriacki, BIP – Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej, czł. – członek, Delegatura – Delegatura Rządu na Kraj, demokr. – demokratyczny, dep. – departament, ds. – do spraw, RJN – Rada Jedności Narodowej, dyr. – dyrektor, franc. – francuski, gł. – główny, hiszp. – hiszpański, Kedyw – Kierownictwo Dywersji, KG – Komenda Główna, KIK – Klub Inteligencji Katolickiej, komunist. – komunistyczny, KOR – Komitet Obrony Robotników, mies. – miesięcznik, min. – minister, MSZ – Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nacz. – naczelny, niem. – niemiecki, NOW – Narodowa Organizacja Wojskowa, NSZ – Narodowe Siły Zbrojne, ONR – Obóz Narodowo-Radykalny, PCK – Polski Czerwony Krzyż, polit. – polityczny, przewodn. – przewodniczący, PSL – Polskie Stronnictwo Ludowe, red. – redaktor, RGO – Rada Główna Opiekuńcza, RSW – Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza, RWE – Radio Wolna Europa, SB – Służba Bezpieczeństwa, SD – Stronnictwo Demokratyczne, SGGW – Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, SL – Stronnictwo Ludowe, socjalist. – socjalistyczny, społ. – społeczny, TAP – Tajna Armia Polska, TWO – Towarzystwo Wychowawczo-Oświatowe, UB – Urząd Bezpieczeństwa, wewn. – wewnętrzny, WiN – Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość, WP – Wojsko Polskie, zał. – założyciel, ZSL – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, ZWZ – Związek Walki Zbrojnej, ŻIH – Żydowski Instytut Historyczny, ŻOB – Żydowska Organizacja Bojowa, żyd. – żydowski.

Adamowski Piotr, kapitan, major, sędzia w stalinowskich procesach polit. 177

Adamski Stanisław (1875–1967), biskup katowski, działacz polit. i społ. 77

Adenauer Konrad (1876–1967), niem. polityk chadecki, kanclerz RFN 138, 211–214

Agnelli Susanna (ur. 1922), włoska minister spraw zagranicznych 237

Ahmadineżad Mahmud (ur. 1956), irański polityk, prezydent Iranu 150

Alarm (Antoni Słonimski) 220

Albin Kazimierz (ur. 1922), inżynier, więzień Auschwitz 69

Aleksandrowicz Julian (1908–1986), lekarz hematolog, oficer AK, profesor medycyny 228

„Alicja” zob. Rudnicka Zofia

Ananicz Andrzej (ur. 1951), orientalista, dyplomata i działacz polit. 261, 262

Anders Władysław (1892–1970), generał i polityk 128, 140

Andriolli Michał Elwiro (1836–1893), rysownik, ilustrator i malarz 13

Andrzejewski Jerzy (1909–1983), pisarz, czł.-zał. KOR 52, 64, 149, 228

Anlen Bronisław (ur. 1907–?), czł. PPR, więzień Pawiaka i obozu na Gęskiej 132

„Antek” zob. Cukierman Icchak

Antonescu Ion (1882–1946), rumuński marszałek i polityk 160

Anus mundi: wspomnienia oświęcimskie (Wiesław Kielar) 55, 64, 67

- Apel* (Jerzy Andrzejewski) 64
- Aran Uriel (Peter), izraelski dyplomata, ambasador w Austrii 260
- Archutowski Roman (1882–1943), teolog i historyk kościoła, prefekt i dyrektor warszawskiego gimnazjum, błogosławiony 18, 19, 64, 127
- Arczyński Marek Ferdynand (1900–1979), dziennikarz, działacz SD, skarbnik Rady Pomocy Żydom „Żegota”, sekretarz generalny Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem 87, 89, 145
- Arendt Hannah (1906–1979), amer. filozof i politolog żyd. pochodzenia 212
- Ariès Philippe (1914–1984), franc. historyk 249
- Arski Stefan (1910–1993), dziennikarz i publicysta, działacz socjalist. i komunist. 186, 190
- Artymowicz Aleksander zob. Gelber Moryc (Maurycy)
- Auerbach Rachel (1903–1976), psycholog, pisarka, współpracownica Archiwum Ringelbluma (Oneg Szabat), po wojnie w Yad Vashem 201
- Augustyński Zygmunt (1890–1959), dziennikarz, red. nac. „Gazety Ludowej” 143, 154
- Aus der Geschichte lernen?...* (Władysław Bartoszewski; przedmowa Stanisława Lema) 251
- Bach Erich von dem, uprzednio Erich von dem Bach-Zelewski (1899–1972), niem. generał SS i policji, dowodził stłumieniem Powstania Warszawskiego 115–117, 121, 195
- Bach Jan Sebastian (1685–1750), niem. kompozytor i organista 171
- Bach-Zelewski von, rodzina 116, 117
- Baczak Waldemar (1922–1947), prawnik, oficer kontrwywiadu AK, następnie WiN, pracownik MSZ 158, 161
- Badeni Kazimierz (1846–1909), prawnik, działacz gosp. i polityk 204
- Bagiński Kazimierz (1890–1966), dziennikarz, działacz ludowy, dyr. Dep. Spraw Wewn. Delegatury, wiceprzewodn. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 73, 127, 129, 138, 140, 141, 153, 156, 163, 164, 190
- Balcerowicz Leszek (ur. 1947), ekonomista, działacz polit. i gosp. 214
- Baltaziński Józef, więzień polit., blokowy w Auschwitz 49
- Balzac Honoriusz (1799–1850), franc. powieściopisarz 23
- Bałucki Michał (1837–1901), komediopisarz, prozaik i publicysta 88
- Banach Kazimierz (1904–1985), działacz ludowy, czł. Rady Państwa 194
- Bańkowska Anna, siostra Danuty 154–156
- Bańkowska Danuta (1914–2003), siostra Anny, szef komórki wywiadu WiN 154–157, 161, 187, 188
- Barański Marek (ur. 1943), historyk 244
- Barciszewski (?–1939), syna Leona 27
- Barciszewski Leon (1883–1939), działacz samorządowy, prezydent Gniezna i Bydgoszczy, dyplomata 27
- Bardecki Andrzej (1916–2001), ksiądz, asystent kościelny „Tygodnika Powszechnego” 211, 235, 237
- Barski Ignacy (1893–1963), adwokat, działacz Stronnictwa Pracy i Frontu Odrodzenia Polski, czł. Rady Pomocy Żydom „Żegota”, po wojnie obrońca w procesach polit. 77, 89
- Bartel Kazimierz (1882–1941), matematyk, polityk: poseł, minister, premier i senator 91
- Bartoszewscy, dziadkowie Władysława 11, 14, 174
- Bartoszewska Beata Helena, z domu Zbiegniewska (1897–1971), matka Władysława 7, 9, 12–14, 17, 18, 39–41, 45, 59, 60, 96, 124, 163, 174, 243
- Bartoszewska Zofia, z domu Makuch (ur. 1927), żona Władysława, literaturoznawca 34, 115, 188, 209, 214, 218, 221, 227, 228, 244, 248, 249, 252, 258, 265
- Bartoszewski Władysław (1895–1970), ojciec Władysława, naczelnik i dyrektor w Banku Polskim 7, 10, 14, 16, 17, 30, 32, 39, 40, 59, 66, 124, 132, 174, 228, 234, 243

- Bartoszewski Władysław T. (ur. 1955), syn Władysława 248, 252
- „Basia” zob. Berman Barbara
- Baumritter Jerzy (1916–1991), dziennikarz, zastępca red. nac. „Trybuny Ludu” 152
- Bayer Witold (1906–1992), adwokat, działacz narodowy, czł. Tajnej Rady Adwokackiej, uczestnik Powstania Warszawskiego, po wojnie organizator adwokatury 163
- Baziak Eugeniusz (1890–1962), arcybiskup, metropolita lwowski i krakowski 80
- Bazylewska Halina, z domu Waszczuk, żona Wiktora, czł. AK i WiN 167
- Bazylewski Wiktor (1914–1986), dziennikarz i publicysta, działacz ZMW „Wici” i PSL 167
- Bąk Wojciech (1907–1961), poeta 154
- Beaupré, mąż Jadwigi 184
- Beaupré Jadwiga, z domu Klemensiewicz (1902–1984), lekarka, czł. Związku Odbudowy Rzeczpospolitej, później w służbie łączności AK, sekretarka Tadeusza Pelczyńskiego 155, 168, 184
- Beck Józef (1894–1944), pułkownik, minister spraw zagranicznych 25
- Beethoven Ludwig van (1770–1827), niem. kompozytor 207
- Bender Ryszard (ur. 1932), historyk, działacz polit. 251
- „Berezowski” zob. Feiner Leon
- Berman Adolf (1906–1978), psycholog, działacz syjonistyczny, czł. Zyd. Komitetu Narodowego, sekretarz Rady Pomocy Żydom „Żegota”, po wojnie przewodn. Centralnego Komitetu Żydów Polskich 87, 89, 131, 135, 136, 145, 161, 192, 200, 201
- Berman Barbara, ps. „Basia”, żona Adolfa, bibliotekarka 87
- Bernhard Robert, brat Waclawa, lekarz, ordynator w szpitalu św. Łazarza 60
- Bernhard Waclaw, brat Roberta, lekarz dermatolog 60, 63
- Beynar, siostra Pawła Jasienicy 228
- Beynar Leon Lech zob. Jasienica Paweł
- Beynar Władysława (?–1965), pierwsza żona Pawła Jasienicy 227
- Beynar Zofia Nena (?–1997), druga żona Pawła Jasienicy, agentka UB 227, 228
- Bez oręża (Zofia Kossak) 74, 77
- Bielecki Jan Krzysztof (ur. 1951), ekonomista, działacz polit., bankowiec 262
- Bień Adam (1899–1998), adwokat, działacz ludowy, zastępca delegata Rządu na Kraj, minister Krajowej Rady Ministrów, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Bieńkowski Witold (1906–1965), brat Zbigniewa, dziennikarz, publicysta, współzał. Frontu Odrodzenia Narodowego i Rady Pomocy Żydom „Żegota”, szef komórki więziennej i referatu zyd. Dep. Spraw Wewn. Delegatury 77, 81, 86, 87, 89, 91, 105, 107–110, 131, 166
- Bieńkowski Władysław (1906–1991), socjolog, publicysta, działacz komunist. 114, 198
- Bieńkowski Zbigniew (1913–1994), brat Witolda, poeta, krytyk literacki, eseista i tłumacz, pracownik Dep. Spraw Wewn. Delegatury, po wojnie sekretarz redakcji „Odrodzenia” 77, 126
- Bierezin Jacek (1947–1993), poeta, działacz niezależnego ruchu wydawniczego, red. nac. „Pulsu” 246
- Biernacki Andrzej (ur. 1931), historyk nauki 244
- Bierut Bolesław (1892–1956), działacz komunist. 139, 163, 166, 186
- Bismarck Klaus von (1912–1997), wnuk Otta, brat Philipa, dziennikarz, intendent Westdeutsche Rundfunk, prezydent Instytutu Goethego 214
- Bismarck Otto von (1871–1890), pruski i niem. polityk, kanclerz zjednoczonych Niemiec 214
- Bismarck Philip von (1913–2006), wnuk Otta, brat Klause, polityk chadecki, działacz ziomkostwa pomorskiego, prezydent Akademii Bałtyckiej w Travemünde 214
- Bliźniński Józef (1827–1893), komediopisarz i prozaik 88
- Blaszczyk Henryk, chłopiec z Kielc 146
- Bołński Jan (ur. 1931), historyk literatury, krytyk literacki i eseista 96

- Blotnicki Stanisław, dyrektor RSW Prasa 14, 190, 194
- Bobola Andrzej (1591–1657), jezuita, kaznodzieja i misjonarz ludowy, święty 25
- Bocheński Jacek (ur. 1926), pisarz, eseista i publicysta 244–246
- Bogucka Teresa (ur. 1945), socjolog, publicystka, działaczka KOR 245
- Bogucki Mieczysław, wiceprokurator, oskarżyciel w stalinowskich procesach polit. 176, 177
- Bogusławski Wojciech (1757–1829), aktor, dramatopisarz i reżyser 137
- Bojarska Halina, II v. Wieczorkiewicz, z domu Marczakówna, ps. „Natalia”, (1919–1984), siostra Stanisława Marczaka-Oborskiego, żona Wacława Bojarskiego, następnie Bronisława Wieczorkiewicza, publicystka i literatka, czł. Konfederacji Narodu 78
- Bojarski Wacław (1921–1943), mąż Haliny, poeta i prozaik, działacz Konfederacji Narodu, red. pisma „Sztuka i Naród” 19, 78
- Böll Heinrich (1917–1985), niem. pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1972) 215, 224, 231
- Bornholtz Tadeusz (?–1966), historyk 18
- Borowski Tadeusz (1922–1951), poeta, pisarz i publicysta, więzień Auschwitz i Dachau 53, 59, 243
- Borowski Witold, inżynier leśnik, dowódca oddziału AK w Skierniewickim, po wojnie nadleśniczy w Goldapi 159, 160
- Boruchowicz zob. Borwicz Michał Maksymilian
- Borusewicz Bogdan (ur. 1949), działacz KOR i Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, współorganizator strajku w Stoczni Gdańskiej, marszałek Senatu RP (2005) 230
- Borwicz (Boruchowicz) Michał Maksymilian, ps. „Zygmunt” (1911–1987), pisarz, publicysta i historyk, dowódca oddziału partyzanckiego AK 91, 149, 219
- Botta Paul, niem. intelektualista, pracownik Westdeutscher Rundfunk 215
- „Bór” zob. Komorowski Tadeusz
- Brandt Willy, właśc. Karl Herbert Frahm (1913–1992), niem. dziennikarz, polityk socjaldemokr. 213, 256, 257
- Brandys Kazimierz (1916–2000), prozaik i eseista 61
- Bratny Roman, właśc. Roman Mularczyk (ur. 1921), pisarz i publicysta, redaktor „Dziwigarów”, działacz „Miecza i Plugą” 175
- Braun Andrzej (ur. 1923), prozaik i poeta 20
- Brauns Heinrich (1868–1939), niem. ksiądz katolicki, prekursor katolickiej nauki społ. w Niemczech, polityk partii Centrum 225
- Breit Ernst (ur. 1924), niem. socjaldemokrata, działacz związkowy 255
- Brentano Heinrich von (1904–1964), niem. polityk chadecki 210
- Brodzcy, rodzina kupiecka 15
- Brodzki Romuald, kupiec, pradziadek Władysława Bartoszewskiego 15
- Brodzki Stanisław (1916–1990), dziennikarz i publicysta 198
- Browniewski Władysław (1897–1962), poeta 149
- Brończyk Kazimierz (1888–1967), polonista, dramaturg i tłumacz 163
- Brumer Jan, syn Wiktora, więzień, pisarz blokowy w Auschwitz 49
- Brumer Wiktor (1894–1941), ojciec Jana, historyk sztuki, publicysta i krytyk teatralny 49
- Bryl, voksdeutsch, pracownik Elektrowni Warszawskiej 59
- Brystygierowa Julia (1902–1975), pułkownik, dyr. Dep. X w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 156
- Brzeziński Józef, dyr. Amer. Jewish Joint Distribution Committee (Joint) 170, 200
- Brzeziński Zbigniew (ur. 1928), amer. politolog polskiego pochodzenia 261
- Buczek Karol (1902–1983), historyk, działacz ludowy, redaktor tygodnika „Piast” (PSL) 153
- Buczkowski Leopold (1905–1989), pisarz 192
- Bujak Zbigniew (ur. 1954), działacz opozycji demokr., szef regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” 238

- Burakowski Józef (?–1940), ksiądz, prefekt w liceum TWO „Przyszłość” 21, 25, 47
- Bursche Juliusz (1862–1942), biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce 85
- Bussche Axel von dem (1919–1993), niem. prawnik, uczestnik opozycji antyhitlerowskiej, działacz Światowej Rady Kościołów 249, 250
- Bystrzeń Jan Stanisław (1892–1964), etnolog i socjolog 143
- Cavendish–Bentick William, brytyjski ambasador w Polsce 158
- „Celina” zob. Lubetkin Cywia
- Cergowski Jan zob. Szczurek-Cergowski Jan
- Cergowski Wiesław (ur. 1922), syn Jana Szczurka-Cergowskiego, prawnik, żołnierz AK – podchorąży z „Baszty” 175, 176
- Chaciński Józef (1889–1954), prawnik, działacz Stronnictwa Pracy, czł. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Chajm Leon (1910–1983), prawnik, działacz SD, po wojnie min. sprawiedliwości 90, 131, 136
- Chamberlain Houston Stewart (1855–1927), brytyjski filozof, germanofil, ideolog rasizmu 150
- Chomsowa Władysława Laryssa, z domu Fiedosiewicz, ps. „Dionizy” (1891–1960), organizatorka i przewodn. Rady Pomocy Żydom we Lwowie 91, 202
- Christopher Warren (ur. 1925) amer. prawnik, dyplomata i polityk 253, 263
- Chruścicki Julian, ksiądz, prefekt w Gimnazjum Katolickim im. św. Stanisława Kostki 11
- Chruściel Antoni, ps. „Monter” (1896–1960), general, dowódca Powstania Warszawskiego 64, 73, 112
- Chrzanowski Wiesław (ur. 1923), prawnik, działacz polit. 176, 200, 202
- Churchill Winston (1874–1965), brytyjski polityk konserwatywny 126, 138, 141
- Ciechanowiecki Andrzej Stanisław (ur. 1924), historyk sztuki i antykwarium, żołnierz AK, zał. Fundacji im. Ciechanowieckich 183, 187
- Ciechanowski Andrzej, historyk z Cambridge 248
- Cienie w pieczarze (Stefan Kisielewski) 197
- Cieślak Stanisław, działacz ludowy, czł. ZMW „Wici” i SL, działacz Juventus Christiana 77
- Ciołkosz Adam (1901–1978), historyk i politolog, przywódca socjalist., działacz polit. w kraju i na emigracji 264
- Ciołkoszowa Lidia (1902–2002), historyk, publicystka, działaczka socjalist. 251, 264
- Cmentarzysko popiołów ofiar z Pawiaka (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Cohn Ludwik (1902–1981), adwokat, działacz socjalist., czł. KOR 167
- Conrad Joseph, właśc. Teodor Józef Konrad Korzeniowski (1857–1924), pisarz angielski polskiego pochodzenia 42, 232
- Cukierman Icchak, ps. „Antek” (1915–1981), komendant ZOB, uczestnik powstania w getcie (1943) i Powstania Warszawskiego 192, 200
- Cygankiewicz Alina, z domu Zbiegniewska (1900–1942), siostra matki Władysława Bartoszewskiego 15, 16, 36, 37, 39
- Cygankiewicz Jan Dariusz (1888–1966), mąż Aliny, wuj Władysława Bartoszewskiego, kapitan WP 15, 16, 30, 35–37, 39
- Cyrankiewicz Józef (1911–1989), prawnik, działacz socjalist. i komunist. 91, 139, 155
- Czaja Herbert (1914–1997), niem. polityk chadecki, działacz ziomkostwa górnośląskiego, przewodn. Związku Wypędzonych 210
- Czaki, rodzina 61
- Czaki Hanna (1922–1944), sekretarka szefa Wydziału Informacji BIP Jerzego Makowieckiego 61, 62, 64, 71, 74, 81, 103–105, 220
- Czaki Jadwiga, z domu Dobrowolska (?–1944), matka Hanny 61, 103, 105
- Czaki Tytus Wincenty (1888–1944), ojciec Hanny, bojowiec PPS, Sybirak, przed wojną prezydent Włocławka i Brześćcia 61, 103, 105

- Czaplicki Józef, pułkownik, dyr. dep. w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 135, 155, 156
- Czarnocki (?–1944), intelektualista zamordowany przez nacjonalistyczną bojówkę 106
- Czarnowski Eugeniusz, ps. „Piotr”, „Lidzki” (1904–1947), ekonomista, przewodn. Zjednoczenia Demokr., zastępca szefa Wydziału Informacji BIP, czł. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 77, 79, 102, 106, 114, 127, 129
- Czasy wojny (Ferdynand Goetel) 29
- Czuma Andrzej (ur. 1938), brat Benedykta, prawnik i historyk, działacz opozycji demokr. 225, 226
- Czuma Benedykt (ur. 1941), brat Andrzeja, działacz opozycji demokr. 225, 226
- Czuma Walerian (1890–1962), generał, 1939 organizator obrony Warszawy (1939) 32
- Czuperska-Śliwicka Anna (1908–1988), lekarka, więźniarka Pawiaka, czł. konspiracji więziennej AK 82
- Ćwiklińska Mieczysława (1879–1972), aktorka, śpiewaczka 132
- Dagan Awigdor, uprzednio Victor Fischl (1912–2006), czeski pisarz i dyplomata, od 1949 w Izraelu, izraelski ambasador w Warszawie 196
- Dakowski Tadeusz, właściciel kawiarni 11
- Damięcki Dobiesław (1899–1951), mąż Ireny Górskiej-Damięckiej, aktor i reżyser 153
- Dargielowa Aleksandra, działaczka społ., pracownica RGO, kierowniczką referatu dziecięcego Rady Pomocy Żydom „Żegota” 84, 87
- Daszyński Ignacy (1866–1936), przywódca socjalist., publicysta i polityk 204
- Daume Max (1894–1947), oficer policji i SS, zastępca dowódcy Regimentu Policji Porządkowej w Warszawie, odpowiedzialny za egzekucję w Wawrze (1939) 160
- Dąbrowska Halina, „Wanda Leśniewska”, działaczka Konfederacji Narodu i Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom, związana z wywiadem AK 133, 173, 174, 176, 177, 196
- Dąbrowska Maria (1889–1965), pisarka 192
- Dedecius Karl (ur. 1921), niem. tłumacz literatury polskiej, krytyk literacki i wydawca 20
- Dejmek Kazimierz (1924–2002), reżyser, aktor 221
- Demko Mikołaj zob. Moczar Mieczysław
- Dering (Dehring) Władysław (1903–1966), lekarz, szef służby zdrowia TAP, więzień Auschwitz, członek konspiracji obozowej 55
- Dewajtis (Maria Rodziewiczówna) 154
- „Dionizy” zob. Chomsowa Władysława Larysa
- Dirlewanger Oskar (1895–1945), pułkownik SS, dowódca brygady SS złożonej z kryminalistów, uczestniczącej w tłumieniu Powstania Warszawskiego 115
- Divini redemptoris* (Pius XI) 21
- Dni walczącej stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego* (Władysław Bartoszewski) 121, 142, 190, 239
- Dobroszyccy, rodzina 97
- Dobroszycki Lucjan (1925–1995), historyk 96, 223
- Dobrowolska Anna, ps. „Michalska” (1889–1951), siostra Jadwigi Czaki, działaczka krakowskiego Klubu Demokr. i skarbniczka Rady Pomocy Żydom „Żegota” w Krakowie 61
- Dobrowolski Adam (1903–2000), prawnik, pracownik BIP, po wojnie w Krakowie – radca prawny i adwokat 79–81, 102, 122, 124, 125, 184
- Dobrowolski Stanisław Wincenty (1911–1994), prawnik, działacz socjalist., przewodn. Rady Pomocy Żydom w Krakowie 90
- Dobrowolski Zygmunt (1897–1972), podpułkownik, pracownik Oddziału III KG AK, sygnatariusz aktu kapitulacji Powstania Warszawskiego 121
- Dole Robert (ur. 1923), amer. prawnik, polityk Partii Republikańskiej, senator 253, 263

- Dollfuss Engelbert (1892–1934), austr. polityk chadecki, kanclerz i minister spraw zagranicznych Austrii 205, 206
- Domańska Bogna z domu Gorska (1903–?), bibliotekarka, działaczka społ., sekretarka komórki więziennej i referatu żyd. Delegatury, szefowa Wojskowej Służby Kobiet kompanii batalionu „Kiliński” 81, 92, 122
- Dönhoff Marion von (1909–2002), niem. dziennikarka, red. nac. i współwydawca „Die Zeit” 214
- Dr. Karl Lüger. Der Mann zwischen den Zeiten* (Kurt Skalik) 205
- Drażnin Dawid, adwokat, działacz syjonistyczny, więzień stalinowski 200
- Drewnowscy, rodzina 94
- Drewnowska Janina (1891–1947), matka Andrzeja i Tadeusza 94
- Drewnowski Andrzej (1923–1940), brat Tadeusza 94
- Drewnowski Karol (1887–1940), ojciec Andrzeja i Tadeusza, nauczyciel historii 94
- Drewnowski Tadeusz (ur. 1926), pisarz i krytyk literacki 94
- Dreżpolska Ewa (1914–1976), prawnik, sekretarka, maszynistka i łączniczka BIP 123
- Drożdżyński Aleksander, dziennikarz 223
- Drukier Bolesław (1912–2006), pedagog i historyk 152
- Dubois Stanisław (1901–1942), działacz socjalist., publicysta 51
- Dumas Aleksander, ojciec (1802–1870), pisarz 23
- Dunin-Wąsowicz Krzysztof (ur. 1923), syn Janiny i Władysława, historyk 43, 98, 112
- Dunin-Wąsowicz Władysław (1877–1950), ojciec Krzysztofa, dziennikarz, działacz Tajnej Organizacji Dziennikarskiej 112
- Dunin-Wąsowiczowa Janina, z domu Rubach (1896–1972), matka Krzysztofa, pedagog, działaczka społ., opiekunka kuchni RGO na Żoliborzu 43, 112
- Dunin-Wąsowiczowie, rodzina 98
- Durko Jan (1880–1943), ojciec Janusza, działacz socjalist. 137
- Durko Janusz (ur. 1915), syn Jana, historyk, dyr. Muzeum Historycznego m.st. Warszawy 137
- Dürrenmatt Friedrich (1921–1990), szwajcarski dramaturg, prozaik, eseista i teoretyk teatru 211
- Dybowsi Konrad (1919–1947), syn Władysława, oficer NSZ i Organizacji Polskiej 157
- Dybowsi Władysław (1892–1947), ojciec Konrada, wiceprezydent Legnicy 156
- Dyduch Jan, oficer śledczy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 174, 175
- Dygasiński Adolf (1839–1902), prozaik, publicysta i pedagog 23
- Dymek Walenty (1888–1956), arcybiskup poznański 145
- Dymy nad Birkenau* (Seweryna Szmaglewska) 56
- Dziady* (Adam Mickiewicz; reż. Kazimierz Dejmek) 221, 227
- Dzieduszycki Wojciech (1848–1909), ziemianin, filozof, estetyk, historyk sztuki i pisarz, polityk konserwatywny 204
- Dzienniki* (Stefan Kisielewski) 191
- Dziesięciolecie Polski niepodległej* (album) 18
- Dzisiejsze oblicze wsi* (Zofia Kossak) 76
- Dziuban, kurier MSZ 157
- Echa leśne** (Stefan Żeromski) 21
- Ekzekucje uliczne w Warszawie* (Władysław Bartoszewski) 137
- Eichmann Adolf (1906–1962), oficer SS, jeden z gł. organizatorów zagłady Żydów w czasie II wojny światowej 67–69, 150, 196
- Elementarz* (Marian Falski) 13
- Elżbieta II (ur. 1925), królowa Wielkiej Brytanii 264
- Engelbert Reinke* (Paul Schallück) 215
- Engels Erich (?–1951), kapitan SS, funkcjonariusz Sicherheitsdienst (SD), m.in. kierował kartoteką warszawskiego gestapo oraz nadzorował oboz przejściowy dla Żydów w Izbicy 170, 172, 173, 181
- Engels Fryderyk (1820–1895), niem. filozof, ekonomista i działacz polit. 171

- Erenburg Ilja (1891–1967), rosyjski pisarz i publicysta 186
- Erhard Ludwig (1897–1977), niem. ekonomista i polityk, kanclerz RFN 213, 214
- Erler Fritz (1913–1967), niem. działacz socjaldemokratyczny, uczestnik opozycji antyhitlerowskiej 215
- „Ewa” zob. Wąsowiczowa Janina
- Falski Marian (1881–1974), pedagog i działacz oświatowy 13
- Faraon* (Bolesław Prus) 21
- Feiner Leon, ps. „Berezowski” (1888–1945), adwokat, działacz Bundu, wiceprzewodn. i przewodn. Rady Pomocy Żydom „Żegota” 87–89, 145, 200
- Felczak Zygmunt (1903–1946), działacz Stronnictwa Pracy 139
- Ficowska Elżbieta (ur. 1942), przewodn. Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu 84
- Fiedosiewicz Władysława Laryssa zob. Chomsowa Władysława Laryssa
- Fieldorf Emil, ps. „Nil” (1895–1953), generał, komendant Kedywu KG AK, zastępca dowódcy AK, Nacz. Komendant Organizacji „Nie” 127, 130
- Filarska Barbara z domu Wąsik (ur. 1922), matka Danuty Kuroniowej, archeolog śródziemnomorski 43
- Filipowicz Tytus (1873–1953), mąż Wandy Krahelskiej, publicysta i dyplomata 83
- Filipowiczowa Wanda zob. Krahelska-Filipowiczowa Wanda
- Fischer Ludwig (1905–1947), funkcjonariusz hitlerowski, gubernator Dystryktu Warszawskiego 117, 160
- Fischl Victor zob. Dagan Awigdor
- Flukowski Stefan (1902–1972), pisarz 149
- Frahm Karl Herbert zob. Brandt Willy
- Franciszek z Asyżu (1181–1226), święty 77
- Franco Bahamonde Francisco (1892–1975), hiszp. generał i dyktator 170, 172
- „Franek” zob. Karski Jan
- Frank Hans (1900–1946), niem. prawnik, zarządca (generalny gubernator) Generalnej Guberni 45
- Frankiewicz Stefan (ur. 1940), historyk literatury, publicysta, dyplomata, red. nac. „Więzi”, współred. pol. wydania „L’Observatore Romano” 237
- Fredro Aleksander (1793–1876), komediopisarz, poeta i pamiętnikarz 22
- Freud Zygmunt (1856–1939), austr. neurolog i psychiatra, twórca psychoanalizy 207
- Frisch Max (1911–1991), szwajcarski pisarz i dramaturg 254
- Frydrych, więzień Auschwitz 58, 60
- Gajcy Tadeusz (1922–1944), poeta, dramaturg i prozaik, współpracownik pisma „Sztuka i Naród” 65, 78
- Gajewski Piotr (1902–1975), działacz socjalist., czł. Rady Pomocy Żydom „Żegota” 89
- Gajowniczek Zbigniew, ps. „Zbyszek”, czł. Malego Sabotażu na warszawskim Żoliborzu 105
- Galen Clemens August von (1878–1946), niem. duchowny katolicki, kardynał, beatyfikowany (2005) 31
- Galczyński Konstanty Ildefons (1905–1953), poeta 24
- Galecki Tadeusz zob. Strug Andrzej
- Gądecki Stanisław (ur. 1949), arcybiskup, metropolita poznański, przewodn. Komisji Dialogu Chrześcijańsko-Żydowskiego 147
- Gąsiorowski Waław (1869–1939), powieściopisarz, publicysta i działacz społ. 22
- Gebethner Gustaw Adolf (1831–1901), wydawca 24
- Gelber Moryc (Maurycy), „Aleksander Arty-mowicz”, lwowski księgarz 85, 98, 131
- Genewa* (George Bernard Shaw) 27
- Geremek Bronisław (ur. 1932), historyk i działacz polit. 254, 255, 263
- Giedroyc (Giedroyc) Jerzy (1906–2000), wydawca i publicysta, zał. i red. nac. paryskiej „Kultury”, twórca Instytutu Polskiego w Paryżu 196, 197, 250
- Giełżyński Witold (1886–1966), dziennikarz i publicysta, pracownik BIP, po woj-

- nie m.in. red. nac. „Gazety Ludowej” 102, 143, 151
- Gierek Edward (1913–2001), działacz komunist. 244
- Gieysztor Aleksander (1916–1999, historyk, pracownik i szef Wydziału Informacji BIP 79, 101, 109, 113, 122, 130, 168, 231, 244
- Giterman Icchak (1889–1943), dyr. polskiego oddziału American Jewish Joint Distribution Committee (Joint), współorganizator pomocy spol. w getcie, współzał. ŻOB 201
- Gjellerup Karl Adolph (1857–1919), pisarz duński 42
- Globke Hans (1898–1973), niem. prawnik, współtwórca prawa nazistowskiego, po wojnie doradca Konrada Adenauera i minister w jego rządzie 213
- Głowacki Aleksander zob. Prus Bolesław
- Głowiński Michał (ur. 1934), historyk i teoretyk literatury, krytyk i pisarz 84
- Gmerek, volksdeutsch 104
- Gobineau Joseph Arthur (1816–1862), franc. pisarz i dyplomata, twórca koncepcji rasistowskich 150
- Goetel Ferdynand (1890–1960), pisarz i publicysta, prezes Pen Clubu 29
- Goldfinger-Kunicki Władysław Jerzy (1916–1995), mikrobiolog, genetyk, działacz socjalist. 245
- Goldman Roman, ps. „Lenart” (1901–1958), dziennikarz, pracownik Wydziału Prasowego BIP, szef Agencji Prasowej, czł. Organizacji „Nie” i WiN 112, 126, 130, 132, 133, 184
- Golubiew Antoni (1909–1979), powieściopisarz i eseista 212
- Gombrowicz Witold (1904–1969), prozaik, dramaturg, eseista 11
- Gomulicka Maria (1919–2003), żona Juliusza Wiktora, matka Rogera 165
- Gomulicki Juliusz Wiktor (1909–2006), mąż Marii, ojciec Rogera, historyk literatury, krytyk literacki i eseista, varsavianista i bibliofil 114, 137, 167
- Gomulicki Roger (1940–1974), syn Marii i Juliusza Wiktora 137
- Gomulka Władysław, ps. „Wiesław” (1905–1982), działacz komunist., wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej 129, 165, 167, 189, 198, 221, 222, 227, 228
- Gorzadowski Jan Nepomucen, ps. „Wolański” (1897–1957), pułkownik, szef Oddziału Personalnego KG AK 134
- Gore Al (ur. 1948), amer. dziennikarz, polityk Partii Demokratycznej 253, 263
- Gorscy, rodzina 92
- Gójski Józef, działacz ludowy, czł. Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem 145
- Górecki Juliusz, brat Romana, dziennikarz i pisarz, działacz socjalist., przewodn. Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem 145
- Górecki Roman (1889–1946), brat Juliusza, generał 145
- Górka Olgierd (1887–1955), historyk i publicysta, red. nac. mies. „Prawa człowieka” 145
- Górszy, rodzina
- Górska Wanda, sekretarka Bolesława Bieruta 166
- Górska-Damięcka Irena (ur. 1916), żona Dobiesława Damięckiego, aktorka i reżyser teatralny 153
- Grabicki Alojzy (1906–1990), powojenny naczelnik więzienia mokotowskiego 180, 182
- Grabscy, rodzina 80
- Grajek Stefan (ur. 1915), przewodn. Światowego Związku Żyd. Bojowników, Partyzantów i Więźniów Obozów oraz Światowej Federacji Żydów Polskich 248
- „Grawer” zob. Moczarski Kazimierz
- Grobelny Julian (1893–1944), działacz socjalist., przewodn. Rady Pomocy Żydom „Żegota” 87, 89, 90, 145
- Grocholska, żona Ksawerego 158
- Grocholski Ksawery (1903–1947), ziemianin, oficer wywiadu AK, następnie WiN 157, 158
- Grocholski Remigiusz Adam, ps. „Waligóra” (1888–1965), podpułkownik, komendant „Wachlarza”, w Powstaniu Warszawskim dowódca Rejonu Mokotów Dolny 157

- Gross Jan Tomasz (ur. 1947), syn Hanny i Zygmunta, socjolog i politolog 148
- Gross Zygmunt (1903–1995), mąż Hanny Szumańskiej, adwokat, obrońca w stalino-wskich procesach polit. 176–179, 182, 223
- Grossowa Hanna, żona Zygmunta zob. Szu-mańska-Grossowa Hanna
- Grosz Wiktor, właśc. Izaak Medres (1907–1956), publicysta, działacz komu-nist., dyplomata 23, 161
- „Grot” zob. Rowecki Stefan
- Groza czerwonych afiszów* (Ludwik Gorzeń-ski [Władysław Bartoszewski]) 142
- Grzegorzcyk Andrzej (ur. 1922), filozof, lo-gik 20
- Grzybowski Zbigniew, oficer w kampanii wrześniowej, czł. redakcji „Stolicy” 190
- Gumowski Józef (1916–1952), dowódca grupy specjalnej Kierownictwa Walki Podziemnej 178
- Gurgacz Władysław (1914–1949), ksiądz, jezuita, kapelan Polskiej Podziemnej Ar-mii Niepodległościowej 80
- Gutman Izrael (ur. 1923), izraelski historyk, więzień Majdanka i Auschwitz 96, 192
- Gutowski, Leszczyc-Gutowski Adam (1923–1980), lekarz, związany z wywia-dem AK 174, 176
- Habsburgowie**, dynastia 205
- Hácha Emil (1872–1945), polityk czecho-słowacki, prezydent Czechosłowacji 30
- Haller Józef (1873–1960), generał i polityk 156
- Hamsun Knut, właśc. Knut Pedersen (1859–1952), norweski pisarz 43
- Handelsman Marcelli (1882–1945), histo-ryk, pracownik BIP 102, 105–107
- Hašek Jaroslav (1883–1923), czeski pisarz 206
- Hauser Gideon, prokurator generalny Izrae-la, oskarżyciel w procesie Eichmanna 68
- Hausman Paulina zw. Lusią zob. Rudnicka Zofia
- Havel Vaclaw (ur. 1936), czeski dramaturg i eseista, dysydent i polityk, b. prezydent Czechosłowacji i Czech 253
- Heine Heinrich (1797–1856), poeta niem. 18
- Herbst der Hoffnungen* (Warto być przy-zwoitym; Władysław Bartoszewski) 215
- Herbst Stanisław (1907–1973), historyk, pracownik BIP, czł. redakcji „Biuletynu In-formacyjnego” 72, 88, 102
- Herczyński Ryszard, matematyk, działacz opozycji demokr. 245
- Herder Johann Gottfried von (1744–1803), niem. pisarz, filozof i teolog ewangelicki 250
- Herling-Grudziński Gustaw (1919–2000), pisarz, publicysta, krytyk literacki 184, 250
- Hertz Benedykt (1872–1952), bajkopisarz, satyryk i publicysta 81, 92
- Hertz Zofia (1911–2003), prawnik, współ-zał. paryskiej „Kultury” i Instytutu Lite-rackiego w Paryżu 250
- Heydel Adam (1893–1941), brat Wojcie-cha, prawnik, historyk kultury, więzień Auschwitz 51, 56, 57
- Heydel Wojciech (–1941), brat Adama, zie-mianin, więzień Auschwitz 51, 57
- Himmler Heinrich (1900–1945), jeden z gł. przywódców nazistowskich Niemiec 45, 116, 117
- Hitler Adolf (1889–1945), niem. polityk, przywódca nazistowskich Niemiec 25, 30, 31, 34, 35, 38, 57, 73, 95, 111, 116, 119, 131, 150, 162, 171, 199, 205, 207, 210, 229, 249, 254
- Hiżowa Emilia (1895–1970), architekt, czł. SD, działaczka Rady Pomocy Żydom „Żegota” – współorganizatorka pomocy medycznej 87
- Hlond August (1881–1948), kardynał, pry-mas Polski 145
- Hniedziewicz Piotr, kierownik księgarni „Oficyna Księgarska” 137
- Hochberg-Mariańska Maria, przedstawiciel-ka społeczności żyd. w Radzie Pomocy Żydom w Krakowie 91
- Holland Henryk (1920–1961), dziennikarz, red. nac. „Walki Młodych”, czł. redakcji „Trybuny Ludu” 198

- Holzer Jerzy (ur. 1930), historyk i politolog 234
- Homayer Josef, niem. duchowny katolicki, biskup, sekretarz Episkopatu Niemiec, przewodn. Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej (do 2006) 217
- Höss Rudolf (1900–1947), oficer SS, komendant obozu koncentracyjnego Auschwitz 52, 160
- Hrabek Klaudiusz (1902–1989), filozof, dziennikarz, działacz endecki 219
- Hryniewicz Jerzy (1908–1988), architekt i urbanista 137
- Hunkár Dénes, węgierski ambasador w Austrii 260
- Iranek-Osmecki Kazimierz (1897–1984), pułkownik, szef Oddziału II KG AK, sygnatariusz aktu kapitulacji Powstania Warszawskiego 121, 195
- Irydion* (Zygmunt Krasiński) 23
- Iwanow Igor (ur. 1945), rosyjski działacz polityczny, minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej 266
- Iwazkiewicz Jarosław (1894–1980), pisarz 192
- Jabłoński Tadeusz, historyk, działacz socjalist. 137
- Jamontt Helena (1914–1944), siostra Władysława, prawniczka, związana z ONR Falangą, działaczka Konfederacji Narodu, prezes Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom 108
- Jamontt Władysław, brat Heleny, prawnik, działacz narodowy, oficer kontrwywiadu AK 107–109
- Jamontt-Krzywicki (Szymon) Ryszard, właśc. Krzewicki Szymon Ryszard (1903–1957), inżynier, adiutant dowódców SZP-WZ-AK: M. Karaszewicza-Tokarzewskiego, S. Roweckiego i T. Komorowskiego 163
- Jan Paweł II (1920–2005), papież 18, 20, 70, 146, 147, 151, 235–237, 254; zob. też Wojtyła Karol
- „Janek” zob. Nowak-Jeziorański Jan
- Janic Marian, pułkownik, żołnierz AL, szef gabinetu Mieczysława Moczara 197
- Janiczek Jan Edward, ps. „Świadek” (1898–1944), autor utworów o Warszawie, m.in. wiersza *Pani Opaczewska* 32
- Jankowski Jan Stanisław (1882–1953), inżynier chemik, dyr. Dep. Opieki Społ. Delegatury, delegat Rządu RP na Kraj, czł. RJN, wicepremier Krajowej Rady Ministrów, oskarżony w procesie Szesnastu 84, 127–129
- Jankun Zygmunt, porucznik, oficer śledczy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 160, 161
- Jarocki Robert (ur. 1932), dziennikarz, felietonista i pisarz 109
- Jaruzelski Wojciech (ur. 1923), generał, działacz komunist., b. prezydent RP 248
- Jasienica Paweł (Leon Lech Beynar) (1909–1970), pisarz i publicysta; oficer BIP Okręgu Wileńskiego AK, prezes Klubu Krzywego Koła 221, 222, 224, 227, 228
- Jasiukowicz Stanisław (1882–1946), ekonomista, działacz narodowy, zastępca delegata Rządu RP na Kraj, minister Krajowej Rady Ministrów, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Jaspers Karl (1883–1969), niem. filozof i psycholog 211, 254
- Jastrun Mieczysław (1903–1983), poeta, eseista, prozaik i tłumacz 61
- Jawa i mrzonka* (Antoni Słonimski) 221
- Jedlicki Jerzy (ur. 1930), brat Witolda, historyk, publicysta 222, 244, 246
- Jedlicki Witold (1929–1995), brat Jerzego, socjolog i publicysta 222
- Jedna strona medalu* (Antoni Słonimski) 224
- Jelcyn Borys (ur. 1931), polityk sowiecki i rosyjski 151
- Jenninger Philipp (ur. 1932), niem. prawnik, dyplomata i polityk, przewodn. Bundestagu 260
- Jeske-Choiński Teodor (1854–1920), pisarz, publicysta i krytyk literacki 22
- Jesteś katolikiem... Jakim?* (Zofia Kossak) 22, 74
- Jeziorański Zdzisław zob. Nowak-Jeziorański Jan

- Józewski (Józefski) Henryk (1892–1981), artysta malarz i muzyk, działacz polit., red. „Polska Walczy” i „Ziemie Wschodnie Rzeczypospolitej...”, przywódca Polskiego Stronnictwa Demokratycznego
- Józwiak Franciszek, ps. „Witold” (1895–1966), generał, wiceminister bezpieczeństwa publicznego 176
- Kaczkowski Zygmunt (1825–1896), powieściopisarz i poeta, działacz społ. 23
- Kaczyński Lech (ur. 1949), prawnik, polityk, prezydent RP (od 2005) 148
- Kakit Edzio, złodziej kieszonek, więzień kryminalny w więzieniu mokotowskim 162
- Kamiński Aleksander (1903–1978), pedagog i pisarz, działacz harcerski, pracownik BIP, red. nac. „Biuletynu Informacyjnego”, twórca Organizacji Małego Sabotażu „Wawer” 62, 72, 102, 123
- Kamiński Andrzej, więzień Auschwitz 60
- Kamiński (Bronisław) Mieczysław (1899–1944), generał SS, dowódca Rosyjskiej Narodowej Armii Wyzwoleńczej (RONA), uczestniczącej w stłumieniu Powstania Warszawskiego 115
- Kamiński Stefan (1907–1974), krakowski księgarz i wydawca, działacz konspiracyjny 180
- Kann Maria (1906–1995), pisarka, działaczka harcerska, współpracownik Rady Pomocy Żydom „Żegota” 149, 199, 202
- Kapitaniak Zygmunt (1905–1974), prawnik, działacz Klubów Demok., pracownik BIP 102, 109, 122, 125
- Karski Jan, właśc. Jan Kozielski, ps. „Frank” (1914–2000), brat Mariana Kozielskiego, historyk i politolog, kurier i emisariusz władz Polski Podziemnej na Zachód 49, 71, 72, 77, 99, 104, 231, 233
- Karsov Nina (ur. 1941), prozaik, tłumaczka i wydawca 218
- Kasjanow Michail (ur. 1957), rosyjski polityk, b. premier Federacji Rosyjskiej 237
- Katz Katriel (1908–1988), izraelski dyplomata i działacz polit. 192
- „Kawecki” zob. Szyszkowski Waclaw
- Kazimierzczak Witold, więzień Auschwitz 54
- Kennan George Frost (1904–2005), amer. dyplomata i sowietolog 254
- Kermisz Józef (1907–2005), izraelski historyk, zał. i dyr. archiwum Yad Vashem 199, 201
- Kersten Krystyna (ur. 1931), historyk 231
- Kęcikowa Marzena, działaczka opozycji demokr. 248
- Kępiński Antoni (1918–1972), lekarz psychiatra, organizator i uczestnik programu leczenia b. więźniów Auschwitz 67
- Kiedrzyńska Wanda (1901–1985), historyk, więźniarka Ravensbrück 109
- Kielanowski Jan (1910–1989), zootechnik i genetyk, profesor PAN, twórca i dyr. Instytutu Fizjologii i Żywienia Zwierząt, czł. KOR 244
- Kielar Wiesław (1919–1990), więzień Auschwitz 56, 57
- Kijowski Andrzej (1928–1985), krytyk literacki, eseista i prozaik 233, 234, 246
- Kinkel Klaus (ur. 1936), niem. polityk liberalny 253
- Kipling Rudyard (1865–1936), angielski pisarz 42
- Kirchschlager Rudolf (1915–2000), austr. polityk chadecki, prezydent Austrii 230, 250
- Kirszke (Kirschke) Tadeusz (1908–1996), ksiądz, dziennikarz, kapelan RWE 202, 218
- „Kisiel” zob. Kisielewski Stefan
- Kisielewska Lidia, żona Stefana 115, 116, 191, 197
- Kisielewski Jerzy, syn Stefana, dziennikarz i publicysta 191
- Kisielewski Stefan, zw. „Kisilem” (1911–1991), ojciec Waclawa i Jerzego, publicysta i pisarz, kompozytor i krytyk muzyczny, felietonista „Tygodnika Powszechnego” 115, 191, 193, 197, 198, 211, 221
- Kisielewski Waclaw (1943–1986), syn Stefana, pianista 115, 116, 191
- Kiszczak Czesław (ur. 1925), generał, działacz komunist. 248, 251

- Kleeberg Franciszek (1888–1941), generał 38
- Klemensiewicz Jadwiga zob. Beaupré Jadwiga
- Klemensiewicz Zygmunt (1874–1948), brat Zenona, ojciec Jadwigi Beaupré, lekarz, działacz socjalist. 155, 184
- Klemensiewicz Zenon (1891–1969), brat Zygmunta, językoznawca, polonista, pedagog 155
- Kliszko Zenon (1908–1989), działacz komunist. 193, 195, 221
- Kłoczowski Jerzy (ur. 1924), historyk, żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego 230
- Kłyszkiński Andrzej, red. nac. „Gazety Ludowej” 166
- Knothe Jan (1912–1977), architekt, współautor Trasy W-Z i MDM, varsavianista 137
- Kobielski Dobrosław, dziennikarz, publicysta i wydawca, red. nac. „Stolicy” 190, 190
- Kobyłański Kazimierz (1892–1978), inżynier, działacz narodowy, czł. sztabu Narodowych Sił Zbrojnych oraz RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Koenig (König) Franz (1905–2004), austr. duchowny katolicki, arcybiskup Wiednia, kardynał 204–206, 208, 209, 260
- Kohl Helmut (ur. 1930), niem. prawnik i historyk, polityk CDU, jako kanclerz RFN doprowadził do zjednoczenia Niemiec 138, 213, 253, 256, 257, 259, 263
- Kollek (Theodor) Teddy (ur. 1911), izraelski polityk, wieloletni burmistrz Jerozolimy 254
- Kołakowski Leszek (ur. 1927), filozof, publicysta i prozaik 136, 221, 231, 243, 254
- Komar Michał (ur. 1946), krytyk literacki, pisarz i publicysta 246
- Komorowski Tadeusz, ps. „Bór” (1895–1966), generał, dowódca AK 119
- Koniew Iwan (1897–1973), marszałek sowiecki 124
- Konowicz Irena (1910–1969), lekarka, więźniarka Pawiaka, czł. konspiracji więziennej AK 82
- Konrad György (ur. 1924), węgierski pisarz i eseista, prezes Międzynarodowego Pen Clubu 249
- Kopaliński Władysław, właśc. Jan Stefczyk (ur. 1907), wydawca, felietonista i leksykograf 167
- Kopczyński Bronisław Onufry (?–1943), muzyk, kompozytor i publicysta, działacz ONR Falangi i Konfederacji Narodu, red. nac. pisma „Sztuka i Naród” 78
- Korbońska Zofia (ur. 1915), żona Stefana 164, 218
- Korboński Stefan (1901–1989), adwokat, działacz ludowy, szef Kierownictwa Walki Cywilnej, delegat Rządu na Kraj (1945) 73, 138, 128, 131, 143, 153, 155, 156, 164, 172, 173, 178, 190, 218
- Korczak Janusz, właśc. Henryk Goldszmit (1878 lub 1879–1942), lekarz, pisarz, pedagog i działacz społ. 254
- Kornacki Jerzy (1908–1981), pisarz, dyr. Instytutu Pamięci Narodowej (powojennego) 133
- Korotyńscy, rodzina 88
- Korzeniewski Bogdan (1905–1992), historyk i krytyk teatralny, reżyser i tłumacz, działacz Klubów Demokr., pracownik BIP 50, 60, 102
- Kosibowski Edward (1895–1944), o. jezuita, teolog, publicysta i redaktor 25, 26
- Kossak Juliusz (1824–1899), malarz, rysownik i ilustrator, ojciec Wojciecha 22
- Kossak Wojciech (1856–1942), malarz, syn Juliusza 22
- Kossak Zofia, ps. „Weronika” (1890–1968), wnuczka Juliusza, córka Tadeusza, pisarka i publicystka, współzał. Frontu Odrodzenia Polski i Rady Pomocy Żydom „Żegota” 22, 25, 26, 64, 71, 74–77, 78, 83, 84, 98, 103, 131, 132, 137, 194
- Kossak Tadeusz (1857–1935), ojciec Zofii 22
- Kossakowie, rodzina 22
- Kossakowski Eustachy (1925–2001), artysta fotografik, żołnierz AK, czł. redakcji „Stolicy” 190
- Kostek-Biernacki Wacław (1884–1957), pułkownik, działacz polit. 182

- Kościszczkowa Janina, więźniarka Auschwitz-Birkenau, lekarka obozowa 67
- Kowalczyk Józef (ur. 1938), arcybiskup, nuncjusz apostolski w Polsce 237
- Kowska Anka (ur. 1932), pisarka, działaczka KOR 245
- Kowner Aba (1918–1988), izraelski historyk, działacz ŻOB, uczestnik powstania w getcie warszawskim 192
- Koziejówna Maria, sekretarka Zygmunta Augustyńskiego 154
- Kozielewski Jan zob. Karski Jan
- Kozielewski Józef, ps. „Robak”, pracownik komisariatu granatowej policji na Żoliborzu 104, 105
- Kozielewski Marian (1897–1964), brat Jana Karskiego, podinspektor (podpułkownik) policji, pierwszy komendant Policji Polskiej (granatowej), 1940–1943 gł. inspektor Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa – formacji policyjnej Delegatury 72, 99
- Kozłowski Krzysztof (ur. 1931), publicysta, czł. zespołu „Tygodnika Powszechnego”, działacz polit. 193, 203, 211, 259
- Kozyriew Andriej (ur. 1951), rosyjski działacz polit., b. minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej 265, 266
- Koźniewska Lalka, z domu Winiarska, żona Kazimierza 137
- Koźniewski Kazimierz (1919–2005), dziennikarz, pisarz i publicysta 137, 186
- Krahelscy, rodzina 196
- Krahelska Halina (1886–1945), publicystka i pisarka, działaczka społ. związana z PPS, później z Klubem Demokr., pracownik BIP, więźniarka Ravensbrück 62, 64, 102, 105–107
- Krahelska Krystyna (1914–1944), bratanica Wandy Krahelskiej-Filipowiczowej, etnografka, poetka, harcerka i instruktorka zuchowa, żołnierz AK, sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim, 118
- Krahelska Myszka, córka Haliny 62
- Krahelska-Filipowiczowa Wanda (1886–1968), żona Tytusa Filipowicza, plastyczka, działaczka socjalist., współzał. Rady Pomocy Żydom „Żegota” 83, 118
- Krasiński Janusz (ur. 1928), pisarz, prozaik i dramaturg 163
- Krasiński Zygmunt (1812–1859), poeta i dramatopisarz 23
- Kraska Anna (ur. 1914–?), strażniczka więzienna i tłumaczka na Serbii, uczestniczka konspiracji więziennej AK 82
- Krasnowolski Jerzy, publicysta i tłumacz 20
- Kraszewski Józef Ignacy (1812–1887), powieściopisarz, publicysta, krytyk literacki i wydawca 22
- Krauze Edmund (?–1943), ksiądz misjonarz od św. Krzyża, współorganizator Frontu Odrodzenia Polski 77
- Kreisky Bruno (1911–1990), austr. polityk socjalist., kanclerz Austrii 230
- Kreyszig Lothar (1898–1986), niem. duchowny ewangelicki, czł. Kościoła Wyznającego, inicjator Akcji Znaków Pokuty 210
- Krockow Christian von (1927–2002), niem. politolog 249
- Kronenberg Leopold, kolega szkolny Władysława Bartoszewskiego 11
- Kronenberg Wanda (?–1944), niem. agentka 159
- Kronenbergowie, rodzina 159
- Kronika Powstania Warszawskiego* (Władysław Bartoszewski) 190
- Król trędowaty* (Zofia Kossak) 77
- Kruczkowski Leon (1900–1962), pisarz, publicysta i dramaturg 90, 137
- Krzewicki Szymon Ryszard zob. Jamontt-Krzywicki (Szymon) Ryszard
- Krzyżanowski Julian (1892–1976), historyk literatury 65
- Krzyżowcy* (Zofia Kossak) 77
- Kubiak Hieronim (ur. 1934), socjolog, działacz polit. 243
- Kucikowicz vel Kucikiewicz Waclaw, ps. „Orsza”, zleceniodawca zabójstwa Bolesława Ścibiorka 152, 153
- Kucikowiczowa, żona Waclawa 152, 153
- Kula Witold (1917–1988), historyk, pracownik BIP, czł. redakcji „Biuletynu Informacyjnego” 72, 79, 102, 122
- Kumaniecki Kazimierz (1905–1977), filolog klasyczny, znawca literatury polsko-laciń-

- skiej, tłumacz, pracownik BIP, działacz Stronnictwa Pracy 102, 123, 125, 129, 145, 154, 187, 188
- Kummant Leopold (1920–1987), inżynier elektryk, czł. dowództwa Kedywu Okręgu AK Warszawa 202
- Kunert Andrzej Krzysztof (ur. 1952), historyk 110, 258
- Kunicki-Goldfinger Władysław Jerzy zob. Goldfinger-Kunicki Władysław Jerzy
- Kur Tadeusz, dziennikarz 219
- Kuroniowa Danuta (ur. 1949), córka Barbary Filarskiej, działaczka społ. i oświatowa 43
- Kurowski Stefan (ur. 1923), ekonomista 245
- Kuryluk Karol (1910–1967), publicysta i wydawca, red. nac. „Odrodzenia”, działacz polit., dyplomata 126
- Kwaśniewski Aleksander (ur. 1954), działacz komunist., b. prezydent RP 253, 266
- Kwiecinski Wincenty Jerzy (1916–1984), podpułkownik, szef kontrwywiadu Okręgu Warszawskiego AK, prezes WiN 157
- Kydryński Juliusz (1921–1994), brat Lucjana, tłumacz, prozaik, krytyk literacki i teatralny, więzień Auschwitz 64
- Kydryński Lucjan (ur. 1929), brat Juliusza, publicysta, prezenter i krytyk muzyczny 64
- Lagerlöf Selma (1858–1940), pisarka szwedzka 42
- Lalka (Bolesław Prus) 21, 220
- Landau Mosze, izraelski prawnik, sędzia w procesie Eichmanna 68
- „Lawina” zob. Lipiński Wojciech
- Lazar Chaja (1924–2003), izraelska dziennikarka 192
- „Lech” zob. Rodkiewicz Stefan
- Lechowicz Włodzimierz (1911–1986), publicysta, filolog, czł. sztabu Gwardii Ludowej i AL, pracownik BIP 102, 122, 125
- Legenda krwi. Analiza krytyczno-historyczna tzw. mordu rytualnego (Tadeusz Zaderecki) 149
- Lehmann Karl (ur. 1936), brat Reinholda, niem. duchowny katolicki, kardynał, biskup Moguncji, przewod. Konferencji Episkopatu Niemiec, 216
- Lehmann Reinhold (1939–1998), brat Karla, niem. publi., działacz Pax Christi, przewodn. Maximilian-Kolbe-Werk, red. nac. katolickiej agencji KNA-Bild 211, 216, 250
- Lem Stanisław (1921–2006), pisarz, eseista i dramaturg 20, 249
- „Lenart” zob. Goldman Roman
- Lenartowicz Teofil (1822–1893), poeta, pisarz i rzeźbiarz 14
- Lenin Włodzimierz (1870–1924), rosyjski ideolog i przywódca komunist. 265
- Lerski Jerzy, ps. „Jur” (1917–1992), prawnik, historyk, kurier i emisariusz Rządu RP na uchodźstwie 92, 231, 233
- Leszczyński Jerzy (1884–1959), aktor 132
- „Leśniewska Wanda” zob. Dąbrowska Halina
- Leśniewski Andrzej, dziennikarz, kier. działu zagranicznego „Gazety Ludowej” 143
- Lewandowski Janusz zob. Warmiński Janusz
- Lewin, ojciec Zofii, major, oficer Oddziału II Sztabu Generalnego WP, 196
- Lewinowa, matka Zofii 196
- Lewinówna Zofia (1921–1994), redaktorka i wydawca 193, 196, 223
- „Lidzki” zob. Czarnowski Eugeniusz
- Linnerz Heinz, niem. dziennikarz, red. nac. „Dokumente” 214
- Lipiński Eryk (1908–1991), grafik i dziennikarz, związany z socjalistyczną lewicą 50
- Lipiński Karol, działacz i publicysta socjalist. grupy „Płomienie” 139
- Lipiński Wacław (1896–1949), historyk, współzał. Stronnictwa Niezawisłości Narodowej i Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej 164
- Lipiński Wojciech Józef, ps. „Marcin”, „Lawina” (1921–2004), uczestnik walk o Narwik, cichociemny, działacz Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj 130–133
- Lipska Maruta, żona Jana Józefa 228
- Lipski Jan Józef (1926–1991), krytyk literacki, żołnierz AK, działacz socjalist. opozycji demok. 189, 192, 196, 202, 220–222, 228, 233, 258
- Lis-Olszewski Witold (1905–1986), prawnik, po wojnie radca prawny i adwokat – obrońca w procesach polit. 187, 202, 230

- Lissy, szwagier Wandy Górskiej, dyr. Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego 166
- Lobkowitz Nicolaus von, rektor Katolickiego Uniwersytetu Eichstätt-Ingolstadt 251
- London Jack (1876–1916), amer. pisarz 23
- Lorenz Stanisław (1899–1991), historyk sztuki, muzealnik, pracownik BIP 102
- Los Żydów Warszawy 1939–1943 (Władysław Bartoszewski) 250
- Loth Felician (1914–1982), lekarz chirurg-ortopeda, więzień Pawiaka, współorganizator konspiracji więziennej AK 82
- Lubetkin Cywia (Zivia), ps. „Celina” (1914–1976), żona Icchaka Cukermana, izraelski historyk, działaczka ŻOB, uczestniczka powstania w getcie (1943) i Powstania Warszawskiego, 192, 200
- Lüger Karl (1844–1910), austr. polityk, burmistrz Wiednia 205
- Luthe Hubert (ur. 1927), niem. ksiądz katolicki, biskup Essen 225
- Łabęcki, oficer SB 222
- Łaniewska Katarzyna (1889–1976), lekarka, więźniarka Auschwitz 67
- „Łaski” zob. Ostrowski Kazimierz
- Łubieński Konstanty (1910–1977), współzał. Stowarzyszenia „Pax”, poseł, prezes warszawskiego KIK 223, 224
- Łubieński Ludwik (1912–1996), prawnik i dyplomata, m.in. adiutant Władysława Sikorskiego, pracownik Rozgłośni Polskiej RWE 240
- „Łucja” zob. Piotrkiewicz Pelagia
- „Łupaszka”, „Łupaszko” zob. Szyndzielarz Zygmunt
- Łysiak Waldemar (ur. 1944), pisarz
- Macharski Franciszek (ur. 1927), ksiądz, kardynał, metropolita krakowski 236
- Maczek Stanisław Władysław (1892–1994), general, dowódca 1. Dywizji Pancerniej 137
- Mahler Gustav (1860–1911), austr. kompozytor 207
- Maier Hans (ur. 1931), niem. politolog, działacz CDU, minister kultury Bawarii, prezydent Centralnego Komitetu Katolików Niem. 216, 217, 254
- Majzuls, córka kupca 41
- Majzuls, żyd. kupiec warszawski 40, 41
- Makabryczne odkrycie w ruinach Nowolipek (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Makowiecka Zofia (?–1944), żona Jerzego 105, 108, 109
- Makowiecki Jerzy, ps. „Tomasz”, „Tomasz Malicki” (1896–1944), architekt, major, działacz POW, prezes SD, szef Wydziału Informacji BIP 61, 81, 84, 87, 101, 103–105, 108, 109
- Makuch Karol (1885–1944), ojciec Zofii Bartoszewskiej, pedagog, zastępca komendanta Straży Przedniej 34
- Makuszyński Kornel (1884–1953), pisarz 22
- Malczewski Jacek (1854–1929), malarz 56
- Malewska Hanna (1911–1983), historyk, pisarka, szefantka KG AK, uczestniczka Powstania Warszawskiego, zał. i red. nac. mies. „Znak” 103
- „Malicki Tomasz” zob. Makowiecki Jerzy
- Małachowski Aleksander (1924–2004), prawnik, publicysta, żołnierz AK, działacz społ. i polit., prezes Klubu Krzywego Koła 222, 246
- „Malecki” zob. Michałowski Stanisław
- Malek, major, sądzony w procesie Tatar 16
- Manteuffel Jerzy (1900–1954), brat Leona i Tadeusza, filolog klasyczny i papirolog 18
- Manteuffel Leon (1904–1973), brat Jerzego i Tadeusza, kardiochirurg 18
- Manteuffel Tadeusz (1902–1970), brat Jerzego i Leona, historyk, pracownik BIP 18, 102, 109
- Marcel Gabriel (1889–1973), franc. filozof, myśliciel religijny, dramaturg 254
- „Marcin” zob. Lipiński Wojciech
- Marczak-Oborski Stanisław (1921–1987), historyk teatru, krytyk teatralny, red. mies. „Droga”, współpracownik pisma „Sztuka i Naród” 78
- Marczewski Edward (1907–1976), matematyk, twórca wrocławskiej szkoły algebraicznej 85, 131

- Mariańska Maria zob. Hochberg-Mariańska Maria
- Marks Karol (1818–1883), niem. myśliciel i działacz polit. 171
- Markuszewski Jerzy (ur. 1930), reżyser teatralny i radiowy, współzałożyciel Studenckiego Teatru Satyryków (STS) 245, 246
- Martwa fala* (Jerzy Andrzejewski, Stefan Flukowski, Jerzy Zawieyski, Maria Kann) 149
- Masaryk Jan (1886–1948), czechosłowacki dyplomata i polityk 196
- Matus Jerzy, działacz ludowy, czł. Rady Pomocy Żydom w Krakowie 91
- May Karol (–), niem. powieściopisarz 23
- Mazowiecki Tadeusz (ur. 1927), publicysta i polityk, współzał. warszawskiego KIK, red. nac. mies. „Więź” i „Tygodnika Solidarność”, b. premier 210, 239, 254, 256, 258, 262
- Mazurkiewicz Jan, ps. „Radosław” (1896–1988), pułkownik 129
- Medres Izaak zob. Grosz Wiktor
- Medres Rafał (1868–1934), inżynier elektryk, dyr. tech. Elektrowni Warszawskiej 23
- Medresowa, żona Rafała, matka Elżbiety, Haliny i Wiktora Grosza 161
- Medrosówna Elżbieta zob. Szulkinowa Elżbieta
- Medrosówna Halina (?–1942), córka Rafała, przyjaciółka Beaty Bartoszewskiej 23, 96
- Mein Kampf* (Adolf Hitler) 229
- Meinl Julius (1903–1991), austr. przedsiębiorca 204
- Meisinger Joseph (1899–1947), niem. oficer policji, komendant SD i Policji Dystryktu Warszawskiego (do wiosny 1941) 160
- Mering, żona Jerzego, pianistka 187, 201
- Mering Jerzy, adwokat, obrońca w stalinowskich procesach polit. 182, 183, 187, 201, 260
- Micewski Andrzej (1926–2004), publicysta, działacz polit. 181
- „Michalska” zob. Dobrowolska Anna
- Michałowski Kazimierz (1901–1981), archeolog, egiptolog i historyk sztuki 187
- Michałowski Stanisław, ps. „Malecki” (1903–1984), prawnik, pracownik Wydziału In-
- formacji BIP, działacz Zjednoczenia Demokr., czł. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 114, 127, 129
- Michnik Adam (ur. 1946), historyk, publicysta, działacz polit. 244
- Mickiewicz Adam (1798–1855), poeta, dramaturg, wieszcz 21, 138, 221, 227
- „Mieczkowska Jadwiga” zob. Stypulkowska Aleksandra
- Mierzwa Stanisław (1905–1985), adwokat, działacz ludowy, czł. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129, 153
- Międzyrzecki Artur (1922–1996), poeta 239
- Mikołajczyk Stanisław (1901–1966), działacz ludowy, wicepremier i premier Rządu RP na uchodźstwie, wicepremier oraz min. rolnictwa i reform rolnych Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej 73, 129, 138–141, 159, 163, 164, 166, 188
- Mikołajska Halina (1925–1989), aktorka teatralna, czł. KOR 245, 246
- Mikulowski Tadeusz (1884–1944), germanista, nauczyciel Władysława Bartoszewskiego, więzień Auschwitz 18, 64, 127
- Miłosz Czesław (1911–2004), poeta 132, 155, 231, 243, 254
- Mit brennender Sorge* (Pius XI) 21
- Młynar Zdenek (1930–1997), czechosłowacki prawnik i politolog, jeden z przywódców Praskiej Wiosny, działacz opozycji demokr. 231
- Moczar Mieczysław, właśc. Mikołaj Demko (1913–1986), generał, działacz komunist. 197, 218, 219, 222, 223, 242
- Moczarski Kazimierz, ps. „Grawer” (1907–1975), prawnik, publicysta, działacz SD, pracownik i szef BIP, czł. Kierownictwa Walki Podziemnej, 79, 81, 102, 106, 107, 109, 110, 113, 122, 123, 125, 130, 132, 135, 194, 218
- Moczulski Leszek (ur. 1930), historyk, dziennikarz i publicysta, czł. redakcji „Stolicy” 194, 238
- Modzelewski Zenon (1933–1996), ksiądz pallotyn, filozof i teolog, przelożony regionalny we Francji, dyr. ośrodka Centrum Dialogu Księży Pallotynów w Paryżu 250

- Molier (Jean-Baptiste Poquelin) (1622–1673), franc. komediopisarz 22
- Mołotow Waczesław (1890–1986), sowiecki polityk 33
- „Monter” zob. Chruściel Antoni
- Morawska Anna (1922–1972), żona Stefana, matka Ewy, publicystka, działaczka „Znaku” i KIK, współpracownica „Tygodnika Powszechnego” 222, 210
- Morawska Ewa (ur. 1949), córka Stefana i Anny, historyk i socjolog 222
- Morawski Stefan (1921–2004), mąż Anny, ojciec Ewy, filozof, historyk estetyki i teoretyk sztuki 222
- Moszczeńska-Rzepecka Izabella (1864–1941), matka Jana Rzepeckiego, działaczka niepodległościowa i społ. 101
- Mościcki Ignacy (1867–1946), inżynier chemii i wynalazca, prezydent II RP 32
- Motory i hamulce socjalizmu* (Władysław Bienkowski) 198
- Motyka Lucjan (ur. 1915), działacz socjalist. i komunist. 68
- Mularczyk Roman zob. Bratny Roman
- Mussolini Benito (1883–1945), twórca i wódz włoskiego faszyzmu 205
- Muszyńska Wanda zob. Witkowska Wanda
- Muzyczka Ludwik, (1900–1977), podpułkownik, szef Biur Wojskowych KG ZWZ-AK, współorganizator WiN 229
- Mycielski Zygmunt (1907–1987), kompozytor i publicysta muzyczny 221
- Myśli o kulturze* (Adam Heydel) 56
- Der Mythos des zwanzigsten Jahrhunderts* (Alfred Rosenberg) 229
- Na oczach świata** (Maria Kann) 199
- Najder Zdzisław (ur. 1930), historyk literatury, działacz opozycji demokr., dyr. Rozgłośni Polskiej RWE 232–234
- Nalkowska Zofia (1884–1954), pisarka 149
- Narbutt Jerzy (ur. 1925), publicysta, pisarz, prozaik i poeta 193
- Narutowicz Gabriel (1865–1922), inżynier hydrotechnik, prezydent II RP 15
- „Natalia” zob. Bojarska Halina
- Naumięko Krzysztof, dziennikarz, czł. redakcji „Stolicy” 194
- Nazarewicz Ryszard, oficer wywiadu Armii Ludowej, płk SB, profesor historii 110, 155
- Nie ostatnie słowo oskarżonego* (Felicjan Sławoj-Składkowski) 33
- Niebo w płomieniach* (Jan Parandowski) 80
- Nie-boska komedia* (Zygmunt Krasiński) 23
- Niećko Józef (1891–1953), działacz lud. 165
- Niedenthal Władysław (?–1944), oficer kontrwywiadu KG AK 109
- Niedziałkowski Mieczysław (1893–1940), działacz socjalist., publicysta 30
- Niemira Karol (1883–1965), biskup piński, w czasie okupacji proboszcz parafii św. Augustyna na terenie warszawskiego getta 77
- Niesiołowski Stefan (ur. 1944), entomolog, uczestnik opozycji demokr., działacz pol. 225, 226, 246
- Niewiadomski Eligiusz (1869–1923), malarz i krytyk sztuki, zabójca Gabriela Narutowicza 15
- „Nil” zob. Fieldorf Emil
- Norwid Cyprian Kamil (1821–1883), poeta, prozaik, dramatopisarz, malarz i rysownik 23, 56
- Nowa lista rozstrzelanych na Palmirach...* (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Nowak Edward, lekarz, więzień Auschwitz 55
- Nowak-Jeziorański Jan, właśc. Zdzisław Jeziorański, ps. „Janek” (1914–2005), dziennikarz, publicysta i pisarz, dyr. Rozgłośni Polskiej RWE, działacz polit. 114, 119, 120, 197, 200, 202, 218, 222, 238, 247, 261
- „Nowina” zob. Ostrowski Kazimierz
- Nowosad Zbigniew (1907–1964), filozof, aktor, sekretarz generalny Stronnictwa Narodowego w podziemiu 163
- Nowotny Gustaw (1910–1955), lekarz, pracownik BIP 81
- O co walczy naród polski** (Deklaracja RJN) 127
- O sprawiedliwą karę dla podpalaczy Warszawy** (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142

- Ochab Edward (1906–1989), działacz komunist. 211
- Ochnicz-Czerniewska, lekarka w przychodni PCK na Żoliborzu 42
- Oczehowski Bolesław, dyrektor Banku Polskiego 9
- Odwilż* (Ilja Erenburg) 186
- Ogrodziński Piotr (ur. 1951), syn Przemysława, ekonomista i politolog, dyplomata 91
- Ogrodziński Przemysław (1918–1980), działacz socjalist., skarbnik Rady Pomocy Żydom we Lwowie, po wojnie dyplomata 91
- Okiński Władysław (1906–1944), socjolog, wykładowca tajnego Uniwersytetu Warszawskiego 103, 105
- Okulicki Leopold (1898–1945), general, komendant gł. AK, komendant Sił Zbrojnych na Kraj, oskarżony w procesie Szesnastu 123, 124, 127, 128
- Okupacja i medycyna* (wybór artykułów z „Przeglądu Lekarskiego – Oświęcim”) 70
- Old Shatterhand* (Karol May) 23
- Olechowski Andrzej (ur. 1947), ekonomista, działacz polit. i gosp. 261, 262
- Oleksy Józef (ur. 1946), ekonomista, działacz polit. 253, 261
- „Olesza” zob. Ostrowski Kazimierz
- Olszewski Jan (ur. 1930), adwokat, obrońca w procesach polit., działacz polit., b. premier 189, 222, 233, 262
- Opowieść o Aleksanderze Gieysztorze* (Robert Jarocki) 109
- Organizowanie wściekłości* (Michał Borwicz) 149
- „Orsza” zob. Kucikowicz Waław
- Orszekowa Eliza (1841–1910), pisarka i publicystka 21, 23
- „Oskar” zob. Zakrzewski Bernard
- Osóbka-Morawski Edward (1909–1997), działacz socjalist., premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej 129, 139
- Ossowska Maria (1896–1974), żona Stanisława, teoretyk i socjolog moralności 64, 87
- Ossowski Stanisław (1897–1963), mąż Marii, socjolog, teoretyk kultury i estetyk, metodolog nauk społecznych 87, 221
- Osterman, wujek Władysława Bartoszewskiego, farmaceuta 15
- Osterwina Matylda, z domu Sapieha, zw. Tilą (1906–1983), żona Juliusza Osterwy, historyk, tłumaczka 198
- Ostrowski Kazimierz, ps. „Nowina”, „Łaski”, „Olesza” (1907–1999), adwokat, działacz Związku Odbudowy Rzeczypospolitej, pracownik i szef Wydziału Prasowego BIP, po wojnie obrońca w procesach polit. 80, 81, 102, 112, 113, 122, 126, 130, 132, 168, 184, 202, 221
- Oświęcim. Pamiętnik więźnia* (Władysław Bartoszewski)
- Otto Alfred, oficer gestapo w Warszawie, kierownik referatu ds. zwalczania polskiego podziemia 158
- Pajdak Antoni (1894–1988), adwokat, działacz socjalist., zastępca delegata Rządu na Kraj, minister Krajowej Rady Ministrów, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 128
- Palmiry* (Władysław Bartoszewski) 193
- Pamięć i tożsamość* (Jan Paweł II) 151, 236
- Pan Tadeusz* (Adam Mickiewicz) 13
- Pancer Maria, prokurator 229
- Pani Opaczewska* (Jan Edward Janiczek) 32
- Pankiewicz Michał (1887–1980), publicysta, działacz socjalist. 145
- Parandowska Irena (1904–1993), żona Jana 187
- Parandowski Jan (1895–1978), pisarz, eseiści i tłumacz 80, 187, 224
- Parker Ralph, korespondent „The Times” w Moskwie 128
- Paślowski Michał, drukarz z Krakowa 180
- Pauliński Franciszek (1901–1943), ksiądz, o. pallotyń, przewodn. Komisji Duchowieństwa Kierownictwa Walki Cywilnej 77
- Pawelczyńska Anna (ur. 1922), socjolog kultury, czł. AK, więźniarka Auschwitz-Birkenau 67
- Pawlak Waldemar (ur. 1959), działacz ludowy, b. premier 261
- Pawlisiak Alicja zob. Wawrzyńska Zofia
- Pawski Jerzy, ksiądz, redaktor „Pro Christo” 24

- Paz Octavio (1914–1998), meksykański poeta, publicysta i eseista 254
- Pelczyński Tadeusz (1892–1985), generał, szef sztabu KG ZWZ-AK, zastępca dowódcy AK (od 1943) 155, 198
- Peres Szymon (ur. 1923), izraelski polityk 265
- Pianista* (Władysław Szpilman; reż. Roman Polański) 63, 97
- Piasecki Bolesław (1915–1979), publicysta, działacz narodowy, przywódca Konfederacji Narodu, po wojnie zał. i przywódca Stowarzyszenia PAX 78, 109, 110, 131, 139, 191
- Piasecki Stanisław (1900–1941), publicysta, krytyk literacki, prozaik, działacz narodowy, red. „Prosto z mostu” 24
- Piekalkiewicz Jan (1892–1943), działacz ludowy, delegat rządu na kraj 99
- Piekarska Halina, prawnik, dziennikarka „Gazety Ludowej” 107
- Piekarski, mąż Haliny, prawnik 107
- Pieracki Bronisław (1895–1934), pułkownik, minister spraw wewnętrznych w II RP 175
- Pierwszy okres oddziału chorób zakaźnych w obozie oświęcimskim* (Konrad Szweda) 70
- Pieśń niepodległa* (oprac. Kazimierz Zenon Skierski, Czesław Miłosz) 132
- Pietrkiewicz Jerzy (ur. 1916), prozaik, poeta, historyk literatury 24
- Pietrzak Włodzimierz (1913–1944), poeta, prozaik, krytyk literacki, związany z ONR Falangą, działacz Konfederacji Narodu, współpracownik pisma „Sztuka i Naród” 78
- Pigoń Stanisław (1885–1968), historyk literatury 143
- Pilecki Witold (1901–1948), współtwórca Tajnej Organizacji Wojskowej, dobrowolny więzień i organizator konspiracji w Auschwitzu, pracownik Oddziału II Kedywu KG AK 55, 164
- Piłsudski Józef (1867–1935), polityk, mąż stanu, marszałek Polski 11, 15, 16, 22, 103, 157, 173
- „Piotr” zob. Czarnowski Eugeniusz
- Piotrkiewicz Pelagia, ps. „Łucja”, łączniczka komórki więziennej i referatu żyd. Delegatury 81, 92
- Piotrowska Jadwiga (1903–?), urzędniczka w Wydziale Opieki Zarządu Miejskiego m. Warszawy, współpracownica Ireny Sandlerowej 84
- Pisma wszystkie* (Molier) 22
- Pius XI, właśc. Achille Ratti (1857–1939), papież 21, 22, 172; zob. też Ratti Achille, nuncjusz
- Pius XII, właśc. Eugenio Pacelli (1876–1958), papież 172
- Piwnik Jan, ps. „Ponury” (1912–1944), major, cichociemny, dowódca partyzancki AK 73
- Pleitgen Fritz (ur. 1938), niem. dziennikarz i komentator telewizyjny, intendent Westdeutsche Rundfunk 257
- Płoska Ewa, z domu Prauss, ps. „Ewa” (1913–1986), żona Stanisława, żołnierz formacji dywersyjnych KG AK 133
- Płoski Stanisław (1899–1966), historyk, działacz socjalist., szef Wojskowego Biura Historycznego w BIP, po wojnie m.in. zastępca dyr. Instytutu Pamięci Narodowej, dyr. Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niem. w Warszawie 102, 109, 122, 130, 133, 134, 136, 137, 154, 167, 187, 242
- Podedworny Bolesław (1898–1972), działacz ludowy 139
- Pogrzeb, jakiego nie zna świat* (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Pohoska Ewa (1918–1944), córka Jana, związana z grupą socjalist. „Płomienie”, maszynistka i łączniczka Wydziału Informacji BIP 103, 105
- Pohoski Jan (1889–1940), działacz POW, wiceprezydent m.st. Warszawy 103, 104
- Pokuciński Eugeniusz, kaznodzieja świadków Jehowy na okręg lubelski 170
- Polański Roman (ur. 1933), reżyser filmowy i teatralny, aktor i producent 97
- Polska Piastów* (Paweł Jasienica) 228
- Pomorska Alicja, redaktorka i wydawca książek 137
- „Ponury” zob. Piwnik Jan

- Popieluszko Jerzy (1947–1984), ksiądz, opozycyjny kaznodzieja i duszpasterz 251
- Popiół i wiatr* (Antoni Słonimski) 220
- Popławska Stanisława, pielęgniarka 60
- Popławski Andrzej (?–1944), ps. „Andrzej Sudeczko”, przedwojenny podoficer, dowódca nacjonalistycznej bojówki 106, 109
- Popow Walery, sowiecki dyplomata w Austrii 208
- Potocki Maurycy (1894–1949), ziemianin, właściciel Jabłonny, Nieporętu i Białobrzegów 158
- Powstanie Warszawskie bez niedomówień* (Jan Sidorowicz) 117
- Powstanie Warszawskie w ilustracji* 190
- Praussowa Zofia (1876–1945), matka Ewy Płoskiej, matematyk, działaczka socjalist., więźniarka Majdanka i Auschwitz 133
- Prawda o von dem Bachu* (Władysław Bartoszewski) 116, 194
- „Prezes” zob. Rzepecki Jan
- Protokoły mędrców Syjonu* 146
- Prus Bolesław, właśc. Aleksander Głowacki (1847–1912), dziennikarz, felietonista i pisarz 19, 21, 220
- Pszon Mieczysław (1915–1995), dziennikarz, oficer NOW, czł. redakcji „Tygodnika Powszechnego” 211, 212, 256
- Pugaczewicz Jan, oficer śledczy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 174
- Pużak Kazimierz (1883–1950), prawnik, działacz socjalist., przewodn. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129, 131, 167
- Raabe, rodzina warszawska 90
- Raabe Janina zob. Wąsowiczowa Janina, z domu Raabe
- Rabanowski Jan (1907–1958), działacz SD 139
- Raczkiewicz Władysław (1885–1947), polityk, prezydent RP na uchodźstwie 38
- Raczyńska Aniela z Lilpop (1910–1999), żona Edwarda 239, 240, 252
- Raczyński Edward (1891–1993), mąż Anieli, dyplomata i polityk, prezydent RP na uchodźstwie 239, 251, 252
- Raczyński Karol, o. Kajetan (?–1961), paulin, przeor klasztoru na Jasnej Górze w Częstochowie 170, 172, 173
- Radkiewicz Stanisław (1909–1987), general, minister bezpieczeństwa publicznego 136
- Radzikowski Teodozy, historyk, dyrektor warszawskiego liceum TWO „Przyszłość”, później: o. Władysław, paulin 19
- Radziwiłł Janusz (1880–1967), ziemianin, prawnik, pisarz konserwatywny 8
- Radziwiłłowie, rodzina 8
- Ratti Achilles (1857–1939), nuncjusz apostolski 21, 22; zob. też Pius XI, papież
- Ratzinger Joseph (ur. 1927), niem. duchowny i teolog katolicki, papież Benedykt XVI (od 2005) 216
- Rau Johannes (1931–2006), niem. dziennikarz i wydawca, polityk socjaldemokr., b. prezydent RFN 263
- Redemptor hominis* (Jan Paweł II) 235, 236
- Reicherowie, rodzina 195
- Reiff Ryszard, (ur. 1923), prawnik, publicysta, działacz narodowy, czł. ONR Falanga i Konfederacji Narodu, po wojnie w Stowarzyszeniu PAX 243
- Reinefarth Heinz (1903–1979), general policji i SS, dowodził oddziałami niem. uczestniczącymi w stłumieniu Powstania Warszawskiego 115, 117
- Rek Tadeusz (1906–1968), adwokat, działacz ludowy, więzień Auschwitz i Neuengamme, wiceprzewodn. Rady Pomocy Żydom „Żegota”, po wojnie wiceminister sprawiedliwości 89, 90, 131, 138, 145, 161
- Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej* (Krystyna Kersten) 231
- Rettinger Józef (1888–1960), publicysta, historyk literatury, działacz polit. 90
- Ribbentrop Joachim von (1893–1946), niem. polityk nazistowski, minister spraw zagranicznych 33
- Ringelblum Emanuel (1900–1944), historyk, organizator ośrodka archiwalno-dokumentacyjnego w warszawskim getcie, zw. Archiwum Ringelbluma (Oneg Szabat) 201
- Rodkiewicz Stefan, ps. „Lech”, (1911–1981), elektrotechnik, komendant Male-

- go Sabotażu „Wawer” Obwodu Żoliborz, czł. KG „Wawara”
- Rodziewiczówna Maria (1863–1944), pisarka 22, 154
- Rögele Otto, niem. publicysta, red. nac. „Rheinischer Merkur”, współzal. „Communio”, działacz Centralnego Komitetu Katolików Niem. 216
- Roger, brat, właśc. Roger Louis Schutz-Marsauche (1915–2005), duchowny ewangelicki, założyciel Wspólnoty w Taizé 254
- Rok w *Treblince* (Jankiel Wiernik) 67
- Rokossowski Konstanty (1896–1968), dowódca I Frontu Białoruskiego, marszałek sowiecki i polski 119, 133, 157, 167
- „Rola” zob. Żymierski Michał
- Rolke Tadeusz (ur. 1929), artysta fotografik, harcerz Szarych Szeregów, uczestnik Powstania Warszawskiego, czł. redakcji „Stolicy” 190
- Romanowski, pułkownik, przedstawiciel ministra spraw wewnętrznych podczas internowania w stanie wojennym 244–246, 248
- Romkowski Roman (1907–1965), pułkownik, dyr. Dep. I i wiceminister w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 135
- Roosevelt Franklin Delano (1882–1945), amer. prawnik, polityk Partii Demokratycznej, prezydent 126
- Rosenberg Alfred (1893–1946), ideolog niem. nazizmu i rasizmu 150
- Rosochacki Edmund (1920–1952), żołnierz grupy specjalnej Kierownictwa Walki Podziemnej 178
- Rostkowski Ludwik (1894–1973), lekarz, kierownik referatu lekarskiego Rady Pomocy Żydom „Żegota” 87
- Rotwand Witold, kolega szkolny Władysława Bartoszewskiego 11
- Rowecki Stefan, ps. „Grot” (1885–1944), general, komendant gł. ZWZ-AK 83
- Rommel Juliusz (1881–1967), general, dowódca obrony Warszawy (1939) 32
- Różański Jacek (1907–1981), prawnik, dyr. Dep. Śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 159
- Rudnicka Zofia, uprzednio Paulina Hausman zw. Lusią, ps. „Alicja” (1907–1981), prawniczka, działaczka SD, kierowniczką biura Rady Pomocy Żydom „Żegota” 90, 130, 135, 136, 161
- Rudnicki Adolf (1909–1990), pisarz i eseista 61
- „Rudy” zob. Sienkiewicz Jerzy
- Ruth-Buczkowski Marian (1910–1989), prozaik, czł. redakcji „Biuletynu Informacyjnego” 123
- Rutkowski Jerzy (1914–1989), szef Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych ZWZ-AK 101
- Rutkowski Leopold (1887–1949), dyr. Dep. Spraw Wewn. Delegatury 84
- Rybczyńska Irena (ur. 1925), żona Henryka Hollanda, później Stanisława Brodzkiego, dziennikarka 198
- Rybicki Józef (1901–1986), podpułkownik, komendant Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Okręgu Warszawa AK, p.o. prezesa ZG WiN 223
- Ryczan Kazimierz (ur. 1939), biskup ordynariusz diecezji kieleckiej 147
- Rydz-Śmigły Edward (1886–1941), działacz niepodległościowy, marszałek Polski 33
- Rynek Stanisław (1922–2004), inżynier, pierwszy więzień polit. w Auschwitz 69
- Rzepecki Jan, ps. „Prezes” (1899–1983), pułkownik, historyk, szef BIP, komendant organizacji „Nie”, szef Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, prezes Gł. Komitetu Wykonawczego WiN 101, 113, 122, 128–130, 135, 140, 168, 227, 228
- Rzynda Franciszek, poznański wydawca i księgarz 181
- Sabbat Kazimierz (1913–1989), prawnik, działacz i polityk emigracyjny, premier i prezydent RP na uchodźstwie 240, 252
- Sadzewicz Marek (1907–1975), dziennikarz, oficer w kampanii wrześniowej, czł. redakcji „Stolicy” 190
- Sadzińska Jadwiga, aspirantka straży więziennej na Pawiaku, uczestniczka konspiracji więziennej AK 82

- Sapieha Adam Stefan (1867–1951), arcybiskup metropolita krakowski
- Sapieha Paweł (1900–1987), brat Matyldy Osterwiny, pułkownik, rezydent amer. wywiadu w Atenach 198
- Särchen Günter, katolicki współprzewodn. Akcji Znaków Pokuty, współorganizator Seminariów Polskich 210
- Sarnecki Tadeusz (1911–1981), poeta, dziennikarz, kurier referatu terenowego Rady Pomocy Żydom „Żegota” 89
- Sattah Dov, izraelski dyplomata 200, 212
- Schallück Paul (ur. 1922), niem. pisarz, socjaldemokrata, współtwórca Kolońskiego Towarzystwa Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej 215
- Schayer Waclaw (1905–1959), pedagog, działacz oświatowy, po wojnie w ruchu ludowym, m.in. kierownik Wydziału Prasy PSL i red. nac. „Gazety Ludowej” 166
- Schiele, rodzina 63
- Schiele, więzień w okresie stalinowskim 63
- Schiele Jerzy Antoni (1926–1943), student, rozstrzelany w ulicznej egzekucji 63
- Schiele Tadeusz (1920–1986), pilot RAF, pisarz, tatemik 63
- Schiller Leon (1887–1954), reżyser, krytyk i teoretyk teatru 137
- Scholl, rodzeństwo: Hans (1918–1943) i Sophie (1921–1943), przywódcy antyhitlerowskiej grupy opozycyjnej Weisse Rose 31
- Schultz Irena (1902–1983), dziennikarka, urzędniczka w Wydziale Opieki Zarządu Miejskiego m. Warszawy, współpracownica Ireny Sendlerowej 84
- Schuman Robert (1886–1963), franc. prawnik i polityk, współautor idei integracji europejskiej i współtwórca jej struktur 213
- Schüssel Wolfgang (ur. 1945), austr. polityk chadecki, kanclerz Austrii 208
- Schwartz Heinz, sekretarz niem. Pen Clubu 249
- Scott Walter (1771–1832), pisarz i poeta szkocki 23
- Sempoliński Ludwik (1899–1981), aktor 153
- Sendek Jan, adwokat 163
- Sendlerowa Irena (ur. 1910), urzędniczka w Wydziale Opieki Zarządu Miejskiego m. Warszawy, kierowniczka referatu dziecięcego Rady Pomocy Żydom „Żegota” 83, 84, 145, 194
- Sendlak Stefan (1889–1978), działacz socjalist. z Zamościa, kierownik referatu terenowego Rady Pomocy Żydom „Żegota” 89
- Seweryn Tadeusz (1894–1975), etnograf, historyk sztuki i malarz, przedstawiciel Delegatury w Radzie Pomocy Żydom w Krakowie 91
- Shaw George Bernard (1853–1950), dramaturg i prozaik irlandzki 27
- Sickinger Richard, dyr. Austr. Instytutu Kultury w Warszawie 206
- Sidorowicz Jan (ur. 1934), inżynier, autor wspomnień z Powstania Warszawskiego 117, 119
- Sienkiewicz Henryk (1846–1916), publicysta i pisarz 21
- Sienkiewicz Jerzy, ps. „Rudy” (ur. 1924), harcerz Szarych Szeregów, żołnierz Kedywu, uczestnik Powstania Warszawskiego 170–173
- Sierow Iwan, ps. „Iwanow” (1905–1990), generał sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, doradca NKWD w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 110, 127, 166
- Sigalinowie, rodzina 88
- Sikorski Władysław (1881–1943), general i polityk, premier i naczelny wódz 26, 38, 73, 90, 140
- Silber Natan, redaktor w Państwowym Instytucie Wydawniczym 167
- Siła-Nowicki Władysław (1913–1994), adwokat, żołnierz AK i WiN, obrońca w procesach polit. 202, 228, 238
- Sipowicz-Gościcka Anna (1909–1988), lekarka dentystka, więźniarka Pawiaka, czł. konspiracji więziennej AK 132
- Skalnik Kurt (1925–1997), austr. dziennikarz, red. nac. „Die Furche”, dyr. biura prasowego prezydenta Austrii Rudolfa Kirschlägera 195, 205, 206, 208, 230

- Skalski, inżynier mechanik, więzień pracujący w drukarni w więzieniu mokotowskim 182
- Skalon Gieorgij (1847–1915), rosyjski general-gubernator warszawski 83
- Skierski Kazimierz Zenon (1908–1971), pisarz 132
- Skladkowski Felicjan Sławoj (1885–1962), generał i polityk, premier 33
- Skorupiński Kazimierz, działacz organizacji „Miecz i Plug” 179
- Skubiszewski Krzysztof (ur. 1926), prawnik, dyplomata, działacz polit. 258, 259, 262
- Skwamiński Marek (ur. 1930), poeta, felietonista „Tygodnika Powszechnego” 43
- Slapnicka, austr. dziennikarz, red. nac. „Linzer Volksblatt” 207
- Slanina Leon, drukarz, działacz Stronnictwa Narodowego 180
- „Sławbor” zob. Szczurek-Cergowski Jan
- Sławoj-Skladkowski Felicjan zob. Skladkowski Felicjan Sławoj
- Slonimski Antoni (1895–1976), syn Stanisława, poeta, pisarz i felietonista 196, 220–222, 224, 225
- Slonimski Stanisław (1853–1916), ojciec Antoniego, warszawski lekarz-społecznik 220
- Słowniczek pseudonimów i kryptonimów* ([zabeta] Z[biegniewska]) 14
- Smolar Eugeniusz (ur. 1945), wydawca, dziennikarz i publicysta, dyr. Polskiej Sekcji BBC 252
- Solski Ludwik (1855–1954), aktor i reżyser 132
- Sosnowska Halina (1894–1973), filozof i tłumaczka, żołnierz ZWZ-AK, szef komórki wywiadu WiN, kierowniczką literacką w Polskim Radiu i teatrach 155, 157, 187
- Sosnowski, mąż Haliny, ichtolog, pracownik naukowy SGGW 157
- Sosnowski Witold (1905–1941), matematyk, harcmistrz, współzałożyciel organizacji „Wigry”, więzień Oświęcimia 19
- Squicciarini Donato (1927–2006), ksiądz katolicki, dyplomata watykański, m.in. nuncjusz apostolski w Austrii 209
- Srocki Bolesław (1893–1954), publicysta, w konspiracji m.in. w Pecie i Szarych Szelegach, pracownik BIP, zastępca red. nac. „Biuletynu Informacyjnego”, działacz polit. 123
- Stalin Józef (1878–1953), sowiecki przywódca 78, 120, 125, 126, 128, 182, 189, 254
- Staniszkiś Jadwiga (ur. 1942), córka Witolda, socjolog, politolog i publicystka 170
- Staniszkiś Witold, ojciec Jadwigi, inżynier architekt, działacz Stronnictwa Narodowego 170
- Starczewska, z domu Marczeńska, żona Stefana 85
- Starczewski Stefan, filolog, działacz opozycji demok., czł. Fundacji Kultury i Komitetu Helsińskiego w Polsce 85
- Starewicz Artur (ur. 1917), działacz komunist. 193
- Starzyński Stefan (1893–1940), major, legionista, komisaryczny prezydent m.st. Warszawy 33, 34, 39
- Stauffenberg Klaus von (1907–1944), niem. pułkownik, uczestnik opozycji antyhitlerowskiej 249
- Stauffenbergowie von, rodzina 250
- Stażewski Henryk (1894–1988), malarz 221
- Stemler Franciszek (1905–?), kierownik Wydziału Ogólnego Dep. Spraw Wewn. Delegatury 181, 187
- Stemler-Dąbski Józef (1888–1966), pedagog, prezes Polskiej Macierzy Szkolnej, więzień Auschwitz, wiceminister Dep. Informacji, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Stepan Karl Maria (1894–1972), działacz austr. Vaterländische Front, więzień niem. obozów koncentracyjnych 206
- Stępień Jan (1910–1995), ksiądz, bibliista, prezes Stronnictwa Narodowego w podziemiu, później rektor ATK 163
- Sto trumien prochów ludzkich z GISZ-u i Wo-li* (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Stojalowski Stanisław (1845–1911), ksiądz, działacz ludowy w Galicji 204

- Stomma Stanisław (1908–2005), prawnik, publicysta, współzał. i red. nac. mies. „Znak”, czł. redakcji „Tygodnika Powszechnego”, współzał. warszawskiego KIK, działacz polit. i poseł 195, 210, 228
- Straszewska Maria (ur. 1919), historyk literatury polskiej, pracownik BIP, czł. redakcji „Biuletynu Informacyjnego” 72
- Stroiński Zdzisław (1921–1944), poeta, działacz Konfederacji Narodu, współpracownik pisma „Sztuka i Naród” 65, 78
- Strug Andrzej, właśc. Tadeusz Galecki (1871–1935), publicysta, pisarz i działacz społ. 21, 22
- Strzelecki Jan (1918–1988), socjolog, eseista, działacz socjalist., przywódca młodzieżowej grupy „Plomienie” 137, 139, 167, 234
- Studentowicz Kazimierz (1903–1992), prawnik i ekonomista, publicysta, działacz Stronnictwa Pracy, czł. warszawskiego KIK 193
- Studnicki Władysław (1867–1953), polityk, publicysta, germanofil 30
- Stypułkowska Aleksandra, „Jadwiga Mieczkowska”, dziennikarka i komentatorka Rozgłośni Polskiej RWE 218
- Stypułkowski Zbigniew (1904–1979), adwokat, działacz Stronnictwa Narodowego, współtwórca i przywódca NSZ, czł. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Suchocka Hanna (ur. 1946), prawnik, działaczka polit. 262
- Sumiński Michał (ur. 1915), syn Stanisława, zoolog, leśnik, dziennikarz 18
- Sumiński Stanisław (1890–1943), ojciec Michała, zoolog, nauczyciel, publicysta 18
- Süssmuth Rita (ur. 1937), niem. historyk i polityk, działaczka CDU, przewod. Bundestagu 226, 263
- Syga Teofil (1903–1983), dziennikarz, krytyk literacki i teatralny, pracownik Dep. Informacji Delegatury, kierownik Agencji „Serwis”, po wojnie m.in. w „Gazecie Ludowej” i „Stolicy” 138, 139, 190
- Szatkowski, brat Zygmunta 98
- Szatkowski Zygmunt (1896–1978), mąż Zofii Kossak, major Sztabu Generalnego WP, pisarz 22, 83, 98
- Szazar Zalman (1889–1974), izraelski polityk, prezydent Izraela 200
- Szczepański Jan Józef (1919–2003), pisarz 244
- Szczepański Maciej (ur. 1928), dziennikarz komunist., animator propagandy sukcesu Edwarda Gierka 244
- Szczepkowski Andrzej (1923–1997), zięć Parandowskich, aktor, dyrektor teatru 187
- Szczuczcy, rodzina 22
- Szczuczki Stefan (?–1922), mąż Zofii Kossak 22
- Szczurek-Cergowski Jan, ps. „Sławbor” (1897–1972), pułkownik, działacz NOW, czł. KG AK, w Powstaniu Warszawskim dowódca Rejonu Śródmieście Południe i Czerniaków, prezes WiN 175
- Szczypińska Hanna (ur. 1929), malarka i graficzka, historyk sztuki, publicystka „Więzi”, działaczka warszawskiego KIK 193
- Szczypiorski Andrzej (1928–2000), prozaik, publicysta, scenarzysta 246
- Szechter Szymon (1920–1983), historyk, publicysta i prozaik 218
- Szejnert Malgorzata (ur. 1936), dziennikarka, reporterka i publicystka 180
- Szekspir William (1564–1616), angielski poeta i dramaturg 163
- Szmaglewska Seweryna (1916–1992), pisarka, więźniarka Birkenau 56, 67
- Szpilman Władysław (1911–2000), pianista i kompozytor 36, 63, 97
- Szrojt Eugeniusz (1903–1980), dziennikarz, pisarz i wydawca, pracownik BIP, po wojnie m.in. redaktor „Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Niem. w Polsce” 137
- Szturm de Strem Tadeusz (1892–1968), ekonomista i statystyk, działacz socjalist. 167, 221
- Szubielska Janina (1893–1975), strażniczka więzienna na Pawiaku, czł. konspiracji więziennej AK, aresztowana 82

- Szulkinowa Elżbieta, z domu Medresówna, biolog 23
- Szumańska-Grossowa Hanna (1919–1973), córka Wacława Szumańskiego, żona Zygmunta Grossa, matka Jana Tomasza, łączniczka BIP, tłumaczka literatury franc. 176, 177, 223
- Szumański Wacław (1882–1943), ojciec Hanny, adwokat, działacz socjalist., obrońca w procesach polit. 176
- Szweda Konrad, więzień Auschwitz 70
- Szymankiewicz Aleksander, polonista, dyrektor warszawskiego liceum TWO „Przyszłość” 19
- Szymanowski Antoni (1914–1985), historyk, pracownik BIP, czł. redakcji „Biuletynu Informacyjnego” 72, 122, 176, 177
- Szymusik Adam (1931–2000), lekarz psychiatra w Collegium Medicum UJ 69
- Szyndzielarz Zygmunt, ps. „Łupaszka”, „Łupaszko” (1910–1951), dowódca partyzancki AK 227
- Szyszkowski Wacław, ps. „Kawecki” (1904–1996), prawnik, oficer AK, uczestnik Powstania Warszawskiego 114
- Ścibiorek Bolesław (1906–1945), nauczyciel, działacz ludowy, przywódca ZMW „Wici” 152, 153, 160
- Śliwicky Zygmunt (1903–1982), lekarz, więzień Pawiaka, czł. konspiracji więziennej AK 82
- „Świadek” zob. Janiczek Jan Edward
- Światło Józef (1905 lub 1915–1983?), pułkownik, wicedyr. Dep. X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, zbiegł na Zachód (1953) 185
- Świątek Feliks (1906–1966), prawnik, przed wojną radca w Ministerstwie Spraw Wewn., specjalista ds. ukraińskich 175, 176
- Tamawski Władysław (1885–1951), historyk literatury angielskiej, tłumacz Szekspira 163
- Tatar Stanisław (1896–1980), generał, szef Oddziału III i I zastępca szefa sztabu KG ZWZ-AK, jeden z gł. oskarżonych w procesie rzekomego „spisku wojskowego” 16, 182
- Tavor, izraelski dyplomata, szef placówki w Kolonii 212
- Taylor Jacek (ur. 1939), adwokat, obrońca w procesach polit., b. minister Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych 238
- Ten jest z ojczyzny mojej* (Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna) 219, 220, 223, 224, 229
- Terlecki Władysław (1933–1999), pisarz 193
- Tillich Paul (1886–1965), niem. filozof i teolog protestancki 254
- „Tomasz” zob. Makowiecki Jerzy
- Tomaszewski Andrzej (ur. 1934), architekt, historyk sztuki i konserwator zabytków 249
- Topińscy, synowie Jana: Andrzej (ur. 1946), ekonomista, bankowiec; Piotr (ur. 1943), zoolog 102; Wojciech (1948), ekonomista, przedsiębiorca
- Topiński Jan (1907–1971), pracownik BIP, działacz socjalist. 79, 102, 112
- Trościanko Wiktor (1911–1983), dziennikarz, publicysta i pisarz, działacz Stronnictwa Narodowego, komentator polit. Rozgłośni Polskiej RWE 114, 202
- Truchanowski Kazimierz (1904–1994), pisarz 192
- Trzebiński Andrzej (1922–1943), poeta, działacz Konfederacji Narodu, współpracownik pisma „Sztuka i Naród” 78
- Trzej muszkietierowie* (Aleksander Dumas, ojciec) 23
- Tuge-Erecińska Barbara (ur. 1956), filolog skandynawski, dyplomatką 262
- Turowicz Jerzy (1912–1999), dziennikarz i publicysta, red. nac. „Tygodnika Powszechnego” 96, 132, 191, 194, 198, 202, 203, 211, 219, 236
- Tuwim Julian (1894–1953), poeta 137
- Tyliński Stanisław, działacz socjalist., więzień Auschwitz 54
- Tymiński Piotr, kapitan, oficer śledczy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 168, 178

- [Tysiąc] 1714 ofiar wydarto ziemi (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- [Tysiąc] 1859 dni Warszawy (Władysław Bartoszewski) 231
- Tyszka Andrzej (ur. 1934), socjolog kultury 246
- Tyszko Celina, łączniczka Rady Pomocy Żydom „Żegota” 90
- Ulbricht Walter (1893–1973), niem. działacz komunist. 209
- Urbanowiczowa Aniela (1899–1988), publicystka mies. „Znak” i „Tygodnika Powszechnego”, działaczka społ., współzał. KIK 195, 193, 221, 222
- Urbański Franciszek (1891–1949), urzędnik, działacz Stronnictwa Pracy, czł. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127, 129
- Uzar-Krysiakowa Ludwika, ps. „Myszka” (1912–1944), strażniczka więzienna Pawiaka, czł. konspiracji więziennej AK 82, 104
- Vasaryowa Magda (ur. 1948), czechosłowacka aktorka filmowa, ambasador Czechosłowacji w Austrii i Słowacji w Polsce 209, 260
- W piekle** (Zofia Kossak) 71, 72, 74
- W trzecią rocznicę walk w Getcie* (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- W trzylecie publicznych egzekucji w Warszawie* (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Wacek Jan (1907–1969), komisarz straży więziennej na Pawiaku, czł. konspiracji więziennej AK 82
- Wajnsztok, warszawski antykwariusz 66
- Waldheim Kurt (ur. 1918), austr. polityk, sekr. generalny ONZ, prezydent Austrii 208, 209
- Waldorff Jerzy (1910–1999), pisarz, publicysta i krytyk muzyczny 24
- Walicki Michał (1904–1966), historyk sztuki, pracownik BIP 102
- „Waligóra” zob. Grocholski Remigiusz Adam
- Waleśa Lech (ur. 1943), elektryk, przywódca „Solidarności”, b. prezydent RP 151, 238, 240, 252–257, 260–263, 266
- „Wanda” zob. Witkowska Wanda
- Wańkiewicz Melchior (1892–1974), pisarz i publicysta 228
- Warmiński Janusz, właśc. Janusz Lewandowski (1922–1996), reżyser, dyrektor teatru „Ateneum” 20
- Die Warschauer Ghetto – wie es wirklich war. Zeugenbericht eines Christen* (Getto warszawskie – jakie było naprawdę. Świadcstwo przeżyć świadka chrześcijanina; Władysław Bartoszewski; przedmowa Stanisława Lema) 250
- Warszawski pierścień śmierci* (Władysław Bartoszewski) 133, 213, 222, 224, 229
- Warto być przywoitym* (Władysław Bartoszewski) 215, 250
- Wasiutyński Wojciech (1910–1994), prawnik, dziennikarz i publicysta, działacz narodowy, ideolog ONR Falangi, czł. Stronnictwa Narodowego 24
- Wasser Hersz (1912–1981), historyk, pracownik Archiwum Ringelbluma (Oneg Szabat), po wojnie w Yad Vashem 201
- Waszczuk Halina zob. Bazylewska Halina
- Wawrzynska Zofia, właśc. Alicja Pawlisiak, łączniczka BIP 103, 105
- Wąsowiczowa Janina, z domu Raabe, ps. „Ewa” (1896–1992), łączniczka Rady Pomocy Żydom „Żegota” 90
- Wąsowiczowie Janina, Krzysztof i Władysław zob. Dunin-Wąsowiczowie Janina, Krzysztof i Władysław
- Wąsowska Eugenia (1906–1987), działaczka społ., w jej warszawskim mieszkaniu mieściło się gł. biuro Rady Pomocy Żydom „Żegota” 89
- Wein Adam, pracownik ŻIH w W-wie 194
- Weinzierl Erica (ur. 1925), austr. dziennikarka 205
- Weizsäcker Richard von (ur. 1920), niem. polityk, działacz CDU, b. prezydent RFN 20, 254–257
- Weizsäckerowie von, rodzina 250
- Werble wolności* (Antoni Słonimski) 220

- Werfel Roman (1906–2003), dziennikarz, ideolog i działacz komunist. 186
- Werner Andrzej (ur. 1940), krytyk literacki i filmowy, publicysta 246
- Wesolowski Jan (?–1993), aktor, pedagog, muzyk i reżyser teatralny, czł. PPR, współzał. Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Raszmem 145
- Węgrzyniak Tadeusz, działacz ZMW „Wici” i PSL, redaktor „Biuletynu PSL” 153, 167
- Wiatr od morza* (Stefan Żeromski) 21
- Widzisz Elżbieta, żona Ludwika 105
- Widzisz Ludwik (1909–1944), historyk, działacz SD, kierownik kolejno: referatu, biura i podwydziału w Wydziale Informacji BIP 105, 108, 109
- Widy-Wirski Feliks (1907–1982), lekarz, działacz Stronnictwa Pracy 139
- Wielhorski, artysta malarz, więzień Auschwitz 60
- Wielkie mocarstwo macedońskie, czyli nadużywanie wymiaru sprawiedliwości w PRL* (Jerzy Mering) 201
- Wielopolski Aleksander (1803–1877), margrabia, polityk konserwatywny w Królestwie Polskim 11
- Wierna rzeka* (Stefan Żeromski) 21
- Wiernik Jankiel (1889–1972), zbieg z obozu w Treblince 67
- Wiesenthal Szymon (1908–2005), inżynier architekt, dziennikarz i pisarz, działacz żyd.,zał. i dyr. Żyd. Centrum Dokumentacji w Wiedniu 206, 208, 209, 260
- „Wiesław” zob. Gomulka Władysław
- Wilczańska Wanda (1913–1972), działaczka Komendy Obrońców Polski, więźniarka Pawiaka, uczestniczka konspiracji więziennej AK 82
- Wiloch (Willoch) Józef, pułkownik, skazany w sprawie rzekomego „spisku wojskowego” w Warszawskim Okręgu Wojskowym, związanej z procesem Stanisława Tatara 182
- Winawer Władysław, adwokat, obrońca w stalinowskich procesach polit. 179
- Winiarska-Koźniewska Lalka zob. Koźniewska Lalka, z domu Winiarska
- Winnetou (Karol May) 23
- Witkowska Wanda, z domu Muszyńska, ps. „Wanda” (ur. 1924), żona Łukasza, harcerka, łączniczka komórki więziennej i referatu żyd. oraz Rady Pomocy Żydom „Żegota 81, 92, 138
- Witkowski Łukasz, właśc. Wiktor Karamać, (1909–1988), działacz ludowy, cichociemny, kurier, emisariusz cywilny rządu w Londynie 138
- „Witold” zob. Józwiak Franciszek
- Witos Wincenty (1874–1945), rolnik, przywódca ruchu ludowego, publicysta i polityk 112, 138, 140, 153, 204
- Wiwatowski Tadeusz (1914–1944), polonista, zastępca dowódcy Kedywu Okręgu Warszawa AK 44
- Wnuk Marian (1906–1967), rzeźbiarz, współpracownik Rady Pomocy Żydom we Lwowie 91
- Wnukowa Józefa (1912–2000), malarka, współpracownica Rady Pomocy Żydom we Lwowie 91
- Wocial Jerzy (ur. 1946), filozof, działacz KIK 258
- Wojtyła Karol (1920–2005), ksiądz, filozof, etyk, arcybiskup Krakowa, kardynał 64, 80, 151, 208, 217, 235, 236; zob. też Jan Paweł II, papież
- Wolanowski Lucjan (1920–2006), dziennikarz, reporter, pisarz i podróżnik 186
- „Wolański” zob. Gorazdowski Jan Nepomucen
- Wolff Robert (1833–1910), wydawca 24
- Wolińska Helena (ur. 1919), pułkownik, prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, oskarżycielka w stalinowskich procesach polit. 176
- Woliński Henryk (1902–1986), adwokat, przed wojną radca w Prokuraturii Generalnej, szef referatu żyd. w Wydziale Informacji BIP 88
- Woroszyński Wiktor (1927–1996), poeta i prozaik 136
- Wóźniakowski Jacek (ur. 1920), historyk sztuki, pisarz, publicysta, czł. redakcji „Tygodnika Powszechnego” 186, 191, 212

- Wójcik Stanisław, działacz ludowy, sekretarz generalny PSL 152
- Wójcik Władysław, działacz socjalist., sekretarz Rady Pomocy Żydom w Krakowie 90
- Wójcikowa, żona Władysława, szwagierka Leona Kruczkowskiego 90
- Wszystko* (Antoni Slonimski) 220
- Wycech Czesław (1899–1977), nauczyciel, działacz oświatowy i ludowy, dyrektor Dep. Oświaty i Kultury Delegatury, po wojnie współzał. ZSL 165
- Wygodzki Ryszard, pracownik MSZ 157
- Wygodzki Stanisław (1907–1992), pisarz 157, 219, 223
- Wyrzykowski Tadeusz, działacz PSL 167
- Wyspiański Stanisław (1869–1907), malarz, poeta, dramatopisarz 23
- Wyszacka Anna (1920–1995), żona Leszka, dziennikarka, czł. redakcji „Walki Młodych” 191
- Wyszacki Leszek (1919–1991), mąż Anny, dziennikarz, red. nac. „Stolicy” 191, 192
- Wyszyński Stefan (1901–1981), ksiądz kardynał, prymas Polski 77
- Zachwatowicz Jan (1900–1983), architekt i historyk architektury, pracownik BIP 102
- Zaderecki Tadeusz, historyk, orientalista i hebraista 149
- Zając Edward (ur. 1924), kapitan, komendant aresztu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego 170
- Zakończenie ekshumacji na Palmirach* (Ludwik Gorzeński [Władysław Bartoszewski]) 142
- Zakrzewska Halina (1909–2005), żona Bernarda, żołnierz wywiadu AK, kierowniczka literacka w radiu i teatrach 221
- Zakrzewski Andrzej (1941–2000), prawnik i historyk, działacz polit. 260, 262
- Zakrzewski Bernard (1907–1983), ps. „Oskar”, mąż Haliny, prawnik, szef Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG AK 106, 221
- Zarański Jan, brat Józefa, dziennikarz, czł. redakcji „Gazety Ludowej”, później m.in. w Zachodniej Agencji Prasowej i „Życiu Warszawy” 159, 194, 233, 234
- Zarański Józef, brat Jana, sekretarz Mikołajczyka, po wojnie kierownik Polskiej Sekcji BBC 159
- Zaremba Zygmunt (1895–1967), publicysta, przywódca socjalist. w kraju i na emigracji 30
- Zatopek Emil (1922–2000), czeski długodystansowiec, wielokrotny medalista olimpijski 181
- „Zawadzki Tadeusz” zob. Żenczykowski Tadeusz
- Zawadzki Waclaw (1899–1978), pisarz i publicysta, bibliofil i edytor 167
- Zawieyski Jerzy (1902–1969), pisarz i dramaturg, działacz polit. 149, 192, 195, 222
- Zbiegniewska Izabela (1830–1914), nauczycielka i działaczka oświatowa, pisarka 14
- Zbiegniewska Józefa, z domu Brodzka (?–1932), babcia Władysława Bartoszewskiego 12, 13, 15, 174
- Zbiegniewski Mieczysław Eligiusz (?–1914), dziadek Władysława Bartoszewskiego 14, 15, 174
- „Zbyszek” zob. Gajowniczek Zbigniew
- Zieja Jan (1897–1991), ksiądz, czł. Frontu Odrodzenia Polski, kapelan Szarych Sierogów i WP, współorganizator Rady Pomocy Żydom „Żegota” 65, 66, 77, 142
- Zientarski Jan (1894–1982), działacz Obozu Polski Walczącej, dowódca okręgu Radomsko-Kieleckiego AK 162
- Zimand Roman (1926–1992), socjolog, historyk literatury, publicysta 136, 226, 245
- Zola Emil (1840–1902), franc. powieściopisarz i publicysta 23
- Zu wenig Gerechte* (Erica Weinzierl) 205
- Zwierzynski Aleksander (1880–1958), dziennikarz, działacz i prezes Stronnictwa Narodowego, wiceprzewodn. RJN, oskarżony w procesie Szesnastu 127
- Zygmunt III Waza (1566–1632), król Polski 129
- „Zygmunt” zob. Borwicz Michał Maksymilian

- Żabiński Jan (1897–1974), zoolog i hodowca, organizator i dyr. Ogrodu Zoologicznego w Warszawie 18, 201
- Żamowiecki Jerzy, więzień polit., zastępca blokowego w Auschwitz 49
- Żeleński Tadeusz, ps. „Boy” (1874–1941), lekarz, krytyk literacki i teatralny, publicysta i tłumacz 91
- Żenczykowska Daromira, żona Tadeusza 218, 264
- Żenczykowski Tadeusz, „Tadeusz Zawadzki” (1907–1997), prawnik, historyk i publicysta, szef Wydziału Propagandy Bieżącej BIP, kierownik akcji „N” i „R”, po wojnie redaktor i zastępca dyr. Rozgłośni Polskiej RWE 33, 101, 114, 122, 123, 198, 200, 202, 218, 222, 223, 264
- Żeromska Monika (1913–2001), córka Stefana, publicystka i pisarka 21
- Żeromski Stefan (1864–1925), ojciec Moniki, pisarz i publicysta 12, 21, 259
- Żmichowska Narcyza (1819–1876), pisarka 14
- Żuławska Kazimiera, matka Juliusza i Wawrzyńca, filozof, romanistka i tłumaczka 113
- Żuławski Juliusz (1910–1999), pisarz i tłumacz, prezes polskiego Pen Clubu 113, 239
- Żuławski Wawrzyniec (1916–1957), kompozytor i muzykolog, alpinista 113
- Żymierski Michał, ps. „Rola” (1890–1989), marszałek Polski (od 1945) 139
- Żywulska Krystyna (ur. 1914), pisarka, więźniarka Auschwitz-Birkenau 67

► **Autorytety, osobowości, ludzie nieprzeciętni. Portretują ich najlepsi polscy dziennikarze.**

„Nie lubię o nic prosić. Nigdy nie prosiłem. Uważam się za dziecko przeznaczenia. Szczególne warunki, w których przyszło mi spędzić całą młodość, pozbawiły mnie możliwości wahań. Jedyne wybory, przed którym stałem, był taki: albo zaakceptuję coś, co uważam za zło, albo odmówię akceptacji. Nic więcej.”

Władysław Bartoszewski

Przygotowując się do rozmowy z Władysławem Bartoszewskim poprosiłem przyjaciół o pomoc w znalezieniu stosownego tytułu całości. Pierwszy z nich powiedział: – Ostatni, co tak poloneza wodzi... – i aż oczy mu zabłyśły z zadowolenia. Drugi z uporem powtarzał, że z takiej rozmowy powinny wynikać wnioski praktyczne. – Niech to będzie „Osobisty poradnik na ciężkie czasy”. Trzeci wspomniał o napisie widniejącym na medalu Yad Vashem: „Kto ocala jedno życie, ocala cały świat”. Czwarty zaś zaproponował: – ...my z niego wszyscy... – by po chwili dodać – Chciałoby się, żeby tak było... A jeśli my z niego wszyscy, i chciałoby się, żeby tak było, to trzeba zapytać, skąd jest Władysław Bartoszewski.

Michał Komar krytyk literacki, dziennikarz, scenarzysta filmowy, publicysta; profesor w Collegium Civitas. Autor książek *Piekło Conrada* (Warszawa 1978), *Czarownice i inni* (Kraków 1980), *Zmęczenie* (Paryż 1986), *Prośba o dobrą śmierć* (Warszawa 1993), *O obrotach losów i ciał* (Warszawa 1998), *Trzy* (Warszawa 2000), *Bestiariusz codzienny* (Warszawa 2003).

Nowości i zapowiedzi
www.swiatksiazki.pl



patron medialny



CD z fragmentem
wywiadu w prezencie

Dziękujemy za zakupy i zapraszamy ponownie!

Nr zamówienia: 871106

